

18 milionów sprzedanych egzemplarzy na całym świecie

PETER JAMES

W GODZINIE ŚMIERCI

ZEMSTA NAJLEPIEJ SMAKUJE NA ZIMNO



O książce

Nowa powieść zdobywcy nagrody Diamond Dagger, przyznawanej najlepszym autorom kryminałów za całokształt twórczości.

Autor, który pracę policji zna z własnego doświadczenia.

Postać detektywa, która urosła do rangi kultowej.

Kryminał, który łączy to, co najlepsze w klasycy gatunku, z nowoczesnością.

NIEKTÓRZY, ŻEBY DOKONAĆ ZEMSTY, MUSZĄ CZEKAĆ CAŁE ŻYCIE.

Włamanie, tortury, morderstwo i kradzież. Ofiarą jest 98-letnia Aileen McWinter. Z jej domu zniknęły antyki o wartości 10 milionów funtów, ale dla 95-letniego brata ofiary, Gavina Daly'ego, liczy się tylko jedna zaginiona rzecz - zegarek z 1910 roku marki Patek Philippe. I wcale nie dlatego, że jest wart fortunę. Należał do ich zamordowanego ojca, a Gavin otrzymał go kilka dni po jego śmierci, wraz z zaszyfrowaną wiadomością od mordercy. Przez całe życie nie dowiedział się, co oznaczała.

Kiedy nadinspektor Grace prowadzi dochodzenie, rodzina Daleów bierze sprawiedliwość we własne ręce. I nie przebiera w środkach. Wkrótce nadinspektor będzie musiał radzić sobie nie tylko z grzęznącym śledztwem, ale też z labiryntem kłamstw, które narastały przez lata. Nie wie też, że on i jego rodzina są

obserwowani... A prawdziwym przeciwnikiem Roya Grace'a okaże się ten najgroźniejszy – człowiek od lat ogarnięty furją, który nie ma nic do stracenia.

PETER JAMES

W GODZINIE ŚMIERCI

Z angielskiego przełożyła
MAGDALENA KOZIEJ



Wydanie elektroniczne

PETER JAMES

(ur. 1948 r.)

Angielski autor kryminałów, sztuk teatralnych, odznaczony nagrodą Diamond Dagger za całokształt twórczości. Jest jedynym brytyjskim pisarzem, który regularnie towarzyszy oddziałom policji w przeprowadzanych akcjach i uczestniczy w konferencjach na temat technik śledczych. Wśród policjantów ma reputację człowieka, który doskonale wie, o czym mówi, a przez fanów został uznany za Najlepszego Autora Kryminałów Wszech Czasów.

James ma za sobą karierę producenta filmowego i scenarzysty, ale od kiedy powołał do życia postać Roya Grace'a, który stał się jednym z ulubionych bohaterów czytelników na całym świecie, zdecydował się na pełnoetatową karierę pisarską.

Peter James jest zdobywcą wielu ważnych międzynarodowych nagród, m.in. Prix Polar International, francuskiej Prix Coeur Noir, niemieckiej Krimi-Blitz i amerykańskiej Barry Award.

Polscy czytelnicy nagrodzili jego powieść **Dom na wzgórzu** mianem najlepszego horroru roku 2016 w plebiscycie portalu Lubimy czytać!

peterjames.com

Tego autora

DOM NA WZGÓRZU
LUDZIE DOSKONALI
W GODZINIE ŚMIERCI

Tytuł oryginału:
DEAD MAN'S TIME

Copyright © Really Scary Books/Peter James 2013
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2017

Polish translation copyright © Magdalena Koziej 2017

Redakcja: Anna Walenko

Zdjęcie na okładce: Pexels

Projekt graficzny okładki: Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

ISBN 978-83-6578-183-3

Wydawca

WYDAWNICTWO ALBATROS SP. Z O.O.

(dawniej Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c.)

Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa

www.wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros

Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Przygotowanie wydania elektronicznego: Michał Nakoneczny, 88em.eu

DLA PATA LANIGANA

*Ta książka nigdy by nie powstała, gdybyś nie podzielił się ze mną tak
szczodrze historią swojej rodziny.*

1

Brooklyn, luty 1922

Ojciec pocałował chłopca na dobranoc po raz ostatni, choć żaden z nich jeszcze nie wiedział, że tak jest.

Chłopiec nie potrafił zasnąć bez tego pocałunku. Każdego wieczoru, późno, kiedy już od dawna był w łóżku, leżał wyczekująco w ciemnościach, dopóki nie usłyszał, jak otwierają się drzwi jego pokoju, i nie zobaczył światła wlewającego się z podestu schodów. Potem pojawiała się ciemna sylwetka ojca i rozlegały jego ciężkie kroki na gołych deskach podłogi.

– Cześć, Mały, nie śpisz jeszcze? – pytał ojciec swoim niskim, tubalnym głosem.

– Nie śpię, Duży. Pokażesz mi zegarek?

Ojciec wyjmował zegarek z kieszeni i unosił go, trzymając za dewizkę. Błyszcząca cebula miała dużą tarczę, a na górze koronkę okoloną uszkiem do dewizki. Na górnej połowie tarczy przedstawiono kolejne fazy księżyca. Niebo za księżycem było ciemnoniebieskie, a gwiazdy złote. Czasami księżyc zdawał się prawie niewidoczny, ledwie wyzierał. Innymi razy pokrywał całą tarczę o barwie ochry.

Każdego wieczoru chłopiec prosił ojca, by opowiedział mu o Człowieku z Księżyca. Ojciec zawsze spełniał tę prośbę. Potem mierzwił chłopcu włosy, całował go w czoło i pytał, czy zmówił pacierz.

Chłopiec kiwał głową.

– Śpij już – mówił ojciec.

Później, stąpając ciężko, wychodził z pokoju i zamykał za sobą drzwi.

Ostatnim razem też tak było.

2

Czterech mężczyzn szło chwiejnym krokiem do domu mężczyzny, którego mieli zabić. Trzech z nich zataczało się, bo za dużo wypili, a czwarty dlatego, że za dużo wypił i miał drewnianą nogę.

Chlali, by opanować nerwy, dla kurażu, uspokajali się nawzajem przy brzęku kufli z wodnistym piwem, którym niedawno przepijali whisky w zatłoczonym barze Vinegar Hill. Ten z drewnianą nogą nie był przekonany, że postępują właściwie, ale poszedł z kumplami, bo tak się robi, kiedy się należy do gangu. Idziesz z innymi albo ciebie też zabiją.

Dochodziła północ, ulica była ciemna i wyludniona, bruk lśnił od padającego nieprzerwanie deszczu. Każdy z nich miał rewolwer, a dwóch niosło też kije baseballowe, ukryte pod połami płaszczy. Noc była cholernie zimna. Wszyscy mieli na dłoniach rękawiczki bez palców.

– To tu – powiedział przywódca, wpatrując się w numer na drzwiach jednego z szeregowców.

Para snuła się z jego ust i nozdrzy jak dym.

Na drzwiach widniał numer dwadzieścia jeden.

– Czy na pewno?

– Tak.

– Gdzie Johnny?

– Zaraz dojdzie. Został trochę w tyle.

Nawet w ciemności dom wyglądał nędznie, jak wszystkie sąsiednie w tej nabrzeżnej okolicy Brooklynu. Na prawo od drzwi było zasłonięte okno, a w środku nie paliło się światło. Wyjęli z kieszeni kominiarki i z trudem naciągnęli je na mokre głowy. Przywódca uniósł kij baseballowy i postąpił naprzód.

3

Chłopiec leżał w ciemności, w ciepłe, jakie dawały piżama i ciężka kołdra, i słuchał tykania dużego okrągłego zegara w sypialni. Nasłuchiwał znajomych odgłosów nocy. Buczenia statku przepływającego po ruchliwych atramentowych wodach pobliskiej East River. Turkotu pociągu wysoko nad głową. Skrzypienia sprężyn łóżka za cienką ścianą, gdzie była sypialnia rodziców, jęków ich obojga. Okrzyków matki. Głośnych postękiwań ojca. Łagodnego bębnienia deszczu o dach. Noc miała całą gamę odgłosów. Swoistą muzykę.

Brzęk tłuczonego szkła był całkiem nie na miejscu.

Chłopiec zamarł. Dźwięki dobiegły z dołu, brzmiało to tak, jakby coś stało się tuż pod nim. Czyżby kot przewrócił butelkę whisky i szklanę, którą ojciec co wieczór zostawiał, opróżnioną? Potem chłopiec usłyszał kroki na schodach. Nie kroki ojca. On był już na górze, w łóżku.

Liczne kroki.

Chłopiec leżał w bezruchu, coraz bardziej wystraszony. Drzwi się otworzyły. Silne światło latarki uderzyło go w twarz, oślepiło, więc zamknął oczy. Usłyszał kroki w swoim pokoju. Wyczuł, że ludzi jest kilku, i zaczął trząść się ze strachu. Czuł zapach tytoniu i alkoholu, mokrych ubrań i potu. Gardło miał ściśnięte, z trudem oddychał, serce biło mu jak szalone. Otworzył oczy, ale ujrzał tylko oślepiające światło. Znów zacisnął powieki, roztrzęsiony, drżący z przerażenia. Kroki zbliżyły się do łóżka.

Czyjaś ręka poklepała go żartobliwie po głowie, następnie po prawym policzku, poczuł szorstkość wełny na skórze.

Potem ktoś odezwał się tuż nad nim, zachrypniętym, cichym głosem, z irlandzkim akcentem. Dyszał ciężko.

– Tylko sprawdzamy, jak się masz, dzieciaku.

– Wy... wy... Obudzicie mamę i tatę – wyjąkał chłopiec do obcego, nagle zdobywając się na to, by przemówić, a potem znów otworzyć oczy. Ale widział jedynie rażące światło.

– A gdzie ich znajdziemy?

Mrużąc oczy, chłopiec wskazał kierunek.

– O tam. – Przyłożył palec do ust. – Śpią. Bądźcie cicho. Bo ich obudzicie, i moją siostrę.

Może teraz, jak im to powiedział, wreszcie sobie pójda.

Światło latarki spelzło z twarzy chłopca. Jednak nadal był oślepiiony, przez parę chwil widział jedynie różowe rozbłyski. Usłyszał oddalające się kroki. Szli na palcach. Zaskrzypiała deska. Potem drzwi się zamknęły.

Może sobie poszli. Ludzie często przychodzili do tego domu, o różnych porach nocy. Pili, palili, krzyczeli, śmiali się i kłócili. Głównie się kłócili, a czasem nawet bili. Kiedy się bili, ojciec wyrzucał ich za drzwi. Był dużym mężczyzną. Nikt nie kłócił się z jego ojcem.

Chłopiec naciągnął kołdrę na głowę, żeby tamci go nie zobaczyli, jak wróca.

Po paru chwilach usłyszał wrzask ojca. Później głośny łomot, a po nim kolejny. I krzyk matki. Straszny, okropny krzyk. Potem zawołała:

– Zostawcie go, zostawcie! Proszę! Dajcie mu spokój!

Chłopiec usłyszał, jak jeden z obcych mówi głośno:

– Ubieraj się!

Następnie rozległ się drżący głos matki:

– Dokąd go zabieracie? Powiedzcie mi, proszę! Dokąd?

Minęła minuta. Chłopiec leżał struchlały, dygocząc z przerażenia.

Matka znów krzyknęła:

– Nie! Nie możecie go zabrać! Nie puszczę go!

Huknęło pięciokrotnie, jakby raz za razem zatrzaskiwano drzwi gdzieś w pobliżu.

– Mamo! Tato! – zawołał chłopiec, trzęsąc się cały z lęku o rodziców.

Teraz tupot na schodach był o wiele głośniejszy, jakby schodzącym nie zależało już na tym, by zachowywać się cicho.

Chłopiec usłyszał skrzypnięcie otwieranych drzwi na dole, potem ryk silnika i pisk opon. Ale nie było trzasku zamykanych drzwi.

Słyszał tylko okropne echo krzyków matki w swojej głowie.

Potem nastąpiła cisza.

I właśnie ta cisza brzmiała najdonośniej.

4

Leżał przykryty i nasłuchiwał. Wokół panowała cisza. Tylko w uszach mu dudniło i słyszał swój własny sapiący oddech. A może to był tylko zły sen? Cały się trząsał.

W końcu wygramolił się z łóżka, w samej piżamie, kuląc się z zimna, po czym przebiegł po gołych deskach podłogi do drzwi, namacał w ciemności kłamkę i chwiejnym krokiem wyszedł na podest. Czuł lodowaty przeciąg, jakby drzwi wejściowe rzeczywiście pozostawiono otwarte. W powietrzu unosiła się słaba woń spalin.

Były też inne, nieznane zapachy. Smród ropy i słodszy, intensywniejszy zapach, który mgliście kojarzył mu się z fajerwerkami na Czwartego Lipca. I jeszcze jakaś miedziana, metaliczna woń.

Macając ścianę, wreszcie odnalazł włącznik światła i go nacisnął. I natychmiast tego pożałował. Wolałby, żeby na zawsze już zapadła ciemność. Żeby nigdy nie zobaczył tego straszego widoku.

Matka leżała na podłodze obok łóżka. Krew ściekała z jej ramienia; cały przód koszuli nocnej był nią nasączony, ciemnoszkarłatna plama wciąż się powiększała. Wszędzie krew, rozbryzgana na ścianach, prześcieradłach, poduszkach, suficie. Matka leżała na plecach, jej czarne włosy zmatowiały od krwi. Brakowało części głowy, z dziury wystawało coś mokrego, skręconego, brązowoszarego. Drgała i trzęsa się.

A potem, jakby ktoś nacisnął wyłącznik, nagle się uspokoiła.

Chłopiec podbiegł, wołając: „Mamo, mamo!”. Nie odpowiedziała.

– Mamo, obudź się! – Potrząsnął nią. – Mamo, gdzie tata? Mamo!

Nie poruszyła się.

Opadł na kolana, podpełzł do matki i ją pocałował.

– Mamo, obudź się! – Objął ją, znowu potrząsnął. – Obudź się, mamo! Gdzie tata?

Trwała w bezruchu.

– Mamo! – Zaczął płakać, bezradny. – Mamo! – Czuł, że jego twarz i ręce są lepkie. – Mamo, obudź się, obudź...!

– Co się dzieje? Gavin? Co jest? – rozległ się głos jego siostry.

Chłopiec cofnął się, zrobił krok do przodu, potem znów w tył, niepewnie. Idąc tyłem, cofał się ku drzwiom, aż wpadł na swoją trzy lata starszą siostrę, Aileen, ubraną w koszulę nocną i żującą warkoczyk, co robiła zawsze, gdy była wystraszona.

– Co się dzieje? – spytała. – Słyszałam hałas.

– Gdzie tata? – odpowiedział pytaniem chłopiec. – Gdzie tata? Nie ma go! – Łzy płynęły mu po twarzy.

– Nie ma go w łóżku?

Pokręcił głową.

– Wszedł ze złymi ludźmi.

– Jakimi złymi ludźmi?

– Gdzie tata? Musi obudzić mamę! Ona nie chce się obudzić!

– Jakimi złymi ludźmi? – powtórzyła, bardziej natarczywie.

Na podeście była krew. I na schodach. Zbiegł po nich, wzywając tatę, i przez otwarte drzwi wypadł na dwór.

Ulica była wyludniona.

Poczuł krople deszczu na twarzy, a także słonawą woń rzeki. Jego krzyki zagłuszył turkot kolejnego pociągu, który przejeżdżał w górze.

5

Brighton, 28 czerwca 2012

Z daleka mężczyzna wyglądał bardzo elegancko. Dużo wytworniej niż przewalające się po bulwarze nadmorskim w Brighton tłumy ludzi w pstrokatych kostiumach, sandałach, japonkach i kroksach. Dostojny dżentelmen miał na sobie granatową marynarkę ze srebrnymi guzikami, starannie wyprasowane spodnie, rozpiętą pod szyją koszulę i szykowny fular. Dopiero przy uważniejszym spojrzeniu widać było, że kołnierzyk koszuli jest wystrzępiony, marynarka tu i ówdzie nadgryziona przez mole, a gładko zaczesane do tyłu włosy są przerzedzone i miejscami zrudziałe po kiepskim farbowaniu siwizny. Twarz miał wynędzniałą, z trudną do pozbycia się bladością, typową dla więźniów, i malowała się na niej złośliwość. Pomimo drobnej postury – zaledwie metr sześćdziesiąt w butach na słupku – mężczyzna przechadzał się nonszalancko, jakby był właścicielem całej promenady.

Na swojej porannej przechadzce Amis Smallbone rozglądał się wokół i przez okulary przeciwsłoneczne patrzył na wszystko z nienawiścią. Bo nienawidził wszystkiego. Przyjemnego ciepła czerwcowego poranka. Rowerzystów, którzy dzwoniли na niego, kiedy przez nieuwagę zbaczał na ich ścieżkę. Durnych opasłych urlopowiczów ze spaloną od słońca skórą, opychających się różnorodnym świństwem. Młodych zakochanych, którzy trzymali się za ręce i mieli całe życie przed sobą.

W przeciwieństwie do niego.

Nienawidził więzienia. A współwięźniów jeszcze bardziej od strażników. Kiedyś był w swoim mieście nie lada figurą, ale

wszystko prysło, jak poszedł do ciupy. Nie udawało mu się nawet załapać na lukratywny rynek narkotykowy w więzieniach, w których siedział.

A teraz był na zwolnieniu warunkowym i swojej wolności też nienawidził.

Kiedyś miał wszystko – duży dom, drogie samochody, motorówkę i willę w Marbelli na hiszpańskim wybrzeżu Costa del Sol. Teraz gówna miał. Ledwie parę tysięcy funtów, kilka zegarków i trochę kradzionej zabytkowej biżuterii w pewnej skrytce bankowej, której policja nie zdołała znaleźć.

To swoje trudne położenie zawdzięczał jednemu człowiekowi. Był nim nadinspektor Roy Grace.

Nie czekając na zmianę świateł, przeciął ruchliwą czteropasmową King's Road. Samochody wokół hamowały, kierowcy naciskali klaksony, klęli i wymachiwali pięściami, ale on miał to gdzieś. Jego rodzina wiele kiedyś znaczyła w przestępczym światku tego miasta. Kilka dziesiątków lat wcześniej nikt by się nie ośmielił zatrzeć na Smallbone'a. Teraz z pogardą ich wszystkich zignorował.

Ruszył chodnikiem i gdy kawałek dalej wszedł do kiosku, aż go odrzuciło na widok surowej, poważnej twarzy tego cholernego gliniarza, gapiącej się na niego z pierwszej strony „Argusa”. Krótka ostrzyżone włosy, niebieskie oczy, krzywy nos, a pod tym sensacyjny tytuł:

WZNOWIENIE PROCESU POTWORA Z BRIGHTON

Jak co dzień kupił gazetę i paczkę papierosów oraz wypełnił kupon na loterię, bez zbytej nadziei.

* * *

Wkrótce potem Amis Smallbone wrócił do swego mieszkania w suterenie i usiadł w zniszczonym skórzanym fotelu z połamanymi sprężynami. Na stoliku obok miał szklanę z whisky Chivas Regal, a w ustach tłącego się papierosa, i z zainteresowaniem

czytał o sprawie. Venner został oskarżony o morderstwo, porwanie i handel nielegalnymi kasetami wideo. W zeszłym roku jeden z oficerów nadinspektora Grace'a odniósł ranę postrzałową przy próbie aresztowania Vennera. Szkoda, że to nie Grace został postrzelony. Najlepiej śmiertelnie.

Fajnie by było.

Ale Amis Smallbone wymyślił coś fajniejszego. Uśmiercenie nadinspektora Grace'a to za mało. On chciał, by ten gliniarz naprawdę cierpiał. Żeby ból towarzyszył mu do końca życia. O tak. To będzie o wiele lepsze. Ból, który nigdy nie minie!

Smallbone zaciągnął się papierosem, po czym zgniótł niedopałek w popielniczkę i osuszył szklankę. Trafił do więzienia jako względnie młody facet, w wieku pięćdziesięciu lat. Wyszedł jako stary, sześćdziesięciodwuletni mężczyzna. Nadinspektor Grace odebrał mu wszystko. A co najważniejsze, te kluczowe dwanaście lat życia.

Oczywiście wówczas Grace nie był jeszcze nadinspektorem – był tylko zarozumiałym, świeżo upieczonym komisarzem, który upatrzył go sobie, namierzył i wrobił, fałszując dowody, a działał cholernie sprytnie. Przez to, że Grace się na niego wziął, on był teraz skazany na to paskudne wynajęte mieszkanie z tandetnymi meblami i ze znakami zakazu palenia w każdym pomieszczeniu oraz musiał zgłaszać się regularnie do pieprzonego kuratora sądowego, a do tego się przed nim płaszczą.

Odłożył gazetę, wstał nieco chwiejnie i poszedł do cuchnącego wilgocią aneksu kuchennego, gdzie wrzucił do szklanki kilka kostek lodu wyjętych z zamrażalnika. Minęło dopiero południe, a on ostro główkował. I myślał o tym, jaką frajdę sprawi mu skrzywdzenie Roya Grace'a. Tylko to trzymało go teraz przy życiu. Reszta narodu gorączkowała się olimpiadą – igrzyska zaczynały się już za miesiąc. On miał to w nosie. Zależało mu tylko na wyrównaniu rachunków z Royem Grace'em.

Tylko o tym potrafił teraz myśleć.

Doprowadzi do tego. Usta rozciągnęły mu się w uśmiechu. Musi tylko znaleźć odpowiednią osobę. Znał różnych ludzi z czasów sprzed więzienia, a tam też nawiązał parę kontaktów. Ale

ktokolwiek to będzie, nie wyjdzie tanio, a obecnie to stanowiło poważny problem.

Zadzwoiła jego komórka. Na wyświetlaczu pojawiła się informacja, że numer jest zastrzeżony.

– Tak? – odezwał się podejrzliwie.

– Amis Smallbone?

Nie rozpoznawał tego głosu. Mocny akcent z Brighton.

– Kto mówi? – spytał chłodno.

– Poznaliśmy się dawno temu, ale nie będziesz mnie pamiętał. Potrzebuję pomocy. Masz kontakty w branży antyków, prawda? Za granicą? Chodzi o przedmioty dużej wartości.

– A jeśli tak?

– Powiedziano mi, że potrzebujesz pieniędzy.

– A nie powiedziano ci, żebyś nie dzwonił do mnie na pieprzoną komórkę?

– Tak, wiem.

– To czemu, kurwa, dzwonisz?

– Mowa o dużej forsie. Parę milionów funtów.

Nagle Amis Smallbone bardzo się zainteresował.

– Powiedz coś więcej.

Połączenie zostało przerwane.

6

Ci wszyscy ludzie, którzy mówili, że dziecko całkiem odmieni jego życie, mieli rację, pomyślał Roy Grace. Ziewnął, wykończony po ciągłych niespokojnych nocach, podczas których Cleo wstawiała za każdym razem, kiedy Noah się obudził, bo potrzebował karmienia albo zmiany pieluszki. Jeden z kolegów Roya, Nick Nicholl, który niedawno zadebiutował jako ojciec, powiedział mu, że zaczął sypiać w osobnym pokoju, żeby dziecko mu nie przeszkadzało. Ale Roy postanowił, że nigdy tak nie zrobi. Dziecko było wspólnym przedsięwzięciem i musiał sprostać swojej roli. Tyle że czuł się taki cholernie zmęczony – i złachany. W ten lepki sierpniowy dzień, choć otworzyli wszystkie okna, powietrze było nieruchome, ciepłe i wilgotne.

W telewizji leciało nagranie ceremonii zamykającej olimpiadę, sprzed niecałych dwóch tygodni. Oboje z Cleo zasnęli wtedy, oglądając ją na żywo wieczorem. Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek w życiu czuł się tak zmęczony, a to wpływało na jego koncentrację w pracy. Bez wątplenia cierpiał na syndrom „odmóżdżenia poniemowlęcego”.

Ray Davies, solista jednego z jego ulubionych zespołów, The Kinks, śpiewał *Waterloo Sunset*, więc Roy trochę podkreślił dźwięk, by lepiej słyszeć. Ale Cleo nie oderwała wzroku od książki.

Grace przekroczył ostatnio rubikon czterdziestych urodzin. Od kilku lat z coraz większym przerażeniem myślał o tym kamieniu milowym. A kiedy wreszcie się pojawił, oboje z Cleo byli zbyt zmęczeni, by odpowiednio to uczcić. Otworzyli butelkę szampana i zasnęli, nie wypijając nawet połowy.

Teraz mieli przed sobą kolejną okazję do świętowania. W tym tygodniu, po długim czasie, zakończyły się formalności rozwodowe

związane z tym, że jego żona Sandy została oficjalnie uznana za zmarłą, i wreszcie mógł poślubić Cleo.

Sandy zaginęła w dniu jego trzydziestych urodzin, czyli przed dziesięciu laty, a on nadal nie miał pojęcia, co się z nią stało, czy w ogóle żyje, jak nadal pragnął wierzyć, czy też od dawna jest martwa, jak przekonywali go przyjaciele i krewni, i pewnie mieli rację. W każdym razie po raz pierwszy poczuł się uwolniony i naprawdę gotów, by ruszyć do przodu. Kolejną ważną sprawą było to, że w końcu znalazł się kupiec na dom, w którym razem z Sandy mieszkali.

Popatrzył z miłością i niebywałą dumą na swego siedmioletniego syna. Na tego maleńkiego cherubinka z usteczkami jak pączek róży, na te pulchne różowe rączki i paluszki jak u lalki. Noah Jack Grace, ubrany w biały pajacyk bez rękawów, spał na jego kolanach, wtulony w jego rękę. Przez cienkie pasma jasnych włosów, szesanych do przodu, przeświecała łysa główka. Grace dostrzegł w twarzy dziecka zarówno rysy Cleo, jak i swoje, a jedna speszona minka, którą Noah czasem robił, przypominała Grace'owi jego nieżyjącego już ojca, również oficera policji. Zrobiłby dla Noaha wszystko. Bez chwili wahania oddałby za niego życie.

Cleo siedziała obok na kanapie, zaczytana w *Pięćdziesięciu twarzach Greya*. Miała na sobie czarną bluzeczkę bez rękawów, a jasne włosy, ścięte krócej niż zazwyczaj, upięła z tyłu. W mieszkaniu unosił się mleczny zapach zasypanki dla dzieci i świeżo upranych rzeczy. Dużo miękkich zabawek walało się na macie do raczkowania, wśród nich pluszowy miś i malutka lokomotywa z serialu *Tomek i przyjaciele*. W górze powoli obracał się mobil ze zwierzątkami i ptaszkami w jaskrawych kolorach.

Humphrey, młody czarny mieszaniec labradora i border collie, ponuro obgryzał kość w swoim koszyku na drugim końcu pokoju. Kiedy tylko Noah pojawił się w domu, pies rzucił mu kilka pogardliwych spojrzeń, a potem odszedł z podkulonym ogonem, jakby uświadomił sobie, że już nie jest numerem jeden w oczach swego pana, i od tamtej pory jego podejście nie uległo zmianie.

Roy Grace strzelił palcami, przyzywając psa.

– Hej, Humphrey, dajże spokój! Chodź się zaprzyjaźnić z Noahem.

Humphrey spojrział na niego spode łba.

Był wtorek, sam środek dnia, a Roy Grace wymknął się na parę godzin do domu, ponieważ wieczorem czekało go długie spotkanie. Umówił się w Old Bailey z prawnikiem, który był oskarżycielem w procesie szczególnie odrażającego przestępcy, Carla Vennera, mózgu szajki produkującej „filmy ostatniego tchnienia”, aresztowanego w poprzednim roku przez Grace’a. Proces odroczone na kilka tygodni, bo oskarżony twierdził, że odczuwa bóle w klatce piersiowej. Jednak lekarze uznali, że może brać udział w dalszym procesie, który został wznowiony wczoraj.

W tej chwili Roy Grace szczerze wierzył, że nigdy w życiu nie był szczęśliwszy niż teraz. A jednocześnie czuł na sobie brzemię odpowiedzialności. Ta mała, krucha istota, którą on i Cleo powołali do życia. Jaką przyszłość miał przed sobą Noah? Jaki będzie świat za dwadzieścia lat czy więcej, kiedy on stanie się dorosły? Jaki będzie świat przez najbliższych dwadzieścia lat – po których upływie Grace’owi stuknie sześćdziesiątka? Co może zrobić, by go zmienić? Uczynić bezpieczniejszym miejscem dla Noaha? Chronić swoje dziecko przed złem w rynsztoku życia, w którym Venner był tylko jednym z wielu szczurów?

Co może zrobić, by pomóc swojemu synowi radzić sobie z tym całym świństwem, z którym nieuchronnie się w życiu spotka?

Tak bardzo go kochał. Pragnął być najlepszym ojcem na świecie i wiedział, że to oznacza poświęcanie dziecku wiele czasu. Chciał jak najwięcej przebywać z synem, ale zdawał sobie sprawę, że przy jego zawodzie nie zawsze będzie to możliwe.

Od chwili, gdy Noah się urodził, Grace spędzał z synem o wiele mniej czasu, niż zamierzał, z powodu swoich obowiązków zawodowych. Jeśli dopisze mu szczęście i nie dojdzie do żadnych poważniejszych przestępstw, to najbliższy weekend może okazać się w miarę luźny. Był dyżurnym starszym oficerem śledczym i kończył służbę o szóstej rano w poniedziałek. Zazwyczaj każdy na jego miejscu liczył na jakieś efektowne morderstwo, które odbiłoby się echem w ogólnokrajowej prasie, pozwoliło śledczemu zabłysnąć

i zwrócić na siebie uwagę szefa policji. Ale Roy Grace miał nadzieję, że telefon będzie milczał.

Czekało go jednak coś innego.

7

Starsza pani usłyszała, że ktoś puka do drzwi po raz trzeci.

– Idę! – zawołała. – O rety, już idę!

Zdjęła z palnika rondel z gotującą się fasolką szparagową, chwyciła swój chodzik na kółkach i ruszyła wolno przez kuchnię.

Wtedy odezwał się telefon. Zawahała się. Jej brat dzwonił codziennie, punktualnie o siódmej wieczorem, obojętnie, czy był akurat w Anglii, czy we Francji, by sprawdzić, czy u niej wszystko w porządku. Była właśnie siódma. Staruszka złapała telefon, z wielkimi cyframi ze względu na jej słaby wzrok, i przekrzykując temat muzyczny z czołówki serialu *Emmerdale*, który leciał w telewizji, zawołała do słuchawki:

– Zaczekaj chwilę!

Ale to nie był jej brat. Usłyszała miękki, aksamitny głos jakiegoś młodszego mężczyzny.

– Zabiorę pani zaledwie chwilkę.

– Ktoś czeka pod drzwiami! – odkrzyknęła, gmerając przy pilocie, by nieco ściszyć dźwięk w telewizorze.

Potem przyłożyła zniekształconą przez artretyzm dłoń do mikrofonu słuchawki. Mimo podeszłego wieku wciąż miała silny głos. Tylko on jeszcze pozostał jej silny, stwierdzała z żalem.

– Proszę poczekać! Rozmawiam przez telefon! – krzyknęła w stronę drzwi wejściowych, po czym odjęła dłoń od mikrofonu. – Już jestem, ale proszę się pospieszyć – powiedziała ze swym śpiewnym irlandzkim akcentem.

– Dzwonię z polecenia pani dobrego przyjaciela – oznajmił rozmówca.

– Mianowicie?

– Gerarda Scotta.

– Gerarda Scotta?

– Kazał panią pozdrowić.
– Ależ ja nie znam żadnego Gerarda Scotta.
– Dzięki nam oszczędza dwa tysiące pięćset funtów rocznie na ogrzewaniu.

– A w jakiż to sposób? – spytała z pewnym zniecierpliwieniem, patrząc na drzwi i martwiąc się, że fasolka za długo stoi w gorącej wodzie.

– W przyszłym tygodniu przedstawiciel naszej firmy będzie pracował w pani okolicy. Może mógłbym umówić go na spotkanie w dogodnym dla pani terminie?

– Czym dokładnie zajmuje się ta firma?

– Izolacją cieplną poddaszy.

– A po cóż mi izolacja poddasza?

– Jesteśmy najlepszymi specjalistami w Anglii. Izolacja, którą zakładamy, jest tak skuteczna, że jej koszty w pełni się zwrócą w ciągu zaledwie dziewięciu lat, bo tak dużo zaoszczędzi pani na rachunkach za ogrzewanie.

– Dziewięć lat, powiada pan?

– Tak jest, proszę pani.

– No cóż, mam teraz dziewięćdziesiąt osiem lat. Śmiem twierdzić, że w wieku stu siedmiu lat nie będę zaprzętać sobie głowy rachunkami za ogrzewanie. Ale uprzejmie panu dziękuję.

Odłożyła słuchawkę, po czym ruszyła w stronę drzwi wejściowych.

– Idę! Idę, jeszcze chwila!

Brat od dawna starał się ją namówić na sprzedaż domu i przeprowadzkę do mieszkania dla osób wymagających częściowej opieki, ale czemu, u diabła, miałyby tak zrobić? Mieszkała w tym domu od ponad pięćdziesięciu lat. Tu wiodła szczęśliwe życie ze swoim mężem, Gordonem, który odszedł przed piętnastu laty, tu wychowała czworo swoich dzieci, które także już umarły. Tu stworzyła niegdyś piękny ogród, w którym nadal pracowała. Wszystkie jej wspomnienia były związane z tym domem, były tu również wszystkie wspaniałe obrazy i antyki, które kolekcjonowali z mężem przez całe życie – pod fachowym i bystrym okiem jej brata. Raz w życiu została pozbawiona swoich korzeni i to się więcej nie powtórzy. Zapowiedziała stanowczo, że jeśli

kiedykolwiek opuści to miejsce, które tak kocha, to tylko nogami do przodu.

Jedynymi ustępstwami wobec niepokojów brata były dzwonek alarmowy, który nosiła zawieszony na szyi, oraz gosposia, która zjawiała się dwa razy w tygodniu.

Spojrzała przez judasz. W świetle letniego wieczoru zobaczyła dwóch mężczyzn w średnim wieku, w brązowych uniformach, z zawieszonymi na szyjach identyfikatorami.

Zdjęła łańcuch i otworzyła drzwi.

Mężczyźni uśmiechnęli się grzecznie.

– Przepraszamy, że przeszkadzamy, proszę pani – odezwał się ten z prawej. – Jesteśmy z przedsiębiorstwa wodociągowego. – Podsunął jej swój identyfikator, by mogła go przeczytać.

Była bez okularów, ale spodobał jej się jego irlandzki akcent. Twarz na identyfikatorze, choć nieco zamazana, wydawała się podobna do twarzy mężczyzny z ogoloną głową, stojącego właśnie przed nią. Richard Carroll, tak się chyba nazywał – nie miała co do tego pewności.

– W czym mogę panom pomóc?

– Badamy wyciek wody. Czy zauważyła pani spadek ciśnienia w ciągu ostatniej doby?

– Nie, raczej nie – odparła.

Jednak wiedziała, że ostatnio umyka jej wiele rzeczy. Chociaż bardzo ją to złościło, stawała się coraz bardziej zależna od innych. Ale i tak nadal usiłowała panować, nad czym się dało.

– Czy pozwoli pani, że wejdziemy i zmierzymy ciśnienie wody? Nie chcemy, by policzono pani za wodę, której pani nie zużywa.

– No cóż, ja również bym nie chciała – odrzekła z błyskiem w oku, ze swoim miękkim dublińskim akcentem. Wszystkie te cholerne udogodnienia służyły tylko temu, by człowieka wycyckać, a ona nie z tych, co na to pozwolą. Pieczołowicie sprawdzała rachunki telefoniczne, rachunki za elektryczność, gaz i wodę. – Zastanawiało mnie, że rachunki za wodę są ostatnio dość wysokie.

– To tym bardziej wskazuje, że jest jakiś problem – powiedział przeproszającym tonem Richard Carroll.

– Proszę wejść.

Trzymając chodzik jedną ręką, odsunęła się na bok, by wpuścić mężczyzn, po czym zamknęła za nimi drzwi.

Niemal od razu nie spodobał jej się ich rozbiegany wzrok. Zlustrowali piękne olejne obrazy na ścianach, a potem stół w stylu Ludwika XIV, stojący w korytarzu. Georgiańską komodę. Georgiańską szafkę. Dwa krzesła w stylu chippendale. Wszystko kupione po okazyjnej cenie, wszystko wskazane przez brata, który nieźle znał się na antykach wszelkiego rodzaju.

– Gdzie chcecie zacząć kontrolę, panowie?

Zauważyła śmignięcie pięści mężczyzny ułamek sekundy przed tym, jak uderzyła ją w brzuch, odbierając oddech. Zgięła się wzdłuż, a jej krucha ręka sięgnęła do dzwonka alarmowego.

Jednak został zerwany z jej szyi na długo wcześniej, zanim zdołała go nacisnąć.

8

„Jest prawdą powszechnie znaną, że samotnemu a bogatemu mężczyźnie brak do szczęścia tylko żony”¹, pomyślała posterunkowa Susi Holiday, mocno zbudowana dwudziestoosmioletnia kobieta z ciemnymi kręconymi włosami i zawsze radosną twarzą. Zdanie to kołatało jej się po głowie od samego rana. Wczoraj miała dzień wolny i spędziła go głównie na oglądaniu sześciuodcinkowej ekranizacji *Dumy i uprzedzenia* w BBC, objadając się przy tym śmieciowym żarciem i paląc szlugi – poszła cała paczka. Jej mąż, James, patrzył na nią z niedowierzaniem, ale taka już była. Przez jeden tydzień żyła zdrowo, męczyła się na siłowni, nie paliła, a w następnym wszystko sobie odpuszczała.

Teraz, prześmiewczo, uznała, że drugą powszechnie znaną prawdą jest to, że nikt nie wygląda najlepiej, siedząc na sedesie, ze spodniami spuszczoneymi do kostek.

Zwłaszcza jak jest martwy.

„Zanotować w pamięci. Proszę, błagam, nie umieraj na kiblu”.

Potrzeba skorzystania z toalety bywa zwiastunem ataku serca. Aż nadto wielu ludzi umiera w ten sposób.

Jak ten gruby stary mężczyzna, którego widzieli tutaj, w obskurnej, wąskiej toalecie zapuszczonego mieszkania spółdzielczego o gołych bładoniebieskich ścianach, pełnego brudnych gaci, dywanów i koszul, walających się po podłodze we wszystkich pomieszczeniach. Potwornie tu cuchnęło: zjełczały, serowaty fetor i najgorszy smród na świecie – rozkładającego się ludzkiego ciała. Lokator nazywał się Ralph Meeks i posterunkowa Holiday przypuszczała, że to na niego właśnie patrzy z odrazą przemieszana ze smutkiem. Jak wszyscy G5 martwi od paru dni, bardziej przypominał figurę woskową niż prawdziwego człowieka.

Zupełny bezruch trupa zawsze wydawał jej się zarówno upiorny, jak i fascynujący.

Zwaliste cielsko mężczyzny było wciśnięte między ściany. Na jego dłoniach widniały plamy wątrobowe, a na twarzy i innych odsłoniętych partiach ciała – szkarłatne i zielone wybroczyny, wskazujące na zaawansowany rozkład. Rój much plujek pełzał uporczywie po jego twarzy, szyi i dłoniach, bzyczał wokół niego.

Obwisłe fałdy brzucha mężczyzny osłaniały jego partie intymne. Miał niemal łysą czaszkę, tylko po bokach sterczały małe kępki włosów. W prawym uchu tkwił aparat słuchowy, a jego otwarte usta zastygły w grymasie zaskoczenia, odbijającym się również w jego przestraszonych martwych oczach. Jakby umieranie, pomyślała prześmiewczo, nie znajdowało się na liście jego zadań na ten dzień, a już na pewno nie w tak pozbawiony godności sposób.

Telewizor w skąpo umeblowanym salonie był wciąż włączony i leciał w nim właśnie, jak na ironię, talk-show, w którym dyskutowano o trudnej sytuacji starych ludzi.

Holiday rozejrzała się, szukając jakichś przedmiotów osobistych. Jednak na ścianach nie było żadnych zdjęć ani obrazów. Zobaczyła popielniczkę pełną niedopałków, a obok zapalniczkę i paczkę papierosów, puszkę po piwie i do połowy opróżnioną szklankę. Na podłodze leżał niewielki stos bezładnie rzuconych starych magazynów ogrodniczych, obok sterty „Daily Mirror”.

Ralph Meeks najwyraźniej umarł jakiś czas temu, właśnie tu i zupełnie sam. To smutna, lecz dość powszechna historia w miastach. Znajdowali się na drugim piętrze niskiego bloku mieszkalnego. Ale Ralph Meeks nie miał przyjaciół ani sąsiadów, którym chciałoby się sprawdzić, czy u niego wszystko w porządku, i nikomu nie wydało się dziwne, że skrzynka pocztowa z każdym dniem jest coraz bardziej zapchana. Dopiero gdy zaczął się rozkładać, a sąsiedzi poczuli smród na korytarzu, pofatygowano się, by sprawdzić, co z Meeksem.

Odór w korytarzu wydawał się niczym w porównaniu z tym, który panował w mieszkaniu. Tu był sto razy gorszy. Smród i bzyczenie much. Holiday zbierało się na wymioty, a jej kolega, posterunkowy Dave Roberts, wciąż zatykał sobie nos dłonią w rękawiczce.

Teraz musieli przede wszystkim zadzwonić do sierżanta, aby pomógł im ustalić, czy to była śmierć naturalna, czy też są jakieś podejrzanе okoliczności, bo wtedy trzeba by włączyć wydział kryminalny i opieczętować mieszkanie jako miejsce zbrodni. Następnie należało wezwać ratowników medycznych, by potwierdzili śmierć mężczyzny. Oczywiście w tym wypadku nie było to potrzebne, ale tak stanowiły przepisy. Kolejny obowiązek to sprowadzenie koronera. A wreszcie, jeśli zapadnie decyzja, że nie jest konieczne przybycie specjalistów medycyny sądowej w celu oględzin zwłok na miejscu, trzeba będzie zadzwonić do kostnicy Brighton i Hove, by zabrano ciało.

Nagła śmierć – albo G5, jak określano formularz dla niej przeznaczony – była to dla większości patroli interwencyjnych najmniej lubianym wezwaniem. Jednak Susi Holiday właściwie je lubiła i uważała za ciekawe. To był już piętnasty taki przypadek, którym się zajmowała, od kiedy przed trzema laty wstąpiła do policji.

Odwracając się do kolegi, starszego od niej o osiemnaście lat, spytała:

– Czy coś cię tu niepokoi?

Pokręcił głową, z trudem pokonując mdłości.

– Nie. – Wzruszył ramionami. – Oprócz myśli, że sam tak mogę skończyć.

Uśmiechnęła się szeroko.

– Najlepiej spróbować uniknąć starości. Starość w końcu zabija.

– Tak, chyba wolałbym umrzeć młodo, ale w spodniach.

Posłała mu szelmowski uśmiech.

– To chyba zależy, z kim byś wtedy był?

9

Roy Grace zawsze, gdy tylko wychodził za próg własnego domu, miał się na baczności. Po ponad dwudziestu latach służby w policji rozglądanie się za czymś, co wydawało się niezwykle albo nie na miejscu, stało się jego drugą naturą. Bardzo irytowało to jego byłą żonę, Sandy. Pewnego razu, kiedy od niedawna był posterunkowym, w zatłoczonym pubie zauważył, że pewien mężczyzna bierze czyjąś torebkę wiszącą na oparciu krzesła, i gonił go ponad kilometr przez Brighton, a potem złapał za nogi, chwytem rugbyisty, i aresztował. Tak skończył się wspólny wieczór z żoną, bo kolejne cztery godziny musiał spędzić ze złodziejem w areszcie i wypełniać formularze.

Często, gdy jedli z Sandy gdzieś na mieście, zauważała, że Roy błądzi wokół wzrokiem, i kopała go mocno pod stolikiem, sycząc: „Przestań, Grace!”.

Jednak on nie mógł się przed tym powstrzymać. W żadnym publicznym miejscu nie potrafił się rozluźnić, dopóki nie przekonał się, że nie ma tam jakichś łajdaków ani wyraźnych sygnałów, że zaraz coś się wydarzy. Sandy nieraz żartowała, że gdy inne kobiety muszą mieć się na baczności, jak ich faceci gapią się na dziewczyny, ona musi znosić, że on wypatruje szumowin w Brighton.

Niemniej było coś, czego jej nigdy nie powiedział, ponieważ nie chciał jej martwić. Zdawał sobie sprawę, jak wszyscy policjanci, że zawsze istnieje zagrożenie ze strony jakiegoś poszkodowanego drania, który zechce się mścić. Większość kryminalistów akceptowała aresztowanie – jedni uważali, że to część gry, inni wzruszeniem ramion kwitowali jego nieuchronność, a niektórzy całkiem tracili ducha w chwili, gdy zakładano im kajdanki. Ale byli i tacy, którzy żywili urazę.

Sędziowie tradycyjnie nosili peruki, częściowo po to, by zmienić swój wygląd, tak aby później nie mogli być rozpoznani przez tych, których skazali. Policjanci nie mieli takiego zabezpieczenia. A nawet gdyby mieli, ktoś bardzo zdeterminowany znalazłby mnóstwo innych sposobów, żeby ich namierzyć.

Właśnie taki człowiek, dokładnie w tej chwili, siedział w swoim samochodzie, przed staroświeckim sklepem, którego specjalnością były kominki, naprzeciwko bramy eleganckiego osiedla jednorodzinnych domów szeregowych w centrum Brighton.

Żył u urzędu do konkretnego oficera policji z Sussex, a mianowicie do komisarza Roya Grace'a.

Dziecko tego gliniarza było tam, w trzecim domu po lewej. Plany domu otrzymał w biurze projektowym, gdzie przed piętnastu laty dołączono je do podania o przekształcenie starego magazynu w siedem jednorodzinnych domów szeregowych.

Dziecko śpi zapewne w pokoiku po przeciwnej stronie, z oknem wychodzącym na podwórze.

Jednak teraz mężczyznę najbardziej zainteresowało ogłoszenie przymocowane przez agenta nieruchomości do ściany po prawej stronie metalowej bramy, odgradzającej podwórze: DOM DO WYNAJĘCIA.

Zabawnie byłoby zostać sąsiadem Roya Grace'a. I co za wygoda.

Będzie mógł mieć go stale na oku. Wyczekać właściwego momentu.

Znów nastały szczęśliwe czasy!

10

Dwie godziny po tym, jak weszli do mieszkania Ralpha Meeksa, Susi Holiday i Dave Roberts znów byli w samochodzie patrolowym, jeżdżąc po ulicach Brighton. Prowadziła Susi. Uwielbiała swoją pracę. Lubiła nazywać ją polowaniem, mając na myśli cały ten czas, którego nie spędzali przy tak zwanym zgłoszeniu.

Czterdziestosześcioletni Dave był jednym ze starszych posterunkowych w jednostce. Patrole interwencyjne uważano za odpowiednie dla młodych ludzi, bo czasami praca wymagała dużej sprawności fizycznej – interwencje w brutalnych bijatykach domowych, awantury w pubach, ściganie złodziei i włamywaczy. Jednak Dave był w tej jednostce od dwudziestu lat i nie interesował go awans oraz związana z nim robota papierkowa ani też żadne inne możliwości pracy w policji.

Gdyby ktoś spytał, co najbardziej lubi w swojej pracy, odpowiedziałby, że ta robota go kręci, bo nie wiadomo, co się wydarzy w ciągu najbliższych pięciu minut. No i uwielbiał gnać przez miasto, wciskając gaz do dechy, z wyjącem kogutem na dachu. Niemal każdy uprawniony do pościgu policjant, z którym rozmawiał, przyznawał, że to jeden z większych kopów, jakie daje ta praca.

Jechali po North Street w stronę Wieży Zegarowej, jednego z najbardziej charakterystycznych obiektów miasta. Obserwowali twarze ludzi snujących się po chodnikach z obu stron jezdni, od czasu do czasu rozpoznając w tłumie jakiegoś łobuza. I przez cały czas nasłuchiwali swoich krótkofalówek, czekając na kolejne wezwanie z centrum powiadamiania ratunkowego.

Dochodziło południe tego pogodnego czwartku pod koniec sierpnia. Zmianę zaczęli o siódmej rano i miała trwać do szesnastej. Jak dotąd otrzymali zgłoszenie alarmowe w sprawie

przypuszczalnego incydentu z użyciem broni palnej na torze wyścigowym, ale okazało się, że to tylko jakiś facet strzelał do królików. Następnie grzali na sygnale przez miasto do zderzenia skutera i śmieciarki, które na szczęście nie było tak poważne, jak się zapowiadało. Kolejne zgłoszenie dotyczyło kobiety rzekomo wzywającej pomocy. Okazało się jednak, że to był tylko napad złości małego dziecka. Wreszcie Ralph Meeks, G5.

Przez ostatnie pół godziny panował spokój. Pomyśleli, że wrócą do komisariatu, zjedzą kanapki i po chwili odpoczynku załatwią papierkową robotę związaną z Meeksem.

– Jakie masz plany na weekend? – spytał Dave Roberts.

Regularnie mieli wspólną służbę i dobrze się dogadywali.

– Idę do Albionu z Jamesem. A ty?

– Maxim ma w sobotę piętnaste urodziny. Marilyn i ja zabieramy go z paczką kumpli na rybę z frytkami na molo, w Palm Court. Najlepsza ryba z frytkami w Brighton!

– Tiffany też się wybiera? – spytała.

Chodziło o jego nastoletnią córkę.

Już miał odpowiedzieć, gdy odezwały się ich krótkofalówki.

– Charlie Romeo Zero Trzy?

– Tak, tak, Charlie Romeo Zero Trzy – odpowiedział Dave.

– Charlie Romeo Zero Trzy, odebraliśmy telefon od zaniepokojonego mężczyzny, który zazwyczaj codziennie rozmawia ze swoją wiekową siostrą. Mówi, że od dwóch dni nie może się do niej dodzwonić. Jest za granicą, w przeciwnym razie sam by przyjechał sprawdzić, co się z nią dzieje. Ta kobieta nazywa się Aileen McWhirter. Jej adres: Withdean Road sto czterdzieści sześć, Brighton. Proszę o kontrolę, stopień drugi.

Wszystkie telefony do centrum powiadamiania ratunkowego były klasyfikowane w czterostopniowej skali. Stopień pierwszy oznaczał konieczność natychmiastowej interwencji, w czasie poniżej piętnastu minut. Drugi przewidywał szybką reakcję, z czasem docelowym nie dłuższym niż godzina. Stopień trzeci zakładał planową akcję, po wcześniejszym ustaleniu terminu, który mógł wypaść wiele dni później. Wreszcie stopień czwarty nie wymagał obecności policjantów, tylko sprawę załatwiała się telefonicznie.

– Charlie Romeo Zero Trzy, jesteśmy w drodze – zameldował Dave Roberts, a po szybkim wyliczeniu dodał: – Będziemy tam za jakieś piętnaście minut.

Oboje policjanci spojrzeli po sobie. Nie mieli G5 od wielu tygodni, aż do dzisiejszego ranka. Jeden z kolegów żartował, że G5 jest jak autobusy. Najpierw przez całe wieki nie ma żadnego, a potem przyjeżdżają dwa naraz.

Zdenerwowana Sarah Courteney położyła się na niebieskiej kozetce z regulowanym oparciem. Nie bała się igły ani bólu, lecz bała się wielu innych rzeczy. Niektóre wynikały z tego, że za dwa tygodnie kończyła czterdzieści lat, a z tym kamieniem milowym wiązało się wiele okropności. Takich jak zmarszczki, które stawały się coraz bardziej trwałe, siwe włosy, które zaczynały się już pojawiać. Jej kariera prezenterki wiadomości w lokalnej telewizji była wciąż zagrożona przez te wszystkie młodsze, świeższe twarze.

Jednak najbardziej obawiała się swego męża, Lucasa. Lęk przed nim narastał z każdym dniem. Zaczynało mu nieźle odbijać. Obwinił ją o wszystko, poczynając od jego rosnących długów hazardowych, poprzez sporadyczną impotencję – której przysłużyć się mogło jego ostre picie – a skończywszy na wybuchach złości. Stale wściekał się o to, że po ośmiu latach prób – łącznie z piekłem czterech zabiegów in vitro – nie mogła donosić ciąży. Miała syna z poprzedniego małżeństwa, ale jego relacje z ojczymem były fatalne, z nią zresztą niewiele lepsze. W domu wciąż dochodziło do spięć.

Royce Revson stał w swoim małym sterylnym gabinecie, pośród licznej aparatury, i wpatrywał się w ekran monitora, na którym wyświetlały się szeregi turkusowych znaków. Choć miał prawie pięćdziesiąt sześć lat, mógłby uchodzić za czterdziestoparolatka. Był krępy, energicznym mężczyzną o krótkich kruczoczarnych włosach, emanującym czarem. Miał teraz na sobie fioletową koszulę z krótkimi rękawami, uczelniany krawat, czarne spodnie, niebieskie rękawiczki chirurgiczne, a na głowie okulary chroniące przed podczerwienią. Odwrócił się od aparatury i posłał pacjentce promienny, zniewalający chłopięcy uśmiech, który wyrażał szczery entuzjazm i pewność siebie człowieka z misją.

I rzeczywiście miał misję: pomagać kobietom – a często również mężczyznom – odeprzeć z pomocą chemikaliów okrutne efekty starzenia. Kobietom takim jak ta, która leżała właśnie na jego niebieskiej kozetce. Kruczowłosej piękności, ubranej w czarną krótką sukienkę, czarne legginsy i czarne zamszowe sandały z dużymi sprzączkami.

Zwierzyła się Revsonowi, co zresztą czyniło wiele pacjentek, że jej brutalny mąż często posuwa się do bicia. Był jednym z ważniejszych handlarzy antyków w Brighton, uganiał się za spódniczkami i miał wredny charakter, który jeszcze bardziej się pogarszał, w miarę jak słabł rynek antyków – po części za sprawą klimatu finansowego, ale głównie ze względu na zmianę mody. Obecnie ludzie woleli nowoczesny wystrój mieszkań.

Dlaczego Sarah nie opuściła tego bydlaka, było tajemnicą, która dotyczyła wielu kobiet, jak wiedział z długiego doświadczenia Royce. Miał nadzieję, że dzięki niemu utrzyma młody i atrakcyjny wygląd do czasu, gdy jej małżeństwo się wreszcie rozpadnie, a wtedy będzie mogła znaleźć sobie kogoś nowego, oby lepszego. Może nawet tym kimś będzie on sam? Jednak natychmiast odsunął od siebie tę myśl. Nie miało sensu lecieć na pacjentki. Nawet gdy bardzo go kusilo. A Sarah Courteney była rzeczywiście niezwykle pociągająca.

W przeciwieństwie do części jego klienteli, do której należało wiele bardzo bogatych, rozwydrzonych bab z miasta, Sarah okazała się naprawdę miłą i sympatyczną osobą. Przez ostatnie dwa lata, kiedy była jego pacjentką, odwalił kawał dobrej roboty, utrzymując jej młody wygląd dzięki botoksowi i kolagenowi, a od czasu do czasu usuwając laserem niepożądane naczynka z jej twarzy.

Oczywiście zaufanie klientek wzrastało dzięki temu, że sam często poddawał się zabiegom niechirurgicznym. Miał za sobą również parę chirurgicznych, o których raczej nie wspominał: redukcję zmarszczek na szyi, podniesienie opadających powiek. Nienawidził tego, co nazywał „tyranią starzenia się”, i spory kawał życia poświęcił na to, żeby nie tyle ten proces powstrzymać czy odwrócić, ile przynajmniej oszukać, usuwając najgorsze szkody.

– Jesteś bardzo opalona, Sarah – powiedział.

– Właśnie wróciłam z Dubaju.

– Wakacje?

Skinęła głową.

– Z mężem?

– Nie, z przyjaciółką. Jeździmy razem co roku. Bardzo mi się tam podoba. I mam okazję obkupić się w ciuchy.

Revson ucieszył się, że spędziła trochę czasu z dala od tego potwora. Zauważył na jej nadgarstku błyszczący zegarek Cartier Tank.

– Nowy?

Uśmiechnęła się.

– Tak, tam go kupiłam. Kilka lat temu znalazłam małą pracownię jubilerską, której właściciel wytwarza dobrej jakości kopie, nie takie jak większość sprzedawanej tandety. To prawdziwy rzemieślnik, potrafi w kilka dni skopiować, co tylko zechcesz.

– Moja żona chciałaby mieć jedną z tych bransoletek Cartiera – powiedział, po czym zmarszczył brwi. – Chyba nazywa się Tennis. Kosztują majątek.

– On umiałby ją zrobić, a żona w życiu nie zauważyłaby różnicy.

– Czy to legalne?

Wzruszyła ramionami.

– Mogę dać ci jego adres mejlowy. Wyślesz mu zdjęcie tego, co chcesz, a on ustali cenę.

– Hm, dzięki, może tak zrobię.

Opuścił okulary na oczy, wziął strzykawkę, którą podała mu jedna z dwóch asystentek ubranych w identyczne granatowe fartuchy, i podszedł do Sarah, przecinając szaro-białą cętkowaną podłogę.

– No dobrze, gotowa?

Sarah skinęła głową. Wiedziała, że będzie bolało. Ale ból był małą ceną za odmianę, jaką się spodziewała ujrzeć na swoich ustach.

– Żeby być piękną, trzeba pocierpieć – rzuciła.

Royce wsunął cienką igłę w jej górną wargę. Skrzywiła się.

– W porządku? – spytał.

Potwierdziła ruchem powiek. „Żeby być piękną, trzeba pocierpieć”, powtarzała sobie w myślach jak mantrę.

Royce systematycznie opracowywał górną, a potem dolną wargę.

– Przez kilka dni będzie wyglądało jak reakcja alergiczna – powiedział. – Zanim się wchłonie.

– Mam występ w telewizji dopiero we wtorek.

– Do tej pory wszystko już będzie doskonale.

– Tak myślisz?

– Czy nie jest zawsze tak, jak mówię?

– Jest.

Uśmiechnął się. Jasne, klientki, takie jak ona, pomogły mu się wzbogacić, ale pieniądze nigdy nie były dla niego główną motywacją. Za każdym razem, gdy taka piękna kobieta jak Sarah Courteney opuszczała jego kozetkę z uśmiechem na twarzy, miał ochotę wystrzelić pięścią w górę i zwycięsko pokazać dwa palce okrutnemu bożkowi starzenia się, temu sadyście.

12

Withdean Road to był jeden z elegantszych adresów w mieście. Domy stały w odosobnieniu, za wysokimi murami albo ścianami drzew i krzewów, na cichej, wijącej się, wysadzonej drzewami uliczce. Susi Holiday jechała powoli, a Dave Roberts odczytywał na głos numery.

Parzyste były po prawej stronie.

– Tutaj! – oznajmił.

Wjechała przez starą drewnianą bramę i ruszyła po opadającym stromo, krętym, wyboistym asfaltowym podejździe. Po prawej stronie rosły rododendrony, a po lewej, w dole, za skalniakiem i stromym trawnikiem, ujrzeli krytą tynkiem kamyczkowym fasadę wielkiego edwardiańskiego domu z pewnymi cechami architektury naśladowanej styl Tudorów, z oprawnymi w ołów szybkami i zwieńczoną wysokimi szczytami. W górze na ścianie umocowana była czerwona skrzynka alarmowa systemu antywłamaniowego LanGuard.

W końcu podjazdu, na tyłach budynku, znajdowało się podwórze przed dwoma rozpadającymi się garażami. Susi zatrzymała samochód i oboje wysiedli. Płot po ich prawej stronie, za którym rosły wysokie drzewa osłaniające sąsiedni dom, był zaniedbany, ale tarasowe trawniki zostały niedawno skoszone i w powietrzu unosił się zapach trawy i róż. Z posiadłości rozpościerał się ładny widok na dolinę, gdzie u podnóża stromej kredowej skarpy przebiegała linia kolejowa z Londynu do Brighton, oraz na domy wznoszące się na obrzeżach stadionu Withdean, dzielnicy Patcham i boisk Varndean School.

Z bliska zobaczyli, że dom jest w kiepskim stanie: zaprawa była miejscami wykruszona, fasadzie bardzo by się przydało malowanie, a z ram okiennych łuszczyła się farba. Taki stan często oznaczał, że

należy spodziewać się mieszkańców w podeszłym wieku. Drozd kąpał się w kamiennej wanience dla ptaków, stojącej na małym prostokątnym trawniku okolonym drzewkami różanymi.

– Wstyd, żeby nie dbać o tak piękne miejsce – powiedział Dave Roberts.

Susi Holiday skinęła głową, rozglądając się wokół. Pomyślała, że jej pies byłby przeschęśliwy na tej posesji, i zastanawiała się, ile milionów mogłaby ona kosztować, nawet w obecnym stanie.

Ruszyli ścieżką wiodącą wokół domu ku drzwiom frontowym, wypatrując w każdym z mijanych okien jakichkolwiek oznak życia. Przecięli trochę zapuszczony ogród różany i dotarli do dużego, wyłożonego płytkami ceramicznymi ganku. Zwinięte w rulon egzemplarze „Daily Telegraph” i „Argusa” były wciśnięte w skrzynkę na listy. Inne gazety i jakaś korespondencja leżały pod drzwiami. Niedobry znak.

Susi Holiday uklękła i zerknęła na daty.

– Wczorajsze, środowe, i dzisiejsze – oznajmiła.

Dave Roberts zadzwonił do drzwi. Czekali. Żadnej odpowiedzi. Potem zapukał. Nieraz chwalił się, że doprowadził pukanie do perfekcji i że potrafiłby obudzić nim umarłego.

Nadal panowała cisza. Wsunął dłoń w szczelinę skrzynki pocztowej, wyciągając garść korespondencji. Listy i broszurki reklamowe. Pośród nich pojawiła się szara koperta zaadresowana do pani Aileen McWhirter, co potwierdziło, że trafili pod właściwy adres.

Dave przycisnął nos do szpary w skrzynce na listy i głęboko wciągnął powietrze, by sprawdzić, czy wyczuje charakterystyczny ciężki, lepki, zjełczały zapach śmierci. W przeciwieństwie do domu Ralphi Meeksa, tu go nie wyczuł, ale to nie upewniło go jeszcze, że pani McWhirter żyje. Nawet w tych letnich miesiącach mógł minąć i tydzień, zanim ciało zaczęło cuchnąć.

Zapukał znowu, a potem wybrał numer, który podała im dyspozytorka z centrum powiadamiania ratunkowego. Usłyszeli, że telefon dzwoni gdzieś w głębi domu, ale nikt nie odbierał. Po kilku chwilach włączyła się automatyczna sekretarka.

Obeszli cały dom, zaglądając uważnie we wszystkie okna. W kuchni był włączony telewizor. Dostrzegli na stole egzemplarz

„Sussex Life”. Obok talerz, nóż i widelec. Rondel stał obok piecyka Aga.

– Co o tym sądzisz? – spytała posterunkowa Holiday.

W odpowiedzi jej kolega włożył rękawice ochronne, wyjął z kabury pałkę policyjną i roztrzaskał oprawną w ołów szybkę obok drzwi frontowych. Potem wsunął ostrożnie rękę przez otwór, uważając na odłamki, odnalazł zasuwkę i otworzył drzwi.

Weszli do wielkiego, wyłożonego dębem holu, gdzie leżało kilka ładnych, choć podniszczonych perskich dywaników. Od razu rzuciły im się w oczy ciemne prostokąty na gołych ścianach, jakby wisiały tam kiedyś obrazy. Zresztą cały hol wydawał się, jak na tak okazały dom, dziwnie pusty.

Podobnie jak większość pokoiów na dole, które przeszukali.

Dave Roberts zostawił Susi na parterze, żeby szukała dalej, a sam ruszył po spiralnych, bogato zdobionych schodach na górę. Kilka chwil później zawołał:

– Susi, szybko! Tutaj!

13

Roy Grace musiał być w sądzie dopiero w przyszłym tygodniu. I czekał go wolny weekend. Miał nadzieję, że spędzi sporo czasu z Cleo i Noahem. Część roboty papierkowej wziął do domu, aby móc na chwilę odciążyć Cleo od obowiązków przy dziecku. Na razie wszystko szło dobrze. Chociaż nazajutrz wypadał piątek, dzień zazwyczaj dla niego pechowy. Bardzo często, kiedy już sądził, że ma za sobą spokojny tydzień pracy na dyżurze starszego oficera śledczego, i właśnie dotarł do piątku, coś się wydarzało. Liczył na to, że choć raz zostawią go w spokoju. Bo miał wspaniałe plany na ten weekend.

W sobotę po południu został zaproszony przez kolegę, który zdobył bilety na jeden z pierwszych meczów sezonu na fantastycznym nowym stadionie Amex w Brighton, a Roy był tam jak dotąd tylko raz. Miał wielką nadzieję, że uda mu się wyrwać na ten mecz. Natomiast wieczorem zaplanowali z Cleo wieczorne wyjście do knajpy – po raz pierwszy od narodzin Noaha.

Było wczesne popołudnie. Zmienił synkowi pieluchę i teraz mały spał w swoim łóżeczku, z białym smoczkiem w buzi. Cleo drzemała na łóżku. Humphrey leżał w swoim koszyku, z gumową kością przed nosem, i nadal się dąsał, zazdrosny o Noaha, mimo że tego ranka pan zabrał go na ośmiokilometrową przebieżkę po bulwarze nadmorskim.

Roy Grace wyjął z dużej koperty podłużny formularz. Po kilku miesiącach od wystawienia domu w Hove na sprzedaż agencji nieruchomości wreszcie znaleźli kupca. Kobieta z małym dzieckiem, obecnie mieszkającą w Niemczech. Jeszcze się z nią nie spotkał, ale wydawała się poważnie zainteresowana i ustalono już nawet wstępnie datę podpisania umowy. Formularz, który dostał od

notariusza tej kobiety, był szczegółowym kwestionariuszem dotyczącym wszystkich aspektów posiadłości.

Dom Cleo, w którym obecnie mieszkali, również wystawili na sprzedaż. Za pieniądze uzyskane ze sprzedaży obu domów zamierzali kupić posiadłość na wsi, niedaleko od Brighton, gdzie Humphrey miałyby spory ogród, a może nawet pole, na którym mógłby się wybiegać.

Jedyną osobą niezadowoloną z tej sytuacji był kolega z pracy i przyjaciel Roya, Glenn Branson, który mieszkał w domu Hove od czasu, gdy rozszedł się z żoną. Biedny Glenn będzie musiał poszukać sobie czegoś nowego, ale czas najwyższy, żeby się ruszył, znalazł własne lokum i zrobił porządek ze swoim życiem.

Ledwie Roy skupił się na pierwszym punkcie formularza, zadzwonił telefon stacjonarny.

Chwycił szybko słuchawkę, żeby dzwonek nie obudził Noaha.

– Halo? – odezwał się cicho, rozpaczliwie pragnąc, aby nie było to nic związanego z pracą.

Męski głos na drugim końcu linii szemrał łagodnie i Grace natychmiast poczuł ulgę, ale też irytację.

– Dzień dobry. Dzwonię z polecenia pana dobrego przyjaciela – oznajmił rozmówca.

– Mianowicie?

– Gerarda Scotta.

– Przykro mi, ale nie znam nikogo takiego.

– Przekazuje pozdrowienia.

– Sądzę, że wybrał pan niewłaściwy numer.

– Dzięki nam oszczędza dwa tysiące pięćset funtów rocznie na ogrzewaniu.

– Dobra? – Grace nie znosił akwizycji telefonicznej, choć mimowolnie odczuwał odrobinę współczucia dla ludzi, którzy starali się w ten sposób zarabiać na życie. – Jak?

– W przyszłym tygodniu przedstawiciel naszej firmy będzie pracował w pana okolicy. Może mógłbym umówić go na spotkanie w dogodnym dla pana terminie?

– Czym dokładnie zajmuje się ta firma?

– Izolacją cieplną poddaszy.

– Izolacją cieplną poddaszy?

– Jesteśmy najlepszymi specjalistami w Anglii. Izolacja, którą zakładamy, jest tak skuteczna, że jej koszty w pełni się zwrócą w ciągu zaledwie dziewięciu lat, bo tak dużo zaoszczędzi pan na rachunkach za ogrzewanie.

Pomijając wszystko inne, Cleo, w związku z ich planowaną wyprawą, nie zamierzała już inwestować w ten dom.

– Czy pan wie, że dzwoni na miejsce zbrodni? – zażartował sobie Grace.

– Miejsce zbrodni?

– Proszę podać nazwisko, adres i datę urodzenia oraz wyjaśnić, co pana łączy z ofiarą morderstwa. Czy zechce pan stawić się dobrowolnie w komisariacie policji w Brighton, aby złożyć zeznania?

Zaległa cisza, a potem nastąpiło kliknięcie – połączenie zostało przerwane.

Hura! Grace uśmiechnął się, zadowolony ze swego małego triumfu. Spojrzał na śpiącego syna.

Wkrótce potem odezwała się komórka. Odebrał. Z komisariatu przy John Street w Brighton dzwonił nowy, pełniący właśnie służbę komisarz, który zastąpił awansowanego niedawno Jasona Tingleya. Ten telefon nie zapowiadał nic dobrego.

– Przepraszam, że przeszkadzam. Mamy potworne włamanie rabunkowe na Withdean Road, połączone ze związaniem ofiary. Dziewięćdziesięcioośmioletnia kobieta była torturowana. Przewieziono ją na oddział intensywnej terapii w Królewskim Szpitalu Hrabstwa Sussex. Wygląda na to, że jej dom został ograbiony z antyków i obrazów.

Idąc w drugi koniec pokoju, dalej od Noaha, Grace spytał:

– Czy wyjdzie z tego?

– Nie wiadomo, wciąż traci i odzyskuje przytomność.

– Co macie?

– Na razie nic. Napad był bardzo brutalny. Pojechałem tam i sądzę, że to zbrodnia dużego kalibru. Wszystko wskazuje na to, że skradziono przedmioty o wielkiej wartości, i wątpię, by ofiara przeżyła.

Dranie krzywdzący starych ludzi zajmowali u Roya Grace'a wysoką pozycję na liście tego, co naprawdę go wkurzało.

– Dobrze – powiedział, maskując niechęć do angażowania się w tę sprawę. – Proszę o szczegóły.

Zapisał je w notatniku. Po rozmowie z komisarzem zadzwonił do sierżanta Glenna Bransona, którego mianował komisarzem wykonawczym przed dwoma miesiącami, kiedy wspólnie prowadzili ostatnią sprawę. Stalker zagrażał życiu gwiazdy pop, która została aktorką i właśnie kręciła film w Brighton.

– Robisz teraz coś ważnego, Glenn? – spytał.

– Oprócz zajmowania się papierami rozwodowymi tej suki, mojej żony?

– W takim razie spotkajmy się za pół godziny przy Withdean Road sto czterdzieści sześć.

– Elegancki adres.

– No to uważaj na maniery!

14

A więc znów siedział w starym pożyczonym jaguarze S-Type przed wejściem do zamkniętego osiedla, na którym mieszkał Roy Grace ze swoją ukochaną Cleo Morey i ich dwumiesięcznym synkiem Noahem. Noahem Jackiem Grace'em.

Okna jaguara były przyciemniane, niezgodnie z przepisami. Nikt nie mógł go zobaczyć. Nikt nie mógł dostrzec maski nienawiści, w którą zamieniła się jego twarz.

Noah Jack.

Zdobył wszystkie szczegółowe informacje w archiwum ratusza w Brighton.

Noah Jack Grace.

„Daj sobie z nim spokój – mówili przyjaciele. – Idź do przodu”.

Nie ma mowy. Nie można ot tak po prostu zapomnieć o człowieku, który całkiem spieprzył ci życie. Należy działać powoli i metodycznie. A to jest właśnie pierwszy krok. Trzeba wyrównać rachunki. Poprzedniej nocy zobaczył przez lornetkę z noktowizorem, jak jeden z mieszkańców wstukiwiał kod w klawiaturę numeryczną domofonu, umieszczoną obok bramy. Później sam przez nią wszedł, upewnił się, że nikt nie patrzy i że nie ma kamer przemysłowych, po czym stał w mroku przed „domem Grace'a”, jak lubił go nazywać. Widział przez szpary w żaluzjach, jak nadinspektor Grace i ta jego zdzira Cleo leżą przytuleni na kanapie przed telewizorem, z elektroniczną nianią pod ręką.

Cóż za rozkoszna scenka.

A jak rozkosznie byłoby, gdyby Cleo Morey, starszy technik sekcyjny z kostnicy Brighton i Hove, uczestniczyła w odkryciu na śmietniku zwłok uduszonego dziecka, z plastikową torbą na głowie. A potem zobaczyłaby, że to jej własne.

Jakież to by było symboliczne. Ojciec śmieć, dziecko śmieć.

Bardzo mu się podobała ta wizja. Albo taka, że Grace wraca do domu i odkrywa, że jego piękna zdzira została trwale oszpecona. Chluśnięcie kwasem w twarz mogłoby ją oduczyć bratania się z glinami.

Podobała mu się możliwość wyboru. Kiedy siedzi się w więzieniu, jest ona niewielka, ale na wolności – wręcz nieograniczona.

Tak.

Zdusił papierosa w popielniczce.

A teraz brama się otworzyła. Ktoś wychodził. Odpicowany. Nadinspektor Roy Grace. Wyglądał na zmęczonego.

Patrzył, jak Grace zmierza w popołudniowym słońcu do czarnej alfy romeo giulietty, stojącej w nieodległej zatoczce parkingowej przeznaczonej dla mieszkańców.

Zobaczył, że zapalają się światła hamulcowe, a potem samochód odjeżdża. Myślał o tym, ile przyjemności sprawi mu cierpienie nadinspektora Roya Grace'a.

O tak. Zemsta jest słodka. I najlepiej smakuje na zimno.

Zimne dziecko.

Bardzo spodobał mu się ten pomysł.

Segment, który był do wynajęcia, miał numer cztery. Dom Grace'a znajdował się po sąsiedzku. Wręcz przylegał do niego. Trzeba tylko załatwić parę formalności, a potem, za tydzień, może tydzień z hakiem, zostanie ich sąsiadem zza ściany.

Teraz to on, dla odmiany, da się we znaki Royowi Grace'owi. Czyż to nie będzie rozkoszne?

Nowy Jork, 1922

Dął lodowaty wiatr i padał deszcz ze śniegiem, kiedy mały chłopiec stał ze swoją siostrą i srogą ciotką w wielkim tłumie na nabrzeżu przy pirsie numer pięćdziesiąt cztery. Był ubrany w długi płaszcz, wełniane rękawice i tweedową czapkę i wyglądał żałośnie. Te kilka rzeczy, które posiadał, zostało wepchniętych do małej skórzanej walizki stojącej na ziemi obok niego. W tym ogromnym tłumie czuł się bardzo mały.

Miał pięć lat, był zagubiony i oszołomiony, ale też zły na ciotkę. Zabierała jego i siostrę od mamy i taty. Mama leżała na cmentarzu i nie wróci już do domu, tyle rozumiał – że odeszła na zawsze. Poszła gdzie indziej. Do nieba.

Ale tata mógł zjawić się w domu w każdej chwili. Chłopiec chciał na niego poczekać, jednak ciotka mu nie pozwoliła. Powiedziała, że tata już nigdy nie wróci. Siostra jej uwierzyła, ale on nie. Duży ze srebrnym królikiem na łańcuszku wiszącym na szyi, Duży, który sadzał go sobie na ramionach, rzucał mu piłkę, brał na przejażdżki po Coney Island i pływał z nim w morzu, całował go, drapiąc szorstkim policzkiem. Duży, który pachniał piwem i tytoniem, opowiadał mu historyjki o Człowieku z Księżyca i cichaczem zabierał go do zoo, chociaż obiecał matce pójść z nim do kościoła – ten Duży na pewno wróci do domu.

Wróci. Na pewno.

– Nie chcę wyjeżdżać – burknął z rozdrażnieniem. – Chcę wrócić do domu i poczekać na tatę. Nienawidzę cię! – Tupnął w ziemię.

– Irlandia ci się spodoba – odparła ciotka. – To lepsze miejsce. Bezpieczniejsze. Jest tam mniej kłopotów.

– Może tata tam będzie.

Oonagh Daly nic nie odpowiedziała.

– Może tam będzie? Jak myślisz? – spytał z nadzieją.

Dalej milczała.

Powietrze było przesycone słoną wonią, doprawioną drażniącym smrodem palonego koksu i słodkawą wonią dymu z papierosów i fajek. Wszędzie wokół zgrzytały maszyny, rozlegały się krzyki ludzi i skrzeczenie mew. Jakaś skrzynka bujała się na skrzypiących linach wysoko nad głową chłopca, podzwaniały i popiskiwały bloczki. Ciemny kadłub statku wznosił się jeszcze wyżej, niby góra. Chłopiec rozejrzał się wokół. Tata pracował na nabrzeżu, może jest tu dzisiaj? Przyglądał się wszystkim twarzom. Każdej z osobna.

Czuł, że nie powinni wyjeżdżać. Musi przecież odnaleźć tatę. Ale mieli zaraz wypłynąć, przemierzyć wiele tysięcy mil. Oddalić się od taty. Nie rozumiał dlaczego.

Podnosił oczy na wysokich ludzi wokół niego. Patrzył na te wszystkie dźwigi, żurawie masztowe, masywny kadłub statku *Mauretania* z czterema kominami i z trapami. Lina pociągnęła kabestan cumowniczy w pobliżu i jęknęła. Dostrzegł pasmo ciemnozielonej wody rzeki Hudson pomiędzy statkiem a keją, usłyszał chłupot wody. Lśniła od benzyny, unosiły się na niej piana i śmieci. Wkrótce mieli wsiąść na pokład. I popłynąć do miejsca, które nazywa się Dublin, w Irlandii. Mama jest w niebie, a tata zniknął, porwali go źli ludzie. I też go zabili, mówiła ciocia. Ale on jej nie wierzył.

Teraz jego ciocia Oonagh, którą ledwie znał i której wcale nie lubił, zabierała ich do nowego życia, jak twierdziła. Tam gdzie będą bezpieczniejsi. Na wiejską farmę, na której są kury, krowy, świnie i owce.

Wcale nie chciał kur ani krów, świń ani owiec. Chciał swojego tatę.

Nie chciał wyjeżdżać. Płakał. Co kilka minut ciocia ocierała mu oczy chusteczką. Jego starsza o trzy lata siostra ścisnęła pod pachą zniszczonego misia, Pana Stuffykinsa, i milczała. Cała trójka czekała, patrząc na niekończącą się procesję ludzi, którzy wchodzili po trapie. Widziało się wśród nich starsze osoby, ale większość

pasażerów była młoda, wielu niosło niemowlęta i prowadziło małe dzieci. Dźwigali torby, walizki, drewniane skrzynki i kartonowe pudła, a niektórzy psy i koty w koszykach. Czasem ktoś taszczył jakiś mebel. Pewien mężczyzna, na którego patrzył chłopiec, zataczał się pod ciężarem drewnianego zegara szafkowego. Żadne z nich nie zauważyło młodzieńca w czapce naciągniętej na oczy, który łokciami torował sobie drogę w tłumie za nimi. Chłopiec odwrócił się dopiero, gdy usłyszał swoje imię.

– Tak? – spytał.

Młodzieniec wcisnął mu w rękę papierową torbę.

– Kazano mi, żeby ci to dać – oznajmił. – To dla ciebie i twojej siostry. I żeby ci powiedzieć: „Patrz na cyfry!”.

– Przepraszam! – zawołała ciotka.

Ale chłopak już odchodził, szybko i ukradkowo.

– Przepraszam! – krzyknęła głośniejszym głosem. – Młody człowieku, kto cię przysłał?

– Przyjaciel! – odpowiedział, po czym w ciągu paru sekund został pochłonięty przez tłum, niczym kamień tonący w wodzie, i zniknął.

– Ciociu Oonagh, kim był ten chłopak? – spytała siostra, ubrana w zbyt duży płaszcz z wełnianej baidy i w czapkę z pomponem.

– Pokaż to. – Ciotka wyrwała torbę z rąk chłopca.

Zajrzała do środka i zmarszczyła brwi. W torbie był mały czarny rewolwer, zepsuty zegarek kieszonkowy i złożona, wydarta z gazety strona.

Wyjęła ją i ostrożnie rozwinęła. Była to pierwsza strona starego numeru „Daily News”. Nagłówek informował o zamordowaniu żony Brendana Daly’ego oraz uprowadzeniu i zniknięciu Brendana Daly’ego, głównego kandydata na szefa irlandzkiego gangu White Hand. To byli rodzice tych dzieci.

Niżej zamieszczono zdjęcie Daly’ego. Potężny, przystojny mężczyzna o gniewnej twarzy, z czupryną lśniących czarnych włosów, zaczesanych gładko do tyłu. Pod płaszczem miał trzyczęściowy garnitur i widać było jeszcze dewizkę od zegarka, pogniecioną białą koszulę i pospolity krawat.

Na marginesie ktoś nabazgrał niebieskim atramentem cztery nazwiska i dwanaście cyfr.

– Co tam jest napisane? – spytała siostra.

Ciotka pokazała jej stronę, a potem ją odwróciła. Chłopiec też spojrział. Nie potrafił przeczytać tego, co było napisane w gazecie, ani nazwisk, ale nie sprawiło mu kłopotu dwanaście cyfr: 9 5 3 7 0 4 0 4 2 4 0 4. Odczytał je wolno na głos.

– Co one znaczą? – spytał.

– Ty mi powiedz! – zażądała ciotka, podając mu fragment gazety.
– Ty je dostałeś, więc wyjaśnij mi to.

Wiedział, że to coś ważnego. Na pewno. Ale nie miał pojęcia, co może znaczyć.

– Czy to są nazwiska tych złych ludzi, którzy zabrali tatę? – spytała siostra.

Ciotka nic nie odpowiedziała.

Chłopiec złożył kartkę i wsunął ją ostrożnie do wewnętrznej kieszeni. Potem spojrział na rewolwer, który ciotka wyciągnęła z torby i trzymała nerwowo, jakby się bała, że ten przedmiot użądli ją albo ugryzie.

– Powinnam się go pozbyć – oświadczyła. – Niedobrze mieć broń.

Zaczęła przedzierać się przez tłum w kierunku skraju kei. Ale kiedy już miała cisnąć rewolwer do wody, chłopiec chwycił ją za rękę.

– Nie! – zawołał. – Może to taty! Może będzie chciał go odzyskać! Może po niego wróci! – Łzy trysnęły mu z oczu.

Spojrzała na niego i twarz jej złagodniała.

– No dobrze, zatrzymamy go na czas podróży. Na wypadek gdyby wasz tata był tam, jak dopłyniemy.

Pokiwał gorliwie głową, ocierając łzy wierzchem prawej dłoni.

Ciotka włożyła rewolwer do swojej torebki, po czym wyciągnęła z papierowej torby zegarek. Była to męska złota cebula z dewizką, a na tarczy widniał księżyc w różnych fazach. Szkiełko było pęknięte, koronka nieco odkształcona. Wskazówki zatrzymały się pięć minut po czwartej. Chłopiec wyrwał ciotce z ręki zegarek i wlepił w niego wzrok.

– Zegarek taty – powiedział.

Przeciągle i głośno zawyła syrena statku. Przez resztę życia Nowy Jork będzie kojarzył się chłopcu z tym odgłosem, a także z hukami pięciu nocnych wystrzałów i z krzykami matki.

No i z zegarkiem.

2012

Na oddziale intensywnej terapii Królewskiego Szpitala Hrabstwa Sussex było ciepło i cicho. Starszy pan, zmęczony po locie z południowej Francji, siedział obok łóżka nieprzytomnej kobiety, trzymając jej drobną, żylastą, poznaczoną plamami wątrobowymi rękę. Usłyszał szelest odsuwanej zasłonki gdzieś w pobliżu.

– Aileen, jestem tutaj, słyszysz mnie?

Odpowiedział mu lekki uścisk dłoni. Siwe włosy kobiety, zazwyczaj elegancko uczesane, były teraz matowe i skołtunione. Dało się zauważyć, że jej twarz, skryta pod bandażem, jest spuchnięta, obrzmiała, upstrzona czarnymi i pomarańczowymi sińcami, a na szyi widniało wiele śladów, które, jak mu powiedziano, były oparzeniami od papierosów. Fragmenty nietkniętej nagiej skóry miały alabastrową trupią barwę.

Kipiał z gniewu. Myślał o długiej podróży przez życie, jaką oboje przebyli. Żeby tak skończyć. Nie należał do ludzi, którzy często płaczą, ale w tej chwili zaciskał powieki, by powstrzymać łzy.

Miała skomplikowane pęknięcia i wgniecenia w czaszce, uszkodzenie w szyjnym odcinku rdzenia kręgowego, w miejscu, gdzie ktoś ją przydepnął, grożące paraplegią, jeśliby przeżyła, a także, niemal już nieistotne w obliczu innych obrażeń, złamanie prawego obojczyka i miednicy.

Przez cały dzień stan Aileen wciąż się pogarszał i choć męczyzna rozpaczliwie chwycił się coraz bardziej irracjonalnej nadziei, zaczynał czuć, że straszna chwila nieuchronnie nadchodzi.

Co parę minut słyszał popiskiwanie monitora. Wdychał zapach środków do sterylizacji, czasem łowił cierpką nutę wody kolońskiej,

a w tle czuł nikły zapach rozgrzanego sprzętu elektrycznego.

Leżała na łóżku, obandażowana i okablowana, z ust i nozdrzy wystawały jej rurka intubacyjna i zgłębnik nosowo-żołądkowy. Miała w czaszce sondę do mierzenia ciśnienia wewnątrzczaszkowego, drugą na palcu, a gąszcz drenów i rurek biegł od wiszących na stojakach worków z kroplówkami do jej pomarszczonych rąk i brzucha. Kobieta leżała bez ruchu, z zamkniętymi oczami, pośród aparatów monitorujących i podtrzymujących jej życie. Po prawej stronie umieszczono dwa ekrany komputerowe, a na wózku, stojącym w nogach łóżka, był laptop ze wszystkimi danymi i wynikami badań.

– Aileen, jestem tu z tobą. To ja, Gavin. Jestem tutaj.

Nagle zobaczył, że jej wargi się poruszają, chociaż nie słyszał głosu. Nachylił się do jej ust, lecz nadal nic nie słyszał. Znow na nią spojrział.

– Co zabrali? – spytała bezgłośnie.

– Nie wiem – odparł. – Jeszcze nie wiem, ale to nie ma żadnego znaczenia. Tylko ty się liczysz.

Bezgłośnie wymówiła kolejne słowa:

– Zabrali zegarek? Tylko to nam po nim zostało. Pamiętasz wiadomość od tego chłopaka? Patrz na cyfry!

Nagle przeniósł się dziewięćdziesiąt lat wstecz. Na nabrzeże wyspy Ellis, gdzie czekali, by wsiąść na *Mauretanię*. Chłopak w czapce, z papierową torbą. Teraz też przypomniał sobie te słowa.

– Jak myślisz, Aileen, o co mu chodziło?

Ale ona nie odpowiedziała.

Stary granatowy mercedes z przyciemnianymi tylnymi szybami sunął po wyboistym podjeździe. W środku grała głośno muzyka. *Oda do radości* w wykonaniu chóru Królewskiej Orkiestry Filharmonicznej. Wybór szefa. Lubił takie kulturalne rzeczy. Chóralną, eteryczną muzykę, która brzmiała jak nawoływanie bogów. Tego typu szajs.

W dole ujrzeni okazały edwardiański dom, przed którym rosły stare krzewy, a dalej rozpościerał się skalniak i stromy trawnik. Podjazd prowadził aż na tyły budynku. Poniżej, na wolnej przestrzeni pomiędzy dwoma rozpadającymi się garażami, stało sporo pojazdów. Dwa oznakowane wozy policyjne, dwa nieoznakowane oraz biała furgonetka z herbem policji z Sussex i wymalowanym na boku napisem: JEDNOSTKA WSPARCIA NAUKOWEGO. Biało-niebieska taśma odgradzająca miejsce zbrodni przecinała ścieżkę prowadzącą do domu, przed którym stała umundurowana policjantka z podkładką do pisania.

Kierowca wysiadł. Za tydzień kończył siedemdziesiąt lat, był chudy jak patyk i przygarbiony, a nierówno przycięte siwe włosy wystawały spod za dużej o dwa numery czapki szoferskiej.

– Przepraszam za te wyboje, szefie – wychrypiał, otwierając tylne drzwi.

Gavin Daly odłożył sudoku, które właśnie rozwiązywał, i wystawił na zewnątrz stopy, wspierając się na czarnej lasce z gumową końcówką. Srebrna rączka miała kształt jastrzębia o przeszywającym spojrzeniu. Daly zignorował wyciągniętą pomocnie dłoń ochroniarza i dźwignął się do pionu.

Opalony, z idealnymi zębami i strzeliście prostą sylwetką, Daly mógłby uchodzić za człowieka dwadzieścia lat młodszego, niż był w rzeczywistości. Miał haczykowaty płaski nos, który nadawał mu

wygląd drapieżnego ptaka, jak ten na rączce laski, grzywę białych włosów, długich do ramion, i intensywnie niebieskie oczy, zwykle pełne ciepła i uroku, ale dziś płonące gniewem za oprawkami rogowych okularów. Był ubrany w beżowy lniany garnitur, niebieską koszulę rozpiętą pod szyją, z fularem w turecki wzorek, i brązowe mokasyny Ferragamo z frędzelkami, a w dłoni trzymał do połowy wypalone, zgasłe cygaro Cohiba. Jedyne plamy wątrobowe na twarzy i rękach, pomarszczona szyja i wolny chód zdradzały jego prawdziwy wiek.

Skrywając wściekłość, podszedł do policjantki i odezwał się do niej spokojnie, lecz stanowczo:

– Nazywam się Gavin Daly. To dom mojej siostry. Oczekuje mnie nadinspektor Grace.

Miał głęboki głos i elegancką wymowę, leciutko zabarwioną irlandzkim akcentem. W razie potrzeby potrafił być bardzo wygadany. Umiałby sprzedać śnieg Eskimosom, piasek Beduinom i kostiumy kąpielowe rybom. Pierwszego majątku dorobił się na starych autach z przestawionym licznikiem, a drugiego, o wiele większego – na wysokiej klasy antykach, przy czym specjalizował się głównie w zegarkach i zegarach.

Policjantka zerknęła na podkładkę, po czym przekazała informację przez swoją krótkofalówkę.

Kilka chwil później do starszego pana podszedł wysoki czarnoskóry mężczyzna w białym stroju ochronnym i ochraniaczach na buty.

– Panie Daly, jestem komisarz Branson, zastępca starszego oficera śledczego w tej sprawie. Dziękuję za przybycie. I przykro mi z powodu zaistniałych okoliczności.

– Nie tak przykro jak mnie – zauważył Daly, uśmiechając się cierpko.

– Oczywiście, proszę pana. Rozumiem.

– Doprawdy? Proszę mi powiedzieć, co pan rozumie. Czy wie pan, jak to jest zobaczyć swoją dziewięćdziesięcioośmioletnią siostrę na oddziale intensywnej terapii i usłyszeć o potwornościach, które z nią wyprawiano?

– Dołożymy wszelkich starań, by schwycić nikczemników, którzy się tego dopuścili, proszę pana.

Daly spojrział na niego, lecz nic nie odpowiedział. Nakazał swemu synowi też dołożyć wszelkich starań, żeby znaleźć tych ludzi. A jeśli jego krewki syn dorwie ich pierwszy, jak zamierzał, policja już ich nie schwyta. Nigdy.

Podszedł do nich krępy mężczyzna, ubrany w strój ochronny z kapturem, niosąc podobny strój i buty dla Daly'ego.

– Jestem David Green, nadzoruję oględziny miejsca zbrodni. Chciałbym prosić, by pan to włożył.

Glenn Branson pomógł starszemu panu się z tym uporać. Kiedy skończyli, zapytał:

– Jak rozumiem, przyleciał pan dziś z Francji i był u swojej siostry?

– Owszem.

– Jak ona się czuje?

– Niedobrze – odparł szorstko Daly. – A czego pan się spodziewał? Że stoi na łóżku i tańczy gigę?

Branson cieszył się, że na miejscu zbrodni jest obecny Roy Grace. Z tym starszym gościem nie będzie łatwo, zresztą już go o tym uprzedzono. David Green podał Daly'emu rękawiczki, po czym wszyscy trzej ruszyli do drzwi frontowych. Kiedy weszli na ganek, a potem przemaszerowali po metalowych podkładach do holu, Daly zobaczył dwoje techników kryminalistyki, również w białych kombinezonach ochronnych. Kobieta, klęcząc, pobierała ślady, a mężczyzna wszystko fotografował.

Daly popatrzył na ciemne prostokąty na ścianach. Ostatnio gościł tu przed dwoma tygodniami. Wtedy dom był pełen obrazów i innych pięknych przedmiotów. Teraz wyglądał jak opróżniony przez firmę od przeprowadzek.

– Pańska siostra mieszka tu zupełnie sama, panie Daly?

– Ma dochodzącą gosposię, która obecnie jest na wakacjach. I raz w tygodniu przychodzi ogrodnik.

– Czy uważa pan, że to osoby godne zaufania?

– Gosposia ma jakieś siedemdziesiąt pięć lat, a pracuje u mojej siostry od ponad trzydziestu. Orodnik co najmniej od dziesięciu. Tak więc nie ma o czym mówić.

– Musimy z nimi porozmawiać, aby wykluczyć ich ze sprawy. Będę wdzięczny, jeśli poda mi pan ich dane kontaktowe.

Daly skinął głową.

– Bardzo ważne, by w miarę możliwości określił pan, co zostało zabrane. Rozumiem, że zna pan dobrze ten dom? – spytał Glenn Branson.

– Prawie wszystko siostra kupiła za moją radą – powiedział Daly.
– A właściwie ona i jej zmarły mąż. Widzę, że w holu nie pozostało nic wartościowego. Ktokolwiek to zabrał, wiedział, co robi. Mogę sporządzić listę wszystkich przedmiotów, które się tu znajdowały. Gdzieś powinien być też album z fotografiami najcenniejszych rzeczy.

– To bardzo się nam przyda.

Daly milczał przez chwilę.

– Do czego? – spytał wreszcie.

– Do prowadzenia śledztwa w tej sprawie, proszę pana.

Daly spojrzał na niego sceptycznie.

– Naprawdę tak pan myśli?

– Bardzo nam pomoże, jeśli wyszczególni pan, w miarę możliwości, wszystkie skradzione przedmioty.

– Sądząc po tym pomieszczeniu, łatwiej byłoby wyszczególnić, co zostało.

Branson spojrzał na niego nerwowo.

– Wygląda na to, że zrobili to zawodowcy – zauważył.

Daly nic nie odpowiedział. Wszedł do salonu. Nad kominkiem wisiało dawniej jedno z najbardziej wartościowych płócien siostry – krajobraz Landseera, wart dobre pół miliona funtów. Długo próbował ją przekonać, by przeniosła go w inne miejsce, bo może zaszkodzić mu ciepło bijące z paleniska. Teraz zniszczenie obrazu przez ogień jest najmniejszym z jej problemów, pomyślał, patrząc na ciemny prostokąt. Na przeciwległej ścianie wisiał przedtem zegar Whitehursta, wykonany w roku 1791, złocony, ręcznej roboty. Miał mechanizm, który pokazywał czas w różnych miejscach na świecie. Dziś mógłby osiągnąć na aukcji wartość ponad trzysta tysięcy funtów.

Popatrzył na inne ciemne prostokąty widoczne na ścianach. Na puste miejsca w serwantkach, na biurko z drewna orzechowego. Wszystkie cenne przedmioty zniknęły. Prawie wszystkie. Jednak szczególnie niepokoił go los jednej rzeczy. Wszedł do gabinetu

siostry i spojrzął na ścianę. Jak się spodziewał, sejf był otwarty. Zajrzał do środka, ale drzwiczki do drugiej, ukrytej komory w głębi też stały otworem.

Poczuł żal, ale także narastający gniew.

– Dranie – rzucił cicho. Pokręcił głową, spojrzął znowu, by się upewnić. – Dranie.

Wrócił do holu. Sarta korespondencji leżała na blacie wiktoriańskiego stołu, którego nigdy szczególnie nie lubił. Ignorując ostrzeżenie Bransona, żeby niczego nie dotykać bez rękawiczek, zaczął ją przeglądać. W środku kupki leżała kartka formatu A4 z oficjalnym listem.

W nagłówku było napisane: R.C. MOORE.

Pod nim widniał adres w Kemp Town w Brighton. A poniżej list.

Szanowna Pani/Szanowny Panie!

Odwiedzam tę okolicę od wielu lat i zawsze odczuwam ogromną satysfakcję z powodu zadowolenia, jakie daje ludziom pozbywanie się niechcianych, często zapomnianych przedmiotów w zamian za gotówkę. Możecie ją wykorzystać w dobrym celu, a ja z kolei mogę zająć się sprzedażą tych zbędnych Wam przedmiotów.

Zawsze jestem zainteresowany kupnem następujących rzeczy:

Stare torby ze skóry, również krokodylej

Książki dla dzieci

Stara biżuteria

Złom złoty i srebrny

– Wygląda to na ulotkę typowego wyłudzacza – powiedział Glenn Branson, chowając kartkę do plastikowej torebki, by później pobrać odciski palców.

Wyłudzacze grasowali w Brighton już w powojennych czasach tandeciarzy. Od kilkudziesięciu lat nękali starszych ludzi i naiwniaków, używając takich ulotek po to, by się dostać do domów, a potem oskubać właścicieli albo przekazać informacje o cennych przedmiotach zawodowym rabusiom.

Dały pokiwał głową. Wiedział, o co chodzi. Wiele lat temu sam był takim wyłudzaczem. Odezwała się jego komórka. Przeprosił komisarza i spojrzął na wyświetlacz. Nie pokazało się żadne nazwisko.

- Gavin Daly – powiedział do telefonu.
- Mówi pielęgniarka Wilson. Pańska siostra słabnie. Sądzę, że powinien pan szybko przyjechać.

Roy Grace, ubrany w ochronny kombinezon, jak wszyscy ludzie obecni w domu Aileen McWhirter, stał sam w jej gabinecie znajdującym się na parterze, na tyłach domu. Miał rozłożoną przed sobą mapę okolicy, w rękę trzymał telefon. Przerwał na chwilę kompletowanie zespołu dochodzeniowego i wydawanie instrukcji osobom, do których dzwonił, i esemesem uprzedził Cleo, że może dziś bardzo późno wrócić do domu.

Aileen McWhirter zdołała udzielić tylko jednej informacji, a mianowicie, że dwaj mężczyźni, którzy ją zaatakowali, ubrani byli w brązowe uniformy i podawali się za pracowników przedsiębiorstwa wodociągowego. Należało zabezpieczyć cały teren wokół posiadłości i zorganizować zespół, który odwiedzi okoliczne domy, by wypytać sąsiadów, czy mieli podobne wizyty. A wykonujący to zadanie funkcjonariusze muszą jednocześnie zadbać o to, by nie wystraszyć ludzi, tylko udzielić im porad, jak chronić się przed takimi przestępcami. Trzeba zobaczyć, czy gdzieś tutaj znajdują się kamery przemysłowe, które mogły uchwycić coś ważnego. Niestety, ani Withdean Road, ani pobliskich ulic nie pokrywa sieć miejskich kamer policyjnych, choć w wielu domach są kamery prywatne. Grace musi też ustalić, czy ostatnio zdarzały się w mieście albo w hrabstwie podobne przestępstwa. Sprawdzi także, czy nie było przypadkiem „wizyty anonsującej” – ustawiając po obu stronach ulicy i przed domem policyjne tablice ogłoszeniowe z pytaniem, czy ktoś widział w okolicy nieznane pojazdy w noc ataku albo wieczorem w poprzedni wtorek.

Wiedział z doświadczenia, że kiedy przestępcy robią rekonesans, często już tydzień wcześniej obserwują posiadłość, by sprawdzić grafik mieszkańców na dany dzień.

Coś mu się nie zgadzało w tym potwornym ataku na starszą panią, ale nie wiedział co. Takie brutalne napady rabunkowe, połączone z krępowaniem ofiary, zdarzały się nie od dziś. Jednak instynkt mu podpowiadał, że tu chodzi o coś więcej.

W tym pokoju od razu rzuciły mu się w oczy książki na półkach. Ale potem jego uwagę przyciągnął jakiś ruch na zewnątrz. Przez oprawne w ołów szybki zobaczył wróbla myjącego się w ozdobnej fontannie, zupełnie nieświadomego koszmaru, który się tu niedawno wydarzył.

Grace nigdy nie interesował się szczególnie poezją, ale dobrze pamiętał fragment pewnej sztuki, którego musiał się nauczyć w szkole i wyrecytować go na lekcji angielskiego. Pomyślał nagle, że te słowa bardzo pasują do sytuacji.

*Rankiem zając jest szczęśliwy, bo nie może odczytać myśli, jakie ma myśliwy po przebudzeniu...*²

Oderwał spojrzenie od pluskającego się wróbla i powiódł wzrokiem po tarasowych trawnikach, zatrzymując go na odległym o ponad kilometr krańcu doliny. O tej porze roku wschodnią część miasta w znacznej mierze przesłaniała wybijająca roślinność, ale zdołał wypatrzeć wielki prostokąt Varndean School, gdzie się uczył, zanim poszedł do szkoły policyjnej.

Na orzechowym biurku ofiary leżał duży, oprawny w skórę terminarz, stały wyblakłe fotografie dzieci i dorosłych, był też staroświecki notes na adresy, w okładce z czerwonej skóry, pióro marki Parker leżące na suszce, niebieski papier listowy z nazwiskiem właścicielki oraz czysta karta urodzinowa i koperta, najwyraźniej przeznaczone do wysłania. Grace pomyślał, że może natrafi na jakąś wskazówkę w terminarzu. Przewertował go, ale strony były puste, oprócz jednej, na której widniała zapisana pochyłym drżącym pismem, piórem wiecznym, notatka o umówionej za trzy dni wizycie: „Dr Parish, 11.30”.

Nad biurkiem, w ciemnym prostokącie, tam gdzie zapewne wisiał obraz, znajdował się sejf z zamkiem szyfrowym. Drzwiczki były otwarte. Grace zajrzał do środka i zobaczył, że jest pusty.

W głębi dostrzegł coś, co wyglądało jak płyta widziana z boku, i drugie drzwiczki, jakby do skrytki w sejfie, również otwarte.

Znów skierował uwagę na półki i przebiegł wzrokiem tytuły książek. *Pierwsze stulecie amerykańskiej mafii, Młody Capone, Wczesne gangi uliczne i gangsterzy Nowego Jorku, Zorganizowana przestępczość irlandzka, Król brooklyńskiego nabrzeża.*

Półka za półką – wszędzie podobne tytuły.

Dlaczego?

Ten zbiór zakrawał na obsesję.

Dlaczego ta stara dama miała tyle książek dotyczących historii dawnych nowojorskich gangów?

Aileen McWhirter. Irlandzkie nazwisko. Czyżby siostrę Gavina Daly'ego coś dawniej łączyło z amerykańską przestępczością zorganizowaną? A może oboje?

Z tego, co zdołał ustalić na temat Aileen McWhirter od chwili, gdy go tutaj wezwano, wynikało, że była zamężna z maklerem giełdowym, a przed piętnastoma laty owdowiała. Przeżyła również swoje dzieci, ale była jeszcze wnuczka i jej mąż, Nicki i Matt Spiersowie, oraz ich dwoje dzieci, Jamie i Isobel, prawnuki Aileen McWhirter, z którymi policja usiłowała obecnie nawiązać kontakt. Nie była notowana, nie licząc wykroczenia drogowego sprzed trzech lat, kiedy z niewiadomych powodów uderzyła w pachołek, w wyniku czego odebrano jej prawo jazdy.

Może kiedyś pisała pracę naukową na temat przestępczości? Albo książkę? A może chciała dowiedzieć się czegoś o historii swojej rodziny?

Zadzwoił jego telefon.

– Roy Grace.

To był Glenn Branson, który znajdował się na zewnątrz.

– Szefie, przed chwilą był tutaj Gavin Daly. Właśnie miałem was spiknąć, ale pilnie wezwano go do szpitala.

– Jakie są ostatnie doniesienia o pani McWhirter?

– Mamy tam dyżurującego policjanta. Informuje mnie na bieżąco. Nie jest dobrze.

– Wcześniej też nie było – odparł posępnie Grace.

– Chcę ci coś pokazać w holu.

– Zaraz przyjdę.

Branson stał na metalowym podkładzie, który położono na wystrzępionym perskim dywanie przy stoliku w holu, i pukał palcem w ulotkę formatu A4, w plastikowej torebce. Ozdobny krój pisma miał bez wątpienia podkreślać klasę, ale zdaniem Grace'a potęgował tylko wrażenie, że to robota jakiegoś kombinatora.

R.C. MOORE

Roy Grace szybko przebiegł wzrokiem tekst.

Szanowna Pani/Szanowny Panie!

Odwiedzam tę okolicę od wielu lat i zawsze odczuwam ogromną satysfakcję z powodu zadowolenia, jakie daje ludziom pozbywanie się niechcianych, często zapomnianych przedmiotów w zamian za gotówkę.

Spojrzał na Bransona.

– Cholera, myślałem, że nie ma już wyłudzaczy. Że ludzie oglądają takie programy jak *Antiques Roadshow* albo *Cash in the Attic* i nie dają się już naciągać różnym mendom.

Przypomniał sobie ze złością, jak wyłudzacze ogołocili jego babcię prawie ze wszystkich rodzinnych pamiątek, kiedy on był jeszcze nastolatkiem.

– Widocznie nie wszyscy zniknęli, szefie. Na dnie stawu zawsze pełza jakieś paskudztwo.

Grace uśmiechnął się ponuro.

– Musimy natychmiast przesłuchać tego całego Moore'a. – Popatrzył na dywan. – Dziwne... taki piękny dom, pełen pięknych, jak przypuszczam, rzeczy, a w holu trzymała taki szmatławy dywan.

Branson spojrzał na niego z ubolewaniem.

– W ogóle się nie znasz!

– Dzięki. Ale myślę, że potrafię się poznać na pięknej rzeczy.

– Czyżby? Masz pojęcie, jaką wartość ma ten dywan?

– Pewnie dałbym za niego z piąta na wyprzedaży garażowej.

– To byś zrobił dobry interes. Na moje oko to perski dywan, wart pewnie wiele tysięcy funtów. Tata Ari handlował takimi dywanami,

sporo mnie o nich nauczył. Kiedy je tkają, specjalnie robią tak, by miały jakieś wady.

– Dlaczego?

Glenn Branson się uśmiechnął.

– Ponieważ w przekonaniu tkaczy dywanów tylko Bóg jest doskonały.

– Zapamiętam to sobie – powiedział z uśmiechem Grace.

Wyjął z kieszeni telefon i zrobił z bliska kilka zdjęć ulotki. Kiedy sprawdzał, czy wyszły ostro, usłyszał, że Glenn Branson odbiera swoją komórkę. Po krótkiej wymianie zdań rozłączył się i spojrzał na Grace'a swoimi dużymi, znużonymi oczami.

– To był nasz funkcjonariusz ze szpitala, szefie.

– I?

– Wygląda na to, że teraz już prowadzimy dochodzenie w sprawie morderstwa.

Nowy Jork 1922

Ciotka chłopca namawiała go, by skrył się przed zimnem, ale odmówił. Uczepił się z całych sił barierki na rufie RMS *Mauretania* i stał z włosami targanymi przez słony wiatr, ze ściśniętym gardłem, łzami spływającymi mu po policzkach. Nieczuły na przeraźliwy chłód, utkwiał wzrok w znikającej powoli Statui Wolności.

Była teraz maleńka, wyglądała jak odległa kropka. Nikła stopniowo, pochłaniana przez mgłę i chmury, które nacierały na nią nieustępliwie w zapadającej ciemności. Nie odrywał oczu od Statui, dopóki całkiem nie zniknęła, a wtedy poczuł jeszcze większy smutek. Jakby lina łącząca go z ojcem została ostatecznie przecięta.

Pod jego stopami dudnił pokład. Wokół roznosił się mocny zapach farby i lakieru, co jakiś czas zmieszany z wonią dymu buchającego z kominów. Ciotka powtórzyła jego imię i pociągnęła za rękaw płaszcza. Zignorował ją i zapatrzył się w spieniony kilwater, trzydzieści metrów niżej. Z każdą sekundą zwiększał się dystans pomiędzy rufą *Mauretanii* a Nowym Jorkiem. Z każdą sekundą oddalała się szansa na odnalezienie ojca. Tajemnica jego zniknięcia była okryta chmurami o wiele ciemniejszymi niż te, które zasłoniły teraz Statuę Wolności.

Z wewnętrznej kieszeni wyjął złożony fragment gazety, który wręczono mu parę godzin wcześniej na nabrzeżu. Papier zafurkotał na wietrze, zaszeleścił, ale chłopiec trzymał go mocno, bojąc się go stracić. Spojrzał na zdjęcie ojca, a potem na niezgrabnie nagryzmołone nazwiska i cyfry. 9 5 3 7 0 4 0 4 2 4 0 4. Następnie znów popatrzył w dal, na Nowy Jork.

Ojciec gdzieś tam był. W miejscu, w którym nie chciał przebywać. Do którego zabrali go źli ludzie. Cyfry miały znaczenie, były bardzo ważne, wiedział to na pewno.

Ale co oznaczały?

Kiedy ciotka szarpnęła go za rękę jeszcze gwałtowniej, ostrożnie schował kartkę z powrotem do wewnętrznej kieszeni i wbijając wzrok w szary horyzont, złożył przyrzeczenie.

„Pewnego dnia, tato, wrócę i cię odnajdę. Uratuję cię, gdziekolwiek jesteś”.

Nad głową chłopca trzykrotnie zawyła syrena statku. Jakby pieczętując tę obietnicę.

2012

Pięćdziesięcioletni Ricky Moore miał łysinę oraz długie, rzadkie siwe włosy zakrywające mu uszy i górę kołnierzyka. Był ubrany w lśniącą białą koszulę, rozpiętą do połowy, by wyeksponować złoty medalion, i tanią beżową kurtkę, a na jego palcach tkwiły masywne pierścienie. Z obrzmiałą od alkoholu twarzą i ziemistą cerą wyglądał raczej na starzejącego się, otepiałego od prochów rockmana niż na handlarza antyków, ale dobrze wiedział, jak zbajerować każdą starszą panią, tak by wpuściła go do swego domu, choćby nie brakowało jej sprytu.

Nie było trudno go odnaleźć. Wpadał tu wieczorami, trzy razy w tygodniu, by się napić.

Moore uważał, że Cock Inn w Wivelsfield to pub z prawdziwego zdarzenia. Były w nim stoły bilardowe, tarcza do gry w strzałki i tabliczki do gry w shove ha’penny oraz dekoracje z podkładek pod piwo, pochodzących z całego świata. Pub miał też sympatycznego właściciela i personel, no i bardzo ponętą barmankę. Nie nosił jakiejś durnej, wymyślnej nazwy, nie puszczano w nim ckliwej muzyki, nie słychać było brzęczenia elektronicznych automatów do gry, co stanowiło obecnie plagę tak wielu przybytków. I serwowano tu dobre piwo.

Ale nie z powodu tych wszystkich zalet pił właśnie tutaj. Pub znajdował się na wsi, w odległości dwudziestu dwóch kilometrów od północnej części Brighton, gdzie Moore mieszkał, co było pewną niedogodnością, zwłaszcza przy obecnych przepisach drogowych, bo za każdym razem musiał podejmować ryzyko. Jednak, jak to zwykle bywa w interesach, równoważyły to korzyści.

Jako jeden z niewielu grasujących jeszcze wyłudzaczy antyków, całkiem dobrze zarabiał, polując na okazje w domach naiwniaków. Miał wdzięk i dobrą nawijkę i mimo swego kiepskiego wyglądu budził sympatię w ludziach, szczególnie w starszych paniach – z powodów, których nie rozumiał, ale ich nie kwestionował. Znalazł sobie na rynku niszę, przynoszącą mu niezłe dochody – żył z handlu przedmiotami, które wyłudzał od staruszek. A od czasu do czasu, gdy wchodził do jakiegoś domu, okazywało się, że trafił do skarbcza.

Tak było kilka tygodni temu w domu przy Withdean Road. Ta drobna starsza pani dobrze wiedziała, jakie rzeczy posiada, i nie zamierzała się z nimi rozstawać, a w każdym razie sprzedawać ich jemu. Jeszcze zbeształa go na do widzenia.

A teraz czyta w „Argusie”, że umarła. Głupia starucha. Mogła sprzedać mu te rzeczy, które chciał od niej kupić. Potem może sam by się nimi zajął, zamiast dzwonić do swoich znajomków.

Chociaż może i tak by do nich zadzwonił.

Zaliczka na poczet prowizji – pięć tysięcy zwiniętych w rulon – wypalała mu dziurę w kieszeni.

Prowizji wolnej od podatku.

Po pierwsze, zaletą pubu było to, że nie pił tutaj nikt z Brighton. Z biegiem lat Moore, nabierając ludzi, narobił sobie sporo wrogów, więc prędzej czy później w jakimś pubie w Brighton natknąłby się pewnie na kogoś mocniejszego od siebie, kto zakarbował go sobie w pamięci. Po drugie, i dużo ważniejsze, Moore mógł się tu znakomicie obłowić.

Miał sprawdzoną od lat strategię działania: znajdź pub w miłej, zamożnej okolicy. Zapoznaj się ze stałymi bywalcami, niech cię polubią, niech ci zaufają. Siadaj przy barze, czasem postaw komuś kolejkę, wychodź z innymi na papierosa. Nadstawiaj uszu. Wcześniej czy później usłyszysz o ładnych, dużych posiadłościach na odludziu. I wcześniej czy później miejscowi zaproszą cię do siebie, byś określił wartość różnych przedmiotów w ich domach albo w domach ich mam i tak dalej. Zrób dyskretnie zdjęcia, zadzwoń gdzie trzeba, wyślij zdjęcia mejlem, a po kilku miesiącach przenieś się gdzie indziej.

Przepił sam do siebie szklanką harveya. Tak, świetnie mu szło. Życie jest cudowne. Trochę tu za spokojnie jak na piątkowy wieczór,

pomyślał. Barmanka, na którą leciał, była tego wieczoru nieobecna z powodu choroby. Ale poza tym wszystko grało. Słodkie życie.

O tak.

Z nudów przyglądał się wiszącej na ścianie fotografii zawodników drużyny piłkarskiej. Duży napis na dole głosił: WIVELSFIELD WANDERERS.

Nagle poczuł wibrację w kieszeni spodni. Wyjął iPhone'a i zerknął na wyświetlacz: numer zastrzeżony. Podniósł telefon do ucha.

– Słucham – powiedział cicho.

– Ricky Moore? – spytał jakiś męski głos.

– Tak.

Dzwoniący się rozłączył.

Moore skrzywił się i odczekał parę chwil, na wypadek gdyby nieznajomy próbował jeszcze raz się połączyć. Ale tamten nie miał takiego zamiaru. Uzyskał informację, której potrzebował. Stał w ciemności przed pubem i patrzył przez okno, jak Moore chowa telefon do kieszeni i dopija piwo. Tożsamość została potwierdzona.

Ricky Moore odstawił szklankę na blat baru i rozejrzał się za kimś, z kim mógłby zagrać w bilard, jednak nie zauważył żadnego ze swoich stałych partnerów. Zdecydował, że wkrótce ruszy do domu, ale zamówił kolejną szklankę piwa – rozchodniaczka – i jeszcze whisky na popitkę.

Jego żonka, Kjersti, piękna Norweżka, przy której postanowił się wreszcie ustatkować na resztę życia – po dwóch koszmarnych rozwodach – marzyła o roleksie. Teraz, dzięki domowi tej McWhirter, miał szmal, by go kupić, a jak mu się poszczęści, dorwie taniej kradziony u znajomego szemranego jubilera.

Kjersti oszaleje na jego widok!

Dopił drinki i uśmiechając się, wyszedł z pubu. Zadzwoeni do niej z samochodu: powie, żeby zrzuciła ciuszki i czekała na niego w łóżku.

* * *

Gdyby Ricky Moore był bardziej trzeźwy, może by się zorientował, że coś się dzieje. Jednak cztery duże piwa zapijane whisky przytępiły mu zmysły. Kiedy wyszedł w ciemność, wyjmując z kieszeni papierosa, nie zauważył nic niezwykłego. A gdyby się rozejrzał, może zastanowiłby go duży mercedes z przyciemnianymi szybami, który zupełnie nie pasował do parkingu przed wiejskim pubem. Nie usłyszał też, że włącza się silnik samochodu, bo zagłuszył to ryk przejeżdżającego właśnie motocykla.

Pogrążył się w myślach o tym, co zrobi tej nocy w łóżku z Kjersti. Myśli zawsze miał kosmate, a teraz, nieźle podpity, nakręcał się coraz bardziej.

Kiedy doczłapał niepewnie do swego starego bmw kombi, zatrzymał się na ostatniego wieczornego papierosa. Kjersti nie pozwalała mu palić w domu. Wiał silny wiatr, więc musiał osłonić dłońmi zapalniczkę, by płomień nie zgasł. Usłyszał, że jakiś samochód zwalnia obok niego, ale zignorował to, skupiając się na papierosie. Zignorował też odgłos otwieranych drzwi, po raz trzeci pstrykając zapalniczką.

Potem ją upuścił, a papieros wypadł mu z ust, gdy jego ramię zostało ściśnięte jak w imadle, aż zawył z bólu.

– Wybacz – powiedział nieznajomy i szarpnięciem wciągnął go na tył samochodu, przewłókł przez swoje kolana, po czym walnął jego głową w drugie drzwi, lekko go ogłuszając. Potem zatrzęsnał drzwiami. – Bardzo przepraszam – dodał, kiedy samochód błyskawicznie ruszył.

Wnętrze auta pachniało skórą i zastałym dymem cygar.

– Co jest, do diabła...

– Przykro mi. Naprawdę. Musisz mi uwierzyć. Nie lubię krzywdzić ludzi. – Następnie chwycił jego lewe udo, uciskając nerw. Moore wrzasnął, wijąc się z bólu. Nie był w stanie mówić. – Wybacz. Sam nie wiem, jaki jestem silny.

Chwilę później Moore poczuł, że facet wyjmuje mu z kieszeni telefon.

– Hej!

Tak zwany Wybacz miał dwa metry wzrostu i ważył sto pięćdziesiąt kilogramów, z czego większość stanowiły mięśnie, a mózg niewiele. Podczas ostatniej odsiadki przerzucił dużą

lodówkę przez dwie kondygnacje schodów. Bo się wściekł. Niedobrze było znaleźć się w pobliżu niego, kiedy się rozzłościł.

Moore dyszał i zalewał się potem. W światłach nadjeżdżającego samochodu ujrzał nad sobą twarz tego mężczyzny. Przypominał neandertalczyka, a jego czoło wieńczyła grzywka, jak u zakonnika z tonsurą.

– Czego chcesz? – wydyszał Moore.

Jeśli chodzi o kierowcę, widział tylko kręcone włosy wystające spod szoferskiej czapki.

– Niczego – odparł Wybacz. – Robię, co do mnie należy. To nie jest przyjemna robota. Potrzebny mi PIN do twojego telefonu.

Moore zmrużył oczy z bólu. Samochód skręcał w lewo. Po drodze mignęło szybko kilka latarni ulicznych.

– Pomyliłeś się. Myślę, że chodzi ci o kogoś innego.

Wybacz ścisnął jego nogę, a Moore znów krzyknął z bólu.

– Zaufaj mi, proszę. Nie pomyliłem się. Musisz mi uwierzyć. Potrzebny mi PIN.

Samochód znów skręcał w lewo.

– Dokąd jedziemy? – wycharczał Ricky Moore, obolały i przerażony.

– Przykro mi, ale nie mogę powiedzieć. Musisz mi wierzyć. Naprawdę mi przykro.

Moore dopiero teraz zauważył, że gra muzyka. Chór śpiewał *Ode do radości*. Tyle że on nie znał tytułu tego utworu, więc nie docenił kryjącej się w nim ironii. Nie przepadał za muzyką klasyczną. Brzmiała złowieszczo i przyprawiała go o gęsią skórę. Przez przednią szybę dostrzegł tylne światła samochodu jadącego przed nimi. Wyglądało na to, że podążają w ślad za nim ciemną wiejską drogą.

Nagle znów poczuł silny jak imadło uścisk na lewym udzie.

– Przestań! – krzyknął.

Ale uścisk się wzmacniał.

– Przepraszam – powiedział Wybacz. – Ale muszę się upewnić, że nie będziesz próbował uciekać. Przykro mi, że sprawiam ci ból, naprawdę. Dżentelmen, który chce się z tobą zobaczyć, nie będzie ani trochę tak delikatny jak ja. Wierz mi. A teraz proszę o PIN.

Moore podał mu cztery cyfry. Widział, jak porywacz wstukuje je w klawiaturę i ekran ożywa.

Jadący z przodu range rover zatrzymał się i mercedes stanął za nim. Jakiś mężczyzna podszedł do tylnej szyby, a Ricky'ego Moore'a ogarnął jeszcze większy strach. Usłyszał, jak szyba zjeżdża w dół, poczuł chłodny powiew na twarzy i zapach świeżo skoszonej trawy, docierał do niego warkot silnika range rovera. Zobaczył, że jego iPhone jest podawany przez okno, które potem się zamknęło.

– Hej! Chcę to dostać z powrotem! – powiedział.

Porywacz się nie odezwał. Minęło kilka minut. Range rover stał nieruchomo przed nimi. Potem niespodziewanie odjechał. Mercedes ruszył w ślad za nim.

– Mój telefon! – zaprotestował Ricky Moore.

Wybacz znów ścisnął jego udo, jeszcze mocniej, a Moore wrzasnął z bólu, wściekłości i strachu.

– Och, wybacz.

21

Wypalone do połowy cygaro, z nienaruszonym słupkiem popiołu na końcu, leżało w wielkiej szklanej popielniczce stojącej obok kryształowej szklanki z whisky Midleton, regularnie pijanym przez Gavina Daly'ego trunkiem, za którego butelkę płacił dwieście sześćdziesiąt siedem funtów. Myśl o tym, ile kosztuje ta rzadka irlandzka whisky, dawała mu nawet więcej satysfakcji niż jej smak. Oznaczało to bowiem, że zostanie trochę mniej dla tego idioty, pogrążonego w długach syna, Lucasa, kiedy już dorwie się do majątku po jego śmierci. Chociaż Gavin Daly nie miał nic przeciwko temu, by dziedziczyła po nim wnuczka siostry z rodziną. Jednak w tej chwili syn okazał się użyteczny, co zdarzało się doprawdy rzadko.

Ubrany w niebieską bonzurkę Daly siedział przy szerokim biurku z krytym skórą blatem, w gabinecie swej wspaniałej rezydencji w stylu palladiańskim, szesnaście kilometrów na północny wschód od Brighton, co chwila mrugając, by pozbyć się łez. Starał się zająć umysł, skupiając się na rzadkim zegarze J.J. Elliotta, który sprawdzał dla klienta przed planowaną w tym tygodniu wysyłką na ważną aukcję w Nowym Jorku. Tymczasem czekał, aż oddzwonią do niego ludzie, do których dziś telefonował.

Na świecie było niewielu handlarzy zajmujących się sprzedażą starych zegarów i zegarków wysokiej klasy. Z reguły byli uczciwi, ale z biegiem lat Daly wyrobił sobie dobre kontakty również z tymi szemranymi. Rozpuścił wici i liczył na to, że większość handlarzy da mu znać, jeśli ktoś będzie próbował sprzedać zegarek jego ojca.

Chociaż miał dziewięćdziesiąt pięć lat, nie odszedł jeszcze całkiem na emeryturę, tylko stopniowo zawężał działalność. Nawet teraz wciąż miał oko na sklep, który nosił jego nazwisko i mieścił się przy jednej z uliczek w Brighton słynących ze sklepów z antykami.

Ubolewał nad tym, że syn pozwala, by interes marniał, choć właściwie mu już na nim nie zależało, bo miał aż nadto pieniędzy, by do końca swych dni żyć w stylu, który lubił. Nadal jednak doradzał kilku klientom w sprawie zegarów oraz pośredniczył w transakcjach, tak jak w wypadku tego zegara, który Daly sprzedawał w imieniu bogatego angielskiego kolekcjonera. Dzięki temu miał jakieś zajęcie.

Bóle w piersi wywołane dusznicą coraz częściej teraz nawracały. Lekarz radził mu, żeby przestał pić i palić, ale jakie to miało, u diabła, znaczenie? Wrzucił tabletkę nitrogliceryny pod język, zaczekał, aż się rozpuści, i ponownie zapalił cygaro. Zawsze potrafił wypatrzeć kunsztownie wykonany przedmiot, a ten zegar należał do szczególnych okazów. Kwadratowa obudowa, z piękną intarsją, inkrustowana złotem, była arcydziełem, a sam mechanizm, z pojedynczym młoteczkim uderzającym w wielki mosiężny gong, był wyjątkowo finezyjny. Nigdy nie będzie pokazywał czasu tak dokładnie jak te dzisiejsze kwarcowe zegarki, które można kupić za kilka funtów, ale nie w tym rzecz.

Trochę wyregulował długość wahadła, po czym odłożył narzędzia. Był zmęczony i rozkojarzony. Poprzedniej nocy prawie nie zmrużył oka, przez cały czas było mu słabo. Słabo ze zdenerwowania. A teraz jeszcze poczuł się całkiem sam na świecie.

Miał wszystko. Ten piękny dom, wille, ze stałym personelem, na półwyspie Cap Ferrat na Lazurowym Wybrzeżu, więcej pieniędzy, niż mógłby kiedykolwiek wydać, ale to wszystko było bez znaczenia – i na tym polegała cholerna ironia. Wpatrywał się przez otwierane pionowo okno w ciemność. Wokół niego, w tym wykładanym dębem gabinecie, wszędzie znajdowały się pamiątki z przeszłości. Choćby ta czarno-biała fotografia surowej, głęboko religijnej, niezamężnej ciotki Oonagh, która wychowała jego i siostrę. Obok stał rząddek oprawionych w ramki zdjęć ojca, Brendana Daly'ego.

Jedno z nich, z młodości, przedstawiało potężnego mężczyznę maszerującego dziarsko w stronę aparatu. Miał na sobie trzyczęściowy garnitur, białą koszulę, czarny krawat i słomkowy kapelusz, nasadzony zawadiacko na bakier. Po bokach szło dwóch jego kumpli z gangu White Hand: Mick Pollock – później znany jako Proteza Pollock, kiedy stracił nogę w wyniku gangreny, która

wywiązała się z rany odniesionej w jakiejś strzelaninie – oraz Aiden Boyle. Byli to dwaj z mężczyzn, których nazwiska zostały nabazgrane na odwrocie pierwszej strony „Daily News” z lutego 1922 roku, gdzie pisano o zastrzeleniu jego matki i uprowadzeniu ojca. W gazecie, którą przed laty na piersie numer pięćdziesiąt cztery wręczył mu posłaniec.

Obok stało zdjęcie ojca w kąpielówkach, na brooklyńskiej Brighton Beach. Uśmiechał się szeroko, kruczoczarne włosy miał zmierzwiłone, a na szyi nosił srebrnego królika na łańcuszku. Ciotka powiedziała kiedyś Gavinowi, że naszyjnik należał do jego dziadka, który w latach osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku należał do nowojorskiej irlandzkiej mafii – gangu Dead Rabbits. Na kolejnym zdjęciu widniał wyelegantowany ojciec w meloniku.

Gavin usłyszał pukanie i drzwi za jego plecami się otworzyły. To była Betty, jego wierna gosposia, młodsza od niego zaledwie o kilka lat.

– Nie tknął pan kolacji, panie Daly – zbeształa go.

Nie odwracając się, uniósł tylko rękę na potwierdzenie.

– Zabiorę to. Czy życzy pan sobie coś ciepłego do picia albo coś jeszcze panu przynieść, zanim się położę?

– Niczego mi nie potrzeba. Spodziewam się gości, ale sam ich wprowadzę.

Życzyła mu dobrej nocy i odeszła, zamykając za sobą drzwi.

Dom wydawał się ponury i samotny, od kiedy umarła Ruth, druga żona Gavina. Miał przed sobą ramkę z jej zdjęciem, zrobionym, gdy była przed czterdziestką, a on sam miał pięćdziesiąt parę lat. Ich dwoje na tarasie na południu Francji, z płaskim błękitnym Morzem Śródziemnym za plecami. Była wówczas rudowłosą pięknoską, Irlandką, jak jego pierwsza żona, Sinead. Jednak w przeciwieństwie do Sinead, przez cały ten czas, który spędzili razem, zawsze była wierna i godna zaufania. Sinead, matka jego syna, zmarła z powodu przedawkowania barbituranów po latach uzależnienia od alkoholu i romansów. Nie miał nigdzie w domu jej zdjęć. Syn Lucas wystarczył mu jako gorzka pamiątka po niej.

Lucas próbował przez jakiś czas namawiać go, by się przeniósł do mieszkania, gdzie miałby zapewnioną fachową opiekę

medyczną, ale on nie chciał o tym słyszeć. Uwielbiał ten dom i pamiętał, że kupując go kilkadziesiąt lat wcześniej, pomyślał, jak bardzo dumny byłby z niego ojciec. Wprawdzie nie zarobił wszystkich swoich pieniędzy uczciwie, ale o kim w świecie antyków można by to powiedzieć? Działał w kręgu handlarzy antyków w Brighton, ustawiał ceny na aukcjach, a kiedyś – nadal uśmiechał się na to wspomnienie – na dużej aukcji w wiejskiej rezydencji zamknął znaczącego londyńskiego handlarza antyków na klucz w łazience, by uniemożliwić mu udział w licytacji.

Innym razem, wiele lat przed wprowadzeniem nawigacji satelitarnej, w noc poprzedzającą jedną z największych aukcji w hrabstwie pozmieniał – wraz z innymi handlarzami antyków z kręgu Brighton – znaki drogowe, aby żaden z głównych londyńskich handlarzy nie mógł trafić do wiejskiej rezydencji, w której odbywała się impreza.

Spojrzał w górę, teraz już trochę niecierpliwie, na ekran przekazujący obraz z kamery, która monitorowała front domu i podjazd. Czekał na pojawienie się czarnego range rovera syna. Lucas odziedziczył trochę złych genów matki. Był kiepskim synem, szkolnym wyrzutkiem, któremu nie udało się utrzymać rodzinnego interesu i który wielokrotnie ledwie uniknął ciupy za stosowanie przemocy i handel narkotykami. Gavinowi było żal synowej, przyzwoitej kobiety, która, jego zdaniem, zasługiwała na kogoś lepszego.

Wypił jeszcze trochę whisky, znów zapalił cygaro i rozejrzał się po pokoju: tutaj zwykł przyprowadzać najważniejszych klientów i tu spędzał obecnie większość czasu. Gabinet został urządzony tak, by imponować, stwarzać wrażenie, iż należy do wykształconego, kulturalnego człowieka, arystokraty, który jest zaledwie kustoszem majątku odziedziczonego po przodkach i który pewnego dnia przekaże go swym potomkom.

Tylko że Gavin Daly nic nie odziedziczył. Wszystkie przedmioty znajdujące się w tym pokoju oraz niemal wszystkie w tym pięknym domu sam kupił. Dobierał je starannie, wyłącznie po to, by zaimponować takim jak on – osobnikom gotowym wyłożyć ogromne pieniądze na kupno antyków do swoich wystawnych domów w Ameryce, Japonii, a ostatnio również w Chinach,

i pragnącym sprawiać wrażenie, że należą do uprzywilejowanej kasty ludzi o dobrym smaku.

W gabinecie stały dwie wielkie pikowane kanapy chesterfield z czerwonej skóry. Na doryckich cokołach widniały popiersia wielkich rodaków – Oscara Wilde’a, George’a Bernarda Shawa, Wiliama Butlera Yeatsa, J.M. Synge’a, Jamesa Joyce’a oraz T.E. Lawrence’a, którego ojciec był po części Irlandczykiem i którego pisma Gavin Daly podziwiał. Od ściany do ściany ciągnęły się regały pełne książek w skórzanych oprawach. Z okna roztaczał się za dnia widok na ogromny, ujęty w ramę włoskich cyprysów ogród z bujną roślinnością, na staw okolony rzeźbami oraz na odległe pofałdowane wzgórza South Downs.

Daly wyjął z szuflady biurka tom oprawny w szkarłatną skórę. Kiedy go otworzył, ukazała się pożółkła, rozpadająca się pierwsza strona „New York Daily News” z lutego 1922 roku, zabezpieczona przezroczystą plastikową koszulką.

Nie było dnia w jego życiu, żeby nie spojrzął na tę stronę z gazety oraz na nazwiska i cyfry wypisane na jej odwrocie. I za każdym razem te cztery nazwiska wywoływały u niego paroksyzm nienawiści.

Fergal Kilpatrick. Mick Pollock. Aiden Boyle. Cillian Cregan.

To byli mężczyźni, jak poinformowała ciotkę policja, którzy wtargnęli do domu jego rodziców. Weszli do jego sypialni, świecili na niego latarkami. Wypełnili jego sypialnię smrodem alkoholu i potu.

Ci mężczyźni zastrzelili jego matkę i uprowadzili ojca.

Wszyscy od dawna już nie żyli. Jednak ta świadomość nie dawała mu pocieszenia ani satysfakcji. Czuł tylko żal. Głęboki żal, że wiele lat temu nie powrócił do Ameryki, by poszukać tych, którzy jeszcze żyli. A teraz było za późno.

Często ich gugłował. Znajdował te wszystkie nazwiska, poruczników „Wild Billa” Lovetta, który przejął władzę nad gangiem White Hand i kontrolował nabrzeże Manhattanu i Brooklynu po zamordowaniu przywódcy gangu, Dinny’ego Meehana, a później kolejnego, Brendana Daly’ego.

Jego ojca.

Długo wpatrywał się w zdjęcia ich znienawidzonych twarzy, które ukazywały się na ekranie komputera. Proteza Pollock zginął pierwszy, zastrzelony w jakimś barze podczas wojny gangów, a zabójców nigdy nie zidentyfikowano.

Pozostali trzej zniknęli, zginęli w pomroce dziejów. Ich nazwiska często, choć nic nowego nie wnosząc, wyskakiwały w trakcie jego internetowych poszukiwań, wraz z nazwiskiem Daly'ego.

„Starcy wasi będą śnili, a młodzieńcy wasi będą mieli widzenia”³.

Ciotka, która przywiozła ich oboje, jego i siostrę, z powrotem do Irlandii, była osobą głęboko wierzącą. W czasie podróży z Nowego Jorku czytała im codziennie fragmenty Biblii, tak jak potem co wieczór przez całe ich dzieciństwo, które spędzili pod Dublinem.

On sam nigdy nie był religijny, ale zgadzał się z tymi słowami z Księgi Joela. Jako młody człowiek miał wiele wizji. A teraz pozostały mu tylko sny. Spojrzał na popiersie Lawrence'a z Arabii i jego przystojną, choć nieco końską twarz. Pewien fragment z książki tego wielkiego człowieka, *Siedem filarów mądrości*, stanowił dla niego życiową mantrę.

*Wszyscy ludzie śnią, ale niejednakowo. Ci, którzy śnią w nocy, w najmroczniejszych zakamarkach umysłu, budzą się rano z przekonaniem, że były to tylko majaki. Są jednak i tacy, którzy śnią za dnia, i ci są ludźmi niebezpiecznymi, gdyż nierzadko z otwartymi oczami odtwarzają swe senne marzenia, pragnąc przemienić je w rzeczywistość*⁴.

On sam zawsze „śnił za dnia”. Ale teraz uświadomił sobie, że może tylko lunatykował. Miał dziewięćdziesiąt pięć lat i nie zdołał dotrzymać największego, najważniejszego przyrzeczenia w życiu. Przyrzeczenia, które złożył, stojąc na rufie *Mauretanii*, jako mały chłopiec, wiele dziesiątków lat temu.

„Pewnego dnia, tato, wrócę i cię odnajdę. Uratuję cię, gdziekolwiek jesteś”.

Spojrzał znów, po raz nie wiadomo który, na jedyną wskazówkę, jaką w ogóle posiadał. Tych dwanaście cyfr nagryzmołonych pod nazwiskami czterech mężczyzn.

9 5 3 7 0 4 0 4 2 4 0 4

Wciąż próbował rozwikłać, co oznaczają. Sprawdził numery kwater na wszystkich nowojorskich cmentarzach. Sprawdzał numery więzienne – ale te były za krótkie. Współrzędne były z kolei za długie. Numery telefoniczne. Numery domów. Numery rejestracyjne samochodów. Numery kont bankowych. Szyfry skrytek bankowych. Wynajął nawet ludzi potrafiących łamać szyfry, by ustalili, czy te cyfry nie oznaczają liter albo słów jakiejś tajnej wiadomości. Ale wszystko na nic.

Nagle jego uwagę przyciągnął sygnał alarmowy systemu antywłamaniowego. Ostrzegał, gdy ktokolwiek zbliżał się do granic posiadłości. Gavin Daly spojrział na ekrany sprzężone z kamerami monitoringu, znajdujące się na ścianie po prawej stronie biurka. Był zadowolony z tego, co zobaczył.

Przyjechali.

W samą porę.

– *Arrivederci*, słoneczko – powiedział szofer, odwracając się i po raz pierwszy pokazując Ricky’emu Moore’owi swoją twarz.

Moore pomyślał ponuro, że wygląda na starego, zapuszczonego draba.

Wybacz wyciągnął Moore’a z tylnego siedzenia mercedesa tak łatwo, jakby ten był kartonową wycinanką. Następnie przytrzymał go w pozycji pionowej na sięgającym do kostek żwirze, w świetle reflektorów, przed wielkim gankiem białej rezydencji.

Znajdowali się na końcu prawie kilometrowej, obsadzonej drzewami drogi dojazdowej i niemal pięć kilometrów od najbliższego domostwa. Ricky Moore znał Sussex na tyle dobrze, by mniej więcej zorientować się, gdzie jest, ale nie na tyle, by rozpoznawać boczne drogi poza obszarem Lewes. Usłyszał gdzieś w pobliżu pohukiwanie sowy. A potem zobaczył, jak przysadzisty mężczyzna w średnim wieku, z krótkimi, ułożonymi na żelu włosami, w szykownym garniturze, wysiada z czarnego range rovera od strony kierowcy. Pod połą jego marynarki rysował się jakiś kształt.

Stygnący silnik tykał miarowo, jak zegar. Mężczyzna w garniturze podszedł zamaszystym krokiem do ganku. W tej ciemności i ciszy, przy braku jakichkolwiek sąsiadów, Ricky Moore czuł narastające z każdą sekundą przerażenie. Musi uciec, ale jak? Miał w głowie kompletny mętlik i był niemal sparaliżowany ze strachu. Wrzasnął z bólu, kiedy jeden z nerwów w jego prawym ramieniu został boleśnie uciśnięty.

– Przepraszam – powiedział Wybacz, prowadząc go do przodu i nie zwalniając nieznośnego uścisku. – Szczerze. Może trudno będzie ci w to uwierzyć, ale mi przykro, naprawdę. – Uśmiechnął

się. Większość jego zębów prosiła się o dentystę. – Ja tylko wykonuję swoją pracę.

– Słuchaj – zaczął nerwowo Moore. – Dobrze ci zapłacę, jak zawiesz mnie z powrotem do pubu. Dużo pieniędzy. Naprawdę dużo.

Wybacz był lojalnym człowiekiem. Ksywkę „Wybacz” dostał w więzieniu, bo ustawicznie się przed wszystkimi kajał i za wszystko przeproszał. Spodobała mu się. Rzadko używał prawdziwego nazwiska. Augustine Krasniki. Przeproszanie leżało w jego naturze, nie potrafił się przed tym powstrzymać. Kiedy był małym chłopcem i mieszkał jeszcze w rodzinnej Albanii, matka winiła go za to, że jego ojciec ją opuścił. Zresztą winiła go za wszystko i jedyne, co mógł zrobić, by się udobruchała, to ustawicznie prosić ją o wybaczenie. Nawet jak padał deszcz, to też była jego wina, więc i za to nauczył się przeproszać. Wreszcie matka oddała go do domu dziecka, z powodów, których nigdy nie zrozumiał, ale przypuszczał, że musiał jakoś zawinić. Od tej pory przenoszono go od jednej rodziny zastępczej do drugiej. Ludzie się go bali, jego wygląd budził w nich grozę, podobnie jak jego siła fizyczna. Sam potrzebował czasu, by zdać sobie z niej sprawę i zacząć ją kontrolować. Pewnemu dziecku zabił myszosczka, bo zbyt silnie go głaskał, a innym razem niechcący zmiażdżył papużkę falistą. Ludzie często krzyczeli z bólu, gdy ścisnął im dłoń na powitanie. Starał się pamiętać, że ma być łagodny, ale jego mózg nie zawsze dobrze działał.

Kiedy chłopcy w szkole wyśmiewali go z powodu jego brzydoty, starał się kontrolować swoją siłę, ale mu się to nie udawało. Jednym ciosem potrafił połamać komuś żebra albo wybić przednie zęby, jakby w pierwszym rzucie strącił wszystkie kręgle. Nie był w stanie opanować gniewu, gdy inne dzieci mu dokuczały, przeżywały Borisem Karloffem, mówiły, że wygląda jak potwór Frankensteina, więc przywykł do tego, że je bije, a potem przeprosza.

W całym życiu tylko jeden człowiek był dla niego dobry. Jego szef, Lucas Daly. Dawał mu pieniądze, pozwalał mieszkać przy eleganckiej uliczce z antykwariatami w Brighton, nad sklepem, którego Wybacz z oddaniem strzegł, i kazał brać udział we wszystkich swoich transakcjach narkotykowych. Nikt nie zadzierał

z Lucasem Dalym, wystarczyło jedno spojrzenie na Wybacza, który był bezgranicznie lojalny wobec szefa.

– Wybacz – powiedział teraz do Ricky’ego Moore’a. – Chciałbym się na to zgodzić, naprawdę. Chciałbym powiedzieć „tak” i wziąć twoje pieniądze. Ale nie mogę. Musisz mi wierzyć.

Mężczyzna w szykownym garniturze otworzył kluczem drzwi wejściowe i Ricky Moore, napędzany uściskiem Wybacza, wszedł chwiejnym krokiem do środka. Drzwi zamknęły się za nim. Znajdowali się w wielkim holu z podłogą w biało-czarną szachownicę. Po obu stronach imponujących schodów stały zbroje, każda miała w stalowej prawej rękawicy lancę. Na ścianach wisiały piękne klasyczne obrazy olejne, które w normalnych okolicznościach wzbudziłyby wielkie zainteresowanie Ricky’ego Moore’a. Jednak tej nocy ledwie je zauważył załzawionymi z bólu oczami.

Czuć było silny zapach dymu z cygara. Moore marzył o papierosie. Starszy pan o opadających na ramiona siwych włosach, ubrany w bonżurkę i czarne aksamitne domowe pantofle z monogramem, szedł w ich kierunku, wspierając się na lasce ze srebrnym uchwytem. W wolnej dłoni trzymał wielkie cygaro, a w jego chabrowoniebieskich oczach płonęła wściekłość.

– Ricky Moore?

Moore odpowiedział ponurym skinieniem głowy.

– Gavin Daly – przedstawił się mężczyzna. – Jestem wdzięczny za odwiedziny.

– Bardzo zabawne – rzucił wyzywająco Moore.

Daly wyszczerzył zęby w uśmiechu. Błysk serdeczności zniknął natychmiast, jak chwilowy przebłysk słońca za chmurą burzową.

– Zabawne? Lubi pan żarciki, co? Myśli pan, że podstępne oskubywanie bezbronnych staruszek jest zabawne?

– Nie wiem, o czym pan mówi.

– Pewnie dostaje pan niezłe łapówki za informacje? Najpierw wysyła pan swoją ulotkę, a potem wchodzi do domów i fotografuje wartościowe przedmioty?

– Ależ skąd. Naprawdę nie wiem, o czym pan mówi. – Stęknął z bólu, gdy Wybacz znów nacisnął nerw w jego ręce, jakby dla

przypomnienia, żeby nawet nie myślał o tym, by się wywinąć. – To nie ja.

– Dom przy Withdean Road.

– Nigdy tam nie byłem.

– Pewna dama ma tam na stoliku w holu pańską ulotkę reklamową.

– Nie przypominam sobie.

– Więc może odświeżę panu pamięć – odezwał się stanowczym, drwiącym tonem facet w garniturze i pociągnął nosem.

Wyglądał na wyższego niż wtedy, gdy Moore widział go na zewnątrz, i bardziej nienagannie, z czarnymi wyżełowanymi włosami zaczesanymi do tyłu. Przypominał Moore’owi tych znanych gangsterów, bliźniaków Kray, których widział na zdjęciach.

Moore rzucił spojrzeniem na boki, zastanawiając się, czy dałby radę szybko prysnąć, gdyby goryl puścił jego rękę.

– Czy to pański iPhone? – spytał sobowtór Krayów, podtykając mu aparat pod nos.

Moore skinął głową i stęknął z bólu, bo goryl jeszcze mocniej ścisnął go za rękę.

– Wybacz – powiedział.

– A tak przy okazji, jestem Lucas Daly – przedstawił się sobowtór Krayów. – To moja ciocia została obrabowana i zamordowana dzięki panu. Siostra mojego taty. Żaden z nas nie jest z tego rad.

– Nie miałem z tym nic wspólnego! – zapewnił Moore.

Lucas Daly zmarszczył brwi, patrząc na wyświetlacz iPhone’a. Puknął w niego kilkakrotnie, po czym podsunął go Moore’owi pod oczy.

– Poznaje pan to, prawda?

Ricky Moore popatrzył niechętnie na przybliżone zdjęcie złoconej obudowy zegara Whitehursta, który wisiał w salonie domu Aileen McWhirter.

– Nie – odparł. – Nie poznaję.

– Musi pan mieć cholernie krótką pamięć. – Mężczyzna w garniturze znowu pociągnął nosem.

Moore nic nie odpowiedział. Miał gonitwę myśli i rozpaczliwie próbował wykombinować jakieś przekonujące wyjaśnienie, ale na

próżno.

– A co powie pan na to?

Moore spojrzał na kolejne zdjęcie. Tym razem była to georgiańska wysoka komoda z uchwytyami typu „łabędzia szyja”. Pokręcił głową.

Mężczyzna znów puknął w iPhone’a.

– A to?

Moore popatrzył na rozkładany stół w stylu chippendale.

– Nigdy wcześniej tego nie widziałem, naprawdę! To nie moje zdjęcia. Nie zrobiłem ich.

Wtedy mężczyzna włożył rękę pod połę marynarki i wyjął przedmiot, który powodował wybrzuszenie. Była to elektryczna lokówka do włosów wraz z kablem.

– A co powie pan na to, panie Moore?

– Nigdy wcześniej tego nie widziałem, szczerze!

– Taką samą potraktowano moją ciocię – wyjaśnił Lucas Daly. – Żeby podała szyfr do sejfu i PIN-y do kart bankomatowych. Ciekawe, czy ta lokówka pana również może nakłonić do mówienia, jak pan sądzi? Chcemy, by podał pan nam pewne nazwiska. Poczynając od nazwiska człowieka, który obrobił dom cioci Aileen przy Withdean Road.

– Lucas! – rzucił ostrzegawczo starszy pan. – Tylko bez przemocy. Nie życzę sobie. Dość już tego było. Ja nie działałem w taki sposób.

– Nie znam żadnych nazwisk, naprawdę, proszę pana. – Ricky Moore zwrócił się teraz do Daly’ego seniora, wietrząc tu szansę na wybawienie.

– Połóż się, tato, jest późno – powiedział Lucas Daly.

– Nie chcę przemocy, rozumiesz? – ponownie upomniał syna Gavin Daly.

– Idź spać, tato. Pozwól, że ja się tym zajmę.

– Chcę tylko poznać nazwiska tych, którzy zrobili to mojej siostrze, panie Moore – powiedział starszy pan, po czym odwrócił się i oddalił korytarzem.

Moore stał, patrząc na Lucasa Daly’ego, a później podniósł wzrok na wielką, pozbawioną wyrazu twarz Wybacza.

– Mój tata jest łagodną osobą, panie Moore, więc zabierzemy stąd pana, bo nie chciałby zobaczyć tego, co z panem zrobimy, żeby pomóc panu odświeżyć pamięć.

Ricky Moore zbulgotał z przerażenia, gdy poczuł, że jest prowadzony w stronę drzwi wejściowych. A po chwili poczuł jeszcze mokrą plamę z przodu spodni.

Posikał się.

23

Kiedyś, dawno temu, gdy miała w ogóle jakieś życie, Sarah Courteney uwielbiała piątkowe wieczory. Początek weekendu, czas na wyluzowanie się, oglądanie głupot w telewizji, w rodzaju *Wielkiego Brata*, a potem jeszcze większej tandety, sprośnego programu na Channel Four. Ale to się skończyło. Teraz piątkowy wieczór oznaczał, że jej mąż, Lucas, wróci do domu bardziej pijany niż w pozostałe dni tygodnia. Jeśli w ogóle wróci.

Obudziła się raptownie. Telewizor był włączony, choć wyciszony, leciał w nim stary film. Peter Sellers w roli inspektora Clouseau stał w biurze Herberta Loma. Była druga trzydzieści. Z góry, z pokoju niezdolnego nastoletniego syna, dobiegało okropne dudnienie heavymetalowej muzyki. I skrzypienie łóżka. Dolatywał też stamtąd słaby zapach marihuany. Wyglądało na to, że Damian nic innego ostatnio nie robi, tylko słucha przeraźliwej muzyki, upala się trawą i brandzluje się.

Jako obowiązkowa żona przygotowała dla Lucasa kolację na ósmą, kiedy rzekomo miał wrócić, i wstawiła jedzenie do ciepłego piecyka. Usłyszała, że otwierają się drzwi wejściowe, a potem wałą w ścianę – blokada została dawno wyrwana z podłogi i nie wstawiono jej ponownie – po czym rozległy się niezdarne kroki męża.

Ucichły, kiedy wszedł na otwartą przestrzeń parteru domu przy eleganckiej Shirley Drive w Hove. Domu, w którym nadal jeszcze mieszkali tylko dzięki temu, że spłacała dług hipoteczny ze swojej pensji.

– Coś ty, kurwa, zrobiła ze swoją twarzą? – wybełkotał i skrzywił się.

– Rozmawialiśmy już o tym wczoraj. Twoja kolacja jest na dole w piecyku – odparła.

– Spytałem: co ty, kurwa, zrobiła ze swoją twarzą?

– Głuchy jesteś? Wyjaśniłam, że już o tym rozmawialiśmy. Chciałeś kolację na ósmą.

– Przestań mnie ignorować, suko. Miałem sprawy do załatwienia. Tak? Moja ciocia, która została zamordowana, tak? Gdzie twoje współczucie? – Poklepał się po piersi. – Masz pojęcie, jak ja się czuję? Musiałem rozprawić się z draniem, który to zrobił. To nie było przyjemne. Musiałem wypić parę piw, żeby się z tego otrząsnąć. Dociera do ciebie to, co mówię?

Zachwiał się i stanął nad nią.

Kiedyś cię kochałam, pomyślała. Rany boskie, ja naprawdę cię kochałam. Ty żałosny, nasiąknięty piwem wraku. Uwielbiałam to, jak się dzięki tobie czułam, jak na mnie patrzyłeś. Zachwyciło mnie, że tak się znasz na antykach. Że potrafisz wejść do jakiegoś pokoju i powiedzieć mi wszystko o każdym ze stojących tam przedmiotów.

– Znów sobie zrobiłaś ten botoks, tak? Cudowny doktor Revson. Płacisz mu forszę, której nie mamy. Pieprzysz się z nim czy co?

Udało jej się zachować spokój.

– Znowu przegrana w kasynie?

– Miałem gówniany dzień.

– Dla odmiany? Zrobiłam sobie twarz – ciągnęła spokojnie – bo dbam o swoją karierę. Żeby mnie było stać na jedzenie na naszym stole i piwsko, które wlewasz w swój gruby, wstrętny brzuch. Zrobiłam to, żebyś co parę miesięcy nie musiał biegać do tatusia po pieniądze...

Nie udało jej się dokończyć. Prawą pięścią łupnął ją w pierś, przewracając na podłogę. Drań był sprytny. Zawsze bił tak, żeby nic nie było widać.

Przysięgła sobie, że jutro od niego odejdzie. Jednak wiedziała, że będzie szlochał, kajał się, mówił, jak bardzo ją kocha i że nie może bez niej żyć. Jutro przyrzeknie jej, jak zawsze to robił, że zaczną wszystko od nowa.

24

Peregrine Stuart-Simmonds był sześćdziesięcioparoletnim, wysokim, wesołym mężczyzną, a jego korpulentność elegancko tuszował dwurzędowy czarny garnitur w prążki. Pan Stuart-Simmonds mógł się poszczycić grzywą falujących siwych włosów, a wąskie okulary w rogowej oprawie tkwiące na czubku nosa nadawały mu dystygowany, akademicki wygląd.

Siedział przy okrągłym stole w niewielkim gabinecie Roya Grace'a, rozsiewając zapach męskiego mydła i z trudem powstrzymując się od ziewania.

– Proszę wybaczyć! – powiedział tubalnym głosem. – Niewiele spałem tej nocy, bo przygotowywałem spis dla pana.

Była siódma dwadzieścia rano, sobota – kolejny weekend diabli wzięli. Grace też ziewnął. Również niewiele spał. Wraz z prawie całym zespołem skończył pracę dopiero po północy, a potem Noah nie dał ani jemu, ani Cleo zmrużyć oka.

– Może zrobię panu kawę? – zaproponował.

– I od razu ze strzykawką, to zaaplikuję ją sobie dożylnie! Czarną, bez cukru i jak najmocniejszą poproszę.

Grace wyszedł i wrócił po paru minutach, trzymając dwa parujące kubki.

– Bardzo jestem wdzięczny za szybkie podjęcie działań, panie Stuart-Simmonds.

– To konieczne, by mieć szansę wygrać z czasem. Może być pan pewien, że cała akcja została starannie zaplanowana. I większość rzeczy, jeśli nie wszystkie, wyeksponowano już za granicę. O której zaczyna się pańskie zebranie?

– O ósmej trzydzieści. Przez tę godzinę, która nam pozostała, chciałbym dowiedzieć się od pana jak najwięcej. Omówić najbardziej wartościowe przedmioty, które zabrano z domu pani

McWhirter, i to, na ile były unikatowe, oraz poznać ich cechy charakterystyczne. Także, korzystając z pańskiego doświadczenia, chciałbym dowiedzieć się, w jaki sposób mogą być przewożone i które agencje zagraniczne są w stanie pomóc nam je zlokalizować. Poproszę też pana, by pomógł mi pan ustalić pewne kryteria dla mojego zespołu i ekspresowo nas podszkolił na temat tego, jak działa światowy rynek antyków.

Ciężarówka supermarketu ASDA wjeżdżała z łoskotem na wzgórze widoczne za oknem. Ekspert podmuchał na kawę, po czym wypił łyk.

– Raczej: jak działa światowy czarny rynek antyków, to będzie chyba bardziej pomocne.

– Chętnie się tego od pana dowiem.

– Przede wszystkim trzeba panu wiedzieć, że drobne przedmioty o niedużej wartości, takie jak porcelana, biżuteria, obrazy, platery, rzeczy warte najwyżej kilkaset funtów, w mieście takim jak Brighton mogą z łatwością być upłynniane przez paserów, bo pełno tu kramów i sklepików ze starociami. Jednak ważne dzieła sztuki widnieją obecnie, wraz z fotografiami i szczegółowym opisem, w międzynarodowych rejestrach, które prenumeruje każdy szanujący się handlarz. Żaden nie chciałby tknąć kradzionej rzeczy.

– A więc to działa na naszą korzyść? – spytał Grace.

– Tak i nie. W rzeczywistości jest tak, że kradzione przedmioty wędrują do podziemia, no i klops. Większość z nich, jeśli nie wszystkie, jest kradziona na zlecenie czy zamówienie prywatnych nabywców. Za dwadzieścia, trzydzieści lub pięćdziesiąt lat, kiedy ci nabywcy zechcą sprzedać kradzione przedmioty, dawno nie będą figurowały w rejestrze.

– Gdzie zaczniemy szukać?

– Rozumiem, że bratem pani McWhirter jest Gavin Daly?

– Tak.

Znawca antyków pokiwał głową.

– Ma doskonałą reputację. Niegdyś był jednym z najważniejszych handlarzy antyków w tym kraju, a do tego bardzo szanowanym. – Uśmiechnął się. – Chociaż trochę też draniem.

– Co? – Te słowa eksperta zainteresowały Grace'a.

– Tak jak większość starych handlarzy w Brighton. Działali w kartelu o nazwie Krąg i zbierali się razem, by na przykład ustawiać ceny na aukcjach. Ale to nie ujmuje Gavinowi Daly’emu znawstwa. Z listy przedmiotów skradzionych z domu pani McWhirter wynika, że miała przepiękne rzeczy. Najwyraźniej ktoś doradzał jej przy zakupie... pewnie brat. Jednak, jak wszyscy, miała też mniej wartościowe przedmioty. – Uniósł palec. – Myślę, że najpierw warto poszukać tam, gdzie najłatwiej.

– Najłatwiej?

Grace zmarszczył brwi i upił łyk kawy. Na dworze siąpił deszcz i w pomieszczeniu zrobiło się chłodno. Niemal jesienne. Za drzwiami, w dużej otwartej przestrzeni biurowej, ćwierkał nieodbierany telefon. Grace czuł się potwornie zmęczony, wiedział, że trudno mu będzie przebrnąć przez ten cały długi dzień, ale nie miał wyjścia, musiał dalej pracować nad tą sprawą. A co ważniejsze, chciał nad nią pracować. Chciał dorwać drani, którzy to zrobili. Nawet bardzo.

– No cóż, sądząc po tym, ile zabrano, oraz po rozmiarze niektórych przedmiotów, możemy przypuszczać, że było tam co najmniej dwóch mężczyzn, a prawdopodobnie nawet trzech czy czterech. Z tego, co wiem, kiedy wynajęci ludzie dokonują kradzieży na zamówienie, niemal zawsze przy okazji zgarniają dodatkowe przedmioty, których nie mają na liście, a potem sprzedają je paserom, żeby jeszcze coś zarobić ekstra. – Wypił łyk kawy. – Niemal na pewno pani McWhirter miała dla celów ubezpieczenia sfotografowane wszystkie przedmioty z każdego pokoju. Jeśli dotrze pan do tych zdjęć, będzie pan mógł sprawdzić, co skradziono, a co pozostało w domu, poza przedmiotami o wielkiej wartości, które jej brat już zidentyfikował. Jeżeli brakuje jakichś innych rzeczy, rozesłałbym funkcjonariuszy z tymi zdjęciami po antykwariatach i kramach ze starociami, a nawet po okolicznych wyprzedażach garażowych, a także zleciłbym dokładne przeczesanie aukcji na eBayu.

Grace zrobił parę notatek.

– Mówiąc o „kradzieży na zamówienie”, zakłada pan, że mamy do czynienia z osobami dobrze poinformowanymi.

Ekspert skinął głową.

– Wspomniał pan, że znaleziono w domu ofiary ulotkę reklamową wyłudzacza?

– Tak. Niejakiego R.C. Moore’a.

– To bardzo typowe – stwierdził Stuart-Simmonds. – Wyłudzacz czaruś dostaje się podstępnie do czyjegoś domu i widzi skarbnicę pięknych przedmiotów. Robi notatki, a często również ukradkiem fotografuje. Potem sprzedaje adres i spis przedmiotów. Niektórzy z wielkich graczy mają kontakty w firmach ubezpieczeniowych, to znaczy przekupionych pracowników, i w ten sposób otrzymują pełny wykaz cennych rzeczy.

– Interesujące – powiedział Grace. – Jedyńm nieubezpieczonym przedmiotem był zegarek kieszonkowy.

– A niby z jakiego powodu?

– Właśnie pan podał ten powód. Gavin Daly uznał, że jeśli zegarek będzie zarejestrowany w firmie ubezpieczeniowej, stanie się celem. Nikt nie wiedział, że pani McWhirter trzyma go w sejfie. Poza tym sejf był świetnie ukryty, podwójny. Daly sam go zaprojektował.

– Podwójny?

– Tak, bardzo sprytny. Po jego otwarciu wydaje się, że nic więcej tam nie ma. Ale tylna ścianka jest fałszywa. Jak włoży się w nią klucz imbusowy, przekręci i otworzy, ukazuje się drugi szyfrowy zamek. Ta fałszywa ścianka mogłaby zwieść każdego włamywacza.

Rzeczoznawca wciągnął policzki i dopiero po dłuższej chwili się odezwał:

– Gdyby nie wiedzieli o zegarku, to nie byłoby włamanie na zamówienie. Bez względu na to, czy oddali go temu, kto ich wynajął, czy spróbują sami go sprzedać, Patek Philippe z roku tysiąc dziewięćset dziesiątego jest cholernie rzadkim okazem. Sądzę, że odnalezienie ewentualnych kupców powinno stać się głównym kierunkiem śledztwa, nadinspektorze. Ten zegarek na pewno doprowadzi pana do sprawców.

– O ile wypłynie... – powiedział Grace.

– Ależ tak, zapewniam pana. To może być najcenniejszy z przedmiotów, które ukradli, ale również jest dla nich najbardziej niebezpieczny.

25

NIE MUSISZ BYĆ SZALONY, BY TU PRACOWAĆ. ALE TO POMAGA!

W niektórych biurach zamieszczało się taki napis dla żartu, ale nie tutaj. Trzeba było mieć świra, by wykonywać tę pracę. Naprawdę. Świr to chyba najlepsze określenie, pomyślał Gareth Dupont. A on miał niezłego świra, wiedział o tym. Kiedyś ćpał i siedział w ciupie za ciężkie uszkodzenie ciała – palant, któremu spuścił łomot, zasłużył sobie na to, podszczypując w pubie jego dziewczynę, ale może nie było to warte dwóch lat odsiadki i spaskudzenia sobie papierów, myślał. A ostatnio siedział dłużej za włamanie.

Gareth Dupont miał trzydzieści trzy lata. Był przystojny, miał oliwkową cerę i lśniące czarne włosy, które zawdzięczał hiszpańskim genom po matce, oraz umięśnione ciało, które uzyskał dzięki obsesyjnym treningom w siłowni i namiętności do salsy. Zarobił mnóstwo forsy w hiszpańskiej firmie prowadzącej telefoniczną sprzedaż lipnych papierów wartościowych, ale większość zarobków wciągnął nosem. Do piątku sprzedawał izolację cieplną poddaszy, a teraz, na początku tego nowego tygodnia, po długim weekendzie, zaczął sprzedawać przestrzeń reklamową w czasopismach klubów sportowych dla działającej w Brighton firmy Mountainpeak Publishing. Poza tym miał pewną fuchę, która mogła od czasu do czasu przynosić ładne pieniądze. No i sporo mówił do Boga. Bóg czasem odpowiadał, ale nie tak często, jak Dupont by sobie tego życzył. Uznał, że Bóg ostatnio nie jest z niego zadowolony. Całkiem słusznie. Ale przecież nie można być wiecznie doskonałym. Bóg musi to zrozumieć.

Po szkole rozważał zostanie mnichem. Jednak w ostatniej chwili uświadomił sobie, że za bardzo lubi kobiety. A także alkohol. No

i kokainę. Oraz pieniądze, za które można to wszystko kupić. Ale zawsze coś go ciągnęło. Do mnisiej celi. Do sanktuarium. Pewnego dnia, lecz jeszcze nie teraz. Na razie sprzedaż telefoniczna dawała mu niezły dochód, którego potrzebował, bo zawsze był spłukany przed końcem każdego weekendu, a tym bardziej po długim weekendzie. Spłukany i zazwyczaj skacowany. A dziś był bardzo spłukany i miał okropnego kaca.

No i był zakochany.

Ej, ale od tego właśnie są weekendy, czyż nie? Trzeba się bawić i uchlewać – aha, no i chodzić do kościoła, lecz im mniej się o tym gada, tym lepiej. Zaczynał myśleć, że kościół to jednak nie dla niego. Nie bawiło go spędzanie czasu w towarzystwie starszych pań ze szpilkami w kapeluszach i starych proboszczów z klekoczącymi sztucznymi szczękami albo wśród innych świętoszkowatych oszołomów. Można kumać się z Bogiem bez kościoła, prawda? Bóg jest wewnątrz ciebie: w twoim sercu, w twojej głowie, w twoich oczach.

Bóg przejawiał się też przez Suki Yang. Była pochodzenia chińsko-amerykańskiego, a w Anglii pracowała w firmie mediowej. Poznał ją pod koniec piątkowej nocy w najmodniejszym w Brighton barze Bohemia. Przespali się w sobotę nad ranem, a potem przez resztę weekendu ostro się pieprzyli, wspomagając różnym towarem, który połykali albo wdychali.

Pewien problem stanowiły kłamstewka, którymi ją poczęstował. Na przykład nie wspomniał o innej pani, z którą się spotykał. Poza tym nie był właścicielem mieszkania, jak twierdził, tylko je wynajmował, a w obecnej chwili nie miał nawet forsy na kolejne opłaty kwartalne, które przypadały za siedem tygodni. Skłamał też, że ma świetną pracę w mediach. No cóż, Mountainpeak to była firma z branży mediów. Tak jakby.

W biurze na drugim piętrze budynku, który znajdował się w strefie przemysłowej, tuż za portem Newhaven, szesnaście kilometrów na wschód od Brighton, pracowało sześć – wyłącznie męskich – zespołów, każdy złożony z pięciu telemarketerów i menedżera. Wszyscy byli bez marynarek, niektórzy mieli poluzowane krawaty, inni koszule rozpięte pod szyją; siedzieli przy nijakich, nowoczesnych biurkach. Nikt tutaj, poza sympatycznym

szefem, Alanem Priorem, siedzącym po drugiej stronie biura, nie przekroczył trzydziestego piątego roku życia. Wszyscy mieli przed sobą płaskie monitory, klawiatury, telefony, kubki z kawą i butelki z wodą. Była dziewiąta trzydzieści i Gareth siedział przy biurku zaledwie od pół godziny, ale miał wrażenie, jakby ranek trwał już wiele godzin. Jak dotąd dziewięć telefonów i zero sprzedaży. Może tym razem dopisze mu szczęście.

Possał strupek na prawym kłykciu, a potem wybrał numer, który miał przed sobą, zrzucając na Boga odpowiedzialność za rozmowę, kiedy ktoś odebrał. Hej, mimo wszystko coś mu się od Boga należało. „To na twój rachunek, Boże”, wymamrotał bezgłośnie, przymykając na chwilę oczy.

Usłyszał kobiecy głos, ostry i oschły. Już po sposobie, w jaki ludzie odbierali telefon, można było poznać, czy zapowiada się trudna, czy łatwa sprzedaż. Ta od razu wydała się trudna. Gareth zerknął na leżący przed nim scenariusz rozmowy i odczytał początek różnym i radosnym tonem.

– Witam, mówi Gareth Dupont. Dzwonię w imieniu Klubu Golfowego Północnego Brighton. Czy mogę mówić z właścicielem firmy albo osobą odpowiedzialną za marketing i reklamę?

Cisza po drugiej stronie linii. Pomyślał, że może ta krowa już się rozłączyła. Jednak w końcu się odezwała:

– O co dokładnie chodzi?

Przerzucił scenariusz, by znaleźć właściwą odpowiedź, po czym odczytał ją, wciąż tak samo śmiałym i dziarskim tonem.

– Dzwonię, ponieważ za kilka miesięcy wydajemy oficjalny roczny prospekt Klubu Golfowego Północnego Brighton i będzie miał on szeroką dystrybucję w całej okolicy. Dotrzemy do tysięcy domostw i większości miejscowych firm, nie wspominając o samym klubie.

– Nasza firma nie ma żadnych powiązań z golfem – odparła lodowato rozmówczyni.

– No cóż, może się pani tak wydawać. Jednak poproszono mnie, abym wyszukał renomowane firmy i zaoferował im możliwość zaangażowania się w ten projekt. Państwa szczególna kategoria doskonale tu, w naszym przekonaniu, pasuje. Nasza publikacja jest adresowana do grupy demograficznej zamożnych ludzi, których

stać na płacenie za wasze usługi, a proszono mnie, bym się upewnił, że przystąpią do tego projektu wyłącznie godne zaufania i fachowe firmy. Do mnie należy zadbanie o to, by w całej publikacji znalazła się tylko jedna firma reprezentująca daną branżę lub grupę zawodową. To dosłownie wyklucza wszystkich waszych konkurentów i oznacza, że jesteście jedyną dostępną firmą, do której można się zwrócić.

– Jesteśmy przedsiębiorcami pogrzebowymi – odparła kobieta. – Dlaczego mielibyśmy się reklamować w prospekcie klubu golfowego?

– W klubie jest wielu członków w podeszłym wieku. Prędzej czy później umrą. Pokrótkce wyjaśnię teraz pani...

Rozległo się kliknięcie.

Ta suka się rozłączyła.

„Dzięki, stary”, powiedział bezgłośnie Gareth Dupont do Boga. Spojrzał na kolejne nazwisko na liście, upił łyk wody i wystukał numer.

* * *

Do piątej, kiedy praca w biurze się kończyła, Gareth zdołał sprzedać pół strony firmie podłogowej o nazwie D. Reeves z siedzibą w Portslade. Wiedział, że nie jest to dobry start w nowej pracy. Ale, hej, może jutro będzie lepiej. Musi być.

Wyszedł z biura, włożył ray-bany dla ochrony przed intensywnym popołudniowym słońcem, wsiadł do czarnego kabrioletu porsche, który miał w leasingu, uruchomił silnik i opuścił dach. Przez chwilę siedział zadumany. Myślał o czynszu za mieszkanie i kolejnej racie za wynajęcie porsche. Może przydałoby się pomodlić, bo nie robił tego od jakiegoś czasu, przynajmniej na serio. Chociaż zawsze uważał, by nie modlić się tuż po tym, jak złorzeczył Bogu. Lepiej zachować pewien dystans.

Ruszył w kierunku Newhaven. Nagle, kiedy przedzierał się przez miasto, zmierzając ku drodze biegnącej wzdłuż wybrzeża, którą dotrze do swojego domu w Marina Village, jego uwagę przyciągnął

nagłówek w gazecie „Argus” wystawionej przed kioskiem z prasą. Wielkie czarne litery obwieszczały:

MORDERSTWO McWHIRTER NAGRODA £ 100 000

Ignorując jadący za nim samochód, Gareth Dupont wcisnął hamulec i zjechał na krawężnik. Wbiegł do kiosku, kupił gazetę, po czym stanął przed wejściem, by przeczytać sensacyjne ogłoszenie na pierwszej stronie, nie zważając na to, że jego samochód powoduje korek na wąskiej ulicy.

Gavin Daly, brat Aileen McWhirter, która została zamordowana w zeszłym tygodniu w swojej posiadłości przy Withdean Road, zaoferował nagrodę w wysokości stu tysięcy funtów za informację prowadzącą do zaareztowania i skazania brutalnych zabójców jego siostry.

Gareth czytał dalej. Podano numer telefonu centrum koordynacyjnego wydziału śledczego oraz drugi, do Crimestoppers, dla anonimowych informatorów.

Uśmiechnął się szeroko. Czasem jednak ma się trochę szczęścia w życiu! „Dzięki, Boże. Wszystko przebaczam!”, wymówił bezgłośnie.

26

Technicy kryminalistyki zakończyli badanie miejsca zbrodni w domu jego siostry i ustalono grafik strażników. Teraz, o szóstej po południu, pod bezchmurnym niebem, Gavin Daly siedział na tylnym siedzeniu swego mercedesa, na początku drogi dojazdowej prowadzącej do domu.

Żółte tablice policyjne zostały ustawione w niewielkiej odległości od siebie, po obu stronach drogi, a na każdej widniał taki sam napis:

CZY BYLIŚCIE TUTAJ MIĘDZY 18.00 A 22.30 W ZESZŁY
WTOREK, 21 SIERPNIĄ? CZY WIDZIELIŚCIE TU
FURGONETKĘ?
JEŚLI TAK, PROSIMY O KONTAKT Z POLICJĄ I POŁĄCZENIE
Z CENTRUM KOORDYNACYJNYM OPERACJI FLĄDRA.
01273 470101
ALBO O ANONIMOWY TELEFON DO CRIMESTOPPERS
POD NUMER:
0800 555 111

Polecił szoferowi zawieźć się pod dom. Następnie wysiadł, powiedział kierowcy, by odjechał i że zadzwoni, jeśli będzie go znów potrzebował, po czym ruszył ku ścianie frontowej cichego domu i wszedł na ganek.

Ręka mu drżała, kiedy wkładał klucz do zamka w drzwiach wejściowych, i czuł, że ściska go w gardle.

Zawahał się, niepewny, czy rzeczywiście chce wejść do środka. Tylko że miał tam coś do zrobienia. Wieczór był ciepły, ogród rozbrzmiewał śpiewem ptaków i bzyczeniem os, latały motyle i dało się słyszeć poświstywanie niewidocznego spryskiwacza do trawy

u sąsiadów. Za kilka dni nastąpi koniec lata. Ile jeszcze razy zobaczy lato? – zastanawiał się.

Ile jeszcze razy chciałby je zobaczyć?

I czy w ogóle?

Wszyscy ludzie, których kochał, już nie żyli. Matka zginęła pod gradem kul w sypialni. Ojca wywleczono stamtąd i uprowadzono. Pochował dwie żony i szwagra. Teraz, kiedy koroner wyda ciało, pochowa również siostrę.

Nie wiedział, ile jeszcze lat mu pozostało, zanim syn go pogrzebie. Nadal mógł się poruszać, wprawdzie chodząc o lasce, ale całkiem żwawo. Dzięki umiejętnościom miejscowego chirurga plastycznego jego twarz wyglądała o dwadzieścia lat młodziej, niż wskazywała metryka. Pokonał problemy z sercem dzięki trzykrotnie zakładanym bajpasom, chociaż cierpiał teraz na dusznicę. Usunięto mu prostatę. Osiągnął to, co się nazywa sędziwym wiekiem. Ale on czuł się po prostu zgrzybiały.

I niespełniony.

Przekręcił klucz w zamku i pchnął drzwi, po czym wszedł do środka, uważnie wspierając się na lasce, by zachować równowagę na metalowych płytach ułożonych przez techników kryminalistyki. Zapachy unoszące się w tym miejscu natychmiast pogłębiły jego smutek. Starość. Pasta do mebli. Butwiejące tkaniny. I nowe zapachy chemikaliów użytych przy badaniu miejsca zbrodni. Spojrzał na puste miejsce, ciemniejsze niż reszta podłogi, w którym przez wiele dziesiątków lat stał wyjątkowo ładny stoliczek. Potem na prostokąty na ścianach, gdzie kiedyś wisiała olśniewająca kolekcja obrazów. W pomieszczeniu panowała cisza tak ciężka, że czuł się, jakby ktoś zarzucił mu na ramiona gruby płaszcz.

Ciotka w każdą niedzielę zabierała jego i Aileen do kościoła. Tyle że jako dziecko nie miał czasu na religię. A teraz miał go nawet jeszcze mniej. Jasne, był czas, gdy czuł się szczęśliwy – a przynajmniej zadowolony. Był jednym z większych graczy na rynku antyków w kraju. Lubił podejmować gości, poznawać sławnych ludzi, zawierać przyjaźnie z klientami. Ale wszystko przyćmiewał smutek z powodu tego, że nie mogli mieć z Ruth dzieci. Nazwisko Daly miało przetrwać tylko dzięki temu idiotcie, jego synowi z pierwszego małżeństwa, z Sinead.

Teraz, kiedy rozglądał się po opustoszałym wnętrzu, odnosił wrażenie, że życie zakrawa na jakiś podły żart. Test z wytrzymałości. Każdy z nas jest Hiobem, jeśli odwołać się do Starego Testamentu.

No cóż, jedyna rzecz, którą był zdecydowany zrobić, to odzyskać ten przedmiot, nawet jeśli go to zabije. I miał nazwisko, od którego mógł zacząć poszukiwania. Nazwisko bardzo podłego gnojka.

Wszedł do salonu o ścianach pokrytych spłowiałą zieloną tapetą w wypukły wzór, z zielonymi kanapami i fotelami. Kolejne plamy na ścianach. Marmurowe obramowanie kominka, które kiedyś zdobiła przepiękna rzeźba Giacomettiego, było puste, zostało jedynie oprawione w ramkę zdjęcie pochodzące ze szczęśliwszych czasów.

Aileen, piękna czarnowłosa dwudziestoosmiolatka, z miłością swego życia, Bradleyem Walkerem, pilotem United States Air Force, o wyglądzie Cary'ego Granta. Latał jako pilot bombowca B24 w trakcie operacji Tidal Wave, wielkiej i nieudanej misji mającej na celu zbombardowanie rafinerii naftowych wokół Ploeszti w Rumunii, w sierpniu 1943 roku. Lecił w jednym z pięćdziesięciu czterech samolotów Liberator, które nie powróciły, a on był jednym z setek lotników uznanych za zaginionych, prawdopodobnie zabitych.

Przez wiele lat Aileen żywiła nadzieję, że jakimś cudem mimo wszystko przeżył. Jakoś się trzymała. Lepiej, niż on kiedykolwiek potrafił. Cóż to była za kobieta! Wiele kobiet zdawało się mieć wewnętrzną siłę, której brakowało mężczyznom.

Wspiął się po schodach na podest, minął kaloryfer, do którego Aileen była przez dwa dni przykuta, po czym wszedł do jej sypialni, znajdującej się naprzeciwko. Po śmierci męża zastąpiła podwójne małżeńskie łóżko pojedynczym. Wyglądało dziwnie w tym wielkim pokoju, który nadal zachował jej nikły zapach. Oparty o poduszki stał Pan Stuffykins, sfatygowany, jednooki i jednouchy miś, którego przywiozła z Nowego Jorku. Zakarbował sobie w pamięci, by koniecznie włożyć go jej do trumny. Wyjął z komody parę długich czarnych rękawiczek od Cornellii James, które także chciał włożyć do trumny. Aileen byłaby zadowolona, pomyślał. Zawsze uważała, że kobieta nie jest odpowiednio ubrana, jeśli nie ma rękawiczek.

Zaszedł na chwilę do łazienki, a potem udał się na dół, do zastawionego książkami gabinetu.

Najpierw zajrzał do otwartego sejfu w ścianie, by po raz kolejny sprawdzić, czy czegoś nie przeoczono. Jednak sejf był pusty. A widok ciemnej czeluści sprawiał mu ból i doprowadzał go do wściekłości. Wcześniej leżał tam zegarek kieszonkowy ich ojca. Jedyny osobisty przedmiot, jaki im po nim pozostał.

Usiadł przy orzechowym biurku Aileen. Czarne pióro marki Parker w podstawce ozdobionej złotymi literami HSBC – prawdopodobnie prezent gwiazdkowy od banku, sprzed wielu lat – tkwiło na skórzanej podkładce do pisania. W stojących na niej niewielkich owalnych ramkach znajdowały się fotografie męża Aileen, jej dzieci i jego samego. Szuflady były zapchane korespondencją, rachunkami, znaczkami. Zobaczył też niezapisaną kartkę niebieskiego papieru listowego z nagłówkiem, z kopertą obok, oraz czystą kartkę urodzinową. List, który zamierzała do kogoś napisać i który nigdy nie zostanie napisany, kartka, która nie będzie wysłana. Zauważył, że zniknął terminarz siostry, i przyjął, że zabrała go policja.

Wyciągnął jedną z głębokich bocznych szuflad i nagle, wraz z lekkim zapachem drewna, znów pochwycił zapach Aileen. Po kilku chwilach grzebania w papierach wydobył oprawny w skórę album zawierający zdjęcia najbardziej wartościowych przedmiotów w domu, głównie ze względów ubezpieczeniowych. Siostra miała piękną kolekcję obrazów olejnych, zegarów i mebli, przy których zakupie jej doradzał, a część z nich sam kupił niemal za bezcen na ustawianych aukcjach.

Położył album przed sobą i otworzył. Pierwsze zdjęcie przedstawiało nieubezpieczony złoty zegarek kieszonkowy marki Patek Philippe, z przyczepioną cienką złotą dewizką, którą ojciec nosił na kamizelce. Szkiełko było popękane, koronka przekrzywiona, a naciąg manualny uszkodzony. Nie widział zegarka od dawna, od kiedy przeniósł go do sejfu Aileen. Jednak nadal potrafił odtworzyć sobie wyraźnie każdy szczegół. Ostatni raz oglądał zegarek, żeby sprawdzić numer seryjny, gdy stał się ekspertem od zegarków i zrozumiał, że ten może być bardzo cenny. Miał rację.

Zegarek był niezwykle rzadki i, nawet zepsuty, wart obecnie co najmniej dwa miliony funtów. Nie żeby Aileen czy on potrzebowali pieniędzy albo kiedykolwiek chcieli go sprzedać. Oboje chcieli zachować go w takim stanie, w jakim był w dniu, gdy Gavin go dostał. Często myślał o tym, by go naprawić i używać, nosić z dumą, ale nigdy nie mógł się na to zdobyć. Przez ten zepsuty zegarek czuł więź z ojcem i bał się ją stracić.

Nigdy nie zadawał sobie pytania, jak jego ojciec, skromny doker, wszedł w posiadanie czegoś tak wartościowego. Niemal na pewno gdzieś to ukradł.

Jako wykonawca testamentu siostry, Gavin wiedział, że wszystko zostawiła wnuczce, oprócz pewnych zapisów dla swojego personelu i na cele dobroczynne. Kiedy wpatrywał się w zegarek, łzy napłynęły mu do oczu i wrócił do niego głos z przeszłości, niczym duch. To było bardzo, bardzo dawno temu.

Nabrzeże Manhattanu w 1922 roku. Gdy tam stał, mały chłopiec, z siostrą i ciotką, przez tłum przepchnął się młodzieniec w czapce i wcisnął mu w ręce torbę z grubego brązowego papieru, w której znajdował się rewolwer, zegarek i pierwsza strona wyrwana z gazety.

„Patrz na cyfry”.

Przez dziewięćdziesiąt lat usiłował odgadnąć, co ten chłopak miał na myśli. Bał się, że odejdzie do grobu, nigdy się tego nie dowiedziawszy.

Łzy spłynęły mu po policzkach. Poczuł nieznośną pustkę.

Zapatrzył się na zdjęcie zegarka. „Mam zamiar cię odzyskać – obiecał w duchu. – Nie obchodzi mnie, ile to będzie kosztowało, i tak cię odzyskam”.

Gareth Dupont lubił nowoczesne kościoły. A szczególnie kościół pod wezwaniem Dobrego Pasterza w Portslade. W dzieciństwie mieszkał w tej dzielnicy zachodniej części Brighton, w głębi łądu, za portem Shoreham, i zawsze ciągnęło go do tego ostrego, kanciastego budynku z cegły. Bóg lubi pewnie nie tylko stare rzeczy, myślał sobie. Zawsze czuł, że łatwiej mu się skomunikować z Bogiem właśnie tutaj, a nie w jakimś zakurzonym starym miejscu.

Wszedł do środka, pod napisem, który głosił: W TYM KOŚCIELE NIE MA OBCYCH, SĄ TYLKO PRZYJACIELE, KTÓRYCH JESZCZE NIE ZNASZ. Wciągnął w płuca zapach suchego drewna, pasty i wosku, przeszedł krótki odcinek między ławkami, po czym usiadł, kładąc obok siebie egzemplarz „Argusa”. Potem uklęknął, zamknął oczy i złożył dłonie, jak nauczyła go matka, w sposób odpowiedni do modlitwy. Właściwie powinien być w kościele katolickim, ale on wolał anglikański i uważał, że dla Boga to jest okay. Szczególnie że dla kościoła anglikańskiego, dzięki Henrykowi VIII, rozwody były okay, a co za tym idzie niewierność też. A on obecnie kręcił z dwiema paniami: jedną samotną i jedną bardzo zamężną. Igrał z ogniem. Lubiał ogień.

Kiedy wyszedł z kościoła, była dziewiętnasta piętnaście. Musiał pędzić do domu, żeby wziąć prysznic i przebrać się: o ósmej miał podjechać po Suki Yang i zabrać ją na kolację do Spoons. Kilka godzin wcześniej gryzłby się tym, że zabiera ją do tak kosztownego lokalu, i zastanawiał, czy nie iść do jakiegoś tańszego. Ale teraz czuł się o wiele pewniej.

Wsiadł do swojego porsche, ale zostawił dach nasunięty, i wystukał numer w telefonie.

Usłyszał znajomy chłodny, nieprzyjazny głos.

– Mówi Gareth Dupont – powiedział.

- Nie lubię, jak ktoś dzwoni na moją komórkę. Czego chcesz?
 - Właśnie widziałem dzisiejsze wydanie „Argusa”.
 - No i co z tego?
 - To dość kuszące.
 - Odbiło ci?
 - Wcale nie. Chciałbym pogadać o interesach. Może...
przenegocjować warunki?
 - Nie będę dłużej rozmawiał przez ten telefon. Spotkajmy się
w pubie Albion przy Church Road w Hove, o ósmej.
- Dupont pomyślał o randce z Suki Yang.
- O ósmej będzie trudno.
 - Nie, dla mnie nie będzie.

Trudie's to jedna z niewielu zalet Sussex House, pomyślał Roy Grace. Siedziba dawnego wydziału kryminalnego – obecnie przemianowanego, we wciąż podlegającym zmianom policyjnym świecie, na wydział sprawiedliwości i zwalczania przestępczości – znajdowała się w ponurej strefie przemysłowej. Ale ta mobilna kawiarnia, usytuowana w pobliżu, serwowała najlepsze w całym hrabstwie kanapki z bekonem, a poza tym miała najweselszy personel. Chociaż Cleo robiła, co mogła, by przekonać go do zdrowego jedzenia, Roy Grace, jadąc o siódmej rano do pracy, kupił sobie u nich kanapkę ze smażonym jajkiem i bekonem.

Potem jednak zagłębił się w rejestr poważnych przestępstw w Sussex, odpowiadał na setki mejli i kolejne pytania prokuratury o sprawę Vennera, więc zapomniał o jedzeniu.

Dopiero teraz przeżuwał kanapkę, która była już zimna, i popijał ją kawą, siedząc elegancko ubrany w głównym centrum koordynacyjnym i przeglądając notatki związane z operacją Flądra, kiedy czekał na zebranie się swojego zespołu i słuchał szumu ulewnego deszczu na zewnątrz. Nazwy operacji nadawał na chybił trafił komputer policji Sussex. Aktualnie przerabiał ryby. Grace pomyślał, że flądra wyjątkowo mu pasuje, bo wykończony po kolejnej bezsennej nocy z Noahem, czuł, że brnie przez tę sprawę, jakby poruszał się w mule.

Minął tydzień od śmierci Aileen McWhirter. Ustalono, że kradzież nastąpiła między szóstą a dziewiątą wieczorem we wtorek, dwudziestego pierwszego sierpnia. Zakładając, że było trzech sprawców, wyliczono, że potrzebowaliby kilku godzin, by wynieść i załadować do samochodu rzeczy, które ukradli. Sprawcy rozplynęli się w powietrzu, wraz z antykami i dziełami sztuki wartymi dziesięć milionów funtów. A za pięćdziesiąt minut

Grace miał poinformować swego krewkiego przełożonego, Rigga, zastępcę komisarza, o postępach w śledztwie.

Super.

Roy Grace uwielbiał prowadzić dochodzenia w sprawie morderstw i chciał się tym zajmować do końca swej kariery zawodowej. Był zafascynowany zabójstwami od pierwszego śledztwa, w którym uczestniczył przed wielu laty, jako młody policjant. Zazwyczaj na początku każdego nowego dnia śledztwa czuł przypływ energii, bez względu na to, jak późno się położył. Jednak tego ranka ledwie mógł się skupić, z powodu „odmóżdżenia poniemowlęcego”.

Wpatrzył się w dużą kolorową fotografię przyczepioną do tablicy. Na zdjęciu widniała pomarszczona, lecz nadal przystojna twarz starszej pani. Na tablicy obok znajdowały się wykonane przez techników kryminalistyki zdjęcia trzech różnych odcisków butów oraz katalogowe fotografie sportowego obuwia, od którego pochodziły, a pozostałe dwie tablice były prawie całe pokryte zdjęciami zabytkowych mebli, obrazów i biżuterii – rzeczy, które skradziono z domu przy Withdean Road.

Elegancko ułożone siwe włosy Aileen McWhirter były spięte klamerką wysadzaną rubinami. Niebieskie oczy o przenikliwym, lecz serdecznym spojrzeniu spoglądały zza szkieł okularów w szylkretowej oprawie. Miała na sobie białą bluzkę z haftowanym kołnierzykiem i kolczyki z perłami, a na pomarszczonej szyi widać było zabytkowy perłowy naszyjnik. Wyglądała pogodnie, mądrze i elegancko.

Pomyślał, że kiedyś musiała być bardzo piękna. Każdy byłby dumny, mając taką babcię. W trakcie swej kariery nabrał szczególnej nienawiści do drani, którzy naruszają domowy azyl, a jeszcze bardziej do tych, którzy krzywdzą bezbronnych starych ludzi.

Pomyślał o małym albumie ze zdjęciami z miejsca zbrodni, który leżał w szufladzie jego biurka, zamknięty na klucz, by nie natknęła się na niego jakaś ciekawska sprzętaczką. Chociaż Grace był uodporniony na różne straszne widoki, ledwie mógł znieść niektóre ze zdjęć zrobionych w kostnicy przez technika kryminalistyki Jamesa Gartrella. Myśląc teraz o tych zdjęciach pokazujących

straszne rany, jakie zadano starszej pani, skrzywił się ze złości i odrazy.

Osiemnaście miesięcy przed swoimi setnymi urodzinami – i otrzymaniem tradycyjnego pisma od królowej – Aileen McWhirter padła ofiarą napaści tak niebywale brutalnej, że nawet najbardziej zaprawieni członkowie zespołu śledczego byli wstrząśnięci. Autopsja wykazała, że staruszka miała na ciele ślady po oparzeniach lokówką znaną na podłodze w jej sypialni.

Jednak sekcja nie ujawniła wiele na temat sprawców. Denatka nie miała naskórka pod paznokciami, co oznaczało, że nie udało jej się podrapać żadnego z nich. Szkoda, stwierdził w duchu Grace. Miło byłoby pomyśleć, że zdołała wyłupić któremuś z nich przynajmniej jedno oko.

Jedynymi śladami znalezionymi w domu były odciski trzech par butów, które nie pasowały do podeszew obuwia żadnego ze stałych bywalców – gosposi przychodzącej dwa razy w tygodniu, ogrodnika, Sarah, czyli żony jej bratanka Lucasa, oraz jej brata. Kopie odcisków wysłano do podiatry specjalizującego się w ekspertyzach kryminologicznych, Haydna Kelly’ego, który wcześniej dokonał dla Roya Grace’a niezwyklej identyfikacji chodu, przy wykorzystaniu najnowszej technologii, i znaleziono buty sportowe pasujące do tych, które prawdopodobnie nosili sprawcy.

To dziwne, pomyślał, ale w ciągu tych dwóch miesięcy od narodzin Noaha przemoc poruszała go jak nigdy wcześniej. W jednej z wielu przeczytanych przez niego książek na temat rodzicielstwa uprzedzono, że tak właśnie będzie.

Nad zdjęciem, które miał przed sobą na tablicy, było napisane wielkimi literami, wyraźnie, choć niestarannie, czarnym markerem:

OPERACJA FLADRA

ZMARŁA: AILEEN McWHIRTER, UR. 24 KWIETNIA 1914

CZAS ZAJŚCIA (SZACOWANY)

NIEDZIELA, 19 SIERPNIĄ – ŚRODA, 22 SIERPNIĄ

Poniżej znajdował się dostarczony przez brata zmarłej, Gavina Daly'ego, wykaz przedmiotów, co do których miał on pewność, że zostały skradzione z domu siostry.

Jednak w tej chwili Roya Grace'a zaabsorbowały dwie strony wydruku komputerowego, ukazujące standardowe drzewo genealogiczne.

Prześledził linie poziome, a potem pionowe. Czarna pozioma linia ze strzałką prowadziła do Gordona Thomasa McWhirtera. Urodzonego 26.03.1912. Grace domyślił się, że to był jej mąż.

Czerwona strzałka szła w dół i wskazywała nieżyjące już dzieci, a kolejna biegła do wnuczki. Po lewej stronie pionowa czerwona strzałka wiodąca w górę wskazywała Brendana Daly'ego i Sheenagh Daly. Pod Sheenagh Daly było napisane: urodzona 19.09.1897, zmarła 18.02.1922. Pod Brendanem Dalym: urodzony 07.08.1891. Zaginiony, prawdopodobnie zmarły.

Zmarszczył brwi, myśląc znów o książkach w bibliotece Aileen McWhirter, dotyczących wczesnej historii Nowego Jorku.

– Widziałeś film *Gangi Nowego Jorku*? – spytał Glenn Branson, który niespodziewanie stanął za jego plecami.

Grace odwrócił się.

– Kiedyś, ale zasnąłem w trakcie.

Branson wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– No cóż, to się zdarza w twoim wieku.

– Spadaj!

Branson poklepał go po ramieniu.

– Nie bierz tego do siebie: to fakt.

Grace łypnął na niego ze złością.

– Film dotyczy wprawdzie wcześniejszego okresu, ale pokazuje interesujące tło dzieciństwa Aileen McWhirter – powiedział Glenn Branson, tym razem serio. – W dziewiętnastym wieku toczyły się wojny gangów pomiędzy Amerykanami a irlandzkimi imigrantami. Nas interesuje okres o kilka dziesięcioleci późniejszy, kiedy White Hand był głównym gangiem irlandzkiej mafii. Kontrolował całe nabrzeże Manhattanu i Brooklynu, wszystkie keje i pirsy. Ich szefem był niejaki Dinny Meehan. Ten facet wysiadał z Nowego Jorku Frankiego Yale'a i Johnny'ego Torria, kierujących gangiem Black Hand, zresztą razem z Alem Capone, który z tego właśnie

powodu osiadł w Chicago. Capone wrócił do Nowego Jorku, by się zemścić, w późnych latach dwudziestych: zmiotł wtedy irlandzką mafię i przejął kontrolę. Dinny Meehan został zamordowany w roku tysiąc dziewięćset dwudziestym. Brendan Daly był jednym z jego poruczników, który zaginął, prawdopodobnie został zamordowany, w trakcie walki o władzę w gangu White Hand.

– Dzięki za lekcję historii!

Branson spojrzał na niego i pokręcił głową.

– Niczego nie nauczyli cię w szkole?

Grace odpowiedział kwaśnym uśmiechem.

– Najwyraźniej niczego, co ma znaczenie.

Branson poklepał się po piersi.

– My, potomkowie niewolników, musimy dobrze znać historię.

– Nie jesteś potomkiem niewolnika – zauważył z uśmiechem Grace. – Twój tata był kierowcą autobusu w Londynie.

W normalnych okolicznościach kumpel zaripostowałby jakimś żartem albo cytatem z filmu – bo był zapalonym kinomanem. Jednak tego ranka posłał mu tylko dziwnie smutny uśmiech. Grace wyczytał z jego oczu porażkę, co go przygnębiło.

Małżeństwo Glenna Bransona okazało się katastrofą. Grace pomagał mu przez większość ubiegłego roku, pozwalając mieszkać w swoim pustym domu, który sierżant przeważnie doprowadzał do takiego stanu, że wewnątrz wyglądało, jakby również przeszło katastrofę. Karmienie złotej rybki Grace'a o imieniu Marlon zakrawało na szczyt umiejętności Glenna Bransona, jeśli chodzi o zajmowanie się domem.

Za plecami Grace'a rozległ się znajomy szelest. Odwrócił się i zobaczył, że sierżant Bella Moy siedzi już na swoim stanowisku pracy, z czerwonym pudełkiem kulek Maltesers przed sobą. Wyglądało na to, że żywi się wyłącznie czekoladkami. Jednak wcale nie tyła. A ostatnio, jak zauważył, wyraźnie rozkwitła.

Bella miała trzydzieści parę lat i mieszkała ze starą, chorą matką, którą się opiekowała. Zazwyczaj nosiła bure ubrania, miała nijakie włosy i wydawała się wiecznie przygnębiona, ale ostatnio wyglądała o wiele efektowniej.

Patrzył, jak Bella wrzuca do buzi czekoladową kulkę. Usłyszał chrupanie. I nagle poczuł, że sam ma ochotę na coś słodkiego. Jakby

to odgadując, podsunęła mu pudełko. Poczęstował się i natychmiast tego pożałował, bo kiedy tylko schrupał jedną kulkę, od razu nabrał ochoty na następną.

Z dwunastoosobowego zespołu brakowało tylko sierżanta Normana Pottinga. Grace spojrzął na zegarek. Była ósma trzydzieści pięć. Pięć minut spóźnienia na starcie. O dziesiątej czekało Grace'a spotkanie z zastępcą komisarza, Peterem Riggiem, który miał hopla na punkcie punktualności.

Nagle rozproszyły go własne myśli. Od dawna miał niemal fotograficzną pamięć i kiedy ponownie spojrzął na pogodną twarz Aileen McWhirter, przed oczami stanęły mu książki wypełniające półki w jej gabinecie. Tytuł za tytułem, włącznie z *Gangami Nowego Jorku. Amerykańscy gangsterzy dawniej i obecnie. Pierwsze stulecie amerykańskiej mafii. Młody Capone. Wczesne gangi uliczne i gangsterzy Nowego Jorku. Zorganizowana przestępczość irlandzka. Król brooklyńskiego nabrzeża.*

Widział tam z pięćdziesiąt takich tytułów, może nawet więcej. Nie była naukowcem ani pisarką, a taka liczba książek świadczyła o czymś więcej niż przelotne zainteresowanie tematem – raczej zakrawała na obsesję. Oczywiście książki mogły należeć do jej męża. Zarówno nazwisko Daly, czyli jej panieńskie, jak i McWhirter było irlandzkie.

Postanowił wyszukać później oba w internecie. Tymczasem zajrzał do notatek i rozpoczął zebranie.

29

Dziesięć minut po rozpoczęciu odprawy wszedł, powłócząc nogami, posepny Norman Potting. Sierżant miał pięćdziesiąt parę lat, wstąpił do policji stosunkowo późno i był niezbyt lubiany, bo wiele osób uważało go za politycznie niepoprawnego dinozaura, ale Roy Grace go tolerował, ponieważ Norman był jednym z najbardziej solidnych, zawziętych i nieustępliwych detektywów, z jakimi kiedykolwiek pracował.

– Przepraszam za spóźnienie, szefie – burknął swoim szorstkim głosem. – Musiałem pójść do konowała. – Potem, zniżając głos, wyszeptał do Grace’a: – Kiepskie wieści.

– Przykro mi, Norman. Powiesz mi później? – spytał Grace, szczerze zaniepokojony.

Potting wzruszył ramionami, a potem skrzywił się ponuro i usiadł. Roy Grace zmarszczył czoło, zauważywszy wymianę spojrzeń pomiędzy Pottingiem a Bellą Moy. Już od paru miesięcy się zastanawiał, czy tych dwoje coś łączy. Wydawali się zbyt różni, a poza tym Norman ze swoją okropną „pożyczką” i smrodem fajki nigdy nie wydawał mu się pociągający. Jednak miał cztery żony, a Grace już dawno odkrył, że życie nigdy nie przestanie go zaskakiwać.

Wśród innych obecnych na odprawie byli: świeżo upieczona mężatka – teraz w ciąży – policjantka z wydziału dochodzeniowo-śledczego Emma-Jane Boutwood, nadzorujący oględziny miejsca zbrodni David Green, sierżant Guy Batchelor, Ray Packham z technicznej jednostki wspomagającej, dwóch indeksatorów, analityk HOLMES (głównego systemu informacyjnego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych), analityk kryminalny, kierowniczka zespołu analityków i indeksatorów, oficer wywiadu, wielu oficerów z wydziału dochodzeniowo-śledczego oraz rzeczniczka prasowa Sue

Fleet, rzucająca się w oczy rudowłosa kobieta. Szef policji przywiązywał szczególną wagę do tego, by społeczeństwo – czyli „klientela, którą obsługujemy”, jak nazywano społeczeństwo w obecnej nowomowie policyjnej – było dobrze poinformowane.

Roy Grace nigdy nie był w stanie pojąć sensu określenia „klientela”. Policja, jaką znał z doświadczenia, zawsze utrzymywała dystans pomiędzy sobą a społeczeństwem. Jednak nie miał wyboru, musiał podążać za zmianami, jakkolwiek absurdalne wydawały mu się niektóre z nakazów rządu. Rozejrzył się czule po swoim zespole, gotowym służyć swej „klienteli”.

Ze stałych członków zespołu brakowało tylko Nicka Nicholla, którego ostatnio przeniesiono do wydziału do spraw poważnej przestępczości zorganizowanej. Grace żałował, że go stracił, ale od kiedy Nick został ojcem, zdecydowanie opuścił się w pracy – częściowo z powodu braku snu. Grace zakarbował sobie w pamięci, żeby nie pójść tą drogą. Jakoś.

– To dziesiąta odprawa operacji Flądra – zaczął. Spojrzał na Bellę. – Czy możesz nam przekazać najświeższe informacje o działaniach zewnętrznego zespołu dochodzeniowego?

– Nadal prowadzimy rozmowy z sąsiadami, proszę pana – odparła policjantka. – Problem w tym, że jak wiemy, Withdean Road nie jest okolicą gęsto zaludnioną. Znajdują się tam same wielkie domy na prywatnych dużych parcelach. Tylko kilka z osób, z którymi rozmawialiśmy, w ogóle znało swoich sąsiadów. Sądzymy, że sprawcy musieli użyć co najmniej jednej dużej furgonetki, jeśli nie dwóch, do wywiezienia tych wszystkich przedmiotów, ale nikt w okolicy nic nie zauważył, a poza tym ani na tej ulicy, ani na pobliskich przecznicach nie ma kamer przemysłowych. Jest tylko jedna rzecz, którą być może warto się zająć.

– Tak?

– Telefon, jaki otrzymaliśmy w odpowiedzi na nasze tablice wystawione na ulicy. Możliwe, że chodzi o „wizytę rocznicową”. We wtorkowy wieczór, dokładnie tydzień przed rabunkiem.

Wszyscy z uwagą nadstawili uszu.

– Sąsiad z tej samej ulicy, mieszkający kilka posesji dalej, zadzwonił, by powiedzieć, że przypomina sobie czarne porsche zaparkowane przy krawężniku przed domem ofiary. Widział je

około siódmej wieczorem, kiedy jechał do domu. W aucie siedział jakiś mężczyzna. Jak mówił, wtedy go to nie zastanowiło, bo pomyślał, że kierowca zatrzymał się, żeby zadzwonić czy coś w tym rodzaju.

– Czy podał rysopis kierowcy albo numer rejestracyjny?

– Nie, proszę pana.

– Czarne porsche nie są w Brighton rzadkością – powiedział Grace. – Ale pewnie nie ma ich dużo. Zdobądź listę tych z rejestracją Sussex i zobaczymy, czy wypłyną jakieś nazwiska.

– Dobrze, proszę pana. Aha, jest jeszcze jedna rzecz, która może mieć znaczenie, chociaż raczej nie sądzę. W zeszłym tygodniu mieliśmy w Brighton przypadek G5, mężczyzna nazywał się Ralph Meeks, został znaleziony martwy w swoim domu. Pracował kiedyś jako ogrodnik dla pani McWhirter, ale został przez nią zwolniony z czternaście lat temu. Możliwe, że chował do niej urazę. W każdym razie, według ustaleń, jego śmierć nastąpiła kilka dni przed rabunkiem.

– Dobrze, sprawdź, czy da się coś jeszcze z tego wyciągnąć.

– Tak, ktoś już nad tym pracuje, proszę pana.

Grace jej podziękował. Potem, rozglądając się po obecnych, spytał:

– A jak idzie sprawdzanie firm, które wypożyczają furgonetki?

– Ja się tym zajmuję, proszę pana – odezwał się młody policjant, Jack Alexander, którego Grace zatrudnił na miejsce Nicka Nicholla.

– Jest ich mnóstwo. Oprócz państwowych wypożyczalni są setki małych firm prowadzących wynajem furgonetek.

Grace podziękował mu i znów spojrzał na Bellę. Zerknęła do notatek.

– Sprawdziliśmy eBay i wszystkich handlarzy antyków w okolicach Brighton i Hove pod kątem skradzionych drobnych przedmiotów. Rozprowadziliśmy wśród głównych handlarzy antyków z Sussex zdjęcia tych wartościowych przedmiotów, o których kradzieży wiemy. Pracuję nad listą pozostałych brytyjskich handlarzy, do których mogłyby trafić te cenne przedmioty, a także sporządzam listę międzynarodowych handlarzy. Poza tym współpracujemy z rzeczoznawcami firmy ubezpieczeniowej. Bardzo możliwe, że skradzione przedmioty są

wysyłane za granicę, a może już zostały wysłane. Mamy na oku porty Shoreham i Newhaven, policja przeszukuje wywożone kontenery. Kolejny obszar, który badamy, to zbliżające się aukcje. Najcenniejszy był zegarek kieszonkowy Patek Philippe z tysiąc dziewięćset dziesiątego roku, nieubezpieczony, wart ponad dwa miliony funtów.

– Sir Hugo Drax nosił zegarek marki Patek Philippe w książce *Moonraker* – oznajmił Glenn Branson. – Ale w filmie zamienili go na swatcha!

– Bardzo pomocna uwaga, Glenn – rzucił cierpko Grace, po czym zwrócił się do Belli: – Dobre myślenie. – Coś sobie zanotował. – Nie ograniczajcie poszukiwań na aukcjach do samej Wielkiej Brytanii. Zegarek można łatwo przewieźć w dowolne miejsce na świecie.

– Dwa miliony za zegarek! A niech to! – mruknął Potting.

Bella pokiwała głową i zerknęła na swojego swatcha.

– Oczywiście za nieco wytworniejszy niż ten mój!

Rozległ się śmiech. Grace zauważył, że Norman Potting rzy najgłośniej, a do tego jeszcze nawiązuje kontakt wzrokowy z Bellą, która, jak mu się zdawało, trochę się zarumieniła.

– Jeśli chodzi o zegarek, mamy tu przykład ironii losu. Należał zarówno do denatki, jak i do jej brata, Gavina Daly’ego. On zawsze miał wysoki status w świecie antyków, a mieszka w znajdującej się na odludziu wiejskiej rezydencji, gdzie w przeszłości były dwa włamania. Tak więc przez dwadzieścia lat zegarek był dla bezpieczeństwa przechowywany w domu siostry.

– Szefie – odezwał się Exton – taki zegarek przecież bardzo łatwo zidentyfikować, bo pewnie jest pod jakimś względem unikatowy. Więc jak można by go sprzedać?

– Tak, też o tym myślałem – przyznał Grace. – Skoro podniosłeś tę kwestię, zlecam ci uzyskanie wszelkich informacji na jego temat. Jakie dane mogą mieć jeszcze producenci? Ile takich zegarków istnieje? Jak można go zidentyfikować, może ma fabryczny numer seryjny? Czy widnieją na nim jakieś inicjały? Jaki na świecie jest rynek na zegarki o tej wartości? Kim mogą być ewentualni nabywcy? Czy są jacyś wielcy kolekcjonerzy? W jaki sposób tak cenne zegarki zmieniają właścicieli: za pośrednictwem handlarzy

czy na aukcjach? Czy są specjalistyczne aukcje zegarków albo zegarków i zegarów?

– Wyprzedaż garażowa? – rzucił mało poważnie Potting.

– Nie sądzę, Norman – odparł Grace. Następnie zwrócił się do sierżant Annalise Vineer, kierowniczkę analityków, indeksatorów i maszynistek obsługujących dochodzenie. – Masz jakiś meldunek?

– Sprawdzamy w całym kraju napady rabunkowe na domy, gdzie był podobny sposób działania, szefie. Jak na razie wszyscy ci sprawcy, oprócz jednego, siedzą w więzieniu.

– A kim jest ten jeden?

– To Amis Smallbone.

W pokoju zapadła na chwilę cisza. Potem odezwała się komórka Glenna Bransona. Rzucił przepaszające spojrzenie na Roya Grace'a i odebrał.

– O nie! – powiedział. – Cholera. Zaraz będę.

Wstał, z poszarzałą twarzą.

– Przepraszam, muszę jechać do szpitala. Chodzi o Ari.

Ari była żoną Glenna Bransona. Grace wyszedł z nim na zewnątrz.

– Mów, o co chodzi.

– Sam nie wiem. Powiedzieli, że ma połamane kości. Została zepchnięta z roweru przez pieszego na ścieżce rowerowej na bulwarze nadmorskim.

– Zadzwoń do mnie.

Branson skinął głową i szybko się oddalił.

30

Niby było lato, koniec sierpnia, ale deszcz nieustająco bębnił w okno jego sutereny, skąd miał ponury widok na rząd pojemników na śmieci i poplamione ściany domu. Marne światło, które wsączało się do tej nędznej kawalerki o czwartej po południu, sprawiało wrażenie, że lato rzeczywiście dobiega końca. Jego pierwsze lato na wolności od dwunastu lat.

Jednak Amis Smallbone, siedzący w zdezelowanym fotelu, z papierosem ćmiącym się w popielniczce obok wysączonej do połowy butelki chivas regal, był w wyjątkowo optymistycznym nastroju. Wkrótce dostanie dużo pieniędzy. Mnóstwo!

Miał tylko jedno strapienie. Bardzo chciwe strapienie. Garetha Duponta. Wiedział, że facet ma opinię trochę narwanego, ale on, po dwunastu latach w ciupie, stracił wiele swoich najlepszych kontaktów, bo ludzie powyjeżdżali albo umarli, i dlatego właśnie zwrócił się do Duponta. Teraz tego żałował. I przeklinał nagrodę pieniężną oferowaną za informacje. Prędzej szlag go trafi, niż da się szantażować temu gnojkiowi. Dupont stanowił problem, który należało rozwiązać. Coś się wymyśli.

Przynajmniej może się pocieszać tym, że za kilka dni już go tutaj nie będzie. Przeniesie się do znacznie przyjemniejszego mieszkanka, pod warunkiem że jego kurator sądowy to zaakceptuje, ale nie ma powodu, żeby tego nie zrobił. Chodziło o szeregowiec na ogrodzonym osiedlu w centrum dzielnicy North Laine w Brighton. Jego kumpel Henry Tilney, który w przeciwieństwie do niego zdołał jakoś uniknąć życia na wikcie Jej Królewskiej Mości, udzielił mu referencji i został jego poręczycielem przy umowie najmu. Już wkrótce będzie mógł oddać Tilneyowi pięć tysięcy depozytu, który ten za niego założył.

I równie szybko będzie mógł odpłacić się nadinspektorowi Royowi Grace'owi za zmarnowanie mu dwunastu lat życia, które spędził w różnych obrzydliwych angielskich więzieniach.

Plan pomieszczeń w domu przyszłego sąsiada leżał przed nim, rozłożony na nędznym stoliku. Dom Cleo Morey. Wyglądało na to, że łatwo się tam dostać przez drabinkę pożarową na dachu. Na początku planował wynajęcie kogoś do tego zadania. Ale czemu miałyby bulić forszę za zrobienie czegoś, co jemu samemu sprawi ogromną frajdę? Cokolwiek to będzie. Może okaleczenie Cleo. Albo zabicie dziecka.

Możliwości były nieograniczone. Wyobrażał sobie, jak wyjmuje dziecko z łóżeczka. Durnego niemowlaka, Noaha, i wyrzuca go przez okno wprost na bruk.

Bum.

Podobał mu się ten odgłos.

Bum.

O tak.

Ale o wiele bardziej cieszył się, że zobaczy, jak nadinspektor Grace przeżywa ból. Zobaczy jego cierpienie.

Nagle usłyszał łomot. Ktoś walił pięścią. W jego drzwi.

Zerknął na swojego złotego roleksa, przez dwanaście lat spoczywającego w skrytce bankowej, której policji nie udało się znaleźć. Szesnasta dwadzieścia. Nie oczekiwał żadnych gości. Ale w każdej chwili oczekiwał wypłaty. Swojej doli z wartego dziesięć milionów funtów łupu ze skoku na dom przy Withdean Road. Wstał i zataczając się od wypitego alkoholu, ruszył do drzwi.

Właściciel tej nory, straszny kutwa, poskąpił na judasz czy łańcuch, więc aby dowiedzieć się, kto przyszedł, Amis mógł tylko krzyczeć przez drzwi.

– Kto tam?

– Święty Mikołaj!

Głos wydawał się jakby znajomy. Jeśli przyszli mu zapłacić, nie chciał ich odprawiać. Jednak nie czuł się całkiem spokojny. Odsunął dwie zasuwę, górną i dolną, i lekko uchylił drzwi. Chwilę później strzeliły go w twarz, tak że zatoczył się do tyłu na chwiejnych nogach, po czym upadł na plecy.

Wielki drab w ciemnym garniturze podniósł go z podłogi, chwytając go za kołnierz koszuli i niemal dławiąc.

– Ty cholerny debilu! – warknął napastnik o twarzy wykrzywionej wściekłością. – Lubisz zabijać słabe staruszki?

Drugi mężczyzna tylko patrzył na niego w milczeniu.

Kiedy ucisk na gardło zelżał, Amis wykrztusił przeprasząco, przerażony jak diabli:

– Mówiłem, że jest bezbronną starszą panią. Krzywdzenie jej nie było w planie.

– Mówiłeś? Niby komu?

Potrząsnęto nim tak mocno, że poczuł, jak ruszają mu się zęby.

– Dlaczego mam być kapusiem? – wydyszał.

– Bo jesteś największym pieprzonym ciulem na ziemi.

– Pozna swój swego – odpalił wyzywająco Amis Smallbone.

Natychmiast jednak pożałował swojej pijackiej brawury, kiedy pięść strzeliła go w usta, niszcząc wartą kilka tysięcy funtów rekonstrukcję dentystyczną, którą zafundował sobie po swojej ostatniej bójce. Kolejny cios pięścią dostał w zębra.

– Nie radzę ci podskakiwać. Podaj nazwiska. Chcę dorwać drani, którzy to zrobili, i chcę się dowiedzieć, gdzie podziały się te wszystkie rzeczy. Mój ojciec i ja chcemy je odzyskać. Wszystkie.

Smallbone gapił się na niego ponuro, wystraszony, z krwią ciekącą po twarzy.

– Ani myślę dać się zabić za kapowanie.

I zaraz wrzasnął z bólu, kiedy dłoń, twarda jak metalowe obcęgi, chwyciła go w kroczu i zaczęła miażdżyć mu jądra. Potem je puściła.

Smallbone padł na podłogę, z trudem łapiąc oddech. Z oczu pociekły mu łzy.

– Podasz mi te nazwiska? Następnym razem nie będzie taki delikatny. Po prostu ci je urwie.

Amis Smallbone spojrział na olbrzyma, stojącego obok, i uwierzył w tę pogrózkę.

– Jak ci powiem, to mnie zabiją – wydyszał.

– A jak nie powiesz, to ja cię zabiję, tylko że będę potem musiał pozbyć się twojego ciała, czyli będę miał kłopot. Więc ułatw mi sprawę. Nazwiska, Smallbone. Dobra?

Jego jądra znów zostały ściśnięte, jeszcze mocniej niż poprzednio.

Wijąc się z bólu, wykrzyczał nazwiska. Ale nie wymienił Garetha Duponta, nawet przy potwornym bólu potrafił myśleć na tyle jasno, by zdać sobie sprawę, że jeśli Dupont byłby bity, uznałby, że on za tym stoi. A przy nagrodzie w wysokości stu tysięcy funtów mogłoby to być niebezpieczne.

Zostawili go, rzygającego na zapuszczony dywan. Kiedy wielkolud zamykał za sobą drzwi, odwrócił się i powiedział:

– Wybacz.

Roy Grace wciąż boleśnie przeżywał maglowanie, któremu poddał go rano zastępca szefa policji. Na liście przestępstw, które naruszały jakość życia społeczności Sussex, włamania do domów znajdowały się według szefa na pierwszym miejscu.

Zaledwie przed trzema laty Graham Barrington, komendant policji Brighton i Hove, ogłosił z dumą na codziennym spotkaniu wyższych oficerów, zwanym pieszczotliwie „porannym nabożeństwem”, że po raz pierwszy od czasu prowadzenia rejestrów nie zdarzyły się żadne nocne włamania w miejscowościach Brighton i Hove. Wydawało się wówczas, że przynajmniej jeden aspekt przestępczości jest tutaj pod kontrolą.

Tyle że od tej pory, wraz z pogłębiającą się recesją, sytuacja uległa zmianie. Chociaż od dłuższego czasu nie było przypadku tak drastycznego jak bestialski napad na Aileen McWhirter. Szef ostro przepytął Grace’a na temat postępów w śledztwie.

Jednak Roy Grace rozumiał, że szef podlega wielu różnym naciskom. Ukazujące się w całym kraju relacje prasowe dotyczące tej sprawy podtrzymywały zadawnioną i nie całkiem sprawiedliwą opinię, że Brighton jest azylem dla przestępców.

Grace musiał wytrzasnąć jakichś podejrzanym, i to szybko. Amis Smallbone był jak dotąd jedynym, którego mógł przedstawić zastępcy szefa policji. Ale czy Smallbone, który zaledwie od dwóch miesięcy przebywał na zwolnieniu warunkowym, po odsiedzeniu dwunastu lat z dożywotniego wyroku, byłby na tyle głupi, by ryzykować wolność? Odpowiedź, jak wiedział po wieloletnich doświadczeniach z przestępcami, brzmiała: tak, mógłby być na tyle głupi lub zdesperowany. A przestępstwo niewątpliwie nosiło znamiona pasujące do tej kanałii.

Brat Aileen McWhirter, Gavin Daly, skontaktował się z nim, by oświadczyć, że chce zaoferować milion funtów nagrody za informacje, które doprowadzą do aresztowania i skazania sprawców. Grace przekonał go, że to o wiele za dużo, bo rezultat będzie taki, że centrum koordynacyjne zostanie zalane bezużytecznymi telefonami. Ustalili, że nagroda wyniesie sto tysięcy funtów – i taki komunikat przesłano do redakcji „Argusa” i do organizacji dobroczynnej Crimestoppers, która miała zamieścić go na swojej stronie internetowej i plakatach, przeznaczonych dla anonimowych informatorów, oraz do Sue Fleet z biura prasowego.

Grace martwił się o Glenna Bransona. Telefonował do niego dwukrotnie, ale Glenn mówił, że nie może rozmawiać i oddzwoni później.

Kiedy Grace zerknął w notatki, przygotowując się do odprawy o osiemnastej trzydzieści, David Green powiedział:

– Szefie, myślałem, że ten gnojek Smallbone siedzi w ciupie.

– Jest na zwolnieniu warunkowym – wyjaśnił sierżant Guy Batchelor. – Ta robota pasuje do niego jak ulał. Dom z cennymi przedmiotami i torturowanie ofiary. Oczywiście nigdy nie robi tego osobiście. Wynajmuje różne mendo do brudnej roboty i odpala im działkę. Jest nieodrodnym synem swego ojca, tylko brakuje mu jego bystrości.

– Z ogromną przyjemnością poszedłbym do niego osobiście i uciął sobie z nim pogawędkę, ale nie sądzę, by wiele to dało – powiedział Grace, mając w pamięci ich dawną niechęć.

Spojrzał na nową osobę w swoim zespole dochodzeniowym, Sam Tovey, szczupłą spokojną kobietę z krótkimi ciemnymi włosami, o miłym sposobie bycia, pełną energii i zdrowego rozsądku. Smallbone był oprychem, ale jak wszystkie zbiry ze skłonnością do znęcania się nad słabszymi, miał większe opory przed stawianiem się silnym kobietom. Grace pamiętał, że w przeszłości był onieśmielony w towarzystwie bystrych policjantek.

Lustrując wzrokiem zespół, zastanawiał się, kogo by wysłać, i uznał, że jedną z osób powinna być Bella Moy. Miała trzydzieści pięć lat, a więc była wystarczająco dojrzała, by stawić czoło Amisowi, który miał sześćdziesiąt dwa lata.

– Sam i Bella, chcę, byście porozmawiały ze Smallbone'em. Spytajcie go o alibi na wtorkowy wieczór dwudziestego pierwszego sierpnia. Mam jego adres w kartotece, ale mógł się przeprowadzić. W systemie nadzoru kuratorskiego znajdziecie aktualny. Raczej nie przekazujcie mu pozdrowień ode mnie.

Rozległy się chichoty. Wielu członków zespołu znało historię Roya Grace'a i Amisa Smallbone'a, jednego z podlegszych okazów świata przestępczego Brighton. Niemal trzynaście lat wcześniej Grace, wówczas jeszcze młody komisarz z wydziału dochodzeniowo-śledczego, dokonał aresztowania Smallbone'a, który głównie jemu zawdzięczał wyrok dożywocia. Jakies dwa miesiące temu Smallbone wyszedł z więzienia, bo dostał zwolnienie warunkowe.

Nieżyjący ojciec Smallbone'a, Morris, mózg wielkiego niegdyś imperium przestępczego, wiele razy wymknął się z rąk policji. Inni ludzie odsiadywali za niego wyroki, ale on sam nie siedział nigdy – był na to za sprytny. Syn mu w tym nie dorównywał, a sadystyczne skłonności go zgubiły.

Amis Smallbone dostał wyrok za zabicie rywalizującego z nim w mieście dilerka narkotykowego, przez wrzucenie mu grzejnika elektrycznego do wanny. W trakcie aresztowania łotr groził, że Roya Grace'a i jego żonę Sandy spotka za to kara. Trzy tygodnie później, kiedy Smallbone przebywał już w więzieniu, ktoś spryskał wszystkie rośliny w ogrodzie Grace'a środkiem chwastobójczym.

Pośrodku trawnika wypalono słowa:

NIE ŻYJESZ

Roy Grace namierzył Smallbone'a zaraz po podjęciu pracy w wydziale dochodzeniowo-śledczym, gdyż był to główny podejrzany w wielu przekrętach polegających na wyłudzeniu od starych, bezbronnych osób pieniędzy i cennych przedmiotów. W miarę potrzeby stosował przy tym groźby, a nawet przemoc fizyczną. Na scenie przestępczej Brighton i Hove nie było obszaru, w którym rodzina Smallbone'a nie maczałaby palców: poczynając od włamań, poprzez narkotyki, wymuszanie okupu, stręczycielstwo,

podrabianie markowych wyrobów, po kradzież samochodów i przestawianie w nich liczników. Jednak teraz Roya Grace'a interesowało to, że Smallbone – prócz swoich licznych kwalifikacji – był też paserem wysokiej klasy antyków, z których większość wysyłano za granicę, głównie do Hiszpanii, już w kilka godzin po kradzieży.

Kiedy przestępca wychodził z więzienia, korzystając ze zwolnienia warunkowego, tak jak Smallbone, wystarczyło, by popełnił jakiegokolwiek przestępstwo, a natychmiast trafiał z powrotem za kratki.

– Czy znamy jakiegokolwiek powiązania Smallbone'a ze sprawą? – spytał Grace.

– Chyba nie byłby aż tak głupi, żeby wdać się w coś od razu po wyjściu z pudła? – wyraziła powątpiewanie Emma-Jane Boutwood.

– Ciągnie wilka do lasu – odparł Norman Potting. Grace zauważył, że ten mocno się poci. – Smallbone był przyzwyczajony do pływania się w luksusie – ciągnął Potting. – Z tego, co pamiętam, całkiem go oskubaliśmy po skazaniu. Potrzebuje forsy.

Grace kiwnął głową, po czym zwrócił się do Sam Tovey i Belli Moy.

– Gwarantuję, że Smallbone będzie miał alibi na ten wtorkowy wieczór. Na pewno spędził go w pubie, gdzie jest dobrze znany, więc kilkanaście osób potwierdzi jego obecność. Ale postarajcie się go zaniepokoić, niech myśli, że naszym zdaniem może być zamieszany w sprawę. Stanie się nerwowy, a im bardziej będzie nerwowy, tym bardziej prawdopodobne, że popełni błąd.

– A może weźmiemy go pod obserwację, szefie? – spytał Guy Batchelor. – Albo założymy podsłuch telefoniczny?

– Nie mamy wystarczających dowodów, by usprawiedliwić koszty obserwacji – odparł Grace. – I obawiam się, że na tym etapie nie ma też mowy o podsłuchu.

Obserwacja była niezwykle kosztowna, bo wymagała zaangażowania wielu wykwalifikowanych ludzi, więc Grace nie wyobrażał sobie, że szef wyrazi na to zgodę. Z kolei podsłuch można było założyć wyłącznie wtedy, gdy dostarczyło się dowody zagrożenia ludzkiego życia. Nakaz musiał być podpisany przez Związek Wyższych Oficerów Policji oraz ministra spraw

wewnętrznych albo sekretarza stanu. Grace zwrócił się do sierżanta Pottinga, któremu na poprzedniej odprawie zlecił sprawdzenie, czy ktoś próbował używać kart kredytowych zmarłej albo korzystać z jej konta bankowego.

– Norman, masz coś w sprawie kart kredytowych?

Grace znów zauważył szybką, prawie nieuchwytną wymianę spojrzeń między doświadczonym policjantem a Bellą Moy.

Na kilka chwil przygnębienie Pottinga zniknęło, wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie.

– Mam, szefie. W ciągu dwudziestu czterech godzin pomiędzy wieczorem dwudziestego pierwszego a wieczorem dwudziestego drugiego sierpnia z rachunku Aileen McWhirter wycofano dwieście funtów przy użyciu jej karty debetowej. W tym samym czasie wypłacono trzysta funtów kartą American Express, trzysta kartą MasterCard oraz dwieście pięćdziesiąt kartą Visa. Sprawdzono nagrania z kamer przemysłowych przy bankomatach. Za każdym razem pieniądze pobierał ktoś z zakrytą twarzą.

Grace zmarszczył brwi.

– Szacowana wartość rzeczy ukradzionych z domu ofiary wynosi około dziesięciu milionów funtów – powiedział. – Wydaje się dziwne, że ktoś oprócz tego zawraca sobie głowę takimi relatywnie małymi sumami, wzięwszy pod uwagę, jakie to niesie ryzyko.

– Według mnie to wskazuje, że wynajęto zbirów – odezwał się Potting. – Albo zostali jednorazowo opłaceni, albo dostaną mały procent za to, co ukradli. Dlatego pewnie skubnęli dla siebie trochę więcej.

– Całkiem możliwe – przyznał Grace. – Jej brat, Gavin Daly, jest, a raczej był, ważną figurą w świecie antyków. Teraz interes prowadzi jego syn, Lucas. Jak sądzicie, czy któryś z nich mógł maczać w tym palce?

– Przesłuchiwałem starszego pana i jego syna, szefie – powiedział sierżant Batchelor. – Jego żal wydaje się bardzo szczery. Syn też sprawia wrażenie dość przygnębionego. Nie jest notowany, ale w trakcie operacji Redukcja przez jakiś czas go obserwowano. – Redukcja była długoterminową operacją wydziału narkotykowego z Brighton.

– Możesz powiedzieć nam o tym coś więcej? – spytał Roy Grace.

– Założyli mu teczkę i gromadzą materiał. Prowadzi sklep ojca przy jednej z uliczek Lanes, a jego żona to prezenterka wiadomości Sarah Courteney.

– Niezła z niej szprycha – wtrącił Norman Potting. – A to ci dopiero!

Grace zauważył, że Bella spiorunowała Normana wzrokiem, a on natychmiast zamilkł, rumieniąc się lekko.

– Nie był nigdy zamieszany w rabunek? – spytał Grace Batchelora.

– Nie, ale przeglądając informacje o nim, znalazłem coś ciekawego. Dwa lata temu do jego domu zajechał patrol: żona zadzwoniła po pomoc, mówiąc, że on ją atakuje. Został aresztowany, a następnie zwolniony, bo nie chciała wnieść oskarżenia.

Roy Grace pokiwał głową

– Warto wiedzieć. Dzięki, Guy.

Na długiej liście przedstawicieli ludzkiego gatunku, którymi nadinspektor gardził, byli między innymi damscy bokserzy.

– Kolejną osobą, która miała regularny dostęp do posiadłości pani McWhirter – ciągnął Guy Batchelor – jest gosposia, przychodząca dwa razy w tygodniu. Ma siedemdziesiąt pięć lat, pracowała dla Daly’ego i jego rodziny przez trzydzieści lat. Inni ludzie bywający w posiadłości to ogrodnik, niemal równie leciwy, młeczarz, chłopak roznoszący gazety, hydraulik Michael Maguire, który około czterech miesięcy temu naprawiał coś w toalecie, i pracownik budowlany Bryan Barker, który w kwietniu kładł nowe dachówki na części dachu.

– Dobrze. Dziękuję, Guy. – Grace zwrócił się teraz do rzeczniczki prasowej. – Jak przedstawia się zainteresowanie prasy i mediów, Sue?

– Mam dużo telefonów i mejli z pytaniami, czy ustaliliśmy jakiś inny motyw, poza rabunkowym, oraz czy mamy już podejrzanych.

– W tej chwili uznaję Amisa Smallbone’a za osobę godną zainteresowania, ale nic więcej – odparł Grace. – Nie chcę, by to ogłaszano. Czy jest pilna potrzeba zwołania kolejnej konferencji prasowej?

– Nie w tej chwili, proszę pana, ale będziemy musieli to zrobić pod koniec tygodnia.

– Dobrze. A więc w piątek po południu. – Zwrócił się do Davida Greena, odpowiedzialnego za nadzór nad miejscem zbrodni. – Coś nowego?

– Dopiero kiedy dostanę dokładną analizę odcisków stóp od naszego podiatry, Haydna Kelly’ego, szefie. Jak dotąd nie znaleźliśmy nic innego w domu Aileen McWhirter.

Zazwyczaj Grace umiał panować nad sobą, ale teraz zmęczenie i maglowanie przez szefa dały o sobie znać.

– Cholera jasna! – wybuchł. – Ta kobieta była torturowana, a jej dom został ogołoceny. Nikt nie zdołałby zrobić tego, nie zostawiając żadnych śladów! Musi być coś więcej niż trzy pary odcisków stóp!

– Jeśli są jeszcze jakieś ślady, to je znajdziemy, szefie! – zapewnił Green.

Teraz Grace zwrócił się do Raya Packhama z technicznej jednostki wspomagającej, czterdziestoparoletniego mężczyzny, którego można by wziąć za kierownika prowincjonalnego banku.

– Mamy coś z telefonu ofiary, Ray?

– Był bardzo rzadko używany, szefie. Nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie, ale ktoś dzwonił do niej chwilę przed atakiem. – Packham zajrzał do notatek. – Ustaliliśmy, że dzwoniło z komórki należącej do pracownika firmy prowadzącej telefoniczną sprzedaż izolacji cieplnej poddaszy. Mężczyzna, który dzwonił, Gareth Dupont, odszedł z pracy pod koniec zeszłego tygodnia i w ten wtorek zatrudnił się w nowej firmie o nazwie Mountainpeak. Nie widziałbym w tym nic istotnego, gdyby nie jedna rzecz. – Ray Packham zawiesił głos i uśmiechnął się do Grace’a, wyraźnie zadowolony z siebie.

– To znaczy? – spytał Roy Grace.

– Gareth Dupont jest notowany. Miał cztery wyroki. Posiadanie marihuany. To był drobiazg. Poważniejsze to wyrok za ciężkie uszkodzenie ciała i za paserstwo, a co bardziej istotne, obecnie jest zwolniony warunkowo z więzienia, gdzie siedział za kwalifikowaną kradzież z włamaniem.

– Dobra robota – pochwalił go Grace. – Do mnie też ktoś dzwonił w sprawie izolacji cieplnej poddasza, ale sprytnie go spławiłem. Czy

znasz jakieś szczegóły na temat tego włamania?

Packham skinął głową.

– Tak, szefie. Pięć lat temu Dupont został aresztowany za włamanie do wiejskiej rezydencji w okolicach Lewes. Właścicielami było dwoje starszych ludzi, których związano i torturowano, podobnie jak Aileen McWhirter. Sprawcy przypalali ich papierosami, żeby wyciągnąć od nich kody PIN do kart kredytowych. Dupont twierdził, że był tylko kierowcą, i obniżono mu wyrok, bo złożył zeznania przeciwko dwóm pozostałym sprawcom. Myślę, że to kawał bydlaka. Ma też powiązania z hiszpańską przestępczością zorganizowaną: z gangiem Rosyjska Mafia specjalizującym się w upłynnianiu wartościowych obrazów.

Sierżant Barchelor podniósł rękę.

– Szefie, to może być ważne.

– Mów – polecił Grace.

– Kilka lat temu prowadziłem dochodzenie w sprawie włamań do wiejskich rezydencji. Stosowali podobną sztuczkę: telefonowali do mieszkańca pod pretekstem sprzedaży, a w tym samym czasie dzwonili również do drzwi. Ludzie w takich sytuacjach głupieją, są skonsternowani i tracą czujność. Zwłaszcza osoby starsze.

Roy Grace zapisał coś w notesie.

– Dobre rozumowanie, Guy. Sprawdź dokładnie jego przeszłość, dowiedz się, co teraz porabia. Z kim się zadaje, jakie mamy o nim informacje. A potem chcę, byś poszedł z nim porozmawiać.

– Czy mamy jego adres?

– Kurator sądowy będzie go znał. Możesz też pójść jutro do Mountainpeak, gdzie pracuje. Daj znać, jak się będziesz wybierał, chciałbym pójść z tobą, ten osobnik mnie interesuje.

– Dobrze, szefie.

– Bello – zwrócił się Grace do sierżant Moy – ten wyłudzac, który zostawił reklamówkę w domu Aileen McWhirter... R.C. Moore. Rano dzwoniła do mnie inspektor Andy Kille. Siostra oddziałowa z Królewskiego Szpitala Hrabstwa Sussex skontaktowała się z policją dziś o piątej nad ranem. Przeczytała w „Argusie”, że Aileen McWhirter była torturowana przez przypalanie, i zgłosiła, że niejaki Ricky Moore został przyjęty do szpitala wcześniej rano w ostatnią sobotę, kiedy wtoczył się na oddział ratunkowy,

z oparzeniami na skórze, a także obrażeniami wewnętrznymi. Nie wdając się w szczegóły, chodzi o to, że przez wiele tygodni nie będzie mógł siedzieć ani spokojnie się wysrać.

– Masz na myśli, że dał się walić w kakao, szefie? – spytał Norman Potting.

– Na pewno nie dobrowolnie – odparł Grace, zirytowany jego określeniem. – Nigdy nie słyszałem, żeby ktoś odczuwał przyjemność, gdy ma wtykaną w odbył rozgrzaną lokówkę.

– Aua – mruknął Potting.

– Sam bym lepiej tego nie ujął – rzucił cierpko Grace. – Chcę, żebyś z nim porozmawiała, Bello.

– Tak, szefie.

Kiedy Roy Grace zakończył spotkanie, Norman Potting podszedł do niego i spytał:

– Czy mógłbym chwilę z tobą pogadać, szefie? Potrzebuję rady.

Roy Grace spojrział na zegarek, pamiętając, że obiecał Cleo wrócić wcześniej do domu.

– W moim biurze za pięć minut. Ale musisz się streszczać.

Ku irytacji Roya Grace'a Norman Potting od razu po wyjściu z zebrania ruszył za nim przez korytarz, w stronę otwartej przestrzeni biurowej. A Grace miał nadzieję, że zdąży jeszcze zadzwonić do Cleo i powiedzieć jej, że wkrótce wróci.

Sprawdzał mejle na blackberry, klucząc krętym korytarzem, wkurzony, że słyszy kroki Pottinga, który niemal deptał mu po piętach.

Kiedy wszedł do swego gabinetu, zdejmując marynarkę i wieszając ją na haczyku po wewnętrznej stronie drzwi, Norman Potting wślizgnął się za nim. Grace wcisnął się w wąską przestrzeń za małym biurkiem, a sierżant klapnął ciężko na krzesło stojące naprzeciwko. Grace czuł zapach dymu z fajki, którym przesiąknięte było ubranie Normana, ale mu to nie przeszkadzało. Sam od czasu do czasu popalał i nie znosił drakońskich przepisów antynikotynowych wprowadzonych przez nadopiekuńcze państwo. Tak naprawdę zazdrościł Pottingowi kompletnej beztroski, z jaką ten je ignorował przy każdej nadarzającej się okazji.

– A więc, Norman? – zagaił, zerkając na blackberry, na którym znów migąło czerwone światełko, a potem na zegarek. – Mów.

Potting wydawał się nietypowo jak na siebie zdenerwowany.

– No więc, szefie, chodzi o to, że, eee... – zaczął, rumieniąc się, po czym palcami obu dłoni dotknął brwi. – Ja... eee... poszedłem w zeszłym tygodniu do konowała... i musiałem dziś rano odebrać wyniki, dlatego spóźniłem się na odprawę. Kazał mi zrobić różne badania, bo miałem kłopoty z kanalizacją. Często sikałem w nocy, takie tam. – Spojrzał z zakłopotaniem na Grace'a.

Nadinspektor uśmiechnął się i cierpliwie czekał, aż Norman przejdzie do sedna.

– Przykro mi to słyszeć, Norman – rzucił.

– Tak, no i... – Potting rozejrzał się wokół, po czym konspiracyjnie zniżył głos, chociaż byli sami w gabinecie. – Okazało się, że mam problem w okolicach prostaty.

– Jaki problem?

– To draństwo. – Widocznie nie chciał wymawiać słowa na r.

– O Boże, przykro mi, Norman. – Grace naprawdę się zmartwił.

– Lekarz mówi, że mam wybór. Jedna opcja to operacja, wycina się wszystko, ale wtedy można stracić, no wiesz... podnośnik. – Zgiął palec wskazujący, żeby zilustrować problem. – Jedna możliwość na pięć, że tak się stanie.

Roy Grace pokiwał głową. Chociaż szkoda mu było faceta, Norman Potting mówiący o seksie był dla niego trudny do zniesienia.

– A to potem się nie cofnie?

– Ponoć nie – odparł ponuro Potting. – Druga opcja to radioterapia. Z tego, co zrozumiałem, wtedy podnośnik nadal działa, ale mogą nie wytluc tego draństwa. Co oznacza, jak sądzę, no wiesz... parę lat, a potem zjazd do bazy. Muszę to z kimś obgadać, ale nie mam bliskich kumpli. Ty masz łeb na karku, szefie. Potrzebuję rady.

Grace pomyślał, że Norman Potting, nagle, pierwszy raz po tych wszystkich latach, od kiedy go zna, wygląda na zagubionego. Jak mały chłopiec oczekujący pochwały nauczyciela. Chociaż Potting często go irytował, teraz było mu go naprawdę żal.

– Nie wiem, co powiedzieć, Norman. Nie znam się na tym, więc nie mogę ci dawać rad. Co sądzi twój lekarz?

– Że muszę podjąć decyzję. Rozmawiałem też z wykwalifikowaną pielęgniarką... to była całkiem niezła szprycha, mówię ci! Ale jesteś jedyną osobą, na której opinii... no wiesz, bezstronnej... polegam.

Grace wziął głęboki oddech.

– Wiem na ten temat za mało, by dać ci przemyślaną odpowiedź. Jesteś teraz bardzo przybity. Myślę, że musisz wszystko spokojnie sobie ułożyć w głowie, zanim podejmiesz decyzję.

– Nie wiem, czy chciałbym ryzykować, że nie będę już mógł się bzykać. Trudny wybór, no nie?

Grace całkowicie się z tym zgadzał. Wstrząsnął nim dreszcz. Przez wiele lat czytywał w prasie o tej chorobie. Ale mając

czterdzieści lat, nigdy sobie tym nie zawracał głowy. A teraz ktoś go prosi o podjęcie decyzji, która może przesądzić o życiu lub śmierci.

– Dowiedz się wszystkiego, Norman, dobrze? Potem to obgadamy.

– Wyobraź sobie, że chodzi o ciebie, a nie o mnie. Co byś zrobił?

Grace wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia, naprawdę. Myślę, że natychmiast bym pomyślał, że życie to nie tylko sam seks. Powiem ci jedno. Z tego, co widziałem, starszy wiek ma swoje dobre strony, ale również wiele złych. Bardziej cenię jakość niż długość życia. Jeśli czujesz, że seks jest dla ciebie bardzo ważny, musisz się zastanowić, czy chcesz go poświęcić, żeby zyskać kilka lat na granie w pchełki i sikanie w pieluchę w domu starców.

Potting uśmiechnął się szeroko.

– Morowy chłop z ciebie!

Grace pokręcił głową.

– Wcale nie. Może pewnego dnia zrozumiem, o co chodzi w życiu. Wtedy będę mógł dać ci właściwą radę...

Przerwał mu dzwonek telefonu. Patrząc na wyświetlacz, zobaczył, że to prywatny numer Glenna Bransona. Przeprosił Pottinga, odebrał i natychmiast usłyszał płacz kumpla.

– Cholera, Roy. O cholera. Ari właśnie umarła.

Grubas w białej czapce żeglarskiej siedział za kierownicą swojego białego kabrioletu marki Rolls-Royce Phantom i wyglądał zupełnie jak Pan Ropuch. Jechał powoli i trzymając kierownicę jednym tłustym palcem, lawirował pośród tabunu ludzi, którzy snuli się leniwie po nabrzeżu Puerto Banus. Samochody stały w pomalowanych na biało zatoczkach parkingowych, elegancko odgrodzonych łańcuchem. Za nimi widać było jachty, przeważnie lśniące białe i pyszniące się swoimi banderami. ACE. FAR TOO. TIO CARLOS. SHAF. Niektóre przyplływały i odpływały, inne, jak jego, stały tu zaokrętowane przez okrągły rok. Jego jacht był jednym z największych i sprawiało mu to przyjemność.

Lubił to miejsce. Szpan, jaskrawe kolory, drogie markowe okulary; w powietrzu czuło się zapach bogactwa. A on należał do tego świata i kilka rzeczy, włącznie z trzema byłymi żonami i dwudziestoczteroletnią tancerką klubową, którą obecnie posuwał, nie pozwalało mu o tym zapomnieć. Pewnego dnia umrze tutaj, jako zadowolony człowiek!

Samochód z cichym szumem silnika mijał eleganckie bary i restauracje, przejechał obok sklepu Bulgari, Jack's Bar, potem Chloé, American Brasserie, Dolce & Gabbana. Jachty były zacumowane rufą do wybrzeża, w stylu śródziemnomorskim, wzdłuż przystani, którą miał po prawej stronie, a na wzgórzu przed nim wznosiły się białe mauretańskie wille z dachami krytymi czerwoną dachówką. Nawet jaskrawe słońce, które lało żar z nieba, wydawało się tak samo krzepiąco kosztowne jak wszystko wokół.

Ubrany w luźną białą koszulę, bermudy i sandały od Gucciego, wdychając zapach pięknej skórzanej tapicerki, jechał wolno, w tym samym tempie co spacerujący tłum. Nie spieszyło mu się: zanim będzie musiał zbierać się na samolot, miał jeszcze mnóstwo czasu

na lunch i rundkę golfa, więc czuł się wyśmienicie. Był w znakomitym nastroju, nawet lepszym niż zazwyczaj. Napawając się pełnymi podziwu spojrzeniami, które przyciągał jego samochód, kiwał głową w takt *The Millionaire* Dr. Hooka, który ryczał z odtwarzacza. Lubił puszczać w kółko ten kawałek, bo to był właśnie on, mały Eamonn Pollock, pochodzący z samych dołów, a teraz milioner.

„Mam więcej forsy niż koń włosów!”, śpiewał głośno do słów Dr. Hooka. Rozpromienił się, kiedy jakaś ładna kobieta posłała mu uśmiech – też się uśmiechnął i pomachał jej tłustym małym palcem, po czym zahamował nagle, gdy tuż przed nim para pchająca spacerówkę zatrzymała się, by podnieść pluszaka upuszczonego przez dziecko. Wtedy odezwał się jego telefon. Numer zastrzeżony.

Włożył słuchawkę do ucha, bo nigdy nie wiadomo, kto z otaczającego tłumu mógłby podsłuchiwać.

– Mówi Eamonn Pollock – odezwał się wesoło.

– To ja. Jak się masz?

– Jak się mam? Dziękuję, znakomicie. Świeci słońce i jestem bardzo zadowolony. Czemu miałbym nie być?

– Mamy problem. Ktoś nie jest zadowolony.

– Więc co zrobić, by ofiarować mu parę promyków słońca?

– Mógłbyś zacząć od przywrócenia życia jego siostrze.

Nagle odniósł wrażenie, jakby słońce skryło się za chmurą. Ale niebo było niebieskie.

– Umarła?

– Twoje zbiry ją zabiły.

Ściszył muzykę.

– Nie dałem im takiego polecenia.

– I co teraz zrobisz?

– Już ci mówię. Zjem bardzo dobry lunch, potem zagram rundkę golfa na moim ulubionym polu, a potem muszę zdążyć na samolot. A ty?

– Kiedy dostanę moją dolę? – spytał ponuro rozmówca.

– Dobry chłopiec, teraz mówimy tym samym językiem. Dostaniesz w swoim czasie, gdy zakończę sprzedaż.

– Mówiłeś, że zapłacisz mi na podstawie wyceny wartości.

– Naprawdę?

– Tak.

– To zupełnie nie w moim stylu. Obawiam się, że musisz uzbroić się w cierpliwość, drogi chłopcze.

– Ty draniu, nie taka była umowa!

Młodzieniec w jaskrawoczerwonych spodniach robił zdjęcie jego samochodu. Eamonn Pollock uśmiechnął się uprzejmie.

– Miło cię było słyszeć! – powiedział i rozłączył się.

Znów puścił Dr. Hooka. Z przyjemnością myślał o lunchu. Dziś grillowany homar i kieliszek – albo dwa – chablis. Nie ma to jak dobry posiłek przed przyjemną rundką golfa.

Życie jest wspaniałe!

Sprawdził godzinę na złotym zegarku marki Vacheron Constantin Patrimony, który naprawdę kosztował więcej funtów niż koń ma włosów – a raczej kosztowałby, gdyby nabył go uczciwie i zapłacił cenę rynkową, czyli dwieście tysięcy funtów.

Jednak słowo „uczciwie” nie figurowało w jego słowniku, tak samo jak słowo „sumienie”. Poklepał się po wielkim brzuchu. Tak, dziś zdecydowanie ma chętkę na homara.

Jest bardzo zadowolony. I niedługo będzie znacznie bogatszy niż przed tygodniem.

Znów podkreślił głośność i podśpiewywał sobie wesoło, uśmiechając się do otaczającego go świata. „Nie zrozum mnie źle, proszę! Forsy mam mnóstwo, choć brzydki ze mnie gość”.

34

W skąpo umeblowanym gabinecie mieszczącym się w suterenie, w monachijskiej dzielnicy Schwabing, w pobliżu rzeki Izary, ciemnowłosa, krótko ostrzyżona kobieta leżała na kozetce u psychiatry. Miała trzydzieści parę lat, była szczupła i ubrana stosownie jak na upalny letni dzień w Monachium: w szorty zrobione z obciętych džinsów, biały top i japonki.

– No więc? – odezwał się doktor Eberstark, by przerwać typową dla Sandy długą chwilę milczenia. – Czy chce mi pani coś powiedzieć?

Sandy wzruszyła ramionami.

– Znów komunikuje się pani ze mną niewerbalnie? Może jednak łatwiej byłoby słowami?

– Nie rozumiem tego – odparła.

– Czego konkretnie pani nie rozumie?

– Dlaczego go tak nienawidzę.

– Opuściła go pani, tak? – Ten fakt został już dawno ustalony, ale psychiatra przywołał go powtórnie, jak robił co jakiś czas.

– Tak.

– Kiedy była z nim pani w ciąży?

Nic nie odpowiedziała.

– I nigdy mu pani o tej ciąży nie powiedziała?

– Staraliśmy się o dziecko przez wiele lat.

– To dlaczego mu pani nie powiedziała?

– Bo... – Zamilkła na dłuższą chwilę, a potem zaczęła: – Bo gdybym powiedziała... – I znów zamilkła.

– Bo gdyby pani powiedziała ? – ponaglił ją, czując, że do czegoś zmierzają.

– Musiałabym zostać.

– Czy to byłoby takie złe?

Pokiwała głową.

– Dlaczego?

– Trzeba wyjść za policjanta, żeby to zrozumieć.

– Co jest w tym takie złe?

Znów milczała przez jakiś czas, aż wreszcie się odezwała:

– Zawsze byłam na drugim miejscu. Najpierw praca, potem ja...
kiedy miał czas.

– Czy nie sądzi pani, że dziecko mogłoby to zmienić?

– Prawdę mówiąc, nie sądzę. – Zawahała się. – Jest jeszcze inna rzecz związana z dzieckiem. – Zamilkła, twarz jej poczerwieniała.

Psychiatra spojrział na zegarek.

– No dobrze, na tym musimy zakończyć. Widzimy się znów w poniedziałek? Wtedy opowie mi pani o tej „innej rzeczy”, dobrze?

– *Montag* – odparła.

Pielęgniarka prowadziła Bellę Moy przez labirynt pachnących pastą do podłogi korytarzy w Królewskim Szpitalu Hrabstwa Sussex. Szły na oddział pacjentów specjalnej troski, na którym leczono Ricky'ego Moore'a. Tu od razu stało się mniej duszno i lepiej pachniało. Pielęgniarka podprowadziła Bellę do łóżka na samym końcu sali. Błady mężczyzna, który je zajmował, nie spał, tylko siedział, wsparty wysoko na poduszkach, patrząc beznamiętnie przed siebie. Był ubrany w jasnoniebieską szpitalną piżamę i przykryty częściowo prześcieradłem. Stary telewizor na wysięgniku był włączony, lecz całkowicie wyciszono dźwięk. Na stoliku przed mężczyzną leżała jedna kartka z życzeniami, a obok niej znajdowały się szklanka z wodą, tabletki w małym pojemniku i nietknięty egzemplarz gazety „Argus”. Przy łóżku stało krzesło.

Pielęgniarka, z pomocą drugiej, zaciągnęła zasłonki wokół łóżka, by zapewnić odrobinę prywatności. Bella Moy usiadła na krześle.

– Ricky Moore? – spytała, dla potwierdzenia.

Łypnął na nią podejrzliwie i nic nie powiedział.

Pierwsze wrażenie Belli było takie, że facet jest sobowtórem aktora telewizyjnego Dennisa Watermana, byłej gwiazdy *Minder*, a teraz *Nowych trików*.

Pokazała swoją legitymację policyjną.

– Sierżant Moy z wydziału kryminalnego Sussex. Czy może pan odpowiedzieć na kilka pytań?

Skrzywił się i z bólem cedząc słowa, odparł:

– Jeśli... chodzi... pani... o stolicę... Peru... to jest nią Lima.

Uśmiechnęła się.

– Bardzo dowcipne.

Znów się skrzywił.

– Rozumiem, że zostałeś napadnięty w piątkowy wieczór w zeszłym tygodniu, Ricky? Mogę tak się do ciebie zwracać?

Patrzył na nią przez dłuższą chwilę. Wreszcie skinął głową.

– Czy znasz ludzi, którzy to zrobili?

Zaprzeczył ruchem głowy.

– Jesteś pewien?

Milczał.

– A więc zajmujesz się antykami?

– Tak.

– Wygląda, jakby mówienie sprawiało ci ból.

Pokiwał głową.

– Będę się streszczać. Ktoś bardzo cię poranił, zgadza się?

Patrzył przed siebie.

– Jak bardzo, Ricky?

Nadal patrzył w pustkę.

– Nie rozumiem, Ricky. Dlaczego to zrobili?

Zero reakcji.

– Lekarze twierdzą, że odniosłeś bardzo poważne obrażenia wewnętrzne. Masz przedziurawione jelito, trwale zniszczone nerwy. Co ty na to?

Wciąż milczał.

– Byłabym bardzo przybita, gdyby przydarzyło mi się coś takiego. Jesteś przybity?

Znów nie zareagował.

Bella spojrzała na kartkę z życzeniami.

– To od twojej żony?

– Dziewczyny.

– Czy martwi cię, że być może nie będziesz już mógł się z nią kochać? I że przez resztę życia możesz nie kontrolować czynności fizjologicznych?

Rzucił jej gniewne, ponure spojrzenie.

– Padłeś ofiarą bardzo brutalnego ataku. Podobno masz ciężkie oparzenia odbytu. Zgadza się?

– Nigdy... nie... tknąłem... starszej... pani. – Jego głos był cichy i zbolący.

– To z jej powodu cię to spotkało?

Milczał.

– Czy możesz mi powiedzieć, kto skrzywdził starszą panią? I kto skrzywdził ciebie?

– Nikt mnie nie skrzywdził.

– Mówiono mi, że coś bardzo gorącego zostało wetknięte w twój odbyt. Z tym przebitym jelitem masz szczęście, że nie umarłeś z powodu posocznicy. Czy ktoś cię torturował?

Pokręcił głową.

– Nie, naprawiałem elektrykę. Usiadłem na rozgrzanej lutownicy. Sam nie wiem, jak to się stało.

– Naprawiałeś elektrykę na golasa?

Zamknął oczy.

– Czy chcesz mi o czymś powiedzieć?

Nadal milczał.

Po dziesięciu minutach lekarz i pielęgniarka odciągnęli zasłonkę i oznajmili Belli, że Moore musi teraz spać.

Wychodząc ze szpitala, wybrała numer Roya Grace'a.

36

– A wiesz, co jest najgorsze? – spytał przez łyżę Glenn Branson, kołyszając szklanką z drugim piwem, w boksie na tyłach pubu nieopodal Królewskiego Szpitala Hrabstwa Sussex.

– Mów. – Roy Grace objął kumpla ramieniem.

Na stoliku przed nim stała szklanka z whisky Glenfiddich i lodem. Wiedział, że nie powinien pić na służbie, a poza tym czekała go jeszcze wieczorem robota. Ale teraz o tym nie myślał. Wieści Glenna mocno nim wstrząsnęły.

– To, że Ari będzie miała rano sekcję zwłok. – Glenn popatrzył spod ciężkich powiek na Roya. – Obaj wiemy, co to oznacza.

Grace zdobył się tylko na skiniecie głową.

– Rozetną ją. Odpilują jej górną część czaszki, wyjmą mózg. Potem otworzą jej klatkę piersiową i wtedy...

Stracił panowanie nad sobą i zaczął szlochać.

– Nie myśl o tym, stary – powiedział Grace.

– Ale oni to robią, prawda? – rzucił bezradnie Branson. – Mówimy o kobiecie, którą kochałem. Matce moich dzieci. Nie mogę tego znieść, Roy.

– Muszą się dowiedzieć, co zaszło – odparł Grace i natychmiast tego pożałował.

– Ja wiem, co zaszło. Jechała ścieżką rowerową na bulwarze nadmorskim. Nagle ktoś, nie patrząc, gdzie idzie, zastąpił jej drogę. Spadła z roweru, złamała rękę w trzech miejscach i wywichnęła ramię.

Grace zmarszczył brwi.

– Była w kasku?

– No jasne. Dzieciom też zawsze kazała zakładać kask.

– Ale chyba musiała odnieść ranę głowy, skoro umarła?

– Nie. Zawieźli ją do szpitala, gdzie mieli zrobić jej operację ręki, umieszczając w środku metalowe śruby, i nastawić ramię. Podali jej środek znieczulający, a ona dostała reakcji alergicznej... to się nazywa hipertermia złośliwa. Podobno zdarza się raz na sto tysięcy czy na milion przypadków.

Grace milczał przez chwilę. Potem dotknął ramienia przyjaciela i delikatnie je uścisnął.

– Słyszałem, że takie rzeczy się dzieją, ale nigdy... no wiesz. Boże, współczuję ci. I dzieciakom...

– Jak mam im wytłumaczyć, że mama już nigdy nie wróci do domu?

– Może potrzebujesz rady od psychologa dziecięcego? Weź kilka dni wolnych, urlop okolicznościowy.

Glenn wzruszył ramionami.

– Dzięki, jeszcze zobaczę.

– Musisz załatwić wiele spraw.

– Tak – przyznał Glenn z roztargnieniem.

Wygląda tak bezradnie, pomyślał Grace. Nawet gdy Ari wykopała go z domu, jakoś się trzymał, ale teraz był w kompletnej rozsypce.

– To niewiarygodne – powiedział Grace. – Wyjątkowy pech. Spada z roweru, czyli ma typowy wypadek, jak wielu rowerzystów, a potem umiera w szpitalu z powodu znieczulenia. Wiem, że nie byliście już ze sobą. Ale bardzo ci współczuję.

Branson wzruszył ramionami.

– Tak. Chciałbym... no wiesz... ja i ona... chciałbym, żebyśmy przynajmniej przestali żywić do siebie taką niechęć. Żebyśmy mogli przynajmniej... – Głos mu się załamał. – Być przyjaciółmi.

Grace milczał.

– Ta durna baba, która jej zaszła drogę na ścieżce, prawdopodobnie nie dostanie nawet grzywny. A ja mam teraz pochować swoją żonę i matkę swoich dzieci.

– Musisz być silny ze względu na nie – powiedział Grace, starając się znaleźć coś pozytywnego w obliczu tej tragedii.

Układy Glenna z cwana, wymagającą żoną popsły się prawie rok wcześniej. W głębi duszy Grace nigdy jej nie lubił. Sierżant Branson wyniósł się od żony i od tej pory mieszkał u Roya.

Tymczasem ku rozgoryczeniu Glenna do jego dawnego domu wprowadził się nowy mężczyzna Ari.

Branson upił trochę piwa i posępnie pokiwał głową.

– Co z dziećmi?

– Jest z nimi siostra Ari.

– A co z tym facetem?

– Spakował się i zwał. Nieźle świadczy to o jego kręgosłupie moralnym, prawda?

– Tak szybko?

– Speedy Gonzales.

– Dzieci potrzebują ojca. Widziałeś się już z nimi?

– Nie.

– Myślę, że powinieneś tam pojechać. Przecież to twój dom. Musisz się nimi zająć, stary.

– Nastawiła je przeciwko mnie.

Grace pokręcił głową. Zupełnie nie wiedział, co począć w takiej sytuacji, ale intuicja mówiła mu, że Glenn musi nad nią zapanować.

– Zawiozę cię tam.

– Mam samochód na szpitalnym parkingu.

– Nie będziesz prowadził w tym stanie. Ja cię zawiozę.

Branson uśmiechnął się ponuro.

– Ale co mam robić, Roy?

– Zaraz ci powiem. Pamiętasz, jak kilka lat temu tłumaczyłeś mi, dlaczego zostałeś gliną?

– Co mówiłem?

– Powiedziałeś, że byłeś bramkarzem w nocnym klubie. Kiedy urodził się twój syn Sammy, spojrzaleś na niego i uświadomiłeś sobie, że pewnego dnia ktoś w szkole go spyta, jak jego tata zarabia na życie. Nie chciałeś, by musiał odpowiadać, że tata jest bramkarzem. Chciałeś, by był z ciebie dumny. Dlatego wstąpiłeś do policji. Nieważne, w jakim stopniu Ari nastawiła ich oboje przeciw tobie. Za kilka minut zawiozę cię do domu, a ty wejdiesz frontowymi drzwiami i uściskasz dzieci. A niebawem, już wkrótce, zapomną o tym syfie, którego im nakładzono do głowy, i naprawdę będą z ciebie dumne. Bo jesteś wyjątkowym facetem i cholernie im się poszczęściło, że mają takiego tatę.

Branson uśmiechnął się posępnie.

– Wiesz, po tym, jak urodziła się Remi, moje drugie dziecko, spojrzałem kiedyś na nich oboje i przyszła mi do głowy taka dziwna myśl: pewnego dnia pomyślą, że jestem lepszym człowiekiem, niż rzeczywiście jestem. Więc lepiej, jak postaram się nad sobą popracować, żeby zapobiec ich ewentualnemu rozczarowaniu.

Roy Grace uniósł szklankę i stuknął się z Glennem.

– Dasz sobie radę, wiesz? Kocham cię, stary. Naprawdę cię kocham.

Branson ścisnął przyjacielowi rękę i mruganiem odpędził łzy. Wziął głęboki oddech.

– Coś ci powiem. To ostrzeżenie, wiesz?

Grace zmarszczył brwi.

– Ostrzeżenie?

– Nie chcę, by przydarzyło ci się coś takiego. Miałeś dosyć syfu w życiu. Musisz sobie uświadomić, że od kiedy urodził się Noah, twoja relacja z Cleo zmieniła się na zawsze. Nie jesteś już najważniejszy w jej życiu i tak pozostanie. Zawsze będziesz zajmował drugie miejsce, po swoim synu czy po innych dzieciach, jakie możesz mieć. Mówię ci to, bo wiem, że jesteś uczciwym, troskliwym facetem, ale zbyt przeciążonym pracą, choć może nie zdajesz sobie jeszcze z tego sprawy. Ja to już zrozumiałem. Dzieci wcale nas obojga nie połączyły i winię za to siebie.

Roy Grace pokręcił głową.

– Nie masz o co się obwiniać. Jesteś dobrym człowiekiem, stary.

W tym momencie zadzwonił jego telefon. Grace odebrał, po czym spojrzał na zegarek. Był kwadrans po ósmej. Zamierzał wziąć robotę do domu i pomóc Cleo, która wydawała się zestresowana opieką nad Noahem. Ale to było zbyt ważne.

Niechętnie powiedział do tego, kto dzwonił:

– Dobrze, spotkajmy się o dziewiętej. Za czterdzieści pięć minut.

Rozłączył się i spojrzał na przyjaciela.

– Dopij, jedziesz do domu. Do domu! Do swojego domu i swoich dzieci.

– Ale co im powiem?

Grace zwinął dłoń w pięść i delikatnie dotknął kłykciami policzka Glenna.

– Powiesz: „Jestem waszym tatą i wróciłem do domu”.

– Możesz sobie pomarzyć – wycedził Amis Smallbone przez zęby, które mu jeszcze pozostały.

Siedział w boksie zatłoczonego pubu, naprzeciwko akwarium z tropikalnymi rybami, które pełniło funkcję ścianki, i kołysał trzymaną w dłoni szklaneczką whisky. Czuł się wyjątkowo rozdrażniony, bo na dworze lało, więc nie palił od pół godziny, a poza tym musiał czekać na tego gnojka, który się spóźnił, no i wszystko go bolało po wycisku, jaki dostał. Miał na sobie swój zwykły letni strój: granatową marynarkę, rozpiętą koszulę i fular w turecki wzorek, płócienne spodnie i buty na podwyższonych obcasach.

– Nie sądzę – odrzekł Gareth Dupont, przed którym stała szklanka z dietetyczną colą i paczka serowo-cebulowych chipsów. On też czuł rozdrażnienie, bo był już bardzo spóźniony na randkę z Suki Yang. Miał na sobie cienką skórzaną kurtkę narzuconą na biały T-shirt, dzinsy i szpanerskie mokasyny. – A co ci się, kurwa, stało?

– Wszedłem na drzwi.

Dupont pokiwał głową, nie wykazując zainteresowania szczegółami.

– Mieliśmy umowę – przypomniał mu Smallbone. – Nie zmienia się warunków. I w tym mieście nie kapuje się ludzi.

– Nie muszę nikogo kapować – odparł Dupont. – Nie byłeś ze mną uczciwy. Nie powiedziałeś mi, jaka wartość wchodzi w grę, i nie uprzedziłeś, że będę zamieszany w dochodzenie w sprawie morderstwa. Jestem na warunkowym, tak jak ty. Poprosiłeś, żebym znalazł kryjówkę dla paru obrazów. Nie mówiłeś nic, że będę przewoził psychopatów i towar wart dziesięć milionów funtów.

– A ty naprawdę myślisz, że możesz nas zakapować i zgarnąć nagrodę? W marzeniach, kurwa.

Dupont pokręcił głową.

– Długo siedziałeś w kiciu, Amis. Ale nie wierzę, że straciłeś kontakt z rzeczywistością. – Zanurzył rękę w torebkę z chipsami. – Wiesz o Crimestoppers?

– Niby co?

– To organizacja charytatywna. Każdy może do nich zadzwonić i ma zagwarantowaną anonimowość. Tożsamości dzwoniącego nigdy nie zdradzają policji ani nikomu innemu. Ale jeśli w wyniku takiego anonimowego telefonu dojdzie do aresztowania i skazania, dzwoniący otrzymuje nagrodę. Czy teraz kumas, co jest grane?

– Zapominasz, że znam wszystkich, Gareth. – Smallbone mówił łagodnie, jak wujaszek do niesfornego siostrzeńca.

– A ty zapominasz, że siedziałeś ponad dwanaście lat, Amis. Większość twoich znajomych jest w kiciu albo wyjechała. Dlatego skontaktowałeś się ze mną.

– To czego chcesz?

– Zaproponowałeś mi za tę robotę dziesięć tysięcy, tak?

– Na tyle się zgodziłeś, i to bardzo chętnie – odparł Smallbone.

– Owszem, ale teraz chcę sto tysięcy. Albo wracasz do kicia.

– Możesz sobie pomarzyć.

Grace siedział przed domem Glenna Bransona w Saltdean, w swojej nowej – przynajmniej dla niego – czarnej alfie romeo giulietcie, którą kupił z drugiej ręki, po okazyjnej cenie. Rzęsisty letni deszcz bębnił w dach. Głos Cleo w telefonie był znużony i Roy bardzo chciał do niej wrócić i zobaczyć Noaha.

– Muszę się spotkać z pewnym facetem, kochanie, to naprawdę ważne.

– Myślałam, że zamierzałeś dziś wrócić do domu wcześniej – powiedziała Cleo.

– Musiałem zobaczyć się z Glennem. Jego żona umarła, mówiłem ci, prawda? Zmarła z powodu reakcji alergicznej. W głowie się nie mieści.

– Mówiłeś, i nawet nie wyobrażam sobie, jak on się czuje. Biedny facet. Aileen McWhirter umarła i to też jest straszne. Musisz znaleźć jej zabójców, jak najszybciej, i znajdziesz, kochanie, bo jesteś najlepszy. Ale tych kilka godzin nic nie zmieni, Roy.

Sandy nigdy nie rozumiała – a w każdym razie nie akceptowała – tego, że godziny pracy policjanta z wydziału zabójstw mogą być kompletnie nieprzewidywalne. Jednak Cleo była inna. Dopiero na krótko przed porodem przestała pracować, a kierowała miejską kostnicą Brighton i Hove i miała równie nieprzewidywalne godziny pracy, bo musiała zabierać ciała z różnych miejsc, w których nastąpiła śmierć. Ludzie rzadko byli na tyle uprzejmi, by padać trupem albo dać się mordować w godzinach urzędowania. Grace bardzo chciał wrócić do Cleo, do domu, i spędzić jak najwięcej czasu z synem.

– Robię, co mogę, by mieć wolny weekend, kochanie – powiedział.

– Żebyś mógł pójść pograć w gałę? – spytała żartobliwie.

- Jeśli gdzieś pójde, to tylko do pracy. Jak Noah?
 - Płakał, robił kupkę i wymiotował pięć godzin bez przerwy.
 - Obiecuję, że jak wrócę do domu, będę przy nim siedział przez całą noc.
 - To miło, że tak mówisz, kochanie, ale nie będziesz. Zaśniesz, a ja nie będę cię budzić, bo wiem, że musisz być w pracy o szóstej rano. Poza tym nie masz piersi.
 - A nie mógłbym nakarmić go butelką, żebyś trochę się przespała?
 - Jestem taka zmęczona. Ledwie kontaktuję.
 - Wrócę najszybciej, jak się da.
- Rozłączył się z ciężkim sercem. Jak, do diabła, ma być dobrym ojcem i dobrym policjantem jednocześnie? To zadanie wydawało się ponad siły. Czy da radę?
- Inni dawali, to i on musi. Ale w tej chwili nie bardzo wiedział jak.

Hector Webb był wysokim, prostym jak struna mężczyzną o wojskowym sposobie bycia. Miał krótko ścięte jasne włosy i surową ospowatą twarz. Siedział przy barze, z wypitą do połowy szklanką guinnessa, kiedy Roy Grace wszedł do Royal Pavilion Tavern, mieszczącym się przy Castle Square w Brighton.

Grace, zanim przestąpił próg, z przyzwyczajenia potoczył wzrokiem po twarzach obecnych. Jednak żadna nie wydawała się znajoma. Przed dwudziestu laty Webb, jako komisarz, dowodził jednostką zajmującą się antykami na terenie Brighton i Hove. Została rozwiązana z przyczyn ekonomicznych wkrótce po jego odejściu na emeryturę. Od tej pory napisał wiele faktograficznych książek o tym, co go pasjonowało, czyli o lotnictwie w drugiej wojnie światowej.

– Co ci zamówić? – spytał Webb. – Ja stawiam – zaznaczył.

Po rozmowie z Cleo Grace miał wielką ochotę się napić, ale nadal pracował i nie powinien pić nawet tego jednego drinka z Glennem.

– Dietetyczną colę z lodem proszę.

Webb zamówił i kiedy Grace dostał swoją colę, przenieśli się do cichego stolika.

– Więc? – rzucił pytająco Webb.

Jako młody policjant wydziału dochodzeniowo-śledczego Grace przez krótki czas podlegał Webbowi, który był wtedy sierżantem w komisariacie przy John Street w Brighton, i darzył go dużą sympatią.

Szybko wprowadził Webba w sprawę Aileen McWhirter, po czym powiedział:

– Potrzebna mi rada, Hectorze, gdzie mam szukać skradzionych rzeczy. Nie znam świata antyków, chociaż właśnie przechodzę

przyspieszony kurs na ich temat i korzystam z wydatnej pomocy Peregrine'a Stuarta-Simmondsa. Znasz go?

– Tak.

– Czy nadal utrzymujesz kontakt z którymś z dawnych handlarzy?

Webb pociągnął spory łyk ze szklanki.

– To inny świat niż za moich czasów, Roy. Ale wciąż podtrzymuję parę starych kontaktów i słyszałem, że większość handlarzy miała trudny okres, zwłaszcza od jedenastego września, kiedy przestali przyjeżdżać Amerykanie. Podobno na Zachodzie zmieniła się też bardzo moda. Obecnie ludzie mają w domach nowoczesne meble.

Grace pokiwał głową.

– Ważnym czynnikiem są koszty – ciągnął Webb, dopijając piwo.

Grace przyniósł mu kolejne.

– Jakie koszty? – spytał.

– Kiedyś ludzie meblowali domy antykami, bo były tańsze niż nowe meble. Ikea wpłynęła bardzo negatywnie na handel antykami. Moja najmłodsza córka wyszła niedawno za mąż. Kupili w Ikei piękne krzesła do jadalni, po trzydzieści funtów za sztukę. – Poczęstował się orzeszkami. Żując je, ciągnął: – Jedno jest pewne: włamanie tego kalibru musiało być dobrze zaplanowane i wcale bym się nie zdziwił, gdyby sporo przedmiotów sprzedano już wcześniej. Zostałyby wywiezione z kraju cholernie szybko. Nie wykluczałbym, że zamieszana jest w to Rosyjska Mafia, Roy. Bardziej prawdopodobne, że to ich macki, a nie kogoś z Hiszpanii, sięgają tej zbrodni i tych kosztownych przedmiotów. Jednak Marbella jest dobrym punktem startowym dla Rosjan i oczywiście dla Irlandczyków.

– Irlandczyków?

Webb pokiwał głową.

– Ludzie o nich zapominają, ale irlandzka mafia działała na długo przed włoską. Gang White Hand? Al Capone mógł wykopać ich z Nowego Jorku pod koniec lat dwudziestych, ale oni nigdy nie zniknęli. Pogrzeb głębiej w IRA, a w samym jej sercu znajdziesz irlandzką mafię.

Grace uśmiechnął się cierpko.

– Interesujące.

– W Nowym Jorku w latach dwudziestych załatwiali porachunki z Włochami – wyjaśniał dalej Webb. – Teraz w Marbelli, w Hiszpanii, dziewięćdziesiąt lat później, rozprawiają się z Rosjanami i Albańczykami. Zwróćmy uwagę szczególnie na ten zegarek Patek Philippe. Jest mnóstwo bogatych Rosjan, którzy chcieliby mieć taki rzadki, stary okaz, i zapłaciliby za niego sporo pieniędzy. Kiedy byłem w jednostce zajmującej się antykami, wiedzieliśmy, że dwóch naszych tutejszych wyłudzaczy jeździło do Moskwy kupować kradzione ikony, które później sprzedawano w Finlandii, a wyobrażam sobie, że do tej pory nawiązano lepsze kontakty.

Grace sączył swoją colę.

– Jakie drogi prowadzące za granicę powinniśmy obserwować? Zakładając, że te rzeczy są jeszcze w kraju.

– Co jest mało prawdopodobne – zauważył Webb. – Zegarek mógł zostać przewieziony przez kanał do Francji w ciągu paru godzin po włamaniu. Zaufany „muł”, trzymając go w kieszeni, pojechał na jednodniową wycieczkę promem z Newhaven, gdzie tak naprawdę nie ma żadnych kontroli, a wymiana mogła nastąpić w jakiejś przydrożnej knajpie. Obrazy mogły zostać wycięte z ram i położone na dnie walizki, a potem doszło do podobnej wymiany. Z meblami jest trudniej. – Napił się piwa i otarł usta wierzchem dłoni. – Z meblami jest trudniej i pewnie potrzebny byłby kontener, z portu Shoreham albo Newhaven. Drogie sztuki umieszczone pomiędzy zwykłymi meblami i bajeczka dla celnika, że mają służyć do urządzenia domu we Francji. Przeciętny celnik nie ma zielonego pojęcia o antykach.

– Świetnie – mruknął ponuro Grace. – A jeśli wszystko jest już za granicą, gdzie powinienem zacząć szukać?

– Ja zacząłbym tutaj, w Shoreham i Newhaven. Sprawdziłbym listy przewozowe wszystkich towarów, które zaczęto wysyłać z obu portów już kilka godzin po włamaniu, jak również tych, które jeszcze czekają na wysyłkę. Zwróciłbym szczególną uwagę na rzeczy wysyłane do Rosji i Hiszpanii. Również na używane samochody, bo da się w nich sporo ukryć. No i kontenerowce przewożące drewno lub stal: można przemycić na pokład kontener

pełen antyków. Poszukałbym także poza lokalnymi portami. Na początek w Dover, Portsmouth, Southampton, Harwich.

Grace wypił kilka łyków coli.

– Mówisz o rozległej operacji, Hectorze.

– Owszem – przyznał Webb, wzruszając ramionami. – Masz do czynienia z koszmarnym morderstwem i kradzieżą bardzo wartościowych rzeczy. Nie zazdrozczę ci.

– Czy jest szansa, żeby wywabić cię z emerytury i nakłonić do pomocy w tej sprawie?

Webb z uśmiechem pokręcił głową.

– I znowu miałbym wejść w te wszystkie biurowe intrygi? Nie, dziękuję. Jestem bardzo szczęśliwy, uprawiając ogród, majstrując przy żaglówce i rozpuszczając czwórkę wnuków. W lipcu zdobyłem patent kapitana i bardzo mnie to cieszy. Wiesz, czego się nauczyłem przez trzydzieści lat służby w policji?

– No?

– Walczyć z przestępczością to jak położyć się przed lodowcem i próbować go zatrzymać. Gdybym zaczynał życie i miał ambicję zostać bogatym, a nigdy takiej nie miałem, powiem ci, w jakie branże bym poszedł: ochrona, żywność albo uzbrojenie. Ludzie zawsze będą kraść, zawsze będą musieli jeść i zawsze będą się zabijać.

– Jesteś pesymistą!

– Nie, realistą, Roy.

* * *

Na dworze było już całkiem ciemno, kiedy Roy Grace opuścił Royal Pavilion Tavern. Była za kwadrans dziesiąta, kiedy zszedł po betonowych schodach na parking Bartholomews, marszcząc nos od smrodu uryny.

Miał już jechać do domu i przystanął, by wysłać Cleo esemesa, że jest w drodze. Ale ledwie to zrobił, natychmiast pożałował. Coś nie dawało mu spokoju od wielu godzin, a teraz uświadomił sobie, co to było oraz co musi zrobić.

Dom Cleo znajdował się niecały kilometr na północ od parkingu. Jednak zamiast skierować się właśnie tam, Roy zawrócił, po czym ruszył swoją alfą na zachód, wzdłuż bulwaru nadmorskiego. Cleo nie będzie zadowolona i czuł z tego powodu wyrzuty sumienia. Ale nic nie mógł na to poradzić. Ten, kto torturował Aileen McWhirter, był gdzieś tutaj i może planował kolejny atak na bezbronną ofiarę w podeszłym wieku. Cleo nie miała racji, mówiąc, że kilka godzin nic nie zmieni. Na wczesnym etapie dochodzenia w sprawie morderstwa liczyła się każda godzina, a nawet minuta. Było całkiem prawdopodobne, że ludzie, którzy stali za tym włamaniem, już obrali kolejny cel.

Miotają nim różne uczucia i przez chwilę pozazdrościł Hectorowi, który najwyraźniej nie miał większych zmartwień niż uprawa ogrodu, majstrowanie przy łodzi i rozpuszczanie wnuków. Glenn Branson mówił, że posiadanie dzieci wpływa na związek. Przypominając sobie Sandy i jej napady złości za każdym razem, kiedy jego praca burzyła ich wspólne plany, Grace pomyślał, że chyba chodzi nie o dzieci, lecz o specyfikę pracy policjanta z wydziału zabójstw. Czy podobało się to komuś, czy nie, tropienie przestępców stało się priorytetem w jego życiu. Zawsze tak było i wiedział, że dopóki zostanie w tej pracy, tak będzie. Do niego należało przede wszystkim znaleźć sprawiedliwość dla ofiary i pomyślnie zakończyć śledztwo ze względu na jej rodzinę. Tak się sprawy mają i kropka.

Wciąż myślał o Glennie Bransonie.

Wybrał na iPodzie *The Cost of Freedom* Marli Glen i podłączył go do systemu nagłaśniającego w aucie. Głęboki, smutny głos piosenkarki często pomagał mu jasno myśleć. Wypełnił teraz wnętrze samochodu. Grace przejechał obok skrzydlatej Statui

Pokoju, jednego ze swoich ulubionych pomników, stojącej dokładnie na granicy między Brighton i Hove, potem minął Hove Lawns, a nad głową migają mu uliczne latarnie. Skręcił w prawo, w stronę pomnika królowej Wiktorii, po czym ruszył przez Grand Avenue, szeroki, elegancki bulwar. Ta nadmorska okolica była zabudowana wieżowcami – w wielu z nich mieszkali zamożni emeryci. Minął światła przy Church Road i jechał dalej: w tej części, The Drive, pozostało najwięcej autentycznych imponujących wiktoriańskich rezydencji miejskich. W wielu mieściły się teraz firmy prawnicze i gabinety medyczne albo podzielono je na mieszkania.

Niecały kilometr dalej zjechał przy światłach na skrzyżowaniu z Old Shoreham Road, po czym ruszył w górę Shirley Drive, gdzie zaczynała się okolica, którą Glenn Branson żartobliwie nazywał Nob Hill⁵. Grace pomyślał, że to trafne określenie. Niewiele z tych eleganckich wolno stojących domów, na terenach przyległych do parku, było dostępnych cenowo dla oficerów policji. Mieszkało tu sporo miejscowych osobistości oraz niemało drani, którym powiodło się w interesach.

Skręcił w prawo, w Woodruff Avenue, i dotarł do biegnącej przez środek miasta Dyke Road Avenue, gdzie stały jeszcze okazalsze domy. Skręcił w lewo, parę chwil później w prawo, po czym znów w lewo, w Withdean Road, pod jeden z najbardziej ekskluzywnych adresów w mieście. Była to kręta, obsadzona drzewami droga, o niemal wiejskim charakterze, a imponujące domy kryły się za wysokimi ogrodzeniami, murami albo żywopłotami.

Coś nie dawało mu spokoju w związku z tą sprawą. Coś było nie w porządku. Coś im umknęło. Potrzebował przestrzeni, chwili spokoju, chciał zostać sam na miejscu zbrodni, żeby nic go nie rozpraszało i żeby mógł odtworzyć w myślach sekwencję zdarzeń.

Kilkaset metrów dalej droga biegła w lewo, a on skierował się w prawo i zjechał po stromym, krętym podejździe Aileen McWhirter. Światła samochodu sprawiały, że cienie skakały po świerkach i rododendronach. Po lewej stronie ujrzał wspaniały dom, ciemny i opuszczony, a nawet nieco złowieszczy. Na samym

dole zawrócił i oświetlił tył budynku, uważnie patrząc na okna, tylne drzwi, ściany, dach.

Wyłączył silnik, ale zostawił światła zapalone. Deszcz ustał, biało-niebieska taśma odgraniczająca miejsce zbrodni trzepotała lekko na wietrze. Przywołał w myślach wszystko, co wiedział o włamaniu. Nie było śladów wtargnięcia i wyglądało na to, że sprawcy przebrali się za pracowników przedsiębiorstwa wodociągowego, by wejść do środka. Sprzedawca oferujący ocieplenie poddaszy, Gareth Dupont, zadzwonił do Aileen McWhirter mniej więcej w czasie, kiedy przypuszczalnie nastąpił atak. Możliwe, że Dupont wcale nie był w to zamieszany, ale zdaniem Grace'a, facet, który miał na koncie włamanie kwalifikowane oraz paserstwo, mógł równie dobrze brać udział w tej zbrodni. Zastanawiająca była zbieżność w czasie telefonu i ataku. Ciekawe, jakie Dupont ma alibi.

Dziwnym zbiegiem okoliczności było jeszcze to, że do niego również dzwonił akwizytor w sprawie ocieplenia poddasza – dwa dni po śmierci Aileen McWhirter. Ale czy to możliwe, że zachodzi tu jakiś związek? Odrzucił tę myśl, wysiadł z samochodu i wyjął z torby podręcznej mocną latarkę. Włożył rękawiczki, po czym obszedł dom i stanął przed frontowymi drzwiami ciemnej, cichej rezydencji. Nagle rozbłysły w ciemności i natychmiast zniknęły czerwone oczy jakiegoś gryzonia. Wszedł na ganek i wyjął z kieszeni duplikat klucza, pożyczony od funkcjonariusza nadzorującego oględziny miejsca zbrodni. Otworzył drzwi, a kiedy znalazł się w środku, zauważył, że nie słyhać pikania alarmu. Czyżby ktoś zapomniał go włączyć?

Z pomocą latarki odnalazł rząd staroświeckich włączników na ścianie i pstryknął jeden z nich. Zapaliło się kilka kinkietów – miały różowe, obramowane frędzelkami abażury – rzucając przyćmione światło. Przeszedł zaciemnionym i niemal ogołoconym ze wszystkiego korytarzem do kuchni, gdzie otwarty garnek z zapleśniałą fasolką szparagową na dnie stał koło płyty grzejnej, a obok, przy starej kuchence Aga, całkowicie wystygłej, leżała drewniana łyżka. Na stojakach po prawej stronie piętrzyły się garnki różnej wielkości. Obok znajdował się nowoczesny telefon na przyciski, z bardzo

dużymi cyframi – dla ludzi o słabym wzroku. Może zdjęła garnek z płyty, żeby otworzyć drzwi, pomyślał.

Drzwi były wyposażone w judasz i łańcuch. Czyli albo znała napastników, albo tak sprytnie ją podeszli, że otworzenie im drzwi wydawało jej się bezpieczne. Kto z ludzi, których znała, mógłby to zrobić? Przypomniał sobie osoby, które bywały w tej posiadłości: na pewno nie leciwa gosposia ani ogrodnik, niemal równie stary. Jej brat? Ale on nie potrzebował pieniędzy. Bratanek? Mało prawdopodobne. Wyłudzacz Ricky Moore figurował na czele listy podejrzanych.

Na razie jeszcze badano, w jaki sposób firma ubezpieczeniowa przechowuje informacje o cennych przedmiotach oraz kto mógł mieć do nich dostęp. Sprawdzano osobę myjącą okna, hydraulika, z którego usług zmarła korzystała, niejakiego Michaela Maguire'a, malarzy i dekoratorów. Firmę budowlaną Bryana Barkera i faceta naprawiającego pralkę. Przy większości włamań dokonywanych przez ludzi, którzy stale bywali w danych domach, widać było, że sprawcy nie wysilali się zbytnio, ale ten rabunek należał do zupełnie innej ligi. W Brighton i Hove mieszkało wielu bogatych, starych, bezbronnych ludzi, takich jak Aileen McWhirter. Jeśli przestępcy uznają, że kradzież uszła im na sucho, na pewno zaatakują ponownie. Grace wiedział, że musi temu zapobiec, a był na to tylko jeden sposób – jak najszybciej ich zamknąć. Ale najpierw trzeba ich znaleźć.

Dziesięć milionów funtów to była, jak zauważył Webb, ogromna suma. W ciągu ostatnich kilku dni Grace rozmawiał z wieloma miejscowymi handlarzami antyków, włącznie z ekspertem od chińskiej i japońskiej porcelany, Chrisem Tapsellem, ze znawcą biżuterii, Derekiem le-Wardem, oraz z Simonem Schneiderem, który występował regularnie w jednym z ulubionych programów Cleo, *Secret Dealers*. Wszyscy wyrazili opinię, że to musiała być kradzież zaplanowana na podstawie doniesień od dobrze poinformowanej osoby oraz że wiele skradzionych rzeczy szybko znajdzie nabywców. Orientalną porcelanę kupią Chińczycy. Meble trafią pewnie – albo już zostały wysłane – do Rosji. Obrazy nabędą przypuszczalnie klienci z Ameryki, Niemiec, Holandii lub Rosji.

Informacje o tych cennych przedmiotach mogły pochodzić od przekupionego pracownika firmy, która ubezpieczała majątek Aileen McWhirter. Ale o wiele bardziej prawdopodobne, jak twierdzili eksperci, że sprzedał je komuś wyłudzacz, Ricky Moore. Tak właśnie zarabiali wyłudzacze – podstępnie wślizgując się do domów, które były skarbnicą antyków.

Moore był później torturowany, jak kilka godzin temu powiadomiła go telefonicznie Bella Moy. Z jakiego powodu? I przez kogo?

Jego komórka zawibrowała, po czym rozległ się sygnał esemesa. Spojrzył na wyświetlacz. Wiadomość była od Cleo.

Roy, kochanie, u ciebie OK?

Szybko wystukał odpowiedź.

Jeszcze 30 minut. Przepraszam.

Wrócił do korytarza i popatrzył w górę, na schody i ciemny podest. Rozejrzał się, lecz nigdzie nie dostrzegł włącznika światła, więc wspiał się po schodach, zapalił latarkę i znów rozejrzał się za włącznikiem, ale go nie znalazł.

Skierował latarkę w górę i w dół, nadal nie widząc nigdzie włącznika. Otworzył drzwi do sypialni Aileen McWhirter, a kiedy poświecił w ciemność i zrobił krok do przodu, coś grzmotnęło go w golenie tak mocno, że krzyknął z bólu, stracił równowagę i upadł na dywan, a latarka potoczyła się w bok.

41

Roy Grace zawsze potrafił jasno myśleć w trudnych sytuacjach. W tej chwili, w kompletnej ciemności, kiedy latarka zatrzymała się daleko od niego, wiedział, że napastnik będzie się spodziewał, iż Grace rzuci się, by ją chwycić. Zamiast tego odturlał się więc szybko w przeciwną stronę, dotykając czegoś twardego, co przed nim ustąpiło.

– Au! Cholera!

Ktoś zaklął i upuścił coś, co z łomotem upadło na podłogę. Latarka? Pistolet? Następnie Grace usłyszał głośniejszy łomot, gdy ten ktoś się przewrócił. Grace zakręcił się w ciemności, z prawą pięścią gotową do ciosu, a potem szybko się przetoczył, chwycił latarkę i zaświecił nią w kierunku, skąd dobiegały odgłosy.

I ujrzał Gavina Daly’ego, w zielonym garniturze, leżącego na plecach, z przekrzywionym krawatem, z zamkniętymi oczami. Przez chwilę myślał, że zabił tego starego człowieka. Ukląkł i zaświecił mu latarką prosto w twarz, a ten po paru chwilach zamrugął.

– Nic panu nie jest? – spytał Grace.

Starszy pan znów zamrugął, niespokojnie. Grace na kilka sekund oświetlił własną twarz, żeby Daly mógł go zobaczyć.

– Jezu!

– Nic panu nie jest? – powtórzył.

– Nie, w porządku – wydyszał z trudem Daly.

– Wystraszył mnie pan na śmierć.

– Następnym razem niech pan przyjeżdża oznakowanym samochodem policyjnym, do cholery – wydyszał Daly. – I co, u diabła, pan tu w ogóle robi? – Podparł się na rękach, z trudem usiadł i odetchnął głęboko.

– A może to pan mi powie, co tu robi? – odparł na to Grace.

Podniósł się, zapalił światło i pomógł starszemu panu wstać.

Zauważył na podłodze laskę ze srebrnym uchwytem i domyślił się, że właśnie nią został uderzony. Podał laskę Daly'emu.

– Właśnie straciłem siostrę, jedyną pozostałą mi na świecie osobę, którą kochałem. – Daly wzruszył ramionami. – Po prostu chciałem tu pobyc, poczuć jej obecność. W porządku? Poza tym jeden z pańskich policjantów mówił mi, że powinienem mieć oko na ten dom, bo ci dranie mogą wrócić i zabrać więcej rzeczy albo powiedzieć innym o rzeczach, których nie zabrali. Najcenniejsze z tych ocalałych przeniosłem do magazynu. Jednak ktoś tu był i coś zabrał.

– Co mianowicie? – Grace przykląkł i obejrzał bolesne ślady na swoich goleniach.

– Przepraszam, że pana uderzyłem.

– Jest pan cholernie silny, zwłaszcza jak na swój wiek – powiedział Grace z nieukrywanym podziwem.

– Proszę o wybaczenie, ale nie wiedziałem, kim pan jest. Myślałem, że może to ten drań, który zabrał zdjęcie zegarka Patek Philippe z albumu Aileen, a teraz wrócił po coś jeszcze.

– Albumu Aileen?

– Był tutaj, w jej biurku, w ten czwartkowy wieczór, kiedy tu przyszedłem, ale zdjęcia zegarka brakowało.

– Czy nie wyjął go ktoś z mojego zespołu?

Daly pokręcił głową.

– Nie, pytałem pana kolegę, komisarza Bransona. W tym albumie znajdowały się fotografie wszystkich cennych przedmiotów. Pewnie jeden z włamywaczy wrócił i ją zabrał, aby trudniej było wam namierzyć ten zegarek, jak pan sądzi? Domyślam się, że wzięli zdjęcie, bo zegarek jest nieubezpieczony, a więc firma ubezpieczeniowa nie ma go w rejestrze.

Grace zmarszczył brwi. Jeśli rzeczywiście tak było, to znaczy, że szajka włamywaczy jest większa, niż przypuszczali.

– Istnieje taka możliwość, proszę pana, ale w takim razie musiało się to stać w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin... nikt nie wchodził, kiedy dom był zabezpieczony jako miejsce zbrodni.

– No cóż, postanowiłem przyjść tu i poczekać, na wypadek gdyby wrócili – odparł Daly. – Zresztą i tak ostatnio prawie nie śpiam. Ale

sądziłem, że dom miał być przez was pilnowany przez całą dobę.

Grace wiedział, że Daly ma rację. Jednak nie mógł mu powiedzieć, że cięcia budżetowe to uniemożliwiają.

– Dom jest patrolowany co godzinę, proszę pana.

– Czyżby? Jestem tutaj od szóstej, ale przez cały wieczór ani razu nie widziałem policyjnego samochodu.

– Ile pan ma lat, panie Daly?

– Dziewięćdziesiąt pięć. – Gwałtownie odetchnął.

– Jest pan cholernie sprawny. Nawet gdyby miał pan dwadzieścia lat, byłaby to niesamowita forma! Proszę zdradzić mi swój sekret.

W oczach Daly'ego pojawił się błysk rozbawienia.

– Whisky, cygara, a od czasu do czasu namiętna kobieta, nadinspektorze.

Grace uśmiechnął się szeroko. Lecz natychmiast spoważniał.

– Wiem, że już pana o to pytano, ale proszę mi przypomnieć, jak długo pańska siostra tu mieszkała?

Daly zastanawiał się przez chwilę.

– Chyba od sześćdziesiątego drugiego.

– Aha. Dziękuję.

– Czy to użyteczna informacja, nadinspektorze?

– Być może. Proszę mi coś powiedzieć. Zna pan świat antyków lepiej niż ktokolwiek w tej okolicy. Czy przychodzi panu do głowy, kto może za tym stać? Czy ktoś z miejscowych dałby radę zorganizować tak duży skok?

– Ktoś świetnie znał wyposażenie domu – zauważył Gavin Daly.

Grace popatrzył na pojedyncze łóżko, które wydawało się o wiele za małe do tego wielkiego pokoju.

– Zegarek – powiedział Daly. – Wie pan, ostatecznie tylko na nim mi zależy. Wszystkie pozostałe rzeczy, które ci dranie zabrali, mogą sobie zatrzymać. – Usiadł na łóżku, najwyraźniej bardzo przygnębiony.

– Zapewne ubezpieczenie pokryje sporo, jeśli nie wszystko, co zostało skradzione?

– Do diabła z ubezpieczeniem. Nie potrzebuję pieniędzy. Mam nadzieję, że nie zapłacą. Mój durny syn i tak wciągnie wszystko nosem, kiedy umrę.

– Lucas?

– Tak. – Po chwili milczenia spojrział z zakłopotaniem na Grace’a.

– Pewnie myśli pan, że jestem twardym starym draniem, i ma pan rację.

– Wcale nie.

– Czy ma pan dzieci, nadinspektorze?

– Małego synka.

Daly pokiwał głową, po czym włożył rękę do wewnętrznej kieszeni i wyjął skórzane etui na cygara. Zdjął pokrywkę i wyciągnął etui w stronę Grace’a. W środku były trzy sztuki.

– Nie, dziękuję. Kiedyś chętnie zapalę, ale nie teraz.

Daly ze smętnym uśmiechem zamknął etui.

– Ten czarny policjant, z którym rozmawiałem, to pański kolega?

– Komisarz Branson?

– Zabawny jest. Chyba ma hopla na punkcie kina.

– To chodząca encyklopedia filmu – przyznał Grace.

Daly wyduł usta.

– Powiedziałem mu coś, czego nie wiedział.

– Och, naprawdę? – Grace postanowił to zapamiętać, żeby móc pośmiać się z Glenna.

– Ten żaloszny stary drań, W.C. Fields. Wie pan, co odpowiedział na pytanie, czy lubi dzieci?

Grace pokręcił głową.

– Że smażone.

Grace wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Dzieci, nadinspektorze Grace. Coś panu powiem. Prawie zawsze rozczarowują swoich rodziców. Ale dość już o mnie i moich problemach. Co pan o tym wszystkim sądzi? Wygląda pan na bystrzaka. Wszyscy mówią, że mi się poszczęściło, że to właśnie pan prowadzi śledztwo.

– Na tym etapie nie mam wystarczająco dużo informacji, by udzielić panu konkretnej odpowiedzi. Ale intuicja mi mówi, że zrobił to ktoś dobrze zorientowany.

– Tak. Ten wyłudzac. Od niego powinniście zacząć.

– Zaczęliśmy – odrzekł Grace. – Ale ktoś zaczął już wcześniej. – Rzucił Daly’emu pytające spojrzenie. – Może przychodzi panu do głowy, kto to mógł zrobić?

Starszy pan szybko strzelił oczami w prawo, po czym wrócił spojrzeniem i przez chwilę patrzył stanowczo, w milczeniu, na Grace'a. Wreszcie się odezwał:

– Mówił pan, że lubi cygara?

– Owszem.

– Wyjdźmy do ogrodu. Wypalmy razem cygaro. Chcę panu opowiedzieć historię swojego życia. Opowiedzieć o sobie i siostrze. Może to pozwoli panu coś zrozumieć.

Aby zapewnić Gavinowi Daly'emu poczucie bezpieczeństwa, Grace wezwał wóz patrolowy, który stanął na górze podjazdu do domu Aileen McWhirter, podczas gdy Daly zadzwonił po swojego szofera. Grace został tam później jeszcze przez jakiś czas, rozmyślając o rozmowie ze starszym panem.

Zastanawiał się też, dlaczego Daly go okłamał. Poznał to po kierunku, w którym podążyły jego oczy. Kiedy spytał chwilę wcześniej Daly'ego o wiek, ten nie miał powodu kłamać. Zanim udzielił odpowiedzi, skierował wzrok w lewo, w stronę „pamięciową” mózgu. Podobnie, gdy Grace spytał, jaki jest sekret jego świetnej formy oraz jak długo jego siostra mieszkała w tym domu. Ale kiedy zapytał go, czy wie, kto mógł torturować Ricky'ego Moore'a, wtedy Daly spojrział w prawo, w stronę mózgu odpowiedzialną za konstrukt. Tam, skąd pochodzą kłamstwa.

Czyżby wziął sprawiedliwość w swoje ręce?

Z tego, co dotąd sprawdził, wynikało, że Gavin Daly jest człowiekiem niezwykle czarującym, ale bezlitosnym w interesach. Był draniem, jeśli nie teraz, to kiedyś, jak wielu handlarzy antyków w Brighton. Jednak nie był notowany. Wyglądało na to, że syn ulepiony jest z tej samej gliny, tylko brakuje mu uroku osobistego ojca. Trzeba zmusić Ricky'ego Moore'a do mówienia, ale oprócz tego, że facet leży w szpitalu i cierpi z bólu, jest, zdaniem Belli, zbyt przerażony, by podać jakieś nazwiska. Lecz jak poczuje się lepiej, warto by go przycisnąć. Groźba, że zostanie aresztowany pod zarzutem morderstwa, mogłaby rozwiązać mu język. Podejrzani o morderstwo nie wychodzą za kaucją. To często oznacza rok albo półtora pocenia się ze strachu, zanim rozpocznie się proces. Mając do wyboru: spędzić tyle czasu za kratkami lub podać nazwiska, Moore może zacząć sypać.

W każdym razie Grace sądził, że wyłudzacze albo był zamieszany w zaplanowanie i dokonanie włamania, albo po prostu tylko sprzedał informacje. Fakt, że torturowano go podobnym – a raczej niecodziennym – narzędziem, jakiego użyto wobec Aileen McWhirter, stanowił wystarczający dowód. Gdyby Moore był niewinny, złożyłby skargę na policji, ale najwyraźniej coś ukrywał i kogoś się obawiał. Dlaczego był torturowany? I przez kogo? Stary Daly wiedział o tym, może nawet sam to zlecił. Z jakiego powodu? Zapewne po to, pomyślał Grace, by zdobyć nazwiska sprawców włamania i ich dopaść. A skoro starszy pan był w to zamieszany, jego syn prawdopodobnie również. Ludzie, którzy brali sprawiedliwość w swoje ręce, zakładając, że działają więcej niż policja, zawsze go niepokoił, ponieważ niezmiennie wprowadzali potworny bałagan. I nadal uważał, że nagroda zaoferowana przez Daly’ego jest za wysoka.

Musi jak najszybciej przesłuchać Lucasa Daly’ego i dowiedzieć się, co robił w piątkową noc w zeszłym tygodniu, w czasie, kiedy torturowano Moore’a. Roy Grace doprawdy nie potrzebował samozwańczej, dobrze dotowanej straży obywatelskiej.

Było tuż po wpół do dwunastej, kiedy włączył alarm i odjechał spod domu Aileen McWhirter. Skręcił na parking przed stacją benzynową Esso przy Dyke Road Park, wszedł do Tesco Express i omiół wzrokiem przetrzebiony stojak z kwiatami. Większość z nich wyglądała na tak wymęczone, jak on sam się czuł. Najlepszy był bukiet szkarłatnych róż. Kupił je dla Cleo, wrócił do samochodu i ruszył do swojego domu, tuż przy bulwarze nadmorskim Hove.

Przed budynkiem stała tablica z napisem: „Na sprzedaż”. Proszę, Boże, niech ktoś kupi ten cholerny dom, pomyślał, otwierając drzwi wejściowe. Przynajmniej jeden problem byłby z głowy. Zapalił kilka lamp, po czym szybko udał się do kuchni i podszedł do kulistego akwarium ze złotą rybką.

Rybka, którą wygrał w wesołym miasteczku ponad dziesięć lat temu, jak zwykle pływała w kółko, jakby czegoś szukała. I tak jak Grace podejrzewał, dozownik z jedzeniem był pusty.

Napełnił go, rzucając jeszcze trochę karmy na powierzchnię wody. Marlon podpłynął w górę i zaczął wcinąć.

– Jak się masz, stary?

Marlon dalej wsuwał karmę.

Był gburem, niezbyt skorym do rozmowy. Jednak stanowił dla Roya ostatni żywy łącznik z Sandy, która towarzyszyła mu, kiedy wygrał Marlona, strzelając z wiatrówki do celu w wesołym miasteczku w Hove Park. Kilka razy kupowali Marlonowi rybkę do towarzystwa. Za każdym razem, parę dni później, gdy schodzili rano do kuchni, w akwarium pływał tylko Marlon, wyraźnie grubszy i bardziej zadowolony.

Bał się, czy sędziwa rybka przeżyje podróż i zmianę miejsca. Wiedział, że to żalosne, iż z dawnym życiem łączy go tylko ta mała, coraz bardziej wyblakła złota rybka. Jednak nic nie mógł na to poradzić. Przejrzał leżący na stole stosik korespondencji, którą Glenn zapomniał przynieść do jego biura. Większość to były śmieci, ale prawie na samym spodzie leżał list z agencji nieruchomości, Mishon Mackay. Grace rozdarł kopertę.

W środku znajdował się list od Darrana Willmore’a, negocjatora z agencji, który zajmował się jego nieruchomością. Przekazywał mu dobrą wiadomość, że oferta, z pełną żadaną kwotą, została potwierdzona przez prawników nabywcy. „Nasza klientka, obecnie mieszkająca za granicą, zapewniła nas, że ma pieniądze i że zgodnie z umową, zdeponowała już zaliczkę u swoich prawników w Brighton”.

Grace poczuł się mile podekscytowany. Wreszcie, w końcu, może ruszyć do przodu.

* * *

Dwadzieścia minut później, kiedy sunął wolno obok żelaznej bramy, przez którą wjeżdżało się pod szeregowiec Cleo, zauważył, że usunięto tablicę z napisem: „Do wynajęcia”. Dotyczyła przyległego domu w starej fabryce, którą zamieniono na siedem mieszkań. Dom stał pusty od kilku miesięcy – sąsiedzi Cleo przebywali za granicą, w Dubaju, gdzie pracowali na długoterminowym kontrakcie.

Znalazł miejsce parkingowe w pobliżu i przez kilka minut siedział w samochodzie, zastanawiając się, czy zadzwonić do Glenna, by sprawdzić, jak ten się trzyma. Wiedział, że nie powinno się myśleć źle o zmarłych, ale jakoś trudno mu było smucić się śmiercią Ari. Przez ostatni rok zachowywała się jak kompletna suka wobec Glenna, którego Grace uważał za wyjątkowo porządnego i miłego faceta. To straszne, że ich urocze dzieciaki straciły tak nagle matkę. Ale przynajmniej odzyskały ojca, który, szczerze mówiąc, był lepszym człowiekiem.

Z bukietem w ręku Grace wszedł przez bramę prowadzącą na osiedle, a potem do domu Cleo. Humphrey wyskoczył, by go powitać, i zaczął trącać go łapą, domagając się spaceru.

Roy Grace nachylił się i pogłaskał psa.

– Za minutkę wyjdziemy, dobrze?

Nasłuchiwał, czy Cleo zawoła coś na powitanie, ale się nie doczekał. Miał nadzieję, że zasnęła.

Głodny jak wilk, po cichutku, na palcach, poszedł do części kuchennej. Na blacie stała czerwona miska Humphreya, pełna psiego żarcia. Była nakryta celofanem, do którego została przyklejona kartka z odręczną notatką.

Nakarm, proszę, Humphreya. Umiera z głodu.

Grace skrzywił się z niezadowoleniem. Świetnie, pomyślał. Dziękuję bardzo, kochanie.

Humphrey patrzył na niego wyczekująco.

– Jestem tylko służącym Marlona i twoim, prawda?

Humphrey szczechnął. Grace natychmiast uciszył psa, nie chcąc, by obudził Noaha. Zdjął celofan i podniósł miskę. Pod nią była kolejna karteczka.

Twoje jedzenie jest w lodówce. Nie zasługujesz na nie. Ale i tak Cię kocham.

Ten region południowej Hiszpanii, oficjalnie nazywany we wszystkich słonecznych folderach turystycznych Costa del Sol, brytyjskiej policji od dawna był znany pod mniej zachęcającym określeniem Costa del Crime. Podobno tuż po drugiej wojnie światowej główne miasto regionu, Marbella, chętnie przyjmowało uciekających nazistów. Aż do roku 2001 nie miało możliwości do wyegzekwowania umowy ekstradycyjnej z Anglią. Przez wiele dziesięcioleci stanowiło bezpieczną przystań dla zbiegłych brytyjskich oszustów, którzy tutaj mogli bezkarnie wieść udane życie.

Gdyby korupcja była dyscypliną olimpijską, dwóch z ostatnich burmistrzów, obaj siedzący aktualnie w więzieniu, miałoby złote medale w swoich gablotach z trofeami, a dziewięćdziesięciu czterech dygnitarzy, również przebywających za kratkami, rywalizowałoby ze sobą o srebro i brąz. Obecnie ten obszar gościł brutalnie aktywnych Rosjan, Albańczyków i różne klany irlandzkiej mafii oraz dobrze prosperującą wspólnotę brytyjskich gangsterów. Jednak choć czasem zdarzała się strzelanina, wskaźnik przestępczości był relatywnie niski, a przy tak łagodnym całorocznym klimacie było to tradycyjne miejsce wypoczynku dla ekspatów i turystów.

Wiele kilometrów na zachód od portu w Maladze Lucas Daly pędził wynajętym jeepem po krętej górskiej drodze, nie spuszczać oka ze strzałki na nawigacji satelitarnej. Kiedyś znał dobrze ten teren, bo przez jakiś czas miał mieszkanie na szpanerskich przedmieściach Marbelli, Puerto Banus, lecz cztery lata temu musiał je sprzedać, by spłacić długi karciane. Od tamtej pory tu nie był.

Była jedenasta trzydzieści miejscowego czasu. W dole po lewej stronie widział miasteczko z białymi domami, a za nim kobaltowo niebieskie Morze Śródziemne. Chociaż klimatyzacja szumiała na najwyższych obrotach, Daly opuścił szybę i teraz, po tym ohydny angielskim lecie, które z trudem zniósł, rozkoszował się powiewem trzydziestoczerostopniowego upału na twarzy.

– Cholera, ale skwar – rzucił, wytrząsając papierosa z paczki marlboro light.

– Przepraszam – powiedział Wybac.

– Nie musisz zawsze za wszystko przepraszać.

Wybac przez jakiś czas się nie odzywał. A potem powiedział:

– Okay, przepraszam.

Lucas Daly wyszczerzył zęby w uśmiechu i poklepał swego sługusa po ramieniu.

– Wiesz, dlaczego cię tak lubię, Augustine?

– Nie.

– Bo kretyn z ciebie! Zawsze, kurwa, tylko przepraszasz.

– Przepraszam.

Daly zapalił papierosa, po czym odebrał telefon od swojego bukmachera w Brighton. Humor od razu mu się popsuł. Obstawił gonitwę, płacąc kartą American Express, ale płatność nie przeszła. Dostał cynk od pewnego nieuczciwego trenera, którego koń biegał w Brighton. Postawił więcej niż zwykle. Gdyby koń, Fast Fella, wygrał, dałoby mu to trochę tak pożądanego wytchnienia od palących problemów.

Zjechał w zatoczkę i pospiesznie przekazał bukmacherowi dane innej karty, którą trzymał na czarną godzinę i która nie została jeszcze wyczerpana. Potem ruszyli dalej, jadąc w milczeniu, jak zwykle zresztą. Z Wybaczem nie dało się pogadać na żaden temat poza piłką nożną, o której mógł rozprawiać godzinami. Wiedział wszystko, co tylko możliwe, o każdym zespole piłkarskim w całej Wielkiej Brytanii, znał ich barwy, nazwiska najważniejszych zawodników, liczbę bramek zdobytych w danym sezonie. Lucas wolał nie zaczynać z nim rozmowy o piłce nożnej, bo było to jak wciśnięcie włącznika w maszynie, która nie ma wyłącznika.

Poza tym inne rzeczy zaprzętały mu myśli. Wiele rzeczy. Złe rzeczy.

Kompletne gówno.

Pewien lichwiarz, który ostatnio wyciągnął go z kłopotów, robił się wredny. Lucas został wykiwany przy dużej transakcji. A zrzędlivy ojciec odmawiał pomocy. Bardzo liczył na to, że ten stary drań wkrótce umrze. Albo przeminie zła passa na wyścigach i przy stolikach w kasynie. Miał nadzieję, że ten ostatni zakład zapoczątkuje dobrą.

Minęli Marbellę oraz Puerto Banus i przejechali jeszcze kilka kilometrów, kierując się głównym traktem do sąsiedniego miasta, Estepony. Po ich lewej stronie widać było piramidalny kształt Crown Plaza. Po prawej wielkie przedstawicielstwo handlowe Lexusa i zamkniętą myjnię samochodową. Strzałka nawigacji wskazywała w prawo, ale Lucas Daly wiedział, gdzie jest.

Minęli krótką promenadę ze sklepami i barami i znaleźli się na osiedlu małych białych domków i apartamentowców. Przed nimi, po lewej stronie, ciągnął się rząd sklepów, na którego końcu był bar z tarasem, o nazwie Larry's Lounge, wypisanej wielkimi czerwonymi literami na markizie w półokrągłe ząbki. Przy stoliku na zewnątrz siedziało dwóch trzydziestoparoletnich facetów o podejrzanym wyglądem, w ciemnych okularach, a towarzyszyła im znudzona, młodsza od nich kobieta, wyglądająca na dziwkę. Jeden z mężczyzn palił wielkie cygaro.

Daly zaparkował nieopodal. Wysiedli z samochodu prosto w pałacy upał i skierowali się do baru. Daly, z lekką skórzaną kurtką przerzuconą przez ramię, był ubrany w biały T-shirt, dżinsy i brązowe zamszowe mokasyny od Gucciego. Kroczył jak zwykle dumnym krokiem. Wybacz, wyższy od niego o trzydzieści centymetrów, miał na sobie T-shirt, spodnie od dresu i sportowe buty.

Wewnątrz baru czuło się chłodny powiew. Kilku mężczyzn rozsiadło się przed ekranem umieszczonego wysoko na ścianie telewizora, w którym leciała powtórka jakiegoś meczu. Trzech z nich, mocno wytatuowanych, było ubranych identycznie – w podkoszulki bez rękawów i obcięte dżinsy. Trzymali puszki z piwem i wrzeszczeli do ekranu. Kilka lat temu Lucas znałby tu wszystkich, ale ci tutaj byli dla niego obcy. Wybacz przystanął i przez parę chwil wpatrywał się w ekran.

– Manchester United i Sunderland. Kiepski mecz.

Dwóch facetów obrzuciło ich podejrzliwym wzrokiem. Poszli dalej.

Wnętrze było skrzyżowaniem namiastki angielskiego pubu z hiszpańską winiarnią: dębowy bar w kształcie litery L, drewniane stołki, nalewaki do piwa, dębowe beczki na ścianie, z ustawionymi na nich butelkami piwa, i półki pełne butelek mocniejszych alkoholi. Wszędzie dokoła zwieszały się na łańcuchach lampy Tiffany’ego, a na ścianach widniały proporczyki brytyjskich klubów piłkarskich i oprawione w ramki zdjęcia, z autografami, byłych zespołów Manchester United, Newcastle, Arsenal i Chelsea.

Za barem stał wysoki żylasty mężczyzna z krótkimi, przerzedzonymi włosami, ubrany w szarą koszulę, rozpiętą aż do pępka. Miał przed sobą wysoką szklanę z piwem. Spojrzał na Lucasa Daly’ego.

– Już cię tu wcześniej widziałem, prawda?

– Tak, możliwe. Miałem mieszkanie w Banus. Piłem tu kilka razy... dopóki nie zastrzelono tego faceta.

– Ty i połowa Costa del Sol. Zupełnie spieprzyliście mi interes. – Mężczyzna mówił z akcentem ze wschodniego Londynu. – To było pięć lat temu, ale ludzie mają dobrą pamięć. Nikt tu już nie przychodzi oprócz kilku stałych klientów. – Wskazał nierobów oglądających mecz. – Czasem muszę się zatrudniać do mycia okien, żeby jakoś związać koniec z końcem. Chodzi o to, że...

– Szukam Lawrence’a Powella – przerwał mu Lucas Daly.

– Tak? To znalazłeś. – Zmierzył go hardym spojrzeniem.

– Jestem kumplem Amisa Smallbone’a. Kazał ci przekazać, że jesteś palantem.

Lawrence Powell uśmiechnął się szeroko. Po chwili, patrząc niespokojnie, najpierw na Wybacza, a potem na Daly’ego, powiedział:

– Myślałem, że jeszcze siedzi w kiciu.

– Wyszedł.

– To pieprzony idiota. – Pokręcił głową i popukał się w czoło. – Świr. Co podać, panowie?

– San Miguel i cola light. – Daly zerknął na Wybacza, szukając potwierdzenia, i je uzyskał. Ten człowiek nigdy nie pił alkoholu. –

Macie coś do jedzenia?

- Chipsy.
- Tylko?
- Zwykle czy ser z cebulą?
- Jedne i drugie.

Barman podał napoje i chipsy. Daly łąpczywie rzucił się na chipsy, a Wybacz sączył swoją colę. Barman stał cicho i cierpliwie za barem.

– A więc u Amisa w porządku? – spytał wreszcie.

– Kiedy widzieliśmy go ostatnio, bardzo potrzebował dobrego dentysty. – Daly posłał znaczący uśmiezek Wybaczowi, który przytaknął w zadumie, lecz z roztargnieniem, jakby błądził myślami wokół jakichś zapomnianych smutków.

– Szukam pewnych ludzi, którzy tu mieszkają – oznajmił Daly. – Podobno ich znasz. Eamonn Pollock, Tony Macario i Ken Barnes.

– Masz miłych przyjaciół – odparł Powell.

– Stawiam na jakość.

Lucas Daly zerknął na stołek barowy dwa miejsca dalej. Widział dziurę po kuli w siedzisku – zajmujący je człowiek został postrzelony w krocze podczas kłótni o kobietę. Daly był tutaj, kiedy to się stało, i nadal się krzywił, choć minęło już pięć lat, bo pamiętał, jak tamten facet trafiony z trzydziestki ósemki wrzeszczał z bólu.

– Powinno być łatwo ich znaleźć – powiedział Lavrence Powell. – Eamonn Pollock jest do połowy zanurzony we własnej dupie. Wystarczy tylko mocna latarka. Tony Macario i Ken Barnes też tam siedzą. I to tak głęboko, że mogliby myć mu zęby przez gardło. Ci dwaj są gangsterami z easyJet.

– To znaczy? – spytał Daly.

Powell rzucił spojrzenie na grupkę przed telewizorem, by się upewnić, że nikt nie podsłuchuje, po czym konspiracyjnie się nachylił.

– Pracują dla Pollocka. Dzięki owocom ich pracy on ma czyste ręce i pełny brzuch. Świetna sprawa. Załatwia im robotę w Anglii, wysyła ich tam lotem easyJet. Po dwudziestu czterech godzinach wracają. Dbą o to, by nie zatrudniać nikogo, kto jest notowany w Wielkiej Brytanii. Zero odcisków palców, zero DNA. – Wzruszył ramionami i upił trochę piwa.

– A jeśli ktoś, kogo znam, chciałby spuścić któremuś z nich łomot? – spytał Daly.

Lawrence Powell znów wzruszył ramionami.

– Nie ma problemu. Wystarczy dać Marokańczykowi bin Ladena.

Daly pociągnął piwo prosto z butelki i zmarszczył brwi.

– Co? Czy powiedziałeś: dać Marokańczykowi bin Ladena?

– Tak.

– Możesz mówić po angielsku?

Lawrence Powell wyprowadził ich na taras, wskazał Morze Śródziemne i dwa niewyraźne kształty na horyzoncie.

– Ten wielki głaz to Gibraltar. A tam jest Afryka Północna. Maroko – powiedział. – Ich policja ma zupełnie bezużyteczną bazę danych, jeśli chodzi o odciski palców i DNA. Marokańczyk może przyjechać tutaj, wykonać mokrą robotę i wrócić do swojego kraju, jeszcze zanim policja dotrze na miejsce zbrodni. Będzie go trudniej znaleźć niż ziarnko piasku na pustyni.

– A o co chodzi z tym bin Ladenem? – spytał Lucas Daly.

– O banknot pięćset euro. Mówi się, że jest nieuchwytny jak bin Laden. – Powell wyszczerzył się w uśmiechu. – Do Maroka z Ceuty płynie się krótko promem. – Wskazał palcem na lewo, na zachód. – Marokańczyk za taki szmal może przeżyć parę lat. Życie tam jest tanie.

– A czy ty masz dostęp do tych Marokańczyków? – spytał Daly.

– Ja mam dostęp do wszystkiego. – Lawrence Powell znacząco potarł palcem wskazującym o kciuk.

Za nimi, w barze, rozległy się radosne wrzaski, bo ktoś strzelił gola.

Gdy wrócili do środka, Daly położył na kontuarze sto euro, a potem jeszcze cztery takie banknoty.

Powell zgarnął je za bar.

– A co ja z tego będę miał? – Spojrzał na nich wyczekująco.

– Ile zajmie ci dostarczenie?

– Usługa w dniu zamówienia. Wystarczy do mnie zadzwonić. – Przesunął po kontuarze wizytówkę.

Daly wsunął ją do portfela, po czym wyciągnął kolejny banknot wartości stu euro i położył na blacie. Powell spojrział na banknot, jakby to było psie gówno. Daly dodał jeszcze jedną stówę.

– Pollock, Macario i Barnes. Gdzie ich znajdę?

Powell podniósł trzy palce, dając do zrozumienia, że oczekuje jeszcze jednej stówki.

Lucas Daly skinął na Wybacza. Albańczyk chwycił Powella za gardło i uniósł go w powietrze. Powell, krztusząc się, szybko potrząsnął głową i zaskomlał żałośnie. Nikt z obecnych nawet nie spojrzał. Byli zaabsorbowani meczem.

Wybacz pozwolił, by stopy Powella dotknęły podłogi, ale wciąż trzymał go za gardło.

– Mój szef to nie bankomat. Zadał ci pytanie. Chciałby usłyszeć odpowiedź. Wybacz, że sprawiam ci ból.

– *Contented* – wychrypiał Lawrence Powell. – W Puerto Banus.

– Dobra, puść go – polecił Lucas Daly. – *Contented* w Puerto Banus? – zwrócił się do Powella. – To nazwa jakiegoś domu czy apartamentowca?

Powell, pocierając gardło i z trudem łapiąc powietrze, wykrztusił:

– To łódź. Kurewsko wielki jacht, jasne?

– Lepiej dla ciebie, żeby to była prawda – rzucił Lucas Daly. – Bardzo bym nie chciał być zmuszony tu wracać, żeby znów cię niepokoić. – I zwracając się do Wybacza, dodał: – Nie lubimy niepokoić ludzi, prawda?

– Przepraszam – powiedział Wybacz do Lawrence’a Powella. – Za niewygodę.

Firma Mountainpeak Publishing, w której pracował Gareth Dupont, miała siedzibę na trzecim piętrze lśniącego nowoczesnego budynku w strefie przemysłowej nieopodal Newhaven, komercyjnego portu położonego kilka kilometrów na wschód od Brighton. Sympatyczny właściciel, Alan Prior, usadził Roya Grace'a i Guya Batchelora w sali konferencyjnej, gdzie podano im herbatę, kawę i ciasteczka, i poszedł po Garetha Duponta.

Wcześniej Grace rozmawiał z Glennem i powiedział mu, żeby wziął sobie tyle wolnego, ile potrzebuje. Glenn musiał załatwić w biurze koronera pozwolenie na wydanie ciała Ari, zgłosić w urzędzie jej zgon i zacząć organizować pogrzeb. Przez telefon sprawiał wrażenie bardzo przybitego, co oczywiste, a Guy Batchelor też był przygnębiony, jak wszyscy w zespole na porannej odprawie.

W sali panował chłód od klimatyzacji i unosiła się silna woń nowego biura, pochodząca z wykładziny, farby i mebli, którą jednak w chwili, gdy wszedł Gareth Dupont, przyćmił przesłodzony aromat jego wody kolońskiej. Wesoło i z wielką pewnością siebie Dupont przywitał się ze śledczymi. Grace pomyślał, że jego zachowanie jest aż nadto śmiałe. Wyglądał szpanersko, jak typowy sprzedawca akwizytor: biała koszula z podwiniętymi rękawami, starannie wyprasowane czarne spodnie, lśniące czarne buty, do tego dwa wulgarne sygnety i pretensjonalny zegarek.

W trakcie rozmowy Grace uważnie się przyglądał siedzącemu naprzeciwko mężczyźnie. Dupont miał trzydzieści parę lat, hiszpańską urodę, krótkie czarne włosy ułożone na żelu, wytatuowane ręce, muskularną sylwetkę człowieka, który regularnie ćwiczy. Na knykciu małego palca prawej dłoni widniał strup. Grace dokonał szybkiego obliczenia w myślach. Włamanie

wydarzyło się dziesięć dni temu, a więc akurat tyle czasu, żeby po przecięciu został jeszcze ślad.

Dupont nalał sobie kawy i poczęstował się ciasteczkiem, które ostrożnie zanurzył w kawie. Grace zastanawiał się, czy wcześniej sam nie zanurzył się aby w wodzie kolońskiej. Zaczekał, aż tamten zje ciasteczko i będzie mógł całkowicie skupić się na rozmowie.

– Zdajemy sobie sprawę, jak bardzo liczy się dla pana czas, więc nie będziemy zatrzymywać pana dłużej, niż to konieczne, panie Dupont – powiedział Grace. – Czy może podać mi pan swoją datę urodzenia? – Bacznie wpatrywał się w oczy Duponta.

– Dwudziesty piąty lipca siedemdziesiątego dziewiątego roku.

– A więc ma pan trzydzieści trzy lata.

– Tak. Słabo, co? Wkrótce będę starym zgredem.

– Nie tak szybko – odezwał się Guy Batchelor.

– Gdzie pan mieszka? – spytał Grace, cały czas uważnie mu się przyglądając.

Dupont podał adres w bloku mieszkalnym w Brighton Marina.

Grace zapisał to, po czym spojrział na nadgarstek mężczyzny.

– Ładny zegarek.

– Dziękuję. – Dupont podetknął zegarek bliżej, by mogli go sobie obejrzeć. – Zabytkowy bulgari. Dostałem go od swojej byłej, kilka lat temu.

– Doprawdy? – rzucił Grace. – Dziwnym zbiegiem okoliczności wygląda zupełnie jak ten, który w zeszłym tygodniu ukradziono z domu przy Withdean Road w Brighton.

Poczuł, że Batchelor patrzy na niego. Przez chwilę miał wrażenie, jakby temperatura w pokoju jeszcze bardziej spadła.

– Coś takiego – parsknął lekceważąco Gareth Dupont. – Proszę powiedzieć, co mogę dla panów zrobić? – Zerknął z niepokojem na swój zegarek. – Bo pracujemy tu na akord.

– Proszę się nie martwić. Pan Prior uprzejmie nas zapewnił, że nie musimy się spieszyć – uspokoił go sierżant.

Dupont znów spojrział na swój zegarek – wydawał się coraz bardziej zdenerwowany.

– No cóż, nic dziwnego, bo nie płaci nam pensji. Jesteśmy tylko na prowizji, tak więc dla nas czas bardzo się liczy.

– To nie potrwa długo – odparł Grace. – Chciałbym, żeby cofnął się pan myślami do popołudnia i wieczoru sprzed dziesięciu dni, do wtorku dwudziestego pierwszego sierpnia. Czy może pan nam opowiedzieć, co wtedy robił?

Pomimo niskiej temperatury w pokoju, obaj policjanci zauważyli kropelki potu na czole sprzedawcy. Dotknął nosa.

– Hm, niech pomyślę. Hm. – Wyjął telefon. – Sprawdzę w kalendarzu. Ach, no tak... cóż, pracowałem. No tak.

– Gdzie pan pracował? – spytał Grace.

– W swojej poprzedniej firmie. Ransom Richman.

– W biurze?

Obaj śledczy zauważyli krótkie wahanie Duponta.

– Nie, byłem w domu. Często tak pracuję. Wczesny wieczór to dobra pora: ludzie wrócili już do domów, a jeszcze nie są zajęci wieczorną krzątaniną.

– O godzinie siódmej zadzwonił pan ze swojego telefonu komórkowego pod ten numer – powiedział Batchelor i podał mu kartkę.

Dupont spojrział na nią.

– Numer z Brighton, tak, to możliwe. Ten kod pokrywa duży obszar mojej pracy.

– Czy pamięta pan może coś szczególnego w związku z tym numerem? – spytał Roy Grace.

Sprzedawca zerknął na obu śledczych, zawahał się, po czym odparł:

– Nie, przykro mi. Codziennie wydzwaniam na próżno do tylu osób... Oczywiście pamiętam nazwiska tych, którzy jakoś rokują.

– A może pamięta pan nazwisko Aileen McWhirter? – spytał Grace, znów wpatrując się uważnie w twarz mężczyzny.

– Aileen McWhirter?

– Tak.

Pokręcił głową trochę zbyt szybko, jak stwierdził Grace. Dupont uniósł palec.

– Chwileczkę... mówili o niej w wiadomościach, prawda? Paskudne włamanie do jej domu?

– Bardzo paskudne – przyznał Grace. – Zmarła.

– Tak, czytałem o tym, dlatego przypomniałem sobie to nazwisko.

Grace wskazał leżącą na stole karteczkę z numerem telefonu.

– Powinien pan rozpoznać ten numer. Dzwonił pan do niej w ten wieczór, kiedy została napadnięta.

– Naprawdę?

– Była w ciężkim stanie, ale powiedziała policji, że wydarzyło się to około dziewiętnastej we wtorek dwudziestego pierwszego sierpnia. Z rejestru połączeń wynika, że dzwonił pan do niej właśnie w tym czasie. Dziwny zbieg okoliczności, nie sądzi pan?

– Ja... nie wiem, co powiedzieć.

– Twierdzi pan, że był wtedy w domu, panie Dupont? – wtrącił Guy Batchelor. – Czemu nie zadzwonił pan z telefonu stacjonarnego?

– Bo przez komórkę jest taniej. Mam umowę z O dwa na tysiąc darmowych minut miesięcznie. W biurze używam telefonu stacjonarnego, w domu jest mi taniej dzwonić z komórki.

– Czy ktoś może potwierdzić, gdzie pan był o dziewiętnastej we wtorek dwudziestego pierwszego sierpnia? – spytał Grace.

– Byłem w domu sam. Pewnie Bóg mógłby to potwierdzić.

– Bóg? – Grace uśmiechnął się do niego.

Dupont wzruszył ramionami.

– Możecie pewnie zdobyć Jego pisemne oświadczenie, czyż nie? – Spojrzał na zegarek. – Powiedziałem panom wszystko, co mogłem, a teraz naprawdę muszę już wrócić do pracy.

– Oczywiście. Przepraszamy, że zawracaliśmy panu głowę. – Grace znów się uśmiechnął. – Chodzi o to, że prowadząc śledztwo w sprawie morderstwa, musimy wszystko sprawdzać, żeby wiedzieć, kogo można wykluczyć. Mam nadzieję, że pan to rozumie?

– Jak najbardziej. Mam nadzieję, że dorwiecie drani, którzy to zrobili.

– Ależ tak, panie Dupont. Bez obawy. Dorwiemy – zapewnił go Grace z uśmiechem. – A tak przy okazji, jakim samochodem pan jeździ?

Dupont zawahał się na moment.

– Golfem GTI – odpowiedział.

– Ładne auto – rzucił Grace. – Pewnie nie pamięta pan rejestracji?

– Chwileczkę.

Dupont wyszedł, a po minucie wrócił z kluczykami, do których przyczepiona była plakietka z numerem rejestracyjnym. Podał je Grace'owi.

– Niemal nowy – zauważył Grace.

– Mniej zmartwień, jak się ma auto na gwarancji – powiedział Dupont.

– A kto chce mieć zmartwienia, prawda? – Grace oddał mu kluczyki.

Kiedy policjanci wyszli, Gareth Dupont niespiesznym krokiem wrócił do otwartej sali biurowej, wyglądając bardziej beztrosko, niż się czuł. Oddał kluczyki koledze, do którego należał samochód.

– Dzięki, stary – powiedział. – Mam wobec ciebie dług wdzięczności.

45

Policjanci nie odzywali się słowem, dopóki nie opuścili budynku i nie wsiedli do służbowego samochodu Roya Grace'a, standardowego srebrnego forda focusa estate, przydzielanego wszystkim nadinspektorom w wydziale dochodzeniowo-śledczym. Kiedy zapinali pasy, Grace spojrział na Guya Batchelora i spytał:

– Co o nim sądzisz?

– Wił się, gnojek.

– Skłamał o pracy w domu. Skłamał, że nie rozpoznał numeru. Skłamał, że nie kojarzy jej nazwiska, a potem szybko starał się to zatuszować.

– Nie pamiętam, żebym widział zegarek firmy Bulgari na liście skradzionych przedmiotów, Roy.

– Bo go tam nie było. – Grace uruchomił silnik. – Chciałem faceta trochę zdenerwować, a potem obserwować ruch jego oczu, gdy mówił o czymś, w sprawie czego nie musiał kłamać.

– Nie sądzisz, że mamy dość, by go aresztować?

– Musimy go jakoś wpasować w miejsce zbrodni – powiedział Grace, ruszając z miejsca.

Opuścił strefę przemysłową, kierując się z powrotem do Brighton drogą wzdłuż wybrzeża.

– Dupont jest w to zamieszany, na pewno. Widziałeś ten strup na jego małym palcu?

– Tak.

– Może zostawił trochę krwi na miejscu zbrodni. Jeśli technicy ją znajdą i będzie pasować, to mamy wystarczający dowód, żeby go przyskrzynić. I coś mi się zdaje, że on może doprowadzić nas do innych sprawców. Wygląda na gnidę, która za obniżenie wyroku sprzeda wszystko, a zwłaszcza kumpli. Jeśli zostawił tam choćby kropelkę krwi, ci dwaj technicy ją znajdą.

– Nie wiem, czy dodając dwa do dwóch, otrzymuję pięć, Roy, ale...

– To byłoby o wiele więcej, niż mamy w tej chwili, Guy – przerwał mu z uśmiechem Grace.

Batchelor także się uśmiechnął.

– Myślę o raporcie Belli z przesłuchania Smallbone’a – powiedział.

– Też się nad nim zastanawiałem.

– Smallbone miał podbite oko i brakowało mu paru zębów z przodu. Bella mówiła, że wyglądał, jakby chodzenie sprawiało mu ból. Twierdził, że wpadł na drzwi od lodówki, bo za dużo wypił.

– Doprawdy? A jak nazywa się ta lodówka?

– Właśnie. – Dzień po tym, jak znaleziono Aileen McWhirter, Ricky Moore zostaje pobity, a raczej jest torturowany. Kilka dni później zostaje pobity Amis Smallbone. Może też był torturowany.

– Moore jest powiązany z domem Aileen McWhirter, a Smallbone ma na koncie podobne przestępstwa – zauważył Grace. – Tak samo jak nasz oślizgły przyjaciel Gareth Dupont.

– Jaką stawiasz hipotezę, szefie?

– Sposób działania wyłudzaczy jest taki, że namierzają miejsce, a jeśli wartość rzeczy jest tak duża, że nie daliby rady ich upłynnić, sprzedają komuś informację w zamian za dolę. Na tym etapie uważam za możliwe, że Ricky Moore przekazał informację Smallbone’owi albo Dupontowi. Stary Daly, brat Aileen, widział ulotkę Moore’a. Mógł wziąć sprawy w swoje ręce: kazał torturować Moore’a, by wydobyć od niego nazwiska, i dostał nazwisko Smallbone’a. A potem go torturował, by zdobyć kolejne.

Sierżant pokiwał głową.

– Nasze myśli biegną podobnym torem, szefie.

* * *

Wiele rzeczy związanych z pracą w policji irytowało obecnie Roya Grace’a. Wysoko na liście plasowało się parkowanie. Kiedyś, w trakcie poważnych dochodzeń, można było stanąć gdziekolwiek. Ale to się skończyło. Teraz trzeba parkować jak wszyscy inni,

zgodnie z przepisami. Co oznacza, że jeździ się w kółko, by znaleźć parking z wolnymi miejscami, a potem buli się mnóstwo forsy za pozostawienie tam samochodu. Z rozpaczy dawno już przestał myśleć o tym, ile kosztuje to podatników – opłaty za parking i czas policji.

Wyszli z sierżantem Batchelorem z parkingu Bartholomews przy bulwarze nadmorskim, po czym skierowali się ku Lanes. Idąc po wąskich, krętych uliczkach, minęli znak orientacyjny, którym był sklep z biżuterią Dereka le-Warde'a. W końcu dotarli do wystawy dużego sklepu, pełnej różnych staroci, wśród których był wypchany struś, sekretarzyk w stylu Jerzego III, złożony żyrandol oraz kolekcja chińskich waz. Nad drzwiami widniała połączona tabliczka z napisem: GAVIN DALY I SYN.

Weszli do sklepu. Za szklaną gablotą z bibelotami i ozdobami, stojącą na środku pomieszczenia, siedział na wózku inwalidzkim mężczyzna z krótkim kucykiem, w małych owalnych okularach, z głową odchyloną do tyłu, co nadawało mu nieco arogancki wyraz. Miał na sobie luźną hawajską koszulę i workowate spodnie z diagonalą.

– Witam panów. Czym mogę służyć? – Miał akcent z południowej Irlandii.

Grace pokazał mu legitymację policyjną.

– Nadinspektor Grace i sierżant Batchelor. Chcielibyśmy zamienić słowo z właścicielem. Z panem Lucasem Dalym.

– Niestety wyjechał. Wróci w poniedziałek.

– Czy wie pan, gdzie przebywa?

– Tak, w Hiszpanii, urządził sobie golfowy weekend. Coś mu przekazać?

– Do jakiej miejscowości się wybrał?

– Na południe. Marbella.

Grace wręczył mu swoją wizytówkę.

– Proszę, by zaraz, jak tylko wróci, zadzwonił do mnie pod ten numer.

– A tymczasem czy mogę jeszcze w czymś panom pomóc?

– Ile kosztuje struś? – spytał Guy Batchelor.

– Cztery tysiące funtów.

– Aha, dzięki. Zastanowię się.

– Trudno je znaleźć – powiedział mężczyzna.

– Trochę jak pańskiego szefa, prawda?

Jakoś nie złapał żartu.

Kiedy wyszli ze sklepu, na przedpołudniowe słońce, Roy Grace wybrał numer Gavina Daly’ego. Starszy pan odebrał niemal natychmiast.

– Mówi pański sparingpartner z ostatniego wieczoru, panie Daly. Nadinspektor Grace. Powinienem oskarżyć pana o napaść.

– Coś panu powiem. Gdybym był dwadzieścia lat młodszy, toby pan nie wstał! – Grace usłyszał żartobliwy ton w jego głosie.

– Nie wątpię.

– A więc? Ma pan dla mnie jakieś dobre wieści?

– Czy pański syn Lucas jest zapalonym golfistą?

– Czemu pan pyta? – W głosie Gavina Daly’ego natychmiast pojawiła się czujność.

– Do jakiego klubu należy?

– Właściwie nie wiem, nadinspektorze Grace.

– Ale jest dobrym golfistą, prawda?

– Mój syn i ja nie jesteśmy ze sobą aż tak blisko. Nie potrafię powiedzieć panu, jak spędza czas wolny.

– „Aż tak blisko”? Czy mógłby pan wyrazić się jaśniej?

– Nie, nie mógłbym. Różnie między nami bywa, ale zapewniam, że jeśli chodzi o kwestię śmierci mojej siostry, działamy wspólnie.

– Ponieważ nie wierzy pan, że znajdziemy sprawców?

– Ależ skąd.

– Mimo że ustanowił pan nagrodę w wysokości stu tysięcy funtów?

– Czy pański ojciec żyje, panie Grace?

– Nie, zmarł parę lat temu.

– Czy ma pan po nim jakąś drogą sercu pamiątkę?

– Owszem, kilka przedmiotów.

– Moja siostra i ja mieliśmy tylko jedną rzecz. Jego zegarek kieszonkowy. Jak prawdopodobnie pan wie, jest wart około dwóch milionów funtów. Ale nie o to chodzi. Ona i ja mieliśmy w życiu sporo szczęścia, oboje dorobiliśmy się dużego majątku. Nigdy nie wystawiliśmy tego zegarka na sprzedaż, bo była to jedyna rzecz po naszym ojcu, a właściwie po obojgu rodzicach, która nam pozostała.

Ci dranie ją zabrali. Nie zależy mi na reszcie ukradzionych rzeczy, ale na tym zegarku owszem. Chcę go odzyskać. Niech pan to zrozumie.

– Rozumiem bardzo dobrze – odrzekł Roy Grace. – Chciałbym jednak, żeby i pan coś dobrze zrozumiał. Robimy wszystko, co w naszej mocy, by odkryć, kto popełnił tę zbrodnię, i by odzyskać zrabowaną własność. Jednak musimy działać w granicach prawa.

Gavin Daly nic nie odpowiedział.

Lucas Daly zdjął przeciwsłoneczne ray-bany, jadąc jeepem po pochylni prowadzącej na wielki publiczny parking podziemny w Puerto Banus. Cały czas czujnie rozglądał się za kamerami przemysłowymi. Nie chciał, by ktoś był w stanie później prześledzić jego ruchy. Ku swemu niezadowoleniu zauważył wiele kamer, więc z powrotem wjechał na pochylnię. Był wściekły jak osa.

Wybacz spojrział na niego ze zdziwieniem.

- Dużo wolnych miejsc, szefie.
- Nie podobał mi się ich kształt.
- Przykro mi.

Daly znów włożył okulary, kiedy wynurzyli się z garażu i oślepiło go wczesnopołudniowe słońce. Spojrział na zegar w samochodzie, a potem, jakby mu nie ufał, sprawdził swój zegarek na nadgarstku: czternasta dwadzieścia sześć. Było tu o godzinę później niż w Wielkiej Brytanii, co oznaczało, że za niecałą godzinę rozpocznie się pierwsza gonitwa dzisiejszych wyścigów w Brighton o czternastej piętnaście, Reeves Flooring Cup. Z koniem Fast Fella.

Postawił na tego konia ranczo, co było częściowo powodem jego zdenerwowania. Lecz tylko częściowo. Wiedział, dlaczego jest tutaj i co musi zrobić, choć wykonanie tego to inna sprawa. Jeszcze nie dopracował planu, a chciał mieć wszystko pod kontrolą.

Ale mieli czas, aż za dużo cholernego czasu. Musieli czekać, aż zrobi się całkiem ciemno, a przy takim czystym niebie o tej porze roku zmrok zacznie na dobre zapadać dopiero około wpół do dziesiątej. Jednak przypomniał sobie te wszystkie młode, skąpo ubrane kobiety, od których roilo się w porcie, naprawdę atrakcyjne lalunie, więc perspektywa spędzenia paru godzin przy chłodnym piwie w barze na nabrzeżu nie wydawała się mordęgą, nawet jeśli będzie musiał znosić towarzystwo Wybacza, a raczej jego brak.

Jeździł przez jakiś czas w kółko, zadowolony, że zabija czas, aż wreszcie znalazł miejsce parkingowe na wąskiej zacienionej uliczce, gdzie chyba nie było żadnych kamer. Wysiedli z samochodu i ruszyli do portu. Przechadzali się tam, na pozór niedbale, ot po prostu dwóch facetów w popołudniowym tłumie turystów podziwiających eleganckie jachty zacumowane wzdłuż wybrzeża. Lucas Daly wypatrywał nazw na błyszczących rufach. TIO CARLOS. SHAF. FAR TOO. FREDERICA. CONTENTED. Bandery zwisały ospale w nieruchomym nagrzanym powietrzu.

Właściciel baru, Lawrence Powell, miał rację, mówiąc, że *Contented* to „kurewsko wielki jacht”. Był znacznie dłuższy, wyższy, szerszy, a nawet bardziej błyszczący niż inne. Dwóch mężczyzn w białych uniformach uwijało się na tylnym pokładzie: jeden, z mopem i wiadrem, zmywał pokład, drugi polerował chromowany reling. Ten z mopem miał ogoloną głowę i wytatuowaną szyję, a drugi, o krótkich ciemnych włosach, pracował, nie wyjmując papierosa z ust.

Kiedy mijali jacht, Lucas Daly dyskretnie zrobił telefonem parę zdjęć, po czym zatrzymał się kawałek dalej, wyjął z portfela wizytówkę, którą dostał od Lawrence’a Powella, wbił numer jego komórki i wysłał zdjęcia.

Usiedli przy stoliku na zewnątrz restauracji, skąd mieli doskonały widok na jacht *Contented*. Wybacz zaczął studiować plastikowe menu, a Daly zerknął na zegarek. Do gonitwy zostało już zaledwie piętnaście minut. Wybacz zamówił colę i lasagne z frytkami. Daly tylko duże piwo. Był za bardzo spięty, by mógł coś zjeść, i wiedział, że nie powinien pić, bo musi zachować przytomność umysłu na wieczór. Ale miał jeszcze sporo czasu.

Kiedy przyniesiono napoje, zawibrował jego telefon. Spojrzał na wyświetlacz. Przyszła odpowiedź od Lawrence’a Powella.

Ciemnowłosa po lewej Macario. Ogolony po prawej Barnes.

– Dobra jest – powiedział do Wybacza.
Wyszedł z baru, żeby zadzwonić.

Pięć minut później wrócił, w trzech łykach dopił piwo i zamówił kolejne. Włączył aplikację z wyścigami i po raz dziesiąty w nią puknął, próbując się zalogować, ale połączenie było zbyt wolne i mu się nie udało. Dwadzieścia denerwujących minut i trzecie piwo później, kiedy Wybacz pałaszował swoje zamówione jedzenie, Daly zapalił papierosa i zadzwonił do bukmachera.

– Mówi Lucas Daly. Czy ma pan wyniki gonitwy o czternastej piętnaście w Brighton?

– Chwileczkę. Tak. Pierwszy numer siedem, Connemara, drugi numer cztery, Kentish Boy, trzeci numer dziesięć, Voyeur.

Daly poczuł skurcz w żołądku.

– Jest pan pewien, że to gonitwa o czternastej piętnaście w Brighton?

– Tak. Reeves Flooring Cup.

Daly zaciągnął się papierosem, ręce mu się trzęsły.

– A co z Fast Fellą?

– Fast Fella? Chwileczkę. Zaraz sprawdzę.

Czekając, Daly znów nerwowo się zaciągnął.

– Cholera – powiedział. – Kurwa.

– Coś nie tak, szefie? – spytał Wybacz.

Chwilę później Daly usłyszał głos bukmachera.

– Została na linii startu.

– Co to znaczy?

– Fast Fella się zaparła. Odmówiła wyjścia z bramki startowej.

– A więc wycofano ją z gonitwy? W ogóle nie pobiegła. Czy otrzymam zwrot pieniędzy?

– Obawiam się, że nie. Było już po starcie. Wszystkie zakłady postawione na tego konia przepadły.

– Niech to szlag – powiedział Daly i rozłączył się.

Wybacz spojrzał na niego.

– Źle?

Daly pokiwał głową i wytrząsnął z paczki kolejnego papierosa.

– Źle.

– Przykro mi.

Tuż po czternastej trzydziści Roy Grace podjechał pod swoją ulubioną księgarnię City Books, niezależny sklep na Western Road. Uwielbiał zapach książek unoszący się we wnętrzu, które choć niewielkie, mieściło labirynt zapchanych półek. Kiedy tylko miał czas, co ostatnio nie zdarzało się często, lubił tu zachodzić i buszować między półkami.

– Czy macie coś na temat historii wczesnych gangów nowojorskich? – zwrócił się do stojącej za ladą młodej ciemnowłosej kobiety, która sprawiała wrażenie bardzo kompetentnej.

Za nią stał poważny mężczyzna z krótkimi siwymi włosami, stukający w klawiaturę komputera. Podniósł wzrok i uśmiechnął się szeroko, poznawszy stałego klienta.

– Nadinspektor Grace, jak miło pana widzieć! Historia wczesnych gangów? Jak daleko ma sięgać? Zaczęło się tak naprawdę od irlandzkiego gangu Dead Rabbits w latach pięćdziesiątych dziewiętnastego wieku, później był White Hand i włoski Black Hand Ala Capone.

– Potrzebne mi wszystko – odparł.

Dziesięć minut później, z pięcioma książkami leżącymi w firmowej torbie na tylnym siedzeniu, Roy Grace jechał wolno przez Shirley Drive, mijając plac zabaw Hove leżący na lewo, podczas gdy siedzący obok Guy Batchelor sprawdzał numery wolno stojących domów po północnej stronie.

– Tutaj, szefie! – oznajmił po kilkuset metrach.

Zaparkowali przed eleganckim domem. Srebrny sportowy mercedes SLK zajmował jedno z dwóch miejsc na podjeździe, przed garażem wbudowanym w dom, drugie stanowisko było puste. Wysiedli i skierowali się do wejścia. Weszli na ganek i Grace nacisnął dzwonek.

Usłyszeli agresywne dudnienie muzyki dochodzące z wnętrza domu.

– *The Number of the Beast* – powiedział Guy Batchelor.

– Iron Maiden? – spytał Grace.

Guy pokiwał głową.

– Nie wiedziałem, że znasz się na muzyce, Guy.

– No wiesz, jak się ma w domu nastolatkę...

Grace uśmiechnął się, a po chwili ciężkie dębowe drzwi otworzyła bosa kobieta w kremowym jedwabnym szlafroku. W rzeczywistości wyglądała na drobniejszą niż w telewizji, a jej twarz bez makijażu zdawała się jakby trochę wyblakła. Długie ciemne włosy były schowane pod zwiniętym w turban ręcznikiem. W pierwszej chwili miał wątpliwości, czy rzeczywiście jest to uderzająco atrakcyjna główna prezenterka lokalnych wiadomości, którą tak często widywał. Sprawiała też wrażenie nieco zdenerwowanej i przestraszonej. Zupełnie nie przypominała tej pewnej siebie kobiety z ekranu telewizora.

– Dzień dobry – powiedziała nieco podejrzliwie. – Z kim mam przyjemność?

– Sarah Courteney?

– Tak.

Grace pokazał swoją legitymację policyjną, Batchelor również.

– Jestem nadinspektor Grace, a to sierżant Batchelor z głównego wydziału kryminalnego Sussex i Surrey. Czy moglibyśmy zamienić z panią parę słów?

Zerknęła na zegarek.

– Przypuszczam, że to ma związek z ciotką mojego męża?

– Tak – potwierdził Grace.

– Potworne. Nadal trudno mi w to uwierzyć. Dobrze, zapraszam. Ale mogę poświęcić panom tylko kilka minut, już jedzie po mnie samochód ze studia. Wolę jednak, byście weszli do środka, a nie stali tutaj... prasa oblegała mnie w związku z tą sprawą.

– Oczywiście. Nawiasem mówiąc, jestem pani wielkim fanem! – powiedział Grace, a potem się zarumienił, uświadomiwszy sobie, jak banalnie to zabrzmiało.

Posłała mu szczery, ciepły uśmiech.

– Bardzo mi miło!

Weszli do holu, w którym pachniało potpourri. Stał tam piękny antyczny stolik, dwa krzesła z wysokimi oparciami i wysoki zegar szafkowy. Na ścianach wisiały zdjęcia prezenterki. Na jednym z nich była z Fatboyem Slimem, na drugim z mężczyzną, który, jak przypuszczał Grace, mógł być jej mężem – zostali uwiecznieni wraz z komentatorem sportowym Desem Lynamem. Na kolejnych stała z Dame Verą Lynn i z Davidem Cameronem. Muzyka napływająca z góry była tutaj o wiele głośniejsza.

– Przepraszam za hałas – powiedziała z uśmiechem pani domu. – Mój syn przyjechał na lato z uniwersytetu. Tylko to robi całymi dniami.

Wprowadziła ich do salonu.

– Może się panowie czegoś napiją?

– Nie, dziękujemy. Będziemy się streszczać.

Grace omiółł wzrokiem wielki, elegancki, lecz wygodny pokój. Był umeblowany prawie wyłącznie antykami, z widokiem na dobrze utrzymany trawnik i basen. Dwie wielkie kanapy chesterfield z brązowej skóry stały naprzeciwko siebie przed marmurowym kominkiem, a pomiędzy nimi znajdowała się ozdobna drewniana skrzynia służąca za stolik. Ekran wielkiego telewizora wystawał z mebla, który wyglądał na przerobioną mahoniową komodę. W rogu pokoju stała gablota na trofea, a na gzymsie kominka piętrzyła się sarta zaproszeń. Pokój miał męski charakter, było w nim tylko kilka kobiecych drobiazgów. Oznaka dominującego męża, pomyślał Grace. Szlafrok prezenterki rozchylił się na moment i zanim szybko się przysłoniła, Grace zauważył sińce wysoko na klatce piersiowej. Czyżby to była robota jej męża? Mężczyzna, który mógł brutalnie kogoś torturować, byłby zdolny do bicia własnej żony.

– Czy udało wam się już rozwiązać sprawę? – spytała.

– Posuwamy się do przodu – odparł Grace. – Ale jeszcze nikogo nie aresztowaliśmy.

– Ci ludzie to potwory... mam nadzieję, że ich złapiecie.

– Bardzo na to liczymy.

– Nie mogę uwierzyć, że jej coś takiego zrobili.

– Czy pani i pani mąż byliście blisko związani z panią McWhirter? – spytał Batchelor.

Milczała przez chwilę, po czym odpowiedziała:

– Obawiam się, że nie za bardzo. Ona i ja zawsze świetnie się dogadywałyśmy, a nawet byliśmy zaprzyjaźnione, ale z Lucasem jej się nie układało.

– W jakim sensie?

– No cóż, chodzi o to, że Lucas i jego ojciec nie są w dobrych stosunkach.

– Tak, rozumiem – odrzekł Grace. – W czym rzecz?

– Jego ojcu trudno dorównać. Do wszystkiego doszedł własną pracą, osiągnął wielki sukces. Myślę, że wywierał dużą presję na Lucasa, a mój mąż jest silnym człowiekiem, więc trafiła kosa na kamień.

– Sądzę, że często zdarzają się różne problemy, kiedy krewni pracują razem w rodzinnym interesie.

Wzruszyła ramionami.

– Prawda jest chyba taka, że mężowi brakuje przedsiębiorczości jego ojca. Stracił dużo jego pieniędzy, próbując przez wiele lat poszerzać zakres działalności biznesowej. Zapewne panowie wiedzą, że handel antykami nie jest już tym, czym był kiedyś. Lucas założył duży bar i restaurację w Brighton, ale upadły. Utopił duże sumy w innych interesach, które z tego czy innego powodu się nie powiodły. Gdy przystąpił do Gavin Daly Antiques, firma była jedną z większych w branży w Wielkiej Brytanii, mieli sześć sklepów w Brighton i dwa w Londynie. Teraz mają tylko jeden.

Grace pokiwał głową.

– A jakie były relacje pani męża i Aileen?

– Obawiam się, że Gavin Daly nastawił siostrę przeciw Lucasowi. Przekonał ją, by wykluczyła go z testamentu.

– Dlaczego tak zrobił?

Zawahała się.

– Chyba nie powinnam o tym mówić.

– Nie musi pani, jeśli nie chce.

– Myślę, że jego zdaniem Lucasa należało sprowadzić na ziemię. Że gdyby odziedziczył po ciotce dużo pieniędzy, po prostu by je przepuścił. Roztrwoniłby wszystko.

– Rodzina i pieniądze. – Grace kwaśno się uśmiechnęła.

– Może to straszne zdarzenie sprawi, że Lucas zbliży się z ojcem.

– Ale pani dobrze się układało z Aileen?

– Tak, doskonale. Wpadałam do niej od czasu do czasu z wizytą, a ona poila mnie sherry! Była ogromnie niezależna, nadal bardzo silna jak na dziewięćdziesiąt osiem lat. Jej brat też trzyma się niesamowicie jak na dziewięćdziesiąt pięć... bez wątplenia w tej rodzinie są dobre geny. I dużo w życiu przeszli.

– Tak? To znaczy?

– Urodzili się w Nowym Jorku. Ich ojciec był kimś, kogo pewnie można by nazwać gangsterem. Miał wysoką pozycję w gangu White Hand. Pewnej nocy ich matka została zastrzelona przez kilku mężczyzn, którzy weszli do domu, a właściwie najpierw wtargnęli do sypialni Gavina, potem zastrzelili matkę i zabrali ojca. Gavin i Aileen nigdy więcej go nie zobaczyli. Kilka miesięcy później ciotka wywiozła ich do Irlandii, zakładając, że będą tam bezpieczniejsi niż w Nowym Jorku. Potem, kiedy byli nastolatkami... to musiało być we wczesnych latach trzydziestych... poznała i poślubiła mężczyznę z Brighton i wszyscy przenieśli się tutaj.

Grace słuchał uważnie, rozumiejąc teraz – a także po rozmowie odbytej z Gavinem Dalym w ogrodzie – skąd wzięły się książki, które widział w gabinecie Aileen McWhirter. Podszedł do gabloty, by przyjrzeć się trofeom.

– Należą do pani czy do męża, pani Courteney?

Zarumieniła się lekko.

– Wszystkie są moje, to głównie nagrody telewizyjne i kilka tenisowych, jedna z turnieju salsy. Chodzę na taniec, bo to dobry sposób na utrzymanie formy. Właściwie jestem Daly, nazwiska Courteney używam tylko zawodowo. – Gestem zaprosiła ich, by usiedli, po czym usadowiła się naprzeciwko, skrzyżowała boscie stopy i popatrzyła na nich wyczekująco.

– Musimy porozmawiać z pani mężem – powiedział Grace. – Rozumiem, że wyjechał.

– Na weekend.

– Dokąd się udał? – spytał sierżant Batchelor.

– Do Marbelli. Na golfa.

– Grywa regularnie? – spytał Grace.

Zawahala się.

– Raczej towarzysko.

– Do jakiego klubu należy?

Nagle zaczęła sprawiać wrażenie bardzo skrupowanej.

– Hm, no cóż, gra tylko od czasu do czasu. Z tak zwaną socjetą. Nie wiem, do jakiego klubu należy... właściwie nie wiem, czy w ogóle jest członkiem jakiegoś klubu. – Znow się zawahała. – To znaczy... grywa w różnych.

– To bardzo kosztowna gra – zauważył Guy Batchelor. – Prawie zrezygnowałem z członkostwa w swoim klubie, bo nie gram dość często. Taniej byłoby po prostu płacić za korzystanie czasami z pola golfowego.

– Czy pani mąż grywa regularnie w Hiszpanii? – spytał Grace.

– Nie, ależ skąd. – Wzruszyła ramionami, jakby coraz bardziej zmieszana. – On... my... mieliśmy mieszkanie w Puerto Banus i nadal mamy tam znajomych. – Nerwowo obracała obrączkę na palcu.

Nie było w niej ani odrobiny tej pewności siebie, którą emanowała na ekranie telewizora jako prezenterka wiadomości. Grace był niemal pewny, że ta kobieta kłamie. Kryje swego męża. Ale co właściwie ukrywa?

– A więc niezbyt często mąż czyni panią golfową wdową? – zażartował.

– Nie. – Uśmiechnęła się, po czym spojrzała znacząco na zegarek.

– Już kończymy. Kiedy mąż wraca?

Znow wahanie.

– W niedzielę. Późno wieczorem.

Guy Batchelor podał jej wizytówkę.

– Czy może go pani poprosić, by do mnie zadzwonił po powrocie? Najszybciej, jak będzie mógł.

– Oczywiście. – Położyła wizytówkę na stoliku.

– Pozwolę sobie zauważyć, że jest pani znakomitą prezenterką – powiedział Grace.

– Dziękuję bardzo!

– Czy piątek to jeden z pani stałych dni pracy? – spytał.

– Grafik jest zmienny, ale w tym miesiącu występuję w wieczornych wiadomościach regionalnych zaraz po wiadomościach krajowych o osiemnastej i dwudziestej drugiej.

Najbardziej nonszalancko, jak potrafił, Grace ciągnął:

– Pewnie podczas tych długich letnich wieczorów, kiedy pani pracuje, mąż grywa w golfa?

Zarumieniła się, wyraźnie już speszona.

– Właściwie to niezbyt często.

– A tak z ciekawości, pamięta pani może, czy grał w ostatni piątek?

Znów spojrzała na zegarek.

– W ostatni piątek? Nie, wybrał się do ojca, Gavin jest bardzo przygnębiony w związku ze śmiercią Aileen. Chyba zjedli razem kolację.

– Czy musiała pani czytać na antenie jakieś informacje związane z tą sprawą? – spytał Guy Batchelor.

– Nie. I wołałabym tego nie robić. Chyba nie dałabym rady.

Policjanci wstali.

– Dziękujemy, że poświęciła nam pani czas, porozmawiamy z panem Dalym po jego powrocie.

– Na pewno przekażę wizytówkę.

* * *

Gdy znaleźli się znów w samochodzie, Grace powiedział:

– Nie widziałem tam ani jednej nagrody związanej z golfem.

– Może jest kiepskim golfistą. Do czego zmierzasz, szefie? Przepraszam, jeśli czegoś nie kumam.

– Myślę, że on w ogóle nie gra w golfa. Golfiści zawsze mają jakieś trofea, choćby tylko drewnianą łyżkę.

Batchelor, który teraz prowadził, zjechał na pobocze, wysiadł z samochodu, wytrząsnął z paczki silk cutów papierosa i podsunął paczkę Grace'owi.

– Chcesz?

– Nie, nie teraz, ale ty pal.

– Rzuciłeś?

– Już dawno, chociaż od czasu do czasu lubię sobie zapalić wieczorem przy drinku. – Wzruszył ramionami. – Mam z tego przyjemność, więc co mi tam!

– Dlaczego kierownik sklepu Daly’ego i jego żona twierdzą, że zrobił sobie wypad na golfa?

Grace milczał, a sierżant oparł się o samochód, przypalił papierosa i wydmuchał doskonale kółko z dymu.

– Zawsze się zastanawiałem, jak to się robi – powiedział Grace.

Sierżant uśmiechnął się i wypuścił dwa kolejne. Przez chwilę, gdy były blisko siebie, przypominały kajdanki.

– Nieźle! – rzucił Grace.

– Mój balangowy numer.

– A potem machasz czarodziejską różdżką i zmieniasz je w stalowe?

– Zależy, z kim baluję. – Uśmiechnął się szeroko. – A więc możemy spokojnie przyjąć, że cokolwiek Lucas Daly robi w Marbelli, na pewno nie gra w golfa?

– Nasze myśli znów biegną podobnym torem. A może powinienem rzec: podobną aleją?

– Albo: trafiły do tego samego bunkra?

O dziewiętnastej Lucas Daly i Wybacz patrzyli, jak Tony Macario i Ken Barnes zamykają bramkę na trapie jachtu *Contented* i dumnym krokiem wychodzą na brzeg.

Wyglądali na twardzieli. Obaj byli niewysocy, ale umięśnieni, i mieli w sobie pewną szorstkość. Macario, z krótkimi ciemnymi włosami, nosił kilkudniowy zarost i nawet z tej odległości Daly widział długą bliznę pod jego prawym okiem. Obaj mieli na sobie dżinsy i białe T-shirty z nazwą jachtu. Ruszyli nabrzeżem, Macario w japonkach, a ogolony na łyso, wytatuowany Barnes w adidasach.

– Wrócą tu, czy powinniśmy iść za nimi? – spytał Wybacz.

– Cholera, lepiej, żeby wrócili. Zaczekaj tutaj.

Daly wstał i podążył za mężczyznami.

Nie poszli daleko. Po kilkuset metrach skręcili w lewo, w uliczkę pełną gwarnych barów i restauracji, następnie w prawo – i weszli do irlandzkiego pubu O’Grady. Słowo GUINNESS i logo w kształcie harfy były wytrawione w szybach okiennych i w szybkach otwartych drzwi. Daly przystanął, obserwując, jak mężczyźni wolno przebijają się przez tłum w stronę baru. Kiedy zobaczył, że dostali już zamówione drinki, wrócił po Wybacza.

Dziesięć minut później usadowili się z własnymi drinkami w tym samym pubie, w bezpiecznej odległości od Macaria i Barnes’a, obserwując, jak tamci usiłują przygruchać sobie grupkę niezainteresowanych nimi nastolatek. Daly miał nadzieję, że podryw się nie uda, bo to by skomplikowało jego nowo opracowane plany.

Półtorej godziny później ku jego uldze dziewczyny odeszły, mimo że obaj mężczyźni, najwyraźniej już podpici, usilnie próbowali je zatrzymać. Tuż po dwudziestej trzeciej Macario i Barnes wyszli chwiejnie z baru i ruszyli uliczką. Daly z Wybaczem,

idąc za nimi, zobaczyli, że tamci podchodzą do budki, w której sprzedawano pizzę na wynos.

Następnie, z dużymi polistyrenowymi pudełkami w rękach, mężczyźni niepewnym krokiem podążyli w stronę jachtu *Contented*, weszli na pokład i zniknęli za wahadłowymi drzwiami.

Zbliżała się jedenasta trzydzieści. Wieczór był ciepły i ulice stawały się coraz bardziej zatłoczone. Daly wszedł ze swym towarzyszem do baru naprzeciwko jachtu. Zamówił metaxę, by ukoić nerwy, i jeszcze jedną colę dla Wybacza. Dziesięć minut później powiedział:

– Dobra, czas na rock and rolla.

– Wybacz, ale nie tańczę zbyt dobrze – odparł Wybacz.

Daly wyszczerzył zęby w uśmiechu i klepnął go w plecy.

– Mówię o tym, żeby rozhuścić łajbę.

– Łajbę?

– To taki żart.

– Nie rozumiem.

Daly wskazał jacht *Contented*.

Wybacz uśmiechnął się szeroko.

– A... Przepraszam.

49

Nabrzeże było prawie całkiem wyludnione, tylko nieopodal migdałiła się jakaś parka, oboje tak zajęci sobą, że nie zauważali niczego wokół. Lucas Daly, który musiał zapalić dla ukojenia nerwów, włożył papierosa do ust, ale na próżno pstrykał zapalniczką, w której zabrakło gazu.

– Niech to szlag.

Podszedł do pary i nie zwracając uwagi na ich pieśczoły, spytał głośno:

– Czy któreś z was mówi po angielsku?

Oboje się odwrócili.

– Jesteśmy Anglikami – powiedział chłopak. – Czego chcesz?

– Masz może zapalniczkę?

– Cholera jasna! – Zanurzył rękę w kieszeni, kliknął zapalniczką i podsunął ogień Daly’emu.

– Dzięki, stary. – Daly wyrwał mu zapalniczkę i odszedł, zaciągając się dymem.

– Nie ma, kurwa, za co.

Kiedy dopalił papierosa, para już zniknęła. Podał Wybaczowi rękawiczki chirurgiczne i sam też takie nałożył. Wybacz ruszył za nim po trapie i obaj wkroczyli przez bramkę, której załoganci nie zamknęli, na szeroki pokład jachtu *Contented*. Sprawiał luksusowe wrażenie, pachniał drewnem tekowym, pastą, lakierem i skórą. Czuli lekkie kołysanie łodzi.

Daly otworzył drzwi tarasowe i wszedł do wielkiego tylnego salonu. Pod ścianami biegły białe skórzane siedziska, a pośrodku królował zaokrąglony bar z wysokimi stołkami, również obitymi białą skórą. Na ścianie z tyłu ciągnęły się półki pełne butelek różnych alkoholi. W powietrzu unosił się wyraźny zapach pizzy.

Za barem widniały lśniące drewniane schody z poręczą z liny. Z telewizora, który był gdzieś na dole, dochodził głos komentatora relacjonującego mecz piłki nożnej. Daly uniósł dłoń, dając Wybaczowi znak, by trzymał się w pewnej odległości za nim, po czym zszedł wolno po schodach. Przed sobą, na samym dole, ujrzał wielką jadalnię. Środek zajmował stół na dwanaście osób z obitymi skórą krzesłami ustawionymi wokół, a na najdalszym krańcu pomieszczenia znajdował się wielki ekran telewizora, na którym leciał mecz. Macario i Barnes, odwrócenie do nich plecami, jedli pizzę z otwartych kartonów, popijając ją piwem z puszkki.

Daly gestem przywołał Wybacza, wskazał na siebie i na Macaria, a potem na Wybacza i Barnesesa.

Wybacz pokiwał głową.

Obaj pospiesznie, choć możliwie najciszej, zeszli na sam dół. Właśnie w chwili, gdy Macario wkładał do ust kawałek pizzy, Daly obalił go jednym ciosem karate zadany w kark. Macario osunął się z krzesła na podłogę i znieruchomiał. Wybacz uniósł Barnesesa z krzesła i gwałtownie postawił na ziemi.

– Co jest...? – zaczął Barnes, ale Wybacz zacisnął rękę na jego gardle, zmieniając resztę wypowiedzi w niezrozumiały charkot, po czym nastąpił mu bardzo mocno na stopę.

Mężczyzna z ogoloną głową krzyknął z bólu.

– Przepraszam – powiedział Wybacz.

– Kim wy, u diabła, jesteście? – wycharczał Barnes, a drżenie w jego głosie zdradzało strach.

– Ja jestem pan Wkurwiony – powiedział Lucas Daly. – A to mój przyjaciel, pan Jeszcze Bardziej Wkurwiony. Ty to Ken Barnes?

Mężczyzna milczał.

– Zapomniałeś języka w gębie?

Nadal milczenie.

– Coś ci powiem. Mój przyjaciel ma lokówkę. Może ją włączyć do prądu, rozgrzać, a potem wyciągnąć twój język z gęby. Podobałoby ci się coś takiego? Wtedy miałbyś pretekst, by milczeć, co?

W oczach Barnesesa pojawiło się przerażenie.

– Przydepcz go troszkę, Augustine. Nie jest zbyt rozmowny.

Wybacz znów nadepnął na stopę mężczyzny, tym razem mocniej.

Barnes wrzasnął, z oczu pociekły mu łzy.

– Krzyczeć to potrafisz. A skoro umiesz krzyczeć, to gadać chyba też, co? Więc jak się nazywasz?

– Ken Barnes. – Z bólu ledwie był w stanie mówić.

– Potrzebuję od ciebie pewnych informacji. Na przykład chciałbym się dowiedzieć, czy w zeszłym tygodniu spędziłeś miło czas na Withdean Road w Brighton. Czy miałeś frajdę, torturując tę starszą panią lokówką?

– To nie ja – jęknął.

– Nie?

– Nie. To nie ja. Ja... ja... – Zamilkł.

Daly skinął głową na Wybacza. Ten jeszcze mocniej przydepnął stopę mężczyzny i tym razem Daly usłyszał chrzęst łamanych kostek, któremu towarzyszyło wycie Barnesesa.

– Barcelona właśnie strzeliła gola – zauważył Wybacz, wskazując na ekran telewizora.

– On to zrobił. To on, ten głupi drań – wydyszał Barnes.

– Twój przyjaciel, pan Macario? – spytał Daly.

– Tak.

Daly skinął głową i spojrzał na leżącego na podłodze, nieprzytomnego Tony’ego Macaria.

– Silny, milczący facet, co?

– Zostałem wynajęty tylko do noszenia. Potrzebowali kogoś do dźwigania mebli. Nic innego nie robiłem.

– Wynajęty przez kogo? Twojego szefa, Eamonna Pollocka?

Barnes się nie odzywał.

– Chyba musisz mu jeszcze raz przydepnąć stopę – zwrócił się Daly do Wybacza.

– Nieee! Proszę! Powiem wam, co tylko chcecie.

– To już lepiej – rzucił Daly. – Bo i tak nam wszystko powiesz, więc im mniej bólu dla ciebie, tym mniej zawracania głowy dla nas. Oto lista pytań, na które bardzo chcę poznać odpowiedź. Po pierwsze, gdzie jest zegarek Patek Philippe, który ukradliście z tego domu? Po drugie, gdzie jest reszta rzeczy? Po trzecie, gdzie jest sejf na tej łodzi i jak się go otwiera? A po czwarte, gdzie jest twój szef, Eamonn Pollock?

– Nic nie wiem o zegarku, naprawdę. Nie pamiętam żadnego zegarka.

– A pamiętasz, jak wyciągnęliście od starszej pani szyfr do jej sejfu?

Pokręcił głową.

– Ty coś wiesz. Nie wierzę ci – oświadczył Daly. – A dlaczego, jak myślisz? Bo kiepski z ciebie kłamca?

– Kurwa, ten goryl zmiądzzył mi stopę.

– Za chwilę zmiądzzy ci drugą. Ta starsza pani była moją ciocią. A zegarek należał do mojego dziadka. Nie mogę odzyskać cioci, ponieważ nie żyje. Ale jestem cholernie pewien, że odzyskam zegarek. I ty wiesz, gdzie on jest.

Barnes pokręcił głową.

Daly chwycił Barnesa pod brodę, zmuszając go, by spojrzał wprost na niego.

– Posłuchaj, Ken. Jeśli mi nie powiesz, gdzie jest ten zegarek, mój przyjaciel cię zabije. Tak po prostu. Daję ci dziesięć sekund na przemyślenie sprawy.

Daly stał, przez dziesięć sekund patrząc na swój zegarek. Następnie podniósł wzrok na Wybacza. Chwilę później Barnes zwiślał do góry nogami, trzymany za prawą kostkę.

– Czy to pomaga ci rozjaśnić umysł? – spytał Daly.

– Za dużo wypilem. – Barnes po raz pierwszy mówił bełkotliwie.

– Proszę, postawcie mnie. Ja...

– Może potrzebujesz jeszcze jednego drinka, żeby pobudzić swoje szare komórki?

Pokręcił głową. Jego oczy przypominały dwa wystraszone ptaszki.

– Za chwilę wracam – oznajmił Daly i ruszył po schodach na górę.

– Przykro mi, ale musisz tak zaczekać – powiedział Wybacz.

Po kilku minutach Lucas Daly wrócił z butelką whisky Macallan Scotch w jednej ręce i małym plastikowym lejkiem w drugiej.

– Połóż go na pokładzie – polecił Wybaczowi. – A potem otwórz mu gębę.

Sługus wykonał polecenie. Barnes próbował się wyrwać, ale Wybacz ukląkł na jego klatce piersiowej, przygważdżając go do

podłogi, i mocno przytrzymał mu głowę, niczym w imadle. Daly przykląkł obok, odkręcił butelkę, wepchnął Barnesowi lejek do ust, po czym zaczął wlewać whisky.

Mężczyzna dławił się i charczał.

– Czyżbym wlewał za szybko?

Barnes próbował pokręcić głową, ale Wybacz dzierzył ją w żelaznym uścisku. Po niecałych pięciu minutach butelka była pusta.

Jeniec przewracał oczami. Daly rzucił spojrzenie na Macaria, który powoli odzyskiwał świadomość, i znów przeniósł uwagę na Barnesa.

– Gdzie zegarek? Patek Philippe? Gdzie sejf? I gdzie jest twój szef, Eamonn Pollock?

– Sejf jest w głównej sypialni. – Barnes znowu przewrócił oczami, a potem, na chwilę przed utratą przytomności, niewyraźnie coś wymamrotał.

* * *

Piętnaście minut później, kiedy Tony Macario, w pełni już odzyskawszy świadomość, otworzył oczy, od razu zobaczył, że jego kumpel, Ken Barnes, nieprzytomny, trzymany za kostki, wisi do góry nogami i zostaje tak rozhuśtany, że bardzo mocno uderza głową w metalowy słupek.

Potem, mimo otumanienia alkoholem i bólu głowy, dotarło do niego, że on sam ma związane ręce i nogi i nie może się ruszać.

Barnes został rzucony bezceremonialnie na podłogę. Z rany w jego głowie ciekła krew.

– Twój kolega nie należy do gadatliwych – odezwał się Daly. – Może ty potrafisz nam pomóc? Zajrzeliśmy do sejfu, ale jest pusty. – Milczał przez chwilę, pociągając nosem. – Co to za sztywny? Mam bardzo dobry węch. Zesrałeś się?

Macario pokręcił głową.

– W porządku. To zesrasz się za chwilę. – Wyjął zapalniczkę i zaczął nią pstrykać. – Lubisz gorące rzeczy, co?

– Gorące rzeczy?

- Taak. Przypalanie ludzi.
 - Nikogo nigdy nie przypalałem.
- Daly wbił w niego wzrok.

– Chcesz nam opowiedzieć o Withdean Road w Brighton? O drobnej starszej pani, którą przypaliłeś? Kto ci nadał tę robotę? Eamonn Pollock, tak?

Macario przez chwilę niewzruszenie patrzył na niego, aż wreszcie powiedział:

- Withdean Road? Nigdy nie słyszałem o tej ulicy.

– Twój kumpel twierdził co innego. Mówił, że to był twój pomysł, by torturować starszą panią, żeby wyciągnąć od niej szyfr do sejfu i kody PIN do jej kart kredytowych. Czyżby kłamał? Wrabiał cię, by ocalić własną skórę?

- Co? Pierdolony wór gówna...

- Na to wygląda!

- Mój pomysł? Kurwa, ledwie go od niej oderwałem!

– Powiedz nam coś więcej. – Skinął na Wybacza. – Mój przyjaciel bardzo nie lubi krzywdzić ludzi, naprawdę. Woli tego nie robić. Mój tata i ja mamy gdzieś te wszystkie antyki i obrazy. Ale chcemy odzyskać zegarek. Ma wartość sentymentalną. Rozumiesz znaczenie tego słowa?

Macario skinął głową.

- Twój kumpel twierdzi, że nie wie, gdzie jest pan Pollock. A ty?

- On nic nam nie mówi. Nie wiem. Naprawdę nie mam pojęcia.

– Czyżby? Jak myślisz, ile warta jest ta łajba? Dziesięć milionów funtów? Dwadzieścia? Pięćdziesiąt? A może nawet sto? Wy dwaj, błądźcie jej pod jego nieobecność, a nie macie jego adresu? Numeru kontaktowego? – Postukał się w pierś. – Czy ja wyglądam na durnia? Czy wyglądam, jakbym wjechał do miasta na pace ciężarówki?

- Nie.

Zostawiając Wybacza z Macariem, Lucas Daly znów poszedł do baru i wrócił z litrową butelką wódki Grey Goose, a następnie wlał przez lejek połowę jej zawartości do gardła Macaria.

Kilka minut później, po namowach Daly'ego, Macario wybełkotał, że Pollock mógł wybrać się do Nowego Jorku, ale on nie wie, gdzie konkretnie, przysięga.

– A gdzie jest reszta rzeczy? – spytał Daly. – Co się stało ze wszystkimi cennymi antykami i obrazami mojej cioci? Wycenionymi na osiem milionów funtów? Gdzie one są? Czyżby rozplynęły się w powietrzu? – Pstryknął zapalniczką i przybliżył płomień do oczu Macaria. – Nie myśl, że tego nie zrobię – powiedział. – Z przyjemnością poparzę ci twarz.

– Dostarczyliśmy wszystko do magazynu... szopy... czegoś w tym rodzaju. – Macario mówił już bardzo bełkotliwie.

– Jakiego magazynu? Gdzieś w porcie? Shoreham albo Newhaven?

Macario pokręcił głową.

– W strefie przemysłowej. Lewes. Na obrzeżach Lewes. Przez tunel.

– I gdzie dalej miało to być wysłane?

– Za granicę – wykrztusił Macario, po czym zemdłał.

Daly go rozwiązał. Potem z pomocą Wybacza rozwiązał Barnesę. Zostawili obu mężczyzn nieprzytomnych na podłodze salonu, wspięli się po schodach i wyszli na pokład rufowy. Następnie po trapie przedostali się na brzeg i pokonali spacerkiem krótki dystans dzielący ich od szemranego ciemnoskórego typka, który czekał na nich, ćmiąc papierosa.

– Pan bin Laden? – spytał Daly.

Marokańczyk wyszczerzył zęby w uśmiechu.

50

Humphrey chrapał. Leżał na kanapie obok Roya Grace'a, na grzbiecie, z łapami sterczącymi do góry. Grace poklepał go po brzuchu.

– Hej, koleżko, cicho! Nie słyszę telewizji!

Humphrey nie zareagował.

Daniel Day-Lewis wyglądał zabójczo w *Gangach Nowego Jorku* – Grace oglądał właśnie film wideo, który pożyczył od Glenna Bransona. Na stoliku leżały cztery, kupione w City Books, książki na temat wczesnej historii gangów nowojorskich. Piąta, *Młody Capone*, spoczywała na jego kolanach. Elektroniczna niania była włączona tak głośno, że słycać było, jak Noah oddycha. Synek spał twardo od ostatniego karmienia o dwudziestej pierwszej.

Grace poklepał mocniej brzuch Humphreya.

– Cicho, mały! Nie mogę podkręcić dźwięku w telewizorze, nie chcę obudzić twojej pani ani Noaha. Dobrze?

Humphrey puścił cichego bąka. Chwilę później koszmarny smród dotarł do nozdrzy Grace'a.

– Hej, to nie fair! – Dał Humphreyowi żartobliwego klapsa, który pies zignorował.

Grace zatkał nos, czekając, aż smród się rozwieje. Znowu poklepał zwierzaka.

– Bez bączenia, dobra? Ja też tak potrafię.

Nagle czyjaś ręka ścisnęła go za ramię. Spojrzał w górę i zobaczył Cleo, z upiętymi włosami, w błękitnej koszuli nocnej.

– Co oglądasz?

– To do pracy. A ty jak? Chcesz czegoś?

– Owszem. Chcę pozbyć się nadwagi, która została mi po ciąży, oraz żyłaków. Chcę przestać czuć się ciągle tak cholernie znużona i rozdrażniona z powodu braku snu – jęknęła. – Przepraszam, ale

w żadnej z książek nie uprzedzają, że kobieta będzie się tak okropnie czuła... przynajmniej nie w tych, które ja czytałam. – Pocałowała go w czoło.

Ujął jej dłonie i czule uściskał.

– Gdybym miał czarodziejską różdżkę, przegnałbym to wszystko!

– Cholera, Roy, dlaczego nikt mi nie powiedział, jak to jest naprawdę po urodzeniu dziecka?

– Może dlatego, że wtedy nikt by nie miał dzieci.

Pokiwała głową.

– Tak, to prawda! – Nagle zmieniła temat. – Gdzie trzymasz swoje kajdanki?

– Kajdanki?

– Uhm.

– Jedną parę noszę w torbie podręcznej. Ale przy tym, co robię, właściwie nie mam powodów do ich używania.

Posłała mu zagadkowy uśmiech.

– Ale jednak je masz?

– Tak.

– Pomyślałam, że może... no wiesz... moglibyśmy je wypróbować kiedyś, jak już będę mniej obolała.

Uśmiechnął się szeroko.

– To przez tę książkę, którą czytasz?

– Jestem już przy drugim tomie – powiedziała z uśmiechem.

– Co do kajdanek, to raczej nie. Miały je na sobie różne ohydne typki. Może spróbujemy z jedwabnymi sznurami?

– Myślę, że powinniśmy wypróbować parę rzeczy. Ale nie chcę odrywać cię od pracy. Najpierw wsadź do ciupy tych wszystkich złoczyńców. A potem weźmiesz się za mnie. – Znowu pocałowała go w czoło. – Zresztą i tak nie dzisiaj, bo jestem jeszcze za bardzo obolała i zbyt zmęczona.

Patrzył, jak Cleo idzie w kierunku schodów.

– Kocham cię – powiedział.

– Nawet taką grubą?

– Więcej do kochania.

– Niezły bajerant z ciebie. – Wskazała na drugi koniec pokoju. – Widzisz, twoja złota rybka się ze mną zgadza!

Wysoko na jednym z czarnych regałów po drugiej stronie pokoju widać było Marlona, który przytknął pyszczek do ścianki swojej szklanej kuli i miarowo go otwierał i zamykał. Grace cieszył się, że rybka przeżyła swoje przenosiny do nowego domu. Bardzo się do niej przywiązał przez te wszystkie lata po zniknięciu Sandy. Wiedział, że będzie mu smutno, gdy Marlon umrze.

Przywiózł rybkę do domu Cleo, kiedy Glenn wprowadził się z powrotem do siebie, by zająć się dziećmi. A ponieważ dobiegała już końca transakcja związana ze sprzedażą domu Grace'a, musiał zacząć go opróżniać, przenieść rzeczy do magazynu i zdecydować z Cleo, które będą im potrzebne dopiero po znalezieniu nowego lokum.

Skupił się na filmie, zaszokowany brutalnością gangu Dead Rabbits. Jeśli ten film odpowiadał rzeczywistości, życie w wielu okręgach Nowego Jorku między latami pięćdziesiątymi dziewiętnastego wieku a wielkim kryzysem było istnym piekłem.

Gavin Daly to stary twardziel, bez dwóch zdań. Grace zaczął się zastanawiać, czy on sam byłby tak energiczny i bystry w wieku pięćdziesięciu pięciu lat – gdyby tyłu w ogóle dożył, co było raczej mało prawdopodobne. Statystyki wskazywały, że długość życia emerytowanych policjantów jest najniższa ze wszystkich grup zawodowych. Jego ojciec był książkowym przykładem. Zmarł trzy lata po przejściu na emeryturę.

Grace zerknął na elektroniczną nianię. Wsłuchał się w oddech Noaha. I zadał sobie pytanie, czy pożyje na tyle długo, by zostać dziadkiem.

Daly w wieku pięćdziesięciu pięciu lat miał niezłą krzepę. Wszystko wskazuje na to, że Aileen McWhirter była na dobrej drodze do przekroczenia setki, ale brutalnie odebrano jej życie. Bardzo go to przygnębiało. Wiedział, że cywilizacja jest jak cienki fornir. Wystarczyło rano poczytać, pooglądać czy posłuchać wiadomości, by zajrzeć do piekła, w jakim żyło tak wielu ludzi na świecie. Nigdy nie zapominał o tym, że jest szczęściarzem, bo urodził się w Anglii i mógł dorastać w relatywnie spokojnym kraju. Ale i tu wciąż istniały różne zagrożenia. Zagrożenie terroryzmem w Wielkiej Brytanii i poza nią. I zagrożenie ze strony zbrodniarzy.

Zdawał sobie sprawę, że jest w tej szczególnej sytuacji, iż może zrobić coś dla obywateli Brighton i Hove, dla całego hrabstwa Sussex, które tak kochał. Aileen McWhirter powinna umrzeć spokojnie we śnie, ze starości, dopiero za kilka lat. Należało jej się to po wszystkim, co przeszła w dzieciństwie, wraz ze swym bratem, który opowiedział o tym Grace'owi przy cygarze, w ogrodzie. Zamiast tego umarła od strasznych ran w szpitalu.

Nigdy w życiu nie czuł się bardziej zdeterminowany, by znaleźć sprawców zbrodni i ich przymknąć. Oby na zawsze. Jeśli będzie miał szczęście i nie trafi na oziębiałego i pobłażliwego sędziego.

Spojrzał na Marlona. I od razu opadły go myśli o pakowaniu wszystkiego w domu i o przeszłości. Potem znów skupił się na filmie i informacjach, które ewentualnie mogłyby przydać mu się w śledztwie.

Ktoś inny również pakował swoje życie, i było to bolesne. Nie chodziło o przykre wspomnienia – Amis Smallbone nie miał żadnych pamiątek, które chciałby zapakować do walizki, oprócz zdjęcia ojca i matki, będącego jedyną dekoracją jego celi. Nie miał już także zdjęć swoich byłych żon ani dwójki dzieci, z którymi dawno stracił kontakt po tym, jak była żona zabrała je do Australii, dwadzieścia lat temu.

Pakowanie, mimo niewielkiej ilości rzeczy, sprawiało mu jednak ból fizyczny. W każdej chwili. Po mancie, które dostał, bolało go całe ciało. Najbardziej jednak przygnębiały go obrażenia w jamie ustnej. Na krótko przed aresztowaniem, przed trzynastu laty, zapłacił majątek za remont uzębienia. Teraz brakowało mu pięciu przednich zębów, a w dodatku miał złamaną szczękę, która bolała jak cholera. Dentysta powiedział, że musi ją sobie zoperować. W tej chwili nie było na to czasu, więc starał się zagłuszyć ból nurofenem i whisky. Zamierzał naprawić wszystko, jak dostanie forszę za robotę, a na razie będzie musiał przy ludziach mieć zamknięte usta.

Minęła północ, ale on wcale nie był śpiący, kiedy z papierosem przyklejonym do warg sprawdzał jeszcze raz szafki w swoim mieszkaniu w suterenie. Ostatnia noc w tej norze, pomyślał z ulgą. Weekend miał spędzić u swego kumpla Benny'ego Juliusa w jego rezydencji przy Dyke Road Avenue, kilka przecznic od wielkiego domu, w którym sam kiedyś mieszkał, z ferrari na podjeździe. Posiadał też willę w Marbelli i jacht w Puerto Banus.

A teraz miał tylko jedną wielką tanią walizkę, wypełnioną ledwie do połowy. I to ma być fajne? W wieku sześćdziesięciu dwóch lat cały jego majątek – ubrania i kosmetyki – nie zajmował nawet połowy walizki.

Ostrożnie położył zdjęcie rodziców na złożonej koszuli. Maurice Smallbone był wysokim, barczystym mężczyzną o szczupłej, przystojnej twarzy, z zaczesanymi do tyłu włosami, które do końca życia farbował na ciemny brąz. Matka również była wysoka i elegancka. Dlaczego więc, do cholery, on miał tylko metr pięćdziesiąt trzy wzrostu? Dlaczego życie tak podle go traktowało?

Dlaczego Roy Grace wziął się przed laty, by go zniszczyć? Z powodu jego determinacji stracił wszystko, co posiadał. Grace zapewniał go swego czasu, że nie ma w tym nic osobistego, ale Amis Smallbone wiedział, że było wręcz przeciwnie. I Grace'owi nie ujdzie to na sucho.

Przyjaciele radzili mu, by o nim zapomniał, tłumaczyli, że Grace był jedynie gliniarzem wykonującym swoją pracę, ale Smallbone widział to inaczej. W więzieniu dowiedział się od starego recydywisty, że ojciec Grace'a, również policjant, przez długie lata ścigał jego ojca, a to, że nie udało mu się go zapuszkować, uważał za jedną z większych porażek w całej karierze.

Tak więc dla Grace'a to była sprawa osobista. Zadręczał go przez wiele lat. Nawet kiedy Smallbone odsiedział wyrok, Grace nadal go prześladował. Oskarżył o wyrycie napisu na samochodzie jego dziewczyny, porwał po pogrzebie i porzucił na samym końcu Devil's Dyke, tak że musiał iść w deszczu osiem kilometrów do domu.

To temu facetowi Smallbone zawdzięczał, że nic teraz nie miał, a do tego jeszcze większość znajomych nie chciała już go znać, jakby był jakimś pariasem, skończonym człowiekiem. Jego ojciec był ważną figurą w świecie przestępczym Brighton. Wszyscy się go bali, wszyscy go szanowali. Nikt nie odważył się tknąć Maurice'a Smallbone'a, nawet policja, w której za najlepszych czasów miał sporo opłacanych ludzi.

Co się, kurwa, spieprzyło?

Nadinspektor Roy Grace będzie przed śmiercią żałował tego, co zrobił. Nie odbiera się komuś dwunastu lat życia... a potem jeszcze cały ten syf. Lekarz więzienny ostrzegał go, że z powodu wysokiego ciśnienia krwi powinien unikać ataków złości. Ale pieprzyć to. Zgasił niedopałek i zapalił kolejnego papierosa. Nagle zauważył coś, co wcześniej przeoczył. Jeszcze jedna oprawiona w ramkę

fotografia ojca – przed Sądem Koronnym w Lewes. Ojciec uśmiecha się od ucha do ucha, ręce ma rozłożone na boki, jakby cały świat do niego należał – i tak naprawdę posiadał całkiem spory jego kawałek. Zdjęcie zrobiono kilka minut po uniewinnieniu, kiedy to zastraszeni sędziowie uwolnili Maurice’a Smallbone’a od wszystkich zarzutów.

Amis Smallbone, który poszedł w ślady ojca, nie miał tyle szczęścia.

A wszystko przez nadinspektora Roya Grace’a, który wówczas był jeszcze komisarzem.

Teraz awansował, cholera.

I został ojcem.

W poniedziałek Amis Smallbone zostanie sąsiadem nadinspektora Grace’a. Wynajmie trzypiętrowy dom stojący obok tego, w którym mieszka Grace ze swoją blond zdzirą, Cleo Morey. Kurator sądowy Amisa, który musiał zatwierdzać każdą zmianę adresu, pytał, z czego opłaci czynsz za nowe mieszkanie. Smallbone wyjaśnił, że jego kumpel, Henry Tilney, który jest mu winien przysługę, będzie pokrywał ten koszt, dopóki nie rozkręcą wspólnie nowego interesu, czyli sprzedaży używanych samochodów. Kurator to przełknął.

Roy Grace sądził, że jego zdzira i bachor będą bezpieczni w tym swoim ogrodzonym domku.

Smallbone się uśmiechnął. Jak mówi przysłowie: jeśli nie możesz ich pokonać, przyłącz się do nich.

Przyjdź już, poniedziałku!

Roy Grace musiał urządzić poranną sobotnią odprawę w sali konferencyjnej, aby móc pomieścić swój powiększający się zespół. Frekwencja była stuprocentowa, z przyjemnością zauważył nawet obecność Glenna Bransona, który powiedział mu, że szwagierka zabrała dzieci na basen, a potem ma się nimi zajmować przez cały dzień.

Pierwsza zabrała głos Bella Moy:

– Analizując informacje od pańskiego eksperta, Hectora Webba, którego zdaniem bardzo prawdopodobne jest, że większość skradzionych przedmiotów zostanie wysłana z Wielkiej Brytanii w kontenerze, skupiłam się na statkach, które mogą wywozić kontenery z naszych lokalnych portów.

Grace zauważył, że Bella dwa razy zerknęła na Normana Pottinga. Był coraz bardziej ciekaw, czy tych dwoje coś łączy.

– Wczoraj po południu rozmawiałam z kapitanem portu Shoreham, w jego biurze. Przejrzeliśmy wspólnie listę wszystkich statków towarowych, które wypłynęły po dwudziestej we wtorek dwudziestego pierwszego, czyli w porze, kiedy najwcześniej mogły tam się znaleźć rzeczy ukradzione z domu Aileen McWhirter. Towarowce mogą wpływać i wypływać tylko w ciągu czterech godzin przed przyprawem i czterech godzin po nim. Kolejny przypraw nastąpił o drugiej trzydzieści osiem w środę, dwudziestego drugiego, a potem o piętnastej zero trzy.

Znów zerknęła na Pottinga i tym razem Grace zauważył, że stary wyjadacz puścił do niej oko. To chyba niemożliwe? Bella i ten stary zbereźnik Potting? Jednak niewiele mogło już Grace'a zdziwić.

Bella trzymała kilka spiętych razem kartek.

– Wszystkie statki przekraczające ciężar pięciuset ton brutto muszą mieć włączone transpondery CERS. To skrót od Central

European Reporting System, co jest unowocześnioną wersją pochodzącego z czasów wojny systemu IFF Królewskiej Marynarki Wojennej, Identification Friend Or Foe. Ta identyfikacja „swój-obcy” działa w zasadzie tak samo jak system identyfikacji samolotów w kontroli ruchu lotniczego. Wszystkie statki towarowe na świecie są stale śledzone na morzu, a wprowadzono tę zasadę po jedenastym wrześniu.

– Co się dzieje, kiedy to wyłączają? – spytał Dave Green.

– Muszą mieć po temu ważny powód – odparła. – Na przykład, gdy wpływają na wody, o których wiadomo, że są zagrożone przez somalijskich piratów, wolno im wyłączyć transpondery, ale robi się to tylko w takich sytuacjach. – Wskazała na plik trzymany na kartce. – Oto lista wszystkich statków, które wypłynęły po godzinie dwudziestej dwudziestego pierwszego sierpnia, wraz z listami przewozowymi. *Torrent* wywoził złom, *Anke Angela* owies, *Walter Hamman* nawozy...

– Czy wiemy, dokąd płynęły, Bello? – wpadł jej w słowo Glenn Branson.

– Tak.

– Dobra robota, Bello – pochwalił ją Grace. – Teraz, po pierwsze, musimy sprawdzić, czy któryś z tych statków zmienił deklarowany port docelowy. Po drugie, musimy nawiązać współpracę z Interpolem, aby móc sprawdzić zgodność wyładowywanego towaru z listami przewozowymi. Chcę, żebyś przekazała Interpolowi spis wszystkich rzeczy skradzionych z domu Aileen McWhirter.

– Tak jest.

– A co z ciężarówkami na rorowcach, Bello? – spytał Alec Davies.

– Dostanę karty drogowe wszystkich w promieniu dwustu kilometrów od Brighton – odparła. – To gigantyczne zadanie. – Zerknęła do notatnika. – Jeszcze jedno, szefie – zwróciła się do Roya Grace’a. – Nadal szukamy czarnego porsche z rejestracją z Sussex, ale jak dotąd nikogo nie namierzyliśmy. Chciałabym rozszerzyć zasięg poszukiwań.

– Tak, obejmijcie nimi cały kraj. To może być samochód z drugiej ręki, kupiony gdzieś indziej.

Teraz podniósł rękę policjant z wydziału dochodzeniowo-sledczego, Jon Exton. Miał przed sobą stertę gazet.

– Szefie, mam tu egzemplarze „Antiques Trade Gazette”, które moim zdaniem mogą okazać się pomocne dla całego zespołu. W Londynie działa turecka mafia, która ma bardzo dobry system dystrybucji na tamtejszym rynku antyków. Tu jest lista wszystkich kiermaszy i targowisk oraz kalendarz aukcji zarówno w kraju, jak i za granicą. Może warto, by zespół dowiedział się czegoś o rynku antyków... i o tym, ile istnieje punktów sprzedaży.

– Dzięki, Jon – powiedział Grace. – Rozdaj, proszę, egzemplarze gazety.

Exton podał jeden sierżantowi Pottingowi.

– Przykro mi, Norman, ale nie ma tu żadnej cycatki – zażartował. – To nie taka gazetka, jak lubisz.

Rozległy się chichoty. Nawet Roy Grace się uśmiechnął.

Potting wyduł usta.

– A znasz ten dowcip o pani, która wyszła za archeologa?

Grace znów zauważył wymianę spojrzeń między Pottingiem a Bellą Moy.

– Nie – odparł Exton.

– Powiedziała: „Dobre jest to, że im będę starsza, tym bardziej w jego oczach interesująca”.

Wszyscy oprócz Glenna Bransona się roześmiali, a Grace ucieszył się, widząc na ich twarzach uśmiechy. Wiedział z doświadczenia, że zespoły, w których istnieje poczucie koleżeństwa, osiągają najlepsze rezultaty. Jednak martwił się o przyjaciela i chciał zyskać pewność, że Glenn nadal jest zaangażowany we wspólne działania.

– Glenn, daję ci zadanie. Nawiążesz współpracę z Interpolem w Hiszpanii. Chcę wiedzieć, czy podczas tego weekendu zgłoszono jakieś podejrzone zgony w okolicach Marbelli, czy ktoś został napadnięty albo pobity.

– Chcesz, żebym pojechał to sprawdzić, szefie? Przydałby mi się weekend w słońcu.

Grace się uśmiechnął.

– Nie na tym etapie. – Odwrócił się do analityczki Annalise Vineer. – Czy znalazłaś gdzieś podobny sposób działania?

– Jeden przypadek w Newcastle i jeden w Glasgow. Badam je.
Grace z nadzieją powiódł wzrokiem po swoich ludziach.

– Czy ktoś ma coś jeszcze?

Nikt się nie zgłosił.

– Wieczorna odprawa o siedemnastej. O ile nie wypłynie wtedy
coś ważnego, daję wam wolny wieczór, żebyście wypoczęli do rana.
W porządku?

Nikt nie zaprotestował.

53

Jego dzień zaczynał się o piątej rano. To miłe, choć nieco ironiczne, pomyślał Gavin Daly, że im jest starszy, tym mniej snu potrzebuje. „Wkrótce będę miał mnóstwo snu”, pomyślał. O tak. Wielki bard to rozumiał.

*Spać – i śnić może? Ha, tu się pojawia
Przeszkoda: jakie mogą nas nawiedzić
Sny w drzemce śmierci, gdy ścichnie za nami
Doczesny zamęt? Niepewni, wolimy
Wstrzymać się na chwilę. I z tych chwil urasta
Długie, potulnie przecierpiane życie.*

Wstrzymywał się, owszem. Po trzy razy w tygodniu przez ostatnie dziewięćdziesiąt lat śniła mu się ta noc, kiedy zastrzelono jego matkę i zabrano gdzieś ojca. W tym śnie, takim samym za każdym razem, widział tryskającą z matki krew, a potem Statuę Wolności znikającą we mgle za Verrazano-Narrows. A później swoje przyrzeczenie. „Pewnego dnia, tato, wrócę i cię odnajdę. Uratuję cię, gdziekolwiek jesteś”.

Powróciły słowa Hamleta.

*Obawa przed tym, co będzie po śmierci,
Przed nieobecnością w atlasach krainą,
Skąd żaden jeszcze odkrywca nie wrócił...⁶*

Nie może umrzeć, nie odnalazłszy ojca. Jeszcze nie jest za późno. Dopóki żyje, nigdy nie będzie za późno.

54

– Nadal masz ochotę na rybę? – spytał Roy Grace.

– Zdecydowanie! – powiedziała Cleo. – I chętkę na ostrygi. A potem na dużą solę!

– Sądziłem, że zachcianki ma się tylko w ciąży? – Roy Grace spojrzał przepaszająco na Marlona pływającego w swojej kuli. – Nie bierz tego do siebie, staruszk.

– Niestety, nie wolno mi jeść skorupiaków, kiedy karmię piersią. A więc będziesz musiał zjeść je na moich oczach, a ja będę napawać nimi wzrok. – Posłała mu szelmowski uśmiech. – Podobno faceci są po nich niesamowicie napaleni.

– Niepotrzebne mi ostrygi – zapewnił ją. – Przy tobie zawsze jestem napalony.

– A zachcianki wcale nie ograniczają się do ciąży. Teraz mam nowe.

– Czyżby?

– Dowiedziałam się właśnie o bardzo interesujących rzeczach.

– Z tej książki, którą czytasz?

– Jestem przy trzecim tomie. Poszłam dziś po południu na zakupy i nabyłam kilka rzeczy, które możemy wypróbować, kiedy znów będę w formie. – Zerknęła na niego z ukosa.

– Zabrałaś Noaha do sex shopu?

– Bardzo był z tego zadowolony! Z wielką ciekawością rozglądał się... wyraźnie fascynowały go te czerwone i różowe rzeczy u Ann Summers.

– Ma dopiero dwa miesiące, a ty już sprowadzasz go na złą drogę! – Grace wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Nic nie odpowiedziała, a po chwili zmarszczyła brwi.

– Nadal ci się podobam, prawda? Chociaż jestem gruba i mam żylaki? Czytałam, że niektórzy mężczyźni nie mają ochoty na seks

z żonami, które niedawno urodziły.

Wziął ją w ramiona i pocałował.

– Wyglądasz prześlicznie. – Naprawdę tak wygląda, pomyślał. Miała na sobie luźną kremową sukienkę z lnu, do tego zamszowe botki do kostek, na niebotycznych obcasach, a jej świeżo umyte pszeniczne włosy pięknie lśniły i pachniały. – Niesamowicie mi się podobasz. Szaleję za tobą. – Znów ją pocałował.

Rozległ się dzwonek do drzwi.

Cleo niechętnie odsunęła się od niego.

– To na pewno Wapniaki.

Grace spojrział na zegarek. Była osiemnasta czterdzieści pięć. Rodzice Cleo, których naprawdę lubił, zawsze zjawiali się co najmniej piętnaście minut za wcześnie. Tego wieczoru zostawali z wnukiem, dzięki czemu Roy i Cleo pierwszy raz od narodzin Noaha mieli wychodne.

* * *

Chociaż wielu ludzi uważało, że pod koniec sierpnia jest już po lecie, dla Roya Grace'a wrzesień był często najwspanialszym miesiącem. Grace zazwyczaj nie lubił brać wolnego podczas dochodzeń w sprawie morderstwa i czuł się rozdarty, gdy miał dokonać wyboru pomiędzy pracą nad sprawą Aileen McWhirter a wyjściem z Cleo.

Jednak został przywołany do rzeczywistości, kiedy ostatniego wieczoru Cleo zaczęła rzucać zgryźliwe uwagi. Przypomniało mu to Sandy. Ona nigdy nie mogła zaakceptować tego, że martwi ludzie mogą być ważniejsi od niej. Że praca liczy się dla niego bardziej od ich wspólnego życia. Próbował wtedy tłumaczyć słowa wpojone mu w szkole policyjnej. Instruktor odczytał kodeks moralny FBI przy dochodzeniu w sprawie morderstwa, napisany przez pierwszego dyrektora, J. Edgara Hoovera: „Nie ma większego honoru dla oficera policji ani ważniejszego obowiązku, niż prowadzenie śledztwa w sprawie śmierci istoty ludzkiej”.

Nigdy nie przestanie walczyć o sprawiedliwość w imieniu ofiar morderstw. Będzie pracował dniami i nocami, by złapać i zamknąć

sprawców. I jak dotąd, przeważnie mu się to udawało.

Tyle że teraz był również ojcem. A wkrótce miał zostać ponownie mężem. I to go dręczyło: świadomość, że teraz jest na świecie ktoś, kto potrzebował go jeszcze bardziej niż ofiara morderstwa. Jego syn. I przyszła żona.

Cieszył się ze swojej decyzji o wspólnym wyjściu, kiedy szedł za rękę po Gardner Street z tą piękną kobietą, z której był taki dumny. Minęli sklep z ubraniami Luigi, w którym kilka miesięcy wcześniej Glenn Branson, jego samozwańczy guru w kwestii stylu, przymusił go do wydania ponad dwóch tysięcy na nową garderobę. Miał teraz na sobie niektóre z tych ubrań: lekką skórzaną kurtkę, włożoną na biały T-shirt, oraz luźne, zwężane do dołu niebieskie spodnie i brązowe zamszowe mokasyny. Mężczyźni oglądali się za Cleo. Royowi sprawiało to przyjemność, choć zastanawiał się, uśmiechając się w duchu, czy nadal tak by pożerali ją wzrokiem, gdyby wiedzieli, w jaki sposób zarabia na życie, w związku z czym pewnego dnia, jeśli mieliby pecha, mogłaby przygotowywać ich ciało do sekcji.

Spacerowali wąskimi uliczkami Lanes, które tak lubił, pełnymi zatłoczonych restauracji i barów, aż weszli na placyk Brighton Place, zdominowany przez kamienną fasadę jednego z charakterystycznych budynków Brighton, pubu Sussex. Restauracja Angielska mieściła się naprzeciwko, a długie rzędy wystawionych na zewnątrz stołów były odgródzone sznurami, w stylu śródziemnomorskim.

– W środku czy na zewnątrz? – spytał kierownik restauracji.

– Zamówiłam na zewnątrz – odparła stanowczo Cleo i spojrzała pytająco na Grace'a.

Entuzjastycznie pokiwał głową.

Zostali poprowadzeni do jedyne wolnego stolika. Kierując się doświadczeniem, Cleo wskazała Royowi miejsce pod ścianą.

– Zajmij krzesło policyjne, kochanie.

Uściskał jej dłoń. Po kilku latach służby policjanci z reguły czuli się bezpiecznie w barach i restauracjach tylko wtedy, gdy siedzieli plecami do ściany i mieli dobry widok na salę i wejście. To stało się jego drugą naturą.

Zajęli miejsca. Za plecami Cleo nieprzerwany strumień ludzi płynął uliczką prowadzącą z modnej East Street do Lanes. Grace wziął kartę win w skórzanej okładce i zajrzał do środka. Kiedy zaczął przeglądać listę białych wytrawnych win, które lubiła Cleo, i które jemu też najbardziej odpowiadały, nagle zauważył dwie znajome osoby.

– O cholera! – syknął i podniósł kartę wyżej, zakrywając twarz, by oszczędzić znajomym zażenowania, chociaż z drugiej strony, tej wrednej, niemal pragnął, by go zobaczyli.

– O co chodzi? – spytała Cleo.

Odczekał kilka chwil, potem opuścił kartę i wskazał oddalającą się parę.

– Myślałem, że tu wejdą!

Cleo odprowadziła parę wzrokiem. Mężczyzna, z dużą łysiną, miał na sobie brązową kurtkę i szare spodnie. Ciemnowłosa, elegancko ostrzyżona kobieta była ubrana w ładną różową sukienkę.

– Kto to?

– Spotykałaś już ich, osobno, w ostatnich latach w kostnicy. To sierżant Norman Potting i sierżant Bella Moy.

– Niezbyt do siebie pasują, przynajmniej sądząc z daleka.

– Z bliska tym bardziej, zapewniam cię!

– To ta babka z twojego zespołu, która nie ma życia prywatnego, tak? Opiekuje się starą matką?

Pokiwał głową.

– A on był żonaty... ile... cztery razy?

– Tak.

Zjawił się kelner. Grace zamówił dwa kieliszki szampana i oliwki.

– To okropne.

– Owszem, on jest dość okropny. Ale brawo dla Normana, że poderwał Bellę!

– „Brawo dla Normana, że poderwał Bellę”? – powtórzyła ironicznie. – Co z wami jest, faceci? Dlaczego podrywanie kobiet traktujecie jak sport? A może powiedz: „Biedna Bella, jest tak zdesperowana, że szwenda się z notorycznie zdradzającym kobiety, starym zbereźnikiem?”.

Roześmiał się.

– Masz rację.

– Ale dlaczego tak jest, Roy?

– Bo, jak przypuszczam, dla większości ludzi życie jest kompromisem. Ten pisarz, filozof, którego tak lubisz, którego polecałaś mi kilka miesięcy temu... Jak to brzmiało? „Większość ludzi prowadzi życie w cichej rozpacz”⁷.

– Tak. Nie dopuścimy nigdy do tego, żeby tak było, Roy.

Spojrzał w jej przejrzyste zielone oczy.

– Z nami nigdy tak nie będzie – oświadczył.

– Przyrzekasz?

– Tak.

Przyniesiono szampana. Grace uniósł kieliszek i stuknął się z Cleo.

– Precz z rozpaczą. – powiedział. – Na zawsze.

– Precz!

Wkrótce potem zamówił sześć ostryg. Ale kiedy dostrzegł figlarny błysk w oczach Cleo, zwiększył zamówienie do dwunastu.

O jedenastej rano w poniedziałek Gavin Daly siedział przy swoim biurku i kartkował stary notes Rolodex w poszukiwaniu pewnego nazwiska z dawnych czasów, ignorując nieustający warkot starej kosiarki – jego ogrodnik wędrował tam i z powrotem po trawniku i kosił go w nieskazitelne pasy.

Przed godziną Daly dowiedział się, że koroner zezwolił na zabranie ciała jego siostry, w związku z czym pogrzeb mógł się odbyć następnego dnia, jak to wcześniej planował.

Myśli zakłóciło mu zdawkowe pukanie, po czym usłyszał, że drzwi się otwierają, a gdy się obejrzał, zobaczył, że jego gosposia, Betty, wchodzi z tacą, na której niesie kieliszek do wina, otwartą butelkę białego burgunda Corton-Charlemagne, perfekcyjnie przycięte cygaro Robaina oraz talerzyk z zielonymi oliwkami.

To był pierwszy z dwóch kieliszków białego wina, jakie wypijał w ciągu dnia, a wieczorem pozwalał sobie jeszcze na szklaneczkę whisky. Umiarkowanie we wszystkim – taka była jego recepta. Wszyscy ludzie, jakich znał albo o jakich czytał, którzy dożyli równie sędziwego wieku co on, mieli swój własny sekret. Dla jednych była to kompletna abstynencja od alkoholu. Dla innych życie w celibacie. Żalosne sukinsyny – żyli może i długo, ale psiakrew, pewnie im się to życie trochę znudziło. Uszło też ich uwagi, że najstarszy człowiek w Anglii, Henry Allingham, który zmarł zaledwie kilka lat temu w wieku lat stu trzynastu, w wywiadzie, jakiego udzielił z okazji stu dwunastych urodzin, przypisał swoją długowieczność „cygarom, whisky i namiętym kobietom”.

Każdego ranka, gdy Betty napełniała dla niego ten pierwszy kieliszek, wznosił go w cichym toaście dla Henry’ego Allinghama, zanim zapalił cygaro.

Przed nim leżała pierwsza strona „Daily News” z lutego tysiąc dziewięćset dwudziestego drugiego roku, w plastikowej koszulce. Podziękował Betty, wypił trochę wina i zaczekał, aż usłyszy za plecami trzask zamykanych drzwi. Wrócił do wertowania starych, wyświechtanych fiszek w rolodexie, aż wreszcie znalazł nazwisko i numer telefonu, których szukał. Chodziło o genealoga Martina Diplocka, z którego usług wiele lat temu regularnie korzystał, sprawdzając historię najbardziej wartościowych antyków.

Wybrał numer i usłyszał, że „nie ma takiego numeru”, czego się po części spodziewał. Ale na wypadek, gdyby ten człowiek nadal żył, wpisał jego nazwisko do wyszukiwarki Google. Ku swojemu zaskoczeniu znalazł prostą stronę internetową, na której podano adres mejlowy i numer telefonu, chyba zagraniczny. Wybrał go i usłyszał sygnał połączenia. Trzy sygnały. I czwarty. I piąty.

W końcu rozległo się kliknięcie, a po nim bardzo charakterystyczny kulturalny głos Diplocka.

– Jeszcze żyjesz? – odezwał się Daly.

Chwila milczenia.

– Kto mówi?

– Gavin Daly!

– Ho, ho! Wygląda na to, że ty również!

– Ledwo co.

– Minęło chyba ze dwadzieścia lat.

– Ano.

– Czemu zawdzięczam tę przyjemność?

– Muszę zbadać historię pewnej rodziny. Nadal pracujesz?

– Od piętnastu lat mieszkam na Teneryfie, przenieśliśmy się tu na emeryturę. Ale ciągle trzymam rękę na pulsie. Dzięki internetowi łatwo zachować stare znajomości i śledzić, co się dzieje. A dlaczego pytasz?

– To raczej strzał w ciemno, sam nie wiem. Ale za długo żyję, by lekceważyć rolę przypadku.

– Wiesz, co o przypadku powiedział Einstein?

– „Bóg nie gra w kości”?

– Coś w tym rodzaju. „Przypadek to Bóg przechadzający się incognito”.

Daly uśmiechnął się i wypił łyk wina.

- Miło się z tobą gawędzi, Martinie. Jak się ma Jane?
- Cieszy się dobrym zdrowiem. Słońce służy ludziom.
- Ale szkodzi antykom.
- No to jakie masz dla mnie informacje?
- Chodzi o niejakiego Eamonna Pollocka – odparł Daly. – Obecnie mieszka przeważnie na jachcie o nazwie *Contented*, który stoi w porcie w Marbelli. Jak powiedziałem, to strzał w ciemno. Ale z przyjemnością zapłacę stawkę, jaką teraz pobierasz, jeśli sprawdzisz, czy jest spokrewniony z facetem mieszkającym w latach dwudziestych w Nowym Jorku, niejakim Mickiem Pollockiem. Sądzę, że był to Irlandczyk, członek gangu White Hand.
- Znasz jeszcze jakieś szczegóły, Gavinie?
- W tamtym czasie Mick nie miał jednej nogi... domyślam się, że ją stracił z powodu gangreny, która wdała się po tym, jak został postrzelony w wojnie gangów. Miał ksywkę Proteza.
- Proteza Pollock. Coś jeszcze?
- Niestety nie. Czy możesz przygotować jak najdokładniejsze drzewo genealogiczne?
- Zobaczę, co da się zrobić, ale niczego nie obiecuję.
- Podaj mi adres, na który mogę wysłać pieniądze.
- Nic ci za to nie policzę. Szczerze mówiąc, trochę się nudzę. Dobrze będzie mieć jakąś robotę. Czy to pilne?
- W naszym wieku wszystko jest pilne, Martinie.

Jak większość znanych mu policjantów, Roy Grace zawsze czuł się nieswojo, wchodząc do więzienia. Po części wynikało to ze świadomości, że więźniowie patologicznie nienawidzą policji, jednak chodziło również o utratę kontroli. Będąc policjantem, zazwyczaj kontrolujesz każde otoczenie, w którym się znajdziesz. Ale od chwili, gdy zamkną się za tobą pierwsze więzienne drzwi, jesteś w rękach naczelnika więzienia i jego podwładnych.

Policjanci skazani na karę pozbawienia wolności są traktowani przez współwięźniów na równi z pedofilami.

W Sussex były dwa więzienia. Ford, zakład karny typu otwartego, czyli kategorii D, gdzie przebywali głównie dość niegroźni przestępcy oraz skazani na dożywocie, którym skrócono wyrok, a teraz przywykali stopniowo do normalnego świata, bo mieli wkrótce do niego wrócić. Drugie więzienie, Lewes, zakład kategorii B, było ponurym, nieprzystępnym miejscem. Roy Grace przechodził koło niego wielokrotnie jako dziecko, wraz z rodzicami, i wtedy zawsze go ono zarówno fascynowało, jak i przerażało.

Zbudowane na podobieństwo fortecy, miało wysokie kamienne mury i małe zakratowane okna. Kiedy Roy Grace, będąc jeszcze małym chłopcem, usłyszał od ojca, że siedzą tam „źli ludzie”, wyobrażał ich sobie jako potwory, które gdyby tylko mogły, odrywałyby ludziom głowy. Teraz, po latach pracy w policji, wiedział, że jest nieco inaczej. Jednak doskonale zdawał sobie sprawę, że jeśli w więzieniu wybuchłaby ruchawka, to przebywający tam akurat – z jakiegokolwiek powodu – policjant miałby cholernie dużo szczęścia, gdyby wyszedł stamtąd bez szwanku.

Dlatego właśnie Roy Grace poczuł ulgę, kiedy po kontroli w rejestracji, gdzie musiał zostawić w schowku swój prywatny

i służbowy telefon, powitał go Alan Settingington, pełniący właśnie służbę naczelnik, i oznajmił, że na rozmowę zarezerwowano mu pokój w głównym skrzydle biurowym.

Settingington, szczupły mężczyzna o sportowej sylwetce, którą zawdzięczał weekendowym wyścigom rowerowym, miał na sobie elegancki garnitur, białą koszulę i jaskrawy krawat. Jak w każdym więzieniu, które Grace odwiedził, wszystkie drzwi były otwierane kluczem, a następnie zamykane ponownie, kiedy posuwali się w głąb posępnego, pozbawionego okien wnętrza o zimnych kamiennych podłogach i nijakich ścianach ozdobionych tu i ówdzie plakatami inspektoratu zdrowia i bezpieczeństwa pracy, z wiadrami do wody na wypadek pożaru i wielkimi, mocnymi drzwiami.

Alan Settingington zrobił Grace'owi kawę i poszedł po informatora, który miał z nim porozmawiać. Oczywiście nie za darmo.

Donny Loncrane wszedł do pokoju w zielonym więziennym ubraniu roboczym. Miał pięćdziesiąt pięć lat, ale wyglądał – jak większość długoterminowych więźniów – na dziesięć lat więcej z powodu stylu życia i narkotyków z różnymi domieszkami. Roy Grace był zaszokowany jego wyglądem. Ostatni raz widział tego seryjnego złodzieja samochodów – i policyjnego informatora – dobre dziesięć lat temu. Settingington taktownie zostawił ich samych i wychodząc, zamknął za sobą drzwi.

Loncrane, wysoki, przygarbiony, z krótkimi siwymi włosami zaczesanymi na czoło, uśmiechnął się z zażenowaniem, uścisnął dłoń Grace'a mokrą dłonią, jakby z szacunku przed chwilą ją umył, po czym usiadł naprzeciwko.

– Dzień dobry panu – powiedział.

Od jego dawno niepranego ubrania bił ostry, nieprzyjemny zapach.

Grace pokręcił głową.

– Dlaczego znowu siedzisz? Kiedy widzieliśmy się ostatnim razem, mówiłeś, że wracasz do uczciwego życia.

Loncrane wzruszył ramionami.

– No cóż, tak mówiłem. Problem w tym, że Kocham bryki.

– Zawsze tak było.

– Ale rzecz w tym, że dzisiaj trudniej je kraść. Te najlepsze, audi, beemki, merce, ferrari, bentleye. Kiedyś potrafiłem je uruchomić w trzydzieści sekund. A wie pan, ile to teraz zajmuje?

– No ile?

– Przy tych wszystkich systemach zabezpieczających to ze cztery godziny. Czyli pozostaje tylko unieszkodliwić kierowcę paralizatorem i wyciągnąć go z samochodu albo włamać się do domu właściciela i zwędzić kluczyki.

– Kiedy rozmawialiśmy ostatni raz, mówiłeś, że będziesz się uczył fitnessu i dietetyki. Po wyjściu z więzienia planowałeś założenie siłowni, Donny.

Loncrane znów wzruszył ramionami.

– No, taki miałem plan.

– Czemu ci nie wyszło?

– Nie jest łatwo. Niewielu ludzi chce pomóc byłemu więźniowi. Potrzebne są referencje, pożyczki bankowe i tak dalej. Nie mam zbyt dobrego CV. – Uśmiechnął się smętnie.

Grace też się uśmiechnął. Donny Loncrane nie był głupkiem. Ale życie nigdy nie dało mu szansy. Jego ojciec został zamknięty za narkotyki, kiedy matka była w ciąży z Donnym, swoim czwartym dzieckiem. Ona też ćpała. Donny zawsze miał obsesję na punkcie samochodów i pierwszy wyrok dostał już w wieku czternastu lat za jazdę kradzionym autem. Jako siedemnastolatek dobrze zarabiał i świetnie się bawił, kradnąc rzadkie samochody na zamówienie londyńskiego gangu.

– Wiesz, Donny, nigdy nie jest za późno.

Stary recydywista pokiwał głową.

– Tak, proszę pana, mam różne marzenia – przyznał ze smutkiem.

– A jakie?

– Chciałbym się znów ożenić. Mieszkać w ładnym domu. Mieć dzieci. Ładny samochód. Ale tak się nie stanie.

– Dlaczego? Masz dopiero pięćdziesiąt pięć lat. Jestem pewien, że możesz zacząć od początku.

Więzień znów wzruszył ramionami, z żalną miną.

– Mam pięćdziesiąt pięć lat i sto siedemdziesiąt wyroków na koncie. Nikt poza więzieniem nie chce mnie znać, oprócz innych

kryminalistów. Ale wie pan co? Wcale nie jest mi tu źle. Mam telewizor, nie płacę za prąd, żarcie jest całkiem znośne, mam kumpli.

– Mogę ci jakoś pomóc? – spytał Grace.

– Tak, dać mi kluczyki do ferrari czterysta pięćdziesiąt osiem. Jeszcze takim nie jeździłem. – Wyszczrzył zęby w uśmiechu. – No to czego pan chce ode mnie?

– Teraz odsiadujesz wyrok nie tylko za kradzież samochodów, prawda? Kradłeś również antyki?

Loncrane skinął głową.

– Tak, no cóż, chodzi o to, że jak powiedziałem, w dzisiejszych czasach najłatwiej ukraść dobrą brykę, włamując się do domu, przed którym stoi. A jak już się jest w środku, można przy okazji coś jeszcze zwinąć.

– Oczywiście. – Grace musiał się uśmiechnąć na tę pokrętną logikę.

Loncrane przez kilka chwil przyglądał mu się z napięciem.

– Mam nadzieję, że nie weźmie mi pan za złe, jak powiem, że moim zdaniem, gdyby nie został pan gliną, byłby z pana niezły włamywacz.

– Pochlebiasz mi.

– Nie, mówię poważnie. Zwraca pan uwagę na szczegóły. A przy włamaniach najważniejsze jest planować i dbać o drobiazgi. No, ale nie przyszedł pan tutaj po poradę w sprawach zawodowych. W czym mogę panu pomóc?

– Mniej więcej dwa tygodnie temu przy Withdean Road w Brighton miało miejsce brutalne włamanie. Skradziono antyki o wartości dziesięciu milionów funtów, a właścicielka domu, starsza pani, która nazywała się Aileen McWhirter, była torturowana, w wyniku czego zmarła. Dziesięć milionów to, jakkolwiek by patrzeć, sporo forsy. Czy w związku z tym coś ci się tutaj obilo o uszy?

Loncrane milczał przez długą chwilę.

– A jeśli tak?

– Dwieście funtów, Donny. I może dobre słowo do naczelnika.

– Myślałem, że stawka wynosi dziesięć procent wartości?

Grace się uśmiechnął.

– Tak było, zanim nasz budżet został drastycznie okrojony.

Był czas, kiedy informatorzy otrzymywali nawet jedną dziesiątą wartości skradzionych rzeczy, które pomogli odzyskać. Płacono tak dużo, ponieważ bycie informatorem wiązało się z ogromnym ryzykiem, zwłaszcza w więzieniu. Loncrane musiał zapewne podać swoim współwięźniom jakiś wiarygodny powód wizyty w biurze naczelnika, a jak wróci do celi, bez wątpienia zadadzą mu wiele podejrzliwych pytań.

Więzień rzucił Grace'owi ostrożne spojrzenie.

– Wie pan, co czeka tutaj kapusiów?

– Wyobrażam sobie.

– Wrzątek w twarz, ostrza w jedzeniu. To nie jest fajne.

Loncrane zamilkł i przez chwilę Roy Grace martwił się, że nie piśnie już ani słowa. Jednak więzień podniósł w końcu rękę i pokazał trzy palce.

– Dobra, trzy stówy, umowa stoi. Gdzie mam wpłacić pieniądze, Donny?

– Podam panu numer mojego szwajcarskiego konta – powiedział z taką powagą, że Grace niemal uwierzył w jego istnienie.

– Ptaszki ćwierkają, że na pana miejscu, nadinspektorze, przyjrzałbym się dokładnie niejakiemu Eamonnowi Pollockowi, który mieszka za granicą i może stać za tą sprawą.

Roy Grace popatrzył na Loncrane'a. Trzysta funtów to nie była wygórowana kwota, ale i tak będzie musiał tłumaczyć się z tego wydatku przed szefostwem. Miał nadzieję, że będą to dobrze wydane pieniądze.

– Nazwisko Pollock brzmi jakby znajomo – powiedział, marszcząc w zamyśleniu brwi.

– Parę lat temu był zamieszany w pewną sprawę razem z Amisem Smallbone'em.

– Amisem Smallbone'em? – powtórzył Grace.

– Tak. Kiedyś się kumplowali.

– Powiedz mi coś więcej o tym całym Pollocku.

– Tłusty drań, który wrabia wszystkich, z którymi ma do czynienia. Mieszka za granicą, w Marbelli. Kiedyś mieszkał w Brighton. Szpaner, lubi ekskluzywne zegarki. Paser drogich rzeczy, nie tknie niczego poniżej wartości dziesięciu tysięcy funtów.

Zajmuje się też lichwą, pożyczka na niebotyczny procent. Zawsze udawało mu się jakoś wymknąć policji, ale narobił sobie wielu wrogów. Podobno mieszka na jachcie w Marbelli, otoczony przez swoich przydupasów. Tylko desperaci robią z nim interesy.

– Z tego, co mówisz, miły gość.

– Wręcz czarujący.

Kiedy tylko Grace odzyskał swój telefon i wyszedł poza mury więzienia, zadzwonił do Emmy-Jane Boutwood z centrum koordynacyjnego i polecił jej, by rzuciła wszystko i zabrała się do sporządzania listy powiązań i kontaktów Eamonna Pollocka.

Skręcił w prawo i zszedł po zboczu na parking dla odwiedzających, głęboko zamyślony. Pollock. To nazwisko na pewno coś mu mówiło, ale na razie nie potrafił go umiejscowić.

Posterunkowa Susi Holiday odebrała wezwanie przez radio, kiedy jechali na zachód przez Portland Road w Hove, zbliżając się do miejsca, gdzie wcześniej tego roku zajmowali się fatalnym wypadkiem, w którym rowerzysta wpadł pod ciężarówkę. Dave Roberts, z którym Susi pełniła służbę i który tego ranka prowadził samochód patrolowy, słyszał rozmowę przez swoje radio.

– Stare Probstwo, Ovingdean. Znasz? – spytała.

Zmarszczył brwi.

– Nie.

– Wygląda na to, że może to być kolejne G pięć. – Wpisała adres do nawigacji satelitarnej. – Zawracaj.

– Myślałem, że już wyrobiliśmy normę na ten rok – odparł Roberts.

– Martwi nie potrafią liczyć – odpaliła cynicznie.

Kiedy skręcił w lewo, a potem zawrócił w stronę nadmorskiego bulwaru, jej radio znów zaskrzeczało i odezwał się w nim głos dyspozytorki. Holiday przechyliła głowę, słuchając, i po chwili przekazała Robertsowi:

– Wezwanie od niejakiej Carol Morgan. Ta pani ma lokatora i martwi się o niego.

Ovingdean, wieś leżąca na wschód od Kemp Town w Brighton, niecałe dwa kilometry na północ od morza, za szkołą żeńską Roedean, malowniczo otoczona połaciami ziemi uprawnej, była miejscem, o którym Dave Roberts często myślał, że chciałby się tam przenieść na emeryturę, gdyby było go na to stać.

– Wiemy, jak on się nazywa?

– Lester Stork⁸. – Uśmiechnęła się. – Zabawne nazwisko.

– Lester Stork? To gnojek.

– Tak?

– Drugorzędny paser. Był jednym z pierwszych, jakich przyskrzypiłem, kiedy zacząłem pracę w policji. Musi być stary jak świat, dziwię się, że jeszcze żyje.

– Może się zaraz okazać, że już nie.

Skręcili w lewo, na bulwar nadmorski, i skierowali się na wschód, mijając przystań i szkołę Roedean, a potem znów skręcili w lewo, tuż przed St Dunstan, słynnym domem dla niewidomych byłych wojskowych, po czym ruszyli krętą drogą pod górę, w stronę wsi. Ledwie przejechali kawałek, nawigacja powiadomiła ich, że są na miejscu.

Po lewej stronie ujrzeni imponujący kamienny wiejski dom z dużym padokiem na tyłach.

– To tu! – powiedziała Susi, odczytując elegancki szyld z napisem: „Stare Probstwo”.

Dave skręcił na kolisty podjazd i zaparkował przed gankiem. Kiedy wysiedli na porywisty wiatr, niezwykle atrakcyjna czterdziestoparoletnia kobieta o długich falujących blond włosach, ubrana w bryczesy, buty do konnej jazdy i puchową kamizelkę, wyłoniła się zza domu, prowadząc konia, który szarpał się na wodzy.

– Henry! – zganiała go z naturalnie wytwornym akcentem, którego Susi zawsze skrycie zazdrościła.

Kobieta zauważyła samochód policyjny i dwoje umundurowanych policjantów, którzy z niego wysiadają, wkładając czapki, więc podniosła rękę, znów odwróciła się do konia i przemówiła do niego surowym tonem, po czym zaczęła na funkcjonariuszy.

– Wszystko w porządku – powiedziała. – Dziś rano ma zły humor.

– Pani Carol Morgan? – spytała Susi Holiday.

– Tak, to ja. Dziękuję, że przyjechaliście. Rany, ale jesteście szybcy. Już myślałam, że będę czekała parę dni!

– Powiedziano nam, że niepokoi się pani o swojego lokatora – odezwał się Dave Roberts.

– Owszem. – Wskazała za dom. – Mamy na tyłach mały domek, który wynajmujemy od pięciu lat. Ten lokator to dziwny osobnik, bardzo miły, złego słowa nie mogę o nim powiedzieć, ale typ

odludka. – Zmarszczyła brwi. – Jednak ostatniej nocy, kiedy wracał do domu, usłyszałam jego furgonetkę... Wydaje dość charakterystyczne odgłosy. Mój mąż, John, uważa, że trzeba w niej wymienić rurę wydechową... A rano, gdy się obudziłam, usłyszałam, że silnik furgonetki wciąż pracuje. Wyszłam o siódmej nakarmić Henry’ego. Drzwi wejściowe do domku były zamknięte. Zadzwoiłam, ale nikt nie odpowiedział. Wycofałam się na parę godzin, a potem spróbowałam znowu w południe. Wtedy postanowiłam do was zatelefonować. Mam nadzieję, że nie marnuję waszego czasu...

– Ależ skąd – zapewniła ją Susi Holiday. – Postąpiła pani właśnie tak jak trzeba.

– Bo wiecie, martwiłam się. Kilka tygodni temu czytałam w „Argusie” artykuł o wielu fałszywych wezwaniach.

– Moja koleżanka ma rację, pani Morgan – potwierdził posterunkowy Roberts. – Pani lokator nazywa się Lester Stork?

Koń szarpnął się niecierpliwie, a właścicielka pociągnęła mocno za wodze.

– Henry! – upomniała zwierzę, po czym zwróciła się do policjantów: – Zgadza się. Lester Stork.

– Czy mogłaby nam pani pokazać, gdzie jest ten domek? – spytała Susi Holiday.

– Tak, naturalnie. Proszę tylko poczekać, aż przywiążę Henry’ego.

Uwiązała konia do drewnianej barierki i ruszyli wszyscy po krótkiej stromej wiejskiej drodze, która doprowadziła ich do małego domku z czerwonej cegły, zbudowanego później od głównego domostwa, z przyłączonym zrujnowanym garażem. Zardzewiała biała furgonetka marki Renault stała zaparkowana na zewnątrz, a kiedy się do niej zbliżyli, usłyszeli wyraźnie, że silnik jest na chodzie.

Dave Roberts, przytrzymując czapkę, aby nie zwiął mu jej wiatr, zajrzał do samochodu przez okno od strony kierowcy, potem otworzył drzwi, które nie były zamknięte na kluczyk, i wsadził głowę do środka. Szoferka była pusta, a z tyłu zobaczył tylko kanister, klucz do kół i starą gazetę. Na wypadek, gdyby trzeba było

pobrać odciski palców, wyjął chusteczkę i osłaniając nią dłoń, wyłączył silnik.

Potem wszedł na ganek, wcisnął dzwonek, a chwilę później mocno zastukał w tanie drzwi kłykciami. Kiedy nie doczekał się żadnej reakcji, przykląkł, uchylił klapkę nad otworem na listy i pociągnął nosem. Nie poczuł nic podejrzanego. Po lewej stronie drzwi znajdowało się okno niewielkiego saloniku, w którym był wyłączony stary telewizor.

– Wrócił wczoraj o północy, pani Morgan?

– Tak, tuż przed.

– Ma pani jego numer?

Podawała mu, a Susi Holiday wybrała i wszyscy troje usłyszeli, że telefon dzwoni, aż wreszcie ucichł i włączyła się automatyczna sekretarka. Rzeński głos oznajmił: „Mieszkanie Lestera Storka. Może jestem zajęty, a może martwy. Zaryzykuj, zostaw wiadomość!”.

Cała trójka obeszła dom, zaglądając do okien na parterze. Ujrzeni małą pustą kuchnię i próbowali otworzyć boczne drzwi, ale okazały się zamknięte od środka. W oknach z tyłu domu wisiały zaciągnięte zasłony. Na końcu budynku, gdzie mieścił się garaż, nie było okien. Wróciwszy przed dom, przystanęli przed gankiem. Roberts obejrzał zamki w drzwiach wejściowych.

– Czy ma pani zapasowe klucze, pani Morgan?

– Tak, ale nie wiem gdzie.

– Czy pozwoliłaby pani, żebym wyważył drzwi?

Skinęła głową.

– Proszę bardzo.

Wziął zamach i z całej siły kopnął w drzwi. Ani drgnęły. Spróbował ponownie, jeszcze silniej. Też bez skutku. Skrzywił się do swojej koleżanki.

– Zdaje się, że są wzmocnione.

Podszedł do okna, założył rękawiczki i wyjął pałkę policyjną, którą mocno uderzył w szybę. Roztrzaskała się, kawałki szkła wpadły do salonu. Roberts włożył rękę przez otwór i namacał zasuwkę. Jednak nie mógł jej ruszyć.

– Cholera! – zaklął, ale zaraz odwrócił się i dodał: – Przepraszam za wyrażenie.

Carol Morgan uśmiechnęła się.

– Zamek okienny – powiedział. – Utrudnia włamanie.

– Musiał sam go założyć – stwierdziła.

Roberts wybił pałką resztę szyby, po czym wdrapał się do małego pokoju, w którym był taki zapach, jakby wypalono tu milion papierosów, nigdy nie otwierając okna. Na gołych ścianach wisiało tylko parę nieciekawych rycin z końmi. Meble na wytartym dywanie były skromne i zniszczone. Zawołał:

– Panie Stork! Tu policja! Panie Stork?

Odczekał kilka chwil i poszedł do korytarza. Tu się zatrzymał.

Minęło wiele lat od czasu, gdy ostatni raz widział starego oszusta, ale rozpoznał go bez trudu. Lester Stork, pomarszczony kurdupel, który w lepszym życiu mógłby być dżokejem, miał na sobie podniszczoną marynarkę w jodełkę, wygniecioną kremową koszulę, szare spodnie i tanie czarne buty. Wyglądał, jakby zamierzał wejść po schodach na górę, ale tam nie dotarł. Leżał z rozrzuconymi kończynami na dolnych stopniach, jego niewidzące oczy były szeroko otwarte, ciemnobrązowa peruczka przekrzywiona.

Posterunkowy przyklęknął, zdjął rękawiczkę i dotknął twarzy leżącego. Była zupełnie zimna. Poszukał pulsu, choć nie ulegało wątpliwości, że mężczyzna nie żyje od wielu godzin. Roberts sprawdził ostrożnie jego twarz i ułożenie ciała, szukając jakichś oznak tego, że doszło tu do gwałtownej śmierci, jednak nic nie znalazł. Lecz jego policyjne doświadczenie od razu kazało mu się zastanowić, dlaczego Stork zamknął za sobą drzwi wejściowe, zostawiając silnik furgonetki na chodzie.

– A może wiatr zatrzaskał drzwi? Ale dlaczego ktoś miałby wrócić do domu przed północą i wejść do środka, zostawiając włączony silnik w samochodzie? – spytał Dave.

– Coś takiego robi się tylko wtedy, kiedy zamierza się znowu wyjść – zauważyła posterunkowa, patrząc na ciało.

– Ale gdzie może się wybrać siedemdziesięcioletni facet o północy w niedzielę, w starej ciężarówce? – spytał.

– Na pewno nie do klubu.

– Do kościoła pewnie też nie – rzucił Dave.

Wezwał drogą radiową ich przełożonego, sierżanta, a potem poprosił o przysłanie koronera.

Tymczasem Susi udała się do pomieszczenia na tyłach domu, niewiele większego od schowka, i zapaliła światło. Natychmiast zrozumiała, dlaczego zasłony zostały zaciągnięte.

Cała podłoga była zastawiona antykami. Susi zobaczyła rzeźby z brązu, chińskie wazy, srebrny serwis do herbaty, bogato zdobiony zegar, kilkanaście obrazów olejnych, złoty talerz. Natychmiast, wiedząc o dużym włamaniu, do którego doszło w mieście niecałe dwa tygodnie wcześniej, wyjęła telefon, wybrała ikonkę aparatu i zrobiła szybko serię zdjęć. Potem skontaktowała się z centrum koordynacyjnym i poprosiła o adres mejlowy, na który wysłała zdjęcia z krótką wiadomością:

Znaleźliśmy te rzeczy u starego pasera, u G5. Może coś pochodzi z włamania przy Withdean Road.

– Czasami robię straszne rzeczy.

– Proszę mówić dalej.

Nastąpiło długie milczenie. W końcu monachijski psychiatra, doktor Eberstark, spytał:

– Co to za straszne rzeczy, Sandy?

Leżała na kozetce, z odwróconą twarzą, więc nie mieli kontaktu wzrokowego.

– Zamieściłam w ich lokalnej gazecie nekrolog ich dziecka.

– Dziecka Roya Grace’a?

– Jego i tej suki, jego dziewczyny.

– Przecież już pani z nim nie jest. To była pani decyzja, żeby od niego odejść, prawda?

– Nie sądziłam, że zastąpi mnie jakąś cholerną suką.

Doktor Eberstark siedział spokojnie, jego twarz nie zdradzała żadnych uczuć. Po kilku minutach spytał:

– Czego się pani spodziewała po dziewięciu latach? Sądziła pani, że będzie żył w celibacie już do końca życia?

Znów nastąpiła kolej Sandy, by kilka minut pomilczeć. Wreszcie powiedziała:

– Zrobiłam jeszcze jedną okropną rzecz.

– Co takiego?

– Zniszczyłam samochód tej suki. Jak jej tam? Cleo? Na masce jej samochodu wyryłam dłutem napis: DZIWKĄ GLINIARZA. TERAZ KOLEJ NA TWOJE DZIECKO.

– Dziewięć lat po tym, jak pani od niego odeszła?

– Właściwie prawie dziesięć.

– Co pani chciała w ten sposób osiągnąć?

– Czasami myślę, że jestem jak ten skorpion z przypowieści.

– Jakiej przypowieści?

– Tej, w której skorpion prosi żółwia, by przeniósł go na drugi brzeg rzeki. Żółw odpowiada: „Nie zrobię tego. Mógłbyś mnie śmiertelnie użądlić”. Skorpion przekonuje: „Słuchaj, nie jestem przecież głupi. Gdybym cię użądlił, kiedy będziesz przepływał ze mną na drugi brzeg, obaj byśmy zginęli: ty od użądlenia, a ja bym utonął”. Żółw odpowiada: „No jasne, to ma sens”. Płyną więc, a na środku rzeki skorpion żądli żółwia. Żółw, umierając i tonąc, ogląda się na skorpiona i pyta: „Dlaczego to zrobiłeś? Teraz obaj zginjemy”. Skorpion odpowiada: „Wiem. Przepraszam. Nie mogłem się powstrzymać. To leży w mojej naturze”.

– A więc uważa się pani za skorpiona?

Sandy nic nie odpowiedziała.

– Tak lubi pani myśleć, by usprawiedliwić swój gniew?

– To nierozsądne, wiem. Powinnam cieszyć się z tego, że ułożyłam sobie życie, ale nie potrafię.

– Czy chce go pani odzyskać? Czy on reprezentuje przeszłość, coś, co pragnie pani przywrócić, ale nie może? Nikt z nas nie może.

– Może jestem psychopatką i powinnam być pod kluczem?

– Fakt, że zdaje sobie pani z tego sprawę, świadczy o czymś innym. Ma pani w sobie cały ten gniew i musi on znaleźć ujście, więc kieruje go pani na Grace’a oraz na kobietę, która, pani zdaniem, stoi na przeszkodzie temu, by wrócił do pani.

Siedziała w milczeniu, zastanawiając się nad słowami doktora Eberstarka.

Po jakimś czasie, zmieniając temat, psychiatra zagadnął:

– Na ostatniej sesji miała mi pani powiedzieć coś o dziecku. Czy chce pani zrobić to teraz?

Wzruszyła ramionami. Potem odparła:

– Chodzi o to, że nie jestem pewna, czy ono było Roya.

– O?

– Miałam romans. Z jednym z jego kolegów.

– Eamonn Pollock rzeczywiście od dawna nie cieszy się popularnością – powiedział Glenn Branson. – Przynajmniej w środowisku handlarzy antyków z Brighton. Twój przyjaciel Donny Loncrane miał rację.

Grace skręcił w bramę wjazdową prowadzącą do krematorium Downs. Z dwóch wielowyznaniowych krematoriów w Brighton Roy Grace wolał miejskie, Woodvale, w którym panowała atmosfera kościoła parafialnego, a poza tym znajdowało się w leśnym otoczeniu. Jednak większość zamożnych mieszkańców miasta wybierała prywatne krematorium Downs.

Zawsze uważał, że uprzejmość wymaga, by brał udział w pogrzebach ofiar zbrodni, w których sprawie prowadził dochodzenie, ale miał też inny, ukryty powód, a mianowicie obserwację uczestników pogrzebu i ewentualnych postronnych gapiów. Czasami psychopatyczni mordercy przychodzili sobie popatrzeć. A ci, którzy zabili Aileen McWhirter, bez wątplenia byli psychopatami.

Nieoznakowanym fordem wjechał tyłem na miejsce parkingowe, zapewniając sobie i siedzącemu obok Glennowi Bransonowi dobry widok na nadciągający kondukt pogrzebowy.

Procesja nie była długa. Z pierwszej limuzyny, jadącej za karawanem, wysiadł Gavin Daly oraz jego syn Lucas z żoną Sarah. Z następnej wyłoniła się para z dwojgiem małych dzieci. Grace domyślił się, że to wnuczka Aileen McWhirter, Nicki, z mężem, Mattem Spiersem, oraz jej prawnuki, Jamie i Isobel. Z kolejnego samochodu wysiadło troje starszych ludzi, wśród których Grace rozpoznał gosposię Gavina Daly'ego. Przypuszczał, że pozostała dwójka to gosposia i ogrodnik Aileen.

Następnie do kaplicy weszła kobieta, którą Grace znał i bardzo lubił, Carolyn Randall, pracowita szefowa Crimestoppers w regionie Sussex. Prawdopodobnie zmarła wspierała tę organizację. Potem rozpoznał szefa kwesty na rzecz hospicjum Martlets w Brighton.

Glenn Branson odpiął pas, wsunął rękę do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął kopertę, którą podał Grace'owi.

– Zdjęcie Eamonna Pollocka.

Grace wytrząsnął je z koperty. Z fotografii patrzył na niego chorobliwie otyły sześćdziesięcioletni mężczyzna o gęstych, siwych, krótko ostrzyżonych falujących włosach, z nieznośnym uśmiechem samozadowolenia na twarzy. Miał na sobie biały smoking i trzymał kieliszek szampana, który wznosił w kierunku fotografa, niby to w toaście.

– Co o nim wiadomo?

– Jest na kilku dawnych wykazach powiązań i kontaktów, ale tylko raz był karany: za posiadanie kradzionych zegarków i zegarów. To było w roku osiemdziesiątym. Dostał dwa lata w zawieszeniu.

Ta informacja natychmiast wzbudziła zainteresowanie Grace'a.

– Zegarków i zegarów?

– Tak właśnie.

– Chyba ktoś powinien natychmiast z nim pogadać.

– Nie miałbym nic przeciwko wycieczce do Marbelli... w normalnych okolicznościach. – Branson wzruszył ramionami i teraz wyglądał bardzo żałośnie.

Grace uścisnął go za rękę.

– Trzymasz się jakoś, stary?

Branson pokiwał głową. Grace zauważył łzy, które nagle wezbrały w oczach przyjaciela.

– Czy Ari mówiła kiedykolwiek, co ma z nią być po śmierci?

– Nie chciała być spalona. – Glenn Branson pociągnął nosem. – Więc chyba będę musiał to uszanować. Powiedziałem w zakładzie pogrzebowym, że chcę, żeby znaleźli jej miejsce na cmentarzu Woodingdean. Pójdiesz ze mną na pogrzeb?

– Oczywiście. Masz już wyznaczoną datę?

– Nie. Czekam, aż koroner wyda jej ciało.

Młody mężczyzna i kobieta wysiedli z małego audi, a następnie wyjęli z tylnego siedzenia niemowlę. Zerknąwszy na zegarek, Grace zobaczył, że zostało jeszcze pięć minut.

– Ruszamy?

– Tak.

Kiedy otworzyli drzwi i wyszli na słońce, odezwał się telefon nadinspektora.

– Roy Grace, słucham – powiedział.

Dzwonił Dave Green, który nadzorował oględziny miejsca zbrodni. Był bardzo podekscytowany.

– Roy, pewnie chętnie się dowiesz, że znaleźliśmy kropelkę krwi w środku podwójnego kaloryfera, który usunęliśmy z domu.

– Tego, do którego była przykuta Aileen McWhirter?

– Tak, kropelka jest mikroskopijna, ale chyba da się z niej wyciągnąć DNA.

Grace pomyślał natychmiast o strupie na palcu aroganckiego akwizytora Garetha Duponta i o tym, co Donny Loncrane powiedział wczoraj w więzieniu Lewes.

– Czy możesz ją dać szybko do badania?

– Jest w drodze do laboratorium.

Zaledwie kilka lat temu badanie DNA zajmowało parę tygodni. Teraz udawało się czasem przeprowadzić je w dwadzieścia cztery godziny.

– Świetna robota, Dave! – pochwalił Greena.

– Dzięki, szefie, to się jeszcze okaże.

– Jasne.

Rozłączył się i kiedy szli do drzwi kaplicy, już miał przekazać wieści Bransonowi, ale zadzwonił telefon sierżanta.

Przystanęli.

– Tak, to ja – powiedział Glenn Branson. – Przepraszam, coś przerywa... mogę prosić o powtórzenie? – Milczał przez chwilę, a potem twarz rozjaśniła mu się z zadowolenia. – O cholera! Naprawdę? Potwierdziliście tożsamość?

Grace patrzył na przyjaciela, którego dawno nie widział tak ożywionego. Po paru minutach sierżant zakończył rozmowę i zwrócił się do Roya Grace'a:

– Chyba się ucieszysz!

Kiedy Gavin Daly o szesnastej wrócił z pogrzebu, wielki dom wydał mu się bardziej pusty niż zazwyczaj i wyjątkowo ponury. Wyczerpany, usiadł w swoim gabinecie, by wypić większy niż zwykle kieliszek wina i wypalić cygaro. Wino wychylił od razu do dna. Spojrzał w okno.

Rodzina Aileen zaprosiła go po pogrzebie na obiad do restauracji, ale wolał pozostać sam na sam ze swoimi myślami. O osiemnastej udał się do jadalni i usiadł, na rauszu, z rozłożoną lokalną gazetą „Argus”, czekając na wczesną kolację.

Jeśli nie można utopić smutków w jednym z lepszych win świata w wieku dziewięćdziesięciu pięciu lat, to kiedy, do cholery? – lubił mawiać ludziom, a szczególnie Betty, która czasem łajała go za popijanie. Jednak wiedział, że gosposia zawsze trzyma ukrytą w kredensie butelkę sherry Bristol Cream i regularnie wymienia ją na nową, pełną.

Betty przygotowała mu jego ulubioną kolację, taką, jaką jadał przynajmniej dwa razy w tygodniu: wędzony łosoś z lokalnej wędzarni Springs, z dużym kawałkiem cytryny i jajecznicą osobno. Tłusta ryba. Kolejna rzecz, której przypisywał swoją dobrą formę na starość. Choć dziś miał taki nastrój, że mógłby bez żalu natychmiast kopnąć w kalendarz.

Tego wieczoru skończył kolację szybciej niż zwykle, pragnąc czym prędzej wrócić do swego gabinetu.

Usiadł znów przy biurku, przy zapalonym świetle, i wyjął z szuflady brązową kopertę, w której trzymał zdjęcie zepsutego zegarka marki Patek Philippe. Ku jego zaskoczeniu okazało się, że jest pusta. Zmarszczył brwi, zastanawiając się, gdzie odłożył zdjęcie. Dokładnie pamiętał, jak wyglądał zegarek: przekrzywiona koronka, wskazówki zastygłe w bezruchu od roku dwudziestego drugiego.

Człowiek z Księżyca na zawsze niewidzialny, ukryty za ćwiartką żółtej tarczy księżyca na niebieskim tle usianym złotymi gwiazdami.

I znowu zaczął łamać sobie głowę nad wypisanymi ręcznie cyframi, teraz już spłowiałym atramentem, na odwrocie strony nowojorskiego „Daily News”.

9 5 3 7 0 4 0 4 2 4 0 4

„Patrz na cyfry”, powiedział posłaniec, który wręczył mu rewolwer, zegarek i stronę wyrwaną z gazety.

Wypił jeszcze trochę wina, po czym odciął końcówkę następnego cygara. Miał to przed oczami. Coś w jaskrawy sposób oczywistego. Coś tak cholernie oczywistego, że po dziewięćdziesięciu latach i mimo opinii niezliczonych ekspertów nadal tego nie widział.

To tam było. Wiedział o tym. Było tak głośne i wyraźne, jak gdyby jego ojciec szeptał mu do ucha zza grobu:

„Cześć, Mały, nie śpisz jeszcze?”, mówił swoim niskim, tubalnym głosem.

„Nie śpię, Duży! Pokażesz mi zegarek?”.

Jego czas dobiegał końca.

Ludzie powiadają, że życie to skarb. Być może. Albo przekleństwo. On uważał, że życie jest podróżą. Taką jakby okrężną. Znów był w Nowym Jorku, w roku 1922, jako dziecko. Przypomniał sobie tę noc, kiedy matka została zabita, a ojciec uprowadzony. I obietnicę, którą złożył na rufie statku *Mauretania*. „Pewnego dnia, tato, wrócę i cię odnajdę. Uratuję cię, gdziekolwiek jesteś”.

Często powtarzał sobie pewien cytat z Hemingwaya. Niezupełnie go rozumiał, ale wiedział, że odnosi się do niego.

Są pewne rzeczy, których nie można nauczyć się prędko, i za ich przyswojenie trzeba ciężko płacić czasem, który jest wszystkim, co mamy. Są to rzeczy najprostsze i ponieważ potrzeba całego życia człowieka, żeby je poznać, ta odrobina czegoś nowego, którą każdy uzyskuje z życia, jest bardzo kosztowna, i jest jedyną spuścizną, jaką ma do pozostawienia po sobie⁹.

Gavin Daly często zadawał sobie pytanie, co dostał od życia.

Ogromne bogactwo. Którym nie ma się z kim podzielić, a zostawić może jedynie wnuczce Aileen i jej rodzinie. Za radą

prawnika, Lucas dostanie mały zapis, by było mu trudno podważyć testament. Jaki był, do cholery, sens tego wszystkiego?

Jasne, czasami miał z życia frajdę. Przez kilka dekad był niekwestionowanym królem antyków w Brighton. A teraz?

Teraz co?

Zaczął się już po czarnym poniedziałku w 1987 roku, a po jedenastym września 2001 roku, kiedy Amerykanie przestali tu przyjeżdżać, handel antykami, a zwłaszcza meblami, padł nagłą i brutalną śmiercią.

Teraz to wszystko należało do historii. Tamto nie miało znaczenia. Za kilka lat już go tu nie będzie. A za kilkadziesiąt jego nazwisko zostanie całkiem zapomniane, jakby wcale się nie narodził. Nieraz się zastanawiał, ilu ludzi może pamiętać swoich prapradziadków? Czy w ogóle tacy są? Na pewno niewielu. Tak to już jest.

Zadzwoił jego telefon.

– Gavin?

Mężczyzna mówił z mocnym nowojorskim akcentem. Był to czarujący manhattański szalbierz, Julius Rosenblum, który wiodł zasobne życie, handlując wartościowymi zegarkami i zegarami wątpliwego pochodzenia. Daly skontaktował się z Rosenblumem, ponieważ jedną z jego specjalności były rzadkie żeglarskie zegarki i zegary. Różne wartościowe egzemplarze, czy to nielegalnie szabrowane z zatopionych statków, czy też skradzione w trakcie rabunków i włamań, przechodziły przez jego ręce, a on nie zadawał zbędnych pytań.

– Pomyślałem, Gavinie, że to może mieć związek z naszą wcześniejszą rozmową. Niedawno zadzwonił do mnie facet mówiący z angielskim akcentem i oznajmił, że ma zegarek kieszonkowy marki Patek Philippe mniej więcej z tysiąc dziewięćset dziesiątego roku. Spytał, czy chciałbym go obejrzyć. Oczekuje najlepszej oferty, przekraczającej trzy miliony dolarów.

– O?

– Parę rzeczy budzi podejrzenia. Wymijająco odpowiadał na pytania o historię zegarka. A kiedy spytałem o jego stan, używał laickiej terminologii, a przecież po kimś, kto posiada tak rzadki czasomierz, należałoby się spodziewać pewnej fachowości, prawda?

– Owszem – przyznał Gavin. – Masz jego telefon albo inny namiar?

– Nie, ale ma przynieść ten zegarek, powiedział, że zadzwoni jutro rano, dzisiaj był zajęty do końca dnia.

– Czy możesz zrobić zdjęcia, kiedy go przyniesie, a potem przefaksować je albo wysłać mejlem do mnie?

– Oczywiście.

– A przy okazji jemu też zrób zdjęcie.

– Jasne, mam tutaj kamerę przemysłową.

– Podał nazwisko?

– Robert Kenton.

– Robert Kenton?

– Znasz go?

– Nie, nigdy o nim nie słyszałem.

– Nie ma gwarancji, że to prawdziwe nazwisko.

– To prawda.

Gavin podziękował Rosenblaumowi i rozłączył się. Zastanawiał się przez kilka chwil, czy zatelefonować do nadinspektora Grace'a, ale postanowił, że tego nie zrobi.

Nalał sobie kolejny kieliszek, zapalił ponownie cygaro i pogrążył się w rozmyślaniach.

– Słuchajcie, mamy wynik – oświadczył Glenn Branson, wracając na popołudniową odprawę, z której wyszedł, by odebrać telefon. – Szefie, pamiętasz moją rozmowę telefoniczną przed pogrzebem? Dwa ciała znalezione w porcie Puerto Banus, w pobliżu jachtu *Contented*? Obok nich wywrócony do góry dnem ponton. Łódź należy do człowieka, o którym mówił informator z więzienia Lewes.

Grace spojrział na wielki prostokąt papieru, trochę krzywo przyklejony do białej tablicy. Widniał na nim napis: OPERACJA FLĄDRA – WYKAZ POWIĄZAŃ I KONTAKTÓW, EAMONN POLLOCK. Wydruk komputerowy przypominał drzewo genealogiczne z podręczników do historii, tylko w okienkach były współczesne wizerunki osób – niebieskie dla mężczyzn, czerwone dla kobiet.

– Tego, co był karany za paserstwo – dodał Branson.

– Zgadza się... wraz z innym naszym starym znajomym. – Grace wskazał kreskę prowadzącą do prostokątka po prawej stronie wykazu. – Patrzcie, co my tu mamy, nasze własne sześć stopni oddalenia. Tylko że nie ma żadnego oddalenia. Pollock przejechał się na paserstwie kradzionych zegarków. Amis Smallbone był zamieszany w sprawę. Zajrzałem do akt. Smallbone został oskarżony, ale zwolniony z powodu braku dowodów. – Spojrział na Annalise Vineer, indekserkę, która opracowała wykaz. – Dobra robota, Annalise – rzucił, po czym znów popatrzył na Bransona.

– Myślę, że warto było opłacić tego informatora, szefie.

– Mów dalej.

Teraz wszyscy obecni w sali konferencyjnej skupili uwagę na Glennie Bransonie. Grace zerknął na Bellę Moy, a potem na Normana Pottinga. Oboje należeli do jego zespołu i oboje zasługiwali na szczęście. A więc jeśli o niego chodzi, trzymał za nich kciuki.

– Dzwonił do mnie człowiek z hiszpańskiego Interpolu. Potwierdzili tożsamość zmarłych. Jeden nazywał się Anthony Joseph Macario, a drugi Kenneth Oliver Barnes. Obaj, Macario też, mimo jego nazwiska, byli obywatelami irlandzkimi. – Zwrócił się do indekserki: – Czy możesz jak najszybciej sprawdzić w całym kraju te nazwiska i zobaczyć, czy coś przy tym wypłynie?

– Tak, proszę pana.

– Brawo, Glenn – powiedział Grace. – A więc mamy wyludzacza, Ricky’ego Moore’a, który, jak sądzimy, mógł nakręcić to włamanie. Był torturowany przed upływem dwudziestu czterech godzin od znalezienia Aileen McWhirter. Następnie syn Gavina Daly’ego jedzie do Marbelli „na golfa”, chociaż nie ma dowodów na to, że kiedykolwiek trzymał w ręku kij golfowy. Eamonn Pollock staje się ewentualnym podejrzanym. A teraz znajdujemy dwa ciała w pobliżu jego łodzi. Jeśli powiążemy Macaria i Barnesa z domem przy Withdean Road albo z Pollockiem, może do czegoś dojdziemy.

Grace spojrział na Aleca Daviesa, jednego z młodszych członków zespołu.

– Alec, masz za zadanie sprawdzić, czy Lucas Daly poleciał do Hiszpanii w pojedynkę, czy z kimś. Zaczynaj od takich linii jak easyJet, powinni umieć ci powiedzieć, czy był sam, czy nie.

– Tak jest, proszę pana.

Teraz Grace zwrócił się do Pottinga.

– Norman, chcę, żebyś poleciał do Marbelli i zobaczył, co da się tam znaleźć.

– Tak jest, szefie. – Potting strzelił oczami w kierunku Belli i znów przeniósł wzrok na Grace’a. – Mam kogoś z sobą zabrać?

– Obawiam się, że przy obecnym budżecie to niemożliwe.

– Nie zapomnij wiaderka i łopatk, Norman – wtrącił Guy Batchelor. – Podobno są tam ładne plaże.

– Jak byłem ostatnio w Hiszpanii, to dostałem sraczki – odparował Potting. – Po nieświeżej paelli.

Wyciszony telefon Grace’a zawibrował. Już miał odrzucić połączenie, ale zmienił zdanie.

– Roy Grace – odezwał się cicho.

Dwie minuty później się rozłączył, po raz pierwszy przy tej sprawie czując wiatr w żaglach. Spojrział na Pottinga.

– Masz ze sobą swoją Biblię, Norman?

Wśród trzydziestu pięciu zgromadzonych policjantów i pracowników cywilnych rozległy się chichoty.

– Musiałem ją chyba zostawić w swojej ławce kościelnej, szefie – odparł Potting z szerokim uśmiechem.

Biblie były potrzebne, kiedy policjant prosił sędziego pokoju o nakaz rewizji.

– Na szczęście mam jedną w gabinecie – powiedział Grace. – Myślę, że dobrze będzie załatwić nakaz, na wypadek gdyby nasz przyjaciel był nieobecny, gdy przyjdziemy zrobić mu kipisz.

– Komu, szefie? – spytał Guy Batchelor.

Roy Grace się uśmiechnął.

– Dzwonili właśnie z daktyloskopii. Statuetka z brązu, znaleziona w domu Lestera Storcka, wśród mnóstwa innych skradzionych rzeczy, została rozpoznana przez Gavina Daly’ego jako przedmiot należący do jego siostry.

– I mamy wynik?

Grace wyszczerzył zęby w uśmiechu.

O dwudziestej drugiej trzydzieści pięć Roy Grace miał wszystko przygotowane. Norman Potting złożył pod przysięgą oświadczenie przed sędzią pokoju, niejaką Juliet Smith, i otrzymał podpisany przez nią nakaz rewizji. Roy Grace, który chciał w niej uczestniczyć, zgromadził grupę oficerów policji z miejscowego zespołu wspomagania. Jeden z nich niósł „wielki żółty klucz”, jak nazywano taran, a drugi trzymał taran hydrauliczny do wypchnięcia futryny. Towarzyszyła im Lorna Dennison-Wilkins, policyjny doradca do spraw przeszukań, ze swoim specjalistycznym zespołem.

Wysiedli ze swoich samochodów koło przystani jachtów w Brighton, przed stromą skarpą białego kredowego klifu. Od strony kanału La Manche wiał silny wiatr. Takielunek na łodziach klekotał i pobrzękiwał, rozlegało się miarowe skrzypienie cum i piskliwy odgłos, jaki wydawały ocierające się o odbijacze kadłuby zacumowanych w pobliżu ciemnych, pustych jachtów. Przed nimi znajdował się nowoczesny, niski blok mieszkalny.

– Lokal numer trzysta dwadzieścia cztery, szefie? – upewnił się sierżant dowodzący miejscowym zespołem wspomagania.

– Tak – powiedział Grace i spojrzał jeszcze na sierżanta Pottinga, czekając na jego potwierdzenie.

Potting zerknął do notatnika i potwierdził:

– Trzy-dwa-cztery.

Przed blokiem widniał szereg zatoczek parkingowych. Pod numerem trzysta dwudziestym czwartym Grace zauważył czarny kabriolet porsche. Zapamiętał rejestrację.

Pierwsze zadanie przy nalocie na mieszkanie w bloku polega na tym, by dostać się do budynku niepostrzeżenie. Kiedy planowali taki nalot wcześniej, zwykle mogli otrzymać klucz albo kod do domofonu od dozorczy, ale tego wieczoru nie było na to czasu. Grace

wysłał trzy osoby z zespołu, by zabezpieczyły wyjścia ewakuacyjne oraz tylne wyjście z budynku.

Norman Potting nacisnął kilka guzików domofonu i czekał. Po chwili spróbował z kolejnymi dwoma mieszkaniami.

Młody, wesoły kobiecy głos odpowiedział na dzwonek w jednym z nich.

- Halo?
- Przesyłka FedEx – powiedział Potting.
- FedEx?
- Lokal dwieście dwadzieścia jeden?
- Tak, to ja!
- Mam przesyłkę FedExu.
- Z Amazona?
- Tak.

Rozległo się głośne kliknięcie. Pchnął drzwi i znaleźli się w środku.

– Czy na paczce jest nazwisko? – spytała kobieta. Ale teraz już się nie liczyła.

Pozostali policjanci z zespołu przemierzyli szybko korytarz i rezygnując z windy, ruszyli ku schodom. Zebrali się wszyscy przed drzwiami mieszkania na trzecim piętrze. Unosił się tu lekki zapach curry. Wszystkie spojrzenia powędrowały w stronę Roya Grace’a.

Grace zdawał sobie sprawę, że tylko on i Potting nie mają na sobie kamizelek kuloodpornych czy choćby przeciwuderzeniowych, więc zatrzymał Pottinga z tyłu.

- Ruszać – rozkazał.

Jeden z policjantów zadzwonił do drzwi. I chwilę odczekał. Po trzydziestu sekundach zadzwonił ponownie.

Poczekali jeszcze parę chwil, po czym zawołali jednym głosem: „POLICJA! TU POLICJA!”. Rozstąpili się na boki, kiedy jeden z nich wyważał drzwi. Następnie wszyscy – zgodnie z taktyką: zaszokować i przerazić – krzycząc jak najgłośniej: „POLICJA”, wpadli do mieszkania. Grace i Potting zabezpieczali tyły.

Mieszkanie było eleganckie, urządzone minimalistycznie i nowocześnie, z wielkim oknem panoramicznym wychodzącym na ciemną przystań z rzędem słabo oświetlonych jachtów.

Chwilę później rozległ się krzyk policjanta z miejscowego zespołu wspomagania.

– Szefie, tutaj!

Grace pobiegł w tamtą stronę, a za nim Norman Potting. Przecięli otwarty salon i jadalnię i wpadli do sypialni. Tu stanęli jak wryci.

W przyćmionym świetle ujrzeli wielkie łóżko z baldachimem, które wypełniało prawie cały pokój. Środek łoża zajmował akwizytor Gareth Dupont. Leżał na plecach, a jego przeguby i kostki nóg były przywiązane jedwabnymi sznurami do słupków. I miał wzwód, który, według wszelkich standardów, Grace uznał za imponujący. Z głośnika płynął chropawy, zmysłowy kobiecy głos śpiewający po włosku.

Obok Duponta stała, dzierżąc szpicrutę z czerwonym piórkiem na końcu, kobieta w złowieszczej czarnej masce weneckiej, która poza tym miała na sobie jedynie lśniące buty do połowy ud. Grace stwierdził, że ma ponętne ciało, choć już nie pierwszej młodości. Zauważył sińce pod prawym obojczykiem.

Policjantka podała jej szlafrok.

– Zaspokaja twoje fantazje, co? – zwrócił się Potting do Garetha Duponta.

– To wcale nie jest śmieszne – odparł ten. – Ona nie ma z tym nic wspólnego.

Grace z rosnącym niedowierzaniem patrzył na sińce. Znał je, ale wolałby, żeby było inaczej. Z trudem skupił uwagę na podejrzanym.

– Garecie Ricardo Dupont – powiedział – na podstawie zdobytych dowodów aresztuję pana jako podejrzanego o włamanie i o zabicie pani Aileen McWhirter. Nie musi pan nic mówić. Ale pańskiej obronie może zaszkodzić, jeżeli nie wspomni pan w trakcie przesłuchania o czymś, co później wyjdzie na jaw w sądzie. A wszystko, co pan powie, może być użyte jako dowód. Czy to jasne?

– Pan to naprawdę potrafi wybrać odpowiedni moment.

– To się nazywa „dostać za swoje”! – rzucił Norman Potting do Duponta. A potem, nie mogąc się powstrzymać, spojrzął wymownie na szybko kurczący się członek mężczyzny i dodał: – A w twoim wypadku „raczej stracić”.

Grace popatrzył na kobietę w masce. Miał nadzieję, że nie zdejmie jej z twarzy, by jeszcze przez chwilę zachować anonimowość i godność. Tu nie chodziło o nią.

Jednak Sarah Courteney zdjęła maskę.

W swojej nowej siedzibie Amis Smallbone siedział po ciemku przy oknie na piętrze, gdzie urządził sobie stanowisko obserwacyjne, i czekał na powrót Roya Grace'a do domu. Było wpół do pierwszej w nocy.

Smallbone wynajął mieszkanie w pełni umeblowane. Wystrój był nowoczesny, zupełnie nie w jego guście, ale i tak o wiele lepszy niż w tej norze, którą właśnie opuścił.

Nazajutrz oczekiwał dostawy dwóch urządzeń elektronicznych. Jednym z nich było nowoczesne zakodowane radio policyjne, które nabył od nieuczciwego technika z policyjnego wydziału komunikacji. Drugim, zakupione dzięki znajomkowi Henry'ego Tilneya, urządzenie skanujące, które potrafiło przechwycić każde połączenie telefoniczne, stacjonarne bądź komórkowe, w promieniu dwustu metrów oraz przeczytać każdy mejl i esemes.

Nie mógł się doczekać, kiedy będzie śledzić na bieżąco wszystkie ruchy swoich sąsiadów. Ale szczególnie nie mógł doczekać się chwili, gdy nadinspektor odkryje, kto jest jego nowym sąsiadem. Po tylu latach prześladowania ze strony Grace'a myśl o tym, że teraz to on będzie prześladował nadinspektora, była rzeczywiście rozkoszna.

Ale nie aż tak rozkoszna jak wszystkie możliwości zniszczenia życia Grace'a, jakie przelatywały mu przez głowę. Jakby przejmując jego myśli przez ścianę, dziecko uderzyło w płacz. Dziecko Grace'a.

Nalał sobie kolejną dużą whisky i zapalił kolejnego papierosa. Nagle zeszywniał.

Ktoś wchodził przez furtkę: mężczyzna w garniturze i krawacie, niosący wypchaną teczkę.

– Cześć, Noah – wymówił bezgłośnie Smallbone. – Tatuś wrócił!

Gavin Daly nalał sobie kolejną dużą porcję whisky Middleton i znów przypalił cygaro. Minęło właśnie wpół do pierwszej, ale on wcale nie był śpiący i wręcz gotował się ze złości. Wieści, jakie otrzymał wcześniej z Nowego Jorku, od handlarza żeglarskich czasomierzy Juliusa Rosenblauma, rozjuszyły go. Był człowiekiem z misją. Rozsadzała go chęć działania.

Na biurku przed nim stał wysoki na dziewięćdziesiąt centymetrów bijący zegar kominkowy. Obok leżał specjalistyczny komplet narzędzi zegarmistrzowskich, każde z nich w osobnej aksamitnej kieszonce. Na blacie był również rewolwer Colt .32 z sześcioma nabojami w bębenu, ten sam, który wręczono mu przed laty na pirsie numer pięćdziesiąt cztery. Rewolwer był ciężki i zimny, pachniał smarem do broni, którym Gavin z uczuciem czyścił go co roku, w rocznicę zniknięcia ojca.

Wewnątrz pięknie intarsjowanej mahoniowej skrzynki zegara znajdował się okrągły mosiężny gong. Był pusty w środku, składał się z dwóch wypukłych tarcz skręconych ze sobą. To była powolna i misterna praca, ale wreszcie ostrożnie wyjął gong, położył go i zaczął odkręcać śruby. Nie były ruszane od stu pięćdziesięciu lat, kiedy wyprodukowano ten zegar, więc uwolnienie ich zajęło mu sporo czasu. Gdy skończył, był spocony ze zmęczenia. Odłożył tarcze, po czym wziął rewolwer i włożył go do jednej z nich. Pasował jak ulał.

Udał się do kuchni, rad z tego, że Betty jest na górze w swoim pokoju i pewnie śpi, wziął parę ściereczek jednorazowych i wrócił do gabinetu.

Zawinął rewolwer w ściereczki, owinął je taśmą klejącą i ułożył paczkę w zagłębieniu jednej z tarcz gongu. Nakrył zawiniątko drugą

tarczą, po czym uniósł gong i nim potrząsnął. Ku jego ogromnemu zadowoleniu nic nie było słycać.

Ostrożnie umieścił gong w zegarze i na powrót złożył cały mechanizm bicia. Na wypadek gdyby ktoś chciał dokładniej obejrzeć zegar, wszystko musiało doskonale działać.

Skończył tuż przed trzecią nad ranem. Ale nadal nie czuł znużenia.

Nadal płonął.

Ogień, który został rozpalony w lutową noc dwudziestego drugiego roku, teraz, we wrześniowy wczesny poranek, dziewięćdziesiąt lat później, płonął nawet jeszcze intensywniej.

Zgasił niedopałek cygara w popielniczce i znów spojrział na stronę z „Daily News”. Na cztery nazwiska wypisane na marginesie.

A szczególnie na jedno.

Pollock.

Mick Pollock.

Proteza Pollock.

Potem popatrzył na listę nazwisk nagryzmołonych jego drżącym charakterem pisma w notesie leżącym na biurku. Nazwiska, które podał mu genealog Martin Diplock.

Przypadek? Wizytówki Boga?

A może martwy człowiek, którego czas nadszedł?

O czwartej nad ranem Noah zaczął płakać, domagając się kolejnego karmienia. Kompletnie wyczerpany Grace wygramolił się z łóżka i poszedł za Cleo do pokoju małego, gdzie zapaliła światło.

– Wracaj do łóżka, kochanie – powiedziała, wyjmując Noaha z łóżeczka.

– Posiedzę z tobą.

Tak naprawdę wcale nie był śpiący. Nadal nie mógł uwierzyć w to, że śliczna Sarah Courteney wdała się w romans z tym gnojkiem Garethem Dupontem. Ze względu na nią miał szczerą nadzieję, że nigdy nie dowie się o tym jej mąż, ten zbir Lucas.

Cleo zaniósła Noaha do sypialni, usiadła na brzegu łóżka i opuściła koszulę, by odsłonić prawą pierś. Roy patrzył jak zahipnotyzowany. To maleństwo było ich synem. Jego synem. Pewnego dnia będzie z nim grał w piłkę nożną. W krykieta. Pływał. Może jeździł na rowerze. Ta krucha ludzka istotka ssąca pierś Cleo. To oni stworzyli tę małą osobę. Sprowadzili ją na ten świat. Będą odpowiedzialni za nią już zawsze.

Cleo miała lekką wysypkę nad pierś. Włosy rozsypały jej się wokół twarzy, kiedy patrzyła na syna, a w jej wzroku była tak głęboka miłość, że Grace poczuł, jak oczy zachodzą mu łzami. Cienkie, zmierzwiłone włoski Noaha opadały mu na czoło w taki sposób, że Grace'owi przypomniła się postać Billa Cuttinga, którą w filmie *Gangi Nowego Jorku* grał Daniel Day-Lewis.

W trakcie swojej kariery miał do czynienia z kilkoma potworami. Jednak nie można zasufladkować wszystkich morderców do jednej kategorii. Niektórzy z nich byli nieszczęsnymi ludźmi, którzy zabili w afekcie, z zazdrości, i przez resztę życia żalowali tej chwili szaleństwa. Niektórzy byli zachłannymi

draniami bez sumienia, którzy zabiliby za worek fasoli. Ale zdarzali się też drapieżcy, którzy zaspokajali żądę mordy.

Był jeden wspólny mianownik większości ludzi, których przymknął. Pochodzili z rozbitych rodzin.

Miał nadzieję, że Noaha nigdy nie będzie to dotyczyło. Kilka dni temu Cleo była na Roya zła, że pracował do późna. Patrząc na kobietę i dziecko, których kochał, wiedział, że gdyby miał w tej chwili dokonać wyboru pomiędzy karierą a byciem dobrym ojcem dla swego syna, to choć uwielbiał pracę w policji, rzuciłby ją choćby jutro.

Nagle, oczami wyobraźni, ujrzał znaną mu ze zdjęcia twarz Aileen McWhirter – niczym ducha.

Potem przypomniał sobie, jak żona Lucasa Daly'ego, prezenterka Sarah Courteney, o niezwykle seksownym ciele, zdjęła maskę w sypialni Garetha Duponta. A więc pieprzyła się z nim? Z facetem, który obrabował i zamordował ciotkę jej męża?

O co w tym wszystkim, u diabła, chodzi?

Przez głowę przemykały mu różne scenariusze. Czyżby Gareth Dupont namierzył ją jako mimowolną pomocnicę? Może po to, by zdobyć informacje o trybie życia starszej pani? Cofnął się myślami do wizyty, którą złożył Courteney w jej domu przy Shirley Drive, wraz z sierżantem Batchelorem. Powiedziała mu wtedy, że była blisko z Aileen McWhirter. Wydawała się też szczerze zmartwiona jej śmiercią. Krokodyle łzy?

Nie sądził. Mąż się nad nią znęcał, więc była łatwym celem. Czyżby Gareth Dupont to wykorzystał? Grace uznał, że to najbardziej prawdopodobny scenariusz. Zadzwoił do niej, chcąc umówić się na ponowną rozmowę – nie w obecności męża – ale oznajmiła, że przez dwa dni będzie poza miastem, bo pracuje nad pilotem nowego programu telewizyjnego.

– Chyba mamy nowych sąsiadów – powiedziała Cleo.

– Tak?

– W tym domu obok, który był do wynajęcia.

– Właściciele są w Dubaju, prawda?

– Tak, chyba na dwuletnim kontrakcie. Zniknęła tablica z napisem: „Do wynajęcia”, a wieczorem widziałam w oknach światło.

– Nie spotkałaś ich?

– Nie, i na razie jest tam bardzo cicho.

– Może zaprosimy ich kiedyś na drinka?

Wzruszyła ramionami.

– Sądzę, że to byłby miły gest. Kiedyś, jak będziesz w domu –
dodała znacząco.

Skinął głową.

– Kładź się, kochanie – powiedziała. – Widać, że jesteś
wykończony.

– Tak sobie myślę... – Uśmiechnął się.

– Co?

– Jaki szczęściarz z tego Noaha, że ma taką cudowną matkę.

– Tata też nie jest zły.

– Czasami.

– Tak. – Zmarszczyła figlarnie nos i uśmiechnęła się. – Czasami.

Noahowi się odbiło.

Grace wrócił do łóżka, ale usiadł w nim, wziął książkę, którą
właśnie czytał, i odnalazł miejsce, gdzie skończył. Była to jedna
z książek o historii wczesnych gangów nowojorskich, którą kupił
w City Books.

W połowie pierwszej strony kolejnego rozdziału zobaczył pewne
nazwisko i zamarł.

Tego ranka Gavin Daly czuł swoje lata. Nie kładł się aż do piątej, kiedy zaczął wydzwaniać do swoich dawnych znajomych w Ameryce, najpierw w Nowym Jorku, potem, gdy zrobiło się później, przeczucił się na tych w Denver, Kolorado, a w końcu zatelefonował do jednego w Los Angeles. O jedenastej uznał, że już jest gotów na swój zwykły kieliszek wina i pierwsze tego dnia cygaro. Wtedy usłyszał dzwonek do drzwi.

Kilka minut później do jego gabinetu zapukała gosposia, po czym weszła ze słowami:

– Ktoś z policji prosi o rozmowę, panie Daly.

Skinął głową, czuł, jak oczy pieką go z niewyspania.

– Proszę wprowadzić go tutaj.

Po paru chwilach wszedł Roy Grace. Daly wstał i wykrzesał z siebie radosny uśmiech.

– Pan nadinspektor, co za miła niespodzianka. Czy ma pan dla mnie jakieś wieści?

– Chciałbym z panem porozmawiać, panie Daly.

Poprowadził Grace'a do jednej z pikowanych czerwonych kanap chesterfield.

– Właśnie miałem się napić wina. Czy lubi pan białego burgunda?

– Owszem, ale jestem na służbie, proszę pana. Natomiast chętnie napiłbym się kawy.

Nadinspektor wyglądał i brzmiał, jakby był równie zmęczony jak on sam. Daly polecił Betty przynieść kawę i wino, po czym usiadł na swoim fotelu i obrócił się w nim, by być twarzą do gościa.

– Czy ma pan dla mnie jakieś wieści?

– Ostatniej nocy aresztowaliśmy pewnego mężczyznę podejrzanego o udział we włamaniu do domu pana siostry.

– Niezmiernie cieszy mnie ta wiadomość. Mogę wiedzieć, jak on się nazywa?

– Czy pan sam ma na oku jakichś podejrzanych?

– Nie, nie mam.

– Oprócz wyłudzacza Ricky’ego Moore’a? – Grace uważnie wpatrywał się w jego oczy.

– Oprócz Moore’a żadnych.

– Będę wdzięczny, jeśli na razie zachowa pan to, co powiem, dla siebie.

– Oczywiście.

– Człowiek, którego aresztowaliśmy, nazywa się Gareth Dupont. Czy to nazwisko coś panu mówi?

Daly pokręcił głową.

– Gareth Dupont? – powtórzył.

Grace wciąż bacznie obserwował wyraz jego twarzy.

– W tej chwili nie mogę zbyt wiele powiedzieć, ale mamy dowód łączący go z miejscem przestępstwa. Nigdy pan nie słyszał, by siostra wymieniała to nazwisko?

– Nie.

– Staram się ustalić, czy miał kiedykolwiek uzasadnione podstawy, by przebywać w jej domu.

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– A czy mógłby pan zdradzić mi więcej szczegółów na temat zegarka, który zabrano z sejfu siostry? To by pomogło nam go odnaleźć. Bardzo trudno zrobić to bez zdjęcia, co pan zapewne rozumie. Znamy markę i mamy opis, ale wiele zegarków może do niego pasować.

– Nie, ten zegarek był wyjątkowy. No dobrze, powiedzmy, że prawie niepowtarzalny. Nie wiem, ile wie pan o zegarkach, nadinspektorze?

Grace zerknął na solidny, ale mocno porysowany wojskowy szwajcarski zegarek, który dała mu Sandy na jego trzydzieste urodziny, w dniu, w którym zniknęła. Skórzany pasek był bardzo zniszczony.

– Obawiam się, że niewiele – przyznał.

– Można z całą pewnością stwierdzić, że firma Patek Philippe & Cie, założona w roku tysiąc osiemset pięćdziesiątym pierwszym,

wynalazła zegarek kieszonkowy, który następnie ewoluował w zegarek na rękę, jaki znamy do dziś. Firma wymyśliła automatyczne nakręcanie, wieczny kalendarz, wskazówkę sekundnika, chronograf, repetier minutowy. W rezultacie zabytkowe zegarki firmy Patek Philippe osiągają niezwykle wysoką wartość. Rekordowa cena wynosiła jedenaście milionów trzysta tysięcy dolarów. Padła na aukcji kilka lat temu, za wyjątkowy egzemplarz, znany jako Patek Philippe Henry Graves Supercomplication.

– A więc, czy może być wiele zegarków identycznych z tym skradzionym z domu pana siostry?

– Szczerze mówiąc, wciąż jest dla mnie tajemnicą, skąd w ogóle mój ojciec miał taki zegarek. Był skromnym robotnikiem portowym. Owszem, należał do gangu, ale ten gang istniał głównie po to, by bronić praw Irlandczyków na nabrzeżu Manhattanu i Brooklynu. Nawet wówczas zegarek musiał mieć wielką wartość. Jednak proszę pamiętać, że w niektórych dzielnicach Nowego Jorku panowało w tamtych czasach bezprawie. Wolę myśleć, że ojciec mógł wygrać zegarek w pokera albo dostać go tytułem rekompensaty za jakiś dług. Ale wiem z opowieści, że był twardym człowiekiem, bo takim należało wtedy być, aby przetrwać. Dlatego całkiem możliwe, że wszedł w posiadanie tego zegarka w inny sposób.

Obaj mężczyźni uśmiechnęli się do siebie, w milczeniu przyjmując tę insynuację.

– A teraz pana pytanie o identyczne zegarki. Wiele lat temu, kiedy zdałem sobie sprawę z wartości tego zegarka, próbowałem odkryć jego pochodzenie. Skontaktowałem się z firmą Patek Philippe w Genewie i podałem numer seryjny, ale powiedziano mi, że taki numer w ogóle nie figuruje w ich rejestrze.

Grace zmarszczył brwi.

– Czy to oznacza, że zegarek jest podróbką?

– Tak myślałem na początku. Ale potem dowiedziałem się o powszechnej w owych czasach praktyce. Otóż wtedy wszystkie zegarki były robione na zamówienie konkretnych osób. Wiele miesięcy pracy wkładano w jeden zegarek kieszonkowy. Jednak najzdolniejsi terminatorzy robili sobie duplikaty, oczywiście potajemnie. Podejrzewam, że tak się sprawy mają w wypadku

zegarka ojca. W przemyśle odzieżowym, kiedy krawcy szyją sobie duplikaty ubrań z resztek materiałów, to się chyba nazywa „kapusta”.

– Niezła kapusta! – powiedział z uśmiechem Grace. – A czy to nie pomniejsza wartości zegarka?

– Ależ skąd – odparł Gavin Daly. – To ważny przedmiot. Ciekawostka historyczna.

– Nigdy pan go nie sfotografował?

– Owszem, zrobiłem zdjęcia. Pewnie gdzieś je mam, chociaż mogły się zawieruszyć albo zostać wyrzucone. Szukałem ich wszędzie, ale na razie bez skutku. A zdjęcie, które miała Aileen, oczywiście zniknęło.

Zmieniając nagle temat, Grace spytał:

– A jak udał się pańskiemu synowi golfowy weekend w Marbelli?

– Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia. Lucas i ja nie jesteśmy ze sobą tak blisko.

Grace pokiwał głową i przez kilka chwil siedział w milczeniu.

– Czy zna pan Anthony’ego Macaria albo Kennetha Barnes’a?

– Nie, nie znam – odpowiedział Daly zbyt szybko, jakby się spodziewał tego pytania.

I poruszył oczami w sposób, który wskazał Grace’owi, że Daly kłamie. Kolejną taką wskazówką było to, że podrapał się po nosie.

– Wczoraj rano w zatoce Puerto Banus znaleziono ich ciała, a w pobliżu ponton wywrócony do góry dnem. Zazwyczaj potrzeba dwóch do trzech dni, zanim ciało wypłynie na powierzchnię po wrzuceniu do ciepłego morza. Pański syn poleciał do Marbelli w piątek. Zawsze zwracam uwagę na zbiegi okoliczności.

Grace przerwał, bo weszła gospoia z tacą, na której stała otwarta butelka wina, jeden kieliszek, porcelanowa filiżanka i spodeczek, mały imbryk do kawy i dzbanuszek z mlekiem. Kiedy rozstawiała wszystko, Grace skorzystał z okazji, by rozejrzeć się po pokoju i może dowiedzieć się czegoś o tym starym człowieku.

Ogarnął spojrzeniem zapchane książkami półki, popiersia, niektóre na półkach, inne na cokołach, piękny ogród za oknem. Potem zauważył misternie intarsjowany mahoniowy zegar o tarczy z rzymskimi cyframi, stojący na biurku.

Gospoia wyszła, a Grace z przyjemnością upił łyk kawy.

Daly przeszywał go wzrokiem, jego nastrój wyczuwalnie się zmienił, balansując na granicy otwartej wrogości.

– Co właściwie pan insynuuje, nadinspektorze?

– Dobra kawa, dziękuję. – Odstawił filiżankę z cienkiej porcelany na spodeczek. Potem wskazał zegar. – Bardzo piękny.

Daly spojrział na zegar, po czym znów przeniósł wzrok na Grace'a. Miał dziwny wyraz twarzy. Jakby nagle się zmieszał.

– To Ingraham. Ręcznie wykonany w roku tysiąc osiemset pięćdziesiątym szóstym. Wspaniały egzemplarz. Wysyłam go do klienta w Nowym Jorku.

– A więc nadal pan działa w branży?

– Ależ tak. Trzeba zachować aktywność, to sekret mojej długowieczności. Robić wciąż to, co się kocha. Jest pan młodym człowiekiem, ale kiedyś mnie pan zrozumie. – Gavin Daly pogłaskał zegar, wyraźnie ożywiony. – Ten zegar wykonał prawdziwy rzemieślnik. Dziś nikt nie potrafiłby zrobić czegoś takiego. – Nagle jego łagodny nastrój znów przeszedł w złość. – Czy jednak byłby pan łaskaw wyjaśnić, co właściwie insynuuje?

– No cóż, weźmy Ricky'ego Moore'a. Pana siostra była okrutnie torturowana, przypalana papierosami i rozgrzaną lokówką. W noc po jej śmierci Moore został porwany i był torturowany rozgrzanym narzędziem. – Grace uniósł ręce i uśmiechnął się rozbrajająco. – Może to tylko zbieg okoliczności, nic więcej. Potem, w następny piątek, pański syn udał się do Marbelli, a parę dni później znaleziono dwa ciała. Według naszych kolegów z hiszpańskiej policji śmierć nastąpiła między piątkową nocą a jakąś sobotnią porą. – Grace podniósł filiżankę i znów wypił łyk kawy.

– A co, do diabła, ma to wspólnego z Lucasem?

– Miałem nadzieję, że pan potrafi mi to wyjaśnić.

– Mówiłem już, że rzadko ze sobą rozmawiamy.

Grace odstawił filiżankę i wskazał popiersie T.E. Lawrence'a. Rozpoznał go, bo Cleo studiowała jego teksty, by zaliczyć filozofię na uniwersytecie otwartym, i zachęciła Roya, by parę z nich przeczytał.

– Przypuszczam, że on stoi tu nie bez powodu?

– Wszyscy oni są tutaj z tego samego powodu. Byli wielkimi Irlandczykami, których dzieła podziwiam.

– W takim razie pamięta pan pewnie te słowa Lawrence’a: „Materiał przydatny do publikacji jest jak cynowa puszka przywiązana do ogona”.

Daly zmarszczył brwi.

– Właściwie nie pamiętam tego. Co to, u diabła, znaczy?

– To znaczy, że słyszę brzęk pańskiego syna za każdym razem, gdy pan się ruszy, panie Daly.

Daly wstał, z twarzą pociemniałą od gniewu. Wskazał drzwi.

– Wynocha, panie Grace... nadinspektorze czy jaki tam pan ma cholerny stopień. Wynocha! Jeśli zechce pan jeszcze kiedyś porozmawiać ze mną albo z moim synem, dam panu numer mojego adwokata.

– Pozwoli pan, że dopiję kawę?

– Owszem, pozwolę. Tylko proszę się wynieść z mojego domu i więcej tu nie przychodzić bez nakazu.

Gospoia odprowadziła Roya Grace’a do frontowych drzwi. Podziękował jej za kawę i z uśmiechem na twarzy ruszył po żwirze do swego samochodu. Uzyskał o wiele więcej, niż się spodziewał.

– Są z dziewiętnastego wieku – powiedział Lucas Daly do dwóch cichych, uprzejmych chińskich handlowców w garniturach, wskazując na dwie chińskie wazy.

Tym Chińczykom już wcześniej sprzedawał różne rzeczy. W obecnych czasach jedynie Chińczycy i Japończycy wydawali jeszcze sporo na antyki.

– Kantońskie. – Wskazał orientalne zdobienia. – Doprawdy wyjątkowe! Nabyliśmy je w domu księcia Sussex... był ostatnio zmuszony sprzedać część pamiątek rodzinnych, żeby uzyskać fundusze na utrzymanie swej okazałej rezydencji. Dowiedzieliśmy się od niego, że te wazy zostały zakupione w Kantonie przez jego prapradziadka, który pomagał Johnowi Nashowi przy zakupie wielu obiektów do Royal Pavilion. To doprawdy niespotykane przedmioty, chyba się panowie ze mną zgodzą.

Nie było żadnego księcia Sussex. Kupił je od lokalnego pasera, Lestera Storka, bez zadawania pytań, za sto funtów.

– Ile? – spytał jeden z Chińczyków.

– Dwa tysięcy pięćset za obie. Bardzo rzadko znajduje się dwie w tak doskonałym stanie...

– Lucas? – wtrącił się jego asystent, Dennis Cooper, który miał na sobie jeszcze ohydniejszą hawajską koszulę niż zazwyczaj.

– Jestem zajęty.

– Dzwoni twój ojciec. Mówi, że to pilne!

– Powiedz mu, że jestem z ważnymi klientami.

Kiedy się odwrócił, Chińczycy zmierzali już w kierunku drzwi.

– Hej! – zawołał. – Złóżcie ofertę!

– Nie podoba mi się pana twarz – odparł ten, z którym rozmawiał.

– Pierdolcie się! – krzyknął, gdy drzwi zamknęły się za nimi.

Dennis Cooper podjechał na swoim wózku i podał Lucasowi telefon. Ten wyrwał mu go z wściekłością.

– Jestem zajęty, tato.

– Ty ciulu! – warknął Gavin Daly. – Ty cholerny, skończony idioto. Miałeś wyciągnąć od nich informacje, a nie ich zabić.

Zniżając głos i oddalając się od asystenta, Lucas Daly spytał:

– Co masz na myśli?

– Kazałem ci pojechać do Marbelli, żebyś się dowiedział, gdzie jest zegarek. Nie kazałem ci nikogo zabijać. Coś ty sobie, u diabła, ubzdurał? Dlaczego ich zabiłeś? Chcę odzyskać zegarek. Nie chcę mieć krwi na rękach.

– Nikogo nie zabiłem.

– Nie? Więc jak to się stało, że ciała Tony’ego Macaria i Kena Barnes’a znaleziono pływające w porcie Puerto Banus?

– Nie mam pojęcia.

– Nie masz pojęcia? Doprawdy? Ty i ten twój albański zbir, Boris Karloff, pojechaliście się z nimi spotkać, tak?

Lucas Daly starał się myśleć szybko, reagować błyskawicznie. Jednak nie należało to do jego przyrodzonych talentów.

– No tak... pogadaliśmy z nimi. Byli trochę zalani... wrócili z klubu. Czuli się dobrze, kiedy ich zostawiliśmy. Jak ci mówiłem, powiedzieli, że Eamonn Pollock wyjechał do Nowego Jorku. Przeszukaliśmy łódź i znaleźliśmy sejf, ale nic w nim nie było. Potem opuściliśmy jacht.

– Właśnie odwiedził mnie oficer policji, który zajmuje się dochodzeniem. Dał cholernie jasno do zrozumienia, że jego zdaniem jestem zamieszany w ich zabójstwo.

– Byli pijani, jak ich zostawiliśmy, tato. Może wypadli za burtę.

– Czy patrzyłeś na nocne niebo?

– Na niebo? Co masz na myśli?

– Czy patrzyłeś na cholerne niebo, kiedy tam byłeś? Po tym, jak zostawiliście ich z Borisem?

– On nie jest Boris, nazywa się Augustine Krasniki.

– Więc co zobaczyłeś, gdy spojrzaleś na nocne niebo?

– Nie sądzę, żebym w ogóle na nie patrzył, tato.

– A szkoda. Bo wiesz, co byś ujrzał?

– Nie, co?

- Latające świnię.
- No nie wiem, noc była pochmurna.
- Bardzo śmieszne. Posłuchaj. Może będę musiał wkrótce polecieć do Nowego Jorku.
- Do Nowego Jorku? Dlaczego?
- Bo myślę, że zegarek może tam być, a jeśli tak, to wiem, kto go ma.

Miłość do Brighton Grace miał we krwi. Na jego weselu drużba Dick Pope, lubiący czarny humor, żartował, że gdyby Roy miał kiedyś pecha zostać obiektem sekcji zwłok, patolog znalazłby słowo „Brighton” powtarzające się na każdej kosteczce jego ciała.

Przez ponad dziesięć lat miejska drużyna futbolowa, Albion, znana wśród miejscowych jako Mewy, nie miała odpowiedniej siedziby i musiała korzystać ze stadionu lekkoatletycznego. Jednak w ostatnim roku, dzięki szczodrości indywidualnego ofiarodawcy, Tony’ego Blooma, oraz firmy American Express, powstał Amex, który, jak przyznawała większość, był jednym z piękniejszych stadionów piłkarskich w Europie.

W środy zwykle nie odbywały się mecze, ale to był akurat ważny mecz mistrzostw. Kiedy Roy Grace, tkwiąc w korku na A27, patrzył w prawo, na oszalamiającą stromiznę tej budowli, czuł przypływ dumy. Stadion służył miastu, a poza tym rozbudził na nowo zainteresowanie piłką u Grace’a oraz u tysięcy innych mieszkańców Brighton i Hove.

Dziesięć minut później zaparkował przy krawężniku, pomiędzy dwoma oznakowanymi samochodami policyjnymi. Darren Balkham, oficer łącznikowy do spraw futbolu, w kamizelce odblaskowej i czapce od munduru, odprowadził Grace’a do pokoju obserwacyjnego na Trybunie Północnej.

Był on umieszczony wysoko, bezpośrednio za słupkami bramki, więc roztaczał się z niego świetny widok na jasno oświetlone boisko i trybuny. Mecz trwał, a po szybkim zerknięciu na tablicę wyników Grace dowiedział się, że na razie jest zero-zero.

Ponad dwadzieścia tysięcy z dwudziestu siedmiu tysięcy obecnych tego dnia kibiców miało abonamenty, a rozlokowanie ludzi w sektorach starannie zaplanowano, by zminimalizować

zagrożenia. Całą jedną sekcję Trybuny Wschodniej przeznaczono dla rodzin. Obok siedzieli kibice znani jako w miarę łagodni. Chuliganów posadzono na Trybunie Północnej, w pobliżu pokoju obserwacyjnego. Kibice przyjezdni zajmowali Trybunę Południową.

Operatorzy kamer przemysłowych, siedzący przed rzędem monitorów, mogli wykonać zbliżenie z każdej z osiemdziesięciu siedmiu kamer rozmieszczonych na stadionie tak precyzyjnie, że można by odczytać czas na zegarku namierzonego rozrabiaki.

Balkham przedstawił Roya Grace'a odpowiedzialnemu za bezpieczeństwo Chrisowi Bakerowi, który miał na sobie elegancki szary garnitur.

– Szuka pan kogoś w tym tłumie... Lucasa Daly'ego?

– Zgadza się – potwierdził Grace.

– Sprawdziłem listę kibiców abonamentowych i nie ma na niej jego nazwiska. Nie wie pan, z kim mógł przyjść?

– Nie. Próbowałem dorwać go wcześniej, a jego żona powiedziała, że wybiera się tutaj.

Baker zaprowadził Grace'a do szeregu monitorów i usadził go obok operatora.

Chociaż monitorowanie potencjalnych zachowań chuligańskich było głównym celem, kamery służyły również policjantom z wydziału kryminalnego do obserwacji podejrzanych osób. W szczególności sprawdzano, gdzie i z kim siedzą lokalni przestępcy. Było to cenne źródło informacji.

Z pomocą operatora, powoli przeszukując dwudziestosiedmiotysięczny tłum, po niecałym kwadransie Grace namierzył Lucasa Daly'ego, który siedział w dwunastym rzędzie Trybuny Zachodniej. Był ubrany w skórzaną kurtkę lotniczą z futrzanym kołnierzem, golf i dżinsy, a biało-niebieski szalik Mew miał zarzucony na ramiona. Grace rozpoznał Daly'ego na podstawie zdjęć, które widział w salonie jego domu, gdy rozmawiał z Sarah Courteney. Rozpoznał również mężczyzn siedzących po obu jego stronach. Jeden, Ricky Chateham, miejscowy kombinator, który oficjalnie handlował automatami do sprzedaży napojów i papierosów, był znanym paserem wartościowych przedmiotów, obserwowanym od jakiegoś czasu przez policję. Podejrzewano też, że stoi za dostawami narkotyków do wielu klubów w Sussex

i sąsiednich hrabstwach, ale jak dotąd nie zebrano wystarczających dowodów, by móc go aresztować. Z rejestru Albionu wynikało, że ma abonament na trzy miejsca, które zajmowali. Drugi mężczyzna był adwokatem specjalizującym się w sprawach karnych, cenionym przez miejscowych złoczyńców. Nazywał się Leighton Lloyd. Bardzo mądrze, pomyślał cynicznie Grace. Daly może go wkrótce potrzebować.

Mecz był nijaki, ożywiło go tylko parę żółtych kartek na początku, a kilka minut później napad wściekłości menedżera drużyny, Gusa Poyeta, kiedy piłkarz, który ostro protestował przeciw decyzji sędziego, został usunięty z boiska.

Tłum zaryczał i jak zwykle zaczął wściekle skandować: „Sędzia palant!”.

Jednak Roy Grace nie śledził tego, co się działo na boisku. Nie odrywał oczu od Lucasa Daly’ego. Daly też nie oglądał meczu. Był zajęty ożywioną rozmową z oboma mężczyznami. Grace bardzo żałował, że nie potrafi czytać z ruchu warg.

Dziesięć minut przed ostatnim gwizdkiem opuścił pokój obserwacyjny, skierował się do Trybuny Zachodniej i stanął przy wyjściach. Kibice będą musieli przejść obok niego, wszystko jedno, czy zmierzali na parking, do autobusów czy na stację kolejki.

Kiedy tłum się wysypał, Lucas Daly, z Chatehamem po jednej i adwokatem po drugiej stronie, zatrzymał się niecałe dziesięć metrów od niego, by zapalić papierosa. Grace podszedł, wyciągając legitymację policyjną.

– Lucas Daly? Nadinspektor Grace. Prowadzę śledztwo w sprawie morderstwa pańskiej ciotki. Czy możemy zamienić słówko?

Ricky Chateham, który najwyraźniej rozpoznał Grace’a, rzucił mu niepewne spojrzenie i szybko się oddalił. Adwokat został na miejscu i zerknął pytająco na Daly’ego.

– Widzimy się na parkingu, Leighton – powiedział Daly, odprawiając go. Następnie popatrzył obojętnie na Grace’a, nie okazując ani zdziwienia, ani żadnych innych uczuć. – Tak?

Grace ocenił, że Lucas Daly dobiega pięćdziesiątki. Przyglądał się jego twarzy, szukając podobieństwa do ojca, ale nic takiego nie znalazł. W przeciwieństwie do ojca, którego twarz była naznaczona

charakterem, Lucas Daly miał przystojną, pozbawioną wyrazu gębę brutala, w której było tyle osobowości co w odłączonej od prądu lodówce.

– Jak się panu grało w golfa w ten weekend?

Daly zmarszczył brwi i dopiero po chwili odpowiedział:

– Dobrze.

– Czy pola golfowe wokół Marbelli są ładne?

– A czy golf ma coś wspólnego z moją ciotką, panie... przepraszam, nie zapamiętałem nazwiska.

– Grace. – I odpowiadając na pytanie Daly’ego, odrzekł: – Owszem, chyba ma. – Zauważył jego skrępowanie i rozbiegany wzrok. – Był pan w Marbelli w ostatni weekend?

– I co z tego?

– Golfowy weekend?

– Tak.

– Z kim pan pojechał?

– Sam. Spotkać się z przyjaciółmi, którzy tam mieszkają.

– Ekspaci?

– Bo co?

– Wcale nie pojechał pan sam, prawda?

Daly spojrzał na niego niepewnie i znów zaczął strzelać oczami na wszystkie strony.

– To znaczy?

– Podróżował pan z jakimś Augustine’em Krasnikim... kupił pan w easyJet bilety powrotne dla was obu.

– A, no tak, on. – Oczy wciąż nerwowo mu latały. – To mój asystent.

– Nosi za panem kije golfowe.

– No właśnie.

– Jest pan dobrym golfistą?

– Średnim.

– Jaki ma pan handicap?

Kiedy Daly zaciągał się papierosem, Grace obserwował jego oczy.

– Dwanaście.

Roy Grace kilka lat temu przymierzał się do golfa, ale po paru miesiącach zrezygnował, bo Sandy wciąż narzekała, że tak często jest nieobecny w trakcie swoich bezcennych godzin czasu wolnego.

Wiedział, że handicap dwanaście to imponujący wynik. Można osiągnąć taki poziom tylko wtedy, gdy grywa się regularnie. A jeśli się grywa regularnie, to czasami zdobywa się jakieś trofeum. Które wstawia się do gablotki.

– A tutaj gdzie pan grywa?

– Haywards Heath, przeważnie. Przepraszam, ale co to ma wspólnego z moją ciotką... z moją nieżyjącą ciotką?

– Czy nazwiska Anthony Macario i Kenneth Barnes coś panu mówią?

Daly przymrużył powieki, jakby ktoś dmuchnął mu w oczy dymem.

– Nie, nigdy ich nie słyszałem.

Grace pokiwał głową.

– A więc ani pan, ani pana ojciec nie macie nic wspólnego z tym, że ci dwaj mężczyźni utopili się w porcie Puerto Banus?

Przez chwilę Grace spodziewał się po wściekłym wyrazie twarzy Daly’ego, że ten wymierzy mu cios, i już był gotów się uchylić. Jednak cios nie nastąpił. Natomiast Lucas Daly wskazał kierunek, w którym zmierzali kibice.

– Nigdy o nich nie słyszałem. Czy mogę już iść? Chciałbym zdążyć na parking przed tym tłumem.

– Może pan iść, ale chcę, by coś pan wiedział. Nikt nie jest ponad prawem, panie Daly. Rozumie pan? Bardzo mi przykro z powodu pańskiej ciotki. Żadnego człowieka nie powinno spotkać to, co ją spotkało. Ale musi pan wiedzieć, że nie wolno działać jak samozwańcza straż obywatelska.

Daly znów zaciągnął się papierosem.

– Co właściwie pan insynuuje, panie Grates?

– Grace – poprawił Daly’ego. – Nic nie insynuuje. Ale nie jestem przekonany, czy pojechał pan do Marbelli, żeby grać w golfa, i nie pozwolę, by ludzie brali prawo w swoje ręce.

– Mój ojciec i ja przestrzegamy prawa.

– To dobrze.

– A czy mogę spytać, jak sobie radzicie z szukaniem sprawców zabójstwa mojej ciotki i z odzyskaniem jej własności? Szczególnie chodzi o zegarek, który bardzo wiele znaczy dla mego ojca.

– Pracujemy nad tym – odparł Grace.

– No cóż, mój ojciec i ja również nad tym pracujemy. Na wypadek gdybyście nie dali sobie rady... proszę nie brać tego do siebie. Zobaczymy, kto pierwszy odzyska zegarek, nadinspektorze Grace. Im dłużej jest zaginiony, tym mniejsza na to szansa. Prawda?

– Nikomu nie będzie łatwo sprzedać rzadki zegarek o tak wielkiej wartości, niezależnie od jego pochodzenia – zauważył Grace.

– I to mnie właśnie martwi, nadinspektorze. Może ukradła go jakaś kanalia, która zupełnie nie zna się na zegarkach, i sprzedała za parę funtów paserowi.

– I dlatego pojechał pan do Marbelli, tak? Żeby nie dopuścić do wywiezienia zegarka gdzieś dalej za granicę? Anthony Macario i Kenneth Barnes weszli panu w drogę, więc kazał ich pan utopić. Ciepło?

– Ciepło? Jest pan strażą przednią pieprzonej epoki lodowcowej. Sugeruję, żeby przestał pan tracić publiczne pieniądze na darmowy wstęp na mecze i zajął się łapaniem przestępców.

Był już kwadrans po dwudziestej drugiej, kiedy Roy Grace wydostał się z zapchanego parkingu przy stadionie Amex. Na A27 doszło do wypadku, przez co droga została częściowo zablokowana, więc dojazd do domu Cleo zajął mu kolejne czterdzieści minut.

Wbił kod przy bramie i wszedł na brukowane podwórko. Ciekaw nowych mieszkańców, rzucił okiem na pogrążony w ciemności sąsiedni dom. Wyglądało na to, że wcześniej chodzą spać, i bardzo dobrze. Na takim małym grodzonym osiedlu najgorszym koszmarem byłby ktoś, kto kładzie się późno i puszcza głośno muzykę.

Wszedł do domu, nieświadom obecności mężczyzny skrytego w mroku, za firanką, w oknie na piętrze sąsiedniego domu. Jego papieros żarzył się w popielniczce obok szklanki z whisky, a on z nienawiścią w oczach wpatrywał się w Grace'a.

W domu Cleo panowała cisza, na dole paliło się kilka słabych lampek. Humphrey powitał go w podskokach, więc poklepał i uciszył psa. Potem zdjął buty, przeszedł na palcach przez salon, by przywitać się z Marlonem, i skierował się do kuchni. Cleo zostawiła mu na talerzu dorsza i purée ziemniaczane z fasolką, owinięte w folię i z wypisaną ręcznie instrukcją, jak podgrzać danie w mikrofalówce, zakończoną rzędem krzyżyków, całusów.

Postąpił zgodnie z instrukcją, dał Humphreyowi ciasteczko, nalał sobie kieliszek różowego wina z butelki stojącej w lodówce, dał Humphreyowi drugie ciasteczko, po czym zaniósł tacę z jedzeniem do salonu i usiadł na kanapie, którą pies koniecznie zapragnął z nim dzielić. Obiecał Humphreyowi, że potem zabierze go na spacer, i włączył telewizor, z mocno wyciszonym dźwiękiem, by sprawdzić, czy znajdzie się coś, co miałby ochotę obejrzeć. Nagle zauważył kajdanki.

Leżały po prawej stronie, na skraju niskiego stolika, a pod nimi kartka z napisanymi odręcznie słowami:

Na później... XXXXXXXXXXXX

Uśmiechnął się i przerzucając kanały, dotarł do Sky News, gdzie przeczytał pasek z wiadomościami. Kiedy już zjadł, wziął kolejną książkę o historii gangu White Hand i otworzył indeks, szukając konkretnego nazwiska. Występowało na sześciu stronach. Zaczął czytać, a im dłużej czytał, tym bardziej nabierał przekonania, że ma rację.

Nagle jego uwagę rozproszył Humphrey, który raptownie usiadł i szczechnął.

Grace obejrzał się i zobaczył Cleo stojącą u podnóża schodów. Trzymała kilka jedwabnych sznurów i nie miała na sobie nic, tylko pożądlivy uśmiech na ustach.

– Czemu się uśmiechasz, stary druhu? – spytał Glenn Branson.

Była ósma dwadzieścia pięć rano. Grace uniósł głowę znad biurka, w rękę trzymał zjedzoną do połowy kanapkę z bekonem z baru Trudie's.

– Czytam raport z wczorajszej rozprawy. Proces zapowiada się dobrze dla nas.

Branson obrócił się na stojącym przy jego biurku krześle i usiadł okrakiem, kładąc ręce na oparciu. Wyglądał, jakby właśnie wgrzył się w cytrynę. Podczas aresztowania Carla Vennera Branson został postrzelony, ale na szczęście kula ominęła narządy wewnętrzne.

– Miło to słyszeć. Wściekłbym się, gdyby było inaczej.

– Jak się trzymasz?

– Jestem u kresu wytrzymałości. Ari udało się nastawić dzieci przeciwko mnie. Zyskałem nieoczekiwaną sojuszniczkę w osobie jej siostry, która okazała się antyfanką Ari.

– A co z jej facetem?

– Miał czelność zjawić się po swoje rzeczy i jeszcze mnie obsztorcował, że zmienilem zamki! Powiedziałem, że jak chce odzyskać swoje rzeczy, to niech ich poszuka w okolicznych kontenerach na śmieci. Wyobraź sobie, że dzieciaki chciały się z nim zobaczyć!

– Nic dziwnego, stary. Tęsknią za nim. Pamiętaj, że ich życie zostało wywrócone do góry nogami. Przez ostatni rok czy coś koło tego zastępował im ojca. Musisz stosować metodę małych kroków. Pewnego dnia twoje dzieci zrozumieją, jaki z ciebie porządny gość.

– Tak myślisz?

– Jasne, daj im trzydzieści lat na przystosowanie się... no wiesz... do tego, że zostawiałeś ich płyty CD porzucane na podłodze i regularnie zapominałeś karmić ich złotą rybkę.

– Nie wiem, czemu tak cię lubię – powiedział Branson. – Czasem przypominasz mi tego drania „Popeye” Doyle’a z *Francuskiego łącznika*.

– Czy to ten, co przykuł swoją dziewczynę do łóżka kajdankami?

– W pierwszej scenie. A może to ona jego przykuła.

Grace się uśmiechnął.

– To bardzo sprośny uśmiech.

Grace pokiwał głową, bo wspomnienia zeszłej nocy były wciąż żywe.

– Tak. Bardzo.

– Cleo jest chyba trochę perwersyjna, co?

Grace wzruszył ramionami.

– Jesteś kinomanem. Lubisz Woody’ego Allena, prawda?

– Nie wszystko, ale niektóre filmy tak.

– To pewnie pamiętasz *Wszystko, co chcielibyście wiedzieć o seksie, ale baliście się zapytać?*

Branson się skrzywił. Potem skinął głową.

– Jasne! Ktoś zapytał go, czy seks jest sprośny. A on odpowiedział: „Tylko wtedy, kiedy się go uprawia jak należy!”.

Grace się uśmiechnął.

Branson oparł brodę na splecionych rękach.

– Ari i ja kiedyś robiliśmy to jak należy. Ale to się kończy, na tym polega koszmar. Masz dzieci i po wszystkim. – Podniósł ostrzegawczo palec. – Nie pozwól, by tak się stało... mimo swojego wieku!

– Dzięki za radę! – Grace spojrział na zegarek. – Dobra, za dwie minuty odprawa – przypomniał.

Grace rozpoczął odprawę o ósmej trzydzieści od przedstawienia hipotezy, która nie dawała mu spokoju przez całą noc.

– Dobra, posłuchajcie. Syn Gavina Daly’ego, Lucas, poleciał do Marbelli i jak wynika z listy pasażerów samolotu, towarzyszył mu niejaki Augustine Krasniki. Nasze źródło z Interpolu mówi, że Krasniki w rodzinnej Albanii ma na swym koncie wiele wyroków za napaści. Podczas jednej z nich wyłupił dłutem oczy pewnemu osobnikowi, który uchylał się od zapłacenia długu. Jednak miękkie serce liberalnego europejskiego prawa sprawiło, że musieliśmy wpuścić tutaj tego potwora i dać mu pieniądze oraz zapewnić darmową opiekę medyczną. To samo źródło z Interpolu mówi, że w niedzielę rano znaleziono zwłoki dwóch mężczyzn: Anthony’ego Macaria i Kennetha Barnes’a. – Spojrzał na Annalise Vineer. – Sądzę, że masz o nich jakieś informacje?

Indekserka zajrzała do swoich notatek.

– Tak, proszę pana. Obaj byli zatrudnieni przez Eamonna Pollocka jako załoga jego jachtu *Contented*, który jest na stałe zacumowany w Puerto Banus. Wiemy, że Pollock miał wyrok za posiadanie kradzionych zegarów i zegarków. Macario był wielokrotnie skazany za kwalifikowane włamania i raz, siedemnaście lat temu w Manchesterze, za sprzedaż narkotyków klasy A. Ken Barnes był od dwóch lat na zwolnieniu warunkowym po dziesięcioletnim wyroku za napad z bronią w rękę na oszczędnościową kasę mieszkaniową w Worthing. Wziął zakładniczkę, dwudziestoletnią kobietę, której groził śmiercią. Trudno o sympatyczniejszych facetów, proszę pana.

Rozległy się chichoty.

– Rzeczywiście mała strata – zauważył Norman Potting.

Grace zignorował sierżanta, podziękował Vineer i zerknął w notatki, które jego asystent przygotował na spotkanie.

– Myślę, że Lucas Daly udał się do Marbelli, żeby odzyskać niezwykle wartościowy zegarek marki Patek Philippe należący do jego ojca. Czas śmierci tych dwóch ludzi znalezionych w Puerto Banus pokrywa się z jego wizytą.

Norman Potting podniósł rękę.

– Szefie, skoro pojechali, by spróbować odzyskać zegarek oraz inne rzeczy, po co mieliby zabijać tych dwóch?

– Sam się nad tym zastanawiałem, Normanie – odparł Grace. – Może po to, żeby przeszukać łódź? Mam nadzieję, że kiedy tam dotrzesz, dowiesz się więcej, niż wiemy z Interpolu.

– W takim razie dlaczego tylko nie związali tamtych dwóch? – spytał Guy Batchelor.

– Bo Krasniki to psychol? – zasugerował Potting. – Właśnie słyszeliśmy o jego przeszłości.

Grace'owi przypomniały się sińce, które ujrzał na klatce piersiowej Sarah Courteney, kiedy rozchylił jej się szlafrok, a potem jeszcze w pokoju Duponta.

– Wiemy, że dwa lata temu Daly był aresztowany za napaść na żonę, Sarah Courteney, a następnie zwolniony, bo nie wniosła oskarżenia. To zbir. Możliwe, że posunęli się z Krasnikiem za daleko. – Uniósł plik papierów. – Mam raporty z sekcji zwłok tych dwóch mężczyzn, sporządzone przez koronera z Marbelli. Interesująca lektura. Zgodnie z tym raportem, Macario miał złamane dwie kości w stopie, która była cała sina, więc prawdopodobnie została zmiażdżona. Miał też poważne sińce na karku, a Barnes z przodu szyi. Moim zdaniem nie są to obrażenia, jakie można by odnieść przy wywróceniu się małego gumowego pontonu.

– Jeśli Daly i Krasniki zabili tych dwóch, szefie – odezwał się Guy Batchelor – czy zrobili to dlatego, że otrzymali informacje, których chcieli, czy dlatego, że ich nie otrzymali?

– Tego rodzaju zabójstwa służą zwykle uciszeniu ludzi – odparł Grace.

– W jakim celu? – drążył Batchelor.

To było dobre pytanie. Bekon między zębami bardzo rozpraszał Grace'a, który marzył o wykałacze. Próbował wypchnąć go

językiem, po raz dwudziesty, ciągle bezskutecznie.

– Może po to, by nie powiedzieli swojemu mocodawcy, kto jest na jego tropie. A może, jak ujął to zwięźle Norman, dlatego że Krasniki i Daly są psychologami, a ten drugi stracił nad sobą panowanie z powodu śmierci ciotki.

– Może powinniśmy wezwać starszego Daly’ego na przesłuchanie? – spytał Glenn Branson.

Grace pokręcił głową.

– Myślę, że Daly może nas wyprzedzić. Powinniśmy wziąć pod obserwację jego syna. Mam przeczucie, że doprowadzi nas do zegarka. A jeśli znajdziemy zegarek, przypuszczam, że odkryjemy, kto tak naprawdę za wszystkim stoi.

– Eamonn Pollock? – spytał Branson.

– Uznałbym go za głównego podejrzanego – odpowiedział Roy Grace. – Mamy Garetha Duponta w areszcie i będziemy musieli spróbować nakłonić go do mówienia. W trakcie pierwszych przesłuchań złożył zeznania, a dziś rano wypracowaliśmy strategię dalszych przesłuchań. Jego areszt tymczasowy został przedłużony. Szkoda, że z podejrzanymi o morderstwo nie wolno nam układać się w sprawie wyroku. Sądzę jednak, że strategia przesłuchań może polegać na tym, że zaproponujemy mu inny układ.

– Co masz na myśli? – spytał Potting.

– Zreasumujmy, co wiemy o Lucasie Dalym. To tylko moja hipoteza, jeszcze nic nie zostało potwierdzone. Wyłudzczyk Ricky Moore, którego Lucas Daly obciąża odpowiedzialnością za włamanie do ciotki oraz jej zabicie, kończy na oddziale intensywnej terapii z poważnymi oparzeniami. Lucas Daly leci do Marbelli i oto Macario i Barnes kończą w wodzie. – Spojrzał pytająco na Normana.

– Kumam, szefie.

– Zważywszy na mściwość Lucasa Daly’ego, gdybym posuwał jego żonę, raczej wolałbym zachować to w tajemnicy. Szczególnie nie chciałbym, żeby dowiedział się mężulek. Prawda?

– Tak.

– Podejrzani o morderstwo nie wychodzą za kaucją. Gdybyśmy mogli zapuszkować Duponta w areszcie śledczym i poinformowali go, że zamierzamy powiedzieć Lucasowi Daly’emu o nim i Sarah, myślę, że zacząłby mówić. W więzieniu nie bardzo jest gdzie się

ukryć. Ale musimy pokonać jeden problem. Nie mamy jeszcze wystarczająco dużo materiału, by oskarżyć Duponta, potrzebne nam coś, co dowiedzie jego obecności w tamtym domu. Podczas rozmowy u niego w biurze okłamał nas, kiedy spytaliśmy, jakim jeździ samochodem. Powiedział, że ma golfa GTI. Przed jego blokiem stało zaparkowane czarne porsche. Z tablicy rejestracyjnej wynika, że właścicielem jest firma leasingowa z Londynu. – Zwrócił się do Belli Moy. – Dlatego twoje poszukiwania spełzły na niczym. Skontaktowałem się z tą firmą i powiedzieli mi, że samochód ma w leasingu Gareth Dupont. I jest zarejestrowany na jego adres. Jednak to nadal nie dowodzi, że Dupont był w domu Aileen McWhirter. – Spojrzał po swoich ludziach.

– Mamy jego odcisk palca na statuetce z brązu i wiemy, że dzwonił ze swojej komórki, a teraz jeszcze dochodzi jego czarne porsche, czyli takie, jakie zauważono na miejscu zbrodni dokładnie tydzień przed atakiem – posumował Guy Batchelor. – To nie wystarczy?

Grace pokręcił głową.

– Z raportu dotyczącego sieci triangulacyjnej wynika, że kiedy dzwonił, mógł być gdziekolwiek w promieniu kilkuset metrów od domu. To zbyt poszlakowy dowód. Co do odcisku palca, jego papuga będzie twierdzić, że mógł dotykać statuetki w domu Lestera Storka. To nie przejdzie, potrzebujemy czegoś solidniejszego.

– Czy wiemy coś więcej o śmierci Lestera Storka, proszę pana? – zwróciła się do Grace’a researcherka Jacqueline Twamley.

– Tak, dowiedziałem się od Philipa Keaya, jednego z pracowników koronera, że Stork zmarł z przyczyn naturalnych: atak serca.

– Pewnie był za bardzo podekscytowany przechowywaniem tych wszystkich skradzionych łupów – zauważył Potting. – Ale czy nie dziwnie się składa, że Dupont posuwał żonę Lucasa Daly’ego, szefie? Czy to nie wygląda na zмовę?

– Nie mogę wykluczyć, że jest w to zamieszana, i musimy z nią porozmawiać. Jestem prawie pewien, że Daly ją bije, więc miałaby motyw. Jednak kiedy rozmawialiśmy z nią razem z Guyem, odniosłem wrażenie, że szczerze lubiła starszą panią. – Spojrzał na sierżanta.

Batchelor pokiwał głową.

– Też tak uważam, szefie. Według mnie bardziej prawdopodobne, że została po prostu namierzona przez Duponta, nie wiedząc o niczym. – Wzruszył ramionami. – Nieszczęśliwe małżeństwo. Dupont jest wysportowany, uwodzicielski. Bardziej prawdopodobne, że się gdzieś poznali i ją poderwał. Porozmawiam z nią i zobaczę, co powie.

Najmłodszy i najnowszy członek zespołu, policjant Jack Alexander, podniósł rękę.

– Znalazłem coś w związku z tym porsche, proszę pana.

– Co takiego, Jack?

Młody policjant powiedział. Kiedy skończył, atmosfera w pokoju uległa zmianie.

– Ten młody człowiek jest cholernym geniuszem! – oświadczył Roy Grace.

Jak większość używanych przez policję w Sussex pokoiów do przesłuchań, ten w areszcie mieszczącym się za Sussex House był wyposażony w kamerę przemysłową, która znajdowała się wysoko na ścianie. Obserwując i filmując podejrzanych, policjanci mogli studiować ich język ciała i oceniać ich wiarygodność.

Był to kwadratowy nijaki pokój, w którym stał przymocowany do podłogi metalowy stół i twarde krzesła. Wewnętrzne okno wychodziło na pomieszczenie biurowe zdominowane przez małą cylindryczną salkę konferencyjną zrobioną z ciemnozielonego marmuropodobnego materiału. Patrząc na ten futurystyczny projekt, Roy Grace myślał zawsze, że musiał być dziełem fana *Star Treka*.

Dupont, nieogolony, w pogniecionej koszuli, siedział po jednej stronie stołu, obok swojego adwokata Leightona Lloyda, który był ubrany jeszcze bardziej elegancko niż na meczu. Ten żyłasty mężczyzna o krótko ostrzyżonych włosach wyciągnął z opałów bardzo wielu przestępców z Brighton.

Grace starannie dobrał swój zespół. Zarówno Bella Moy, jak i Guy Batchelor byli przeszkoleni w zakresie przesłuchiwania podejrzanych metodą kognitywną. Liczył też na to, że Garetha Duponta zbije z tropu obecność Batchelora, który już wcześniej odwiedził go w biurze. Bella miała sprawiać wrażenie bardziej miękkiej, życzliwszej, a Dupont był przecież kobieciarzem.

Wąski, pozbawiony okien pokój, w którym Grace siedział przed monitorem, przylegał do pokoju przesłuchań. Znajdowały się tu dwa krzesła nie do kompletu, przysunięte do blatu, na którym tkwiły aparatura wideo w metalowej obudowie oraz kolorowy monitor przekazujący w straszliwie jarmarcznych barwach obraz z przesłuchania.

Grace zmarszczył nos. W tym pomieszczeniu zawsze cuchnęło, jakby ktoś o zapoconych stopach jadł tu kebab. Sprawdził kosz na śmieci, stojący pod blatem, ale był pusty. Zaczęło się przesłuchanie. Guy Batchelor poprosił Garetha Duponta o relację z tego, co robił we wtorkowy wieczór dwudziestego pierwszego sierpnia.

– No cóż, byłem w domu, pracowałem.

– Pracował pan?

– Prowadziłem akwizycję telefoniczną.

– Robi to pan zarówno przez telefon, jak i osobiście?

– Telefonicznie.

– Ale pojechał pan na Withdean Road, żeby porozmawiać z panią Aileen McWhirter, prawda?

Dupont pokręcił głową.

– Nie, byłem w swoim domu, w Marinie.

– Czy słyszał pan o namierzaniu telefonów komórkowych metodą triangulacji, panie Dupont?

Leighton Lloyd uniósł rękę.

– Przepraszam, ale co to ma wspólnego z moim klientem?

– Za chwilę to wyjaśnię, proszę pana – odparł Batchelor, po czym znowu zwrócił się do Duponta: – Czy to pojęcie coś panu mówi?

Dupont pokręcił głową.

– Wytłumaczę. Wszystkie telefony komórkowe, obojętnie, włączone czy wyłączone, komunikują się ze stacjami bazowymi, rozmieszczonymi na masztach w całym kraju. Stacje są zaprogramowane tak, by komunikować się z urządzeniami, będącymi w ich zasięgu, co piętnaście minut. No wie pan, trochę jak E.T. dzwoniący do domu. Na podstawie sygnału, który otrzymuje stacja bazowa, możemy określić, jakie są dwie najbliższe stacje, i przeprowadzić triangulację. Ma pan telefon w sieci O dwa, prawda?

Dupont skinął niechętnie głową.

– Przy Dyke Road Avenue mieszczą się dwie stacje bazowe O dwa, niedaleko od Withdean Road – ciągnął sierżant. – Trzecia znajduje się w pobliżu A dwadzieścia trzy, czterysta metrów na północ od Withdean Road. Z raportu O dwa wynika, że przebywał pan w okolicy Withdean Road między dziewiętnastą a dziewiętnastą trzydzieści we wtorek dwudziestego pierwszego

sierpnia. A więc nie przebywał pan wtedy w domu. Czy zechciałby pan to wytłumaczyć?

Dupont zastanawiał się przez chwilę, aż wreszcie odrzekł:

– A tak. Pojechałem spotkać się z przyjaciółką. W pobliżu Withdean Road.

– I mogłaby to poświadczyć?

Dupont nagle się zmieszał, a Grace domyślił się, z jakiego powodu. Chodziło pewnie o Sarah Courteney. Zakarbował sobie w pamięci, że musi sprawdzić, czy tego wieczoru występowała na antenie.

Adwokat uważnie oglądał w swoim telefonie mapę.

– Mam ten obszar przed sobą – oznajmił. – Nie obejmuje wyłącznie Withdean Road... jest gęsto zamieszkały, pokryty siecią ulic.

– Gareth – odezwała się Bella Moy z miłym uśmiechem – nie bardzo rozumiemy, jak odciski pana palców znalazły się na statuetce z brązu należącej do pani McWhirter...

Dupont poczerwieniał.

– Zajmuję się po amatorsku antykami – wyjaśnił. – To jedno z moich działań dodatkowych. Trudno w dzisiejszych czasach utrzymać się z samej akwizycji telefonicznej.

Język jego ciała wskazywał na coraz większe zdenerwowanie, jak zauważył Grace. Dupont zmarszczył brwi i spytał:

– Ale gdzie właściwie była ta statuetka?

– Niech pan nam to powie – zaproponował Guy Batchelor.

Leighton Lloyd położył dłoń na ramieniu klienta.

– Bez komentarza – poinstruował go.

– Tak, bez komentarza – powtórzył Dupont.

Potem odwrócił się i wyszeptał adwokatowi coś do ucha, ale przesłuchujący nic nie usłyszeli. Leighton Lloyd zdecydowanie pokręcił głową.

– Panie Dupont – odezwał się Batchelor. – Jedno mnie zastanawia. Kiedy w ostatni piątek przyszedłem z moim kolegą, nadinspektorem Grace'em, do pana biura, spytaliśmy, jakim jeździ pan samochodem. Powiedział pan, że volkswagenem golfem GTI. Jednak później dowiedziałem się, że tak naprawdę jeździ pan

kabrioletem marki Porsche. Czy istnieje jakiś szczególny powód, dla którego pan nas okłamał?

Dupont wyglądał na jeszcze bardziej speszonego, co nie umknęło uwagi Grace'a.

– No bo chodzi o to, że ja i mój kumpel Andre Severs czasem zamieniamy się samochodami. Powiedzmy, że on chce zrobić wrażenie na dziewczynie, to pożyczą porsche. Wiecie, co mam na myśli?

– Nie – odparł Guy Batchelor. – Nie mam pojęcia, co ma pan na myśli. Chcę tylko wiedzieć, dlaczego okłamał pan dwóch oficerów policji.

– Chyba nie chciałem wyjść na szpanera.

Batchelor wymienił spojrzenia z Bellą Moy, po czym znowu zwrócił się do Duponta:

– Proszę powiedzieć, jak dobrze zna pan Withdean Road w Brighton?

Dupont pokręcił głową.

– W ogóle nie znam. Nigdy tam nie byłem.

– Jest pan pewien? – naciskał Batchelor.

– Aha, zaraz. Czy do zeszłego roku nie grano w piłkę nożną na stadionie Withdean?

– Zgadza się.

– No bo jestem kibicem Mew, jasne. Ale stadion nie mieści się przy na Withdean Road.

– A więc na pewno nie był pan na Withdean Road we wtorek wieczorem dwudziestego pierwszego sierpnia?

– Absolutnie nie.

Policjanci wymienili spojrzenia. Porozumieli się niedostrzegalnym skinieniem głowy.

– Wróćmy na chwilę do pańskiego porsche – powiedziała Bella Moy. – To ładny samochód, bardzo drogi, jak sobie wyobrażam, i prawie nowy, sądząc po rejestracji.

Dupont wzruszył ramionami.

– Ubezpieczenie pewnie jest wysokie? – drążyła dalej.

– Owszem.

– Ponoć w obecnych czasach firmy ubezpieczeniowe stawiają różne żądania w kwestii drogich samochodów. Na przykład trzeba

mieć zainstalowany tropiciel GPS. Czy ma pan takie urządzenie?

Dupont nagle zaczął wydawać się bardzo zaniepokojony. Rzucił spojrzenie na swojego adwokata.

– Tak, mam.

– Sprytne urządzenia z tych tropicieli – odezwał się Guy Batchelor. – Śledzą twój samochód. Rejestrują każdy metr każdej podróży. Korzysta pan z firmy o nazwie NavTrak, prawda?

Dupont zawahał się, nie podobało mu się, dokąd zmierza ten wywód.

– Tak.

– Byli uprzejmi udostępnić nam dane z ostatnich czterech tygodni dotyczące pańskiego porsche. W raporcie odnotowano każdą jazdę, którą pan odbył, oraz każdy postój, włącznie z czasem jego trwania. We wtorek czternastego sierpnia był pan przed domem Aileen McWhirter na Withdean Road w Brighton od osiemnastej czterdzieści trzy do dziewiętnastej dwadzieścia jeden. Skoro utrzymuje pan, że nie zna tej ulicy, to może pan tam zabłądził?

– Bardzo śmieszne – mruknął Dupont.

– Bywał pan jeszcze przed tym domem, tym razem krócej, wieczorami w środę piętnastego sierpnia, w czwartek szesnastego, w piątek siedemnastego, w sobotę osiemnastego oraz w poniedziałek, dwudziestego sierpnia, noc przed włamaniem – wyrecytował Guy Batchelor. – Czy może pan wyjaśnić, z jakiego powodu?

Dupont spojrział z rozpaczą na Leightona, po czym zwrócił się do Batchelora:

– Mógłbym porozmawiać na osobności ze swoim adwokatem?

Batchelor i Moy wyłączyli dyktafon i kamerę, zostawili ich samych w pokoju i poszli, by szybko odtworzyć nagranie z Royem Grace'em. Po dziesięciu minutach adwokat poprosił ich do pokoju.

– Mój klient chce złożyć zeznanie – oznajmił, kiedy weszli. – Przyjmuje te dane z tropiciela, ale nie świadczą one o tym, że był wewnątrz domu. To bardzo ważna kwestia, którą chciałby podkreślić.

Policjanci skinęli głowami. Batchelor dał Dupontowi znak, by zaczął.

Dupont położył ręce na stole, sprawiał wrażenie pewnego siebie.

– Chodzi o to, że skontaktował się ze mną pewien znajomy, który powiedział, że mogę nieźle zarobić jako kierowca. Paru facetów przyjeżdżało z zagranicy, żeby obrobić bogaty dom. Potrzebowali kierowcy, który zna dobrze teren. Musiałem zorganizować furgonetkę i pojechać po nich na lotnisko. Przyznaję, że kierowałem tym autem, ale nie wchodziłem do domu.

Przesłuchujący milczeli przez chwilę. Wreszcie Batchelor spytał:

– Nawet po to, by pomóc im trochę przy meblach? Niektóre były całkiem spore.

– No tak, pomagałem im ładować, ale na zewnątrz.

– Czy jest pan absolutnie pewien, że ani razu nie wszedł pan do domu? – spytała Bella Moy.

– Tak, jestem pewien.

Batchelor się skrzywił.

– W takim razie proszę nam coś wyjaśnić. Bo widzi pan, na kaloryferze, do którego pani McWhirter była przykuta, znajdującym się na podeście schodów, znaleziono kroplę krwi. Wynik z laboratorium, który niedawno otrzymaliśmy, potwierdza, że zawiera ona pańskie DNA. – Wzrok Batchelora spoczął na palcu Duponta: strupa już nie było, został tylko mały czerwony ślad.

Duponta zamurowało. Zakrył kciukiem czerwoną plamkę na palcu, jakby dzięki temu mogła zniknąć.

Leighton Lloyd ostrzegawczo uniósł dłoń.

– Mój klient nie ma nic więcej do powiedzenia.

Lucas Daly miał gówniany dzień, a nie wiedział, że okaże się on jeszcze gorszy.

Stał przed swoim sklepem, w lekkiej mżawce, paląc papierosa. Potem wszedł do środka i wybrał kilkakrotnie pewien numer telefonu, jednak był wciąż przełączany do poczty głosowej. Jeszcze kilka dni temu mógł nagrywać wiadomości, ale teraz nie dawano mu tej szansy. Zadzwoił ponownie.

„Skrzynka pocztowa jest pełna. Proszę zadzwonić później”.

– Drań – powiedział. – Ty draniu!

Przez cały dzień nie było żadnych klientów, żadnych telefonów z pytaniami, nie zjawił się nawet nikt, kto chciałby coś im sprzedać. Spojrzał na zegarek – wpół do czwartej. Piwo z lunchu już wyparowało, a było za wcześnie, by znów zacząć pić. Rozsadzała go wściekłość.

„Zadzwoń do mnie. Zadzwoń, ty draniu. Jak będę musiał pojechać cię odnaleźć, skręcę ci twój pieprzony kark”.

Wyszedł ze sklepu, kupił dla siebie i swego asystenta kawę w pobliskiej kafejce, po czym wrócił do środka i usiadł za biurkiem. Skrzynka pocztowa była pełna spamu i przesyłanych online wyciągów z kont, rachunków, na których zapłacenie nie miał pieniędzy. Patrzył przez okno na nieprzerwany strumień ludzi, przeważnie turystów, spacerujących po Lanes, wąskich uliczkach starego Brighton. „Wejdźcie i coś kupcie, kretyni!”. Nikt nie wchodził, by coś kupić. Chociaż teraz i tak mało go to obchodziło. Chyba że wydarzyłby się cud i jakiś wariat kupiłby wszystko naraz. Tego rzędu kwoty potrzebował, by uwolnić się od obecnych kłopotów.

Siedzący na swoim wózku inwalidzkim Dennis Cooper był pogrążony w lekturze książki o sudoku, ku zadowoleniu Daly’ego,

który nie miał ochoty na rozmowę. Zresztą i tak nie rozumiał większości bełkotu Coopera, który wciąż nawijał o filozofii i cytował ludzi o dziwnych nazwiskach, zupełnie nieznanym Daly'emu.

Augustine Krasniki, którego głównym zadaniem w sklepie było przesuwanie ciężkich mebli, sprzedawanych albo kupowanych, siedział w swoim mieszkaniu na górze i na pewno oglądał nagranie jakiegoś meczu.

Daly sprawdził w telefonie wyniki wyścigów konnych. Na cztery dzisiejsze gonitwy, jak na razie miał tylko jedno marne miejsce. Ale on nie obstawiał miejsc. Wygrane nie spełniały jego oczekiwań. Jego urzędały jedynie treble z wysoką wypłatą.

Albo ten telefon, którego się spodziewał.

Nagle zeszywniał, widząc mężczyznę, który pojawił się przed sklepem, wsparty o laskę.

– O kurwa, a ten co tu robi? – mruknął.

Cooper oderwał wzrok od książki.

– O rany, królewska wizyta!

Po chwili ojciec wszedł do środka i widać było, że starszy pan jest również w podłym nastroju.

– Cześć, tato.

Gavin Daly obiegł wzrokiem sklep, nie odpowiadając na powitanie.

– Słyszałeś, że kogoś aresztowali? Nazywa się Gareth Dupont. Wiesz coś o nim?

Lucas pokręcił głową.

– Dzwonił do mnie nadinspektor Grace. Dupont został oskarżony o zamordowanie Aileen oraz rabunek. To oznacza, że będzie przebywał w areszcie śledczym. Podobno w Lewes.

– Dobra wiadomość.

Gavinowi Daly'emu twarz pociemniała z wściekłości.

– Co w tym dobrego? Chcę odzyskać zegarek. Musimy znaleźć w więzieniu kogoś, kto porozmawia z Dupontem. On musi wiedzieć, gdzie jest zegarek.

– Byłeś chyba pewien, że jest w Nowym Jorku.

– Tak sądziłem, ale nie dotarło do mnie jeszcze potwierdzenie, a to niedobry znak.

– Może twoja nagroda zachęci kogoś w więzieniu, by pogadał z Dupontem.

– Może. – Gavin Daly błędził wzrokiem po rzeczach wystawionych w sklepie. Nagle podszedł do dwóch chińskich waz, których Lucasowi nie udało się wcześniej sprzedać. – Co one tu, do cholery, robią?

– Ładne, prawda? Zrobiłem na nich świetny interes: kupiłem za sto funtów, a są warte co najmniej dwa tysiące.

– Doprawdy?

– Tak, tato! Dziewiętnastowieczne. Kantońskie.

– Wiem. Bardzo dobrze wiem, co to jest.

Lucas poklepał się po skroni, szczerząc się z dumą.

– Widzisz, trochę twojej wiedzy przeszło na mnie.

– Doprawdy? – powtórzył Gavin Daly i podniósł jedną z waz, by dokładniej jej się przyjrzeć. – Wiedzy, powiadasz?

– Tak.

– Od kogo je kupiłeś?

– Od faceta, którego nigdy wcześniej nie widziałem. Wszedł prosto z ulicy i złożył mi propozycję kupna. Sam nie wiedział, co ma.

– Tak samo jak ty. Sprzedałbyś je za dwa tysiące?

– Byłby niezły zysk!

– To wazy z dynastii Ming. Mają małe uszczerbki, co zaniża ich wartość, ale gdyby wystawić je w Sotheby's albo Christie's, można by oczekiwać ponad stu tysięcy.

– O cholera. – Lucas bardzo się podekscytował, widząc nagle rozwiązanie wszystkich swoich problemów. – O rany!

Rozległ się trzask, a po nim kilka brzęknięć, kiedy kawałki starej chińskiej porcelany rozsypały się po podłodze.

Lucas Daly zamarł z niedowierzania.

– Upuściłeś ją. O cholera, tato, upuściłeś!

– Niezdara ze mnie! – powiedział jego ojciec, biorąc drugą wazę. Chwilę później ona również wyślizgnęła się z jego palców i roztrzaskała na podłodze. – Ups!

Przez chwilę Lucas Daly zastanawiał się, czy ojciec jest pijany – albo gorzej, czy to wczesne stadium demencji lub jakaś choroba

układu nerwowego. Twarz ojca nie wyrażała szoku ani nawet lekkiego zdumienia. Malował się na niej tylko gniew.

– Lucas, gdzie ty masz, kurwa, rozum?

– Rozum? Ja? Patrz, co zrobiłeś! Oszalałeś czy co?

– Nie oszalałem. Ale jestem wściekły. I rozczarowany. Rozczarowany głupotą własnego syna. Te wazy należały do twojej ciotki. Ktokolwiek je ukradł, nie zdawał sobie sprawy z ich wartości i sprzedał je pomniejszemu paserowi. A potem ty je kupiłeś. – Pokręcił głową.

– Nie mogę uwierzyć w to, co właśnie zrobiłeś!

– Dałeś za nie sto funtów, to czym się przejmujesz?

– Były warte sto tysięcy funtów, a ty je po prostu stłukłeś?

– Wiesz, co się mówi o rodzinnych interesach, Lucas? O zasadzie trzech pokoleń?

– Co takiego? – spytał ponuro, bo jego nadzieje na wygrzebanie się z tarapatów leżały roztrzaskane na podłodze.

– Pierwsze pokolenie buduje. Drugie pokolenie psuje. Trzecie spuszcza w klozecie. Zdołałeś przeskoczyć jedno pokolenie. Gratulacje.

Ojciec, wściekły, wymaszerował ze sklepu. Ledwie wyszedł, zjawili się dwóch mężczyzn w garniturach. Lucas popatrzył na nich z nadzieją, a potem struchlał ze strachu, bo ich rozpoznał.

Jeden z nich miał metr osiemdziesiąt, ogoloną głowę i twarz niby wykutą z metalu. Wyglądał, jakby nie wyjął wieszaka z marynarki, zanim włożył ją na siebie. Drugi, nieco niższy, był ubrany jeszcze bardziej nienagannie. Miał opadające powieki i ciemne kręgi pod oczami, a jego krótkie, jasne, nażelowane włosy były szczesane na czoło; palił cygaro.

Lucas powiedział szybko do Dennisa Coopera:

– Wezwij Krasnikiego, natychmiast!

– Panie Daly, bardzo miło pana widzieć – odezwał się ten niższy, niespiesznie zaciągając się cygarem.

– Przykro mi, ale tu nie wolno palić – odparł Daly. – W siedzibie firmy to niezgodne z prawem.

Niższy popatrzył na Dennisa Coopera. Potem znów wolno się zaciągnął i wydmuchał dym, zanim przemówił.

– Kalece przeszkadza?

Lucas Daly z trudem opanował wściekłość. Nie on dyktował teraz warunki.

– Agresja idzie tylko w jednym kierunku. Wywołuje więcej agresji – rzucił oschle Cooper.

– Naprawdę, Quasimodo? Może zastosujemy ten sam komentarz do pieniędzy. Że też idą tylko w jednym kierunku. Do kieszeni twojego szefa, ale nigdy z powrotem do nas. Rozumiesz, co chcę powiedzieć?

– Nie nazywam się Quasimodo.

– W takim razie nie mówiłem do ciebie, słoneczko, prawda? – Przeniósł uwagę na Lucasa Daly’ego. – Masz ładną żonkę. – Zanurzył rękę w wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął stamtąd staroświecką brzytwę. Nacisnął przyczek i wyskoczyło ostrze. – Sarah Courteney raczej nie będzie już prezentować wiadomości z twarzą pociętą na paseczki?

– Ona nie ma z tym nic wspólnego – powiedział Daly.

– Szkoda, co? – zwrócił się niższy do kompana.

Ogolony pokiwał głową.

– No pewnie.

Niższy znów spojrzał na Daly’ego.

– Problem w tym, że jesteś winien mojemu szefowi pięćdziesiąt tysięcy. Moim zadaniem jest przekonać cię, byś je zapłacił, taką mam robotę. Czasami muszą ucierpieć niewinni. Wiesz, o co mi chodzi? Ale tak naprawdę mogą mieć pretensje tylko do siebie. Sarah Courteney nigdy nie powinna zadawać się z takim ciulem jak ty. Spójrz na tego swojego kalekę. Co mu się stało? Wypadek motocyklowy? Zleciał ze strychu? Dlaczego chce pracować dla takiego palanta jak ty?

– Prawdę mówiąc, byłem w wojsku i zostałem w Afganistanie postrzelony w kręgosłup – poinformował Dennis Cooper. – Skoro pan pyta.

– Och, świetnie, pieprzony bohater. – Nagle mięśniak popatrzył za plecy Lucasa Daly’ego i arogancję na jego twarzy zastąpił lęk.

Daly obejrzał się przez ramię i zobaczył swego ochroniarza, Krasnikiego, wymachującego kijem baseballowym. Wyglądał, jakby mógł w każdej chwili go użyć.

– Mój szef chce, żebyście już wyszli – powiedział. – Niezbyt was lubi. Przykro mi.

– Wal się – prychnął ten wyższy.

Koleżka rzucił mu spojrzenie, nagle stropiony.

Krasniki zrobił krok w ich stronę, unosząc groźnie kij.

– Chyba mnie nie usłyszeliście. Wynocha!

Faceci zaczęli wycofywać się ze sklepu. Krasniki stał i czekał, aż wyjdą. Na zewnątrz jeszcze chwilę się zawahali, ale w końcu odeszli.

– Zuch! – powiedział Lucas Daly.

Po chwili odezwała się jego komórka. Nie znał tego numeru.

– Lucas Daly – rzucił do słuchawki.

– Jak wytniesz jeszcze jeden taki numer, wylądujesz na wózku, jak ten twój kaleka. Masz tydzień na wykombinowanie forsy. W następny czwartek o siedemnastej widzimy się w twoim sklepie. Bez Borisa Karloffa. Jasne?

Facet się rozłączył.

Amis Smallbone zauważył, że kiedy siedział w ciupie, świat zmienił się pod wieloma względami. Pod względem technologicznym bardziej niż kulturalnym. Musiał nadążyć za tymi zmianami, jeśli nie chciał być postrzegany jako dinozaur.

Dlaczego jest tak, zastanawiał się, że instrukcje do wszystkich urządzeń elektronicznych są pisane przez ludzi, dla których angielski jest czwartym językiem?

Bardzo drogi skaner, częściowo zmontowany, leżał przed nim na piętrze jego wynajętego domu. Wyobrażał sobie, że otworzy pudełko, wyjmie skaner i gotowe!

Tymczasem najpierw musiał zainstalować w komputerze program, który dostarczono na płycie CD. Zrobił to, chociaż nie był do końca pewien, czy wykonał poprawnie wszystkie instrukcje, które zwodziły go na każdym etapie.

Jednak wreszcie doprowadził urządzenie do użyteczności. Jak dotąd zebrało mało ciekawych informacji. Wysłuchał banalnej rozmowy pomiędzy Cleo Morey a jej koleżanką, które wymieniały się doświadczeniami na temat karmienia piersią i obolałych sutków.

Ohyda.

Najbardziej interesował go tryb pracy Roya Grace'a. Potrzebował kilku godzin, kiedy Grace'a nie będzie w domu i Cleo zostanie sama z Noahem.

Nadal jeszcze nie zdecydował, które z nich skrzywdzi czy też może skrzywdzi oboje. Najważniejsze wciąż było to, żeby zniszczyć Roya Grace'a. Co zadziała najlepiej? Ukochana Cleo oszpecona na całe życie? Uśmiercone dziecko? Jedno i drugie?

Poczuł ciepłe mrowienie w kościach.

Jedno i drugie było dobre.

Roy Grace i Guy Batchelor siedzieli w nieoznakowanym fordzie focusie estate, zaparkowanym przy Shirley Drive, w pobliżu domu Sarah Courteney. Stanęli po drugiej stronie drogi, nieco wyżej na wzgórzu, więc mieli dobry widok na całą posiadłość. Mercedes SLK należący do Sarah stał na podjeździe obok czarnego range rovera sport jej męża. Właśnie z powodu tego range rovera, świadczącego o obecności Lucasa Daly'ego w domu, nie zapukali do drzwi. Wiedzieli, sprawdzivszy w programie BBC, że Sarah ma wystąpić tego wieczoru w regionalnych wiadomościach o osiemnastej trzydzięci. A to oznaczało, że wkrótce wyruszy do studia.

Po dziesięciu minutach ich domysł okazał się słuszny. Sarah wyszła z domu, spiesząc się z powodu mżawki, i wsiadła do auta. Wycofała samochód i ruszyła w dół zbocza, w kierunku Old Shoreham Road.

Odczekali kilka chwil, po czym Grace odpalił silnik i pojechał za Sarah, zatrzymując się za nią na światłach. Włączyła prawy kierunkowskaz. Przez tylną szybę widział, że wbrew prawu rozmawia przez telefon przyłożony do ucha.

Światła się zmieniły i Sarah skręciła w prawo, na zachód. Jechał w pewnej odległości za nią, aż minęła skrzyżowanie z Sackville Road, nadal kierując się na zachód. Wtedy wystawił na zewnątrz lewą rękę, włączył niebieskie światła, wyprzedził ją, po czym łagodnie przyhamował i stanął na parkingu przed garażem diler Harwood, patrząc w tylne lustro, jak ona robi to samo.

Wysiadł, podszedł do jej samochodu od strony pasażera i dał znak, by go wpuściła. Kiedy otworzyła i przełożyła torebkę na kolana, wsiadł i zatrzasnął drzwi. W środku mieszały się przyjemne zapachy skórzanej tapicerki i perfum.

– Używanie komórki w trakcie prowadzenia samochodu jest zabronione – oświadczył z uśmiechem.

– Przepraszam – powiedziała, wrzucając telefon do schowka w desce rozdzielczej. – Bluetooth nie działa. To dlatego pan mnie zatrzymał?

– Nie, ale lepiej, żeby nie zauważyli tego ci z drogowki.

– Dziękuję. Zazwyczaj ktoś mnie zawozi, ale dziś potrzebuję samochodu, bo spotykam się później z przyjaciółką.

– Pomyślałem, że lepiej będzie, jak porozmawiam z panią dyskretnie poza domem... po wtorkowej nocy. – Spojrzał na nią pytająco, a Sarah się zarumieniła.

– Myślałam, że umrę ze wstydu – odparła.

– Postawmy sprawę jasno: pani życie osobiste mnie nie interesuje, pani Courteney. Gdyby było inaczej, zapukałbym do pani drzwi, nie zważając na to, czy mąż jest w domu.

– Dziękuję, że pan tego nie zrobił. – Wyłączyła silnik.

Po mokrej drodze przejeżdżało ze świstem sporo samochodów, była godzina szczytu. Roy Grace obrócił się, tak by widzieć twarz Sarah.

– A więc, jeśli to nie jest zbyt osobiste, czy mogę spytać, od kiedy pani i Gareth Dupont macie romans?

– W istocie jest to bardzo osobiste pytanie. – Spojrzała na zegarek. – Naprawdę nie mogę stać tu zbyt długo. Wchodzę na wizję o osiemnastej trzydzieści.

– Wiem. Nie chcę, żeby przeze mnie się pani spóźniła. Jednak Gareth Dupont jest podejrzany o zamordowanie ciotki pani męża, a pani była z nim dwa dni temu w łóżku.

– I w związku z tym też jestem podejrzana?

– Nie na tym etapie.

– Ale mogę być?

– Przepraszam, że znów zadam osobiste pytanie, ale czy mąż panią bije?

Roztrzęsiona, otworzyła torebkę i zaczęła w niej grzebać, aż w końcu wyjęła paczkę papierosów.

– Nie będzie panu przeszkadzało, jeśli zapalę?

– Lubię zapach dymu.

Wyciągnęła w jego kierunku paczkę marlboro light, ale pokręciła głową. Przypaliła papierosa, opuściła okno i wydmuchała dym.

– To drań, jeśli chce pan wiedzieć... nadinspektorze?

Skinął głową.

– To dlatego ma pani romans z Garethem Dupontem?

– Poznaliśmy się na zajęciach salsy. Był dla mnie miły, dobrze się przy nim bawię. – Wzruszyła ramionami. – Wiele czasu minęło, od kiedy mężczyzna był dla mnie miły.

Grace przypomniał sobie trofeum w jej gabinecie.

– Był pani partnerem do tańca?

– Tak.

– Czy wolno spytać, od jak dawna się widujecie?

– Od jakichś trzech miesięcy. – Zamyśliła się. – Od początku czerwca, gdy pojawił się na zajęciach.

– Czy kiedykolwiek rozmawiał z panią o ciotce pani męża, Aileen McWhirter?

Zaciągnęła się głęboko papierosem i strzepnęła popiół za okno.

– Raczej nie... – Zmarszczyła brwi. – Chociaż właściwie tak, teraz sobie przypominam. Pewnego dnia w rozmowie wspomniałam, że ojciec mojego męża to Galvin Daly. Gareth był tym bardzo poruszony. Stwierdził, że mój teść jest jednym z największych handlarzy antyków w kraju, i powiedział, że on sam pasjonuje się antykami. Zresztą sędzę, że całkiem dobrze zna się na rzeczy.

– Czy kiedykolwiek mówił coś na temat zegarków?

– Zegarków?

– A szczególnie jednego, marki Patek Philippe?

Pokręciła głową i znów zaciągnęła się papierosem.

– Nie.

– Jest pani pewna?

Grace przyglądał się uważnie jej twarzy.

– Tak, jestem pewna. Zegarek marki Patek Philippe? Są dość wyjątkowe, prawda? Jak brzmi ich slogan reklamowy? Chyba: „Tak naprawdę nigdy nie posiadasz na własność zegarka marki Patek Philippe. Ty jedynie zajmujesz się nim dla następnego pokolenia”.

Grace uśmiechnął się.

– Nigdy nie wspominał pani o zegarku Patek Philippe?

Zdecydowanie potrząsnęła głową.

– Nie. – Pokazała mu swój lewy nadgarstek. – Zapamiętałabym to. Uwielbiam zegarki.

– Ten jest bardzo elegancki. Chociaż muszę przyznać, że się nie znam.

– To Cartier – oznajmiła. – Model Tank Cartiera.

– O Cartierze akurat słyszałem. Bardzo ładny.

– Dziękuję.

Od pewnego czasu myślał o tym, żeby kupić Cleo jakiś prezent. Taki, który wywołałby uśmiech na jej twarzy. Żeby poprawiał jej nastrój, kiedy daje jej w kość zajmowanie się Noahem. Może ładny zegarek byłby dobry? Tank Cartiera?

– Przepraszam, że pytam, ale ile kosztuje taki zegarek?

Zawahała się. Patrzył jej w oczy.

– Myślę, że około trzech tysięcy funtów.

Kłamała, a on zastanawiał się dlaczego. To pewnie prezent od męża, uznał, a ona tylko zgaduje jego wartość.

– No dobrze. Nie chcę, żeby się pani przeze mnie spóźniła. Dziękuję.

Wysiadł z mercedesa i wrócił do swojego samochodu. Guy Batchelor rzucił mu pytające spojrzenie.

Grace pokręcił głową.

– Wygląda na to, że poznali się na zajęciach salsy.

– Niewinna?

– Tak, chyba że jest mistrzynią kłamstwa.

– Co ci mówi instynkt?

– Dupont ją namierzył. Bez dwóch zdań.

Zadzwoiła jego komórka. Na ekranie pojawiła się jedynie informacja, że numer jest zagraniczny.

– Tak? – odezwał się.

– Słuchaj uważnie... Nie martw się, mówię przez bezpieczny telefon. Ty też powinieneś sobie taki sprawić.

– Sprawilem, właśnie z niego korzystam.

– To ten sam numer, który masz od tygodni.

– Jesteś jedyną osobą, która go zna.

– Chcę, żebyś go zmienił do następnej rozmowy.

– Przy następnej rozmowie nie będę potrzebował telefonu. Będziemy w tym samym pomieszczeniu, a ja będę miał ręce zaciśnięte wokół twojej tłustej szyi.

– Ach te nerwy, nerwy! Posłuchaj mnie bardzo uważnie, mamy duży problem. Gareth Dupont został oskarżony. Był na zwolnieniu warunkowym, a teraz przebywa w areszcie śledczym w Lewes.

– Powiedz mi coś, czego nie wiem.

– Czy rozumiesz, co znaczy dla niego wyrok? Reszta życia w więzieniu? Martwię się, że ten gnojek może wiele zrobić, próbując ocalić skórę. Zakapuje Smallbone'a. Smallbone to słabe ogniwo.

– Gdzie jesteś, do kurwy nędzy?

– Nieważne. Ważne, żebyś uciszył Smallbone'a. Na zawsze.

Kapujesz?

– Chcę dostać swoją dolę.

– Dostaniesz, jak się dowiem, że Smallbone nie żyje.

– Oczekujesz, że ci zaufam? Po tym, jak się zachowałeś?

– Nie oczekuję wiele; to życiowa lekcja, jaką powinieneś sobie przyswoić, jeśli chcesz być zadowolony. Pa.

Rozległo się kliknięcie, potem zapadła cisza.

Popatrzył z wściekłością na swój telefon. Jednak ten tusty drań, pomyślał, ma rację co do Amisa Smallbone'a.

Gavin Daly zbudził się nagle, nie bardzo wiedząc, gdzie jest. Słyszał świdrujący dźwięk. Przez chwilę myślał, że ktoś wierci dziurę. Ale to był dzwonek telefonu, jak po chwili się zorientował. Siedział w swoim gabinecie, gdzie widocznie zasnął w fotelu. Cygaro leżało w szklanej popielniczce, ze słupkiem popiołu na końcu. Lód w szklance z whisky dawno się rozpuścił. Bolała go głowa, za dużo wypił tego wieczoru.

Odczekał jeszcze chwilę, by całkiem oprzytomnieć, po czym podniósł słuchawkę.

– Gavin Daly – powiedział.

– Cześć, Gavin, mówi Julius Rosenblaum. Przepraszam, że dzwonię tak późno... mam nadzieję, że cię nie obudziłem? – spytał przesłodzony głos handlarza z Nowego Jorku. – Ale pomyślałem, że chciałbyś natychmiast poznać wieści.

Daly spojrział na zegarek. Było wpół do dwunastej.

– Tak – odpowiedział. – To znaczy nie, jestem jeszcze w gabinecie. – Nadal był lekko otumaniony, ale szybko się ożywił, bo przecież właśnie tego telefonu wyczekiwał.

– Ten facet, o którym ci mówiłem, pan Bezimienny, który zadzwonił do mnie we wtorek w związku z zegarkiem marki Patek Philippe, przyszedł dziś po południu.

– Tak?

– Mam zdjęcia jego i tego zegarka, które otrzymałem z nagrania kamery przemysłowej i właśnie ci przesłałem mejlem. Pomyślałem, że od razu cię zawiadomię. Chcesz zajrzeć do skrzynki i sprawdzić, czy to twój zegarek?

– Tak, oczywiście. Dasz mi kilka minut?

– Nie spiesz się.

– Jesteś w biurze?

– Będę tu jeszcze przez dziesięć minut, potem muszę wyjść na kolację. Dam ci swój numer komórkowy, możesz pod niego zadzwonić, jeśli już nie zastaniesz mnie w biurze.

– Dziękuję. A co sądzisz o tym zegarku?

– Przyniósł tylko zdjęcia, ale zegarek wygląda na autentyczny. Jest nieco zniszczony: ma przekrzywioną koronkę, uszkodzony naciąg i pęknięte szkiełko, a z tyłu koperty jest wgniecenie.

– Wszystko się zgadza – stwierdził Gavin Daly.

– Spytałem go o pochodzenie zegarka. Powiedział, że jest w jego rodzinie od lat dwudziestych.

– A u niego?

– Ponoć otrzymał go od dziadka.

– Wzruszająca opowieść – mruknął Daly. – Przypomnij mi jego nazwisko.

– Robert Kenton. Czy coś ci to mówi?

Daly zastanawiał się przez długą chwilę.

– Nie.

– Spytałem, czy ktoś jest zainteresowany kupnem tego zegarka, ale on był nieufny, nie chciał zdradzić, z kim konkretnie rozmawiał, powiedział tylko, że spodziewa się ofert w przyszłym tygodniu i że przyjmie najlepszą ofertę przed zakończeniem dnia roboczego w środę. Oznajmiłem, że jestem niezmiernie zainteresowany, trochę mu nadskakiwałem, więc zamierza przynieść mi zegarek w poniedziałek o jedenastej rano. Gdybyś tu przyjechał, mógłbym wprowadzić cię do pokoju i sam byś obejrzał zegarek. Jeśli jest twój, wystarczy, że nacisnę jeden guzik, a wszystkie drzwi się zamkną i policja będzie w drodze.

– Jestem ci bardzo wdzięczny.

– Obejrzyj zdjęcia i zadzwoń do mnie.

Daly wstał sztywno z fotela, podszedł do biurka, usiadł, zalogował się i otworzył plik. Chwilę później przyglądał się niezbyt wyraźnym zdjęciom z kamery przemysłowej. Na pierwszym zdjęciu mężczyzna został uchwycony w drzwiach, jak wchodzi. Miał sześćdziesiąt parę lat, dużą nadwagę, krótkie kręcone siwe włosy; był ubrany w granatową marynarkę ze srebrnymi guzikami, białą koszulę i krawat w turecki wzorek. Na drugim zdjęciu było

zbliżenie twarzy mężczyzny. Na trzecim tarcza zegarka Patek Philippe.

Daly był przekonany, że to jego zegarek, z przekrzywioną koronką, z uszkodzonym naciągami i z pękniętym szkiełkiem. Jednak żeby się upewnić, znów zaczął szukać tamtego zdjęcia. Sprawdzał szuflady w biurku, grzebał w starych papierach, ale fotografii nigdzie nie było. Zastanawiał się, kiedy widział ją po raz ostatni.

Wiedział, że robi się trochę zapominalski. Ostatnio kilka razy zapodział ważne dokumenty albo pomieszał je z innymi. Zdjęcie w końcu się znajdzie, bez obawy. Spojrzał na ekran, na zdjęcie zegarka, i zaczął się trząść ze złości. Drań. Tłusty drań.

Z ciekawości wrzucił hasło „Robert Kenton” do wyszukiwarki Google. Było ponad dwadzieścia trafień. Przeszedł do grafiki. Żadna twarz nie pasowała do tej, którą przed chwilą oglądał na zdjęciach. Nagle wpadł na inny pomysł. Wpisał w okienko „Eamonn Pollock”.

Chwilę później patrzył na stary artykuł z „Argusa”, z roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego.

DOBROCZYŃCA Z BRIGHTON SKAZANY

Cała historia była poniżej: Eamonn Pollock, patron działającej w Brighton organizacji charytatywnej na rzecz niepełnosprawnych dzieci, został skazany za przyjęcie i przechowywanie kradzionych dóbr, w tym zegarków. Jednak w tej chwili nie cała ta historia interesowała Daly’ego, lecz zdjęcie mężczyzny. Sfotografowany dwadzieścia lat wcześniej, był nieco mniej tłusty i miał ciemniejsze włosy. Ale na tym różnice się kończyły.

Zdjęcie przedstawiało mężczyznę, który podał się Juliusowi Rosenblaumowi za Roberta Kentona.

Mężczyznę, który, jak odkrył genealog Martin Diplock, był potomkiem jednego z tych ludzi, którzy w roku tysiąc dziewięćset dwudziestym drugim weszli do sypialni Gavina Daly’ego, zamordowali jego matkę i uprowadzili ojca.

A teraz ten człowiek ukradł zegarek należący do jego ojca.

Na piątkowej porannej odprawie zespołu pracującego nad operacją Flądra panowały mieszane uczucia. Cały zespół był zadowolony, że jeden z podejrzanych, Gareth Dupont, został oskarżony o morderstwo Aileen McWhirter. Jednak nie świętowali – wszyscy wiedzieli, że złapano płótkę, a grube ryby są wciąż na wolności. Nitki prowadziły do Eamonna Pollocka, ale jak dotąd nie mieli żadnych dowodów, żeby można było postawić mu jakieś zarzuty czy choćby wskazać jego powiązania ze zbrodnią.

Techniczna jednostka wspomagająca odkryła, że w lipcu i sierpniu z telefonu komórkowego Duponta często dzwoniło do Hiszpanii. Hiszpańskie numery ciągle się zmieniały i korzystano z niemożliwych do wyśledzenia telefonów na kartę. Nie sposób było nawet określić, o jaki region Hiszpanii chodzi. Ani w komputerze, z którego korzystał Dupont w pracy, ani na jego prywatnym laptopie nie znaleziono istotnych informacji. Teraz zespół pokładał nadzieje w Normanie Pottingu, który poleciał do Marbelli, by współpracować z hiszpańską policją badającą przyczyny śmierci dwóch irlandzkich ekspatów, Kennetha Barnesha i Anthony'ego Macaria, oraz spróbować dowiedzieć się czegoś więcej o Eamonnii Pollocku. Potting miał wyjątkowy talent do upartego drażenia.

Podiatra, który znakomicie przyczynił się do rozwiązania poprzedniej sprawy prowadzonej przez Grace'a, na jego prośbę miał uczestniczyć w porannej odprawie.

– Poprosiłem doktora Haydna Kelly'ego, by do nas tutaj dołączył, ponieważ ma pewne istotne informacje dotyczące Barnesha i Macaria. Zjawi się wkrótce, bo musi dziś rano uczestniczyć w zebraniu rady wydziału chirurgii. Obiecał uprzejmie, że zaraz potem tu przyjdzie.

W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi. Wszedł doktor Kelly. Grace skinął mu głową na powitanie.

Haydn Kelly był czterdziestoparoletnim mężczyzną o otwartej, miłej twarzy, krótko ostrzyżonych włosach i swobodnym sposobie bycia. Miał na sobie granatowy lniany garnitur, świeżo wyprasowaną białą koszulę, jaskrawy szmaragdowozielony krawat i jasnobrązowe mokasyny. Wyglądał, jakby właśnie wyszedł z willi na Lazurowym Wybrzeżu. Kiedy jednak zwrócił się do zebranych, jego zachowanie świadczyło o powadze i skupieniu.

– Witam cały zespół – powiedział. – Miło was znów widzieć. Policja z Marbelli przysłała mi odlewy wzięte ze stóp Kennetha Barnes'a i Anthony'ego Macaria. Teraz wyjaśnię krótko, jak porównywałem je z odciskami butów sportowych pobranymi z domu pani McWhirter.

Przez następne kilka minut Kelly wyjaśniał obliczenia i komputerowe analizy, które doprowadziły do konkluzji, że odciski butów na miejscu zbrodni pasowały do Barnes'a i Macaria.

Roy Grace podziękował ekspertowi.

– Tak więc mamy obecnie trzy osoby na miejscu zbrodni. Dwie nie żyją, a trzecia, Gareth Dupont, stoi nad przepaścią. Biorę go na chwilę z więzienia, na podstawie stosownego pisma, i zamierzam z nim porozmawiać nieformalnie. Zobaczymy, czy da się wyciągnąć od niego jakieś nazwiska... w zamian za parę przywilejów.

– Może jacuzzi w celi? – podrzucił Dave Green.

– Chciałbym! – odparł Grace.

Nie wolno już było w ten sposób układać się z więźniami. Chyba że całkiem nieoficjalnie, kiedy więzień przebywał z policją poza więzieniem.

Bella Moy poinformowała, że jeden ze spozstrzegawczych członków jej zewnętrznego zespołu śledczego zauważył lustro w stylu art déco, ukradzione z domu Aileen McWhirter, w sklepiku z antykami w Lewes. Właściciel powiedział, że kupił je od jakiegoś mężczyzny, który po prostu wszedł z ulicy. Rysopis był dość ogólny, ale pasował do Lestera Storka.

– To by się zgadzało – stwierdził Grace.

– Pewnie zrobił to tuż przed śmiercią? – powiedział Guy Batchelor. – Ostatnia wyprzedaż?

Kilka osób z zespołu jęknęło. Roy Grace zwrócił się do eksperta od antyków, Peregrine'a Stuarta-Simmondsa:

– Pan, zdaje się, ma jakieś dalsze ustalenia.

– Owszem. Mam listę wszystkich aukcji, jakie odbędą się na świecie w ciągu najbliższych trzech miesięcy. Umieściłem ją tutaj. – Wskazał jedną z białych tablic. – Posiadam też katalogi wszystkich aukcji. Jednak na wielu z nich przedmioty do licytacji można wystawiać do ostatnich chwil przed rozpoczęciem. Podąłem wszędzie szczegółowy opis naszego zegarka Patek Philippe i jestem pewien, że powiadomią mnie, jeśli ktoś gdzieś będzie próbował go wystawić. Jednocześnie skontaktowałem się ze wszystkimi handlarzami, którzy są w stanie nabyć zegarek na takim poziomie cenowym lub zająć się jego sprzedażą. Tak więc mam nadzieję, że wkrótce dostaniemy jakieś informacje z domów aukcyjnych albo od handlarzy.

Glenn Branson podniósł rękę.

– Panie Stuart-Simmonds, na poprzednim spotkaniu powiedział pan, że prawdopodobnie część przedmiotów sprzedano prywatnym kolekcjonerom, na których zamówienie zostały skradzione. Czy to samo może dotyczyć zegarka? Bo w takim przypadku pański radar go nie wykryje.

– Jeśli sprawcy dokonywali kradzieży na zamówienie, oznacza to, że mieli wcześniej szczegółowe informacje o każdym z tych przedmiotów. Sądzę, że to bardzo charakterystyczne w operacji Flądra, iż prawie wszystko, co skradziono, było szczegółowo opisane w dokumentacji firmy ubezpieczeniowej, ale inne zabrane przedmioty, z których część przeszła przez ręce miejscowych dilerów, nie były. Zegarek nie był ubezpieczony, więc według mnie mało prawdopodobne, że wiedziano o nim wcześniej.

– Czyli pana zdaniem, możliwe, że mózg operacji nadal o nim nie wie? – spytał Guy Batchelor.

– Tak, bardzo możliwe. Oczywiście może być i tak, że ten, kto ukradł zegarek, nie zdaje sobie sprawy z jego wartości.

Grace milczał. Myślał o ukrytym sejfie oraz o swojej wczorajszej krótkiej rozmowie z Sarah Courteney w jej samochodzie. Zareagowała trochę dziwnie, kiedy spytał ją o cenę zegarka, który miała na ręku, ale być może z powodu zażenowania jego wartością.

Mówiła, że były bardzo zaprzyjaźnione z Aileen McWhirter, że często ją odwiedzała. Czyżby starsza pani pokazała jej zegarek marki Patek Philippe? A jeśli tak, może Sarah Courteney niechcący wspomniała o nim Dupontowi? W łóżku? Jak to tam było? Przypomniał sobie hasło, które widział na plakatach ostrzegawczych z czasów drugiej wojny światowej: „Usta, które za dużo paplają, statki zatapiają”.

Sarah Courteney miała wydatne usta, bardzo ładne, tak pełne, że wyglądały aż nienaturalnie. Czyżby za dużo paplały?

Roy Grace nigdy nie miał ambicji, by zostać bogatym człowiekiem. Nieraz, pełniąc funkcje charytatywne lub badając miejsce zbrodni, bywał w różnych okazałych domach. Sandy należała do National Trust, więc w weekendy odwiedzali czasem jakąś rezydencję. Jednak kiedy rozkoszował się pięknem wypielegnowanych ogrodów, perłami architektury i dziełami sztuki, zawsze miał świadomość, że jego policyjny umysł bardziej intryguje, skąd pochodzą pieniądze, za które to wszystko kupiono. Wiedział, że w większości arystokratycznych rodzin nie trzeba cofać się o wiele pokoleń, by odnaleźć wyzyskiwaczy.

Myślał o tym, gdy otworzyła się przed nim brama z kutego żelaza przed rezydencją Gavina Daly'ego. Jechał prawie kilometr aleją obsadzoną bukami, zanim wyłoniła się fasada domu. Była to doprawdy okazała rezydencja, z czterokolumnowym portykiem u szczytu schodów, wznoszącym się prawie na całą wysokość budynku. Chociaż Grace niewiele wiedział o architekturze, stary kamień i piękne klasyczne proporcje fasady utwierdziły go w przekonaniu, że to autentyk, a nie współczesna podróbka.

W każdym razie nie miał pojęcia, ile milionów to było warte. Pewnie z dziesięć, jednak śledząc przeszłość Gavina Daly'ego, nie odkrył żadnych przestępstw. Spryciarz, który ostro sobie poczynił, ale nie oszust. Grace mu współczuł. Samotny człowiek u schyłku życia, brutalnie zamordowana siostra. Czy całe to bogactwo dawało mu jakieś pocieszenie albo radość?

W pobliżu wejścia, nieopodal wymyślnej fontanny ozdobionej kamiennymi figurkami, stał stary granatowy mercedes, a obok niego jeszcze starszy szofer w uniformie.

Grace zadzwonił do drzwi frontowych, ale wiedząc, że filmują go kamery przemysłowe, zastanawiał się, czy zostanie wpuszczony po

tym, jak ostatnio posprzeczał się z panem domu. Czekał dobre parę minut, jednak w końcu drzwi otworzyła mu ubrana w służbowy strój gospoia.

– Dzień dobry – przywitała go, mówiąc z przyjemnym wiejskim akcentem, typowym dla Sussex. – Zaprowadzę pana do pana Daly’ego.

Zerknął na wielką walizę stojącą w korytarzu, po czym ruszył za gospoia, która powoli i sztywno przemierzyła korytarz i zapukała do drzwi gabinetu Gavina Daly’ego.

Grace wszedł do środka, wdychając zastarzały zapach dymu z cygar, który zdawał się przesiąkać dębowe boazerie i meble. Zawsze lubił ten zapach, bo przypominał mu ojca, który od czasu do czasu palił cygara. Daly, ubrany w starannie wyprasowaną sportową marynarkę, koszulę w kratę, spodnie z diagonalu i zamszowe półbuty, wstał z miejsca.

– Czym mogę służyć, nadinspektorze? – spytał, wyraźnie zmieszany.

Wspierając się na lasce, przeszedł przez pokój, uściśnął Grace’owi rękę swoją kościstą dłonią, po czym poprowadził go do kanapy i usiadł naprzeciwko.

– Mam nadzieję, że nie weźmie mi pan za złe tej wizyty?

– Nie. Przepraszam, że ostatnio potraktowałem pana dość szorstko. Wszystkie te zdarzenia bardzo mnie stresują, jestem pewien, że potrafi pan to zrozumieć.

– Owszem, proszę pana.

Grace zauważył, że Daly zerknął niespokojnie na zegarek.

– Spiesz się pan na samolot? – spytał.

– Tak. Wybieram się do Francji, do Nicei. Pomyślałem, że wyskoczę na weekend do swojej willi. Potrzebuję wytchnienia od tego wszystkiego tutaj. – Uśmiechnął się do Grace’a przyjaźniej niż przy ich poprzednim spotkaniu.

– Rozumiem. Miło mieć taki luksus. Chociaż gdybym mieszkał w takim pięknym domu jak ten, chyba wcale bym nie chciał go opuszczać.

Daly skwitował to sztywnym uśmiechem.

– Czy ma pan dla mnie jakieś wieści, nadinspektorze?

– Odzyskaliśmy lustro w stylu art déco, które należało, jak sądzimy, do pańskiej siostry. Chciałbym, żeby pan je za jakiś czas zidentyfikował.

Daly z entuzjazmem pokiwał głową.

– Ale nie z tego powodu tu przyjechałem. Właściwie sprawa jest delikatna.

Grace wbił wzrok w ładny intarsjowany stolik stojący między nimi. Była dziewiąta trzydzieści rano i marzył o kawie, ale chyba nie miał co na nią liczyć.

Daly spojrzał na niego pytająco.

– Wiemy, jak dobrze chroniony był pański zegarek w podwójnym sejfie z fałszywą ścianką. I jesteśmy raczej pewni, że sprawcy zostali przez kogoś dobrze poinformowani.

– Tego wyłudacza?

Grace pokręcił głową.

– Nie sądzę, aby pańska siostra pokazała mu sejf.

– Ależ skąd. – Daly znów zerknął na zegarek. – Musiała im wszystko wyjawić, kiedy ją torturowali.

– Oczywiście istnieje taka możliwość. Ale chciałbym o coś spytać. Jak bardzo zaprzyjaźniona była pańska siostra z Sarah Courteney?

– Ogromnie. Aileen bardzo ją lubiła. Nigdy nie była w dobrych stosunkach z moim synem Lucasem, ale za Sarah wprost przepadała. Sarah często odwiedzała ją, dotrzymywała Aileen towarzystwa.

– Jak pan sądzi, czy to możliwe, że siostra pokazała Sarah Courteney pański zegarek?

Twarz starszego pana pociemniała.

– Czy dobrze zrozumiałem? Sugeruje pan, że Sarah miała z tym coś wspólnego?

Grace, w obliczu trudnej decyzji, znów wbił wzrok w stolik do kawy i przez chwilę uważnie mu się przyglądał, jakby we wzorach na drewnie mógł znaleźć odpowiedź, jak powinien postąpić.

– Trudno przekazać to w delikatny sposób, ale wygląda, że pańska synowa miała romans – powiedział wreszcie, patrząc Daly'emu w oczy.

Daly wzruszył ramionami.

– No i dobrze, życzę jej szczęścia. Zasługuje na kogoś lepszego niż mój syn, bez dwóch zdań.

Zdziwiony i uspokojony tą reakcją Grace ciągnął dalej:

– Mężczyzna, z którym miała romans, to Gareth Dupont, który został oskarżony o zamordowanie pańskiej siostry.

Nastąpiło długie milczenie. Grace zobaczył, że Daly zaciska dłonie tak mocno, że prawie widać było kości przechodzące przez cienką, białą skórę.

– To wiele wyjaśnia – powiedział wreszcie.

– Czy sądzi pan, że tych dwoje mogło być w zмовie?

Daly pokręcił głową.

– Ani przez chwilę tak nie pomyślałem, o nie. Sarah jest uczciwą osobą. Domyślałem się, że ten cały Dupont ją namierzył i zrećźnie wydobył od niej informacje. Rozmawiał pan z nią?

– Tak, i jestem skłonny się z panem zgodzić – przyznał Grace.

– Sądzę, że została użyta, bezwzględnie wykorzystana. Lucas traktował ją jak śmiecia. Była łatwym łupem dla takiej kanalii jak Dupont.

Grace uważnie wpatrywał się w jego twarz.

– O której ma pan lot do Nicei?

– O pierwszej.

– Bezpiecznej podróży, będę pana informował na bieżąco.

– Będę wdzięczny.

* * *

Kiedy Roy Grace opuścił dom Daly’ego, dwie rzeczy nie dawały mu spokoju. Pierwszą było zażenowanie Sarah Courteney, gdy spytał ją o cenę zegarka. Nadal nie rozumiał tej reakcji. Jednak gdy wjeżdżał na swoje miejsce parkingowe przed Sussex House, coś niepokoiło go jeszcze bardziej: ta waliza w korytarzu Gavina Daly’ego. Kilka miesięcy wcześniej oglądał film dokumentalny o ludziach mających drugie domy we Francji albo w Hiszpanii. Mówili o tym, jak tanio i wygodnie jest korzystać z niedrogich lotów. Wszyscy podkreślali, że sekret polega na tym, by nie brać

bagażu. Żeby nie tracić czasu przy odprawach. Tylko mały bagaż podręczny.

A w korytarzu domu Gavina Daly'ego stała potężna waliza. Na pewno będzie konieczna odprawa, chyba że leciał prywatnym samolotem. Ale nawet w tym wypadku, taki wytrawny i zamożny podróżnik jak on nie musi taszczyć ze sobą walizy.

Chyba że skłamał na temat celu swojej podróży.

Odezwał się jego telefon. Dzwonił Peregrine Stuart-Simmonds.

– Roy, sądzę, że cię to zainteresuje. Właśnie dzwonił do mnie znajomy, specjalizujący się w sprzedaży bardzo rzadkich zegarków, Richard Robbins z Jewelers Row w Chicago. To człowiek o nieposzlakowanej opinii. Poczta pantoflową dotarły do niego wieści o zegarku marki Patek Philippe, który z opisu bardzo przypomina ten nasz poszukiwany. Ktoś próbuje go sprzedać w Nowym Jorku.

– Czy podał jakieś nazwiska? Mamy kogoś, z kim można porozmawiać?

– Tak, wiele. Właśnie siedzę nad tym. Pomyślałem, że pewnie chciałbyś od razu się dowiedzieć.

– Naturalnie, dziękuję.

Rozłączył się, po czym natychmiast zadzwonił do biura wydziału i poprosił o sprawdzenie list pasażerów w samolotach odlatujących tego dnia do Nowego Jorku. Mieli szukać nazwiska Gavina Daly'ego.

Na szóstym piętrze wycie syreny słyhać było coraz bliżej, gdy karetka pędziła po monachijskiej Widenmayerstrasse. Był gorący dzień późnego lata i okno gabinetu doktora Eberstarka zostało uchylone, by wpuścić trochę powietrza – a wraz z nim wpadał uliczny hałas.

Psychiatra zmarszczył brwi, patrząc na Sandy.

– Czy zamierza mi pani powiedzieć, że tak naprawdę pani żyje?

– Royowi?

– Tak, Royowi.

– Nie. – Poczła odświeżający powiew i w tej samej chwili syrena przemknęła po ulicy tuż pod nimi.

– A więc jest pani osobą zmarłą?

– Sandy Grace jest osobą zmarłą. Co nie znaczy, że ja jestem.

Doktor Eberstark był małym, pięćdziesięcioletnim mężczyzną, który potrafił, co zawsze ją uderzało, sprawiać wrażenie jeszcze młodszego. Częściowo przez to, że nosił garnitury, które zawsze wydawały się o numer za duże, jakby oczekiwał, że do nich dorośnie, a częściowo z powodu wielkich okularów w czarnej oprawie, które przytłaczały jego jastrzębią twarz.

– Prawnie biorąc, jest pani.

– Prawnie biorąc, jestem Frau Lohmann.

Spojrzał na nią pytająco.

– Powiedziała mi pani, że otrzymała niemieckie obywatelstwo, płacąc komuś. Czy to było zgodne z prawem?

Wzruszyła ramionami i odparła lekceważącym tonem:

– Nikt nie umarł z tego powodu.

Psychiatra przyglądał jej się przez kilka chwil.

– Nikt nie umarł, ale ktoś musiał zostać zraniony, prawda?

Zapadła w typowe dla siebie długie milczenie. Wreszcie spytała:

– Kto?

– Pani mąż, Roy. Czy nigdy nie myślała pani o tym, jak mogło odbić się na nim pani zniknięcie?

– Tak, oczywiście, wiele o tym myślałam. Na początku bez przerwy. Ale... – Znów zamilkła.

– Ale co? – ponaglił ją po kilku minutach.

– To rozwiązanie było najlepsze ze wszystkich złych rozwiązań. Moim zdaniem.

– I nadal tak pani uważa, prawda?

– Spaprałam sobie życie. Pewnie dlatego tutaj jestem. Ludzie nie przychodzą do świrowologa, bo są szczęśliwi, zgadza się? Ma pan jakichś szczęśliwych pacjentów?

– Skoncentrujmy się na pani.

Uśmiechnęła się.

– Jestem jak pociąg po katastrofie, nie sądzi pan?

Psychiatra miał małe przenikliwe oczy, które zazwyczaj pozostawały stalowo chłodne i pozbawione emocji. Jednak od czasu do czasu pojawiał się w nich błysk humoru. Tak jak w tej chwili.

– Powiedziałbym, że jeszcze nie. Ale moim zdaniem wszystko do tego zmierza, jeśli zdecyduje się pani na kupno tego domu.

Znów pogrążyła się w milczeniu i przez ostatnie minuty sesji już się nie odezwała.

– No to o co chodzi? – spytał Gareth Dupont, ponuro żując gumę na tylnym siedzeniu nieoznakowanego forda.

Ogolił się, był ubrany w czyste dżinsy i świeżo wypraną niebieską koszulę pod zamszową kurtką. Więźniom w areszcie śledczym wolno było nosić własne ubrania, dopóki nie zostaną skazani.

– Pomyślałem, że będziesz wdzięczny za kilka godzin poza więzieniem – powiedział Roy Grace siedzący z przodu na miejscu pasażera.

Było południe i mieli odstawić Duponta z powrotem przed siedemnastą. Guy Batchelor wycofał samochód z zatoczki pod budynkiem, w którym mieścił się areszt. Policjanci musieli być dyskretni, kiedy zabierali więźniów pod eskortą, by inni więźniowie się o tym nie dowiedzieli. Wystarczyło najmniejsze podejrzenie, że ktoś kapuje, a życie w więzieniu mogło stać się bardzo nieprzyjemne i niebezpieczne.

W tym wypadku powiedziano, że Gareth Dupont ma pokazać policji domy, w których dokonał włamań, w Sussex i okolicach, bo może dzięki temu uzyskać złagodzenie kary. Jednak i tak, zamiast zabierać go z więzienia, załatwili, żeby przedtem został przeniesiony do budynku aresztu za Sussex House.

– Przede wszystkim wolałbym tam nie być.

– Twój wybór – odparł Grace. – Prawda?

Batchelor podjechał do elektrycznej bramy i czekał, aż się otworzy.

– Nie skrzywdziłem starszej pani. Nie brałem w tym udziału.

– A w czym brałeś, Gareth?

Uniósł skute nadgarstki.

– Czy jest szansa, żebyście to zdjęli? Nie zamierzam próbować ucieczki.

– To bardzo szlachetne z twojej strony – powiedział Grace. – Zobaczmy, na ile jesteś chętny do współpracy, a może zrobimy nawet coś lepszego... może kupić ci dobry posiłek? – Uniósł brwi.

Dupont wyraźnie się ożywił.

– A co z więzieniem? Możecie załatwić mi lepszą celę?

– Taką z wanną wpuszczaną w podłogę? Ta, w której stoi łoże z baldachimem, jest już chyba zajęta.

– Ha, ha. Siedzę z debilem, który śmierdzi i chrapie jak wieprz. Naprawdę cuchnie. Jest odrażający.

– Zobaczą, co da się zrobić, ale nie mogę nic obiecać. Moja władza tam nie sięga. Ale jak okażesz się pomocny, porozmawiam z naczelnikiem więzienia. No więc, gdzie byś chciał wpaść na lunch?

– Jest szansa na big maca?

– Z frytkami i colą?

– Nie rozbudzajcie moich nadziei.

– Z przyjemnością ci to wszystko zapewnimy, Gareth, jeśli będziesz pomocny.

Pojechali na A27, potem w górę, i skręcili w Dyke Road Avenue, szeroką drogę biegnącą przez środek Brighton i Hove, przy której po obu stronach znajdowały się jedne z najdroższych domów w mieście, choć część z nich zamieniono w domy opieki. Po pokonaniu krótkiego odcinka zaparkowali przed bramą z kutego żelaza, za którą stał wielki dom z czerwonej cegły, z bentleyem i ferrari na podjeździe.

– Poznajesz to miejsce? – spytał Grace.

Dupont pokręcił głową.

– Zostało okradzione trzy lata temu. Duży łup w postaci obrazów i georgiańskich sreber. Nikogo nigdy nie zatrzymano. Jeden z twoich?

– Nie.

– Jesteś pewien? Lepiej, żebyś jeszcze przed rozprawą przyznał się do innych przestępstw. Sędzia potraktuje cię wtedy łagodniej. Inaczej mogą ci przedłużyć wyrok.

– Nie sądzę, żeby można było przedłużyć dożywocie. Nie, nigdy się tu nie włamałem. I nie brałem udziału w znęcaniu się nad starszą panią. Musicie mi uwierzyć.

– Dlaczego miałbym ci wierzyć?

– Bo... o cholera. – Westchnął. – Te palanty nie musiały jej torturować. I tak znalazłem szyfr do sejfu i wiedziałem o ukrytych w głębi drzwiczkach.

– Wiedziałeś, że zegarek marki Patek Philippe jest w środku?

– Tak.

– Naprawdę? Od kogo?

– Nie mogę powiedzieć, boby mnie zabił.

– On? Jesteś pewien, że nie „ona”?

– To był „on” – stwierdził kategorycznie.

Grace wyczytał z jego oczu, że mówi prawdę. Kiwnął głową do sierżanta Batchelora, by jechał dalej, po czym zwrócił się do Duponta:

– A więc to zupełny zbieg okoliczności, że miałeś... masz... romans z żoną Lucasa Daly’ego, a jednocześnie byłeś zamieszany we włamanie do domu ciotki jej męża?

Dupont wzruszył ramionami.

– No, może wypytałem ją o parę rzeczy.

– Specjalnie ją namierzyłeś czy poznanie jej było tylko zbiegiem okoliczności?

– Wiecie, w co wierzę? – odparł więzień. – W szczęśliwy traf. Czasem ma się w życiu farta.

Batchelor skręcił w prawo, w wysadzaną drzewami Tongdean Road, jeszcze bardziej ekskluzywną niż Dyke Road Avenue. Niektóre domy były ukryte za murami i gąszczem krzewów. Minęli budynek z białymi kolumnami, o proporcjach starożytnej greckiej świątyni, i skręcili w lewo, w Tongdean Avenue, uważaną przez wielu za najbardziej ekskluzywną ulicę miasta. Batchelor wyprzedził trzech z rzędu kursantów nauki jazdy, którzy trenowali jazdę na wstecznym, po czym skręcił w prawo i zatrzymał się przed bramą kolejnej rezydencji, z której, jak ze wszystkich domów po tej stronie ulicy, roztaczał się wspaniały widok na południe, na Hove i kanał La Manche.

– A co powiesz o tym miejscu? – spytał Grace. – Cztery lata temu dwóch zamaskowanych osobników zaatakowało właścicieli, kiedy o północy wrócili i czekali na otwarcie bramy. Zostali związani i grożono im zapalniczką, aż wreszcie podali szyfr do sejfu i kody PIN do swoich kart bankowych.

– Nie, to nie ja, przykro mi.

– Zastanów się dobrze – poradził mu Grace. – A nawiasem mówiąc, mam dla ciebie złą wiadomość.

– Tak?

– Moi ludzie znaleźli tę furgonetkę, którą wypożyczyłeś z firmy w Ipswich. Pewnie myślałeś, że bezpieczniej będzie wynająć ją gdzieś dalej?

Dupont nic nie odpowiedział.

– Technicy kryminalistyki znaleźli w niej odciski palców, twoje i twoich kumpli, Macaria i Barneses. Dostaniesz od piętnastu do dwudziestu lat. A więc daję ci przyjacielskie ostrzeżenie: nie olewaj nas. Zawrzemy umowę?

– Jaką umowę?

– Jesteśmy góra dziesięć minut od najbliższego McDonalda. Gdzie są rzeczy ukradzione z domu Aileen McWhirter i kto cię wynajął? Czy nie nazywał się przypadkiem Eamonn Pollock?

– Myślałem, że nasza umowa polega na tym, że nie rozmawiamy o tej sprawie bez mojej papugi. Sądziłem, że chcecie mi tylko pokazać różne miejsca włamań.

– Nie musisz o tym rozmawiać, a my nie musimy kupować ci big maca. Możemy odwieźć cię prosto do więzienia, jeśli tak wolisz.

– W więzieniu będę narażony na ataki – odparł. – Wiem o tym. Chciałbym zjeść burgera, ale nikogo nie zakapuję. Więc jeśli taki macie plan, możecie równie dobrze zawieźć mnie od razu z powrotem.

Odezwał się telefon Grace'a. Roy podniósł palec, by uciszyć Garetha, po czym odebrał. Dzwonił Norman Potting.

– Wszystko dobrze na Costa del Sol? – spytał Grace.

– Costa del Crime, szefie. – Potting zachichotał. – Mam dwie sprawy. Po pierwsze, wynik sekcji zwłok Kena Barneses i Anthony'ego Macaria. Obaj utonęli, prawdopodobnie w wyniku nadmiernego spożycia alkoholu... wywrócony ponton też za tym

przemawia. Jednak koronerowi nie podobają się obrażenia na ich ciałach: wygląda na to, że przed utonięciem mogli brać udział w brutalnej bójce. Ale tej nocy nie zgłaszano policji żadnych burd oraz, co znamienne, ludzie przebywający na sąsiednich jachtach lub w mieszkaniach, których okna wychodzą na zatokę, nie słyszeli ani nie widzieli nic podejrzanego. Sprowadzono Guardia Civil, by zbadała sprawę dokładniej, i na razie na tym stało.

– Dobra. Dzięki, Norman. A ta druga sprawa?

– Lokalna policja sprawdziła listy wszystkich pasażerów, którzy odlatywali z lotniska w Maladze w zeszłym tygodniu, i na jednej z nich było nazwisko Eamonna Pollocka.

– Gdzie poleciał?

– W ostatni czwartek, trzydziestego sierpnia, lot krajowy z Malagi do Madrytu. Musiał tam przenocować, a potem, trzydziestego pierwszego sierpnia, wsiadł do samolotu lecącego do Nowego Jorku.

Grace zdawał sobie sprawę, że siedzący za nim Dupont słyszy każde słowo. Wysiadł z auta, zamknął drzwi i oddalił się na parę kroków. Wiał porywisty wiatr.

– Świetna robota, Norman. Musimy się dowiedzieć, gdzie zatrzymał się w Nowym Jorku. Pamiętam, że jak leciałem tam w zeszłym roku, to zanim się weszło na pokład, trzeba było udzielić takiej informacji liniom lotniczym.

– Mam ten adres, szefie – odparł Potting, najwyraźniej jeszcze bardziej zadowolony z siebie niż zwykle. – Ritz Carlton, pięć zero Central Park South.

– Jesteś super! – rzucił Grace i rozłączył się.

Miał gonitwę myśli. Jego informator z więzienia Lewes, Donny Loncrane, podał mu nazwisko Eamonna Pollocka. Ponad tydzień po włamaniu Eamonn Pollock poleciał do Nowego Jorku. Tydzień później Peregrine Stuart-Simmonds doniósł, że ktoś oferuje nowojorskim handlarzom zegarek Patek Philippe, odpowiadający opisowi tego skradzionego. Znów zadzwonił jego telefon.

Był to Exton z biura wydziału.

– Szefie, mam dla pana wiadomość na temat Gavina Daly’ego. Chciał pan, żebyśmy sprawdzili, jaki lot ma zabukowany na dzisiaj.

To British Airways do Nowego Jorku, JFK, wylot o trzynastej pięćdziesiąt.

Grace spojrzął na zegarek. Godzina dwadzieścia minut.

– Dobra robota, Jon – powiedział.

Wsiadł do samochodu i zwrócił się do Garetha Duponta:

– Co mówiłeś wcześniej? O szczęśliwym trafie? Że czasem ma się w życiu farta?

Dupont skinął głową.

– No to masz rację. Czasami ma się w życiu farta.

– Czy to znaczy, że dostanę swojego burgera?

– Przykro mi, zmiana planów. Kupimy go po drodze, ale muszę natychmiast odwieźć cię do więzienia. Obawiam się, że dziś to nie twój szczęśliwy dzień, Gareth, tylko mój.

Tuż po pierwszej Roy Grace i Guy Batchelor podjechali pod dom Lucasa Daly'ego i Sarah Courteney przy Shirley Drive. Grace polecił Batchelorowi poczekać w samochodzie, a sam podszedł do drzwi wejściowych i nacisnął dzwonek.

Otworzyła chwilę później, ubrana na luzie, w dżinsy i T-shirt. Zaczerwieniła się na jego widok.

– Dzień dobry, nadinspektorze. – Uśmiechnęła się miło.

– Byłem właśnie w sklepie i powiedziano mi, że Lucas wyjechał na weekend. Czyżby znowu grał w golfa?

Wyraźnie zirytowało ją to pytanie, ale jej oczy patrzyły prosto na niego, czyli mówiła prawdę.

– Nie. On... – Zawahała się. – Właściwie to musiał wyjechać w interesach.

– Może do Nowego Jorku?

Znów chwila wahania.

– Tak.

– Muszę pilnie z nim porozmawiać. Czy wie pani, gdzie się zatrzymał?

Jej oczy nadal nie uciekały w bok.

– Nie wiem. Powiedział, że zadzwoni, jak tam dotrze. Prawdę mówiąc, decyzja o podróży była dość nagła. Może pan wejdzie?

Wszedł, a ona zamknęła za nim drzwi.

– Napije się pan herbaty albo kawy?

– Nie, dziękuję.

Była naprawdę piękną kobietą. Dlaczego, do diabła, sypiała z taką kanalią jak Gareth Dupont? Może każdy inny mężczyzna dawał jej wytchnienie od męża zbirą?

– Czy mąż regularnie bywa w Nowym Jorku?

– Nie. No cóż... – Nagle zmieszła się i zaczęła błądzić wzrokiem.
– Jego ojciec, mój teść, ma kontakty na całym świecie. Czasem mąż wyjeżdża za granicę na ważne aukcje, żeby coś kupić albo sprzedać. Albo żeby obejrzeć coś, czego zakup rozważa.

– Właśnie w tym celu udał się do Nowego Jorku?

– Tak sędzę. Niewiele mi mówi o swoich interesach. Prowadzimy osobne życie. – Spojrzała na niego znacząco. – Jak pan pewnie zauważył.

Tym razem to Grace się zarumienił.

– Nie osądzam pani prywatnego życia.

– Dziękuję.

Za każdym razem, gdy Roy Grace wchodził do okazałego budynku w stylu królowej Anny, gdzie miała swoją siedzibę wyższa kadra oficerska kwatery głównej policji Sussex w Lewes, stolicy hrabstwa East Sussex, czuł się tak, jakby wracał do czasów dzieciństwa. Znow był małym, nerwowym chłopcem w gabinecie dyrektora szkoły.

Jego przełożony, Peter Rigg, zastępca komisarza, był eleganckim mężczyzną o zdrowej cerze, starannie, tradycyjnie przystrzyżonych jasnych włosach, mówiącym z wytwornym akcentem, czasem nieco zjadliwie. Choć był sporo niższy od Grace'a, dzięki nienaganej postawie i wojskowej prezencji wydawał się wysoki. Miał na sobie świetnie skrojony ciemny garnitur, prążkowaną koszulę i krawat, który zdaniem Grace'a mógł być klubowy albo uniwersytecki. Gabinet Rigga ozdobiły oprawione w ramki zdjęcia samochodów wyścigowych, a ponieważ Grace też podzielał tę pasję, mieli o czym ze sobą porozmawiać w mniej stresujących okolicznościach. Na biurku stało zdjęcie atrakcyjnej blondynki – żony Rigga, Nikki, którą Grace poznał ostatnio na jakimś przyjęciu, oraz dwójki ich dzieci, chłopca i dziewczynki.

– Dziękuję, że tak szybko przystał pan na spotkanie – powiedział Grace.

– Liczę na to, że ma pan więcej pomyślnych wiadomości – rzucił kąśliwie szef. – Dobrze, że przymknęliście Duponta. Proszę mówić.

– W ciągu ostatnich godzin sprawy posunęły się do przodu, a wszystkie nici prowadzą do Nowego Jorku. Muszę natychmiast zabrać tam swój zespół, bo nie sędzę, abym mógł działać efektywnie, będąc tutaj.

Grace wyjaśnił, co przyniosły ostatnie godziny.

Ku jego zaskoczeniu, zamiast zrobić mu wykład na temat cięć budżetowych w policji, Peter Rigg spytał:

– Czy już pan wie, ilu członków zespołu musi pan ze sobą zabrać?

– Chciałbym wziąć minimum dwie osoby: najlepiej starszego i młodszego oficera. Mam dobrego znajomego w nowojorskiej policji, którego już wprowadziłem w sprawę, ale nie wiem, czego mogę się tam spodziewać, a nie chcę być od nikogo zależny.

– Ten pański Branson chyba bardzo się nadaje.

– Ma poważne problemy rodzinne, bo właśnie zmarła jego żona. Ale owszem, jest świetny. Chciałbym zabrać Extona z wydziału dochodzeniowo-śledczego. To niezwykle inteligentny policjant, panie komisarzu.

– Kiedy chce pan lecieć?

– Pierwszym możliwym lotem. To znaczy jutro.

– Porozmawiam z szefem. Ale w zasadzie wspieram w tym pana, Roy. Tylko proszę wrócić z wynikami. I sądzę, że przy obecnej atmosferze związanej z cięciami, lepiej nie informować o tym prasy.

– W ogóle nie chcę, by prasa coś o tym wiedziała, panie komisarzu. Potrzebny mi jest element zaskoczenia.

– Jeszcze dwie sprawy. Wiem, że kiedyś już pan pracował w Stanach, ale proszę nie podejmować żadnych niezależnych akcji bez wiedzy nowojorskiej policji... choć na pewno by pan tego nie zrobił. Poza tym mam się spotkać z zastępcą szefa policji, więc proszę nie narobić mi wstydu, dobrze?

Grace uśmiechnął się szeroko.

– Powodzenia, panie komisarzu. I bez obawy, w Nowym Jorku zdam się całkowicie na współpracę.

– Panu też życzę powodzenia, Roy.

Grace wracał do samochodu z ciężkim sercem. Tak bardzo nie miał ochoty nigdzie wyjeżdżać – chciał zostać na miejscu, by pomagać Cleo i ją wspierać, pragnął być ze swoim synem. Za każdym razem, gdy opuszczał dom, tęsknił za Noahem. Przygnębiała go myśl, że spędzi kilka dni bez niego. Jednak nie widział innej możliwości.

Sąsiedzi się kłócili! A dziecko płakało!

Był zachwycony!

Jednak Amisa Smallbone'a najbardziej ucieszyły wieści, które nadinspektor Roy Grace przyniósł swojej ukochanej Cleo.

„Roy, naprawdę musisz jechać?”

„Tak. To ja mam kontakty z nowojorską policją, a potrzebujemy jej pomocy”.

„A ja naprawdę potrzebuję twojej pomocy tutaj. Skoro połączono wydziały do spraw poważnych przestępstw Surrey i Sussex, na pewno znajdzie się ktoś, kto mógłby cię zastąpić”.

Siedząc w dużym fotelu na piętrze swego nowego domu, paląc papierosa i popijając whisky, Smallbone chłonał te słowa przez zestaw słuchawkowy Bose. Nadinspektor Roy Grace leciał jutro przed południem, o jedenastej trzydzieści, do Ameryki. Zostawiał ukochaną Cleo Morey. I swego syna Noaha.

Ho, ho.

Niemądrze. Bardzo niemądrze. Tyle możliwości tłukło mu się po głowie. Oszpecić Cleo Morey za pomocą kwasu. Zabić koszmarnego dzieciaka, Noaha, który teraz płakał. Zabić Cleo. Zabić dziecko. Złamać temu małemu draniowi kręgosłup, żeby był sparaliżowany przez resztę życia.

A potem patrzeć, jak Roy Grace wozi na wózku małego kalekę.

Tyle możliwości, sam nie wiedział, na co się zdecydować. Nasłuchiwał uważnie słów, zagłuszanych przez wrzaski tego małego drania.

„Cleo, kochanie, musisz zrozumieć. To ja mam kontakty z policją nowojorską, z Patem Laniganem z wydziału dochodzeniowo-sledczego, a jego pomoc jest nam nieodzowna”.

„Czy on wie, że masz dwumiesięczne dziecko?”

„Będę tam tylko kilka dni, obiecuję”.

„Znam cię. Będiesz tam co najmniej tydzień. A potem pewnie kolejny. Rozumiem, że twoja praca jest ważna, ale to, żebyś tu był i pomagał mi przy Noahu, jest również ważne”.

„A może sprowadzimy twoją matkę albo siostrę?”

„Mogę poprosić matkę, ale pewnie po paru dniach zaczniemy się nawzajem wykańczać. A Charlie wyjechała do Szanghaju w związku z nową pracą”.

„Cleo, to dla mnie bardzo ważne dochodzenie. Jeśli wyślę tam kogoś innego, kto spieprzy sprawę, nigdy sobie tego nie wybaczę. No, daj spokój, wiesz, jaka jest sytuacja”.

„Czemu nie wyślesz Glenna? Już cię kiedyś zastępował”.

„Bo w środę ma pogrzeb żony, rozumiesz?”

Znów zapadło długie milczenie. Dziecko też ucichło. Wreszcie odezwała się Cleo.

„Kogo zabierasz ze sobą?”

„Chciałem wziąć Jona Extona, ale paszport tego idioty stracił w maju ważność. Biorę więc sierżanta Batchelora i bystrego nowego chłopaka z zespołu, Alexandra. Wynagrodzę ci to, kiedy wrócę, obiecuję”.

O tak, jasne, pomyślał Amis Smallbone. Wynagrodzisz jej to, kupując piękną trumienkę dla synka. A ja będę na pogrzebie i stanę blisko ciebie, z uśmiechem na twarzy. Tak więc będziesz wiedział, nadinspektorze Grace. Będziesz wiedział, przez kogo cierpisz. Będziesz mnie pamiętał do końca swoich dni.

Zgniół w popielniczce papierosa, zapalił następnego, drżącymi dłońmi ustawił odpowiedni poziom głośności w słuchawkach i dalej napawał się spektaklem.

Kiedy tylko przeszli przez kontrolę paszportową na międzynarodowym lotnisku Newark Liberty, Roy Grace wysłał do Cleo esemesa: „Wylądowałem! XX”.

Potem zadzwonił do centrum koordynacyjnego i porozmawiał z Alekiem Daviesem, który zdał mu sprawę z kilku ostatnich godzin, podczas których nie było z Grace’em kontaktu, ale też nie było nic znaczącego do zameldowania.

Guy Batchelor i Jack Alexander mieli już swoje walizki na wózkach. Roy Grace, coraz bardziej przygnębiony, śledził wzrokiem nieodebrane bagaże, które po raz czwarty, piąty czy szósty krążyły po taśmociągu. Trzymał telefon przed sobą, rozpaczliwie czekając na odpowiedź. Tak bardzo już tęsknił za Cleo i Noahem.

Nagle taśmociąg się zatrzymał.

– Cholera! – rzucił.

– Zdarzyło nam się to z Leną w zeszłym roku – powiedział Guy Batchelor. – Poleciliśmy na wakacje do Turcji. Przez trzy dni nie mogłem odzyskać walizki.

– Dzięki, Guy – mruknął Grace. – Niezmiernie mnie pocieszyłeś.

W Nowym Jorku była siedemnasta, w Anglii dwudziesta druga. Podczas lotu siedzieli obok siebie. Omówili strategię działania, a później, po posiłku, odpoczywali. Guy Batchelor i Jack Alexander włożyli słuchawki i oglądali film, ale Grace był zbyt nakręcony, by oglądać film albo spać. Gryzł się tym, że zostawił Cleo, co go tak rozpraszało, że nie mógł skoncentrować się na czekającym ich zadaniu.

Teraz czuł się wykończony.

Ze znużeniem powlókł się do przedstawicielstwa British Airways, odczekał w krótkiej kolejce i pokazał swój kwit bagażowy. Mężczyzna siedzący za biurkiem wprowadził dane do komputera,

po czym przekazał Grace'owi wiadomość, której ten bardzo nie chciał usłyszeć.

– Przykro mi, nie ma.

– Świetnie.

W telefonie odezwał się sygnał esemesa. **Super! Teraz złap następny lot z powrotem. Noah i ja tęsknimy za tobą. X.**

Nie ma mojej cholernej walizki, odpisał.

Ha! Masz za swoje! XX.

Uśmiechnął się i odpisał:

Zadzwoń, jak dotrę do hotelu. Kocham. XXXXXX.

Chwilę później dostał odpowiedź: **Też cię kocham, chociaż nie wiem dlaczego. XXXXXXXX.**

– Najlepiej by było, proszę pana, gdyby zadzwonił pan do nas około dwudziestej, po następnym locie z Wielkiej Brytanii.

– Tak naprawdę najlepiej by było – odparł Roy Grace – gdybyście to wy do mnie zadzwonili i powiedzieli, że macie moją pieprzoną walizkę.

* * *

Humor Roya Grace'a, który już się poprawił po esemesie Cleo, jeszcze się polepszył, kiedy weszli we trzech do hali przylotów i ujrzał uśmiechniętego Pata Lanigana.

Lanigan był wysokim, imponującym mężczyzną po pięćdziesiątce, o szerokich ramionach i mocnej sylwetce. Miał surową, przystojną, choć ospowatą twarz i siwiejące włosy, ostrzyżone na jeża. Był ubrany w sportową kraciastą marynarkę, koszulkę polo, dżinsy i wysokie sznurowane buty. Należał do tych gliniarzy, z którymi rzadko kto zadziera. Powitał Grace'a niedźwiedzim uściskiem, a potem, widząc jego dyplomatkę, spytał, czemu ma tak skromny bagaż.

– Nie pytaj! – odparł Grace, przedstawiając go kolegom.

– Pójdę to załatwić, nie martw się! – powiedział Lanigan ze swoim nosowym brooklyńskim akcentem.

Wyciągnął odznakę policyjną i na dziesięć minut zniknął za drzwiami, którymi wcześniej wyszli. Wynurzył się stamtąd

z triumfalnym uśmiechem.

– Bagaż będzie w twoim hotelu przed dziesiątą – oznajmił.

– Jesteś wielki! – Grace od razu poczuł się pewniej w związku ze swoją misją.

– Nie ma sprawy. Wyjaśniłem temu facetowi od bagażu, że szef angielskiej policji nie chce, by zaginęła mu torba. Załatwione. – Uszczypnął Roya Grace'a w policzek.

– Jak się ma Francene? – spytał Grace.

– Świetnie! Jeśli znajdzie się czas, bardzo by chciała cię zobaczyć! A więc zostałeś tatą! Gratulacje!

Grace zawsze się zarzekał, że nigdy nie będzie jednym z tych ojców, którzy noszą w portfelach zdjęcia swoich dzidziusiów, ale zanurzył rękę w kieszeni marynarki i z dumą wyciągnął zdjęcie Noaha, by pokazać je nowojorczykowi.

– Jaki przystojny koleżka! Będzie twardzielem, jak tata! Widzę duże podobieństwo!

Guy Batchelor i Jack Alexander też pochylili się nad zdjęciem, a Roy poczuł nagle wielki przypływ dumy. Jego dziecko, jego i Cleo! Ich syn! Był jego częścią, ten pucołowaty człowieczek, na którego patrzyli.

* * *

Prywatny samochód Pata Lanigana, honda sports utility, stał zaparkowany niedaleko, z wizytówką nowojorskiej policji za szybą.

Pięć minut później jechali autostradą w kierunku Manhattanu.

– Pewnie chcecie się dziś wcześnie położyć. Zaczniemy jutro rano, o dziewiątej w moim biurze. Mówcie, czego potrzebujecie. Sprowadzę ekspertów od antyków z wydziału do spraw poważnych przestępstw, którzy działają na ulicach. Pozyskują informacje z domów aukcyjnych i od poufnych informatorów. Przybędzie też policjant z wydziału dochodzeniowo-śledczego, który ma znajomości na tym polu. Nazywa się Keith Johnson, polubisz go.

Zwracając się do policjantów na tylnym siedzeniu, spytał:

– Czy któryś z was był już w Nowym Jorku?

– Tak, kilkakrotnie – odrzekł Guy Batchelor. – Moja żona podróżowała służbowo.

– A ja nigdy – powiedział Jack Alexander. – Gdyby się udało, bardzo bym chciał pójść do sklepu Abercrombie & Fitch.

Grace pomyślał, że chciałby coś kupić Cleo. Ostatnio oglądali w telewizji film *Śniadanie u Tiffany’ego* – i teraz zastanawiał się, czy w tym sklepie znajdzie się coś, na co będzie go stać.

– Damy radę – powiedział Lanigan. – To wspaniałe miasto, wiecie, o co mi chodzi? Piękni ludzie. Dorwiemy tych drani i może będziemy mieli też czas na zabawę. Pierwsza rzecz na mojej liście, którą ci muszę przedstawić, Roy: sprawdziliśmy adresy hoteli, wpisane przy kontroli paszportowej przez Eamonna Pollocka, Gavina Daly’ego i Lucasa Daly’ego. Żaden z nich się nie zjawił we wskazanym miejscu. Są inne sposoby szukania hoteli, w których zatrzymują się podejrzani. Sprawdziliśmy amerykańskie formularze z odprawy wszystkich trzech. Wszyscy podali fałszywe adresy. Ale będą musieli użyć kart przy meldowaniu się w hotelu. Moi ludzie sprawdzą, czy dane są przetrzymywane w hotelach aż do wymeldowania, czy też od razu wprowadzane do bazy danych. Jeśli tak, to szybko ich zlokalizujemy.

– A jeśli nie?

– Plan B.

– To znaczy?

– To bogaci faceci, ci Daly i Pollock, prawda? Nie zatrzymają się w byle dziurze. Zaczniemy od pięciogwiazdkowych hoteli na Manhattanie i po kolei je sprawdzimy.

– Brzmi rozsądnie.

– No dobra, to jedziemy was zameldować w hotelu. Zarezerwowałem wam pokoje w Hyatt Grand Central, bo ma dobrą lokalizację. Zamierzałem was potem zabrać do Mickey Mantle’s... pamiętasz to miejsce, Roy?

– Zabrałeś mnie tam, kiedy byłem tu ostatnio, pamiętam. Mantle był wielką gwiazdą baseballu.

– Na pewno by się wam spodobało. Doskonałe jedzenie, proste, bez fanaberii: pyszne burgery, zresztą wszystko bardzo smaczne. Niestety, jest zamknięte. Ale znam świetną włoską knajpę. Lubicie makaron?

– Niezły plan – uznał Grace.

Amis Smallbone również miał plan. Była dwudziesta druga trzydzieści. Rano patrzył, jak Roy Grace na progu domu całuje swoją ukochaną Cleo na pożegnanie, potem, niosąc torbę podróżną, przecina podwórze i wychodzi przez bramę. Dzień był ładny, słoneczny, więc około południa Cleo wzięła dziecko w wózku na spacer, z którego wróciła wczesnym popołudniem.

Oprócz krótkiej przerwy w południe, kiedy zszedł do kuchni, żeby podgrzać sobie w mikrofalówce pieróg z wołowiną i mrożony groszek na obiad, cały czas siedział w fotelu za siatkowymi firankami i obserwował podwórze przed domem Grace'a.

Tuż po szesnastej zjawiała się tam elegancko ubrana i całkiem przystojna kobieta po pięćdziesiątce. Matka Cleo. „Mamusia”, jak Cleo się do niej zwracała. „Mamusia” została dwie godziny. Powiedziała, że wróci nazajutrz rano z „tatusiem” i zabiorą Cleo z Noahem na oglądanie domów na wsi.

Co oznaczało, że jej dom będzie przez wiele godzin pusty. Doskonale. Będzie mógł wpaść i rozejrzeć się, chociaż na podstawie planów znał już rozkład pomieszczeń.

Nalał sobie kolejną whisky i zapalił kolejnego papierosa. Noah Grace. Czego ojciec chciał cię nauczyć na temat życia?

Przypomniał sobie własnego ojca, Maurice'a. Bez miłości, ale z szacunkiem. Najbardziej wryło mu się w pamięć wspomnienie z wczesnego dzieciństwa. Nie pamiętał dokładnie, ile miał lat, pewnie sześć albo siedem. Ojciec postawił go na kuchennym stole, założył mu przepaskę na oczy i kazał skoczyć w jego ramiona.

Amis stał przez kilka chwil jak skamieniały, chwiejąc się. Ojciec ponaglił go.

– Skacz, Amis. Rzuć się w moje ramiona. Złapię cię.

Wreszcie się odważył. Ojciec go nie złapał, stał parę kroków dalej, z rękami w kieszeniach. Amis Smallbone tak mocno wyrznął twarzą w kuchenną posadzkę, że wybił sobie dwa zęby i złamał nos.

Wtedy ojciec zdjął mu przepaskę z oczu i otarł twarz szmatką.

– Niech to będzie dla ciebie lekcja, synu. Nigdy w życiu nikomu nie ufaj, nawet własnemu ojcu.

Smallbone nigdy nie zapomniał tej chwili. Matka patrzyła na to z boku, bez przekonania. Zastraszona i dręczona przez ojca, w milczeniu akceptowała wszystko, co wyprawiał ze swoimi dziećmi w imię tego, by „stały się twarde”.

Kiedy miał czternaście lat, ojciec wziął go ze sobą na obchód, który robił jako poborca długów. Pukał do drzwi różnych ruder – otwierały zapłakane kobiety albo wystraszeni mężczyźni. Na jego widok kobiety umykały do pomieszczeń w głębi, gmerały pod materacami, wytrząsały banknoty i drobne z dzbanków i pojemników na herbatę, błagały. „Szumowiny – mówił o nich ojciec. – Hołota. Wszyscy kłamią. Trzeba robić to, co jest słuszne. Czyli zabrać, co twoje. Życie ci tego nie da, sam musisz wziąć. Będą szukali najróżniejszych wymówek: mój mąż jest bez pracy i choruje; mój mąż stracił pracę; nie mogłem pracować, bo mam chore dziecko”.

Czasami Amisowi Smallbone’owi robiło się żal jakiegoś przerażonego człowieka. Ale kiedy raz powiedział o tym ojcu, ten wymierzył mu policzek i spiorunował go wzrokiem.

„Rzygać mi się chce na ich widok, Amis, rozumiesz? Oni żerują na słabości. Okaż im współczucie, a owiną sobie ciebie wokół małego palca. Zrozum to, bo jak nie, to cię obsrają i zrujną ci życie”.

Amis zrozumiał. Zanim skończył osiemnaście lat, zbierał już pieniądze za czynsz samodzielnie, jedynie w towarzystwie brzytwy, którą trzymał w kieszeni i wyjmował pod byle pretekstem przy tych szumowinach, zarówno kobietach, jak i mężczyznach. Od czasu do czasu kogoś ciachnął, ot tak, by zobaczyć szkarłatną wstążkę na policzku. Kiedy zrobił się bardziej bezczelny, pukał do drzwi z otwartą brzytwą w rękę. „Szkarłatna wstążka czy czynsz?”, pytał.

Może szkarłatna wstążka na twarzy Noaha Grace’a byłaby przyjemna, myślał. Wrzaski tego cholernego bachora nie dawały

mu spać zeszłej nocy. Jak by to było, gdyby Cleo podbiegła do jego łóżeczka i ujrzała wszędzie krew?

Może by tak wykonać cięcie od kącików ust aż do uszu, po obu stronach? Coś takiego w więzieniu osadzeni robią gwałcicielom. W różnych więzieniach różnie się to nazywa: Uśmiech Glasgow, Uśmiech Chelsea albo po prostu Uśmiech Gwałciciela.

Spodobał mu się ten pomysł. Syn Grace'a naznaczony na całe życie w najbardziej haniebnym sposobie.

Im dłużej o tym myślał, tym bardziej mu się podobało. O wiele lepsze i prostsze niż zabicie Noaha.

Uniósł szklankę w toaście. Świetny pomysł.

Genialny!

O szóstej rano czasu nowojorskiego w niedzielę, całkiem rześki, Roy Grace zadzwonił do Cleo. Była przygaszona. Jechała właśnie z rodzicami ich samochodem, by obejrzeć na wsi w pobliżu Brighton pierwszy z czterech domów, które zapowiadały się dobrze w opisach agencji nieruchomości. Powiedziała, że ostatniej nocy Noah ją wykończył.

- Przykro mi, kochanie – odrzekł.
- Tak – rzuciła beznamiętnie.
- Zadzwonię później, w ciągu dnia – obiecał. – Kocham cię.
- Ja ciebie też.

Włożył strój do biegania, zjechał windą z jedenastego piętra, po czym wyszedł na Czterdziestą Drugą Ulicę i skręcił w prawo. Wczesne poranne powietrze było świeże i chłodne. Miasto wydawało się wielkie i onieśmielające. Większe, niż zapamiętał. Budynki wznosiły się po obu stronach jak ściany kanionu. Dwa razy przeciął światła, potem znów skręcił w prawo i skierował się ku Piątej Alei i Central Parku. Przebiegł obok wystaw z eleganckimi damskimi i męskimi ubraniami. Obok samochodu czyszczącego ulice, z obracającymi się szczotkami, tryskającego wodą. Po lewej zauważył sklep Abercrombie & Fitch, o którym poprzedniego wieczoru wspomniał Jack Alexander.

Przebiegł obok Apple Store Cube, wdychając we wczesnym porannym powietrzu zapach koni przy Central Park South. Ignorując światła, przeciął bezludną ulicę i pobiegł po nierównym chodniku przy Piątej Alei, wypatrując wejścia do parku.

Cały czas łamał sobie głowę nad sprawą. Zegarek marki Patek Philippe jest tutaj, myślał. Eamonn Pollock jest tutaj. Gavin i Lucas Daly również są tutaj.

Rodzina Dalych powinna współpracować z policją, ale tego nie robiła. Czuł sympatię do Gavina. Lubił starszego pana. Zawsze miał słabość do ludzi, którzy potrafili przetrwać trudy życia, a poza tym Daly w ciągu swego dziewięćdziesięciopięcioletniego życia nie zrobił nic, co by przyciągnęło uwagę policji. Za jego syna Grace nie dałby złamanego grosza. Zgniłe jabłko. Nadal pamiętał sińce na klatce piersiowej Sarah Courteney.

Jednak najbardziej niepokoił go Eamonn Pollock. Gavin Daly okłamał Grace'a i poleciał do Nowego Jorku, w wieku dziewięćdziesięciu pięciu lat, nie tylko po to, by odzyskać starą rodzinną pamiątkę, obojętne, jak cenną. Gdyby chodziło mu wyłącznie o jej odzyskanie, na pewno przekazałby zespołowi Grace'a wszystkie informacje, jakie posiadał.

Był inny powód.

Inny powód, dla którego ktoś torturował Ricky'ego Moore'a. Dla którego dwóch sprawców włamania znaleziono martwych w Marbelli. I dla którego Gavin Daly i jego syn pospiesznie wybrali się w podróż do Nowego Jorku.

Musiał być inny powód.

I Grace przeczuwał, że go zna.

Przebiegł obok stawu w Central Parku i pędził dalej, po wijących się ścieżkach, ku wielkiemu zbiornikowi retencyjnemu Jacqueline Kennedy Onassis. Próbował, jak w trakcie kilku poprzednich wizyt, bez zatrzymywania się przebiec całą żwirową ścieżkę wokół zbiornika.

Bezustannie myślał.

I coraz bardziej niepokoił się czekającym go zadaniem.

Zegarek to tylko pretekst. Prawdziwym powodem podróży Gavina Dalycy jest zemsta. Załatwienie dawnych porachunków.

O wpół do siódmej rano Gavin Daly leżał na łóżku w hotelowym pokoju na czternastym piętrze, wsparty o poduszki, tak jak kwadrans po drugiej, kiedy się przebudził i już nie mógł zasnąć. Nie potrafił wyregulować klimatyzacji, w związku z czym przez połowę nocy było mu za gorąco, a teraz za zimno; i słyszał ustawiczne cykanie aparatury klimatyzującej.

Przez cały czas Gavin Daly miał gonitwę myśli. Wrócił do miasta, w którym się urodził. Znow był w miejscu, które nadal, pod wieloma względami, zdawało się jego domem. Wrócił, by spełnić przyrzeczenie, jakie złożył dawno temu, ze łzami w oczach, na rufie statku *Mauretania*.

Wspomnienie było wciąż żywe. Słowa też dokładnie pamiętał.

„Pewnego dnia, tato, wrócę i cię odnajdę. Uratuję cię, gdziekolwiek jesteś”.

Zamówił do pokoju herbatę po angielsku, z mlekiem, nie ze śmietanką. Kiedy odłożył słuchawkę, przypomniał sobie, jaką słabą podają tu herbatę, więc zadzwonił ponownie i poprosił o dodatkową torebkę. Potem znow przymknął oczy.

Obudził się w nocy, myśląc z głębokim smutkiem o swojej drugiej żonie, Ruth, i uświadomił sobie, że płakał przez sen. Wciąż żywo ją pamiętał. Powiadają, że wszyscy naprawdę kochają w życiu tylko raz, ale nie był pewien, czy tak faktycznie jest. Był czas, wiele lat temu, kiedy kochał Sinead, rzeczywiście bardzo ją kochał. Aż do tego dnia, po dziesięciu latach małżeństwa, gdy na zdjęciach zrobionych przez prywatnego detektywa ujrzał jej zaskoczoną twarz. Była w łóżku, w pokoju hotelowym, ze swym kochankiem, innym handlarzem antyków z miasta. Potrzebował potem wiele czasu, by zaufać innej kobiecie – wiele lat. A później poznał Ruth,

z jej rudymi włosami i piegami i najładniejszym uśmiechem, jaki widział w życiu.

Czuł ją teraz w swoich ramionach. Uwielbiał stawać za nią, obejmować mocno jej szczupłe ciało, przyciskając policzek do jej policzka, czuć, jak włosy Ruth łaskoczą go po twarzy, a jej zapach i miłość do niej go odurzają. Była największym darem, jaki ofiarował mu los. Największym skarbem, jaki miał od czasu straty ojca. Ale jak się okazało, jej biednej los nie ofiarował zdrowia.

Najpierw zdiagnozowano u niej raka jajnika. Potem, kilka lat po histerektomii, rak powrócił. Był wszędzie. Gavin zwracał się do specjalistów z całego świata. Wysyłał żonę prywatnymi samolotami do szpitali i klinik w Ameryce, Szwajcarii, Tajlandii, do każdego lekarza, o którym usłyszał dobrą opinię. Ale to i tak nic nie dało.

Za pieniądze można kupić wygodę i luksus, ale nie można mieć jedynej rzeczy na świecie, która ma prawdziwą wartość, to znaczy zdrowia. Nie można kupić sobie wyleczenia. Co za ironia, myślał. Leżał w tym wielkim łóżu, w tym wielkim pokoju, mając tyle pieniędzy w bankach, akcjach, nieruchomościach, żeby robić niemal wszystko, co chciał, i kupić prawie wszystko, czego pragnął, i było to zupełnie bez znaczenia. Oprócz, teraz konkretnie, jednej rzeczy.

Wróciły gwałtowne bóle w klatce piersiowej, jakby wybuchały tam fajerwerki. Sięgnął po leżącą przy łóżku fiolkę z nitrogliceryną. Kilka minut później, kiedy ból ustał, odezwał się dzwonek do drzwi.

Gavin Daly wygramolił się z łóżka i stał przez chwilę w piżamie, czując się sztywny, roztrzęsiony, stary. Bardzo stary. Zbyt stary. Miał zmęczone oczy. Wspierając się na lasce, bo nie ufał swoim nogom ani zmysłowi równowagi, wpuścił kelnera, zaczekał, aż ten nakryje do herbaty, podpisał rachunek i wręczył suty napiwek.

Potem podszedł do wielkiego okna i rozsunął zasłony. Rozciągał się stąd widok na Central Park. Zapowiadał się ładny dzień, jak obiecywano w liściku zostawionym poprzedniego wieczoru na jego poduszce. Nad drzewami wisiała lekka mgła. Zobaczył mężczyznę, wielkości mrówki, który uprawiał jogging. Dbał o zdrowie.

Gavin nigdy nie uprawiał żadnych ćwiczeń. Uważał, że o wszystkim decydują geny. Ruth była fanatyczką zdrowia – tylko sałatki, ryba, od czasu do czasu, z jakiejś wyjątkowej okazji, lampka

wina, codziennie joga, tenis, jazda na rowerze. Ale nie doczekała starości. Przynajmniej przeżył tę dziwkę Sinead. Spocznie w grobie, wiedząc, że ona na nim nie zatańczy. Chociaż cholerny Lucas może to zrobić.

Nie podobała mu się ta perspektywa.

Znów próbował wyregulować klimatyzację, z trudem włożył szlafrok, po czym skierował uwagę na dużą paczkę z nalepką FedEx i stemplem odprawy celnej, zaadresowaną jego własnym charakterem pisma do nowojorskiego handlarza starych zegarów i zegarków. Została przyniesiona poprzedniego wieczoru przez odbiorcę, Jordana Rochestera, kolejnego jego bardzo starego przyjaciela w tym mieście. Rochester był też uprzejmy zarezerwować pokój na swoje nazwisko, przy użyciu własnej karty kredytowej. Gavin Daly nie chciał, by ktokolwiek odnalazł go w Nowym Jorku. A szczególnie, by zrobił to nadinspektor Grace albo któryś z jego nowojorskich współpracowników. Przynajmniej dopóki nie zakończy swoich spraw tutaj.

Na wszelki wypadek powiesił na zewnętrznej klamce tabliczkę z napisem: „Nie przeszkadzać” i dobrze zamknął drzwi od środka. Następnie włożył torebki herbaty do dzbanka, a czekając, aż naciągną, wyjął z walizki narzędzia i zaczął otwierać paczkę.

Dziesięć minut później wypił łyk herbaty, po czym delikatnie wydobył kominkowy zegar marki Ingraham z jego gniazdka w papierowych wiórach, wyściełających polistyrenową osłonę, którą sam przygotował przed dwoma tygodniami.

Ostrożnie wyjął okrągły mosiężny gong z obudowy zegara. Potem jeszcze ostrożniej rozkręcił jego połówki.

I uśmiechnął się – po raz pierwszy, odkąd jego samolot wylądował.

Żółta taksówka przejeżdżała przez most Brooklyński. Był ładny, bezchmurny poranek; Roy Grace, ściśnięty na tylnym siedzeniu obok Jacka Alexandra i Guya Batchelora, patrzył na rozmigotaną wodę East River. Był aż nadto świadom tego, że mniej więcej kilometr stąd wydarzył się koszmar, kiedy jedenastego września miał miejsce atak na World Trade Center. Pat Lanigan stracił wtedy kuzyna.

Po krótkiej jeździe kierowca, który ledwie dukał po angielsku, podjechał na miejsce. Roy Grace rozpoznał znany z poprzedniej wizyty budynek, w którym mieściła się siedziba główna brooklyńskiej policji, w tym zespół zwalczający przestępczość zorganizowaną, do którego był obecnie przypisany Lanigan. Na lewo, po drugiej stronie ulicy, stał kwadratowy budynek z żółtym znakiem, na którym było napisane: ZAOPATRZENIE SZKOŁY BARCLAY, a na zewnątrz mieścił się otwarty parking z systemem wind, wyglądający niczym wielka konstrukcja z klocków.

Wygramolili się z samochodu, zapłacili kierowcy, po czym weszli do nowoczesnego wieżowca i podali ochronie swoje nazwiska. Kilka minut później, trzymając przepustki, jechali windą na dziesiąte piętro.

Pat Lanigan, ubrany w żółtą koszulkę polo, kremowe płócienne spodnie i sportowe buty, przywitał się z nimi serdecznie. Grace odetchnął z ulgą, że tego dnia postanowił ubrać się nieformalnie, podobnie jak jego dwaj koledzy.

Detektyw poprowadził ich przez drzwi, na których była tabliczka Policji Miasta Nowy Jork i zamek cyfrowy, a potem przez labirynt pokrytych wykładziną korytarzy i przez otwartą przestrzeń biurową pełną pustych boksów z wysokimi ściankami działowymi. W każdym boksie stał opróżniony kosz na śmieci ze świeżym

workiem w środku i klinicznie czyste biurko. Minęli przypiętą do ściany flagę amerykańską z napisem: FLAGA HONORU, dalej czarno-białą mapę Brooklynu, posiatkowaną i ponumerowaną, a za nią mapy pozostałych dzielnic Nowego Jorku.

Następnie przeszli obok planszy, na której było wyrysowane drzewo genealogiczne z nagłówkiem: MAFIJNA RODZINA COLOMBO – ODŁAM PERSICO. Poniżej widniały połączone ze sobą ramki z napisami: SZEŃ, SZEŃ WYKONAWCZY, CONSIGLIERE, CAPOREGIME, ŻOŁNIERZE POD OBSERWACJĄ, WSPÓŁPRACOWNICY POD OBSERWACJĄ. Grace przez chwilę przyglądał się uważnie planszy, po czym ruszył za kolegami do gabinetu Lanigana.

Zauważył, że urządzony jest podobnie jak jego własny. Był tam okrągły stół konferencyjny i małe, zagracone biurko, na którym piętrzyły się stosy dokumentów, kubek z długopisami, monitor komputera, klawiatura, kluczyki samochodowe oraz zdjęcie żony i trzy flagi. Na ścianie powyżej wisiało zdjęcie lotniskowca, na którym Lanigan służył w marynarce, oraz kilka grupowych fotografii, gdzie był w towarzystwie kolegów marynarzy, a wreszcie wielki kolorowy transparent z napisem: BRONIĆ WOLNOŚCI.

Lanigan usadził ich przy stole i zaproponował kawę. Kilka minut później dołączyło do nich troje oficerów z wydziału dochodzeniowo-śledczego, których Lanigan ściągnął na spotkanie. Wszyscy, ku konsternacji Roya, byli w eleganckich, oficjalnych strojach.

Keith Johnson, mocno zbudowany mężczyzna pod pięćdziesiątkę, ze starannie przystrzyżoną brodą i wąsami, wydawał się bardzo rzeczowy. Miał na sobie beżowy garnitur i ciemnobrązowy krawat. Linda Blankson, tuż przed czterdziestką, jak ocenił Grace, o latynoskiej urodzie i figurze modelki, z gładkimi brązowymi włosami i surową, lecz niebrzydłą twarzą, była ubrana w czarne spodnie, marynarkę i białą bluzkę. Zajmowała się pisaniem esemesa albo mejla w smartfonie.

Najmniej miłe wrażenie z całej trójki sprawiał porucznik Aaron Cobb, trzydziestoparolatek o krótko przystrzyżonych włosach zaczesanych do przodu. Trochę przypominał Grace'owi aktora Ryana Goslinga. Przywitał się z brytyjskimi policjantami krótkim

uściskiem dłoni, po czym usiadł przy stole, żując gumę, ze zrezygnowaną miną człowieka, który jest wielce niezadowolony, że musi być tutaj w niedzielny poranek.

Lanigan zaczął spotkanie od tego, że poprosił Roya Grace'a, by szczegółowo omówił przebieg wypadków i okoliczności, które sprowadziły go wraz z kolegami do Nowego Jorku. Kiedy Grace skończył, porucznik Cobb zadał pierwsze pytanie. Mówił z jeszcze silniejszym brooklyńskim akcentem niż Lanigan.

– Bardzo chętnie wam pomożemy, ale dlaczego musicie tu być? – Spojrzał znacząco na Grace'a, żując energicznie gumę. – Przecież podaliście nam informacje. Chyba że nie wierzycie, że mamy radę. – Wbił palec w prawe ucho i zaczął tam drążyć.

– Nie o to chodzi, poruczniku – powiedział Grace. – Jesteśmy tu po to, by doradzać i udzielać pomocy. Myślę, że możemy mieć informacje, które okażą się użyteczne.

Chociaż Lanigan był najstarszy w tym towarzystwie, Grace nie orientował się w rangach amerykańskiej policji na tyle, by wiedzieć, który z oficerów był najwyższy stopniem.

– Nie wydaje mi się – odparł Cobb. Zajrzał do swoich notatek. – Eamonn Pollock, Gavin Daly, Lucas Daly. Mamy ich opisy. Znajdziemy ich.

Grace pochwycił przepaszające spojrzenie Lanigana.

– Z całym szacunkiem, poruczniku, ale Pollock jest na razie jedynym podejrzanym z tej trójki – zauważył Grace. – Jestem przekonany, że Gavin Daly i jego syn Lucas przybyli tutaj z zamiarem popełnienia przestępstwa. Ich motywy i powiązania są bardzo skomplikowane. Myślę, że powinniśmy tu być, by pomóc wam zrozumieć, co prawdopodobnie nastąpi. Musimy postępować ostrożnie, jeśli chcemy ich aresztować.

– A tak z ciekawości, nadinspektorze, dlaczego sądzi pan, że sami nie potrafimy tak postępować? – spytał Keith Johnson; mówił z silnym, wyraźnym akcentem ze Środkowego Zachodu.

– Nie powiedziałem, że nie potraficie – odparł Grace. – Ale moim zdaniem tu chodzi o coś więcej niż odzyskanie skradzionego zegarka i aresztowanie sprawców. Mam przeczucie w związku z tym, co jeszcze może się zdarzyć.

– Jestem zaintrygowana! – oświadczyła Linda Blankson, ostro, ale uprzejmie.

– A więc od czego zaczniemy? – spytał Keith Johnson.

– Od znalezienia Eamonna Pollocka, Gavina Daly’ego i Lucasa Daly’ego – odrzekł Grace. – Bez ich wiedzy.

Niedzielny lunch. Czuł, że gdzieś w sąsiedztwie coś właśnie gotują. Większość ludzi o tej porze zasiądzie do lunchu, pomyślał gorzko Amis Smallbone. Wpół do drugiej w niedzielę. Rodziny zbierające się nad pieczenią. Tak było w każdą niedzielę w jego dzieciństwie. Pieczeń wołowa, wieprzowina, jagnięcina albo kurczak. Utrzymał tę tradycję po ślubie z Christine – Chrissie. Co za suka.

Wypił jeszcze odrobinę whisky i poczuł, że jest na rauszu, ale nie przyjemnym. Napił się dla kurażu o zbyt wczesnej porze.

On i Chrissie, Tom i Megan. Tak to kiedyś było. Chrissie dobrze gotowała, to trzeba jej przyznać, ale w łóżku była do niczego. Zawsze go obwiniała. Szydliła z jego męskości. A na początku, jak ją posuwał, twierdziła, że jej się to podoba, że nie lubi facetów z dużymi kutasami, bo ją ranią. Podczas rozvodu przyznano jej opiekę nad dziećmi i spieprzyła z nimi do Australii. Melbourne. Może nie powinien jej bić, co mu się często zdarzało, ale zasługiwała na to. Jebać to, teraz i tak wszystko jest bez znaczenia.

Co z tego, że od ponad dwudziestu lat nie widział swoich dzieci ani nie miał od nich żadnej wiadomości? Niech im się, psiakrew, wiedzie.

Po Chrissie, wiele, wiele lat później, spotkał Theresę. Prawdziwą miłość. Łączyło ich coś wyjątkowego. Oświadczył się jej, powiedział, że chce spędzić z nią resztę życia, założyć nową rodzinę, a ona się zgodziła. Wszystko było gotowe do ślubu. Kościół zamówiony, wszystko załatwione, zaproszenia wydrukowane. Wreszcie znalazł się w miejscu, gdzie znów był szczęśliwy.

Wtedy pojawił się Roy Grace. I wszystko mu spieprzył. Im spieprzył. W dzień ślubu, o piątej nad ranem. Nalot o świcie.

Błagał Roya Grace'a, by przynajmniej pozwolił mu wziąć ślub, a dopiero potem zrobił co trzeba, ale czy ten drań się zgodził?

Nie.

Grace wybrał na aresztowanie właśnie ten dzień, by jak najbardziej go upokorzyć. Amis Smallbone był o tym przekonany. Mógł zrobić to wiele dni wcześniej. Albo później. Ale nie, on wybrał ten moment naumyślnie. I nie pozwolił mu zadzwonić. A więc tamtego ranka bardzo podekscytowana Theresa zrobiła sobie fryzurę, włożyła sukienkę i pojechała do urzędu stanu cywilnego w Brighton. Gdzie Roy Grace pozwolił jej czekać na pana młodego, który się nie pojawił, bo siedział w pieprzonym mamrze, bez telefonu. W końcu wzięli ślub w więzieniu, ale nie tak miało być.

Długo przyszło mu czekać na ten dzień. Długo wszystko planował. Ten gnojek Gareth Dupont został aresztowany i oskarżony, więc na pewno go zakapuje, żeby uzyskać dla siebie łagodniejszy wymiar kary. Czyli to tylko kwestia czasu, kiedy on znów wyląduje w pudle. Jeśli popełniło się przestępstwo, będąc na zwolnieniu warunkowym, automatycznie łąduje się z powrotem w więzieniu. Wróci tam na kolejnych dziesięć lat, minimum. Ale przynajmniej tym razem pociągnie za sobą Roya Grace'a. Świadomość, że Roy Grace cierpi, będzie go krzepić w tych norach, w których przyjdzie mu dożywać starości.

Osuszył szklanekę, chwiejnie wstał i wyszedł z pokoju na piętrze, skąd miał widok na podwórze i frontowe drzwi domu Grace'a. Zatrzymał się na podeście schodów. Wziął zakończony hakiem kij i zaczął młócić nim powietrze, aż wreszcie udało mu się zaczepić hak o obręcz w klapie poddasza. Pociągnął ją w dół, po czym zahaczył o dolny szczebel metalowej drabinki, opuszczając ją ostrożnie, aż dotknęła wykładziny na podeście.

Wspiął się po drabince. Na samej górze wyciągnął rękę i namacał włącznik światła. Po chwili dwie słabe żarówki oświetliły poddasze. Stromo nachylone drewniane belki. Żółta pianka izolacyjna usiana mnóstwem mysich i szczurzych bobków pomiędzy krokwiami. Akwarium. Pajęczyny. Stara, pusta walizka pokryta kurzem. Wgramolił się tam i ukląkł, wdychając zapachy suchego, zakurzonego drewna i materiału izolacyjnego. Potem, przytrzymując się belek, zaczął ostrożnie pełznąć po krokwiach

w stronę okienka w dachu, co przychodziło mu z niejakim trudem z powodu sporej ilości wypitego alkoholu.

Naparł na okienko i po chwili do środka wpadło światło i świeże powietrze. Przecisnął się przez prostokątny otwór i wyszedł na wąską metalową drabinkę przeciwpożarową. Miał z niej widok na dachy, a dalej na przystań i kanał la Manche. Ale co ważniejsze, dawała mu bezpośredni dostęp do domu Grace'a.

Mniej ucieszyło go to, że przy drabince była niska, wyglądająca licho poręcz, w dodatku tylko z jednej strony. To skupisko siedmiu jednorodzinnych domów szeregowych powstało po przeróbce budynku magazynowego w kształcie litery U. Domy miały wspólny stromy dach, z drabinką przeciwpożarową biegnącą przez całą długość. Drabinka z metalowej siatki, najwyraźniej dołączona do projektu na samym końcu, biegła zygzakiem przez szczyt dachu, między kominami. Żeby dotrzeć do domu Grace'a, Smallbone musiał poradzić sobie z trudnym skrzyśnięciem w lewo i przejść pod bezmyślnie zainstalowaną anteną satelitarną, która stała mu na drodze.

Udało mu się i wreszcie dotarł do identycznego okienka w dachu, jakie było w jego domu. Świadom tego, że stoi na widoku, w pełnym świetle, rozejrzał się uważnie, by sprawdzić, kto może go dostrzec. Nikt z najbliższych sąsiadów, ale było kilka wysokich budynków, głównie biurowców, których okna wychodziły na ten dach, więc ktoś mógł akurat z nich wyglądać. Mało prawdopodobne w porze niedzielnego lunchu, ale nie warto ryzykować.

Kiedy będzie to robił naprawdę, zapadnie już ciemność, tylko z ulicy dotrze nagle światło latarni. Teraz musi przeciwwyczyć kroki, policzyć i zapamiętać liczbę stopni przy każdym zakręceniu. Szczególnie przy tym niewygodnym obok anteny satelitarnej. Ważne, by się nie spieszyć.

Roy Grace nadal będzie w Nowym Jorku. Cleo i bachor będą sami w domu. A on będzie miał cały czas na świecie!

Amis Smallbone nie zdawał sobie sprawy, że ktoś śledzi jego ruchy na szczycie dachu. Obserwuje go z morderczymi zamiarami.

„Keith Barent Johnson”, odczytał Roy Grace, kiedy detektyw Johnson pokazał swoją odznakę recepcjonistce w hotelu Plaza przy Central Park South.

Młoda Azjatka przez chwilę sprawdzała dane w komputerze, po czym pokręciła głową.

– Eamonn Pollock? Jak to się pisze?

Johnson przeliterował.

Sprawdziła jeszcze raz.

– Nie, nie mamy go w naszym rejestrze, proszę pana.

Grace pokazał jej zdjęcie Pollocka.

– Zrobiono je przed dwudziestu laty, ale może wygląda znajomo?

– Nie, przykro mi. Ja go nie kojarzę. Może zrobię ksero i pokażę swoim współpracownikom?

– Oczywiście, dziękuję. – Grace podał jej fotografię.

Policjanci powtórzyli tę samą procedurę z Gavinem Dalym i Lucasem Dalym, również bez powodzenia.

Roy Grace spojrział na zegarek: jedenasta piętnaście. Wraz z Johnsonem sprawdzali od półtorej godziny hotele, tak samo jak Guy Batchelor i Jack Alexander z pozostałą dwójką nowojorskich policjantów. Istniała jeszcze możliwość, że Pollock i obaj Daly'owie zatrzymali się u znajomych, a nie w hotelu, co skazywałoby obecne działania policji na fiasko. Ale musieli szukać dalej.

Ruszyli w górę Central Park South, mijając bryczki zaprzężone w konie, nieprzerwany korowód rikszy i zastępujących im drogę facetów z reklamami wypożyczalni rowerów, aż wreszcie weszli do hotelu Marriott Essex House.

Grace i Keith Johnson stanęli w kolejce do recepcji. Patrzyli, jak para młodych, zlanych potem ludzi oddaje rowery przy biurku

portiera, a portier pcha do jakiegoś pokoju wózek wyładowany torbami.

– Pan Pollock? – powtórzyła miła recepcjonistka po obejrzeniu odznaki Keitha Johnsona.

Wstukala dane do komputera. Po chwili pokręciła głową.

Roy Grace nachylił się, by pokazać jej starą fotografię poszukiwanego. Przyjrzała jej się i znów pokręciła głową. Odwróciła się do swojego wysokiego, chudego kolegi i podsunęła mu zdjęcie. Zmarszczył brwi.

– Tak, znam tego mężczyznę. Zatrzymał się u nas.

– Eamonn Pollock? – spytał Grace. – Tak się nazywa?

Recepcjonista postukał w klawiaturę, po czym spojrzał na Grace'a.

– Doktor Alvarez? Doktor Alphonse Alvarez?

– Jaki adres podał przy rejestracji?

Znów zerknął na ekran komputera.

– University College z Los Angeles, Brentwood w Kalifornii.

Grace postukał w zdjęcie Eamonna Pollocka.

– Ale jest pan pewien, że to on?

– O tak, bez wątpienia.

Czyż nie jest wspaniale? Wręcz idealnie. Amis Smallbone wpatrywał się przez siatkową firankę w ciemność za oknem i strugi deszczu. Wiatr się wzmaczał, Amis słyszał, jak wyje. A to oznacza, że jego raczej nikt nie usłyszy. Niewielu ludzi wyjdzie w taką noc na dwór, a już na pewno nie po to, żeby gapić się na dachy. A gdyby nawet, i tak nic nie zauważą.

Nie wtedy, gdy zakończy swoje przygotowania.

Była dwudziesta druga. Mamusia i tatuś Cleo odwieźli ukochaną córeczkę i najdroższego wnuczka bękarta do domu przed pięcioma godzinami. Cleo poczęstowała ich herbatą, a potem rozmawiali o domach oglądanych na wsi. Był jeden, który im wszystkim się spodobał, w pobliżu wsi Henfield. Jednak kosztował więcej, niż Grace spodziewał się zapłacić.

Mamusia i tatuś Cleo zaproponowali, że im pomogą. Czyż to nie miłe? Czy nadal będą tacy pomocni, gdy ich najdroższy wnuczek przestanie już tak słodko wyglądać? Kiedy bachor będzie miał całą twarz w bliznach?

Torby były spakowane. Jak ktoś przyjdzie go szukać, on już dawno stąd zniknie. Wyjedzie do słonecznej Hiszpanii z mizerną resztką ukrytego majątku i z zamiarem odebrania długu od tej tłustej świni Eamonna Pollocka. Potem będzie z tego żył, dopóki nie dorwie go prawo. Lawrence Powell był mu winien przysługę, więc mu pomoże załatwić nową tożsamość. Przy odrobinie szczęścia zyska jeszcze kilka lat na wolności, a później stanie się tak stary, że będzie mu wszystko jedno. Starość to więzienie, więc nie ma znaczenia, czy resztę życia spędzisz w pudle. Przynajmniej tam o ciebie dbają.

I będzie miał coś, co podtrzyma go na duchu przez te wszystkie lata. Świadomość, co nadinspektor Roy Grace myśli za każdym

razem, kiedy widzi szkaradną twarz swego syna.

Sięgnął do jednego z kartonów, w których przysłano mu to, co kupił przez internet, i wyjął czarny dres, z kolejnego wydobył gogle z noktowizorem i nóż myśliwski, ostry jak brzytwa. Potem otworzył pudełko z czarną pastą do butów i zaczął ją starannie rozsmarowywać ściereczką po twarzy, aż w końcu widać już było tylko białka oczu.

I płonąca w tych oczach nienawiść.

* * *

Na ulicy poniżej Cassandra Jones, projektantka stron internetowych, która mieszkała dokładnie naprzeciwko domu Cleo Morey, zsiadła z roweru, wróciwszy z Komedia Club w Brighton. Była tam na niedzielnym występie komika, a potem wypila jeszcze kilka kieliszków wina z przyjaciółmi.

Podprowadziła rower do wejścia, schylając głowę przed wiatrem i zacinającym deszczem. Czula, że ma trochę w czubie. Wbiła kod przy furtce, pchnęła ją i automatycznie podziękowała stojącemu z tyłu nieznanemu, który przytrzymał furtkę, kiedy wprowadzała rower.

Furtka zatrzasnęła się, mocno uderzając w tylne koło roweru.

– Przepraszam – powiedział wysoki mężczyzna za plecami Cassandry.

Eamonn Pollock, którego otyłe ciało okrywał frotowy szlafrok, leżał wsparty na dużych poduchach, na wielkim, miękkim łożu w luksusowym apartamencie hotelowym. Właśnie miał przyjemność skorzystać z bolesnego, lecz cudownie ożywczego masażu i teraz popijał szampana Bollinger, wznosząc toast za siebie i swój spryt.

Jednak nie był aż tak zadowolony jak zwykle.

Nie podobało mu się, że stracił swoich dwóch „poruczników”, jak lubił ich nazywać, Tony’ego Macaria i Kena Barnes’a. Bardzo mu się nie podobało. Niełatwo było o zaufanych pracowników, bez względu na to, jak dużo im płacił, a rzeczywiście bulił całkiem sporo.

No, ale za to miał się z czego cieszyć na przyszłość. Właśnie powiedział dobranoc ślicznej Luizie, dwudziestoczteroletniej Brazylijce tańczącej zawodowo na rurze. Nie mógł się doczekać, kiedy ją znów zobaczy i zanurzy twarz między jej piersi! Był po sześćdziesiątce, lecz życie nadal miało dla niego wiele przyjemności. Jak miło być bogatym. A jeszcze milej będzie zostać dużo bogatszym jutro!

Ale w tej chwili niecierpliwie wyczekiwał kolacji. Zamówił ją do pokoju z menu hotelowego. Kawior z białej. Potem grillowany homar, a na deser rozpusta: tarta limonkowa, którą zawsze raczył się w tym mieście. Zresztą Luiza powiedziała, że uwielbia jego brzuszki.

A on uwielbiał to, co ona potrafiła wyrabiać z językiem! Na samą myśl o tym robił się napalony.

Później może zadzwoni po panią z pewnej znanej sobie, wyjątkowo dobrej agencji. A może tylko obejrzy film i położy się

spać, bo przecież czeka go męczący, choć nagrodzony zyskiem dzień. O tak, wielkim zyskiem.

Sięgnął do stolika przy łóżku, gdzie w gniazdku z waty leżał zegarek marki Patek Philippe. Ujął go w swe miękkie, pulchne dłonie. Wpatrywał się w metalową kopertę, która mimo kilku wgnieceń nadal wyglądała jak nowa, pewnie tak samo jak wtedy, gdy ją wykonano. Przykre, że zegarek był uszkodzony: przekrzywiona koronka, zepsuty naciąg, pęknięte szkiełko, naciskające na szpiczaste czarne wskazówki, które zatrzymały się pięć po czwartej, dziewięćdziesiąt lat temu, oraz na maleńki nieruchomy sekundnik.

Przez jakiś czas przyglądał się wskaźnikowi faz księżyca. Potem odczytał kunsztownie wypisaną na tarczy nazwę. „Patek Philippe. Geneve”.

Trzymał w rękach kawałek historii.

Nagle dostrzegł w tym wszystkim głęboki sens. Jego stryjeczny dziadek nie zabrał go Brendanowi Daly'emu chwilę przed tym, gdy wraz z trzema innymi go zamordowali, i nie z powodu poczucia winy wysłał ten zegarek do małego Gavina. Wysłał go z powodu przeznaczenia! Tak miało być! Wyprawił zegarek w podróż, dziewięćdziesiąt lat w przyszłość, by trafił w ręce wnuka brata. W ręce Eamonna, którego nie było jeszcze wtedy na świecie.

Tak, przeznaczenie!

Odezwał się dzwonek przy drzwiach.

– Idę! – zawołał, jak podekscytowane dziecko. – Idę, idę, idę!

Dźwignął swoje ciężkie ciało z łóżka i wsunął stopy – które Luiza lubiała całować, zwłaszcza duże palce, mimo że jeden był amputowany z powodu cukrzycy – w białe hotelowe kapcie. Potruchtał do salonu, a potem do drzwi. Spojrzał przez judasz i z radością zobaczył tego samego wesołego małego kelnera, który wcześniej przyniósł mu butelkę szampana. Zdjął łańcuch i otworzył drzwi.

– Dobry wieczór, doktorze Alvarez, jak się pan miewa?

– Znakomicie, dziękuję!

Doktor Alvarez! Doktor Alphonse Alvarez to było jedno z wielu fałszywych nazwisk, których używał. Jego ulubione. Lubił, kiedy

personel hotelowy tytułował go doktorem. Z klasą. Hej, był facetem z klasą.

Przytrzymał drzwi, a kelner wetknął pod nie klin i wtoczył wyładowany jedzeniem metalowy wózek.

– Czy życzy pan sobie, bym nakrył do stołu, doktorze Alvarez?

– Oczywiście!

Pollock zostawił kelnera i wrócił do sypialni, żeby wyjąć z portfela pieniądze na napiwek. Teraz, kiedy pojawiła się kolacja, był już w znacznie lepszym humorze, więc nucił sobie pod nosem swój ulubiony kawałek Dr. Hooka. *Nie zrozum mnie źle, proszę cię! Forsy mam mnóstwo, choć brzydki ze mnie gość.*

I rzeczywiście miał forszę. A jutro będzie jej miał jeszcze więcej. Dwa miliony funtów, minimum! Jak miło! Jak bardzo, bardzo, bardzo miło!

Hej ho!

Z przyległego pomieszczenia dochodził szcęk talerzy i podzwanianie sztućców, kiedy kelner nakrywał do stołu. Pocięła mu ślinka. Co za uczta! W telewizji błyskały czerwone światła. Samochody policyjne. Jakiś wielki wypadek, o którym mówią w lokalnych wiadomościach. Strzelanina w Bronxie. Nic go to nie obchodzi, hej ho.

Poczłapał z powrotem do salonu, trzymając banknot dwudziestodolarowy między palcem wskazującym a kciukiem, jak okaz laboratoryjny, który prezentuje do inspekcji. Lubił upewnić się, że kelnerzy widzą, jaki z niego hojny gość, na wypadek gdyby mieli wsunąć banknot do kieszeni, nie zauważywszy jego wartości.

Kiedy wszedł do salonu, stanął jak wryty.

Dwudziestodolarowy banknot sfrunął na dywan.

Kelner podsunął mu rachunek w skórzanej okładce i pióro do podpisu.

Jednak Eamonn Pollock nawet tego nie zauważył. Wpatrywał się w mężczyznę na drugim końcu pomieszczenia, ubranego w cienką skórzaną kurtkę, dżinsy i czarne sztyblety, który siedział rozparty na kanapie i wyjmował właśnie papierosa z paczki.

Eamonn rzucił okiem na kelnera, a potem znów przeniósł wzrok na przybysza. Niczym automat nabazgrał na rachunku swoje

nazwisko i spostrzegł wahanie kelnera, ale chciał już tylko, żeby ten szybko się wyniósł.

– Miłego wieczoru, doktorze – powiedział kelner z wymuszonym uśmiechem i wyraźnie ociągał się z wyjściem.

– Spierdalaj, dobra? – rzucił Pollock.

Przestraszony kelner usunął klin spod drzwi i wyszedł, trochę zbyt mocno zatrzaskując za sobą drzwi.

Mężczyzna na kanapie zapalił papierosa.

– W tym pokoju nie wolno palić – powiedział Pollock. – I co ty, u diabła, tutaj robisz?

– Wiesz, czemu tu jestem, tłusty palancie. Chcę wiedzieć, dlaczego twoje goryle zabiły moją ciotkę. A ty dałeś nogę z zegarkiem... Czy naprawdę sądziłeś, że cię nie znajdę?

– Zabicie twojej ciotki nie było częścią planu. W ogóle nie miało do tego dojść. Za palenie w tym pokoju grozi kara w wysokości pięciuset dolarów – odparł Pollock. – Zgaś go albo wezwę ochronę.

– Jasne, zrób to. Wezwij tych dwóch gliniarzy, którzy stoją w holu przy windach.

Pollock gwałtownie zbladł.

– Jakich gliniarzy?

Roy Grace był zdenerwowany. Nie lubił tracić kontroli nad sytuacją, a czuł, że tak właśnie się teraz dzieje. Chociaż wierzył w Pata Lanigana, a dwoje policjantów z jego zespołu, Keith Johnson i Linda Blankson, sprawiało wrażenie kompetentnych i skorych do pomocy, to porucznik Aaron Cobb na popołudniowym spotkaniu nadal dawał do zrozumienia, że obecność Brytyjczyków uważa za zbędną. Cobb był nieprzewidywalny i na własnym gruncie Grace by sobie z kimś takim poradził, ale tutaj, jako gość w obcym kraju, mógł jedynie próbować go do siebie przekonać – tyle że na razie nie dawało to efektów. Co więcej, okazało się, że w porządku dziobania Aaron Cobb stoi najwyżej ze wszystkich czterech oficerów policji nowojorskiej.

Hotel Eamonna Pollocka był pod obserwacją, ale kiedy Grace spytał Cobba, dlaczego tylko dwóch policjantów pilnuje budynku, ten odparł szorstko, że nie dysponuje większą liczbą ludzi.

Do osiemnastej nie znaleźli żadnych śladów Gavina Daly’ego ani Lucasa Daly’ego. Chodzenie do kolejnych nowojorskich hoteli i wypytywanie kontynuowano wieczorem, ale jak zasugerował Aaron Cobb, szczególnie ten starszy pan jest pewnie zmęczony i potrzebuje odpoczynku, by rano znów rześko przystąpić do pracy.

Guy Batchelor oświadczył Royowi Grace’owi, że on bardziej niż odpoczynku potrzebuje papierosa i mocnego drinka – oraz że zna miejsce, gdzie można dostać jedno i drugie.

Trzech policjantów z Sussex pokonało czternaście przecznic z hotelu do Carnegie Club przy Pięćdziesiątej Szóstej Ulicy. Po drodze Roy zadzwonił do Cleo. W Brighton było już późno i miała senny głos, ale cieszyła się, że zadzwonił. Powiedziała, że z Noahem wszystko w porządku, przez cały dzień był grzeczny, a teraz śpi. Potem oznajmiła z przejęciem, że widziała dom, którym jest

zachwycona, a jej rodzicom też bardzo się spodobał. Jest trochę droższy, niż zakładali, ale rodzice zaproponowali wsparcie, jeśli Roy i Cleo zechcą go kupić. Agencja nieruchomości ma przysłać rano szczegółowe informacje, a ona przekaże je Royowi. To wiejski domek, z akrem ziemi, otoczony polami. „A poza tym – dodała z radością – jest tam wybieg dla kur!”

Grace, z niewyjaśnionych powodów, zawsze pragnął mieć kury. Urodził się i wychował w mieście, w Brighton, ale bardzo pociągała go perspektywa wyjścia rano z domu i zebrania świeżych jajek na śniadanie. Jednak, co ważniejsze, z tonu jej głosu wyczuł, że znalazła dom, w którym chce żyć, i to go naprawdę ucieszyło.

– Nie mogę się doczekać, kiedy go zobaczę! – powiedział.

– Będiesz zachwycony, jestem pewna!

– Czy ktoś jeszcze się nim interesuje?

– Agent mówił, że jakaś młoda para przyjeżdża we wtorek, by obejrzeć go po raz drugi. Jak sądzisz, kiedy uda ci się wrócić?

– Nie wiem, kochanie. Mam nadzieję, że pod koniec tygodnia.

– Spróbuj, proszę!

– Tęsknię za wami jak szalony! Ucałuj Noaha i powiedz, że tatusiowi bardzo go brakuje.

– Dobrze!

Zakończył rozmowę i zerknął na zegarek. Czekał na telefon od Peregrine’a Stuarta-Simmondsa, od którego miał się dowiedzieć, jacy handlarze oczekiwali Eamonna Pollocka rano, ale teraz było już za późno. Nie wróżyło to dobrze, że nie zadzwonił.

Pięć minut później, gdy przekroczyli próg klubu i otoczył ich intensywny aromat dymu z cygar, Roy Grace poczuł natychmiastowy przypływ nostalgii. Tak kiedyś pachniały bary, a on to uwielbiał. W środku był długi kontuar, przy którym siedziało na wysokich stołkach dwóch mężczyzn. Mieli przed sobą drinki i palili wielkie cygara, oglądając na wielkim ekranie telewizyjnym mecz baseballowy. W całym pomieszczeniu, w którym panowała atmosfera męskiego klubu, były rozstawione skórzane kanapy i fotele, jedne zajęte przez ludzi palących cygara i papierosy, a inne puste.

Wesoła, atrakcyjna kelnerka, która posłała Jackowi Alexandrowi zalotny uśmiech, zaprowadziła ich do narożnego stolika, po czym

przyniosła menu. Grace zerknął w kartę i zdecydował się na Manhattan, drinka, którym spił się pewnego wieczoru z Patem Laniganem, kiedy był tu ostatnio. Zaczynał odczuwać lekkie zmęczenie przez jet lag, więc pomyślał: „A co mi tam! Zabije mnie albo wzmocni”.

Odezwał się jego telefon. Dzwonił ekspert od antyków, Peregrine Stuart-Simmonds.

– Nadinspektorze Grace, mam nadzieję, że nie przeszkadzam? Przepraszam, że dzwonię tak późno, ale czekałem na informacje dla pana. Wygląda na to, że Eamonn Pollock tylko zawraca wszystkim głowę w Nowym Jorku.

– To znaczy? – spytał Grace.

– Nie potwierdził żadnego ze swych spotkań. Co oznacza, że nie mogę panu powiedzieć, dokąd się wybiera. Zawsze istnieje możliwość, że już pozbył się zegarka, sprzedając go prywatnemu nabywcy.

– Świetnie – rzucił ponuro Grace.

Rozłączył się i od razu zadzwonił do Pata Lanigana.

– Wiemy, że teraz jest w pokoju hotelowym – oznajmił Lanigan. – Możemy tam wejść i go aresztować.

– Ale jeśli nie ma zegarka przy sobie, nic na niego nie mamy. A nie możemy być pewni, że zegarek tam jest. Wątpię, czybym powierzył coś tak cennego hotelowemu sejfowi. Raczej zdeponowałbym to w skrytce bankowej.

– Słusznie – przyznał policjant. – Co chcesz, byśmy zrobili, Roy?

– Musimy śledzić go rano... będę wdzięczny, jeśli dasz nam, co możesz, bylebyśmy go nie zgubili.

– Zaraz porozmawiam z Aaronem Cobbem.

Ta obietnica nie podniosła Roya Grace’a na duchu. Przyniesiono jego drinka i wysepił papierosa od Guya Batchelora, bo nagle strasznie zachciało mu się zapalić. Był to jego pierwszy papieros od wielu tygodni i jak zawsze smakował cholernie dobrze.

Noah płakał. Amis Smallbone, czuwający ze słuchawkami na uszach, spojrział na zegarek. Dwudziesta trzecia. Bachor miał już ustaloną rutynę. Płakał, przychodziła mamusia i mówiła coś kojącym głosem, potem następowało dwadzieścia minut karmienia piersią. Wreszcie trzy godziny spokoju, przerywane od czasu do czasu gaworzeniem.

Mamusia sprawiała wrażenie zmęczonej, wręcz wykończonej. Jak tylko skończy karmienie i ułoży dziecko do snu, wróci do łóżka i zaśnie.

A on będzie gotów.

Lało jak z cebra, wiatr wciąż się wzmagał. To przypominało raczej jesienną wichurę niż letnią noc, ale nie mógł sobie wymarzyć lepszej pogody do swoich celów.

Ubranie i sprzęt leżały w pogotowiu. Gogle z noktowizorem były w porządku, lecz nie dawały tak wyraźnego obrazu, jak oczekiwał, więc zabierał ze sobą małą latarkę, żeby widzieć, jak dokonuje swojego dzieła, ale tylko ten jeden raz zamierzał jej użyć.

Ponownie przestudiował plan mieszkania Grace'a. Oprócz tego, że jedna szafa była w innym miejscu, wewnątrz stanowiło jakby lustrzane odbicie domu, w którym obecnie przebywał. Obejrzał wiele stron w sieci, by zorientować się, jak niewidomi radzą sobie na nieznanym terenie, i w zeszłym tygodniu co noc ćwiczył poruszanie się po swoim obecnym mieszkaniu. Tego wieczoru zrobił próbę generalną.

Nieznanymi czynnikami będą meble, na które może wpaść, coś zostawionego na podłodze, o co może się potknąć, oraz pies, ale w goglach powinien to wszystko zauważyć.

A pies raczej nie będzie problemem.

Mamusia wypuszczała psa na mały taras, na którym co wieczór srał i sikał. A dziś żarłocznie pochłonął pręgę wołową, naszpikowaną taką ilością sproszkowanych barbituranów, że zwałiby konia. Zrzucił mu ten frykas ze schodków przeciwpożarowych, pod sam nos. To samo zrobił ostatniej nocy, w ramach testu, bez barbituranów. Pies był zachwycony, zeżarł całą porcję za jednym zamachem, a potem gapił się w górę, czekając na więcej.

Był to prosty i skuteczny sposób unieszkodliwiania psów stróżujących i w młodych latach Smallbone często go stosował. Jak również często włamywał się do różnych budynków – i niemal zawsze w nocy, po ciemku.

Rozebrał się do naga. Potem włożył jednoczęściowy trykot, co miało zapobiec pozostawieniu naskórka czy włosów, z których można pobrać DNA. Na trykot poszła cienka czarna koszulka polo, czarne spodnie od dresu i czarna bluza z kapturem. Na głowę naciągnął czarny czepek pływacki z lycry, nasunął go na uszy i schował pod niego włosy, po czym założył czarne neoprenowe buty do surfingu.

Następnie zapiął na biodrach parciany pas z przyczepioną nylonową torebką na suwak, zawierającą narzędzia: przecinak do szkła i przyssawkę, śrubokręt, dłuto, mały młotek i niewielkie, ale bardzo mocne lewarki, rolkę taśmy maskującej, buteleczkę chloroformu i zwitek waty. Zamierzał dostać się do domu Grace'a przez okienko w dachu, ale jeszcze nie wiedział, jak jest zabezpieczone. Jeśli w taki sam sposób jak w jego domu, to będzie bułka z masłem, choć całkiem prawdopodobne, że Grace, jako policjant, mógł zastosować coś solidniejszego. A jeśli tak, to Amis, ze swoim zestawem narzędzi, miał wiele możliwości działania.

Ostatnie narzędzie leżało na podłodze: brzytwa, którą niedawno nabył do swoich celów. Nigdy nie wymyślono nic lepszego. Włożył ją do torebki i uważnie przejrzał pozostałe narzędzia, po czym zasunął suwak i poszedł do łazienki, by sprawdzić, jak wygląda.

Ledwie rozpoznał samego siebie w lustrze. Gapiła się na niego czarna twarz z oczami pandy. Uśmiechnął się szeroko. O tak, bardzo dobrze, naprawdę świetnie.

Wrócił na swoje stanowisko, nalał sobie whisky i wypił dla kurażu, po czym zapalił ostatniego papierosa. Znów spojrzął na zegarek: za dziesięć dwunasta. Założył słuchawki. Sądząc po odgłosach, karmienie dobiegało końca.

Dopalił papierosa do samego filtra. Była teraz za pięć dwunasta. Zdusił niedopałek w popielniczce, dopił whisky, wstał i powiedział do siebie: jazda!

Kiedy zaczął się wspinać po drabince prowadzącej na poddasze, wydawało mu się, że usłyszał na dole jakiś odgłos, i poczuł przypływ paniki.

To wiatr, tylko wiatr, zapewnił siebie, po czym wyciągnął rękę, by wesprzeć się na drewnianej ramie, i wciągnął ze szczytu drabinki na poddasze.

Na dole cicho zamknęły się drzwi wejściowe.

Dziwnie tu jakoś bez Roya, pomyślała Cleo, kładąc się do łóżka, w którym przeglądała zdjęcia i czytała szczegółowy opis domu w broszurze agencji nieruchomości. Była nim zachwycona, bo chociaż dość zniszczony, budził ciepłe, przyjazne uczucia.

Miała nadzieję, że Roy odniesie podobne wrażenie, i już nie mogła się doczekać, kiedy pojedą razem go obejrzeć. Trzeba było zrobić generalny remont, ale właśnie dlatego dom niemal mieścił się w ich zakresie cenowym. Znajdował się w bezpiecznej odległości od głównej drogi, stał tyłem do pól i rozciągał się z niego cudowny widok na dolinę i wzgórza South Downs. Było to doskonałe miejsce do wychowywania Noaha i raj dla Humphreya.

Odłożyła broszurę na stolik przy łóżku, myśląc z niepokojem o tej parze, która miała jeszcze raz obejrzeć dom. Chciała, by Roy mógł szybciej wrócić. I nie tylko po to, żeby obejrzał dom. Rozstali się po raz pierwszy od czasu, gdy przywieźli Noaha do domu, i bardzo za nim tęskniła.

Czuła się potwornie zmęczona, więc zamknęła oczy, ale nie mogła zasnąć. Telewizor był włączony, ze ściszym dźwiękiem, tylko dla towarzystwa. Leciał stary odcinek *Frasiera*, serialu, który zawsze ją bawił. Wzięła trzeci tom *Pięćdziesięciu twarzy Greya* i otworzyła w miejscu, gdzie tkwiła zakładka, ale po kilku liniijkach poczuła, że jest zbyt zmęczona na czytanie, więc odłożyła książkę i wypła trochę wody.

Spojrzała na elektroniczną nianię, sprawdzając, czy na pewno jest włączona. Na chwilę podkręciła mocno dźwięk, żeby słyszeć, jak Noah oddycha. Uspokojona, przyciszyła nadajnik.

Powinna uczyć się do egzaminu na uniwersytecie otwartym. Wiele tekstów filozoficznych leżało na kupce przy łóżku, ale w tej chwili nie miała ochoty na lekturę żadnego z nich.

Wiatr nadal wył na zewnątrz i przez szparę w oknie czuła na twarzy powiew. Z oddali dobiegało posępne wycie syreny. Sama nie wiedziała czemu, ale tej nocy była podenerwowana. Irytował ją wiatr. Martwiła się o dziecko. I o przyszłość. Przeczytane kilka dni wcześniej słowa Sofoklesa nagle wydały jej się bardzo trafne: „Gdy człowiek się boi, wszystko mu szeleści”.

O tak, tej nocy wszystko wokół szeleściło.

Zadrzała. Było tak zimno, że można by już zmienić kołdrę na zimową. Ale był dopiero początek września. Humphrey, który zazwyczaj spał w koszu w kuchni, zasnął na podłodze w nogach łóżka i nie miała serca wypchnąć go z pokoju. Nagle zaczął chrapać, głośno i głęboko, co wywołało u niej uśmiech. Chrapał zupełnie jak Roy, kiedy za dużo wypił.

Przymknęła oczy. Czuła koszmarne brzemię odpowiedzialności. Mówią, że życie zmienia się po urodzeniu dziecka. Ale nie uprzedzają, że to taka cholernie ciężka praca, a poza tym ciągle się boisz, że coś się temu dziecku stanie. Pielęgniarka środowiskowa zapewniła ją, w trakcie kontroli po sześciu tygodniach od porodu, że to zupełnie normalne, i podobnie mówiły wszystkie przyjaciółki, które już miały dzieci. Ale też nikt nie potrafił jej opisać głębi miłości, którą będzie odczuwać za każdym razem, gdy spojrzy na Noaha i weźmie go w ramiona.

Ale jak ją przez niego bolały sutki!

Coś pomknęło z wiatrem przez podwórze na dole. Brzmiało jak furkocząca plastikowa torebka. Pomyślała o sprawie, nad którą pracował Grace. Biedna stara kobieta torturowana przez włamywaczy we własnym domu. Na jaki świat wydała Noaha? Ten świat był brutalnym miejscem, zawsze był i wyglądało na to, że zawsze będzie. Przynajmniej, pomyślała, Noah i ona mieli szczęście pod jednym względem. Dzięki Royowi zawsze czuła się bezpieczna i wiedziała, że on zadba też o bezpieczeństwo Noaha.

Podkreśliła trochę głośność w telewizorze. Frasier próbował pozbyć się na noc brata, ponieważ miał namiętą randkę z królową balu maturalnego z dawnej szkoły, obecnie wampem w średnim wieku.

Uśmiechnęła się, czując, że nastrój jej się poprawia.

Roy Grace zjadł wisienkę Maraschino, wysączył ostatnie krople drugiego koktajlu Manhattan i zgasił drugiego papierosa. Mężczyźni przy barze, palący cygara, wciąż byli zaabsorbowani meczem baseballowym na wielkim ekranie telewizyjnym. Guy Batchelor i Jack Alexander prowadzili ożywioną rozmowę na temat perspektyw drużyny Brighton & Hove Albion w nowym sezonie futbolowym, a Grace siedział w milczeniu, pogrążony w myślach, starając się przestudiować na iPhone szczegółowy opis domu, podany przez agencję nieruchomości na stronie internetowej.

Tęsknił za Cleo i Noahem, ale teraz w Anglii było już wpół do pierwszej – o wiele za późno, by jeszcze raz zadzwonić. Martwił się też o jutrzejszy dzień. Zastępca komisarza, Rigg, obdarzył go dużym zaufaniem, a próbując ten wyjazd, więc musieli się wykazać. Jednak fakt, że Eamonn Pollock przy odprawie paszportowej wpisał fałszywy adres w formularzu, świadczy o tym, że przyjechał tutaj z nieuczciwych powodów. Może Grace powinien teraz pójść do hotelu, w którym Pollock przebywa, i dołączyć do straży. Ale musiał się trochę przespać, bo inaczej będzie jutro do niczego. Najlepsze, co może teraz zrobić, pomyślał, to coś przekąsić i czym prędzej się położyć, a udać się tam z samego rana.

Guy Batchelor wezwał kelnerkę i powiedział, że chcieliby zamówić jeszcze jedną kolejkę, ale Roy Grace zaprotestował.

– Tylko rachunek proszę – odezwał się stanowczo. Potem zwrócił się do kolegów: – Być może nie podziękujecie mi w tej chwili, ale będziecie wdzięczni o szóstej rano.

- O szóstej? – Batchelor spojrzał na niego z przerażeniem.
- Wtedy zaczynamy. Nadal chcesz jeszcze jednego drinka?
- Chyba raczej nie.

Amis Smallbone pchnął i otworzył ciężkie okienko na dachu. Natychmiast poczuł silny wiatr i deszcz siekający go po twarzy jak żwir. Jeszcze dziś, później, znajdzie się w Hiszpanii, w słońcu, z dala od tej gównianej pogody. Opuścił gogle na oczy i noc zrobiła się butelkowozielona.

Wygramolił się, powoli i ostrożnie, na wąską metalową platformę. Wokół niego świszczwał wiatr. Widział poświatę latarni ulicznych Brighton jako jaskrawozieloną mgłę. Łapiąc równowagę, jeszcze raz przećwiczył w głowie czekającą go zaraz krótką wędrówkę do domu Grace'a. Czternaście kroków po metalowej drabince szerokości dziewięćdziesięciu centymetrów, z poręczą po prawej stronie. Potem ostry łuk w lewo, schylenie się, by uniknąć anteny satelitarnej. Osiem kolejnych kroków i już będzie przy okienku dachowym Grace'a.

A potem, jak wszystko pójdzie dobrze, znajdzie się na ich poddaszu.

W ich domu.

Przed twarzą ich dziecka. I sprawi, że będzie uśmiechnięte do końca życia!

Uderzył go silny podmuch wiatru, więc poczekał, aż minie, trzymając się poręczy. Cieszył się już na to, co zaraz miało nastąpić. Spełnienie marzenia. Marzenia, które dojrzewało w nim przez długich dwanaście lat. Teraz od jego realizacji dzieliło go tylko kilka kroków. Od zrujnowania Royowi Grace'owi życia. Tak jak ten drań jemu zrujnował. Oko za oko, ząb za ząb. Dziecko z uśmiechem gwałciciela. Na całe życie!

Zrobił kilka kroków do przodu, trzymając się poręczy i rozglądając. Patrzył w dół na puste podwórze. I ponad dachami, na

nocne Brighton. Było już dobrze po północy, większość mieszkańców spała.

Metalowa drabinka pod jego stopami zawibrowała, jakby ktoś jeszcze po niej szedł. Odwrócił głowę, ale trudno mu było coś zobaczyć. Ruszył dalej.

Trzyście kroków. Dwanaście. Jedenaście. Dziesięć. Dziewięć, liczył. Widoczność przez gogle była gorsza, niż mu się zdawało, kiedy je przymierzał. Widział na wprost, ale po bokach prawie wcale. Jeszcze raz się rozejrzał, jednak pole widzenia było ograniczone. Skoncentrował się na tym, co miał przed sobą, nadal liczył kroki, by mieć całkowitą pewność.

Osiem. Siedem. Sześć.

Nagle chwyciła go za ramię dłoń mocna jak stalowe kleszcze.

Na chwilę osłupiał. Potem odwrócił się i zobaczył olbrzymią sylwetkę mężczyzny z kominiarką na głowie. Szarpnął się w panice, jakoś udało mu się wyrwać z uścisku i rzucił się w przód, czując, jak metalowa siatka wibruje mu pod stopami.

Niemal natychmiast coś uderzyło go z boku w twarz, niczym niespodziewany cios leworęcznego boksera.

Pieprzona antena satelitarna. Zatoczył się, oszołomiony. Nagle pod lewą stopą poczuł tylko powietrze. Zamachał ramionami, wiatr zepchnął go w bok. Krzycząc z przerażenia, rozpaczliwie starał się odnaleźć drabinę lewą stopą. A potem spadł, głową do przodu. Uderzył w coś twardego, mokrego i śliskiego. Uczepił się dachówek dłońmi w rękawiczkach. Zobaczył, że podwórze się zbliża – ześlizgiwał się, zsuwał. Po stromiźnie dachu, twarzą do przodu. Kocie łby robiły się coraz większe.

I większe.

Pędziły ku niemu.

Mocniej wcisnął dłonie w mokre dachówki, wrzeszcząc i usiłując znaleźć jakieś oparcie.

Jeszcze większe.

A potem spadał w powietrzu.

Cassandra Jones nienawidziła poniedziałkowych poranków. A ten był wyjątkowo okropny. Miała koszmarne kaca po winie, które piła poprzedniego wieczoru, a czekało ją ważne poranne spotkanie z nowym klientem w Londynie. Dlaczego, do diabła, wypła ten czwarty kieliszek? Dlaczego, zastanawiała się, pod wpływem alkoholu człowiek nabiera dziwnego przekonania, że następnego dnia będzie czuł się lepiej, jak wypije jeszcze jeden kieliszek wina, zamiast uprzejmiem odmówić albo wypić szklanę wody?

Wzięła prysznic, ubrała się, wypła szklanę witaminowego napoju Emergen-C i wmusiła w siebie miseczkę owsianki, po czym otworzyła drzwi wejściowe i wyprowadziła rower, żeby podjechać na nim do stacji. Przynajmniej wichura, szalejąca przez całą noc, ustała i był ładny dzień późnego lata – albo wczesnej jesieni, zależy, jak patrzeć.

Zamknęła za sobą drzwi i wtedy zauważyła skuloną, wykrzywioną postać, leżącą na kocich łbach w niewielkiej odległości od niej. W pierwszej chwili poczuła irytację. Co, u diabła, robi jeden z tych pijanych miejskich włóczęgów na jej prywatnym podwórku?

Potem, gdy prowadząc rower, podeszła bliżej, ujrzała ciemną plamę wokół głowy leżącego. Plamę szkarłatnej krwi.

Stała jak wryta, przerażona tym strasznym widokiem. Drobnej postury człowiek, ubrany na czarno, z twarzą w czarnych smugach zmieszanych z zakrzepłą krwią. Czarny czepek kąpielowy leżał w pobliżu, a dziwnie wyglądające gogle tkwiły pod brodą mężczyzny. Czy był to jakiś podglądacz?

Rzuciła rower, rozglądając się nerwowo po domach wokół. Skąd on się wziął? Czy ktoś go widział? Starła się przypomnieć sobie

zasady pierwszej pomocy, jakich nauczyła się przed kilkoma laty na kursie. Jednak gdy przyjrzała się uważniej twarzy leżącego, zobaczyła, że ma u góry czoła pęknięcie, jak w kokosie, i wycieka stamtąd brązowoszara masa połączona z krwią. Niewidzące oczy patrzyły przed siebie, podobne do tych na straganie rybnym.

Roztrzęsiona zdjęła z ramion plecak, wyciągnęła komórkę i wybrała numer 999.

Roy Grace ustawił alarm na piątą rano, ale zupełnie niepotrzebnie, bo obudził się sam o trzeciej, całkiem przytomny. W Wielkiej Brytanii była teraz ósma, więc od dwóch godzin już by nie spał, a może nawet zaliczył pięciokilometrowy bieg.

Cleo pewnie już się zbudziła i kusiło go, by do niej zadzwonić. Ale na wypadek, gdyby zasnęła po karmieniu, postanowił z tym poczekać. Poza tym wiedział, że powinien spróbować jeszcze trochę pospać i odpocząć przez dzień, który zapowiadał się na długi i ciężki.

Poprawił poduszki i położył się wygodnie na plecach. Ale po kilku minutach przewrócił się na prawy bok. A potem na lewy. Potem znowu wyciągnął się na plecach. Denerwował się tym, że Eamonn Pollock może się im wymknąć. Był przekonany, że jest kluczową postacią i w jakimś momencie będzie miał przy sobie zegarek. I wtedy mogliby go dorwać.

Coraz bardziej martwił go porucznik Aaron Cobb i niechętnie zostawiał kontrolę nad akcją w jego rękach. Chciał dostać się do hotelu Pollocka osobiście i znaleźć wszystkie możliwe drogi wyjścia – bo był przekonany, że Pollock już je namierzył. Przy tak wysokiej stawce wątpliwe, by podejmował jakiegokolwiek ryzyko.

Grace czuł, że już nie zaśnie: był całkowicie rozbudzony i miał gonitwę myśli. Wstał z łóżka, wziął prysznic i ogolił się. Potem przejrzał ze trzydzieści nowych mejli, ale nie znalazł nic ważnego. Kilka z nich dotyczyło jesiennych imprez sportowych policyjnego klubu rugby, który prowadził, a jeden – kursu utrwalającego wiedzę na temat kognitywnej metody przesłuchiwania podejrzanych, organizowanego w Slaugham Manor, policyjnym ośrodku szkoleniowym i konferencyjnym w Sussex.

Włożył T-shirt, dres i buty sportowe, umieścił w zapinanej na suwak kieszeni kartę hotelową, po czym zjechał do pustego holu. Za ladą recepcji stała tylko jedna osoba, a wysoki czarnoskóry ochroniarz ze słuchawką w uchu ukłonił mu się z powagą.

Przez jakiś czas szedł w ciemności po Czterdziestej Drugiej, potem ruszył biegiem, skręcił w prawo i skierował się do Central Parku. Na ulicach panował mały ruch, od czasu do czasu przemknął jakiś samochód albo taksówka. Na chodnikach pustki. Nie zawracał sobie głowy przystawaniem na czerwonych światłach, lecz przecinał ulicę za ulicą, aż dobiegł do hotelu Plaza, gdzie skręcił w lewo.

Kilka minut później dotarł do wejścia hotelu Marriott Essex House. Minął go, skręcił w lewo na Siódmej Alei, potem znowu w lewo na Pięćdziesiątej Szóstej Ulicy i zatrzymał się, kiedy dotarł do tylnego wyjścia z hotelu. Sprawdził drzwi, które ku jego lekkiemu zaskoczeniu się otworzyły. Ruszył długim korytarzem, pełnym witryn z kosztownie wyglądającą biżuterią i ubraniami, aż wreszcie dotarł do wind.

Tam natknął się na czujnego, zwalistego strażnika, który spojrzał na niego z ciekawością. Obok siedzieli na krzesłach dwaj umundurowani policjanci, pogrążeni we śnie.

Cicho, nie chcąc ich budzić, Grace pokazał strażnikowi swoją angielską legitymację policyjną.

– Ci goście pilnują Eamonna Pollocka z apartamentu tysiąc czterysta sześć?

– Tak. – Uśmiechnął się. – Niezbyt wytrzymali, co?

Grace zrobił im zdjęcie swoim iPhone'em i wysłał je mejlem do Pata Lanigana, załączając lakoniczny komentarz.

– Ile wejść i wyjść tutaj macie? – spytał strażnika.

– Na tym poziomie dwa. Dwa niżej. Są też wyjścia przeciwpożarowe. – Zastanawiał się przez chwilę. – Sześć.

W sumie dziesięć wyjść, pomyślał Grace. I pilnuje ich dwóch gliniarzy – i obaj śpią. Świetnie.

– Czy może mi pan je pokazać? – spytał.

– Przepraszam, szefie, nie mogę stąd odejść.

– Mogę sam się rozejrzeć?

– Proszę bardzo.

Po powrocie do pokoju hotelowego, tuż po czwartej, Roy Grace nagle poczuł się wykończony. Rozebrał się i położył do łóżka, nastawiając budzik za pół godziny. Niemal natychmiast zasnął, a obudził go, jak się zdawało, zaledwie kilka sekund później, dzwonek jego telefonu.

Dzwonił Glenn Branson.

– Cześć, stary, nie śpisz?

– Już nie. Co się dzieje? – spytał, sprawdzając, która godzina.

Była czwarta dwadzieścia, czyli, jak obliczył, dwadzieścia po dziewiątej w Brighton.

– Sporo się działo, kiedy chrapałeś.

– Mów.

– Nie mam całkowitej pewności, ale wygląda na to, że ktoś próbował włamać się wczoraj w nocy do twojego domu.

– Którego domu?

– Cleo.

Grace poderwał się i usiadł wyprostowany. Dławił go strach.

– Jak to? Co się stało?

– Stoję przed domem w tej chwili. Mamy tu trupa... wygląda na to, że facet spadł z dachu. Ma poczernioną twarz, jest ubrany na czarno, ma gogle z noktowizorem i cały zestaw narzędzi do włamań. – Glenn celowo nie wspomniał o brzytwie, nie chcąc jeszcze bardziej martwić przyjaciela.

Grace poczuł, jak ogarnia go potworne przerażenie.

– Czy z Cleo wszystko w porządku? Sprawdziłeś, co u niej i Noaha?

– Nic im nie jest.

– Spadł z dachu? Znalazłeś jakiś dowód tożsamości?

– Nie ma przy sobie portfela ani żadnego dokumentu.

– Na pewno nie żyje?
– Tak orzekł ratownik medyczny. Koroner właśnie się zjawiał.
– Dlaczego sądzisz, że próbował się włamać, Glenn?
– Znajduje się dwa metry od wejścia do jej domu. Jeśli to nie włamywacz, to przybył z balu maskowego, na który się tak przebrał.

– Muszę porozmawiać z Cleo – rzucił Grace. – Oddzwonię.

Drżącym palcem wystukał numer domowy Cleo, ale był zajęty. Spróbował na komórkę – od razu włączyła się poczta głosowa. Ponownie wybrał numer stacjonarny i wreszcie odezwała się Cleo. Głos miała straszny.

– Usiłowałam się do ciebie dodzwonić – powiedziała. – To musiał być ten hałas, który słyszałam w nocy, kiedy telewizor zaczął śnieżyć... ktoś ześlizgiwał się z naszego dachu. Co on tam robił, Roy? Co, do diabła, ktoś robił na naszym dachu?

Usłyszał w telefonie pikanie. Na wyświetlaczu ukazała się informacja, że ma drugie połączenie.

– Kochanie, zaczekaj moment, dobrze? Przełączę się na chwilę, może to pilne.

Dzwonił Glenn Branson.

– Roy, koroner, Philip Keay, mówi, że rozpoznaje martwego mężczyznę, bo miał z nim kiedyś do czynienia. Chyba nie będziesz zachwycony... to Amis Smallbone.

Siedzącemu na brzegu łóżka Grace'owi wiadomość wydała się niemal surrealistyczna. Dopiero po chwili dotarła do niego w pełni.

– Amis Smallbone? Czy koroner jest tego pewien?

– Tak, absolutnie.

– Zadzwoń za minutę. – Przełączył się na rozmowę z Cleo. – Wracam natychmiast... to znaczy łapię najbliższy lot, kochanie. Chociaż pewnie uda się to dopiero wieczorem, więc zjawię się jutro rano. Ale do tego czasu załatwię ci ochronę policyjną. Rodzinnego oficera łącznikowego.

– Proszę, wróć szybko – powiedziała łamiącym się głosem.

– Kocham cię, kotku. Już dobrze, nie bój się. Ale nie chcę, żebyście wychodzili z domu, dopóki nie wrócę i nie sprawdzę, co się dzieje, dobrze?

Ledwie mógł zrozumieć jej odpowiedź, stłumioną szlochem.
I sam się trząsał. Co, u diabła, planował ten gnojek?

Roy Grace siedział na brzegu łóżka, drżąc od chłodu klimatyzacji. Ukrył twarz w dłoniach i myślał. Amis Smallbone z zestawem narzędzi do włamań. Nie było alternatywnego scenariusza ani innej możliwej hipotezy. Smallbone znalazł się tam, bo chciał się włamać. Kropka. Pytanie, na które nie znał odpowiedzi, brzmiało: Co zamierzał zrobić?

Skrzywdzić Cleo albo Noaha, albo oboje? Przypomnił sobie potworne, przerażające słowa wyryte dłutem na samochodzie Cleo: DZIWKĄ GLINIARZA. TERAZ KOLEJ NA TWOJE DZIECKO. Smallbone gorąco zaprzeczył, jakoby to miała być jego robota. Następnie ktoś anonimowo zamieścił w „Argusie” nekrolog Noaha, tuż po jego narodzinach. Osoba, która to zrobiła, do tej pory nie została zidentyfikowana, ale Grace podejrzewał, że jedno i drugie było sprawką Smallbone’a.

Czy miał współnika? Grace pomyślał, że to mało prawdopodobne. Gdyby Smallbone chciał okraść dom, wynająłby kogoś, żeby to zrobił. Nie. Cokolwiek zaplanował, zamierzał wykonać to osobiście. A teraz nie żyje. O jedną kanalię mniej na tej planecie. Wątpił, by wiele osób go oplakiwało. Ohydny żywot, jałowy, roztrwoniony dar życia.

Usłyszał sygnał esemesa. Spojrzał na ekran i zobaczył, że to od Pata Lanigana.

Już nie śpią, stary, i tyłki im się palą!

Uśmiechnął się i oddzwonił do Glenna Bransona.

- Czy sprawdzacie ślady wskazujące, że ktoś chciał się włamać?
- Tak, wszystko zabezpieczone.

– Jest roztrzęsiona, Glenn. Czy możesz załatwić, żeby ktoś z nią został?

– Właśnie organizuję rodzinnego oficera łącznikowego do czasu, aż wrócisz.

– Dzięki. Myślałem, że nie będzie cię dziś w pracy... czy to nie w tym tygodniu jest pogrzeb Ari? W środę?

– Nie pracowałem, ale zobaczyłem adres zdarzenia w informacjach i przyjechałem. Siostra Ari pomaga mi w domu przy dzieciach, więc wszystko w porządku.

– Bardzo ci jestem wdzięczny. Dziękuję, stary.

– Zadzwoń, jak wypłynie coś nowego. A co u ciebie?

– Jak na wpół do piątej rano w poniedziałek, na razie sporo się dzieje – rzucił cierpko Grace.

Potem szybko zrelacjonował mu wydarzenia, zakończył rozmowę i natychmiast zadzwonił do Tony'ego Case'a, starszego oficera wspomagającego, który był odpowiedzialny za organizację podróży. Wyjaśnił mu sytuację i spytał Case'a, czy może załatwić mu natychmiast bilet powrotny.

– Hm, to będzie kosztować – powiedział Tony Case. Ten były policjant bywał nieco zrzędlawy. – Załatwiłem wam wszystkim okazyjne bilety powrotne, ale nie podlegają zwrotowi.

– Zapłacę z własnej kieszeni.

To trochę udobruchało Case'a.

– Zostaw to mnie, Roy. Może nie będzie takiej konieczności. Jesteś pod komórką?

– Tak.

– Daj mi jakieś pół godziny.

Grace nie miał już ochoty – ani szansy – na więcej snu, więc zamówił dzbanek kawy, po czym wszedł pod mocny, gorący prysznic, karbując sobie w pamięci, by przypomnieć Cleo o wysłaniu kwiatów na pogrzeb Ari Branson.

* * *

Dwadzieścia minut później, pobudzony prysznicem i drugą filiżanką kawy, Roy Grace sprawdził mejle. Nie znalazł nic nowego

na temat domu Cleo – wszystkie informacje otrzymał już od Glenna Bransona.

Był piąta dziesięć. Oczy go piekły, ale jego umysł pracował na pełnych obrotach. Za trzy kwadranse miał się spotkać z Guyem Batchelorem i Jackiem Alexandrem w holu, a potem udać się z nimi na Central Park South i do hotelu Eamonna Pollocka.

Zadzwoił do biura i spytał Bellę, co nowego. Oznajmiła, że nie ma szczególnych postępów w śledztwie. Kiedy zakończył rozmowę, znów zadzwonił Glenn Branson.

- Wcale ci się to nie spodoba – powiedział.
- Już mi się nie podoba! – odparł Grace.

– Na ostatniej sesji pomyślałem, że zamierza pani powiedzieć coś więcej o ojcu swego dziecka – zagaił doktor Eberstark. – Mówiła pani, że miała romans z jednym ze współpracowników męża. Czy sądzi pani, że ten mężczyzna jest ojcem?

– Nie wiem – odparła Sandy.

– I jak się pani z tym czuje? Że pani nie wie?

Milczała przez jakiś czas, a wreszcie wzruszyła ramionami.

– To trudne. Nie jestem pewna, czy wolałabym wiedzieć, że Bruno jest synem Roya, czy że nie jest.

– A jeśli jest, to czy nie uważa pani, że on ma prawo o tym wiedzieć?

– Myślałam, że płacę panu po to, by mi pan pomagał, a nie mnie przesłuchiwał.

Psychiatra się uśmiechnął.

– Tyle pani dusi w sobie, Sandy. Czy zna pani słowa: „Prawda was wyzwoli”?

– A jak mam niby dowiedzieć się prawdy? Raczej nie poproszę Roya czy mężczyzny, z którym miałam romans, żeby przesłali mi próbki swojego DNA.

– Z mojego doświadczenia wynika, że większość kobiet jednak wie – powiedział. – Jest pani osobą, która mocno kieruje się instynktem. Co on pani podpowiada?

– Czy możemy zmienić temat?

– Dlaczego tak trudno pani o tym mówić?

– Bo... – Znów wzruszyła ramionami i zamilkła.

Po kilku minutach doktor Eberstark spytał:

– Czy zastanawiała się pani jeszcze nad tym domem w Brighton, który zamierza pani kupić?

– Właściwie to jest w Hove.

- Hove?
- Odpowiednikiem tutaj byłoby chyba Schwabing.
- Elegancka okolica?
- Kiedyś wśród mieszkańców Brighton i Hove panował duży snobizm. Brighton było krzykliwe i barwne, Hove bardziej stateczne, nobliwe.

Znów zapadło milczenie.

Doktor Eberstark zerknął na zegarek i zobaczył, że zostało jeszcze tylko kilka minut do końca sesji, więc ponaglił Sandy:

- A zatem ten dom w Hove... czy podjęła już pani decyzję?

Nie odpowiedziała, tylko patrzyła na niego z nieodgadnioną miną.

* * *

Sandy wyszła z budynku, w którym przyjmował doktor Eberstark, i stanęła na chodniku przy Widenmayerstrasse, wpatrując się w szeroki trawiasty brzeg rzeki Izary po drugiej stronie ruchliwej ulicy i zbierając myśli. Okłamała psychiatrę. Wiedziała, kto jest ojcem jej dziecka.

Kiedy samochody przejeżdżały przed nią z rykiem silników, zastanawiała się, czy już nadszedł czas, wreszcie, by powiedzieć Royowi o synu. Teraz wiedziała na pewno, że to on jest ojcem. W trakcie wizyty w domu przed dwoma miesiącami, gdy oprowadzał ją po nim agent nieruchomości, zabrała z łazienki Roya starą szczoteczkę do zębów i szczotkę do włosów i wsunęła je do torebki. Na podstawie pobranego z nich DNA berlińska firma potwierdziła ojcostwo jej syna, Bruna Roya Lohmanna, ponad wszelką wątpliwość. To nie było dziecko Cassiana Pewe'a. Przez kilka miesięcy miała z nim romans. Poznała go, kiedy Roy uczestniczył w prowadzonym przez niego kursie, ale wszystko szybko się wypaliło.

Wahała się jeszcze w sprawie kupna domu. Było ją na niego stać, ale czy dobrze jest tak wracać?

Nagle, po raz pierwszy od długiego czasu, uśmiechnęła się i pomyślała: „Wiem, gdzie teraz pojedę i co chcę zrobić”.

Ruszyła energicznie z miejsca, zrobiła dwa kroki i zatrzymała taksówkę.

Ten sam zwalisty strażnik wciąż pełnił służbę w holu, obok wind w hotelu Marriott Essex House, kiedy piętnaście po szóstej przybyli tam trzech brytyjscy policjanci. Ku uldze Roya Grace'a dwaj funkcjonariusze, którzy spali twardo, gdy zjawił się tu wcześniej, teraz byli całkiem przytomni i nerwowo skorzy udzielić mu informacji. Nie żeby mieli coś szczególnego do zameldowania. Minionego wieczoru, o dziewiętnastej trzydzieści, Eamonnowi Pollockowi dostarczono kolację do pokoju. Ze słów kelnera, który go obsługiwał, wynikało także, że miał gościa płci męskiej. Trochę później Pollock wystawił tacę na korytarz. Od tej pory było tam cicho, więc przypuszczali, że jeszcze śpi.

Grace spytał, czy może porozmawiać z kelnerem o gościu Pollocka. Zwalisty strażnik porozumiał się z kimś przez krótkofalówkę i oznajmił, że kelner zszedł z dyżuru i wróci koło południa.

Zostawiając strażnika hotelowego na miejscu, Grace zaprowadził swoich kolegów i amerykańskich policjantów do dwóch wyjść w sutenerze. Batchelora zostawił przy jednym, Alexandra przy drugim. Wysłał jednego z Amerykanów pod drzwi pokoju Pollocka, a drugiego na dół. Sam ruszył do głównego holu hotelowego i podszedł do recepcji, mając na oku główne wejście. Poprosił o rozmowę z dyżurnym kierownikiem.

Trudno mu było skupić się na czymkolwiek od ostatniej rozmowy telefonicznej z Glennem Bransonem, który powiedział mu, że Amis Smallbone wynajął dom sąsiadujący z domem Cleo. Ta mała kanalia była tuż za ścianą. Z elektronicznym sprzętem do podsłuchu. Jak mu się to udało? Jego kurator...

Ale to nie była wina kuratora. Do niego należało tylko sprawdzenie, czy dom się nadaje i czy podopiecznego stać na

wynajem. Skąd niby miał wiedzieć, że Grace mieszka po sąsiedzku.

Ale... cholera.

Zjawił się kierownik z nocnej zmiany, do którego wcześniej Pat Lanigan dzwonił, by wprowadzić go w sprawę.

– W czym mogę pomóc? – zwrócił się do Grace’a.

Grace pokazał mu swoją legitymację policyjną i spytał, czy mógłby obejrzeć nagrania z kamer przemysłowych pokazujących wejścia do hotelu, z wczorajszego dnia od godziny osiemnastej. Zauważył już, że od frontu i z tyłu hotelu są kamery, które rejestrują to, co dzieje się w środku i przed budynkiem.

Kilka minut później siedział w dusznej klitce za hotelowym biurem administracyjnym, patrząc na rząd monitorów, które były ponumerowane i pokazywały różne części hotelu oraz przyległej ulicy. Obok niego siedział gburowaty opasły strażnik o pozbawionych wyrazu oczach, który wyglądał – i cuchnął – jakby spędził na służbie całą noc. Mężczyzna poruszał dżojstikiem, przesuwał i przybliżał nagrania z kamer. Grace’owi przypomniało się, jak był w Las Vegas na konferencji dotyczącej zabójstw i idąc na śniadanie, siedł przez kasyno. Mijał rzędy automatów do gry, przy których siedzieli wyczerpani ludzie, wyglądający, jakby grali przez całą noc.

Grace przelatywał szybko nagrania, od czasu do czasu zwalniając, by przyjrzeć się jakiejś twarzy, jednak nie natrafił na nikogo znajomego. Wreszcie dał za wygraną i czując ulgę, że może opuścić cuchnące pomieszczenie, wrócił do holu i zajął miejsce, z którego miał dobry widok na wszystkich wychodzących i wchodzących od tej strony hotelu.

Kilka chwil później zadzwonił do niego Tony Case. Udało mu się zabukować miejsce w samolocie, który odlatywał z Newark o dwudziestą pierwszą, a lądował na Heathrow około dziewiątej rano następnego dnia. To dawało Grace’owi jeszcze cały dzień w Nowym Jorku, z czego był zadowolony, mimo że się niepokoił i pragnął jak najszybciej wrócić do domu, by zaopiekować się Cleo i Noahem.

W holu nie było nikogo poza sprzątaczką, która mozolnie przesuwała za sobą żółty trójkąt z ostrzeżeniem o śliskiej podłodze. Po jakimś czasie pospiesznie wmaszerował tam ranny ptaszek –

biznesmen, ciągnący małą torbę podróżną na kółkach. Podszedł do recepcji, a Grace przyglądał mu się – tylko z nudów, bo ani trochę nie przypominał Eamonna Pollocka ze zdjęć, które widział w kartotece kryminalnej. Był zresztą ze dwadzieścia lat młodszy.

Dziesięć minut później w holu zjawiała się młoda para w dresach – przy biurku portiera wypożyczyli dwa rowery i wyszli z nimi na zewnątrz.

Przed ósmą trzydzieści Grace zaczął się denerwować. Pollock przyleciał z Europy zaledwie kilka dni temu. Przy pięciu godzinach – sześciu w Hiszpanii – różnicy czasu na pewno budzi się skoro świt, tak jak on sam. Grace poprosił wcześniej ochronę hotelową, by powiadomiono go o wszelkiej aktywności w apartamencie Eamonna Pollocka, numer tysiąc czterysta sześć, szczególnie o zamawianiu śniadania albo taksówki. Przecież facet musi zamówić śniadanie, a przynajmniej herbatę albo kawę?

Kilka minut później do holu wszedł Pat Lanigan, w sportowej marynarce i krawacie, serdecznie uśmiechnięty, a towarzyszył mu Aaron Cobb, który miał minę człowieka cierpiącego na ropień zęba.

– Jak leci, przyjacielu? – spytał Lanigan.

– Martwi mnie, że Pollock jest za spokojny.

– Może połknął tabletkę nasenną? – zasugerował Cobb. – Ludzie tak robią, żeby opanować jet lag.

– Nawet gdybym wziął nie wiem jak silną pigułkę, to jeśli miałbym zarobić dwa miliony funtów... przepraszam, trzy miliony dolarów... nie sądzę, bym spał w poniedziałkowy rano – odpalił Grace.

Pat Lanigan zbliżył się niespiesznie do recepcji i zagadał do kobiety stojącej za kontuarem. Grace podążył za nim i zobaczył, że Lanigan pokazuje jej odznakę.

– Mogłaby pani ponownie sprawdzić, czy dziś rano nie było żadnej aktywności w apartamencie tysiąc czterysta szóstym? Będę wdzięczny, jeśli spyta pani o to obsługę pokoi, pokojówki, konsjerża oraz inne osoby, z którymi kontaktują się goście.

– Oczywiście. Proszę chwilę poczekać. – Podniosła słuchawkę telefonu.

Kilka minut później poinformowała, że nie było żadnych zamówień z apartamentu tysiąc czterysta szóstego, a pracownik,

którego wysłała, powiedział, że na kłamce wisi tabliczka z napisem: „Nie przeszkadzać”.

Dziesięć po dziewiątej Roya Grace’a ogarnęły złe przeczucia.

– Myślę, że trzeba doprowadzić do tego, żeby ktoś tam wszedł – powiedział do Lanigana. – Musimy się upewnić, że on tam wciąż jest.

Detektyw się z nim zgodził i znów porozmawiał z recepcjonistką, tym razem oficjalnie wzywając menedżera hotelu.

Pięć minut później Grace, Lanigan i menedżerka, elegancka czterdziestoparolatka, wjechali na czternaste piętro i przemierzyli labirynt korytarzy. Tabliczka z napisem: „Nie przeszkadzać” wciąż wisiała na kłamce, razem z czarną torbą zawierającą dzisiejszego „New York Timesa”.

Menedżerka zastukała głośno do drzwi, odczekała chwilę i zapukała ponownie. Potem zadzwoniła pod hotelowy numer pokoju. Przez drzwi słyszeli świergotanie nieodbieranego telefonu. Grace popadał w coraz większe przygnębienie.

Wreszcie menedżerka otworzyła drzwi swoją kartą i zawołała ostrzegawczo:

– Halo! Panie Alvarez? Halo! Dzień dobry!

Powitała ich cisza.

Cichy pokój z dwiema kanapami i stolikiem, na którym stał samotny pusty kieliszek do szampana.

Grace i Lanigan poszli za menedżerką do sypialni. Łóżko było niepościelone, telewizor włączony, ze ściszym dźwiękiem, biały frotowy szlafrok leżał na podłodze. Tylko to świadczyło o tym, że pokój był zamieszkały. Jednak mieszkaniec zniknął, wraz z bagażem i przyborami toaletowymi, co potwierdziła pusta łazienka.

Dość wysłużona czarna limuzyna Lincoln Town Car, którą hotel udostępnił Gavinowi Daly'emu, podjechała na Madison Avenue, w pobliże przedstawicielstwa handlowego zegarków firmy Panerai, jak zauważył. Kierowca wyskoczył z samochodu, otworzył Daly'emu drzwi i wskazał numer przy wejściu.

– Świetnie – powiedział Daly. Wbił czubek łaski w chodnik, a następnie dźwignął się i wysiadł na rozpaloną słońcem ulicę. Kiedy stanął prosto, wyraźnie poczuł ciężar w kieszeni spodni. Był zmęczony, odczuwał jet lag i źle spał, ale działał na adrenalinie. – Zaczeka pan tu na mnie?

– Tak, proszę pana. Jeśli nie będzie mnie, gdy pan wyjdzie, proszę poczekać tutaj. Może będę musiał objechać jedną przecznicę, jeśli każą mi się ruszyć.

– Oczywiście.

– Za godzinę?

– Mniej więcej. Dziękuję. – Stłumił ziewanie.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Będę tu czekał na pana.

Gavin Daly przyjechał wcześniej, jak poradził mu Julius Rosenblaum. Była dziewiąta czterdzieści pięć, a Eamonn Pollock umówił się z nieuczciwym handlarzem na dziesiątą trzydzieści. Daly podszedł do drzwi wciśniętych między dwa eleganckie sklepy i przebiegł wzrokiem plakietki widniejące przy dzwonek. Potem nacisnął ten z napisem: „J.R. Żeglarskie Starocia”, świadom obecności kamery umieszczonej powyżej.

Po chwili usłyszał głos Rosenblauma.

– Wejdz, Gavinie. Windą na trzecie piętro.

– Pamiętam! – odparł.

I rzeczywiście, pamiętał bardzo dobrze, choć minęło co najmniej dziesięć lat od jego ostatniej wizyty.

Winda była mała i staroświecka, z zasuwaną metalową kratą. Nacisnął guzik i winda ruszyła, a kilka chwil później zatrzymała się z nagłym szarpnięciem. Otworzył ją i wyszedł na wąski korytarz. Drzwi znajdujące się na wprost przed nim były zaopatrzone w judasz i widniała na nich wypisana złotymi literami nazwa: J. ROSENBLAUM, ŻEGLARSKIE STAROCIA.

Niemal natychmiast drzwi się otworzyły i stanął w nich jeden z jego najstarszych i najlepszych klientów, uśmiechnięty, wysoki i wyprostowany, z wojskową prezencją, którą Daly zawsze podziwiał.

Dobrze po osiemdziesiątce, z ładnie ufryzowanymi białymi włosami, mocno pachnący wodą kolońską, Julius Rosenblaum wyglądał wytwornie, choć może trochę nonszalancko i szpanersko. Miał zakrzywiony, semicki nos, opadające powieki i szczodry, szeroki uśmiech. Był nienagannie ubrany, w trzyczęściowy czarny garnitur w prążki i ekstrawagancki krawat, a na przegubie miał bogato zdobiony i pretensjonalny zegarek Vacherin Constantin.

– Miło cię widzieć, Gavinie! – Zmierzył go wzrokiem od stóp do głów. – Wyglądasz wspaniale! W ogóle się nie zmieniłeś.

– Ani ty!

– Wejdz. Mamy czas na kawę i wiele do nadrobienia.

Daly wszedł na luksusową bładoniebieską wykładzinę, tak miękką, że zapadały się w niej stopy. Wzdłuż korytarza wbudowane były oszklone szafki, w których wystawiono zegary ze statków, żeglarską klepsydrę z mosiężną pokrywką ozdobioną napisem: ROYAL NAVY oraz oprawiony dzwon ze statku. Poszedł za Rosenblaumem do małego pokoju ze staroświeckim georgiańskim stolikiem, który służył jako kontuar recepcji. Siedziała przy nim elegancka starsza pani pisząca na klawiaturze. Obok na blacie leżała sterta magazynów o antykach.

– Marjorie, pamiętasz Gavina Daly’ego z Anglii?

– Ależ tak! – Uśmiechnęła się do niego.

– Czy mogłabyś przynieść nam kawy?

Weszli do gabinetu Rosenblauma. Stały w nim okrągły stół konferencyjny oraz wielkie biurko z dwoma obitymi skórą krzesłami przeznaczonymi dla gości po jednej stronie i wielkim pikowanym fotelem z czarnej skóry po drugiej stronie blatu. Na

ścianach wisiały w rzędzie piękne olejne obrazy, co nadawało pomieszczeniu trochę muzealny charakter. Naturalne światło wpadało przez wielkie okno z matowego szkła. W pokoju panowała cisza, bo dźwięki dochodzące z ulicy były dobrze wytłumione.

Rosenblaum wskazał Gavinowi Daly'emu jedno z krzeseł przed biurkiem, sam usiadł na drugim, obciągnął rękawy, odchylił się na oparcie i skrzyżował ramiona na piersi.

– A więc?

– Jestem ci bardzo wdzięczny, Juliusie, że mnie o tym poinformowałeś.

Na blacie biurka stało wielkie srebrne pudełko na cygara, kilka zdjęć w srebrnych ramkach, duża szklana popielniczka i terminal komputerowy.

– Cóż znaczą w naszym wieku pieniądze, Gavinie? Transakcja z kradzionym zegarkiem wartym trzy miliony dolarów jest mi potrzebna jak dziura w moście. Teraz chcę mieć tylko spokojne życie... od czasu do czasu zrobić jakiś drobny interes, wciąż trzymać rękę na pulsie, mieć powód, by wyjść z domu, bo inaczej oszalałbym z nudów.

Daly pokiwał głową.

– Nadal masz jacht? – spytał.

Rosenblaum, który w czasie wojny koreańskiej służył w amerykańskiej marynarce, zawsze był zawołanym żeglarzem. Wiele lat temu, w pewien ładny letni dzień, zabrał Daly'ego na pamiętny rejs wokół wyspy Manhattan.

– Tak, ale trzymam go w St Barts. Tutejsze wody są dla mnie już teraz za chłodne.

Rosenblaum otworzył pokrywkę pudełka na cygara i pchnął je w kierunku Daly'ego.

– Częstuj się.

– Trochę za wcześnie, dziękuję.

– W takim razie później. Wypijemy kieliszek lub dwa, zapalimy. Przyjdź wieczorem do mojego klubu, jeśli masz czas.

– Z przyjemnością.

Rosenblaum wzruszył ramionami, a potem uśmiechnął się z pewnym zakłopotaniem.

– Mam usuniętą prostatę. Nie mogę już pieprzyć, więc co mi zostało poza cygarami i dobrym winem?

– Mam dokładnie ten sam problem.

– Postrzegam to jako przyjemność, Gavinie. Zawsze miały mną te cholerne żądze. Czuję się, jakbym przez większość życia był przykuty do dzikiej małpy, która kierowała się własną wolą, a przez cały czas chciała tylko pieprzyć, i była nieszczęśliwa, gdy tego nie robiła. A teraz wcale mi tego nie brakuje. A tobie?

– Jednak nadal lubię sobie popatrzeć – odparł Daly z uśmiechem. Julius Rosenblau również się szeroko uśmiechnął.

– W dniu, kiedy przestanę to lubić, chcę, by wyprowadzono mnie na pole i zastrzelono. No, ale nie wlokłeś się tu taki kawał drogi, żeby rozmawiać o bezużytecznych kutasach. – Zerknął na swój płaski staroświecki zegarek. – Pół godziny do jego przyjścia... o ile się zjawi.

– Co wymyśliłeś?

Rosenblau wskazał ścianę i Daly zobaczył kamerę skierowaną na stół konferencyjny, a potem gospodarz pokazał drzwi na drugim końcu pokoju oraz duże lustro w złoczonej ramie wiszące na bocznej ścianie.

– Tam znajduje się pomieszczenie, w którym mogę odtwarzać obraz z kamer. Ta tutaj jest nastawiona tak, by dawać zbliżenie przedmiotów leżących na stole. Używałem jej wielokrotnie do robienia zdjęć przedmiotów, które mi proponowano, żeby sprawdzić, czy figurują w jakichś rejestrach. A tego lustro weneckiego używam do obserwowania ludzi. Zdziwiłbyś się, ile można się dowiedzieć, zostawiając samych w pokoju ludzi, którzy usiłują coś ci sprzedać. – Zaciśnął usta. – Pomyślałem, że może byś chciał obserwować stamtąd spotkanie. Jeśli rozpoznasz zegarek jako własny, możesz nacisnąć guzik, by mnie ostrzec, albo od razu wejść. Tak czy owak, w ciągu dziesięciu sekund Eamonn Pollock zostanie tu uwięziony. Nie wyjdzie stąd w żaden sposób. – Uniósł teatralnie swoje opadające powieki. – Odpowiada ci to?

– Tylko jedna kwestia, Juliusie. Co chcesz z tego mieć?

Nowojorczyk uniósł obie dłonie.

– Taki stary przyjaciel jak ty, Gavinie? – Uśmiechnął się. – Sądzę, że nie zamierzasz zostawić mnie z niczym.

– Choć mówisz, że pieniądze nie mają już w naszym wieku znaczenia?

– Bo nie mają. – Potarł wymownie kciuk palcem wskazującym i posłał Daly'emu chytry uśmiech. – Hej, cóż znaczy parę milionów funtów między przyjaciółmi?

Eamonn Pollock czuł się okropnie. Podskakiwał na tylnym siedzeniu najbardziej zdezelowanej nowojorskiej żółtej taksówki, którą prowadził najgorszy kierowca w mieście – młody Etiopczyk, przez całą drogę wydzierający się na kogoś przez telefon. Ten wariat jechał najszybciej, jak się dało, gwałtownie przyspieszał, a z hamowaniem czekał do ostatniej chwili i zatrzymywał się równie gwałtownie.

Jakby tego było mało, ten bydlak siedzący obok, który przyssał się do niego jak pijawka, nie dawał mu chwili wytchnienia. Cholera jasna, nawet spali razem. O ile można w ogóle mówić o spaniu. Po tym, jak nocą zwiali z hotelu windą towarową i dalej przez tylne wejście dostawcze, Eamonn Pollock próbował przez resztę nocy przysnąć na wąskim fotelu w obskurnym pokoju bydlaka, w tanim hotelu na środkowym Manhattanie, podczas gdy Pijawka chrapał, aż się ściany trzęsły.

Kiedy w końcu taksówka szczęśliwie się zatrzymała, zauważył przedstawicielstwo handlowe firmy Panerai. Pomyślał, że może zrobi sobie przyjemność i kupi u nich zegarek, jak zakończy swoją transakcję – to będzie miły podarek dla jej uczczenia. A potem wstąpi do Tiffany’ego i kupi Luizie jakąś małą błyskotkę.

Rozproszony tymi myślami, wyciągnął z kieszeni marynarki portfel, wręczył kierowcy dwudziestodolarowy banknot i powiedział, że reszty nie trzeba, po czym otworzył drzwi.

Kierowca, przerywając rozmowę telefoniczną, postukał w licznik i oświadczył cierpko, że rachunek wynosi dwadzieścia trzy dolary.

Pollock pogrzebał głębiej w portfelu. Nieważne. Wszystko idzie dobrze, za chwilę będzie o wiele bogatszy. Jeszcze nie wymyślił, jak poradzi sobie z Pijawką. Ale był przekonany, że znajdzie jakiś

sposób. W końcu przez ostatnie trzydzieści lat robił różnych frajerów w balona. Nie zamierza teraz zmieniać stylu.

Wysiedli z taksówki.

– Lepiej będzie, jak zaczekasz tutaj – powiedział Pollock. – Dostaniemy lepszą cenę, jeśli załatwię to sam. – Ruszył kaczym chodem do drzwi.

– Akurat! – odparł Pijawka, zapalając papierosa.

Wziął dwa długie, mocne machy, kiedy Pollock dzwonił do drzwi. Chwilę później rozległ się ostry brzęczyk, a po nim kliknięcie. Pollock pchnął drzwi, a Pijawka podążył za nim, wciąż trzymając papierosa.

– Nie wolno tu palić – zauważył Pollock.

– Nie wolno palić w większości miejsc – burknął Pijawka, wydychając dym i strzepując popiół na podłogę.

Winda zjechała powoli, z cichym szcękaniem, i wsiedli do niej, choć przez tuszę Eamonna Pollocka ledwie się tam we dwóch zmieścili.

– Nie pal tu, do cholery!

– Czemu jesteś taki gruby, Pollock?

– Bo za każdym razem, jak rznąę twoją żonę, daje mi ciastko!

– Ha, ha, stare. Serio, powiedz, czemu jesteś taki gruby?

Pollock spojrział mu prosto w twarz, pokręcił głową.

– No, no, bez osobistych wycieczek, mamy interes do załatwienia. Nie róbmy zadymy, dobra?

Pijawka jeszcze raz mocno zaciągnął się papierosem, po czym zgniótł niedopałek na podłodze, a winda z szarpnięciem i klekotem ruszyła w górę.

Kiedy sekretarka zadzwoniła, by powiedzieć, że Eamonn Pollock już jedzie na górę, Julius Rosenblaum wprowadził Gavina Daly'ego, przez drzwi znajdujące się na końcu biura, do pokoiku monitoringu, po czym szybko doniósł mu tam jeszcze kawę.

Daly znalazł się w klitce niewiele większej od schowka na szczotki, w której stało jedno wysłużone krzesło obrotowe za lustrem weneckim. Wyściełane siedzenie było niewygodne i chwiejne, jak zauważył Daly, opadając na nie i opierając łaskę o wąską półkę przed sobą. Aż trudno mu było uwierzyć, że jest niewidoczny dla tych po drugiej stronie lustra – widok z tego mrocznego pomieszczenia na biuro Rosenblauma był idealny.

Upił trochę kawy i spojrzał w dół, by oswoić się z pokrętłem do zwiększania głośności, które pospiesznie wskazał mu Rosenblaum na skomplikowanym z wyglądu panelu sterowania. Dalej, na wysięgniku ściennym, znajdował się monitor telewizyjny, wyłączony, pobłyskujący światelkami nagrywarki. Resztę miejsca w klitce zajmował szereg staroświeckich metalowych szafek na dokumenty, pełnych pudełek i harmonijkowych segregatorów z dokumentacją.

W suchym, zakurczonym powietrzu wisiała zatechła woń starych papierów. W przeciwieństwie do biura, w którym dzięki klimatyzacji panował chłód, tu było gorąco i duszno. Daly z trudem powstrzymał kichnięcie. Zobaczył, że otwierają się drzwi gabinetu, i przez chwilę mignęła w nich sekretarka. Patrzył, jak Julius Rosenblaum podnosi się z krzesła – a potem wkroczył Eamonn Pollock, ubrany w pognieciony beżowy garnitur, krzykliwie żółtą koszulę i wulgarne brązowe mokasyny. Na widok tego człowieka Daly'emu krew zastygła w żyłach.

Przez całe swoje dorosłe życie Gavin Daly studiował z nienawiścią twarze mężczyzn, którzy zamordowali jego matkę i uprowadzili ojca. Przetrzęsnał wszystkie główne światowe archiwa prasowe oraz sporą bibliotekę siostry, dotyczącą tego okresu, i oczywiście internet, szukając coraz to nowszych ich zdjęć. Te twarze miał wyryte w pamięci.

Tak więc widzieć teraz Eamonna Pollocka było jak patrzeć na ducha.

Figury tych dwóch mężczyzn całkowicie się różniły. Mick – Proteza – Pollock był chudy i wysoki, Eamonn, jego stryjeczny wnuk, był otyły i mniej niż średniego wzrostu. Jednak obaj mieli takie same falujące włosy i aroganckie, chytre spojrzenie. Wyobraził sobie, jak wyglądałby Eamonn Pollock, gdyby był chudszy, z mniej obrzmiałymi policzkami i bez drugiego podbródka.

Albo jak wyglądałby Proteza, będąc grubszy.

Twarz Eamonna Pollocka przypominała domniemany portret pamięciowy.

Daly nie mógł oderwać od niego oczu. Siedział roztrzęsiony, z trudem trzymając nerwy na wodzy. Czuł rwanie w karku i ostry szum w uszach i myślał o tym, jak chętnie starłby wyraz zadowolenia z chytrej gęby tego faceta. Wtedy za Pollockiem wkroczył kolejny gość.

Przez chwilę Gavin Daly był pewny, że ma zwidy. Albo halucynacje wywołane zmęczeniem. Gapił się z kompletnym niedowierzaniem na wysokiego, muskularnego mężczyznę w zamszowej kurtce i dżinsach, który wszedł niespiesznie do pokoju, rozglądając się z tą znajomą miną aroganckiego łobuza.

– Juliusie, to mój współnik – oświadczył Eamonn Pollock z wyraźnym niesmakiem. – Lucas Daly.

Po chwili Gavin Daly poczuł ostrzegawcze palenie w piersi, po którym nastąpił ucisk. Pogmerał w kieszeni, wyjął fiolkę, wytrząsnął z niej na dłoń małą tabletkę nitrogliceryny i wsunął ją pod język. Oddychając ciężko i trzęsąc się z wściekłości, nagle cały zły potem, podkręcił trochę głośność.

– Miło pana poznać, panie Daly – odezwał się Rosenblum, lekko zmarszczywszy brwi, i wskazał przybyłym miejsca przy stole

konferencyjnym. – Czy mogę zaproponować panom kawę... albo herbatę?

– Z przyjemnością napiję się kawy – odparł Eamonn Pollock.

Lucas skinął tylko głową. Rosenblaum podszedł do biurka, uniósł słuchawkę i zamienił parę słów z sekretarką, po czym wrócił do stołu.

– A więc, panie Pollock, przypuszczam, że przyniósł pan zegarek?

– Oczywiście!

Pollock wyprostował się i z pewnym trudem wstał. Potem odpiął pasek, do którego była przyczepiona na kółku mała skórzana sakiewka, odsunął zamek, wydobyl duży zwój waty i umieścił go na stole. Powoli i mozolnie, choć biła od niego zachłanność i niecierpliwość, rozchylił watę, wyjął z niej zegarek Patek Philippe i położył go na blacie.

Julius Rosenblaum podszedł do biurka, wyciągnął z szuflady okular powiększający i wetknął go sobie w prawy oczodół. Następnie usiadł, wziął zegarek i zaczął go uważnie oglądać.

– Ładny przedmiot, szkoda, że w takim stanie. Chce pan za niego trzy miliony, prawda?

– To minimum, jakie jestem... jesteśmy skłonni zaakceptować. – Pollock strzelił oczami w stronę Lucasa Daly’ego, który kiwnął głową na znak zgody.

Sekretarka wniosła kawę, podała ją i wyszła. Rosenblaum nadal oglądał zegarek. Odwrócił go na drugą stronę, za pomocą narzędzia o cienkim ostrzu otworzył kopertę i ostrożnie zbadał mechanizm.

– Bez wątplenia jest bardzo piękny, bardzo rzadki. Przez całe życie nie widziałem wiele takich zegarków. Jednak interesuje mnie pewna kwestia. Co może mi pan powiedzieć o jego pochodzeniu, panie Pollock?

– Należał do mojego dziadka – wtrącił się Lucas Daly. – W roku dwudziestym drugim został wręczony memu ojcu.

– Przez mojego stryjecznego dziadka, który zdobył ten zegarek nielegalnie i pragnął zwrócić go rodzinie prawowitego właściciela – dodał Pollock.

Gavin Daly patrzył i słuchał, a jego furia wzmagala się coraz bardziej, podczas gdy bóle dusznicowe ustępowały.

– Cóż, mamy tu pewną niezgodność – oznajmił spokojnie Rosenblaum. – Sprawdziłem w firmie Patek Philippe, która posiada rejestr wszystkich wyprodukowanych przez siebie zegarków. Numer seryjny daty produkcji, zero, cztery, dziewięć, koma, trzy, pięć, jeden... ojej, przepraszam, mam dysleksję, często czytam numery od tyłu! Tak więc numer seryjny, jeden, pięć, trzy, koma, dziewięć, cztery, zero, wskazywałby na rok tysiąc dziewięćset jedenasty albo później. A numer powinien zawierać się pomiędzy jeden cztery dziewięć, koma, jeden, zero, zero a jeden, pięć, zero, koma, zero, zero, zero, skoro ma datę produkcji tysiąc dziewięćset dziesięć. Czy potrafi pan to jakoś wyjaśnić?

– Owszem – odrzekł Lucas Daly. – Z tego, co wiem, często zdarzało się, że najlepsi terminatorzy w tym samym czasie, kiedy wykonywali konkretny zegarek, robili dla siebie duplikat, oczywiście w tajemnicy. Podejrzewam, że tak właśnie było w przypadku zegarka mojego ojca. Dlatego numer seryjny nie pasuje.

– Rozumiem – powiedział Rosenblaum. – Jednak na zegarkach z tego okresu zegarmistrz przy każdej naprawie zostawiał mały znaczek z datą oraz swoimi inicjałami. Tutaj ich nie ma. Poza tym taki zegarek jak ten byłby robiony na zlecenie i właściciel niemal na pewno wygrawerowałby na nim swoje inicjały. Czasem, oczywiście, kiedy przedmiot przechodził z rąk do rąk, inicjały usuwano, ale po tym zawsze zostaje ślad. Tu żadnego śladu nie widzę.

– Co za brednie! – rzucił Lucas Daly z narastającym gniewem. – Może zegarek został skradziony przez mojego dziadka, zanim wygrawerowano inicjały. Skąd mam wiedzieć?

Za lustrem weneckim Gavin Daly patrzył i słuchał, a myśli mącił mu gniew. Lucas, jego syn, siedział tam z tym grubym zasranym łgarzem.

„Przez mojego stryjecznego dziadka, który zdobył ten zegarek nielegalnie i pragnął zwrócić go rodzinie prawowitego właściciela”.

Doprawdy?

Jego stryjeczny dziadek zamordował prawowitego właściciela.

A potem Eamonn Pollock zamordował Aileen, by odzyskać zegarek, i teraz próbuje go sprzedać. Ale skąd, u diabła, wziął się w tym wszystkim Lucas?

– Może to głupie pytanie... – zwrócił się Rosenblaum do Lucasa – ale skoro ten przedmiot jest tak cenny, dlaczego nikt z rodziny nie dał go do naprawy?

– Chyba sądzili, że naruszyłoby to jego autentyczność – wtrącił Eamonn Pollock.

– Nie – odparł Lucas. – To bardzo proste. Mój ojciec i moja ciotka chcieli, by zegarek pozostał dokładnie taki, jaki był w dniu, kiedy go odzyskali. To był jedyny łącznik z ich ojcem, a więc posiadał wielką wartość sentymentalną. Nie byłby taki sam, gdyby dali go do naprawy.

– A co oni na to, że teraz pan go sprzedaje? – spytał Rosenblaum, wpatrując się w Lucasa.

– No cóż, niestety oboje już nie żyją. – Uniósł ręce w geście niemej rozpacz. – Nadszedł czas, by rodzina go sprzedała, choć czyni to bardzo niechętnie.

Drzwi za ich plecami gwałtownie się otworzyły. Wszyscy trzej odwrócili się i ujrzeli Gavina Daly'ego, który w jednej ręce trzymał laskę, a w drugiej czarny rewolwer.

– Ja nie żyję, Lucasie? Czyżby? Owszem, pewnego dnia umrę, w swoim czasie, i wtedy otrzymasz tę radosną nowinę. – Drżącą dłonią skierował rewolwer na Eamonna Pollocka. – Ale ten drań skona przede mną.

Porucznik Aaron Cobb przedzierał się brudnym brązowym autem marki Ford Crown Victoria przez korki na Piątej Alei; z włączoną syreną i migającymi światłami zmierzał w stronę śródmieścia. Klął na wszystko, co mijał po drodze, a zwłaszcza riksze rowerowe, dla których rezerwował chyba największą porcję jadu.

Pat Lanigan siedział z przodu, obok niego, a Roy Grace z tyłu, gdzie cuchnęło niemytymi stopami i starym kebabem. Próbował dodzwonić się do Cleo, ale zarówno telefon domowy, jak i komórkowy przełączał go od razu na pocztę głosową, co wskazywało na to, że oba numery są zajęte. Spojrzał na zegarek. Było dwadzieścia po dziesiątej, czyli piętnasta dwadzieścia w Brighton.

– Kolejne miejsce z naszej listy jest już blisko, Roy – oznajmił Lanigan.

Cobb zaparkował przy Flatiron Building, jednym z ulubionych budynków Grace'a w tym mieście, i został za kółkiem, podczas gdy Lanigan i Grace wyskoczyli z auta i pospieszyli ku wejściu do małego sklepu. Nad oknem było wypisane staroświecką czcionką: „The Seconds Hand”. A pod spodem, mniejszymi literami: „Piękne zegarki – zakup i sprzedaż”. Na wystawie, wśród klasycznych marek, które Grace rozpoznał, leżały zegarki Rolex, Patek Philippe i Omega.

Drzwi były zamknięte, obok nich widniał dyskretny dzwonek. Lanigan nacisnął go i chwilę później policjanci usłyszeli ostre kliknięcie zasuwki. Weszli do pomieszczenia, które sprawiało wrażenie większego, niż można się było spodziewać, patrząc z zewnątrz, i które pachniało przyjemnie starą skórą.

Roy Grace zawsze lubił zegarki, ale te, które mu się podobały, przeważnie nie były na jego kieszeń. W środku zobaczył sięgające od podłogi do sufitu witryny, podzielone na części podług marek, oraz wolno stojące szklane gabloty, rozstawione tu i tam na podłodze. Zerkając z odległości na najbliższą z nich, Grace mógł dostrzec na metkach wypisane ręcznie ceny, które kończyły się długim szeregiem zer.

Mężczyzna pod siedemdziesiątkę wstał zza biurka na drugim końcu sklepu.

– Dzień dobry. Czym mogę panom służyć? – spytał miłym, kulturalnym tonem, z lekko cudzoziemskim akcentem, roztaczając staroświecki urok.

Pat Lanigan pokazał mu swoją odznakę policyjną.

– Szukam pana Turkkana. Pana Attili Turkkana.

– To właśnie ja!

– Detektyw Lanigan, dzwoniłem wcześniej i zapowiedziałem nasz przyjazd.

– To bardzo dobry moment. Jak panowie widzą, dziś rano mamy niewielki ruch.

W ten ciepły dzień miał na sobie marynarkę z granatowej kory w białe prążki, białą koszulę oraz elegancki biało-granatowy jedwabny krawat i przy swojej zgrabnej sylwetce prezentował się doskonale. Jego krótkie, siwe, elegancko przycięte włosy były z przodu nieco przerzedzone, a cienki, starannie utrzymany wąsik, który skojarzył się Grace'owi z aktorem Omarem Sharifem, nadawał mu wygląd bawidamka.

– Mój współpracownik, nadinspektor Roy Grace, jest angielskim policjantem z Sussex – oznajmił Lanigan. – Policja nowojorska pomaga jego zespołowi w sprawie związanej z rzadkim i bardzo wartościowym zegarkiem kieszonkowym, który został skradziony.

Attila Turkkan zmarszczył brwi, a Grace pomyślał, że wydaje się szczerze urażony.

– Panowie, jestem w branży od czterdziestu jeden lat i wiem na pewno, że nigdy nie wystawiłem na sprzedaż kradzionego zegarka.

– Przyszliśmy tutaj, by prosić pana o pomoc – wyjaśnił Grace. – Tylko tyle. Nie zamierzamy pana o nic oskarżać.

Zamrugał. Górne oświetlenie biło mu prosto w twarz, podrażniając jego zmęczone oczy, więc przeszedł nieco w prawo, by przed nim uciec.

Sprzedawca zegarków sprawiał wrażenie, jakby mu nieco ulżyło, ale nadal nie czuł się całkiem swobodnie.

– Czy mogę zaproponować panom kawę po turecku?

– Obawiam się, że nie mamy na to czasu – odparł Lanigan.

– Zanim kupię jakiś zegarek, muszę mieć stuprocentową pewność co do jego pochodzenia. Stuprocentową, rozumieją panowie? – Na jego biurku rozdzwonił się telefon, ale go zignorował.

– W ten sposób buduje się reputację – przyznał Lanigan. – Wiadomo!

– No właśnie. Jestem znany na całym świecie. Oferuję najlepsze ceny, mam najlepsze zegarki, wszyscy mi ufają. Proszę więc powiedzieć, co to za zegarek, który panów interesuje?

– Patek Philippe z tysiąc dziewięćset dziesiątego roku.

Pokiwał głową.

– Zdaje się, że na temat tego zegarka krążą już ostrzeżenia. Żaden szanujący się sprzedawca nie tknie go palcem.

– To nasz problem, panie Turkkan – powiedział Roy Grace. – Sądzymy, że zegarek jest w rękach niejakiego Eamonna Pollocka, który używa też różnych fałszywych nazwisk. – Wyjął zdjęcie i pokazał je sprzedawcy. – Poznaje go pan?

Turkkan przyglądał się zdjęciu przez dłuższą chwilę, a Grace wpatrywał się w jego oczy. W końcu właściciel sklepu pokręcił głową.

– Przykro mi. Nigdy go nie widziałem.

Mówił prawdę.

– Przypuszczam, że są w tym mieście ludzie, którzy mieliby mniej obiekcji niż pan, gdyby zaoferowano im taki wartościowy przedmiot – ciągnął Grace.

Turkkan się roześmiał.

– Owszem, nie wątpię, że tacy są, ale ja ich nie znam.

– Nawet ze słyszenia? – naciskał Grace.

– To nie mój świat. Czy jak to się dziś mówi, nie mój kosmos. – Uśmiechnął się, a Grace dostrzegł błysk złota w jego zębach. – Nie

potrafię panom pomóc, doprawdy mi przykro. – Spojrzał na Pata. – Jeśli poda mi pan swój numer, a ten pan Pollip tu przyjdzie, natychmiast z przyjemnością do pana zadzwonię.

Lanigan wręczył mu swoją wizytówkę.

– Proszę dzwonić o dowolnej porze, w dzień i w nocy.

* * *

Gdy znaleźli się znów w samochodzie, Roy Grace przekreślił na mapie kółko wokół „The Seconds Hand”. Był to trzeci handlarz zegarków, którego w ciągu ostatnich czterdziestu minut wykreślili z długiej listy sprzedawców, tych całkiem czystych i tych mniej, jaka została sporządzona przez Peregrine’a Stuarta-Simmondsa w Anglii i dwóch policjantów z wydziału do spraw poważnych przestępstw w Nowym Jorku.

Guy Batchelor i Jack Alexander byli w osobnych samochodach, z oficerami wydziału dochodzeniowo-śledczego, Keithem Johnsonem i Lindą Blankson, i sprawdzali sprzedawców w innych dzielnicach Nowego Jorku. Grace właśnie miał do nich zadzwonić i spytać, jak im idzie, kiedy odezwał się jego telefon. To była Cleo.

– Kochanie, Humphrey się nie obudził – powiedziała z przestrawieniem w głosie.

– Co masz na myśli?

– U nas jest już wpół do czwartej, a on przez cały dzień śpi. Naprawdę się o niego martwię.

Humphrey zawsze się budził przed wszystkimi i szarpał za kołdrę, jeśli zastał drzwi sypialni otwarte. Nigdy nie spał aż tak długo. Możliwe, że zachorował. Jednak Grace zawsze wierzył w sens stosowania brzytwy Ockhama. Czyli najbardziej prawdopodobne wyjaśnienie jest zwykle tym właściwym. Ostatniej nocy ktoś usiłował się włamać do domu. Teraz pies twardo śpi, o wiele godzin dłużej niż zwykle. Zapewne te dwa fakty mają ze sobą związek.

– Czy Humphrey normalnie oddycha?

– Chrapie.

– Kochanie, to może być coś poważnego. Czy mogłabyś zabrać go do weterynarza?

- Jasne, i zostawić Noaha, by przypilnował domu.
 - Tak, naucz go używać odkurzacza i pralki. Słuchaj, mówię poważnie, Humphrey mógł zostać nafaszerowany narkotykiem, ale trzeba zrobić testy. Jeśli to dla ciebie trudne, spróbuję poprosić policyjnego tresera psów, by go zawiózł.
 - Tak byłoby najlepiej.
 - Dobrze, załatwię to. Potem oddzwonię.
 - Będziesz w domu rano?
 - Na pewno. Mam zabukowany lot.
 - Bardzo się boję.
 - Niepotrzebnie, kochanie. Są patrole wokół domu i strażnik przy bramie. Czy zjawił się oficer łącznikowy?
 - Tak, przemiła kobieta, nazywa się Linda Buckley.
 - To dobrze, przyda ci się. Jak Noah? – Grace usłyszał sygnał drugiego połączenia.
 - W porządku. Wali kupy na cześć Anglii.
- Uśmiechnął się. Jego komórka wciąż dawała sygnał, że ktoś do niego dzwoni.
- Mam drugi telefon na linii. Kocham cię.
 - Ja też cię kocham.
- Grace przełączył się na drugą rozmowę.
- Dzwonił Glenn Branson z kostnicy, gdzie uczestniczył w sekcji Amisa Smallbone’a.
- Robimy szybkie postępy, Roy. Miałeś rację co do tego Aleca Daviesa, bystrzak z niego.
- Alec Davies był młodym człowiekiem, którego Grace wziął do swojego zespołu kilka miesięcy wcześniej i sądził, że ten niezwykle przenikliwy policjant ma przed sobą świetną przyszłość.
- Mów.
 - Przypadkiem zobaczył informację o agencji nieruchomości Rand & Co., do której się włamano w sobotę w nocy. To ta, która zajmuje się domem sąsiadującym z domem Cleo. Wypytał ich i dowiedział się, że ukradziono tylko jedną rzecz... jesteś gotów?
 - Tak.
 - Komplet zapasowych kluczy do domu, w którym zamieszkał Amis Smallbone.
 - Wiadomo, kto i po co to zrobił?

– Jest coś jeszcze. W Rand & Co. technicy znaleźli ślady butów. I właśnie dostałem wykonaną przez Haydna Kelly’ego analizę porównawczą. Są identyczne ze śladami znalezionymi u Smallbone’a.

Grace zastanawiał się przez chwilę.

– Czyli jeśli Haydn Kelly ma rację, to znaczy, że ktoś wziął sobie komplet kluczy do domu Amisa Smallbone’a, a potem tam wszedł. Tej samej nocy, kiedy Smallbone spadł z dachu?

– Szybko jarzysz jak na takiego staruszka.

– Chrzań się! A więc spadł czy został zepchnięty?

– Pomyślałem, że zostawię ci to do przemyślenia.

Po twarzy Eamonna Pollocka spływały krople potu, jego śródziemnomorska opalenizna zniknęła i cera stała się chorobliwie blada, kiedy patrzył w lufę rewolweru i widział wściekłość w oczach trzymającego broń starszego pana.

– Tato! – odezwał się Lucas Daly, wstając. – Odłóż to.

– Odłożę, jak wpakuję cały magazynek w ten wór gówna – odparł Gavin Daly, machając bronią w stronę Pollocka. – Siadaj.

Lucas się zawahał.

– SIADAJ!

– Tato!

Gavin Daly pociągnął za spust. W zamkniętym pokoju strzał zabrzmiał jak trzask pioruna. Kula przeszła przez blat stołu z metr od miejsca, w którym stał Lucas, rozpryskując wokół drzazgi, i wbiła się w dywan.

W pełnej oszołomienia ciszy, która nastąpiła, wszyscy czterej mężczyźni trwali w bezruchu, przez chwilę ogłuszeni, a potem, z odykającymi się uszami, wdychali smród kordytu.

– Powiedziałem: siadaj! – syknął Gavin Daly do syna.

Lucas usiadł.

– Gavinie! – odezwał się Rosenblaum. – Co, u diabła...

– Zapłacę za wszelkie straty, Juliusie. Musisz zrozumieć, co tu się dzieje.

– Rany, Gavin! Jeśli masz jakieś porachunki, załatwiaj je, proszę, gdzieś indziej, a nie tutaj!

Wspierając się na lasce, Gavin Daly machnął rewolwerem w kierunku Pollocka.

– Stryjeczny dziadek tej kanalii zamordował mojego ojca. – Machnął rewolwerem w stronę Lucasa. – A ta druga kanalia to

niestety mój syn. Tych dwóch lalusiów zabiło moją siostrę, żeby zdobyć ten zegarek.

– Ja tego nie zrobiłem, tato, nie taki był plan!

– To może mi powiesz, jaki on był, tak dokładnie? Chciałbym wiedzieć. Chciałbym się dowiedzieć, dlaczego moja siostra została zamordowana i czemu wy dwaj jesteście w Nowym Jorku i próbujecie sprzedać skradziony zegarek. No dalej, powiedz mi, zamieniam się w słuch, i lepiej, żebyś miał dobre wytłumaczenie.

Lucas i Eamonn Pollock popatrzyli po sobie.

Drzwi się otworzyły i zajrzała zdenerwowana sekretarka Rosenblauma.

– Słyszałam... czy wszystko w porządku? – Zamarła na widok rewolweru.

Rosenblaum pokiwał głową i spojrzał na nią niepewnie.

– To tylko mała scysja rodzinna, Marjorie.

– Mam wezwać policję?

– Nie ma takiej potrzeby.

Wycofała się, pospiesznie zatraskując za sobą drzwi.

– Tato, mogę to wytłumaczyć – odezwał się Lucas.

– Powiedziałem, że słucham. Ale wiem, czemu brałeś w tym udział, gnojku. Chodzi o forszę na spłatę długów, tak?

– Bo ty byś mi jej nie dał.

– W twoim wieku już chyba najwyższy czas, żebyś nauczył się zarabiać na swoje utrzymanie, zamiast cyckać mnie i swoją żonę? A może zamierzasz mordować jakiegoś członka rodziny za każdym razem, gdy będziesz potrzebował forsy?

– Tato, mówiłem ci, że tego nie było w planie. Po prostu wszystko poszło nie tak. Nikt nie chciał skrzywdzić Aileen, zrozum wreszcie!

– Rozumiem jedno. Moja siostra nie żyje, a zegarek, który znajdował się w jej sejfie i należał do nas obojga, leży na tym stole. I to wasza sprawka. – Daly machnął rewolwerem na Pollocka. – Chcę usłyszeć od ciebie całą tę cholerną historię. Chcę się dowiedzieć wszystkiego, co wiesz.

– Niech mnie pan nie zabija! – jęknął błagalnie Pollock, podnosząc ręce. – Proszę! – Duże krople potu ściekały mu po twarzy, cały się trząsał.

– A czemu nie? Czy twoje zbiry miały litość dla mojej siostry? Nie sądzę, panie Pollock.

– Proszę, powiem wszystko, co wiem.

– Cofnij się w czasie. Opowiedz mi o Protezie. Chcę się dowiedzieć o tej nocy, kiedy zastrzelił moją mamę i uprowadził ojca. Ile wiesz na ten temat? Jakie znasz historie rodzinne? Czy twój stryjeczny dziadek przechwalał się przed tobą wyczynami z nocy, gdy zabił moją mamę?

– Niewiele wiem o tej historii – wydukał Eamonn Pollock. – Mój tata coś mi opowiadał o stryjecznym dziadku. Dorastałem na Brooklynie, dopóki ojciec nie trafił do więzienia. Moja mama pochodziła z Anglii i zabrała mnie tam z powrotem. Tata mówił mi, że mój stryjeczny dziadek, Mick Proteza, został zamordowany kilka lat po pana ojcu.

– Nieodżałowana strata – odarł lodowatym tonem Gavin Daly. – Twój stryj był mordercą, a tatuś kryminalistą. I ty jesteś mordercą. Uroczą rodzinką. Wszyscy możecie urządzać sobie wkrótce miły zjazd rodzinny w piekle.

– Wiem trochę o tym, jak umarł pański ojciec.

Gavin Daly przez dłuższą chwilę przypatrywał mu się w milczeniu. Czuł, jakby te słowa odbijały się w jego głowie nieustającym echem. Podparł się pewniej laską, ręce mu drżały.

– Co wiesz?

– Słyszał pan kiedyś wyrażenie „odbyć długi spacer po krótkim molu”?

Daly rzucił mu lodowate spojrzenie.

– Mój tata powiedział mi kiedyś o Brendanie Dalym, pańskim ojcu. Wzięto go pewnej nocy na taki spacer.

– Której nocy? Tej, której zabrali go z domu? Czy więzili go przedtem, torturowali?

– Nie wiem.

– Co to było za molo?

– Przy nabrzeżu, za magazynem tytoniu pod Manhattan Bridge. Prawie całe to stare brooklyńskie nabrzeże zniknęło. Zostało przebudowane.

Gavin stał nieruchomo, przyswajając sobie te informacje i nie przestając mierzyć z rewolweru – to do Pollocka, to do Lucasa. Nie

było niespodzianki, nie teraz, nie po tym całym czasie.

– Na ziemi leżał śnieg – ciągnął Pollock. – Tata powiedział mi, że na szczęście gliniarze nie byli wtedy zbyt bystrzy, bo inaczej by zauważyli.

– Co takiego?

– Były ślady pięciu par stóp idących po molu w kierunku East River, a tylko czterech par wracających stamtąd.

– Trzech i pół, jeśli był tam twój stryj.

Pollock spojrzał na niego nieufnie, jakby nie wiedział, czy ma się uśmiechnąć.

– Czy twój ojciec wspominał coś o cyfrach? – spytał Gavin Daly.

– O cyfrach?

– Dwanaście cyfr. 9 5 3 7 0 4 0 4 2 4 0 4. Mówią ci coś?

Pollock zmarszczył czoło.

– Może pan powtórzyć?

Daly powtórzył.

Pollock pokręcił głową.

– Miałem właśnie wejść na pokład *Mauretanii* z Aileen i ciotką Oonagh. Ktoś, posłaniec, podszedł do mnie – powiedział Gavin Daly.

– Wręczył mi zegarek, uszkodzony i niechodzący, jak teraz. Dał mi też ten rewolwer oraz wycinek z gazety, gdzie były wypisane cztery nazwiska... wśród nich nazwisko twojego stryjecznego dziadka... i te dwanaście cyfr. I przekazał mi wiadomość: „Patrz na cyfry”, a potem zaraz zniknął.

Julius Rosenblaum ściągnął brwi.

– Jakie to były cyfry, Gavinie?

Daly powtórzył je, a Rosenblaum zapisał. Przez kilka chwil z namysłem się w nie wpatrywał.

– Znów to zrobiłem: przeczytałem od tyłu! To doprawdy interesujące.

Rosenblaum podniósł kartkę z cyframi, po czym z przejęciem zapisał je w odwrotnej kolejności.

– Kiedyś znałem wody otaczające Nowy Jork jak własną kieszeń – powiedział. – W pogodne dni żeglowałem po East albo West River, patrząc na cudowny Manhattan i wszystko, co go otacza. Nigdy mnie to nie nużyło. Jak w lecie wpływało się na Harlem River, po obu stronach rzeki widziało się tylko drzewa, a budynków wcale.

Jakby się było w jakimś dzikim zakątku, nie wiadomo gdzie. – Pogrzebał w szufladzie i wyciągnął zwinięty w rulon arkusz papieru, zabezpieczony gumką. – Mam pewien pomysł – oznajmił, rozwijając arkusz, a Gavin Daly kątem oka zauważył, że wygląda to na mapę żeglarską. – Jeśli mam rację, brakuje trzech cyfr. Oraz kilku liter i symboli. Dobrze, najpierw wstawimy N przed czterdzieści. Później symbol stopnia. A więc mamy czterdzieści stopni na północ. Dodamy znak minuty po czterdzieści dwa. I mamy czterdzieści dwie minuty. Potem jest czterysta cztery. Wstawiamy W przed zero siedemdziesiąt trzy oraz znak stopnia. I symbol minuty po pięćdziesiąt dziewięć. I brakuje nam trzech cyfr, tak jak myślałem.

– Do czego brakuje?

– Te współrzędne wyznaczają okolicę Manhattan Bridge, Gavinie. Ale to wielki most, biegnie przez duży obszar. Potrzebne nam te ostatnie trzy cyfry.

Gavin Daly zerknął na zegarek. I nagle do niego dotarło.

Przez dziewięćdziesiąt lat miał to przed oczami.

Cyferblat.

Siedzący na tylnym siedzeniu forda crown victoria Roy Grace zdawał sobie sprawę, że ścigają się z czasem. Z każdą minutą rosło prawdopodobieństwo, że Eamonn Pollock pozbył się zegarka i właśnie ulotnił się z miasta, a może nawet z Ameryki, pewnie pod jedną ze swoich przybranych tożsamości.

– Hej, rusz się! – zawołał Aaron Cobb przez okno na samochód dostawczy blokujący skrzyżowanie. – No dalej, spieszy nam się!

Grace'owi z trudem przychodziło hamowanie złości, jaką odczuwał do porucznika Cobba. Gdyby wykonał swoją robotę jak trzeba, nie byłiby teraz w tej sytuacji, tylko siedzieliby Pollockowi na ogonie. Ten oszust mógł przebywać gdziekolwiek w mieście, w dowolnej dzielnicy. Niekoniecznie zaniósł zegarek do handlarza, to mógł być prywatny nabywca. Hector Webb z policji w Brighton, były szef wydziału do spraw antyków, powiedział Grace'owi, że są zamożni ludzie, dla których frajdą jest kupowanie słynnych kradzionych dzieł sztuki i ukrywanie ich w prywatnych galeriach, jakie mają w piwnicach swoich domów – taka sekretna, zdrożna przyjemność superbogaczy. To samo mogło stać się z zegarkiem.

Jedno wiedział na pewno: Eamonn Pollock jest nie w ciemną bity. Został uchwycony przez kamery przemysłowe, kiedy się meldował w hotelu, ale udało mu się ich uniknąć podczas nocnej ucieczki. W hotelu było tylko jedno wyjście niestrzeżone przez kamery, a mianowicie wyjście pożarowe w kuchni. Trudno zgadnąć, skąd o nim wiedział, ale bez wątplenia z niego właśnie skorzystał. Zresztą nieważne, jak opuścił hotel. Rzecz w tym, że uciekł.

Guy Batchelor zadzwonił, by powiedzieć, że jak dotąd nie mieli szczęścia u żadnego ze sprzedawców, których odwiedzili. Chwilę później Jack Alexander zgłosił to samo.

Grace dokonał szybkich obliczeń. Musiał być na lotnisku Newark przed dziewiętnastą, co oznaczało wyjazd z Manhattanu o osiemnastej. Czyli miał siedem i pół godziny na odnalezienie Pollocka – albo wróci do domu z niczym. Zamierzał pozostawić na miejscu Batchelora i Alexandra, ale intuicja mówiła mu, że liczy się właśnie ten dzisiejszy dzień.

Jeśli nie znajdą Eamonna Pollocka z zegarkiem Patek Philippe w gorącej, spoconej dłoni, mogą wybić sobie z głowy, że zdołają go o coś oskarżyć.

Pat Lanigan odwrócił się do Grace'a.

– Masz jakieś wieści od innych? – spytał.

– Kompletna kłapa – odparł Grace z ponurym uśmiechem.

Wyglądało na to, że Eamonn Pollock odwiedził legalnych handlarzy, aby ustalić wartość rynkową zegarka. Jednak teraz oczywiście nie był tak głupi, żeby wpaść w pułapkę.

Grace spojrział przez okno na ulicznego sprzedawcę czapek i szalików. Rowerzysta przejechał powoli obok nich, dając sygnał dzwonkiem. Gdzieś w pobliżu przedzierał się przez korek wóz strażacki z włączoną syreną. Potem spojrział na ścianę wieżowca wznoszącą się ku niebu, z tysiącem okien. Eamonn Pollock może być w tej chwili za każdym z nich. Za każdym z milionów okien w tym mieście.

Jeden człowiek i zegarek.

Igła w stogu siana.

Cleo zmarszczyła brwi. Ekran nagle zaczął śnieżyć, właśnie w chwili, gdy Frasier miał wejść na zjazd absolwentów z piękną byłą królową balu maturalnego, uwieszoną na jego ramieniu. Chwyciła pilota i przełączyła na inny kanał.

Wtedy usłyszała odgłosy szurania i drapania nad samą głową. Brzmiało to, jakby koń ciągnął sanie po jej dachu. Dachówka, pomyślała, oderwana przez wiatr. Potem usłyszała łomot, jakby ktoś zrzucił z góry worek ziemniaków. Przez chwilę kusiło ją, by wyjść z łóżka i zobaczyć, co się stało. Ale było jej zimno, a poza łóżkiem byłoby jeszcze zimniej. Zresztą to na pewno tylko dachówka – sprawdzi rano.

Poprzez wycie wichury usłyszała słaby odgłos, szept przyniesiony powiewem wiatru. Może to była sprawka jej wyobraźni, ale wydawało się, jakby ktoś powiedział: „Wybacz”.

Kierując rewolwer w stronę swego syna, Gavin Daly powiedział:

– Bierz mapę i idziemy. – Potem zwrócił się do Rosenblauma: – Juliusie, przykro mi z powodu szkód, które wyrządziłem, przyślij mi rachunek za naprawy. Z góry przepraszam też za to, co się zaraz stanie, i za wszelkie dalsze szkody. – Sięgnął po leżący na stole zegarek i wrzucił go do kieszeni marynarki.

Eamonn Pollock zaczął się podnosić.

– A ty gdzie się wybierasz? – warknął Daly, mierząc do niego z rewolweru. – Siadaj! Nigdzie nie idziesz. Jeszcze z tobą nie skończyłem. Wiesz, jak Irlandczycy wymierzają karę? Kula w kolano. Powinienem dać ci po jednej w każde... jedną za to, co twój stryj zrobił mojej mamie, a drugą za to, co zrobił ojcu. Tak? Myślę, że to właśnie powinienem zrobić.

Pollock, z wybałuszonymi ze strachu oczami, gorączkowo kręcił głową.

– Proszę. Powiem panu wszystko, co wiem.

– Gavin... – rzucił ostrzegawczo Rosenblaum.

– Juliusie, wuj tego bydlaka zniszczył mi dzieciństwo. A teraz ten bydlak zatruł mi starość. Myślisz, że zasługuje na litość? Ten tłusty, łapczywy szakal?

– Gavinie, uspokój się, posłuchajmy, co ma do powiedzenia.

Daly spojrzał na Pollocka.

– Zamieniam się w słuch, spaślaku.

– Pożyczyłem Lucasowi pieniądze... przyszedł do mnie, więc mu pomogłem.

– Jak to miło z twojej strony. Ale ci nie oddał? Czy zgadłem?

– Tak, tato, on jest pożyczkodawcą – wtrącił Lucas.

– Pożyczkodawcą, mówisz? – Palec Gavina Daly’ego drżał tuż przy spuście. – Prawdziwym lichwiarzem, takim sobie małym

Shylockiem?

Julius Rosenblaum zrobił krok w kierunku biurka.

– Ani mi się waż, Juliusie. Jak naciśniesz ten swój guzik alarmowy, ciebie też zastrzelę, Bóg mi świadkiem.

– Gavinie, musisz się uspokoić! – powiedział Rosenblaum.

– Nie, mam dziewięćdziesiąt pięć lat i nie muszę się uspokajać. – Znowu spojrzał na Pollocka. – Wysłałeś dwóch gnojków, a może nawet trzech, żeby obrabowali dziewięćdziesięcioośmioletnią staruszkę, która nigdy nikogo nie skrzywdziła. Te skurwysyny torturowały moją siostrę, a ty oczekujesz ode mnie litości?

– Nie dałem im takich instrukcji.

– Czyżby? Miałeś szyfr do sejfu od mojego gówna wartego syna, więc dlaczego musieli torturować moją siostrę? Ukradli antyki o wartości dziesięciu milionów funtów, ale zamęczyli ją na śmierć, by zdobyć kody PIN do kart kredytowych i wyciągnąć z nich kilkaset żalonych funtów. Zrobili to dla zabawy czy dlatego, że byłeś zbyt skąpy, by przyzwoicie im zapłacić za odwalenie za ciebie brudnej roboty?

Pollock cały się trząsł.

– Nie, wcale nie, to nieprawda.

– Wstań!

Eamonn Pollock dźwignął się z miejsca i stanął, wystraszony i drżący.

Gavin Daly popatrzył na ciemną plamę w jego kroczu.

– Posikałeś się. Co z ciebie za mężczyzna?

Pollock strzelał oczami dokoła, jakby szukał możliwości ucieczki.

– Tato, uspokójmy się – odezwał się Lucas.

– Uspokójmy się? Świetna rada w ustach mężczyzny, który regularnie bije swoją żonę! – Zwrócił się do Juliusa Rosenblauma: – Ona jest bardzo ładną, bystrą prezenterką telewizyjną. Kiedy Lucas ją bije, pilnuje się, żeby walić poniżej linii szyi, tak by nic nie było widać, bo wtedy nie mogłaby zarabiać grubej forsy, którą on trwoni. Dzielny mężczyzna z tego mojego syna. Wiecie, co zawsze uważałem? – Wymierzył rewolwer w każdego z nich po kolei. – Mężczyznę można ocenić po jego przyjaciółach. Eamonn i Lucas, jesteście siebie warci.

– Skrzywdzenie Aileen nigdy nie było moim zamiarem, proszę, niech mi pan uwierzy – zaskomlał Eamonn Pollock.

– Zatrudniłeś tych ludzi, Kena Barnes a i Tony’ego Macaria. Pracowali dla ciebie od dłuższego czasu. Musiałeś wiedzieć, jacy są, do czego będą zdolni, jak dostaną wolną rękę przy bezbronnej starszej pani. W co tu wierzyć?

– Proszę, niech mi pan wierzy.

Gavin Daly pociągnął za spust. Rozległ się kolejny huk, przypominający trzask pioruna, i z prawego ramienia Pollocka trysnęła krew. Zatoczył się i padł na podłogę. Usta miał otwarte, oczy niemal wyszły mu z orbit.

– Ups, wybacz, Eamonn, nie chciałem. Wierzysz mi?

– Gavin! – zawołał zszokowany Rosenblaum.

– Tato! – zawtórował mu Lucas.

– To za moją mamę. A to za tatę! – Gavin Daly znów wypalił.

Pollock podskoczył, jakby przyłożono mu do piersi defibrylator, a spod jego lewego ramienia zaczęła wypływać szkarłatna kałuża krwi.

– Nie! Nie! Nie! – Eamonn Pollock rzucał się po podłodze, płacząc z bólu i przerażenia, zasłaniając rękami twarz, jakby w ten sposób mógł uchronić się przed kolejną kulą.

– Gavin! – zaprotestował Rosenblaum. – Przestańże! Oszalałeś? – Zrobił krok w stronę biurka.

Daly wymierzył w niego rewolwer.

– Nie ruszaj się.

Znów skierował lufę w stronę Pollocka.

– Nie, błagam, nie! – pisnął Pollock, pełznąc na plecach po dywanie.

Daly starannie wycelował w krocze Pollocka.

– A to za Aileen.

– Nie! – wrzasnął leżący. – Proszę, nie!

Daly wypalił prosto w ciemną plamę.

Pollock wydał z siebie zwierzęcy ryk. Usiadł, z wykrzywioną twarzą, przyciskając rozpaczliwie dłonie do krocza i zwijając się z bólu. Z głębi jego gardła wydobywało się skomlenie, z każdą sekundą coraz głośniejsze.

– Jezus Maria, Gavin! – wykrzyknął Rosenblaum.

Gavin Daly skierował rewolwer w stronę Lucasa.

– Zabieramy się stąd, synu.

Lucas stał jak zamurowany.

Gavin Daly podszedł do drzwi, mierząc z rewolweru do syna, potem do Juliusa Rosenblauma, potem znów do syna.

– Przepraszam, Juliusie, przykro mi, że to musiało odbyć się tutaj.

Krzyki Pollocka były teraz niemal ogłuszające.

Daly dotarł do drzwi, wciąż celując do Rosenblauma, żeby ten się nie ruszał. Popatrzył na Pollocka, białego jak prześcieradło, z wykrzywioną bólem, spoconą twarzą, przewracającego oczami. Oddychał szybko i płytko, nadal zaciskając czerwone od krwi dłonie na kroczu.

– Baw się dobrze, jak będziesz próbował kogoś bzyknąć, Pollock.

– Wymierzył rewolwer w syna, który trzymał mapę i wyglądał jak zając w świetle reflektorów. – A ty chodź ze mną. – Cisnął rewolwer na podłogę. – Załatwione – powiedział. – Może tata celowo mi go przysłał. Nie wiem. Ale skończyłem z tym.

Z Lucasem idącym w ślad za nim, Gavin Daly przemaszerował obok sekretarki, która zamarła z przerażenia, opuścił biuro i wszedł do windy.

– Tato, to jest chore! – zawołał Lucas, kiedy winda zjeżdżała z klatką na parter. – Czyś ty, kurwa, oszalał?

– Zamknij się. Z tobą jeszcze nawet nie zacząłem, chłopcze.

Lucas Daly nic nie odpowiedział. Kiedy dotarli na parter, Gavin wyszedł na ruchliwą ulicę.

Czarna limuzyna Lincoln Town Car stała przed budynkiem. Kierowca wyskoczył z auta, gdy tylko się pojawili, i otworzył tylne drzwi.

Lucas wszedł pierwszy i przesunął się na szerokim siedzeniu.

– Jak mija panu dzień? – spytał szofer, przytrzymując usłużnie laskę, kiedy Gavin Daly sadowił się w środku.

– Średnio.

Siedząc już w samochodzie, Gavin usłyszał ryk syreny. Niespokojnie zerknął przez ramię w zaciemnione tylne okno. Ulżyło mu, gdy zobaczył, że to karetka, a nie samochód policyjny. Kilka chwil później ambulans z wyciem przemknął obok nich.

– Niech pan przejedzie dwie przecznice, skróci w prawo, a potem zatrzyma się tam, gdzie będzie można – polecił Gavin kierowcy.

– Chyba zdajesz sobie sprawę z tego, co zrobiłeś, tato – powiedział Lucas, zerkając z niepokojem na wejście do budynku, w którym mieściło się biuro Juliusa Rosenblauma. – Cholera, wiesz, w co się wpakowałeś?

– Daj mi tę mapę.

– Dlaczego to zrobiłeś? Dlaczego?

– Chcesz wiedzieć dlaczego? Bo może już długo nie pożyję, a nie ufam wymiarowi sprawiedliwości. Teraz jestem usatysfakcjonowany. Postarałem się o zadośćuczynienie dla Aileen. Przynajmniej częściowe. Daj mi tę mapę – powtórzył.

Lucas podał mu mapę i starszy pan przez dłuższą chwilę patrzył w nią uważnie. Potem wyjął zegarek Patek Philippe i przyglądał mu się jakiś czas, zanim wrócił do studiowania mapy.

Limuzyna skręciła w prawo i zaparkowała przy krawężniku. Gavin Daly, mając syna wciąż na oku, pochylił się do przodu i spytał kierowcę:

– Czy ma pan tu dostęp do internetu?

– Za pośrednictwem swojego iPhone’a, proszę pana.

– Chciałbym, żeby sprawdził pan firmy nurkowe na Manhattanie. – Gavin Daly wyjął portfel i wręczył mężczyźnie dwa banknoty pięćdziesięciodolarowe.

– Nie ma takiej potrzeby, proszę pana, niemniej dziękuję. Firmy nurkowe, powiada pan?

– Poproszę.

Kierowca wziął swój telefon, leżący na siedzeniu obok, i zaczął wstukiwać dane. W oddali Gavin Daly usłyszał następną syrenę, a po niej jeszcze jedną. Oba wozy zatrzymały się gdzieś w pobliżu. Potem usłyszał wycie kolejnej syreny.

– Mam tu całą listę! – oznajmił kierowca i podał Gavinowi Daly’emu telefon.

Daly przebiegł ją wzrokiem. Szczególnie jedna firma rzuciła mu się w oczy. „Hudson Akwalung. Lekcje nurkowania na naszej własnej łodzi, zakotwiczonej w okolicach środkowego Manhattanu”.

– Proszę tam zadzwonić – polecił kierowcy.

Kilka minut później kierowca znów podał mu aparat. W słuchawce odezwał się pogodny męski głos.

– Hudson Akwalung. Czym mogę służyć?

– Być może to niecodzienna sprawa – powiedział Gavin Daly. – Potrzebna mi łódź do nurkowania, z wyszkolonym nurkiem, za pół godziny albo nawet szybciej. Nie wiem, ile sobie życzyście za usługę, ale jestem gotów zapłacić dziesięć tysięcy dolarów ekstra, jeśli zdołacie zrealizować to zlecenie.

Roy Grace był przybity, kiedy porucznik Cobb jechał fordem crown victoria przez most Brooklyński, zmierzając z powrotem do biura Pata Lanigana. Grace umówił się tam na spotkanie z Guyem Batchelorem i Jackiem Alexandrem, by przedyskutować ich kolejne posunięcia – choć w tej chwili sam nie bardzo wiedział, jakie mają być.

Co gorsza, był niewyspany, a poza tym przebywał w zagranicznym mieście, o wiele większym od Brighton, i obecnie, pomimo jego wcześniejszych wizyt i zachwytu, wydawało mu się ono zupełnie obce. Chociaż mógł dysponować zasobami nowojorskiej policji, trudno mu było zdecydować, jak i gdzie je optymalnie rozmieścić. W Anglii nie miałby takiego problemu.

Wyglądając przez okno i patrząc w stronę rzeki Hudson, zauważył helikopter startujący z lądowiska w pobliżu wody, a potem barkę wyładowaną drewnem, zmierzającą pod prąd, która przepływała prawie tuż pod nimi na roziskrzanej kobaltowej wodzie. Opony podskakiwały niemal bezgłośnie na łączach mostu, gdy tymczasem Grace pogrążył się w myślach. Jak, u diabła, mogło dojść do tego, że Amisowi Smallbone'owi pozwolono wynająć dom tuż obok domu Cleo? Cholerny system nadzoru kuratorskiego powinien sprawdzać takie rzeczy – czemu tego nie zrobili? A może był wobec nich niesprawiedliwy z powodu swojego zmęczenia?

Bo dom był na nazwisko Cleo i nikt nie skojarzył faktów. Taka była prawda. Upiecze im się. Cholera.

Zadrzał.

A Cleo i Noah o włos uniknęli nieszczęścia.

Jak, u diabła, ochroni ich w przyszłości? Co ma zrobić? Rzucić pracę w policji i spędzić resztę życia na pilnowaniu żony i syna? Takie miał teraz myśli.

Ale po chwili zaczął zastanawiać się nad powiązaniem, o którym wspomniał informator Donny Loncrane z więzienia Lewes. A mianowicie, że Amis Smallbone i Eamonn Pollock przed wielu laty mieli ze sobą sporo wspólnego.

Wówczas nie przypisywał temu specjalnego znaczenia, ale ostatnie wieści o Smallbonie sprawiły, że przemyślał sprawę ponownie. Smallbone wynajął dom sąsiadujący z domem Cleo, najwyraźniej mając podłe zamiary, i założył im podsłuch. Teraz był martwy, ponieważ spadł z dachu, z drabinki pożarowej, dzień po tym, jak ktoś włamał się do agencji nieruchomości i ukradł zapasowe klucze do jego wynajętego domu.

Czyż to nie dziwny zbieg okoliczności?

Teraz dom Smallbone'a był miejscem zbrodni, a technicy będą szukać dowodów włamania. Kto chciał ukatrupić Smallbone'a? Zapewne wielu ludzi, z którymi ten gnojek stykał się przez lata, i jego równie podła rodzina kryminalistów. Jednak gdyby ktoś chciał dorwać Smallbone'a, żeby się zemścić, na pewno zrobiłby to podczas jego dwunastoletniej odsiadki. To tam załatwiano porachunki.

Jeśli śmierć Smallbone'a nie była wypadkiem, tylko został zepchnięty, stało się tak z zupełnie innego powodu.

Czyżby ktoś chciał go uciszyć?

Czyżby zdecydowały o tym powiązania pomiędzy Eamonnem Pollockiem a Amisem Smallbone'em, nawet jeśli sięgały daleko w przeszłość?

Pat Lanigan odebrał telefon, ale Grace nie zwrócił na to uwagi, tak bardzo był pogrążony w myślach. Czyżby to Pollock chciał uciszyć Smallbone'a? Czy Smallbone był zamieszany jakoś w ten rabunek? Jako paser? Donny Loncrane powiedział, że Pollock jest paserem. A więc czy obaj byli w to zamieszani?

Jedna osoba mogła to wiedzieć: Gareth Dupont. Tylko czy zechce mówić?

Przerzucił się na inny trop. W Hiszpanii znaleziono martwych dwóch pomagierów Eamonna Pollocka. Niemal na pewno był w to zamieszany Lucas Daly. Pojechał do Marbelli z Augustine'em Krasnikim, który rzekomo nosi za nim kije golfowe. Sraty taty.

Z zebranych o Krasnikim informacji wynika, że jest on ochroniarzem Lucasa Daly'ego. Albańskim emigrantem, zbirem, wynajętym mięśniakiem. A więc czy ci dwaj pojechali do Marbelli, by zabić Macaria i Barnesę? Z jakiego powodu? Dlaczego mieliby chcieć śmierci tych dwóch mężczyzn? Z zemsty? Aby ich uciszyć? Czy może był jakiś inny motyw?

A teraz Lucas Daly, tak jak jego ojciec, przebywał w Nowym Jorku. O co tu, u diabła, chodzi?

Nagle Pat Lanigan przechylił się nad zagłówkiem do tyłu, trzymając w ręku telefon, przez który dopiero co rozmawiał.

– Roy, chyba znaleźliśmy tego typka. Właśnie doszło do strzelaniny w biurze handlarza antyków na Manhattanie. Ofiara została zidentyfikowana jako Eamonn Pollock. Jest poważnie ranny.

Limuzyna Lincoln Town Car sunęła wolno wzdłuż szeregu ogromnych, brzydkich betonowych i ceglanych budynków nabrzeża. Kiedy minęli zamknięte stalowe drzwi w strefie załadunku, Gavin Daly, wyglądając przez tylne okno, powiedział do kierowcy:

– Tutaj!

Samochód zahamował przed wejściem, gdzie widniał napis: PIRS 92 i szeroki żółty pas na betonowym słupie.

– Proszę na nas poczekać – polecił Daly. – Chwilę nam to zajmie.

– Będę stał dokładnie tutaj, proszę pana! – Kierowca wyskoczył z samochodu, pomógł Gavinowi Daly’emu wysiąść i podał mu laskę.

Lucas Daly podążył za ojcem w stronę otwartego wejścia do budynku.

Gavin Daly odczytał nazwy firm na ścianie, po czym wszedł do wielkiej restauracji. Miała wysoki sufit i odsłoniętą nadbudówkę z metalowej kratownicy. Przez całą długość biegło okno, z którego widać było niedużą przystań nad West River i New Jersey na drugim brzegu.

Był późny ranek i lokal świecił pustkami. Na lśniących drewnianych stołach leżały nakrycia i stały butelki keczupu. Po lewej stronie znajdował się zaokrąglony bar, za którym widniał szereg wysokich miedzianych kadzi do piwa. Łysiejący barman w średnim wieku, polerujący szklanekę do piwa, uśmiechnął się do nich przyjaźnie.

– Czym mogę panom służyć?

– Szukamy firmy Hudson Akwalung – odparł Gavin Daly. – Powiedziano nam, byśmy przyszli tutaj.

– Jesteście we właściwym miejscu. – Mężczyzna wskazał dłonią. – Idźcie przez te drzwi na końcu, zobaczycie ich na łodzi, przy

nabrzeżu.

Poszli w tamtą stronę, a kiedy Gavin Daly znalazł się na zewnątrz, nagle się zatrzymał, bo wspomnienia pochwyciły go jak wnyki.

Był poruszony. Oczywiście teraz wszystko wyglądało inaczej. Dziewięćdziesiąt lat później.

Ale też było takie samo.

To samo miejsce.

Oczy mu zwilgotniały.

Prawie nie zwrócił uwagi na małe motorówki i jachty, zacumowane w przystani. Sięgał wzrokiem dalej, patrząc na brzydką szarą dwupiętrową nadbudówkę pirsu numer pięćdziesiąt cztery, który rozciągał się nad spokojną mulistą wodą.

W tym właśnie miejscu stał w roku tysiąc dziewięćset dwudziestym drugim ze swoją siostrą Aileen i ciotką Oonagh, zanim wsiedli na *Mauretanię*.

Tam właśnie posłaniec przepchnął się przez tłum odpływających pasażerów i wręczył mu papierową torbę z rewolwerem, zegarkiem kieszonkowym i stroną z gazety, gdzie były cyfry i nazwiska.

I przekazał wiadomość.

„Patrz na cyfry”.

Miał przed sobą tablicę, na której wielkimi czerwonymi literami na białym tle było napisane: WŁASNOŚĆ PRYWATNA. NA PIRSACH CHELSEA WOLNO PRZEBYWAĆ JEDYNIEM WŁAŚCICIELOM I ICH GOŚCIOM.

Dalej stromy trap z desek prowadził na nabrzeże, gdzie była przycumowana spora otwarta łódź z włókna szklanego z dwoma silnikami przyczepnymi, kierownicą i układem sterowania na śródkręciu. Dwudziestoparoletni mężczyzna o rozjaśnionych włosach, ubrany w piankowy kombinezon, stał w łodzi, a drugi, starszy, podawał mu z nabrzeża butle do nurkowania, płetwy, rurkę, lodówkę turystyczną.

– Hudson Akwalung?! – zawołał Gavin Daly, ostrożnie idąc w dół.

– Zgadza się! – potwierdził przystojny, opalony starszy mężczyzna. – Pan Daly?

– Tak.

– Jestem Stuart Campbell, a naszym nurkiem jest dzisiaj Tommy Lovell.

– Dziękuję, panowie, jestem wam bardzo wdzięczny. Jak się wam płaci? Przyjmujecie karty?

– Owszem, proszę pana.

Stuart Campbell chwycił rękę Gavina, a Lucas trzymał go za drugą, i pomogli starszemu panu wejść na pokład. Campbell wskazał szeroką wyścielaną ławkę na rufie.

– Tam będzie panu najwygodniej. I tam jest najbardziej sucho. – Campbell dał nura pod ster i wyciągnął stamtąd, niby czarodziej, terminal płatniczy. – Pobieramy opłatę siedemset pięćdziesiąt dolarów za pierwszą godzinę, a następnie pięćset, plus paliwo. – Wręczył Daly’emu urządzenie.

Starszy pan wsunął w terminal swoją kartę American Express, wstukał co trzeba i oddał go Campbellowi.

Ten spojrział na terminal, po czym zauważył z powątpiewaniem:

– Chyba pan się pomylił, panie Daly.

Gavin Daly zerknął na aparat i pokręcił głową.

– Nie, tak obiecałem osobie, która odebrała u was telefon. Że dostaniecie dziesięć tysięcy dolarów ekstra za natychmiastową realizację zlecenia. – Przytrzymał się oparcia ławki, bo łódź się zakołysała.

– To bardzo szczodre z pańskiej strony... niewiarygodne wręcz. Z całym szacunkiem, proszę pana, to bardzo dużo pieniędzy. – Campbell zmarszczył brwi, jakby ujrzał teraz swoich pasażerów w innym świetle. – Czy może mnie pan zapewnić, że nie robimy czegoś nielegalnego?

– Drogi chłopcze, mogę cię kategorycznie zapewnić, że nie ma mowy o łamaniu prawa. Gdyby tak było, dałbym ci dziesięć razy tyle. Zadowolony?

Campbell bez przekonania kiwnął głową.

Lucas, stojący z ponurą miną, oparł się o wspornik szyby.

– A więc ma pan wybrane jakieś konkretne miejsce, panie Daly?

– Manhattan Bridge.

– Manhattan Bridge? Dobrze.

– Podam panu więcej szczegółów, kiedy tam dotrzemy.

– Pan tu rządzi. – Campbell przekręcił kluczyk w stacyjce, włączył silniki.

Kiedy woda pod łodzią zaczęła głośno pluskać, Tommy Lovell odwiązał cumy.

Przez chwilę dryfowali, po czym warkot silników ostro przybrał na sile i zaczęli sunąć przed siebie, a woda pod nimi cicho chlupotała. Gavin Daly poczuł woń soli i spalin.

W środku cały się trząsł.

Ford crown victoria pędził po Madison Avenue z wyjąca syreną, lawirując między samochodami, po czym zwolnił, kiedy wpackował się w korek. Przez przednią szybę Roy Grace zobaczył liczne migające czerwone światła.

Jeden radiowóz stał w poprzek dwóch pasów, drugi był zaparkowany podobnie, jakieś sto metrów dalej. Dwa kolejne wozy policyjne stały pośrodku ulicy, a wielka pudełkowata karetka z zamkniętymi drzwiami tkwiła przy krawężniku. To niedobry znak, że ambulans wciąż tu jest, pomyślał Grace. Z doświadczenia wiedział, że prawdopodobnie zajmują się ofiarą na miejscu, a coś takiego ratownicy medyczni robili tylko wtedy, gdy pacjent był w stanie krytycznym.

Zaparkowali przy karetce i zobaczył żółto-czarną taśmę policyjną blokującą chodnik po obu stronach rzędu sklepów. Za taśmą stało wielu umundurowanych policjantów. Po jednej stronie dwóch mężczyzn w garniturach, oficerów z wydziału dochodzeniowo-śledczego, jak domyślał się Grace, rozmawiało ze starszym, ekstrawagancko ubranym, dystyngowanym panem, który sprawiał wrażenie wstrząśniętego.

Lanigan, Cobb i Grace wysiedli z samochodu i nowojorscy funkcjonariusze pokazali swoje odznaki kapitanowi policji, który do nich podszedł.

Kapitan wycelował palcem w karetkę.

– Nie za dobrze to wygląda – oświadczył. – Temu mężczyźnie przestrelono tętnicę udową. Stracił dużo krwi, próbują zrobić mu transfuzję przed zabraniem go do szpitala.

– Kim jest ten człowiek? – spytał Pat Lanigan, wskazując starszego pana.

– Właściciel lokalu, w którym doszło do strzelaniny.

– Musimy natychmiast z nim porozmawiać.

– Proszę bardzo.

– Przepraszam, że przeszkadzamy, panowie. – Lanigan skinął głową dwóm detektywom, których najwyraźniej znał, po czym zwrócił się do starszego mężczyzny: – Lanigan z wydziału dochodzeniowo-śledczego, porucznik Cobb oraz nadinspektor Roy Grace z Sussex w Anglii. Sądzymy, że sprawcą może być Anglik, Gavin Daly.

Mężczyźni drgały brwi i cały się trząsł.

– Zgadza się. On zazwyczaj jest bardzo... jak to się mówi... zrównoważonym, miłym człowiekiem. Dostał szau w moim biurze.

– A z kim mam przyjemność?

– Julius Rosenblaum.

– Czy wie pan, gdzie pan Daly może przebywać w obecnej chwili?

Choć Rosenblaum był tak roztrzęsiony, głos miał spokojny.

– Sądzę, że przy Manhattan Bridge.

– Manhattan Bridge? – powtórzył Lanigan.

– Tak, proszę pana.

– Na moście?

Rosenblaum pokręcił głową.

– Nie, na wodzie, gdzieś pod mostem albo w pobliżu. Jest razem z synem.

– Z jakiego powodu się tam udał?

– Szuka swojego ojca.

Odbili od przystani i Stuart Campbell dodał gazu. Rzeka Hudson była nieco wzburzona i kiedy przyspieszyli, fale zaczęły mocno uderzać w łódź, powodując wstrząsy. Gavin Daly chwycił się obiema dłońmi siedzenia, aby zachować równowagę. Po lewej ręce miał stojak z butlami tlenowymi, koło ratunkowe i małą gaśnicę zabezpieczoną dwiema klamrami. Solidny uchwyt wyciągarki leżał na zwoju liny przy jego stopach.

W oddali pięła się w niebo bladozielona Statua Wolności. Pod nią, wokół szarej podstawy, wiła się długa kolejka turystów czekających, by wjechać windą na górę.

Im dalej w kierunku otwartego morza zmierzała łódź, tym bardziej wzburzona stawała się woda. Słony wiatr smagał go po twarzy, zasnuwał mu mgłą okulary i piekł w oczy, ale Gavin Daly nieustępliwie patrzył przed siebie. Był teraz w innym świecie. Wracało do niego mnóstwo wspomnień. Po lewej stronie wznosiły się wieżowce Wall Street, a na wprost, ponad białym dziobem łodzi i zielonkawymi falami, most wiszący Verrazano-Narrows.

Nie było go jeszcze w tysiąc dziewięćset dwudziestym drugim roku, kiedy Daly, jako mały chłopiec, wypływał z Nowego Jorku. Wciąż pamiętał wyraźnie, jak stojąc na rufie *Mauretanii*, patrzył na Statuę znikającą we mgle i w zmroku.

Jego oddalający się ojciec.

Jego oddalające się życie.

„Pewnego dnia, tato, wrócę i cię odnajdę. Uratuję cię, gdziekolwiek jesteś”.

A teraz wrócił.

Wreszcie.

Wreszcie wypełni obietnicę, którą wtedy złożył, i nic go przed tym nie powstrzyma.

Łódź skręciła w stronę portu i popłynęła wokół południowego krańca Manhattanu. Ujrzał Battery Park; patrzył na konstrukcje wznoszone w strefie zero i otaczające ją wieżowce.

Prom ze Staten Island przepływał w pobliżu. Kilka minut później wpadli w jego kilwater i łodzią mocno zakołysało, zarzuciło nią i zepchnęło z kursu. Uchwyt wyciągarki ześlizgnął się ze zwoju lin i z klekotem przesunął obok Gavina. Pochylił się, by go złapać, i odłożył na poprzednie miejsce. Potem wpłynęli na East River i spojrzeli na Brooklyn, gdzie mieszkał przez pierwsze pięć lat życia. Statek wycieczkowy, z wymalowanymi na dziobie zębami, przeciął im z hałasem drogę, a chwilę później Gavin musiał się mocno przytrzymać, bo wzburzona woda zachybotła łódką. Uchwyt wyciągarki znów się zsunął, a on znów go złapał.

Wkrótce potem pojawiła się przed nimi nadbudowa mostu Brooklyńskiego, ogromne ciemnoszare słupy wznosiły się jak monolity. Przemknęli pod jego atramentowym cieniem, słysząc nad głowami huk i łoskot, i znaleźli się po drugiej stronie, znów w słońcu. Pędzili ku wielkim kratownicom Manhattan Bridge.

Statek wycieczkowy przepłynął pod nim i zmierzał w dół rzeki, mijając ich w oddali, od lewej burty. Po stronie prawej burty widzieli wiele ponurych brunatnych wieżowców. Następnie elektrownię – bryłę z czerwonej cegły, z jednym kominem. A potem był już most.

Gavinowi załomotało serce. Ścisnęło go w żołądku. Chociaż woda była tu spokojniejsza, jej głośny chłupot przebijał się przez wycie silników.

Stuart Campbell zgasił silnik, gdy wślizgnęli się w szeroki cień pod mostem, i Gavin poczuł, jak łódź zwalnia.

Spojrzał na wystające z wody betonowe słupy. I wyrastające z nich stalowe kolumny, na których trzymał się most. Szeroki, ciemny obszar jego podbrzusza.

Nagle zrobiło mu się zimno.

Zaczął się trząść. Łódź kołysała się w kilwaterze przepływającego statku wycieczkowego. Nigdy sobie nie wyobrażał, że to może być właśnie tak. A jednak był tutaj. Czuł obecność ojca. Wzywającego go. Jego tubalny głos odbijał się echem od mostu. Zagłuszał bezustanny ryk samochodów nad nimi.

„Cześć, Mały, nie śpisz jeszcze?”

Poczuł ucisk w gardle. Woda była ciemna, atramentowa, złowieszcza.

Może lepiej zostawić wszystko, jak jest. Nie odkrywać sekretów. Czyżby popełniał błąd? Jednak zaszedł już za daleko, musiał doprowadzić to do końca. Musiał się dowiedzieć. I dotrzymać obietnicy.

Lucas spojrział na niego pytająco, ze zdziwieniem, ale Gavin go zignorował. Tu chodziło o jedną osobę. Jedną obietnicę.

Poza tym nic się nie liczyło. Nic nigdy nie miało i nie będzie miało znaczenia.

Łódź dryfowała.

Stuart Campbell patrzył na kompas.

– Panie Daly, jesteśmy w położeniu, które pan nam podał. Czterdzieści, kropka, czterdzieści dwa, kropka, cztery zero cztery, północ. Siedemdziesiąt trzy, kropka, pięćdziesiąt dziewięć, zachód. Brakuje nam jeszcze trzech cyfr. Ma je pan? Potrzebujemy ich, by ustalić dokładną lokalizację.

Gavin Daly wyciągnął z kieszeni zegarek Patek Philippe. Chociaż znał cyfry na pamięć, czuł, że musi sprawdzić.

Wskazówki pokazywały czwartą zero pięć.

– Cztery zero pięć – powiedział.

Stuart Campbell ustawił kompas.

– W tym dokładnie miejscu głębokość wody wynosi trzydzieści dziewięć stóp.

Gavin Daly spojrział na zegarek i przeszedł go dreszcz. Nigdy wcześniej nie zwrócił na to uwagi. Na położenie wskazówki sekundnika.

Zatrzymała się na trzydziestej dziewiątej sekundzie.

Nurek był pod wodą od piętnastu minut. Różowa boja, przywiązana do łodzi i unosząca się w pobliżu, oznaczała miejsce zanurzenia. Stuart Campbell pilnował liny kotwicznej, zbiegającej z dziobu i utrzymującej ich w miejscu, mimo gwałtownego nurtu, który tworzył się z powodu odpływu.

Włączono sprzęt hydrolokacyjny, ale na zielonym ekranie obraz głębi rzecznej pod nimi był zamazany i niewyraźny. Od czasu do czasu, gdy Gavin Daly zerkał na ekran, widział przepływającą rybę, a niekiedy poruszało się tam coś większego – jak przypuszczał, nurek, który ukazywał się w polu widzenia lub znikał.

Nie było żadnych „anomalii”, stwierdził Campbell. Czyli sprzęt hydrolokacyjny nie wykrył w tym miejscu nic znaczącego.

Czyżby posłaniec, który przyniósł zegarek i rewolwer, i gazetę z numerami, zrealizował jedynie czyjś wątpliwy żart? Okrutny, podły, chory żart? A może ten ktoś miał jednak serce?

Teraz czuł się tak, jakby padł ofiarą podłego żartu.

Siedział i czekał, z zegarkiem w zaciśniętych dłoniach, i wpatrywał się w boję, od czasu do czasu wędrując spojrzeniem na brzeg, na bezładne skupisko klockowatych budynków. Prześlizgnął się wzrokiem po jakichś chaszczach i pozostałościach po pirsie pamiętającym jeszcze czasy jego dzieciństwa. Czarno-biały holownik przepłynął z warkotem w pobliżu – całą burtę miał obwieszoną oponami, które zapewne służyły jako prowizoryczne odbijacze. Gavin znów spojrzał na zegarek.

I jednocześnie pochwycił błysk w oczach Lucasa. Syn nadal stał i patrzył na niego. A raczej na zegarek.

Gavin Daly podniósł go w górę.

– Dużo było kłopotów przez ten przeklęty mały mechanizm – powiedział.

– Jest piękny.

– Piękny? – Gavin pokręcił głową. – Nie widzisz jego urody, lecz dostrzegasz jedynie jego wartość. To ona jest dla ciebie piękna.

– Nieprawda, tato!

– Zabiłeś dla niego moją siostrę.

Zobaczył, że Campbell zmarszczył brwi, jakby sądził, że się przesłyszał albo coś pomylił.

– Tato, musisz zrozumieć...

– Nie! – przerwał ostro synowi. – Nie muszę niczego rozumieć, chłopcze. Czy ty to rozumiesz?

Gdy ustał warkot holownika, Gavin Daly złowił uchem inny odgłos, z początku bardzo cichy. Lucas też go usłyszał i zaniepokojony spojrzał w górę.

Chwilę później Gavin Daly rozpoznał odległy, ale charakterystyczny terkot helikoptera. Odwrócił się i zobaczył nisko nad wodą punkt zmierzający w ich stronę. Z każdą sekundą był coraz większy.

– O cholera! – zawołał z paniką w głosie Lucas.

Gavin Daly wystawił rękę z zegarkiem nad wodę.

– Tak będzie najlepiej – powiedział.

– Co chcesz zrobić? Tato, nie! Oszalałeś?

– Sprawa załatwiona, Lucasie. Mam z głowy rewolwer, a teraz rozprawię się z zegarkiem.

– Nie mówisz poważnie!

– Co przyniósł każdemu z nas? Co przyniósł naszej rodzinie? Mój tata go miał i zginął, moja siostra miała go w domu i zginęła. Może ten cholerny zegarek jest przeklęty. Należy po prostu wrzucić go do wody, gdzie powinien trafić przed laty wraz z twoim dziadkiem. Tam jest jego miejsce.

Terkot stawał się coraz głośniejszy.

– Tato, nie rób tego, on ma wartość sentymentalną... nie możesz wrzucić go do wody! Nie wolno ci!

Za plecami Lucasa Gavin Daly dostrzegł łódź motorową zmierzającą w dół rzeki, w ich kierunku. Miała niebieski kadłub i szarą nadbudówkę. Płynęła szybko, sądząc po rozmiarze fali dziobowej. Słyszał warkot silnika.

Lucas, który też go usłyszał, obejrzał się za siebie.

– O cholera!

Gavin Daly, nie zważając na helikopter i zbliżającą się motorówkę policyjną, powiedział:

– Co ty wiesz o sentymentach? Nie potrafisz odczuwać sentymentu wobec niczego. Urodziłeś się bez tej zdolności.

W oczach Lucasa pojawiły się lęk i chciwość. Wpatrywał się w zegarek, co chwila odrywając wzrok, by spojrzeć na nadpływającą łódź.

Najeżona antenami motorówka dotarła do mostu i teraz wyraźnie widzieli oznakowania nowojorskiej policji.

Chłodny donośny głos przemówił przez megafon:

– Tu Policja Miasta Nowy Jork. Wszyscy na pokładzie ręce do góry. Nie ruszać się! Wyłączyć silniki. Podpływamy z boku, żeby wejść na pokład.

Stuart Campbell spojrział z wściekłością na Gavina, a potem na Lucasa.

– Co to ma być, do cholery? Może mi wyjaśnicie?

Zanim którykolwiek z nich zdążył odpowiedzieć, wyjął ze schowka przy kole sterowym megafon i zawołał:

– Mamy nurka w wodzie, powtarzam, mamy nurka w wodzie. Proszę zachować bezpieczną odległość. Nie ruszę łodzi z miejsca. Powtarzam, nie ruszę łodzi. Proszę pozwolić mi sprowadzić nurka bezpiecznie na pokład.

Odłożył megafon i podniósł ręce. Lucas również.

Gavin Daly nadal siedział, ignorując policję, i wpatrywał się w zegarek Patek Philippe, który trzymał w dłoni.

– Masz rację, Lucas. Nie mogę tak po prostu wrzucić go do wody, to byłoby głupie.

– Proszę ręce do góry – zahuczał megafon, tym razem głośniejszym głosem, bo łódź znajdowała się już o wiele bliżej, a głos odbijał się od konstrukcji mostu wznoszącej się nad nimi.

– Wiesz, Lucas, dlaczego to byłoby głupie? – spytał Gavin Daly, nadal nie zważając na policję.

– Daję panu jeszcze jedno ostrzeżenie: proszę podnieść ręce wysoko, tak bym je widział. – Aaron Cobb stał na dziobie motorówki, trzymając mikrofon w zgiętej lewej ręce, a glocka w prawej, wyciągniętej na całą długość.

Stojący tuż obok niego Roy Grace przejął megafon i przytknąwszy go do ust, powiedział:

– Panie Daly, mówi nadinspektor Grace. Proszę zastosować się do polecenia.

W odpowiedzi Gavin Daly złapał za uchwyt wyciągarki i uniósł go w górę.

Cobb przyłożył palec do spustu.

Na motorówce, która wślizgnęła się w cień pod mostem, Roy Grace uspokajająco położył rękę na ramieniu Cobba.

– To stary człowiek i jest bardzo przejęty – powiedział cicho.

– Jasne, słodki staruszek. Ale tak się składa, że lubi strzelać facetom w jaja – odpalił cierpko Cobb, nie spuszczać oczu z Daly’ego.

Grace spojrzął na wodę wokół boi, wypatrując bąbli powietrza. Tymczasem policjant zastosował się do prośby kapitana łodzi nurkowej i trzymał motorówkę w bezpiecznej odległości.

– Powiem ci, Lucas, dlaczego to byłoby głupie! – wrzasnął Gavin Daly. – Bo próbowałbyś go odzyskać! I mogłoby ci się udać. A tak, nie będę musiał się o to martwić.

Nurek wynurzył się w pobliżu łodzi, ale ani Gavin, ani Lucas tego nie zauważyli. Starszy pan położył zegarek na pokładzie, tuż przed swoimi stopami.

– Tato, nie! Nie! – zawołał Lucas, gdy dotarło do niego, co ojciec zamierza zrobić. – Tato! Nie rób tego!

Gavin Daly z całej siły spuścił uchwyt wyciągarki na zegarek, tłukąc szkło i miażdżąc tarczę. Później uderzył po raz drugi, równie mocno, i jeszcze po raz trzeci.

Lucas Daly, Stuart Campbell i oficerowie policji stali i patrzyli.

Gavin Daly zgarnął zmiażdżone, powykrzywiane szczątki mechanizmu, sięgnął pod koło ratunkowe i wyciągnął spłaszczoną koronkę pokrętła, która tam wpadła. Następnie ostrożnie usunął paznokciem wskazówki z tarczy, a potem zeszkrobał maleńką część, na której widniał księżyc. I cisnął wszystko za burtę.

– Załatwione – powiedział do Lucasa z uśmiechem zadowolenia.

– Wszystko przepadło. Czujesz przypływ sentymentu, prawda?

Uniósł ręce i odwrócił się do motorówki policyjnej.

– Gavinie Daly! – zawołał Aaron Cobb. – Musi pan wiedzieć, że Eamonn Pollock zmarł w karetce pół godziny temu. Jest pan aresztowany pod zarzutem popełnienia morderstwa. Ma pan prawo milczeć, a wszystko, co pan powie, może zostać użyte przeciw panu w sądzie. Ma pan również prawo skonsultować się z adwokatem, zanim porozmawia pan z policją, a także domagać się obecności adwokata podczas przesłuchań, zarówno teraz, jak i w przyszłości. Jeśli nie stać pana na wynajęcie adwokata, to przed każdym przesłuchaniem zostanie on sprowadzony na pańskie życzenie.

Potem porucznik Cobb wyrecytował resztę praw przysługujących zatrzymanemu.

Roy Grace patrzył na tego starego mężczyznę z mieszanymi uczuciami, jednak przeważało współczucie. Wprawdzie znał Gavina Daly'ego dość krótko, ale uważał, że to uroczy człowiek, choć zarazem twardy. Niewątpliwie w swoim czasie był bezwzględny biznesmenem, lecz niewielu ludzi zdobyło taki majątek jak on, zachowując przy tym łagodność i delikatność. Mimo to Grace'owi trudno było pogodzić koszmar tego, co Daly zrobił przed godziną w biurze przy Madison Avenue, ze smutną postacią, którą teraz widział.

Przeniósł uwagę na nurka, który przesunął maskę na czoło, wypłuł rurkę i zawołał do kapitana swojej łodzi:

– Pomóż mi, Stu. Coś mam.

A potem, gdy płynął do zawieszanej na burcie drabinki, rozglądał się ze zdumieniem, zaskoczony sceną, którą miał przed sobą: trzech mężczyzn na łodzi nurkowej, z rękami w górze, i policyjna motorówka.

– Źle się wstrzeliłem?! – zawołał do kolegi, chwytając drabinę jedną ręką. – Chcesz, żebym wrócił po to kiedy indziej?

Stuart Campbell spojrział z daleka na Cobba.

– Czy mogę pomóc koledze? – spytał.

Porucznik skinął głową.

Campbell ukląkł i przejął z okrytej rękawicą dłoni nurka postrzępioną linę z pasmami wodorostów. Potem, kiedy obaj równomiernie ciągnęli, nurek stopniowo wspiął się po drabince na pokład, wlokąc na linie coś bardzo ciężkiego.

Lucas nachylił się, by pomóc, a Gavin usiadł i patrzył jak zahipnotyzowany.

Na powierzchnię powoli wynurzył się kłęb czarnej, pokrytej glonami sieci rybackiej, z grudami mułu. W środku znajdowało się coś, co wyglądało na brezentowy worek. Duży blok cementu był przywiązany do dołu sieci – zabezpieczała go bardzo stara lina, omotana wokół niego w różnych kierunkach. Przebiegł po nim krab i zaraz wpadł z powrotem do ciemnej wody.

Grace też wpatrywał się jak zahipnotyzowany w tę scenę, czując, jak ściska go w gardle ze współczucia dla tego starca.

Lucas Daly, Stuart Campbell i nurek Tommy Lovell wreszcie wciągnęli całe znalezisko na pokład. Muł sączył się dokoła, woda tworzyła kałuże. Wór miał z metr osiemdziesiąt długości.

Gavin Daly drżał. Opuszczono odbijacze i motorówka policyjna podpłynęła do łodzi nurkowej, a Grace, stojący między Patem Laniganem a Aaronem Cobbem, z trudem powstrzymał chęć, by skoczyć na pokład i ująć starszego pana za rękę.

Nurek wyjął z pochwy nóż i zaczął rozcinać sieć. Członek załogi motorówki przeskoczył na rufę łodzi nurkowej, trzymając linę, którą przeciągnął przez pierścień cumowniczy i owinął na knadze motorówki. Następnie powtórzył tę operację na dziobie.

Jednak żaden z trzech policjantów na motorówce się nie ruszył. Tylko patrzyli. Czując, że to jest coś, co powinni – przynajmniej w tym momencie – jedynie obserwować.

Lovell z pomocą Campbella usunął strzępy pociętej sieci, odsłaniając popękany brezentowy worek. Nurek odwrócił się do Gavina Daly’ego, jakby czekał na jego zgodę. Starszy pan skinął głową.

W górze słychać było ryk samochodów. Wciąż towarzyszył im terkot helikoptera. Nurek, ostrożnie jak chirurg, rozciął brezentowy worek – najpierw tylko kilka centymetrów, potem nieco dalej, a wreszcie przez całą długość. I wtedy obaj mężczyźni rozchylili worek, jakby to była rozcięta na sekcji klatka piersiowa ofiary.

Gavin Daly padł na kolana tuż obok. Grace widział łzy spływające po jego twarzy.

Widział też, co jest w brezencie. Kości. Pomieszane kości szkieletu. Zniknęła skóra, ciało, mięśnie i ścięgna, pochłonięte dawno temu przez padlinożerców, którzy znaleźli drogę w szparach worka. A Roy Grace był na tyle doświadczony, by nawet z odległości tych kilku metrów poznać, że to nie są szczątki zwierzęcia.

Dostrzegł kości strzałkową i piszczelową, kość śródstopia, kość sześcienną i kości klinowate – i żałował, że nie ma z nimi eksperta medycyny sądowej, który mógłby dokładniej to wszystko określić.

Kilka chwil później, kiedy mężczyźni odsłonili całe szczątki, ujrzał ludzką czaszkę. Wyszczierzona w uśmiechu, zdawała się mówić: cześć, ale czemu zajęło wam to aż tyle czasu?

Gavin Daly wcisnął twarz w błoto i wodę obok brezentu i rozdzierająco zaszlochał.

Policjanci stali i patrzyli, jakby nie bardzo wiedząc, co począć dalej.

Starzec podniósł głowę, przysunął się do brezentowego worka i zajrzał do środka. Lucas podszedł i delikatnie położył rękę na ramieniu ojca. A ten sięgnął do worka i wydobył z niego krótki ciemny łańcuszek. Umieścił go na pokładzie obok siebie, po czym znów zajrzał do worka i chwilę później wyciągnął kolejny ciemny łańcuszek z małym zardzewiałym wisiorkiem. Przytknął go do szyi.

Grace oraz Lanigan i Cobb przeszli na łódź nurkową i zbliżyli się do Gavina Daly’ego.

– Co to jest, panie Daly? – spytał Grace, chociaż już znał odpowiedź.

– Czy zechce pan nam wyjaśnić, co się tu wyprawia? – odezwał się bez krztyny taktu Aaron Cobb.

Starzec, z oczami pełnymi łez, odwrócił się do niego i pokazał naszyjnik. Chociaż wisiołek był zardzewiały, Grace rozpoznał, że ma kształt królika.

– Mój tata zawsze to nosił – powiedział Gavin Daly przez łzy. – Dostał to od swojego ojca, który był członkiem irlandzkiego gangu Dead Rabbits. Podziwiałem ten wisiołek w dzieciństwie i tata obiecał mi, że pewnego dnia go dostanę. – Ujął palcami skorodowany łańcuszek. – A tę dewizkę miał przy zegarku. – Spojrzał na czaszkę i dotknął jej swoją drżącą kościstą ręką, pokrytą plamami wątrobowymi. – Utopili go. Utopili jak jakiegoś cholernego kota. – Skrył twarz w dłoniach i znów zaszlochał.

Po chwili podniósł wzrok na policjantów.

– Dziewięćdziesiąt lat temu obiecałem swojemu ojcu, że pewnego dnia wrócę do Nowego Jorku i go odnajdę. To właśnie się tu wyprawia. A to jest Brendan Daly. Mój ojciec. Wreszcie go odnalazłem.

Zabrali mu pasek, buty i laskę, dali więzienne papierowe kapcie, o kilka numerów za duże, więc idąc, szurał nogami, co nadawało mu wygląd, jakiego można by się spodziewać po dziewięćdziesięcioletnim człowieku.

Ale Gavin Daly wcale się tym nie przejmował. Czuł się już osadzony.

Wyprowadzono go w kajdankach na brzeg, potem został przesłuchany przez adwokata i postawiony w stan oskarżenia przez surowego sędziego, który odmówił zwolnienia za kaucją i nakazał osadzić go w areszcie z powodu ryzyka ucieczki. Następnie zbadał go więzienny lekarz. A później ulokowano go w celi aresztu o szumnej nazwie Manhattan Detention Complex. Adwokat powiedział mu wesoło, że miejsce to jest raczej znane pod nazwą „Grobowiec”.

Daly się tym nie przejął.

Odnalazł ojca i go pomścił. W tym samym dniu. Reszta była bez znaczenia.

Zamiast głębokiego smutku, który przeżywał wcześniej, teraz czuł się głęboko szczęśliwy. Po raz pierwszy w życiu miał poczucie spełnienia. Siedział na twardym niebieskim materacu piankowym i sporządzał notatki, korzystając z papieru i długopisu, które na jego prośbę przyniósł mu sympatyczny funkcjonariusz.

Wysoko w ścianie celi było zakratowane okno, przez które dolatywał hałas uliczny. Życie. Żółte taksówki, syreny, klaksony. Poniedziałkowy wieczór na Manhattanie. Ludzie spotykali się z przyjaciółmi w barach, jedli kolację, spieszyli się na pociągi, by wrócić do swoich domów na przedmieściach. Martwili się.

Tylu ludzi wciąż się zamartwiała.

„Większość ludzi prowadzi życie w cichej rozpacz”. Czy i on się martwił? Czy żył „w cichej rozpacz”? Co przyszło mu z tego długiego życia, które zakończyło się w tej małej celi, gdzie ze swojego posłania mógłby dotknąć sedesu, gdyby wyciągnął rękę. Czy było w ogóle coś warte?

Młodzi ludzie, którzy lekceważą starszych, nie dostrzegają jednej ważnej rzeczy. Im człowiek starszy, tym mniej się przejmuje. To właśnie ten cudowny wyzwalający aspekt starości. Już się nie przejmujesz. Jesteś wolny.

On czuł się teraz wolny jak jeszcze nigdy w życiu. Czuł się szczęśliwy. Szczęśliwy jak nigdy przedtem.

Szczęśliwy w tej małej celi.

Szczęśliwszy, niż kiedykolwiek był w swojej wspaniałej rezydencji.

Rozległ się szcęk zamka i drzwi celi się otworzyły. Wszedł strażnik, który przeprosił go za zabranie mu paska i butów. Był przysadzisty, w wieku przedemerytalnym, i miał twarz człowieka, który niejedno widział i nauczył się, że najlepszym sposobem radzenia sobie ze wszystkim jest uśmiech.

– Niedługo zgasimy światła, panie Daly, chciałem uprzedzić pana pięć minut wcześniej, by zdążył pan skończyć pisać. Chciałem też spytać, czy przypadkiem nie przestrzega pan zasad koszer albo halal?

Daly pokręcił głową.

– Dobrze, więc chcę tylko poinformować, że następnym posiłkiem będzie śniadanie. Najpierw ktoś zaprowadzi pana pod prysznic. Dostanie pan chrupki śniadaniowe, pomarańczę albo jakieś inne świeże owoce oraz mleko, chleb i dżem. Czy to panu odpowiada? Nie ma pan cukrzycy ani innej choroby?

– Nie będę potrzebował śniadania.

– No cóż, i tak je pan dostanie.

Gavin Daly uśmiechnął się.

Strażnik się zawahał.

– Rzadko zdarzają nam się osadzeni w pana wieku. Jeśli będzie panu czegoś potrzebna, proszę mnie wezwać. I proszę nie rezygnować z posiłków, bo poza nimi nic innego pan nie dostanie.

Daly znów skwitował słowa funkcjonariusza uśmiechem.

– Dziękuję, mam wszystko, czego mi trzeba. Wszystko, czego kiedykolwiek potrzebowałem.

Tej nocy, po raz pierwszy od pięćdziesięciu lat, nic mu się nie śniło.

Spał jak zabity.

O ósmej czterdzieści pięć Glenn Branson przyjechał po Roya Grace'a na lotnisko Gatwick służbowym samochodem.

– Chcesz jechać prosto do Sussex House czy najpierw do domu?

– Teraz zawieź mnie, proszę, do domu. Chcę się upewnić, czy z Cleo wszystko w porządku, poza tym muszę wziąć prysznic i przebrać się. A ty, jak się trzymasz? Pogrzeb Ari jest jutro, prawda? Przynajmniej będę mógł w nim uczestniczyć.

– Cieszę się – powiedział Branson. – Dziękuję. Myślę, że właściwie to cię lubiła.

– Okazywała to w dziwny sposób – odparł Grace z uśmiechem.

– Tak. – Branson pociągnął nosem. – Pod wieloma względami była dziwna.

– Ale trzymasz się jakoś?

– Tak. Jej siostra nadal opiekuje się dziećmi. Zostaje, by się nimi zająć, do końca tygodnia, żebym zdążył się jakoś zorganizować. Szczerze mówiąc, najlepiej mi służy praca. Dużo się tu działo, kiedy ty szlajałeś się po Stanach.

– Ha, ha.

Był zmęczony po locie, który spędził w niewygodnej pozycji na środkowym siedzeniu, a dwa rzędy dalej wciąż ryczało dziecko. Zresztą był zbyt podminowany, by zasnąć, nawet gdyby ten dzieciak mu na to pozwolił. Obiecał sobie, że postara się nie narzucać obecności Noaha pasażerom na dalekich lotach.

Dzień był deszczowy, chłodny, w przeciwieństwie do tego ciepłego dnia babiego lata wczoraj w Nowym Jorku. Wycieraczki, które miał przed sobą, usuwały wodę, młócąc o szybę, choć wolałyby pewnie, by tego nie robiły, żeby mógł cokolwiek widzieć. Wyglądało na to, że Glenn jeździ coraz szybciej i coraz gorzej. Teraz właśnie przyspieszył przed rondem, podczas gdy każdy zdrowy na umyśle

człowiek by zwolnił. Grace zaparł się stopami, a Branson przemknął tuż przed ciężarówką, która miała pierwszeństwo. Rozległ się wściekły ryk klaksonu, tylne koła forda straciły przyczepność, wpadli w poślizg. Branson ostro przyhamował i zbyt mocno skontrował kierownicą, tył poleciał w przeciwnym kierunku. Jakoś cudem udało im się wyjechać z ronda bez szwanku i popędzili w stronę zjazdu na autostradę M23.

– Czy masz choć blade pojęcie o prawach fizyki? – spytał Grace.

– Fizyki?

– Może powinieneś zastanowić się trochę nad pędem. Mógłbyś spróbować zrozumieć, że samochód, który po prostej drodze jedzie z prędkością ponad stu kilometrów na godzinę, musi zwolnić, zanim skręci ostro w lewo, a zwłaszcza kiedy jest ślisko.

– Ale to był kontrolowany poślizg. W stylu Jeremy’ego Clarksona – odparł Glenn.

– Aha.

– Nie wiem, czemu się martwisz, przecież nigdy nie miałem żadnego wypadku.

– Może szykujesz się na coś dużego. – Zmieniając temat, Grace spytał: – Masz jakieś wiadomości z laboratorium na temat naszego psa, Humphreya? – Skrzywił się, gdy Branson zjechał na pas szybkiego ruchu dosłownie parę centymetrów za samochodem jadącym przed nimi.

– Nie, to zajmie parę dni. W łazience Smallbone’a znaleźliśmy fiolkę z tabletkami, które też daliśmy do analizy. Cały czas mieliśmy oko na Cleo. Był z nią na okrągło rodzinny oficer łącznikowy, a ci z lokalnego patrolu zostali powiadomieni o zdarzeniach i wzmoгли czujność. Ale czy nie sądzisz, że Smallbone działał jednak sam?

– Miejmy nadzieję.

– Są znaczące postępy, jeśli chodzi o odcisk buta znaleziony w biurze wynajmu nieruchomości Rand & Co. Mówiłem ci, że Haydn Kelly dopasował go do odcisku znalezionego w domu Smallbone’a.

– Tak.

– Mamy także trzeci pasujący ślad: z jachtu Eamonna Pollocka w Marbelli. Policja hiszpańska wysłała odciski wczoraj, a Haydn Kelly poinformował Normana Pottinga o wynikach godzinę temu!

Na jachcie są też inne ślady butów. Wzory podeszew świadczą o tym, że ostatnio na łodzi przebywały, oprócz Macaria i Barnes, jeszcze trzy osoby.

Grace zmarszczył brwi.

– I jeden ze śladów pasuje do tych z agencji wynajmu i mieszkania Smallbone’a?

– Tak. To tylko pasujące odciski butów, ale jeśli znajdziemy but...

Grace’owi nagle przeszło całe zmęczenie.

– Wiem, czyje to mogą być ślady. – Sięgnął na tylne siedzenie, wziął stamtąd swoją torbę i położył ją sobie na kolanach. Wyjął z niej małą torebkę na dowody, zawierającą pendrive, i triumfalnie ją uniósł. – Wczoraj w nowojorskim biurze zostało nagrane na taśmę wideo zeznanie syna Gavina Daly’ego, Lucasa, który przyznał się do udziału w obrabowaniu domu Aileen McWhirter.

– Syn Daly’ego, jej bratanek? – spytał z niedowierzaniem Branson. – Był w to zamieszany?

– Prawdopodobnie był mózgiem tego przedsięwzięcia. Tak, to prawdziwy rozkoszniczek.

– Został aresztowany?

– Nie. Zgodził się, żeby Batchelor i Alexander odstawili go pod eskortą z powrotem do Anglii. Poprosił o dzień, dwa zwłoki, by mógł się dowiedzieć, co czeka dalej jego ojca.

– A więc udało się! – podsumował Glenn Branson. – Ale... jak może nam to pomóc w ustaleniu, do kogo należały ślady butów na łodzi?

– Musimy zdobyć nakaz rewizji i przeszukać jego dom. A teraz dobra wiadomość dla ciebie. Jeśli stwierdzimy, że Lucas Daly był na łodzi, myślę, że będziemy wiedzieć, do kogo należały inne ślady.

– Jak to?

– Lucas Daly poleciał do Marbelli ze swoim przydupasem. Podejrzewam, że są zamieszani w śmierć Macaria i Barnes. Jeśli ślady z łodzi będą pasowały do odcisków przydupasa, to jego też mamy na widelcu. Nie zapominaj, że w przeszłości między Amisem Smallbone’em a Eamonnem Pollockiem istniały jakieś powiązania.

– Tak, wiem. Ale jedno wciąż nie daje mi spokoju. Wszystkie ślady pochodzą z obuwia sportowego: Haydn Kelly zidentyfikował te w agencji wynajmu i w domu Smallbone’a, a teraz jeszcze na

łodzi, jako buty firmy Nike, których są tysiące. Oprócz tego na łodzi były ślady butów Asics, których też sprzedaje się tysiące.

– Jest kilka sposobów, by powiązać tych ludzi z miejscami zbrodni – odparł Grace. – Oprócz firmy, modelu i rozmiaru butów jest jeszcze porównanie śladów znoszenia. Haydn Kelly wyjaśniał mi to kilka dni temu. Jeśli uda nam się zdobyć buty, można porównać ich wkładki z wkładkami z butów podejrzanych, bo one dają odcisk stopy konkretnej osoby. Jeśli będą pasowały, to jesteśmy w domu! Może nawet nam się tak poszczęścić, że w butach znajdziemy ślady DNA!

– Świetnie! Wspaniale! Mamy mnóstwo możliwości!

– Pod warunkiem że przeżyjemy tę jazdę – powiedział Grace, nerwowo wpatrując się w drogę przed nimi.

Siedząc w swoim gabinecie, Grace o piętnastej skończył rozmowę telefoniczną z Haydnem Kellym, z którym omówił dalsze informacje związane ze śladami butów. Wypił filiżankę mocnej herbaty i ziewnął. Za pół godziny nadinspektor z wydziału dochodzeniowo-śledczego w Surrey, którego nie znał, miał przybyć, by skontrolować przebieg operacji Flądra. Była to standardowa praktyka w wypadku śledztw dotyczących poważnych spraw: w pewnych odstępach czasu doświadczona osoba z zewnątrz dokonywała oceny metod i posunięć stosowanych przez oficera prowadzącego oraz składu ilościowego i jakościowego zespołu.

Grace wiedział, że zwykle ta procedura jest powolna i nużąca, więc chętnie by ją sobie dziś darował, zwłaszcza że wszystko wskazywało na to, iż wkrótce będzie mógł zamknąć sprawę. Jak dobrze pójdzie, kontrola zakończy się przed popołudniową odprawą o osiemnastej trzydzieści, w której weźmie udział, a potem pojedzie do domu. Zamierzał właśnie napisać mejla do zastępcy komisarza, Rigga, z krótką informacją przed jutrzejszym porannym spotkaniem, na którym miał dokładnie zrelacjonować przebieg śledztwa, kiedy odezwał się jego telefon.

Dzwonił Pat Lanigan.

– Jak się masz, Roy? Bezpiecznie dotarłeś do domu?

– Tak, dziękuję.

– Wszystko w porządku? Z Cleo i dzieckiem?

– Tak, dziękuję, wszystko dobrze.

– Miejmy nadzieję, że ten śmieć działał sam.

– No właśnie.

– Pomyślałem, że chciałbyś się od razu dowiedzieć – powiedział Lanigan poważniejszym tonem. – Gavin Daly nie obudził się rano.

Grace poczuł nagły smutek.

– Nie żyje?

– Zdaje się, że odszedł spokojnie w nocy. Miał chore serce, więc może zadziałał stres związany z aresztowaniem... to silne przeżycie dla każdego, zwłaszcza w starszym wieku. Pewnie dowiemy się więcej po sekcji.

– Nigdy nie zapomnę tego widoku, jak na łodzi nurkowej zaglądał do worka. Nigdy.

– Tak, to było mocne. Wiesz co? Chyba spodziewał się, że umrze w nocy. Strażnik, który się nim zajmował, powiedział, że Daly oznajmił, że nie będzie potrzebował śniadania, co było dziwne. Strażnik zastanawiał się, czy gość nie planuje samobójstwa, więc miał go na oku.

– Nie sądzę, by myślał o samobójstwie, Pat. Myślę, że zrobił ostatnią rzecz, którą pragnął jeszcze zrobić. Kilka tygodni temu opowiedział mi trochę o swoim życiu, o ojcu i matce, przy cygarze w ogrodzie jego siostry. Byłem poruszony.

– Tak? No, może. Ale wiesz, wieczorem, zanim pogaszono światła, spisywał swoje polecenia. Zażyczył sobie, by szczątki ojca pochowano na cmentarzu w Brooklynie, jak najbliżej grobu matki. Kazał, by wypłacono odszkodowanie temu handlarzowi antyków, Rosenblaumowi, za szkody wyrządzone podczas strzelaniny w jego biurze. A także... to ci się spodoba... chciał, by ktoś skontaktował się z tobą i w jego imieniu przeprosił cię za kłopoty, które przez niego miałeś.

– Bardzo miło z jego strony – powiedział z uśmiechem Grace.

– Dla mnie to wygląda na list samobójcy, stary.

– W każdym razie on nie żyje, Pat. Więc czy to ważne? Nic nie przywróci mu życia, zresztą nie sądzę, by chciał tu wrócić. Życie nie jest przymusowe!

– To świetne! – stwierdził Lanigan. – „Życie nie jest przymusowe!” Myślę, że użyję tego zdania, gdy będę miał następny raz do czynienia z jakimś kompletnym gnojem.

– Proszę bardzo.

– Dzień dobry – powiedział Roy Grace do swojego zespołu, który zgromadził się w pokoju konferencyjnym na porannej odprawie. – Witam na odprawie dotyczącej operacji Flądra, dzisiaj, trzynastego września. To pechowy dzień dla niektórych... zwłaszcza naszych sprawców.

Rozległy się śmiechy.

– Ale szczęśliwy dzień dla operacji Flądra – ciągnął. – Mam wiele dobrych wieści. – Spojrzał w swoje notatki. – Przede wszystkim, dzięki analizie obuwia Lucasa Daly’ego i Augustine’a Krasnikiego, dokonanej przez naszego podiatrę, doktora Haydna Kelly’ego, wiemy, że byli na łodzi Eamonna Pollocka mniej więcej w czasie, kiedy umarli Macario i Barnes.

Zwrócił się do Normana Pottinga, który wyglądał lepiej niż wtedy, gdy widział go ostatnio. Najwyraźniej trochę się opalił w Hiszpanii.

– Masz dla nas jakieś informacje, Normanie?

– Tak, policja z Marbelli znalazła świadka, który przebywał w pobliżu łodzi Pollocka w piątkową noc trzydziestego pierwszego sierpnia. Podszedł do niego jakiś mężczyzna i poprosił o ogień. Świadek nie widział go zbyt dobrze, ale obok zauważył też drugiego mężczyznę, a sądząc z ich budowy i wzrostu, mogli to być Daly i Krasniki. Hiszpańska policja zamierza wydać na nich nakaz aresztowania. Żeby powiększyć niedole Daly’ego.

Grace uśmiechnął się.

– Policja hiszpańska, na podstawie informacji dostarczonych z portu Shoreham – ciągnął Potting – zrobiła nalot na magazyn i znalazła kontener wypełniony antykami pasującymi do opisów większości skradzionych cennych przedmiotów.

– Świetne wieści. Dziękuję, Normanie – powiedział Grace. Znowu zajrzał do notatek. – Mam jeszcze coś ważnego. Tuż po włamaniu, kiedy poprosiliśmy o zdjęcia zegarka Patek Philippe, Gavin Daly poinformował nas, że zginęła zarówno fotografia, którą miała jego siostra, jak i ta, która znajdowała się u niego. Oficerowie dokonujący przeszukania znaleźli je wczoraj w zamkniętej szafce na dokumenty w biurze Lucasa Daly’ego, na zapleczu jego sklepu. – Spojrzał na oficera odpowiedzialnego za badanie miejsca zbrodni. – Dobra robota, Dave. – Zwrócił się do Belli: – Jak przesłuchanie?

– Exton i ja przesłuchaliśmy Lucasa Daly’ego wczoraj, w obecności jego adwokata. Jest to pierwsze z trzech zaplanowanych przez nas przesłuchań. Daly zdecydowanie wypiera się zamordowania Macaria i Barnes’a. Twierdzi, że udał się do Marbelli z Augustine’em Krasnikim i weszli na łódź, by porozmawiać z tamtymi dwoma i dowiedzieć się, gdzie aktualnie przebywa Eamonn Pollock oraz gdzie znajdują się skradzione wartościowe przedmioty, a w szczególności zegarek Patek Philippe. Przyznaje, że trochę ich poturbowali, ale przysięga, że kiedy odchodzili, tamci byli żywi.

Zawiesiła głos i zajrzała do notatek.

– No i Daly powiedział jeszcze coś, w co trudno nam uwierzyć. A mianowicie, że wynajęli Marokańczyka, by porozmawiał z Macariem i Barnesem i sprawdził, czy da się wyciągnąć z nich coś więcej.

– Marokańczyka? – powtórzył Grace.

Bella kiwnęła głową.

– Tak utrzymuje. Że zapłacił mu pięćset euro, by poszedł z nimi pogadać.

– Przez „pogadać” rozumiesz „torturować”? – uściślił Potting.

– Owszem. Daly uważa, że ten tajemniczy Marokańczyk mógł się trochę zagalopować.

– Czy znamy nazwisko tego człowieka albo rysopis? – spytała Emma-Jane Boutwood.

– Nie – odparła Bella. – Mówi, że widział go tylko w ciemnościach, na nabrzeżu, koło łodzi Pollocka.

– Czy ten świadek, który podał Daly’emu ogień, również go widział? – Grace spojrział pytająco na Pottinga.

– Nie, szefie. Świadek stanowczo twierdzi, że było tam tylko dwóch mężczyzn, prawdopodobnie Daly i Krasniki.

– Coś mi się tu nie zgadza – powiedział Grace. – Daly i Krasniki to potężni faceci. Jakim cudem ów Marokańczyk, zakładając, że w ogóle istnieje, mógłby coś wyciągnąć od Macaria i Barnes, skoro tamtym się to nie udało?

– Dokładnie to samo przyszło nam do głowy – przyznała Bella.

– Sądźcie więc, że ten Marokańczyk jest wymysłem?

– Tak, proszę pana.

Grace pokiwał głową.

– Dopóki ktoś go skądś nie wytrzaśnie, też tak będę uważał.

– A co z tym Krasnikiem, szefie? – spytał Guy Batchelor. – Czy został już aresztowany?

– Nie, wygląda na to, że dał nogę. Pochodzi z Albanii, więc może się ukrywać w ich tutejszej społeczności albo pojechał do domu... czy gdziekolwiek.

– Zostawił kopertę z krótkim listkiem do swego szefa, Lucasa Daly'ego. – Alec Davies pokazał świstek papieru.

– Co napisał? – zainteresował się Grace.

– No cóż, niewiele. Tylko: „Przepraszam”.

– Okazuje się, że trzynasty był pechowy dla Carla Vennera! – powiedział Roy Grace. Wyciągnięty na kanapie w domu Cleo, wzniosł w stronę Marlona toast drinkiem z wódki i martini. – I co o tym myślisz, hę? – spytał złotą rybkę.

Marlon zareagował na to tak samo jak na wszystko inne w życiu: spokojnie krążył w środku swojej kuli, zamykając i otwierając pyszczek.

– To fantastyczna wiadomość, kochanie!

Cleo, siedząca obok, odstawiła laptopa i mały kieliszek białego wina, na który sobie pozwoliła, pocałowała Roya w policzek i uściskała. Noah, na swojej macie rozłożonej na podłodze, radośnie gaworzył. Humphrey, który spał w swoim ulubionym miejscu – na kanapie naprzeciwko – nawet nie drgnął; z wolna dochodził do siebie po ostatnich przejściach.

– Dostał dożywocie, z minimalną odsiadką osiemnastu lat.

– Jesteś pewnie bardzo zadowolony.

– I cholernie mi ulżyło!

– Ale miałeś tydzień!

– Bywały gorsze.

Uśmiechnął się, też ją pocałował i przesunął palcem po delikatnym łańcuszku, który kupił jej u Tiffany’ego w Nowym Jorku, zanim popędził na samolot.

Dobrze było znaleźć się znów w domu, w sobotni wieczór, a poza tym pierwszy raz miał prawdziwą okazję świętować z Cleo wyrok Vennera. Dobrze było przebywać z dwojgiem ludzi, których kochał najbardziej na świecie. Wisiał nad nimi cień, czyli myśl o Amisie Smallbonie i o tym, co mogłoby się stać, gdyby nie spadł – czy nie został zepchnięty. Jeśli zepchnął go Krasniki, to Grace skrycie miał

nadzieję, że ten Albańczyk nadal będzie się cieszył wolnością. Zasługiwał na to za ocalenie Cleo albo Noaha, albo ich obojga.

Cleo znów wzięła laptopa i pokazała Royowi pasiaste ubranko dla dziecka.

– Śliczne, prawda? To ta strona, Zulily. Nie sądzisz, że Noah słodko by w tym wyglądał?

– Jak skazaniec!

Naburmuszyła się, rozczarowana.

– Wcale nie!

Grace nadal przeglądał dostarczone przez agencję nieruchomości plany domu, w którym zakochała się Cleo. Mieli obejrzeć go rano. Ale nad tymi planami także zawisł cień. Wraz z poranną pocztą otrzymał wiadomość, że tajemnicza kobieta z Niemiec nagle, bez wyjaśnienia, zrezygnowała z kupna jego domu. Liczyli, że dzięki tej transakcji będą mogli nabyć nowy.

– Kochanie, czy sądzisz, że jest w ogóle sens jutro tam jechać? – spytał.

Cleo uśmiechnęła się i ochoczo pokiwała głową.

– Ja też mam dziś dla ciebie dobrą wiadomość. Rodzice zaofiarowali się, że pożyczą nam pieniądze na depozyt!

Spojrzał na nią.

– Naprawdę?

– Tak. A jak wreszcie sprzedasz dom, to im oddamy.

Upił łyk drinka, przymknął na chwilę oczy i znów opadł na miękkie poduchy.

– To bardzo miło z ich strony.

– Lubię cię. Nie rozumiem dlaczego, ale tak jest. – Uśmiechnęła się zawadiacko. – Zupełnie jak ja!

– Tak sobie pomyślałem... no wiesz... mieliśmy się pobrać w tym roku, a potem działy się różne rzeczy i to odłożyliśmy. Może ustalimy datę i po prostu to zrobimy?

– Tak, kochanie. Zrobmy to szybko. Bardzo szybko!

Znów się pocałowali.

Noah wydawał niespokojne okrzyki na podłodze.

– Twoja kolej – powiedziała.

Odstawił kieliszek, ukląkł, wziął synka na rękę, po czym znów usiadł na kanapie, trzymając go w ramionach.

– Widziałeś żonę Lucasa Daly’ego, Sarah Courteney? – spytała nagle Cleo. – Pewnie przeżywa koszmar.

– Chyba rzeczywiście kiepsko się teraz bawi, bo po całym jej domu łążą technicy kryminalistyki.

– Ale widziałam ją wczoraj w wiadomościach i wyglądała na tak samo radosną jak zawsze. Widocznie dobrze umie skrywać emocje.

– To twarda sztuka. Potrafi przetrwać ciężkie chwile. – Nagle zwrócił uwagę na synka. – Hej, mały, czyżbyś miał coś dla mnie w pieluszce?

Narastający smród to potwierdzał, a Noah wydawał się bardzo dumny ze swojego osiągnięcia.

Opadła na oparcie siedzenia, rozkoszując się wygodą podróży w klasie biznesowej i drugim kieliszkiem szampana.

Wesoły młody steward z British Airways podszedł z butelką, by dopełnić jej kieliszek. Kiedy to robił, zauważył jej cartiera.

– Ładny zegarek! – powiedział z uznaniem.

– Dziękuję! – Podniosła rękę, by mógł przyjrzeć mu się z bliska.

– Cudowny, nie ma to jak oryginał, one po prostu mają w sobie to coś.

– Tak. Jestem trochę skołowana przez różnicę czasu... o której lądujemy w Moskwie, miejscowego czasu?

Spojrzał na własny zegarek, topornego brązowego hublota.

– Piętnasta piętnaście. Za trzy godziny.

– Dziękuję.

Gdy steward ruszył przejściem między siedzeniami ku innym pasażerom, Sarah Courteney otworzyła torebkę i zanurzyła w niej rękę, dotykając miękkiego aksamitnego woreczka, a potem podnosząc go na kilka centymetrów, by poczuć uspokajający ciężar zegarka kieszonkowego marki Patek Philippe, z pękniętym szkiełkiem, tarczą z arabskimi cyframi i przekrzywioną koronką.

O tak, nie ma to jak oryginał.

Aileen pokazała go jej raz, kilka lat temu, wyjąwszy go z tajnej skrytki w swoim podwójnym sejfie. I kochana staruszka w ogóle nie zorientowała się, że zniknął na tydzień, kiedy Sarah wzięła go do Dubaju, do małej pracowni, która wykonywała tak cudowne podróbki.

Najwyraźniej Gareth Dupont nie zauważył różnicy, gdy ukradł podróbkę podczas tamtego koszmarne włamania, które tak ją zaszokowało. Nie wiedziała, że ten drań ją wykorzystuje.

Ale to wszystko już historia. Tak samo jak Lucas, który pewnie dostanie dziesięć lat – a może więcej – zarówno w Hiszpanii, jak i w Anglii.

Wreszcie się go pozbyła.

Kiedy po trzecim kieliszku szampana przyjemnie zaszumiało jej w głowie, pomyślała, że zważywszy na to, co się wydarzyło w ciągu ostatnich trzech tygodni, Aileen byłaby z niej dumna.

Miała nabywcę w Moskwie, który chciał zapłacić dwa i pół miliona funtów, gotówką, i nie przejmował się takimi drobiazgami jak pochodzenie przedmiotu.

No i dobrze – nie będzie żadnego zawracania głowy. Co tu dowodzić pochodzenia – zegarek był prawdziwy. Jak powiedział steward, oryginały mają w sobie to coś.

Ojciec zawsze jej mówił, że w życiu liczą się tylko dwie rzeczy: zdrowie i czas, który ci jeszcze pozostał. Była w dobrej formie. Dopisywało jej zdrowie.

Miała też swój czas.

PODZIĘKOWANIA

Dwie istotne uwagi na temat zdrowia:

1. Przeczytacie tu o tragicznej śmierci jednej z postaci na skutek hipertermii złośliwej. To prawdziwa przypadłość, która omal nie zabiła syna mojego przyjaciela. Charakteryzuje się niezwykle szybkim wzrostem temperatury ciała i znacznym nasileniem metabolizmu tlenowego mięśni. Hipertermię mogą wywołać leki służące do znieczulenia ogólnego, a jej występowanie jest uwarunkowane genetycznie. Zwykle pozostaje niewykryta, dopóki ktoś z rodziny nie zareaguje źle na znieczulenie. Można ją zdiagnozować poprzez biopsję mięśni w MH Investigation Unit w Leeds. Osoby, u których wykryje się podatność na hipertermię złośliwą, mogą mieć znieczulenie z pominięciem pewnych leków i przy odpowiednim nadzorze. Hipertermia jest potencjalnie śmiertelna, jeśli nie zostanie wykryta przez anestezjologa. Więcej informacji znajduje się na www.bmha.co.uk.

2. U jednej z postaci zdiagnozowano raka prostaty. Informacji o tej chorobie udzielili mi uprzejmie Colin Stokes i John Davies z Prostate Project, Purbecks House, Grosvenor Road, Godalming, GU7 1NZ, gdzie można otrzymać wsparcie i wszelką pomocną wiedzę. www.prostate-project.org.uk. Tel.: (+44) 01483 419501 Organizacja wspiera lokalne szpitale, które oferują teraz znakomitą opiekę.

Największy dług wdzięczności, jeśli chodzi o zbieranie informacji, mam u nowojorskiego policjanta z wydziału dochodzeniowo-śledczego, Pata Lanigana, stryjecznego wnuka Dinny'ego Meehana, który był szefem gangu White Hand i został zamordowany w swoim domu na Brooklynie trzydziestego

pierwszego marca 1920 roku. Dzięki temu, że Pat Lanigan opowiedział mi swoją historię rodzinną i udostępnił materiały archiwalne, powstała ta książka.

Kolejny ogromny dług zaciągnąłem u wielu oficerów i pracowników personelu pomocniczego policji w Sussex, którzy chętnie udzielali mi wszelkiej pomocy i porad. Słowa wdzięczności kieruję przede wszystkim do uhonorowanego Queen's Police Medal komisarza Martina Richardsa, za jego życzliwość i nieustanne wsparcie.

David Gaylor, emerytowany nadinspektor z wydziału kryminalnego Sussex, który zainspirował postać Roya Grace'a, nie tylko stale pomaga wykluwać się moim nowym pomysłom i pilnuje, by Roy Grace i cały jego zespół myśleli i postępowali jak prawdziwi oficerowie policji, ale też jest moim niez mordowanym kierowcą oraz czuwa nad tym, bym regularnie pisał przez pierwsze siedem miesięcy, gdy powstaje pierwsza wersja książki... i potem również.

Nadinspektor Graham Bartlett, komendant policji Brighton i Hove, także niezwykle mi pomógł przy pisaniu tej książki. Główny inspektor Jason Tingley był prawdziwą gwiazdą, pomagał mi zarówno pod względem twórczym, jak i proceduralnym w wielu aspektach opowieści. Podobnie jak główny inspektor Nick Sloan, główny inspektor (emerytowany) Trevor Bowles, sierżant Phil Taylor i Ray Packham z technicznej jednostki wspomagającej oraz inspektor Andy Kille.

Moje wielkie podziękowania niech zechcą również przyjąć: nadinspektor John Boshier, główny inspektor Nick May, główny inspektor Paul Betts, starszy oficer wspomagający Tony Case, komisarz William Warner, inspektor Richard Delacour, policjant z wydziału dochodzeniowo-śledczego Darren Balkham, sierżant Simon Bates, sierżant Lorna Dennison-Wilkins i cała jednostka specjalistycznych poszukiwań oraz technicy kryminalistyki: James Gartrell, Chris Gee, Lucy Steel, Becky Henderson, sierżant Mehdi Fallahi, a także policjanci z wydziału dochodzeniowo-śledczego: Laura Stanley, Jon Anstead, Karl Brown oraz sierżant Gemma Firth.

Emerytowany sierżant Simon Muggleton, który pracował wcześniej w jednostce policyjnej do spraw kradzieży antyków,

podzielił się ze mną cenną wiedzą o dawnym podziemiu handlu antykami w Brighton.

Podziękowania kieruję też do Gilesa Ellisa z Schofield Watch Company, Richarda Robbinsa, Dereka le-Warde'a, Michaela Keehana, Chrisa Tapsella, Davida Wiltshire'a, Hala Milehama, Simona Schneidera, Wayne'a i Vanessy Manleyów, Steve'a Reynoldsa, Danny'ego Reardona, Normana Torringtona z Genealogy Research, Louise Yeoell i Liberty Taylor.

Dziękuję kryminalistycznemu podiatrze, Haydnowi Kelly'emu, kryminalistycznej archeolog Lucy Sibun i Alanowi Settringtonowi, zastępcy naczelnika więzienia HM Lewes.

Dziękuję również Michaelowi Beardowi, wydawcy „Argusa”.

Na słowa wdzięczności zasługują moje znakomite researcherki: Tara Lester i Nicky Mitchell, członek Królewskiego Towarzystwa Medycznego doktor Russell Emerson, Sarah London, Sherree Fagge, pielęgniarka oddziałowa z Royal Sussex County Hospital, Rob Kempson, Peter Wingate-Saul, Hans Jürgen Stockerl, Peter Hale, Tim Parker, Felix Francis, Graham Sones, Phil Homan, Jeannie Civil, Giles Powell, Bill Shay.

A także Tony Parker, dyrektor inżynieryjny z portu Shoreham, David Miller, zastępca kapitana portu, Chris Jones, Dave Smith i Keith Laker.

Specjalne podziękowania dla Alana Priora z Pinnacle Publishing Group, który wspomniał mi o dzieleniu się ze mną wieloma tajemnicami świata telemarketingu!

Jak zawsze jestem ogromnie wdzięczny cudotwórcy Chrisowi Webbowi z MacService – za to, że zdołał uruchomić mojego maca po tym, jak go upuściłem, i odtworzyć najważniejsze pliki, które zniknęły.

Wielkie i szczególne podziękowania dla Anny-Lisy Lindeblad, która znów była moją niezmiernie cenną i cudowną „nieoficjalną” redaktorką i komentatorką całej serii z Royem Grace'em, oraz dla Sue Ansell, która czytała każdą książkę, jaką napisałem, i zawsze udzielała mi pomocy, a także dla Martina i Jane Diplocków.

Mam też szczęście posiadać wspaniałą agentkę i przyjaciółkę Carole Blake, jak również wymarzony zespół do spraw reklamy: Tony'ego Mullikena, Sophie Ransom, Claire Richman oraz Becky

Short z Midas PR. Brak tu miejsca, by odpowiednio podziękować każdej osobie z wydawnictwa Macmillan, ale muszę wymienić moją cudowną redaktorkę Wayne Brookes i niewiarygodnie cierpliwą korektorkę Susan Opie oraz wspaniały zespół z Ameryki: Andy'ego Martina i mojego redaktora Marca Resicka, a także moich rzeczników prasowych, Hectora DeJeana i Tony'ego Fusca, oraz pozostałych członków drużyny z USA!

Ogromne podziękowania dla mojej błyskotliwej i udręczonej asystentki Lindy Buckley.

Helen jak zawsze była niezłomna, jeśli chodzi o pomoc, i znosiła moje długie noce zamknięcia w jaskini. Nasze psy, Phoebe, Oscar i Coco, leżały zawsze wyczekująco, w każdej chwili gotowe przypomnieć mi, że istnieje jeszcze życie – i wiele zakopanych kości – o ile tylko zechcę odejść od biurka.

Największe podziękowania rezerwuję, jak zawsze, dla was, moi drodzy czytelnicy. Wasze mejle, wpisy na Twitterze, Facebooku i blogach stanowią dla mnie nieustanne wsparcie. Piszcie dalej! A ja będę nadal pisał książki o zawodowych wyzwaniach Roya Grace'a. Obiecuję!

Peter James
Sussex, Anglia

scary@pavilion.co.uk
www.peterjames.com
www.facebook.com/peterjames.roygrace
www.twitter.com/peterjamesuk

PRZYPISY

- ¹ Jane Austen, *Duma i uprzedzenie*, przeł. A. Przedpełska-Trzeciakowska.
- ² W.H. Auden, Ch. Isherwood, *The Dog Beneath the Skin*, akt II, scena 2.
- ³ Biblia Tysiąclecia, J1 3, 1.
- ⁴ T.E. Lawrence, *Siedem filarów mądrości*, przeł. J. Schwakopf.
- ⁵ *Nob* (ang.) – jaśnie pan, *hill* (ang.) – wzgórze.
- ⁶ W. Szekspir, *Hamlet*, akt III, scena 1, przeł. S. Barańczak.
- ⁷ H.D. Thoreau, *Walden*, przeł. H. Cieplińska.
- ⁸ *Stork* (ang.) – bocian.
- ⁹ E. Hemingway, *Śmierć po południu*, przeł. B. Zieliński.